

LUDLUM ROBERT

Kryptonim Ambler

CZEŚĆ I

Rozdział I

Budynek był niewidzialny, jak niewidzialne są wszystkie pospolite budynki. Mógłby uchodzić za dużą prywatną szkołę średnią albo za ośrodek przetwarzania danych podatkowych. Wyglądał jak niezliczone budynki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ot, zwalista, trzypiętrowa kamienica i wewnętrzne podwórze. Przypadkowy przechodzień nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi.

Rzecz w tym, że przypadkowych przechodniów tu nie było. Nie tu, nie na tej odciętej od świata wysepce położonej siedem kilometrów od wybrzeża Wirginii. Wyspa należała oficjalnie do National Wildlife Refuge System, sieci amerykańskich parków narodowych, dlatego każdemu, kto o nią wypytywał, mówiono, że ze względu na niezwykle delikatną równowagę miejscowego ekosystemu nikogo się tam nie wpuszcza. Jej zawietrzna część rzeczywiście była lęgowiskiem rybołówów i traczy-długodziobów, drapieżników i ich ofiar, którym zagrażał największy drapieżnik: człowiek. Ale część środkową, starannie ukształtowane, tarasowate wzgórza porośnięte misternie przystrzyżoną trawą i wypielęgnowaną zielenią, zajmował sześćohektarowy kompleks, na którego terenie stał ów nierzucający się w oczy gmach.

Łodzie, które odwiedzały wyspę Parrish trzy razy dziennie, miały na burtach napis NWRS, a z daleka trudno było dostrzec, że schodzący z pokładu ludzie w niczym nie przypominają strażników leśnych. Gdyby próbował tu dobić zepsuty kuter rybacki, natychmiast przechwyciliby go mężczyźni w brązowych panterkach, osobnicy przyjaźnie uśmiechnięci, lecz o oczach zimnych jak stal. Nikt nigdy nie dotarł tam na tyle blisko, żeby zobaczyć cztery

Kryptonim Ambler

CZEŚĆ I

Rozdział I

udynek był niewidzialny, jak niewidzialne są wszystkie pospolite budynki. Mógłby uchodzić za dużą prywatną szkołę średnią albo za ośrodek przetwarzania danych podatkowych. Wyglądał jak niezliczone budynki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ot, zwalista, trzypiętrowa kamienica i wewnętrzne podwórze. Przypadkowy przechodzień nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi.

Rzecz w tym, że przypadkowych przechodniów tu nie było. Nie tu, nie na tej odciętej od świata wysepce położonej siedem kilometrów od wybrzeża Wirginii. Wyspa należała oficjalnie do National Wildlife Refuge System, sieci amerykańskich parków narodowych, dlatego każdemu, kto o nią wypytywał, mówiono, że ze względu na niezwykle delikatną równowagę miejscowego ekosystemu nikogo się tam nie wpuszcza. Jej zawietrzna część rzeczywiście była łęgowskim rybołówów i traczy-długodziobów, drapieżników i ich ofiar, którym zagrażał największy drapieżnik: człowiek. Ale część środkową, starannie ukształtowane, tarasowate wzgórza porośnięte misternie przystrzyżoną trawą i wypielęgnowaną zielenią, zajmował sześćohektarowy kompleks, na którego terenie stał ów nierzucający się w oczy gmach.

Łodzie, które odwiedzały wyspę Parrish trzy razy dziennie, miały na burtach napis NWRS, a z daleka trudno było dostrzec, że schodzący z pokładu ludzie w niczym nie przypominają strażników leśnych. Gdyby próbował tu dobić zepsuty kuter rybacki, natychmiast przechwyciliby go mężczyźni w brą-

zowych panterkach, osobnicy przyjaźnie uśmiechnięci, lecz o oczach zimnych jak stal. Nikt nigdy nie dotarł tam na tyle blisko, żeby zobaczyć cztery

wieże strażnicze czy zastanowić się nad przeznaczeniem siatkowego ogrodzenia, przez które płynął prąd o wysokim napięciu.

Zakład psychiatryczny na wyspie Parrish, choć niczym się niewyróżniają-

cy, był siedliskiem dzikości dużo większej niż ta, która go otaczała: był domem szaleństwa ludzkiego umysłu. Wiedziało o nim niewielu członków rządu.

Jego istnienie wynikało jednak z prostej logiki: był to ośrodek psychiatryczny dla pacjentów, którzy weszli w posiadanie informacji chronionych najści-

ślejszą tajemnicą państwową. Ludzi takich jak oni, którzy postradali zmysły, należało umieścić i

leczyć w wyjątkowo bezpiecznym otoczeniu. A tu, na wyspie Parrish, ryzyko naruszenia systemu bezpieczeństwa zostało całkowicie wyeliminowane. Zatrudniony w ośrodku personel, starannie wyselekcjonowany i dokładnie przeswietlony, miał dostęp do najpilniej strzeżonych informacji, a działający przez dwadzieścia cztery godziny na dobę elektroniczny system nadzoru, audio-wideo, zapewniał dodatkowe zabezpieczenie przed ewentualnym zagrożeniem zarówno z zewnątrz, jak i ze środka. Żeby jeszcze bardziej zminimalizować ryzyko i uniemożliwić zadzierzgnięcie emocjonalnych więzów między lekarzami i pacjentami, personel medyczny ośrodka podlegał trzymiesięcznym rotacjom. Co więcej, obowiązujące tu przepisy nakazywały, żeby każdemu pacjentowi przypisać numer identyfikacyjny i żeby nigdy nie zwracać się do żadnego po nazwisku.

Rzadko kiedy leczono tu ludzi niebezpiecznych dla otoczenia czy to ze względu na rodzaj zaburzenia psychicznego, czy na szczególną wagę tego, co ludzie ci wiedzieli. Tych pacjentów izolowano na specjalnym, zamknię-

tym oddziale. Na trzecim piętrze zachodniego skrzydła gmachu przebywał aktualnie jeden taki pacjent. Pacjent numer 5312.

Pracownik ośrodka, który właśnie przeszedł rotację, trafił na oddział 4Z

i zobaczył go pierwszy raz, mógł być pewny tylko tego, co widział: że mę-

czyzna ów ma metr osiemdziesiąt wzrostu, około czterdziestu lat, krótko ostrzyżone brązowe włosy i pogodne niebieskie oczy. Gdyby jednak przypadkowo spotkali się wzrokiem, pracownik ten musiałby natychmiast odwrócić wzrok: intensywność spojrzenia pacjenta numer 5312 była niezwykle irytująca, samo spojrzenie zaś niemal fizycznie przeszywające. Szczegóły jego profilu psychiatrycznego tkwiły w aktach. Natomiast rodzaju drzemia-

cej w nim dzikości można się było jedynie domyślać.

Gdzieś na oddziale 4Z panowały chaos i nabrzmiały od krzyków zamęt, jednak były to krzyki bezgłośne, zamknięte w niespokojnych snach, które przybierały na wyrazistości nawet wtedy, gdy sen jako taki zaczynał już pierzchać. Chwile tuż przed powrotem do świadomości - gdy śniący zdaje sobie 10

sprawę jedynie z tego, co widzi, gdy jest tylko pozbawionym „ja” wzrokiem

- wypełniała seria obrazów zniekształconych jak te na taśmie filmowej, któ-

re uwięzły przed rozgrzaną żarówką projektora. Wiec w parny dzień na Tajwanie: wielki plac, na placu tysiące ludzi, wiatru jak na lekarstwo. I mówca, któremu wybuch przerwał w pół zdania, wybuch mały, skumulowany i śmiertelny. Chwilę przedtem mówca przemawiał elokwentnie i żarliwie; teraz zaś leżał na drewnianym podium w kałuży krwi. Podniósł głowę i jego wzrok po raz ostatni spoczął na kimś stojącym w tłumie - *Chang bizi*, człowiek z Zachodu. Jedyna osoba, która nie krzyczała, nie płakała ani nie uciekała. Jedyna, która nie okazywała żadnego zaskoczenia, gdyż

wybuch ten był ostatecznie jej dziełem. Mówca umierał, patrząc na człowieka, który przebył pół świata, żeby go zabić. Obraz zachybotał, rozciągnął się, zniekształcił i rozmył w oślepiającej bieli.

Czyjś odległy głos, minorowy trójdźwięk i Hal Ambler otworzył zaspane oczy.

Czy to naprawdę ranek? W tym ślepych pokoju nie sposób było tego sprawdzić. Tak Z-VJ tfv&cxej, to |>y| rasrek, pra^ayrtfWŁJ dla v,|<t%-&. Stefce, śmuAto wpuszczonych w sufit jarzeniówek od pół godziny przybierało na sile, zapo-wiadając technologiczny świt, tym jaśniejszy, że zarówno sufit, jak i wszystkie ściany były białe. Zaczynał się kolejny sztuczny dzień. Podłogę - dwa i siedem na trzy i sześć - wyłożono płytkami z białego winylu, a ściany białą pianką, gęstym, gumowatym, elastycznym tworzywem przypominającym w dotyku matę do zapasów. Wiedział, że z hydraulicznym westchnieniem rozsuna się zaraz podobne do luku drzwi - znał te szczegóły na pamięć, te i setki innych. Bez tego by nie przeżył, zwłaszcza tu, w tym ośrodku o zaostrowym rygorze -jeśli tylko można było nazwać to życiem i przeżyciem.

Były to raczej okresy posępnej świadomości przeplatane okresami całkowitej amnezji. Towarzyszyło temu wrażenie, że go uprowadzono, że porwano nie tylko ciało, ale i duszę.

Przez prawie dwadzieścia lat pracował jako tajny agent: w tym czasie kilka razy trafił do niewoli - w Czeczenii i Algierii - dlatego wiedział, co znaczy całkowite odosobnienie. Wiedział, że nie sprzyja rozmyślaniu, analizie duszy czy filozoficznym rozważaniom. Że umysł wypełniają wtedy fragmenty reklam, popularne piosenki z na wpół zapomnianymi słowami i dotkliwa świadomość drobnych niewygód cielesnych. Świadomość ta wirowała i od-pływała, lecz rzadko kiedy docierała gdzieś, gdzie jest naprawdę ciekawie, bowiem zawsze krępowała ją i więziła ta specyficzna agonia izolacji.

Ci, u których przeszedł przeszkolenie do pracy w tym zawodzie, próbowali przygotować go na taką ewentualność. Najważniejsze, twierdzili, to nie II

dopuścić, żeby umysł zaczął pożerać sam siebie, niczym żołądek trawiący własne ścianki.

Jednak na wyspie Parrish nie był w rękach wroga: przetrzymywał go tu jego rząd, rząd, któremu przez tyle lat służył.

A on nie wiedział, dlaczego.

To, dlaczego mogli tu kogoś zamknąć - nie jego, tylko kogoś - nie było dla niego tajemnicą. Jako pracownik amerykańskiej agencji wywiadowczej, znanej jako Wydział Operacji Konsularnych, słyszał o ośrodku na wyspie Parrish. Rozumiał też, dlaczego ośrodki takie muszą istnieć: umysł człowieka jest ułomny, tym bardziej umysł agenta, który posiadał pilnie strzeżone tajemnice. Rzecz w tym, że agentem takim nie mógł zajmować się byle jaki psy-chiatra. Nauczyli się tego na własnych błędach podczas zimnej wojny, kiedy to okazało się, że ich urodzony w Berlinie psychoanalityk, którego pacjentami byli między innymi wysocy urzędnicy państwowi, jest wtyczką słynnego wschodniemieckiego *Ministerium fur Staatssicherheit*.

Jednak nie wyjaśniało to wcale, dlaczego znalazł się tu on, Hal Ambler.

Siedział tu już od... No właśnie, od kiedy? Podczas szkolenia nauczono go, że liczenie upływających dni jest bardzo ważne w niewoli. Tymczasem on, nie wiedząc czemu, to zaniedbał, dlatego pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Pół roku? Rok? Dłużej? Tylu rzeczy nie wiedział. Ale jednego był pewien: jeśli stąd nie ucieknie, zwariuje naprawdę.

Rutyna: nie mógł się zdecydować, czy jej przestrzeganie jest dla niego ratunkiem, czy zgubą. Najpierw gimnastyka, spokojna i wydajna, zakończona stoma pompkami to na lewej, to na prawej ręce. Na kąpiel pozwalano mu co drugi dzień; ten nie był dniem kąpielowym. Umył zęby nad małą białą umywalką w kącie pokoju. Zauważył, że rączka szczoteczki jest zrobiona z miękkiego gumowatego poliestru, żeby nie można jej było zaostrzyć i użyć jako broni. Nacisnął przycisk i z pojemnika nad umywalką wysunęła się elektryczna maszynka do golenia; wolno mu było korzystać z niej dokładnie przez sto dwadzieścia sekund; po ich upływie musiał ją położyć na wyposażonej w czujnik tacy; gdyby tego nie zrobił, natychmiast włączyłby się alarm. Skoń-

czywszy się golić, ochlapał twarz wodą i przeczesał ręką włosy, żeby je jakoś ułożyć. W pokoju nie było ani lustro, ani niczego, w czym można by się przejrzeć. Nawet szkło na oddziale pokryte warstwą czegoś antyrefleksyjnego. Miało to bez wątpienia jakiś cel, zapewne leczniczy. Włożył „strój dzienny”, długą, luźną, białą koszulę i spodnie z gumką zamiast paska.

Słyszając, że otwierają się drzwi, odwrócił się powoli i poczuł sosnowy zapach środka dezynfekującego, który zawsze unosił się na korytarzu. Znowu **12**

ten facet, ten sam co zwykle, krępy i napakowany, o krótko ostrzyżonych włosach, w jasnoszarym uniformie z identyfikatorem starannie zasłoniętym bawełnianą patką: kolejny środek ostrożności ze strony personelu. Sposób, w jaki wymawiał samogłoski, wskazywał, że pochodzi ze środkowego wschodu, jednak jego znudzenie i ewidentny brak jakiegokolwiek zainteresowania były zaraźliwe; Amblera też mało obchodził.

Rutyny ciąg dalszy: pielęgniarz trzymał w ręku grubą nylonową plecionkę, coś w rodzaju pasa.

- Rączki do góry - mruknął, podchodząc bliżej i opasując go nią. Bez tej specjalnej plecionki Amblerowi nie wolno było stąd wyjść. Zamontowano w niej kilka płaskich litowych baterii; po założeniu, na wysokości lewej nerki pacjenta sterczały z niej dwa metalowe zęby.

Urządzenia tego - oficjalnie znanego jako pas reakcyjny TZKE, od Technologia Zdalnej Kontroli Elektronicznej używano zwykle do transportu szczególnie niebezpiecznych więźniów; tu, na oddziale 4Z, był to element codziennego stroju. Można je było uaktywnić z odległości dziewięćdziesię-

ciu metrów i porazić pacjenta prądem o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów. Tak potężna dawka elektryczności powaliłaby nawet zapaśnika sumo -

wiłby się po ziemi przez dobre dziesięć, piętnaście minut.

Zapiawszy pas, pielęgniarz poprowadził go wyłożonym białymi płytkami korytarzem na poranną porcję leków. Ambler szedł powoli, noga za nogą, jakby brodził w wodzie. Ten specyficzny chód był rezultatem wysokiego stężenia leków psychotropowych we krwi i wszyscy pracownicy zakładu psychiatrycznego na wyspie Parrish znali go aż za dobrze. Ruchy Amblera stały jednak w sprzeczności z płynną efektywnością jego czujnego spojrzenia. Była to jedna z wielu rzeczy, których pielęgniarz nie zauważył.

Natomiast on dostrzegał niemal wszystko.

Sam budynek miał już kilkadziesiąt lat, jednak regularnie go remontowano i unowocześniano: drzwi były wyposażone w elektroniczne zamki na kartę z cieniutkim jak wafelek transponderem - a w głównych przejściach zainstalowano skanery i czujniki reagujące na obraz siatkówki ludzkiego oka, tak że korzystać z nich mogli tylko upoważnieni pracownicy. Mniej więcej trzydzieści metrów od jego celi mieścił się tak zwany gabinet oceny, pomieszczenie z oknem zaopatrzonym w szybę ze spolaryzowanego szkła, dzięki któremu lekarz mógł swobodnie obserwować pacjenta, podczas gdy pacjent nie widział lekarza. Ambler chodził tam regularnie na „ocenę psychiatryczną”, badanie, którego sens unikał zarówno jemu, jak i badającemu go lekarzowi. W ostatnich miesiącach zaznał prawdziwej rozpacz, jednak rozpacz ta nie wynikała z jego stanu psychicznego, tylko z oceny realnych szans na **13**

uwolnienie. Wyczuł bowiem, że mimo cotrymiesięcznych rotacji, wszyscy lekarze patrzą na niego jak na kogoś, kto ma tu spędzić całe życie, kto pozostanie w zamknięciu długo po ich odejściu.

Ale przed kilkoma tygodniami wszystko się zmieniło. Nie było to nic obiektywnego, nic namacalnego czy nawet zauważalnego. Otóż wreszcie nawią-

zał z kimś kontakt i kontakt ten postawił na głowie cały jego świat. Kontakt, a dokładniej mówiąc, ona, dziewczyna. Bo to dzięki niej zobaczył światło na końcu tunelu. Była pielęgniarką i nazywała się Laurel Holland. I co najważniejsze, była po jego stronie.

Kilka minut później pielęgniarz i jego powłóczący nogami pacjent dotarli do półokrągłego pomieszczenia zwanego bawialnią. Bawialnią to wyraz pochodzący od czasownika „bawić”, lecz prawdziwego charakteru owego przybytku nie oddawało żadne z tych słów. Bardziej odpowiednim określeniem byłoby raczej „atrium obserwacyjne”. Na jednym końcu tego atrium stał sprzęt do ćwiczeń fizycznych i półka na książki zapchana tomami encyklopedii sprzed piętnastu lat. Na drugim był punkt wydawania leków: długa lada, zaopatrzone w żaluzje okienko, wzmocniona metalową siatką szyba, ledwo widoczna za szybą półka, na półce plastikowe buteleczki z pastelowymi naklejkami. Ambler zdążył się już nauczyć, że zawartością tych buteleczek można obezwładnić i skrępować człowieka równie skutecznie, jak stalowymi kajdankami. Przechowywane w nich pigułki wprowadzały pacjenta w stan niespokojnego odrętwienia, wywoływały ociężałość i zabijały pogodę ducha.

Jednak zadaniem personelu ośrodka psychiatrycznego na wyspie Parrish było nie tyle dbanie o pogodę ducha podopiecznych, ile ich pacyfikacja.

Tego ranka w bawialni zgromadziło się sześciu pielęgniarzy. Nie było w tym niczego niezwykłego, gdyż tylko oni czuli się tu jak w prawdziwym salonie.

Oddział 4Z mógł pomieścić dwunastu pacjentów - obsługiwał tylko jednego.

Skutek? Pomieszczenie to stało się nieformalnym centrum rekreacyjno-wypoczynkowym dla pielęgniarzy z oddziałów, gdzie pracy było dużo więcej.

A to, że lubili przychodzić akurat tutaj, do bawialni, podwyższało z kolei poziom bezpieczeństwa na oddziale 4Z.

Odwracając się, kiwając głową dwóm pielęgniarkom siedzącym w niskich piankowych fotelach i patrząc na nich tępym zamglonym wzrokiem, Ambler lekko rozchylił usta i na brodę spłynęła mu strużka śliny. Pielęgniarzy było sześciu, zdążył już to zarejestrować. Sześciu pielęgniarzy, lekarz dyżurny i pielęgniarka, jego jedyny sprzymierzeniec.

- Pora na cukiereczki - rzucił jeden z tych w fotelu; pozostali wykrzywili usta w szyderyczym uśmiešku.

14

Ambler podszedł powoli do lady, gdzie pielęgniarka o kasztanowych włosach czekała z porannymi lekami. Przelotne spojrzenie, leciutkie skinienie głową - niedostrzegalny kontakt.

Jej nazwisko poznał przypadkiem; niechcący oblała się wodą z kubka i materiał zasłaniający identyfikator stał się przezroczyście. Laurel Holland: litery prześwitywały jak rząd zjaw. Przeczytał je półgłosem trochę się zdenerwowała, mimo to wyczuł, że w tym zdenerwowaniu nie ma rozdrażnienia. I właś-

nie wtedy coś między nimi zaiskrzyło. Od tamtej chwili uważnie obserwował jej twarz, chód, sposób zachowania, wsłuchiwał się w brzmienie jej głosu.

Miała trzydzieści kilka lat, piwnozielone oczy i zgrabną figurę. Była bystrzej-sza i ładniejsza, niż myślała.

Żeby nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania ewentualnych obserwatorów, rozmawiali cicho i krótko. Ale ileż można przekazać zwykłym spojrzeniem czy leciutkim uśmiechem? Dla systemu Ambler był pacjentem 5312. Jednak wiedział już, że dla niej jest kimś o wiele więcej niż tylko numerem.

Zdobywał jej sympatię już od półtora miesiąca, lecz nie działaniem - na aktywne działanie miała przyjść pora później - raczej odpowiednim reago-waniem na jej osobę, na to, co robiła i mówiła,

dzięki czemu z czasem i ona zaczęła zwracać na niego uwagę. Z czasem też coś do niej dotarło: odkryła, że Ambler nie jest chory psychicznie.

Świadomość, że Laurel o tym wie, dodała mu wiary w siebie i jeszcze bardziej zdeterminowała go do ucieczki.

- Nie chcę tu umrzeć - wymamrotał do niej któregoś ranka. Nie odpowiedziała, lecz z jej zaszokowanej miny wyczytał wszystko, co chciał.

Pańskie lekarstwa - rzuciła wesoło nazajutrz rano, kładąc mu na dłoni trzy tabletki nieznacznie różniące się wyglądem od otępiających leków neu-roleptycznych, które codziennie dostawał. Tylenol - dodała bezgłośnie.

Według obowiązującego w ośrodku regulaminu, powinien połknąć lekarstwa w jej obecności, a potem otworzyć usta i pokazać, że ich tam nie ukrył.

Połknął, otworzył, pokazał i już godzinę później zyskał namacalny dowód na to, że go nie okłamała. Miał dużo lżejsze nogi, lżej mu też było na duszy.

W ciągu kilku następnych dni jego oczy odzyskały dawną jasność, poczuł się dużo różniej i zaczął w końcu przypominać siebie sprzed lat. Musiał cią-

gle grać, udawać odurzonego lekami, chodzić jak szympan, krokiem, do którego przywykli pielęgniarze.

Ośrodek psychiatryczny na wyspie Parrish był szpitalem o zaostrzonym rygorze, wyposażonym w najnowocześniejszy sprzęt. Ale żaden sprzęt i technologia nie są odporne na czynnik ludzki. I teraz, stojąc tyłem do kamery 15

wewnętrznego systemu bezpieczeństwa, Laurel wsunęła **nui swój** elektroniczny klucz za gumkę białych bawełnianych spodni.

- Słyszałam, że ogłoszą dziś dwunastkę - szepnęła.

„Dwunastkę” - kod sygnałowy numer dwanaście - ogłaszano tylko w nagłych przypadkach, gdy trzeba było przewieźć pacjenta do szpitala na lądzie.

Laurel nie powiedziała, skąd o tym wie, ale domyślił się: według najbardziej prawdopodobnego scenariusza któryś z przebywających tu pacjentów skar-

żył się na bóle w klatce piersiowej, co mogło być zapowiedzią poważniejszych kłopotów, choćby niewydolności serca. Lekarze nieustannie go obserwowali, wiedząc, że gdyby doszło do nagłej arytmii, musieliby przewieźć go na oddział intensywnej terapii na lądzie. Ambler pamiętał poprzednią „dwunastkę” - starszego mężczyznę z wylewem - pamiętał też środki bezpieczeń-

stwa, jakie wówczas podjęto. Choć bardzo surowe, stanowiły odstępstwo od rutyny, odstępstwo, które mógłby teraz wykorzystać.

- Niech pan uważnie nasłuchuje - szepnęła. - I będzie gotowy do działania.

Dwie godziny później - dwie godziny szklistowzrocznego milczenia z jego strony - zabrzmiał elektroniczny sygnał i elektroniczny głos podobny do głosu z pociągów kursujących wahadłowo między lotniskiem i centrum miasta czy z nowoczesnego metra, miły i niepokojący zarazem.

- Uwaga, kod dwunasty, oddział drugi wschodni.

Pielęgniarze natychmiast wstali.

- To pewnie ten staruszek z 2W. Miał już chyba ze dwa zawały, co nie?

Większość z nich skierowała się na pierwsze piętro. Elektroniczny sygnał rozbrzmiewał w równych, częstych odstępach.

A więc jednak. Staruszek z atakiem serca, tak jak można się było spodziewać. Ambler poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Osilkowaty pielęgniarz. Ten sam, który go tu przyprowadził.

- Standardowa procedura - powiedział osilek. - Pacjenci muszą wrócić do pokoju.-

- Co się dzieje? - spytał Ambler tępo i niewyraźnie.

- Nic takiego. W pokoju będzie pan zupełnie bezpieczny. - To znaczy: do ciupy, panie kolego, do ciupy. - Chodźmy.

Po kilku długich minutach znaleźli się przed drzwiami do jego separatki.

Pielęgniarz włożył kartę do czytnika, urządzenia z szarego plastiku na wysokości pasa, i drzwi się rozsunęły.

- Zapraszam do środka.

- Musi mi pan pomóc... Ambler zrobił kilka kroków w stronę progu i od-wrócił się, wskazując bezradnie szafkę i krzesło z porcelanowym nocnikiem.

16

- O żesz ty... - mruknął pielęgniarz, marszczy z obrzydzenia nos i wchodzić do pokoju.

Masz tylko jedną szansę. Żadnych błędów.

Gdy podszedł bliżej, Ambler ugiął nogi w kolanach, jakby miał zaraz upaść.

Nagle wyprostował się na całą wysokość i grzmotnął tamtego głową w szczę-

ką. Na twarzy pielęgniarza odmalował się wyraz graniczącego z paniką zaskoczenia: jakim cudem ten odurzony narkotykami, ledwo powłóczący nogami pacjent znalazł w sobie tyle sił? Co się stało? Chwilę później runął

ciężko na winylową podłogę. Ambler przeszukał jego kieszenie.

Żadnych błędów. Nie mógł pozwolić sobie na żaden błąd.

Zabrał mu identyfikator i elektroniczny klucz, a potem przebrał się w jego strój. Zarówno szara koszula, jak i spodnie były za duże, lecz nie wyglądały absurdalnie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Szybko podwinął nogawki i podciągnął spodnie, żeby nie opadały i zasłaniały tę przeklętą nylonową plecionkę: dałby niemal wszystko, żeby się jej pozbyć, ale miał na to zbyt mało czasu. Mógł tylko zacisnąć szary pielęgniarzski pas z nadzieją, że nic spod niego nie wychynie.

Włożył kartę do czytnika, otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Nikogo.

Dodatkowy personel skierowano do wschodniego skrzydła budynku.

Drzwi: czy zamkną się automatycznie? Żadnych pomyłek, nie mógł po-

zwolić sobie na żadną pomyłkę. Przekroczył próg i ponownie włożył kartę do czytnika. Krótka seria elektronicznych kliknięć i drzwi się zamknęły.

Teraz drzwi na końcu korytarza; zaopatrzone w uchwyt, otwierały się na zewnątrz, miały cztery elektroniczne zamki i były oczywiście zamknięte. Karta, czytnik, szum elektrycznego silniczka i... nic. Zamki nie ustąpiły.

Przejście było niedostępne dla pielęgniarzy.

Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Laurel dała mu swoją kartę: za drzwiami musiał być korytarz prowadzący do bawialni, gdzie codziennie rano kar-miono go lekami.

Wyjął drugą kartę.

Tym razem drzwi się otworzyły.

Znalazł się w wąskim korytarzu serwisowym, słabo oświetlonym energo-oszczędnymi jarzeniówkami. Spojrzał w prawo, zobaczył wypełniony brudną bielizną wózek i ostrożnie ruszył w tamtą stronę. Było oczywiste, że nikt tu jeszcze nie sprzątał. Na podłodze walały się niedopałki papierosów, papierki po cukierkach... Nagle zahaczył butem o coś płaskiego i metalowego - zgnieciona puszka po red bullu. Odruchowo podniósł ją i schował do tylnej kieszeni spodni.

Ile miał czasu? A dokładnie, ile czasu upłynie, zanim ktoś odkryje nieobecność pielęgniarza? Za kilka

minut „dwunastka” się skończy i ktoś na 17

pewno tam zajrzy choćby po to, żeby wyprowadzić Amblera z pokoju. Tak, musiał jak najszybciej wydostać się z budynku,

Czubkami palców musnął coś wystającego ze ściany. To jest to: metalowa pokrywa zsypu na brudną bieliznę i pościel. Przytrzymując się krawędzi obiema rękami, wszedł do środka i obmacał nogami jego wnętrze. Bał się, że zbyt będzie za wąski, tymczasem był za szeroki i - wbrew jego śmiałym nadziejom - nie zamontowano w nim żadnej drabinki. Wyłożono go za to gładką jak stół, stalową blachą. Żeby nie spaść, musiał zapierać się rękami i nogami o przeciwległe ścianki.

Ręka, noga, ręka, noga - powoli i z wysiłkiem zaczął opuszczać się w dół.

Miał potwornie napięte mięśnie i wkrótce napięcie to przerodziło się w straszliwy ból. Ale odpoczynek nie wchodził w grę. Nie mógł przystanąć ani na chwilę rozluźnić rąk czy nóg, gdyż groziło to niekontrolowanym upadkiem w pionową otchłań.

Zdawało się, że minęły godziny, zanim dotarł na dno, chociaż tak naprawdę schodził niespełna dwie minuty. Spazmatycznie drżały mu wszystkie mięs-

nie i czuł to drżenie nawet wtedy, gdy przedzierał się przez torby z brudną bielizną, dławiąc się od fetoru ludzkiego potu i ekskrementów. Czuł się tak, jakby wygrzebywał się z własnego grobu, jakby rozdrapywał palcami oporną ziemię, jakby rozgarniał ją i rozpychał. Każde włókno jego ciała rozpaczliwie domagało się odpoczynku, ale nie miał na to czasu.

Wreszcie wyczołgał się na twardą, betonową podłogę i stwierdził, że jest -

gdzie? - w gorącej niskiej suterenie. Metaliczny jazgot, głucho dudnienie wirujących bębnow - wyciągnął szyję. Na końcu długiego rzędu wielkich, białych, przemysłowych maszyn pralniczych dwóch robotników szykowało do załadunku kolejną porcję brudnych prześcieradeł.

Ambler wstał i z trudem panując nad drżącymi mięśniami, przeszedł na drugą stronę przejścia: musiał iść krokiem pewnym i spokojnym, bo tamci mogli go w każdej chwili zauważyć. Zniknąwszy im z oczu, przystanął za rzędem wózków na bieliznę i ocenił swoje położenie.

Wiedział, że chorych przewozi się na łódź szybką łodzią motorową, że łódź

ta już wkrótce przyplynie - jeśli już nie przyplynęła. Staruszka, tego z atakiem serca, już pewnie unieruchamiają na wózku. Jeżeli miało mu się powieść, nie mógł pozwolić sobie na żadne opóźnienie.

Musiał dostać się na tę łódź.

Co oznaczało, że musi jakoś dotrzeć na przystań. „Nie chcę tu umrzeć” -

mówiąc to, bynajmniej nie grał na uczuciach Laurel Holland, w każdym razie nie do końca. Mówił prawdę, być może najszczerzą prawdę, jaką znał.

- Hej ty! - Czyjs głos. - Co ty tu, kurwa, robisz?

18

Urzędniczo-władczy głos przełożonego pracowników niższego szczebla, człowieka, który przez całe życie zbiera cięgi od swego szefa i wyżywa się za to na podwładnych.

Ambler uśmiechnął się sztucznie, odwrócił głowę i zobaczył drobnego łysielca o twarożkowatej cerze i szypułkowatych oczach, które łapały na niego niczym obiektyw kamery systemu bezpieczeństwa.

- Spokojnie, panie kierowniku - odparł. - Przysięgam, że nie paliłem.

- I jeszcze sobie żartujesz? - Tamten podszedł bliżej. Zerknął na identyfikator na jego koszuli. - Mówisz po hiszpańsku? Bo mogę cię wysłać do tych od konserwacji... - Nagle urwał, zdawszy sobie sprawę, że zdjęcie na identyfikatorze nie jest zdjęciem twarzy człowieka, który przed nim stoi.

Kurwa...

I wtedy zrobił coś ciekawego: cofnął się sześć metrów i zaczął odpinać od pasa jakieś urządzenie. Radionadajnik uaktywniający ukryty w plecionce paralizator.

Nie! Ambler nie mógł do tego dopuścić. Gdyby tamten zdążył wcisnąć guzik, momentalnie powaliłaby go fala upiornego bólu i spazmatycznie drga-jąc, zwinąłby się na podłodze. Wszystkie plany wzięłyby w łeb. Musiałby tu umrzeć. Jako bezimienny więzień, pionek w rękach nieznanych sił. Podświadomość zadziałała o ułamek sekundy szybciej niż świadomość i jego ręka odruchowo sięgnęła do tylnej kieszeni spodni.

Paralizatora nie mógł zdjąć. Ale mógł wetknąć pod plecionkę spłaszczoną puszkę po red bullu, więc wepchnął ją tam ze wszystkich sił, nawet nie zdając sobie sprawy, że się przy tym skaleczył. Dwa sterczące z plecionki zęby opierały się teraz o przewodzący prąd metal.

- Witaj w świecie bólu - powiedział łysielec cichym spokojnym głosem i wcisnął przycisk paralizatora.

Ambler usłyszał skwierczące buczenie. Jego ciało nie stanowiło już drogi najmniejszego oporu między metalowymi zębami - teraz była nią puszką.

Poczuł elektryczny swąd i buczenie nagle ustało.

Krótkie spięcie - paralizator się przepalił.

Wtedy Ambler zaatakował. Rzucił się na łysielca, szybko obezwładnił go i powalił. Inspektor grzmotnął głową o beton, wydając przy tym cichy, urwany jęk. Pech to tylko druga strona szczęścia - tak powiadali szkoleniowcy z Wydziału Operacji Konsularnych. W każdym nieszczęśliwym zbiegu okoliczności tkwi szansa. Na pozór nie miało to żadnego sensu, lecz intuicja podpowiadała mu, że jakiś sens w tym jednak jest. Zerknąwszy na serię inicjałów pod nazwiskiem nieprzytomnego łysielca, stwierdził, że człowiek ten jest tu inspektorem, kierownikiem zaopatrzenia. Jego zadaniem było zatem 19

dogłębienie i spisywanie wszystkiego, co wnoszono i wynoszono z budynku.

Oznaczało to, że musi mieć regularny dostęp do wszystkich wejść, wyjść i ramp załadunkowych. System zabezpieczenia wyjść był dużo bardziej skomplikowany niż system zabezpieczenia drzwi wewnętrznych, bo wymagał zastosowania sygnatur biometrycznych. Sygnatur biometrycznych upoważnionego personelu. Ludzi takich jak choćby leżący u jego stóp mężczyzna.

Zamienił identyfikator pielęgniarki na identyfikator inspektora. Choć nieprzytomny, pan kierownik był jego biletem do wolności.

Białoczerwony napis na stalowej bramie serwisowej w zachodnim skrzydle budynku był bezceremonialnym wykładnikiem obowiązującej tu polityki: PRZEJŚCIE TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH: UWAGA, ALARM. Obok zamontowane-go na bramie uchwyty nie było ani dziurki od klucza, ani czytnika. Było za to coś znacznie bardziej złowieszczonego: wbudowane w ścianę urządzenie składające się ze szklanego prostokąta i przycisku. Skaner. Badał i porównywał

siatkówkę oka i był praktycznie nieomylny. Widoczne pod prześwitującą siatkówką naczynia włoskowate wychodzące z nerwu wzrokowego tworzą każ-

dego człowieka jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną konfigurację.

W przeciwieństwie do skanerów badających odciski palców, które uwzględniają jedynie sześćdziesiąt punktów porównawczych, skanery siatkówkowe uwzględniają ich setki. W rezultacie prawdopodobieństwo ewentualnej po-myłki spada prawie do zera.

Co wcale nie oznaczało, że nie można ich oszukać. Chodź, przywitasz się z personelem, pomyślał Ambler, chwytając łysielca pod pachy, wlokąc go do drzwi i rozwierając mu palcami powieki. Wcisnął przycisk lewym łokciem i ze szklanego ekranu wytrysnęły dwie strugi czerwonego światła. Parę długich chwil później usłyszał cichy wizg elektrycznego silnika i stalowe wrota stanęły otworem. Zwolnił uścisk i gdy nieprzytomny inspektor zwałił się na podłogę, przekroczył próg i wszedł na krótkie betonowe schody.

Był na rampie załadunkowej w zachodnim skrzydle gmachu i po raz pierwszy od bardzo długiego czasu oddychał świeżym, niefiltrowanym powietrzem.

Dzień był zimny, mokry i ponury, niebo zaciągnięte chmurami. Ale on, Ambler, wy dostał się

przynajmniej z budynku. Wezbrało w nim głupie, lecz upojne uczucie, które szybko stłumił nowy, znacznie większy niepokój. Groziło mu kolejne niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo najpoważniejsze ze wszystkich dotychczasowych. Od Laurel Holland wiedział, że ogrodzenie jest pod napięciem. Przedostać się za nie można było tylko pod eskortą - albo jako członek eskorty.

Doszedł go odległy warkot motorówki, a zaraz potem cichy pomruk elektrycznego silnika gdzieś w pobliżu. W kierunku południowego skrzydła budynku zmierzało coś przypominającego duży wózek golfowy z noszami na kółkach. Jechał po pacjenta. Miał zawieźć go do przystani.

Ambler wziął głęboki oddech, obszedł budynek, podbiegł do wózka i grzotnął pięścią w szybę od strony kierowcy. Ten spojrzał na niego nieufnie.

Jesteś spokojny, jesteś znudzony. To tylko zwykła robota.

- Mam jechać z tym zawałowcem do szpitala - powiedział, wsiadając do szoferki. Czytaj: wkurza mnie to tak samo jak ciebie. - Nowi dostają gównianą robotę. - Łagodny głos, przeprasający ton. Skrzyżował ręce na piersi, żeby ukryć identyfikator ze zdjęciem łysielca. - Wszędzie tak jest, tu też.

- Robisz u Barlowa? - mruknął kierowca.

Barlowa?

- Sie wie.

- Niezły z niego skurwiel, co?

- Sie wie powtórzył Ambler.

Załoga łodzi - sternik, sanitariusz i uzbrojony strażnik - aż jęknęła, dowiedziawszy się, że zwłoki ma eskortować ktoś z ośrodka. Nie ufali im? Nie wierzyli, że dobrze wykonają swoją pracę? O to chodziło? Poza tym, jak słusznie zauważył sanitariusz, pacjent już nie żył. Wieźli zwłoki, zwykłe zwłoki, jechali do kostnicy. Ale uspokoiło ich zblazowanie Amblera i całkowita obojętność kierowcy; no i guzdrać się w taką pogodę? Chwycili za koń-

ce aluminiowych noszy i drząc z zimna w granatowych kurtkach, znieśli je do kajuty pod pokładem na rufie.

Dwunastometrowa Culver Ultra Jet była motorówką mniejszą niż ta do przewozu pracowników ośrodka. Była też dużo szybsza: wyposażona w dwa strumieniowe silniki o mocy pięciuset koni mechanicznych, pokonywała cieś-

ninę w zaledwie dziesięć minut; wezwanie śmigłowca z bazy sił powietrznych w Langley czy z najbliższej bazy morskiej - czekanie, aż maszyna przy-leci, wyląduje, po czym wraz z pacjentem doleci do mieszczącego się na brzegu szpitala - trwałoby znacznie dłużej. Ambler trzymał się sternika; łódź

była najnowszym modelem wojskowym i chciał poznać przeznaczenie roz-mieszczonych na desce

rozdzielczej przyrządów. Patrzył, jak sternik ustawia przesłony dysz, rufowej i dziobowej, jak popycha do przodu dźwignię prze-pustnicy: pełna moc. Motorówka skoczyła do przodu i wkrótce przekroczyła prędkość trzydziestu pięciu węzłów.

Dziesięć minut. Wiedział, że jazda potrwa dokładnie dziesięć minut. Ile czasu minie, zanim odkryją jego podstęp? Zdjęcie na identyfikatorze zamazał błotem, poza tym ludzie, jak to ludzie: bardziej reagowali na ton głosu 21

i sposób zachowania niż na dokumenty. Kilka minut później dołączył do sanitariusza i strażnika na ławce za sterówką.

Wydawało się, że sanitariusz - dwadzieścia pięć, dwadzieścia osiem lat, czerwone plamy na policzkach, czarne kręcone włosy - jest nadal urażony jego obecnością na pokładzie. W końcu spojrzął na niego i powiedział:

- Nic nie mówili, że ktoś ma z nami jechać. Przecież wieziemy trupa.

A trup to trup, nie? - Południowy akcent. Facet znudzony i poirytowany, taki, który ma dość rozkazów i wyjazdów po kolejnego nieboszczyka.

- Naprawdę? - Ambler stłumił ziewnięcie, a raczej udał, że je tłumi. Chryste, czyżby to już?

- Żebyś wiedział. Sam sprawdzałem. Trup nikomu już nie ucieknie.

Amblerowi przypomniał się ostry ton głosu kierownika czy inspektora, pod którego się podszył. Właśnie takim głosem powinien teraz przemawiać.

- Dopóki nie wystawią oficjalnego świadectwa zgonu, nie będziesz się nikomu stawiać. A na wyspie nikt nie ma do tego uprawnień. Przepisy to przepisy.

- Co za kretynizm.

- Przestań się go czepiać, Olson - wtrącił strażnik. Nie była to solidar-ność, to była gra. Ale nie tylko: tych dwóch nie znało się za dobrze i chyba za sobą nie przepadało. Był to prawdopodobnie klasyczny konflikt z cyklu, kto ma większą władzę: sanitariusz chciał rządzić, ale to strażnik był uzbrojony.

Ambler posłał mu przyjazne spojrzenie. Krzepko zbudowany, dwadzieścia kilka lat, po żołniersku ostrzyżone krótkie włosy - wyglądał na byłego komandosa; w kaburze na biodrze miał HK P7, ich ulubioną spluwę, pistolet niewielki, lecz śmiertelnie celny. Był wprawdzie jedynym uzbrojonym członkiem załogi, lecz sprawiał wrażenie nieźle wyszkolonego fachowca.

- Mnie to tam wisi - mruknął sanitariusz. Ale zabrzmiało to tak, jakby wcale nie zamierzał ustępować.

Zapadło niezręczne milczenie i Amblerowi trochę ulżyło.

Łódź pokonała zaledwie kilka kilometrów, gdy sternik - ze słuchawkami na uszach - dał im znak i wcisnął guzik, przełączając rozmowę na głośniki.

- Tu Parrish Pięć-Zero-Pięć. - Dyspozytor z wyspy. Sądząc po głosie, był

zdenerwowany. - Uwaga. Uciekł nam jeden z pensjonariuszy. Powtarzam, z ośrodka zbiegł niebezpieczny pacjent.

Ambler poczuł, że ściska go w żołądku. Musiał działać, musiał natychmiast wkroczyć do akcji i obrócić to na swoją korzyść. Zerwał się na równe nogi.

- Jezu Chryste - mruknął.

W głośniku ponownie rozległ się głos dyspozytora.

- Uwaga 12-647-M. Uciekinier mógł dostać się na pokład waszej łodzi.

Natychmiast to sprawdźcie i zameldujcie. Czekam.

Strażnik przeszył Amblera stalowym spojrzeniem; w jego głowie kielko-wały już pierwsze podejrzenia. Ha! musiał je rozwiać, musiał je skierować na kogoś innego.

O zesz ty... - syknął. - No to chyba już wiecie, dlaczego tu jestem. -

Króciutka pauza. - Mamy rozkaz obserwować każdą odpływającą z wyspy Łódź. Myślicie, że to przypadek? Że robimy to, ot tak sobie? Wiemy o tym od dwudziestu czterech godzin, mamy dobry słuch.

- Mogłeś nas uprzedzić - odparł ponuro strażnik.

- Ci z ośrodka nie chcą, żeby tego rodzaju plotki docierały na ląd. Idę sprawdzić waszego trupa. Ambler zbiegł pod pokład. Kabina na rufie. Po lewej stronie wąska pakamera na narzędzia wbudowana w wewnętrzny ka-dłub. Poplamione olejem szmaty na podłodze. Stalowa kratownica, na kra-townicy nosze, na noszach przypięte rzepami zwłoki. Duże, rozdęte - facet musiał ważyć ze sto, sto dziesięć kilo - i trupio blade.

Co teraz? Musiał działać szybko, zanim tamci zdecydują się pójść za nim.

Dwadzieścia sekund później wrócił pędem do sterówki.

- Ty! warknął oskarżycielsko, wskazując palcem sanitariusza. - Mówi-

łeś, że pacjent nie żyje. Co ty, kurwa? Przed chwilą macałem mu szyję. Facet ma normalny puls tak

samo jak ty czy ja.

- Co ty pieprzysz? - odparł zdeorientowany sanitariusz. - Przecież to zimny trup.

Ambler oddychał jak po ciężkim biegu.

Zimny trup z pulsem siedemdziesiąt na minutę? Raczej wąpię.

Strażnik patrzył to na niego, to na sanitariusza i widać było, że zaczyna brać jego stronę. Ten facet wie, co mówi, myślał, a przynajmniej na to wy-głądało. Ambler musiał to wykorzystać, musiał odważnie przeć naprzód.

Masz coś z tym wspólnego? - spytał, przesywając go podejrzliwym spojrzeniem. - Maczałeś w tym palce?

- O czym ty, do diabła, gadasz? - Pokryte plamami policzki sanitariusza poczerwieniały jeszcze bardziej. Sposób, w jaki patrzył na niego strażnik, doprowadzał go do furii, dlatego słowa te zabrzmiały tak, jakby nagle stracił

pewność siebie, jakby się bronił. - Becker, chyba nie traktujesz tego gościa poważnie. Umiem sprawdzać puls i powtarzam, że wnieśliśmy na pokład sztywniaka!

- Umiesz? - mruknął ponuro Ambler. - To chodź, zrobisz nam małą demonstrację. - Wiedział, że to „nam” ma potężną siłę oddziaływania: wyznaczało granicę, oddzielało ich -jego i strażnika od oskarżonego sanitariusza.

Udało mu się zakłócić panującą między nimi równowagę, zasiać niezgodę i podejrzliwość, i teraz musiał nieustannie je podsycać. W przeciwnym razie wszystko obróci się przeciwko niemu.

Zerknął przez ramię i zobaczył, że strażnik wyciąga pistolet z kabury. Obe-szli pawęż i zeszli pod pokład. Sanitariusz otworzył drzwi, zajrzał do środka

- Kurwa, co tu się dzieje?

Ambier i strażnik zajrzeli do środka. Przekrzywione nosze, rozpięte rzepy.

I ani śladu nieboszczyka.

- Ty pieprzony sukinsynu! - wybuchnął Ambier.

- Nic z tego nie rozumiem - wykrztusił sanitariusz.

- Za to my rozumiemy - odparł lodowato Ambier. Nie ma to jak subtelna składnia: im więcej „my” w jego słowach, tym większą miał władzę. Ukradkiem zerknął na drzwi do pakamery na narzędzia z nadzieją, że tamci nie zauważą wygiętej i naprężonej zaszczepki, która z trudem powstrzymywała je przed otwarciem.

- Chcesz mi wmówić, że ten trup wstał i wyszedł? - spytał strażnik, od-wracając się powoli w stronę kędzierzawego południowca. - O własnych siłach? - Jego palce zacisnęły się na rękojeści pistoletu.

- Pewnie skoczył za burłę, żeby trochę popływać - dodał szyderczo Ambier. Musiał pilnować, żeby trzymali się jego scenariusza, żeby nie przyszedł

im do głowy inny. - Niczego byśmy nie usłyszeli, a w tej mgle i nie zobaczyli. To tylko trzy mile, zaledwie pięć kilometrów, nie kosztowało go to zbyt dużo wysiłku. Zachowanie typowe dla nieboszczyka, co?

- To jakiś obłąd - zaprotestował sanitariusz. - Nie miałem z tym nic wspólnego! Musicie mi uwierzyć. - Zaprzeczył odruchowo, czym skutecznie potwierdził najważniejszy zarzut", że zbiegłym z ośrodka pacjentem jest mąż-

czynna, który jeszcze przed chwilą leżał na noszach pod pokładem łodzi.

Ambier spojrzał na strażnika.

- No to już wiemy, dlaczego tak wkurzył się na mój widok - powiedział. -

Lepiej o tym zamelduj, i to szybko. Ja go tu popilnuję.

Strażnik był skonsternowany, na jego twarzy malowały się niepewność i wiele sprzecznych ze sobą

emocji. Ambler nachylił się i z pełnym przekonaniem w głosie szepnął mu do ucha:

- Spokojnie, o nic się nie martw. Wiem, że nie miałeś z tym nic wspólnego. Podkreślę to w meldunku.
- W słowach tych kryła się wyraźna aluzja.

Ambler doskonale zdawał sobie sprawę, że nie musi go uspokajać. Nie miał po co. Strażnik nie przejął się sytuacją, ponieważ jeszcze do niego nie dotarło, że ktoś mógłby go podejrzewać o pomoc w ucieczce pensjonariusza **24**

z ośrodka psychiatrycznego o zastrzonym rygorze. Jednakże podtrzymując go na duchu - i wspominając o meldunku - Ambler subtelnie ustalił, kto jest kim: on, człowiek w szarej bluzie, reprezentował „górze”, biurokrację, trzymającą w ryzach dyscyplinę.

- Rozumiem. - Strażnik z coraz większym zaufaniem szukał u niego wsparcia i pocieszenia.
- Daj mi spluwę - rzucił spokojnie Ambler. - Popilnuję go. Ty idź na górę i natychmiast o tym zamelduj.
- Tak jest.

Ambler uważnie obserwował jego twarz; strażnik - zazwyczaj ostrożny, lecz oszołomiony wydarzeniami, do jakich nie przywykł - wciąż czuł się nieswojo, wrodzona ostrożność walczyła w nim z posłuszeństwem i uległością.

Zanim podał mu nabitego hecklera & kocha, lekko się zawahał.

Lecz trwało to tylko chwilę.

Rozdział 2

Langley, Wirginia

awet teraz, po prawie trzydziestu latach pracy, Clayton Caston wciąż Nro zkoszował się drobnymi, acz smakowitymi szczegółami architekto-nicznymi kompleksu, jak choćby stojącą na dworze rzeźbą zwaną Kryptos -

wygiętą w kształcie litery S miedzianą wstęgą, którą przebijały na wylot setki liter - efektem współpracy rzeźbiarza i agencyjnych kryptologów. Albo płaskorzeźbą Allena Dullesa na północnej ścianie, pod którą wyryto wymowne słowa: JEGO POMNIK WZNOSI SIĘ WOKÓŁ NAS. Jednak na ostatnie dodatki i unowocześnienia patrzył zdecydowanie mniej przychylnym okiem. Główne wej-

ście do kompleksu było w rzeczywistości przedsionkiem czegoś, co zwano teraz starą kwaterą główną - nazwę tę ukuto w 1991 roku, po ukończeniu budowy nowej kwatery głównej, skutkiem

czego z obowiązującego w Langley nazewnictwa całkowicie znikło określenie „kwatery główna”. Trzeba było wybierać między kwaterami starą i nową, ciągiem pięciopiętrowych gmachów wzniesionych na zboczu wzgórza tuż obok tej, która stała tam od samego początku. Żeby dotrzeć do głównego wejścia nowej kwatery, urzędnicy musieli najpierw wjechać na trzecie piętro kwatery starej. Caston uwa-

żał, że wszystko to jest dość zagmatwane, dlatego niegodne polecenia.

Jego gabinet mieścił się oczywiście w kwaterze starej, jednak wcale nie w pobliżu którejś z jasnych, przeszklonych ścian zewnętrznych. Wprost przeciwnie, był dobrze skryty między pozbawionymi okien ścianami wewnętrznymi, gdzie ukrywa się zwykle kserokopiarki czy podręczne magazyny artykułów biurowych. Było to pomieszczenie w sam raz dla kogoś, kto nie chciał, żeby mu przeszkadzano, jednak tylko niewielu widziało to w ten sposób.

Nawet najstarsi weterani uważali, że skazano go na wewnętrzne zesłanie.

Widzieli w nim miernotę, człowieka, który nigdy niczego nie osiągnie, pięć-

dziesięciokilkuletniego oportunistę przekładającego papierki i odliczające-go dni do emerytury.

Biurko, podkładka do pisania, ułożone niczym sztuce długopisy i ołówki, utkwiony w zegarze wzrok - każdy, kto zobaczyłby go tego ranka, tylko by się w tych podejrzeniach utwierdził. Za sześć dziesiątą. Sześć minut do oficjalnego rozpoczęcia kolejnego dnia pracy Caston wyjął „Financial Timesa”. Pora na krzyżówkę. Zerknął na zegar. Pięć minut. A więc do roboty.

Jeden poziomo: „Ciężkie u nogi. Zawada”. Jeden pionowo: „Coś strasznego.

Ktoś korzysta z sąsiedniej kabiny”. Cztery poziomo: „Dostajesz. 1 boli”. Trzy pionowo: „Kobiety je uwielbiają”. Ołówek sunął po papierze szybko i bezgłośnie, rzadko kiedy nieruchomiejąc dłużej niż na sekundę. „Kula”. „Koszmar”. „Zastrzyk”. „Lustro”.

Ósma pięćdziesiąt dziewięć. Szybkie kroki na korytarzu. To jego zdyszany po biegu asystent. Zdążył w ostatniej chwili; podczas jednej z ostatnich rozmów mówili o punktualności. Adrian Choi otworzył usta, jakby chciał się usprawiedliwić, spojrzął na zegarek i po cichutku usiadł za swoim mniej-szym, niższym biurkiem. Rozespane oczy, gęste, czarne, wilgotne po prysz-nicu włosy, dyskretny kolczyk w języku - miał dopiero dwadzieścia jeden lat i wciąż balansował na ostrzu noża.

Punktualnie o dziewiątej Caston wrzucił „Timesa” do kosza na śmieci i otworzył służbową skrzynkę e-mailową. Kilka mało ciekawych agencyjnych okólników: nowy program ochrony zdrowia, drobna poprawka w programie ubezpieczeń stomatologicznych, link do strony, na której pracownicy mogli sprawdzić aktualne zaszeregowanie i siatkę płac. E-mail od urzędnika skarbowego z St. Louis, który, choć zaskoczony prośbą wewnętrznej komisji rewizyjnej CIA, chętnie przesyłał im szczegółowe dane finansowe pewnej firmy - przemysł lekki - która w ciągu ostatnich siedmiu lat założyła kilka oddziałów specjalnego przeznaczenia. I e-mail od małej spółki giełdowej z Toronto z listą przedsięwzięć handlowych członków jej zarządu z ostatnich sześciu miesięcy. Kontroler nie wiedział, do czego są mu potrzebne dokład-ne godziny wszystkich transakcji, mimo to skrupulatnie spełnił jego prośbę.

Caston zdawał sobie sprawę, że większość kolegów uważa jego pracę za nudną i monotonną. Starzy agenci i młodzi chłopcy, którzy nie pracowali jeszcze w terenie, ale nie tracili nadziei, że pracować tam kiedyś będą, trak-towali go protekcyjnie. Hasłem dnia było: „Jeśli chcesz się czegoś nauczyć, musisz się trochę powłóczyć”. Tymczasem on nigdzie się nie włóczył.

Ba! Prawie nigdy nie opuszczał gabinetu. Mimo to uważał, że powiedzenie to nie jest do końca prawdziwe. Wystarczyły mu wydruki, plik arkuszy kal-kulacyjnych i nie ruszając się zza biurka, potrafił dowiedzieć się o ludziach wszystko, co chciał o nich wiedzieć.

Z drugiej strony, niewielu kolegów zdawało sobie sprawę, czym się tak naprawdę zajmuje. Czy nie był przypadkiem jednym z tych, którzy rozliczali ich z wyjazdów służbowych? A może sprawdzał, na co zużyli tyle papieru biurowego czy tonera do drukarki? Pewnie trzymał łapę na księgach rachunkowych, więc nie daj Boże, żeby spróbowali coś zachachmęcić. No nie? Tak czy inaczej uważali, że prestiż jego pracy tylko odrobiną przewyższa prestiż pracy strażnika więziennego. Jednak kilku kolegów patrzyło na niego z szacunkiem, a nawet z podziwem. Tak się przypadkiem składało, że byli to najbliżsi współpracownicy dyrektora naczelnego i najwyżsi rangą szefowie kontrwywiadu. Dobrze pa-miętali rok 1994 i to, w jaki sposób wpadł Aldrich Ames. Dobrze wiedzieli, że drobne, lecz regularnie powtarzające się nieścisłości między zgłoszonymi do-chodami i wydatkami były nicią, która doprowadziła ich do Gordona Blaine'a, do skomplikowanej sieci intryg i spisków. Pamiętali też o kilkunastu innych, równie wielkich zwycięstwach, których jednak nie zamierzali upubliczniać.

Dzięki swoim zdolnościom i umiejętnościom Caston potrafił przebić się tam, gdzie nie potrafił dotrzeć sztab ludzi. Nie wychodząc z gabinetu, upar-cie krążył labiryntami ludzkiej zachłanności i sprzedajności. Emocje go nie interesowały - miał psychiką księgowego, którego fascynują błędy wykryte w kolumnach liczb. Podróż służbowa, zgłoszona, lecz nieodbyta. Rachunek na coś, co stało w sprzeczności z zatwierdzonym planem podróży. Opłata kartą kredytową za drugą rozmowę z telefonu komórkowego, której delikwent nie zgłosił. Wytrawni krętacze i tysiące drobnych potknięć - jemu wystarczyło tylko jedno, tymczasem ci, którzy nie potrafili przeprowadzać żmudnych analiz i zestawień - upewniając się, że jeden poziomo pasuje do jeden pionowo - nie potrafiliby wykryć żadnego.

Adrian podszedł do niego z plikiem okólników, z ożywieniem tłumacząc, że wszystkie starannie przejrzał i posegregował. Caston zerknął na jego wy-tatuowane przedramię i połyskujący w ustach kolczyk. Przed laty, gdy zaczynał tu pracować, nigdy by na coś takiego nie pozwolono, ale cóż, wyglą-

dało na to, że agencja zmienia się z upływem czasu.

- Sprawdź, czy wysłałeś do przetworzenia nasze kwartalne sprawozdanie

- odparł. - Formularz 166.

- Super - odparł Adrian. Często używał tego słowa. Caston uważał, że jest przestarzałe, lecz najwyraźniej przeżywało renesans. Było, jak mniemał, odpowiednikiem zdania w rodzaju: Słyszałem, co pan powiedział, i wzięłem to sobie do serca. Możliwe jednak, że było czymś znacznie płytszym, bo na pewno nie głębszym.

- A dzisiejsza korespondencja? - spytał. - Znalazłeś w niej coś... odbiegającego od normy?

- Wiadomość na poczcie głosowej od zastępcy dyrektora wywiadu Caleba Norrisa? - Leciutki kalifornijski akcent. I, oczywiście, intonacja zdania pytającego, którą młodzi ludzie tak często zastępowali intonacją zdania twierdzącego.

- Pytasz czy komunikujesz?

- Przepraszam. Komunikują. - Pauza. - Mam uczucie, że to pilne.

Caston odchylił się w fotelu.

- Masz... uczucie?

- Tak.

Caston przyglądał mu się przez chwilę jak entomolog osie.

- Aha, więc dzielisz się ze mną swoimi uczuciami. Interesujące. Posłuchaj. Czy ja jestem członkiem twojej rodziny? Rodzicem albo bratem? Czy jesteśmy... kumplami? A może jestem twoim narzeczonym albo dziewczyną?

- Chyba...

- Nie? Chciałem się tylko upewnić. W taki razie proponuję następujący układ. Bardzo cię proszą, nie mów mi nigdy, co czujesz. Obchodzi mnie jedynie to, co myślisz. To, w co masz podstawy wierzyć, co do czego masz choćby odrobiną pewności. To, do czego doszedłeś poprzez obserwację czy dedukcją. Natomiast owe mgliste koncepcje, które nazywasz „uczuciem” czy

„przecuciem”, bądź łaskaw zachować dla siebie. - Zrobił pauzę. - Przepraszam. Czy w jakiś sposób uraziłem twoje... uczucia?

- Panie dyrektorze, ja...

- To podchwytliwe pytanie, lepiej nie odpowiadać.
- Bardzo pouczające, mistrzu - odparł Adrian z leciutkim ni to uśmiechem, ni to półuśmiechem na ustach. - Dotarło.
- Zaczęłeś coś mówić. Coś o odbiegającej od normy korespondencji.
- Tak, przyszedł żółty okólnik z sekretariatu wicedyrektora.
- Do tej pory powinieneś już znać kolory obowiązujących tu kodów. W CIA nie ma żółtego.

28

- Przepraszam. Kanarkowy.
- Który oznacza...
- Który oznacza... - Adrian miał kompletną pustkę w głowie. - Który oznacza incydent wewnętrzpaństwowy grożący naruszeniem bezpieczeństwa narodowego. Słowem, nie nasza działka. Sprawa PSR. - PSR, Pozostałe Służ-

by Rządowe. Dogodny kosz na śmieci.

Caston skinął głową i sięgnął po jasnożółtą kopertę. Co za odrażający kolor. Koperta przypominała krzykliwego, tropikalnego ptaka. Przypominała...

kanarka, otóż to. Osobiście złamał pieczęć, włożył okulary i szybko przeczytał meldunek. Ucieczka i potencjalna możliwość naruszenia systemu bezpieczeństwa. Pacjent numer 5312 z tajnego ośrodka psychiatrycznego o zaostrowym rygorze.

To dziwne, pomyślał. Pacjent bez nazwiska. Przeczytał meldunek jeszcze raz, żeby sprawdzić, gdzie doszło do incydentu.

Zakład psychiatryczny na wyspie Parrish.

W jego głowie rozdzwoniły się dzwonki. Dzwonki alarmowe.

Ambler przedarł się przez pogrążone w zimowym śnie krzewy - gęstwiną dzikich drzewek laurowych, traw i łobody, której ostre, chropowate liście poszarpały mu do cna przemoczone ubranie - a potem przez gęszcz bezlistnych, karłowatych od soli drzew. Zadrżał na zimnym wietrze, próbując nie zwracać uwagi na kamyczki żwiru w butach, które z każdym krokiem obcierały mu stopy. Zważywszy, że baza sił powietrznych w Langley mieściła się najprawdopodobniej jakieś trzydzieści dwa do czterdziestu ośmiu kilometrów na północ, a baza marynarki wojennej mniej więcej tyle samo kilometrów na południe od miejsca, gdzie wylądowali, spodziewał się, że lada chwila usłyszy znajomy odgłos wojskowego śmigłowca. Sześćset, siedemset metrów dalej biegła szosa 64. Nie

było czasu na odpoczynek. Im dłużej przebywał samotnie na otwartej przestrzeni, tym większe groziło mu niebezpieczeństwo.

Szedł najszybciej, jak się tylko dało, wreszcie usłyszał pulsujący szum.

Szosa. Przystanął na poboczu, otrzepał się z piasku i liści i z uśmiechem podniósł do góry kciuk. Był brudny i przemoczony, był w dziwnym uniformie, dlatego musiał nadrabiać uśmiechem.

Chwilą później zatrzymała się ciężarówka ze znakiem firmowym Frito Lay na burcie. Kierowca, facet o twarzy mopsa, z wielkim brzuchem i w zabój-czych okularach, zaprosił go gestem do szoferki. Ambler złapał pierwszą okazję.

Przypomniały mu się słowa starego hymnu: „Przywiodła nas tu wiara”.

29

Ciężarówka, samochód, autobus: wystarczyło kilka przesiadek i znalazł się na przedmieściach Waszyngtonu. W pasażu handlowym znalazł sklep sportowy, gdzie z kilku wielkich koszów szybko wybrał nierzucające się w oczy ubranie.

Zapłacił gotówką z kieszeni bluzy inspektora i przebrał się za bukszpanowym żywo-płotem obok sklepu. Nie miał nawet czasu, żeby przejrzeć się w lustrze, lecz dobrze wiedział, jak wygląda: brązowe spodnie, flanelowa koszula i zapina-na na suwak wiatrówka. Typowe ubranie Amerykanina poza biurem.

Pięć minut czekania na przystanku autobusowym. Rip van Winkle wracał do domu.

Zbliżając się do centrum i obserwując gęstniejący z minuty na minutę krajobraz, popadł w zadumę. Zawsze nadchodzi taka chwila, gdy zapasy hormo-nów stresu kompletnie się wyczerpują, gdy podniecenie czy strach ustępuje miejsca odrętwieniu. I chwila ta właśnie nadeszła. Ambler odpłynął myślami w przeszłość. Przed oczami zawirowały mu twarze i obrazy z miejsca, które pozostawił daleko za sobą.

Rzecz w tym, że za sobą pozostawił tych, którzy go ścigali, lecz nie wspomnienia.

Ostatnim psychiatrą, który go „oceniał”, był szczupły, bardzo spięty oku-larnik w wieku pięćdziesięciu, pięćdziesięciu kilku lat. Miał siwiejące,na skroniach włosy i długi, chłopiący loczek, który opadał mu na czoło, jeszcze bardziej podkreślając, że jego właściciel już dawno przestał być chłopcem.

Ale kiedy Ambler przyjrzał mu się dokładniej, zobaczył dużo, dużo więcej.

Zobaczył człowieka, który bawiąc się swoimi starannie oznakowanymi tecz-kami i markerami

(długopisy, podobnie jak ołówki, uważano za potencjalną broń), nie znosił ani tego zajęcia, ani tej wyspy, który nie mógł pogodzić się z tym, że pracuje w rządowym ośrodku psychiatrycznym, gdzie najważ-

niejszą sprawą jest nie leczenie jako takie, tylko bezpieczeństwo. Jak on tu skończył? Ambler łatwo się tego domyślił: droga jego kariery zawodowej rozpoczynała się od stypendium wojskowego w college'u. College, potem medycyna i już jako lekarz trafił do szpitala wojskowego. A przecież miało być zupełnie inaczej, prawda? Wyczulony na tysiące oblicz zranionej nieufności, Ambler dostrzegł w nim kogoś, kto marzy o zupełnie innym życiu, być może o życiu rodem ze starych powieści i filmów: o wypełnionym książ-

kami gabinecie na manhattańskiej Upper West Side, o skórzanej leżance i głę-

bokim fotelu, o fajce, o klienteli złożonej z pisarzy, artystów i muzyków, o fascynujących wyzwaniach. A teraz jego największym wyzwaniem był codzienny obchód w ośrodku, którego nie znosił, życie wśród pacjentów i kolegów, którym nie ufał. Sfrustrowany, chętnie poszukałby czegoś, co ponow-30

nie przywróciłoby go do życia i sprawiło, że zamiast być zwykłym wyrobni-kiem na państwowej posiadzie, znowu poczułby się kimś wyjątkowym. Może był urodzonym podróżnikiem, który umiejętnie gospodarując czasem prze-znaczonym na urlop, wybierze się kiedyś na grupową ekowyprawę do dżungli czy na pustynię? Może chciał mieć piwnicę ze wspaniałymi winami, a może był fanatykiem szczypiorniaka, zapalonym golfistą czy kimkolwiek innym?

Tymczasem tu miał do czynienia tylko z tymi wypalonymi popaprańcami.

Ambler mógł się mylić praktycznie w każdym szczególe. Jednak był pewien, że zasadniczo jego spekulacje szły w dobrym kierunku. Znał się na ludziach: na tym polegała jego praca.

To właśnie widział.

Psychiatra go nie lubił, bo w jego obecności czuł się nieswojo. Nauka i do-

świadczenie miały mu umożliwić wgląd w umysł pacjenta, za czym szło zwykle poczucie władzy, władzy nauczyciela nad uczniem i lekarza nad pacjentem. Tymczasem w przypadku Amblera poczucia takiego nie miał.

- Przypomnę panu, że celem tych sesji jest tylko ocena pana stanu zdrowia - zaczął. - Moja praca polega wyłącznie na śledzeniu postępów leczenia i przepisywaniu leków o jak najmniejszych skutkach ubocznych. Zacznijmy więc od tego. Czy odczuwa pan jakieś skutki uboczne?

Łatwiej by mi było o nich mówić, gdybym wiedział, jakie powinny być skutki główne odparł nieskładnie Ambler.

- Jak pan wie, leki te mają kontrolować symptomy psychiczne. Paranoidalne obsesje, rozpad

osobowości, syndromy egodystoniczne...

- To tylko słowa - odparł Ambler. - Puste słowa. Bezsensowne dźwięki.

Psychiatra zapisał coś w laptopie. Miał zimne, wyblakłe oczy.

- Z pańskimi zaburzeniami zmagają się kilka zespołów psychiatrycznych.

Już to przerabialiśmy. - Pstryknął pilotem i z wbudowanych w ściany głośni-ków popłynęło głośne, wyraźne nagranie. Niecierpliwy i natarczywy głos -

głos Amblera - snuł zawiłe teorie spiskowe. „To wy za tym stoicie. I oni, wszyscy. Ślad ludzkiego węża jest wszędzie”. I tak dalej, i tak dalej. „Komi-sja trójstronna... Opus Dei... Rockefellerowie...”

Słuchając własnego głosu, nagranych podczas poprzedniej sesji, Ambler odczuwał niemal fizyczny ból.

- Dość - powiedział, nie potrafiąc zapanować nad wzbierającymi w nim emocjami. - Proszę to wyłączyć.

Psychiatra zatrzymał taśmę.

- Wciąż wierzy pan w te... teorie?

- To są fantazje paranoika - odparł Ambler bełkotliwie, lecz zdecydowanie. - Nie, nie wierzę. Nie pamiętam nawet, żebym je kiedykolwiek miał.

- Zaprzecza pan, że to pański głos?

- Nie, nie zaprzeczam. Po prostu... nic z tych rzeczy nie pamiętam. To nie ja. To znaczy, nie osoba, którą naprawdę jestem.

- Rozumiem. Jest pan kimś innym. Tkwią w panu dwie różne osoby. Dwie czy więcej?

Ambler bezradnie wzruszył ramionami.

- Kiedy byłem dzieckiem, chciałem zostać strażakiem. Teraz już nie chcę.

Tamto dziecko to nie ja.

- W zeszłym tygodniu powiedział pan, że jako dziecko chciał pan zostać piłkarzem. A może rozmawiałem wtedy z kimś zupełnie innym? - Psychiatra zdjął okulary. - Pytanie, które panu stawiam, musi pan postawić sobie sam: Kim jestem?

- Rzecz w tym - odrzekł Ambler po długim namyśle - że według pana, jest to coś w rodzaju testu wielokrotnego wyboru. Ma pan swoją małą listę odpowiedzi i chce pan, żebym którąś zakreślił.

- Widzi pan w tym jakiś problem? - Lekarz spojrział na niego znad komputera. - Bo ja uważam, że prawdziwy problem polega na tym, że zakreśla pan kilka odpowiedzi naraz.

Cleveland Park. Chwilę trwało, zanim wrócił do rzeczywistości, mimo to zdążył wysiąść. Wsiadł, włożył czapkę i rozejrzał się po ulicy, najpierw czujnie, szukając jakichkolwiek anomalii, a potem z entuzjazmem, ciesząc się normalnością i codzienną zwyczajnością.

Był w domu.

Z radości miał ochotę podskoczyć. Podnieść wysoko ręce. Chciał wytropić tych, którzy uwięzili go w ośrodku, i brutalnie wymierzyć im sprawiedliwość. Myśleliście, że nie ucieknę? Naprawdę tak myśleliście?

Gdyby mógł wybierać, wróciłby w inną pogodę. Niebo było wciąż zaciąg-nięte chmurami, chodniki mokre i czarne od mżawki. Zdawał sobie sprawę, że jest to zwyczajny dzień w zwyczajnym mieście, ale po długim odosobnieniu fascynował go ruch, ten gorączkowy pośpiech, który dostrzegał niemal na każdym kroku.

Mijał uliczne latarnie, ośmiokątne betonowe słupy z metalowymi obręczami przytrzymującymi skierowane afisze i plakaty. Wieczorki poetyckie w ka-wiarniach. Koncerty zespołów rockowych, które dopiero co wyszły z samochodowego garażu. Nowa restauracja wegetariańska. Klub komediowy o niezbyt fortunnej nazwie Miles of Smiles. Domagający się uwagi zamęt, rozedrgany chaos na kawałkach brudnego papieru. Życie na wolności. Nie, poprawił się w duchu. Po prostu życie.

Czujny i skupiony wyciągnął szyję. Zwyczajna ulica w zwyczajny, ponury dzień. Owszem, czyhały na niej i niebezpieczeństwa. Ale gdyby tylko udało mu się dotrzeć do mieszkania, mógłby odnaleźć tam fragmenty dawnej egzystencji, bo to właśnie jej zwyczajność była dla niego najcenniejsza. Bardzo jej pragnął. I potrzebował.

Czy mieliby odwagę ścigać go aż tutaj? Tutaj, w tym jedynym miejscu na ziemi, gdzie mieszkali ludzie, którzy naprawdę go znali? Bezpieczniejszego nie znał. Ale nawet gdyby tu przyszli, nie bałby się otwartej konfrontacji. Może to nierozważne i lekkomyślne, ale niemal jej pragnął. Nie, nie zamierzał bać się tych, którzy go uwięzili - nadeszła pora, żeby to oni zaczęli bać się jego. Jakiś bandzior i łotr wykorzystał system, próbując pogrzebać go żywcem wśród zagubionych dusz, wśród gnębionych depresją szpiegów i cierpiących na urojenia szaleńców. Ale był już na wolności i teraz to oni powinni uciekać, teraz to oni powinni się przyczołgać. Jediną rzeczą, na jaką nie mogli sobie pozwolić, była otwarta walka w tym miejscu, w tym mieście, bo tutaj natychmiast interweniowałyby policja. A im więcej wiedziało o nim ludzi, tym bardziej ryzykowali.

Na rogu Connecticut Avenue i Ordway Street zobaczył stoisko z gazetami, które mijał co rano, ilekroć był w domu. Zobaczył też siwego, szczerbatego sprzedawcę za ladą, w znajomej czerwonej czapeczce.

- Reggie! - zawołał z uśmiechem. - Reggie, staruszku!

- Hej - odparł odruchowo tamten. Nie, to nie było powitanie.

Ambler podszedł bliżej.

- Kopę lat. Dawno się nie widzieliśmy.

Sprzedawca spojrzał na niego ponownie. Nie poznał go, miał martwą twarz.

Ambler zerknął na stertę „Washington Post”; wciąż padało i leżący na wierzchu egzemplarz był upstrzony mokrymi plamkami. Odszukał wzrokiem datę i ścisnęło go w żołądku. Trzeci tydzień stycznia nic dziwnego, że było tak zimno. Szybko zamrugał. Boże, prawie dwa lata. Odebrano mu prawie dwa lata. Na dwa lata pozbawiono go norm moralnych, przez dwa lata żył w nie-bycie i rozpacz.

Poczucie straty. Nie, nie miał teraz na to czasu.

- Jak leci, Reggie? - spytał. - Harujesz czy próżnujesz?

Na zrytej zmarszczkami twarzy sprzedawcy zaskoczenie zaczynało ustępować miejsca podejrzliwości.

- Nie mam dla ciebie kasy, bracie. Kawy za darmo też nie rozdaję.

- Reggie, no co ty? Przecież mnie znasz.

- Idź stąd, ważniaku. Narobisz mi tylko kłopotów.

Amblerowi zabrakło słów. Odwrócił się, ruszył przed siebie i pół ulicy dalej przystanął przed dużą, czerwoną, pseudogotycką kamienicą, gdzie mieszkał

przez dziesięć lat. Zbudowana w latach dwudziestych, miała pięć pięter i była ozdobiona kolumnami i betonowymi półfilarami. Uchylone żaluzje w oknach biegnących równoległe do ulicy korytarzy wyglądały jak ludzkie powieki.

Baskerton Towers. Dom, a raczej namiastka domu dla kogoś, kto nigdy go nie miał. Uczestnictwo w programie specjalnego dostępu - gdzie obowiązywał najwyższy poziom bezpieczeństwa operacyjnego - oznaczało życie pod przybranym nazwiskiem. Żadna inna komórka Wydziału Operacji Konsularnych nie była bardziej tajna niż Oddział Stabilizacji Politycznej; wszyscy pracujący w nim agenci znali się jedynie z kryptonimów. Nie było to życie, które wzmacnia sąsiedzkie więzi: przez większość czasu był praktycznie niedostępny, bo siedział za granicą, nigdy nie wiedząc, kiedy wróci. Czy miał

w ogóle prawdziwych przyjaciół? Marność tej cywilnej egzystencji sprawiła, że szczególną wagę przykładał do przygodnych, ulicznych znajomości.

I chociaż spędzał tu tak mało czasu, mieszkanie w Baskerton Towers było dla niego prawdziwym azylem. Może nie takim jak domek nad jeziorem, mimo to azylem, symbolem normalności. Portem, gdzie mógł rzucić kotwicę.

Przed kamienicą był płytki, owalny podjazd, dzięki któremu samochody podjeżdżały pod same drzwi. Ambler rozejrzał się, popatrzył na jezdnię i chodnik i nie dostrzegłszy nikogo, kto by się nim szczególnie interesował, ruszył

w stronę głównego wejścia. Ktoś musiał go tam znać - portier, gospodarz domu, może zarządca - ktoś na pewno wpuści go do mieszkania.

Spojrzał na podłużną tablicę z listą lokatorów. Czarne litery na białym tle, rzędy alfabetycznie ułożonych nazwisk.

Nie było na niej nazwiska Ambler. Alston, a zaraz potem Ayer.

Czyżby odebrali mu i mieszkanie? Był rozczarowany, choć nie całkiem zaskoczony.

- Czym mogę panu służyć? - Z ogrzewanego przedsionka wyszedł Greg Denovich, jeden z portierów. Ta sama odporna na żyłkę gęsta czarna broda, ten sam Greg.

- Greg - zaczął wylewnie Ambler. Zawsze zakładał, że Greg to Gregor; Denovich pochodził z byłej Jugosławii. - Kopę lat!

Dobrze znał ten wyraz twarzy. Denovich miał minę człowieka, którego ktoś zupełnie obcy powitał jak dobrego znajomego.

Ambler zdjął czapkę.

Spokojnie i powoli, Greg - rzucił z uśmiechem. - Mieszkanie 3C. Mówi ci to coś?

- Czy ja pana znam? - spytał Denovich. Lecz i tym razem nie było to pytanie. To było stwierdzenie. I zaprzeczenie.

- Chyba nie - odrzekł cicho Ambler. I w tej samej chwili konsternacja ustąpiła miejsca panice.

Usłyszał pisk gwałtownie hamujących na mokrym asfalcie opon. Odwró-

cił się na piacie i zobaczył białą furgonetkę, która zatrzymała się zbyt szybko po drugiej stronie ulicy. Rozległ się trzask otwierających się i zamykających drzwi i zobaczył trzech mężczyzn w roboczych kombinezonach. Jeden niósł

strzelbę, dwóch miało w ręku pistolet. Wszyscy trzej biegli w stronę kamienicy.

Furgonetka. Dobrze takie znał. Tajne agencje rządowe używały ich w „operacjach ratowniczych” podczas delikatnych misji na terenie kraju, zwykle do

„odbioru przesyłek”. Bez względu na to, czy celem tych operacji była likwidacja zbuntowanych agentów, czy agentów obcych mocarstw, wszystkie „przesyłki” miały jedną wspólną cechę: ich adresatem nie był amerykański wymiar sprawiedliwości. A tego zimnego, styczniowego poranka przesyłką miał

być on, Harrison Ambler. Policja? Nikt nie musiałby się przed nią tłumaczyć ani niczego jej wyjaśniać, ponieważ zanimby przyjechali, już dawno zniknąłby bez najmniejszego śladu. Nie, to nie była otwarta konfrontacja. Ci ludzie chcieli go uprowadzić, szybko i niepostrzeżenie.

Zdał sobie sprawę, że przychodząc tu, zapomniał o zdrowym rozsądku, że nad rozsądkiem górę wzięły pobożne życzenia. Nie mógł sobie pozwolić na kolejny błąd.

Myśl. Musiał pomyśleć.

A raczej wejść w sytuację, wczuć się w nią.

Po dwudziestu latach pracy w terenie opanował do perfekcji sztukę ucieczki i wszystkie ułatwiające ją manewry. Ucieczka była jego drugą naturą. Jednak uciekając, nigdy nie kierował się logiką, „schematami decyzyjnymi” czy innymi bezwartościowymi sztuczkami, których szkoleniowcy próbowali nauczyć nowicjuszy. Najważniejsze było wyczucie, wyczucie sytuacji i w razie potrzeby - improwizacja. Pogrywając inaczej, każdy agent wpadał

w prowadzące donikąd koleiny, w doskonale znaną przeciwnikowi rutynę.

Szybkim spojrzeniem zlustrował ulicę. Standardową procedurą operacyjną byłaby trypunktowa blokada: furgonetka przed kamienicą i czujki na jednym i drugim rogu - czujki rozstawione tam nieco wcześniej. I rzeczywi-

ście, już nadchodzili, z lewej i z prawej strony, jedni uzbrojeni, inni nie, jedni w kombinezonach, inni po cywilnemu, ale wszyscy zmierzali ku niemu zdecydowanym krokiem doświadczonych agentów. Co teraz? Mógłby wbiec do holu w poszukiwaniu tylnego wyjścia. Rzecz w tym, że tamci o tym

wiedzieli i na pewno się jakoś zabezpieczyli. Mógłby poczekać na grupkę przechodniów, dołączyć do nich i spróbować przechytrzyć tych czyhających za 35

rogiem. Ale i to posunięcie nie było całkowicie bezpieczne. Przestań my-

śleć! - nakazał sobie w duchu. Przestań, bo nigdy im nie uciekniesz.

Mżawka przeszła w rześnistą ulewę, jednak patrząc na uzbrojonego w krótką strzelbę mężczyznę, który biegł przez ulicę, Ambler wyteżył wzrok, żeby dostrzec jego twarz. I nagle postanowił zrobić rzecz najniebezpieczniejszą ze wszystkich.

Wybiegł mu na spotkanie.

- Czemu tak długo? - ryknął. - Kurwa, ruszcie się, bo facet zwieje! -

Odwrócił się i energicznym gestem wskazał wejście do kamienicy.

- Przyjechaliśmy najszybciej, jak mogliśmy - odparł ten ze strzelbą. Mi-nęło ich dwóch pozostałych, uzbrojonych w taktyczne czterdziestkapiątki z dwunastoma nabojami w magazynku. Potężna siła ognia, zważywszy że mieli schwytać tylko jednego człowieka. Schwytać? Czy aby na pewno?

Ambler ruszył ciężko w stronę furgonetki. Podczas gdy kierowca czekał

z włączonym silnikiem, jego koledzy wpadli do holu kamienicy i już za chwilę mogli odkryć swój błąd.

Ambler wyjął z kieszeni portfel inspektora z wyspy Parrish, otworzył go i machnął nim jak służbową odznaką czy legitymacją. Kierowca był za daleko, żeby dostrzec szczegóły; miały go przekonać zdecydowanie i władza bi-jąca z samego gestu. Gdy opuścił szybę, Ambler otaksował go spojrzeniem.

Facet miał zimne, czujne oczy, krótką, grubą szyję i potężnie umięśnione ramiona. Typ ciężarowca.

- Dostaliście nowe rozkazy? - zaczął Ambler. Mamy go zlikwidować.

Dlaczego tak późno przyjechaliście? Minutę wcześniej i byłoby po sprawie.

Kierowca milczał. Nagle zmrużył oczy i przeszył go stalowym spojrzeniem.

- To coś, co mi pokazałeś. Nie zdążyłem zobaczyć.

Jego wielka, mięsista dłoń zacisnęła się nagle na nadgarstku Amblera.

- Mówię, że nie zdążyłem zobaczyć. - Głos miał niski i złowieszczy. -

Pokaż jeszcze raz.

Lewą ręką Ambler sięgnął do kieszeni po pistolet, który odebrał strażnikowi na łodzi, lecz kierowca był świetnie wyszkolony i miał błyskawiczny refleks: kantem dłoni uderzył w zamek i pistolet poszybował łukiem w powietrze. Ambler musiał działać, i to natychmiast. Przekreślił nadgarstek, szarpnął

do dołu, potem do góry, aż do wysokości ramienia, wprawnie założył mu dźwignię i ze wszystkich sił grzmotnął jego ręką w krawędź uchylonej szyby.

Kierowca krzyknął z bólu, lecz nie zwolnił uchwytu. Miał żelazny uścisk.

Wolną ręką zaczął szukać czegoś pod deską rozdzielczą, na pewno ukrytej tam broni.

Ambler rozluźnił prawą rękę, dając się wciągnąć częściowo do szoferki; I wtedy usztywnionymi palcami drugiej ręki zadał mu silny, starannie wymierzony cios w szyję.

Kierowca chwycił się za gardło. Zmiażdżona chrząstka zablokowała tcha-wicę i nie mógł oddychać. Ambler otworzył drzwi i wywlókł go z szoferki.

Ciężarowiec zrobił kilka kroków i runął na jezdnię.

Ambler wskoczył za kierownicę, wrzucił jedynekę, dodał gazu i szybko odjechał, słysząc krzyki skonsternowanych agentów z drugiego oddziału. Mogli tylko krzyczeć, gdyż na jakiegokolwiek działanie było już za późno.

Nie zazdrościł ich dowódcy, który będzie musiał wyjaśnić przełożonym, jak to się stało, że „przesyłka” nie tylko uciekła im sprzed nosa, ale i uprowadziła przy tym ich furgonetkę. Manewr ten nie był wynikiem kalkulacji czy starannych analiz. Myśląc o tym teraz, Ambler zdał sobie sprawę, że zdecydował się na niego, widząc minę tego ze strzelbą, czujną, badawczą i niepewną. Był to wyraz twarzy myśliwego, który nie jest pewny, czy namierzył

właściwą zwierzynę. Dostali rozkaz i natychmiast wyjechali w teren - na przekazanie i odebranie zdjęć nie było już czasu. Oczekiwali, że zrobi to, co w takich sytuacjach robili niemal wszyscy: że zdradzi się, próbując uciec.

Ale jak tu ścigać lisa, skoro ten biegnie razem ?. psami?

Furgonetka znakomicie nadawała się do ucieczki, jednak już niedługo mogła stać się doskonale widoczną latarnią morską dla wszystkich tych, którzy go ścigali. Dlatego kilka kilometrów w górę Connecticut Avenue skręcił w boczną ulicę i porzucił ją, nie wyłączając silnika. Przy odrobinie szczęścia ktoś ją wkrótce ukradnie.

Na tym etapie ucieczki największą anonimowość mogła mu zapewnić oko-lica - zarówno mieszkalna, jak i mieszkalno-handlowa, taka z ambasadami, muzeami, kościołami, księgarniami i kamienicami. Okolica, gdzie było dużo przechodniów. Na przykład Dupont Circle. Dupont Circle to skrzyżowanie trzech głównych arterii miasta, dlatego już od lat o każdej porze roilo się tam od ludzi, nawet w ponury, zimowy dzień, taki jak ten. Skrzyżowanie, taksówka. Wysiadł na rogu New Hampshire i Dwudziestej i szybko wmieszał

się w tłum. Dobrze wiedział, dokąd idzie, lecz twarz miał znudzoną, jakby szedł przed siebie bez celu.

Idąc, uważnie lustrował ulicę, nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego. Ale ilekroć kogoś mijał, powracały stare nawyki. Zwłaszcza teraz, gdy był szczególnie na wszystko wyczulony - miał wrażenie, że czyta stronę z czyjegoś pamiętnika. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby odnotować i zarejestrować szybki krok przechodzącej obok kobiety: sześćdziesiąt kilka lat, jasne włosy,

złote kolczyki, plastikowa reklamówka od Ann Tylor w pokrytej starczymi plamami, zbyt mocno zaciśniętej ręce. Wiele godzin szykowała się do wyj-

ścia, a wyjście to przede wszystkim zakupy. Na jej twarzy malował się wyraz urażonej samotności, a krople deszczu na jej policzkach równie dobrze mog-

ły być łzami. Nie miała dzieci i to też było pewnie źródłem jej rozgoryczenia.

Kiedyś miała za to męża - czuła się przy nim prawdziwą kobietą - męża, który - przed dziesięcioma, piętnastoma laty? - stracił cierpliwość i znalazł

sobie kogoś młodszego, świeższego, kogoś, przy kim miał nadzieję stać się prawdziwym mężczyzną. Tak więc teraz chodziła na zakupy, choć skromne.

Tak więc poznawała na herbatce ludzi i grywała w brydża, lecz nie tak czę-

sto, jak by chciała; Ambler dostrzegał w tym coś więcej niż tylko rozczarowanie. Prawdopodobnie podejrzewała, że swoim smutkiem podświadomie odpycha od siebie innych, że ludzie są zbyt zajęci, żeby poświęcić jej choć chwilę uwagi - izolacja jeszcze bardziej pogłębiała smutek i nieliczni znajomi coraz częściej się od niej odsuwali. Dlatego chodziła na zakupy, kupowa-

ła ubrania trochę dla niej nieodpowiednie, za „młode”, dlatego uganiała się za „promocjami” i „wielkimi okazjami”, polując na rzeczy, które robiły wra-

żenie droższych, niż były w rzeczywistości. Czy trafił? Czy dobrze się wszystkiego domyślił? Nieważne. Wiedział, że jest w tym dużo prawdy.

Ogarnął spojrzeniem młodego, przygarbionego Murzyna w luźnych, opadających dżinsach i czapeczce z daszkiem naciągniętej na bandanę: brylantowy kolczyk w uchu, maleńka bródka pod dolną wargą, zlany wodą koloń-

ską Aramisa - spojrzał w stronę innego młodzieńca, dumnego studencika o muskularnych udach i długich, jasnych włosach, a potem odwrócił wzrok, niemal na siłę, zdecydowawszy nie zdradzać swoich zainteresowań. Ciemnoskóra, piersiasta dziewczyna o prostowanych włosach i pełnych, mocno wyszminekowanych ustach - niska mimo wysokich szpilek - robiła wszystko, żeby dotrzymać mu kroku. Cóż, był jej chłopakiem, jak mniemała. Ale kiedyś zacznie się pewnie zastanawiać, dlaczego ten zadziorny, pyszniący się na ulicy młodzian jest taki cnotliwy i nieśmiały, ilekroć są sami. Dlaczego ich randki tak szybko się kończą i dokąd po nich chodzi. Jednak Ambler czuł, że jest jeszcze zbyt niewinna, że jeszcze o tym nie myśli, że nie zauwa-

żyła jeszcze niczego, co podszeptoby jej, że ten piękny młodzieniec jest sobą tylko w towarzystwie jemu podobnych mężczyzn.

Kawiarenka internetowa była tam, gdzie pamiętał, trzy ulice na wschód od Dupont Circle. Wybrał stanowisko z dobrym widokiem na ulicę; nie chciał, żeby znów ktoś go zaskoczył. Kilka uderzeń palcami w klawiaturę i na ekranie monitora pojawiła się tak zwana Lista, baza danych Departamentu Sprawiedliwości, z której korzystały rządowe agencje zwalczające różnego ro-38

dzaju przestępczość. Z ulgą stwierdził, że kody dostępu, które mgliście pamiętał, wciąż działają. Wprowadził do wyszukiwarki swoje imię i nazwisko, Harrison Ambler; chciał sprawdzić, czy go nie oflagowali. Chwilę później na ekranie wyświetlił się komunikat:

HARRISON AMBLER - brak danych

Dziwne. To na pewno jakiś błąd. Każdy pracownik rządowy, nawet ten, który nie pobierał już pensji, powinien figurować przynajmniej na liście tymczasowej. I chociaż jego nazwiska operacyjne na liście takiej oczywiście nie figurowały, przybrane nazwisko cywilne - oficjalnie pracował w Departamencie Stanu - było ogólnie dostępne.

Poirytowany wzruszył ramionami, znalazł stronę Departamentu Stanu i posłużwszy się kilkoma hasłami, wszedł do tajnej, lecz niezbyt dobrze zabezpieczonej bazy danych zatrudnionych tam pracowników. Zweryfikowanie jego statusu powinno być proste. Od wielu lat było tak, że ilekroć ktoś go o to pytał, on, Hal Ambler, spokojnie odpowiadał, że jest urzędnikiem średniego szczebla, że pracuje w wydziale kultury i oświaty. „Dyplomacja kulturalna”, „przyjaźń poprzez edukację” na te tematy i tematy im pokrewne mógł rozprawiać aż do znudzenia. Nie szkodzi, że nie miały nic wspólnego z jego prawdziwym zawodem.

Kiedyś zastanawiał się, co by było, gdyby na jakimś koktajlu spytano go, co robi i gdyby udzielił szczerzej odpowiedzi. Ja? Pracuję w ściśle tajnej sekcji tajnej agencji rządowej zwanej Wydziałem Operacji Konsularnych. Uczestniczę w programie specjalnego dostępu, o którym wie najwyżej dwudziestu pięciu urzędników rządowych. Jestem członkiem Oddziału Stabilizacji Politycznej. Czym się ten oddział zajmuje? Cóż, wieloma rzeczami. Ale głównie zabijaniem ludzi. Ludzi, którzy - przynajmniej taką mamy nadzieję - są gor-si od tych, dla których to robimy. Ale oczywiście całkowitej pewności nigdy nie ma. Prawda? Przynieść pani jeszcze jednego drinka?

Wystukał swoje nazwisko, wcisnął „enter” i przez kilka długich sekund czekał na rezultaty.

HARRISON AMBLER: NIE ODNALEZIONO. PROSZĘ SPRAWDZIĆ PISOWNIĘ

I SPRÓBOWAĆ PONOWNIE.

Spojrzał przez okno na ulicę i chociaż nie dostrzegł tam niczego niezwykłego, poczuł, że oblewa go zimny pot. Wszedł do bazy danych systemu ubezpieczeń społecznych.

HARRISON AMBLER: NIE ODNALEZIONO

To jakiś absurd! Jedno wyszukiwanie, drugie, trzecie - metodycznie przeczesał kilka innych baz. Każde kończyło się doprowadzającym do furii komunikatem, tą czy inną formą odpowiedzi

przeczącej.

39

WYSZUKIWANIE ZAKOŃCZYŁO SIĘ NIEPOWODZENIEM.

BRAK DANYCH.

HARRISON AMBLER - NIE ODNALEZIONO.

Przez pół godziny przeszukał dziewiętnaście federalnych i stanowych baz

danych. Na próżno. Brak danych. Jakby nigdy nie istniał.

Obłąd!

W uszach ponownie zabrzmiały mu głosy psychiatrów, ich błędne diagnozy. To jakaś bzdura, to musiała być bzdura. Doskonale wiedział, kim jest.

Miał wyraźne, czyste i układające się w spójny ciąg wspomnienia sprzed okresu izolacji w ośrodku na wyspie Parrish. Wspomnienia z życia na pewno niezwykłego - podobnie jak jego zawód - lecz jedyne, jakie miał. Tak, musiało dojść do jakiejś pomyłki, był tego pewien. Ktoś gdzieś namieszał, ktoś popełnił techniczny błąd.

Jego palce znów zatańczyły na klawiaturze i ekran monitora znów wy-

świetlił ten sam komunikat. Ambler zaczął się zastanawiać, czy pewność nie stała się przypadkiem luksusem. Luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić.

Białe samochód nie, jadąca zbyt szybko biała furgonetka, furgonetka pędząca szybciej niż pozostałe samochody. I jeszcze jedna. Trzecia zatrzymała się tuż przed wejściem do kawiarenki.

Jakim cudem tak szybko go namierzili? Jeśli wewnętrzna sieć kawiarenki miała własny adres IP i jeśli w bazie danych Departamentu Stanu zainstalowano cyfrowy czujnik reagujący na określone nazwisko, jego poszukiwania natychmiast uaktywniły elektroniczną sondę, specjalny protokół sterujący transmisją danych i umożliwiający operacje między sieciami lokalnymi.

Zerwał się na równe nogi, wybiegł z sali służbowymi drzwiami i wypadł

na schody - przy odrobinie szczęścia uda mu się dostać na dach, a stamtąd na dach sąsiedniego budynku... Musiał się tylko pospieszyć, zdążyć, zanim tamci zajmą pozycje. Gdy biegł, coraz intensywniej pracując rękami i nogami, coraz chciwiej wciągając powietrze do płuc, przemknęła mu przez głowę ulotna myśl. Skoro Hal Ambler nie istnieje, kogo ci ludzie ścigają?

Rozdział 3

awsze był dla niego azylem. Domek, mały leśny domek zbudowany zwy łącznie z miejscowego drewna, od grzbietu dachu poczynając , na **40**

połączonych na wcisk palach służących za fundament kończąc. Jako schronienie był równie pierwotny jak otaczający go las. Kotwy sufitowe i podłogowe, belki okapowe, a nawet drewniano-gliniany komin - wszystko to zrobił sam pewnego ciepłego czerwca pamiętał, że roiło się wtedy od komarów

- wykorzystując stertę leśnego drewna i piłą łańcuchową. Domek był mały, ale bywał tam tylko on. Nikomu o nim nie powiedział. Naruszając obowią-

zujące zasady, nie wspomniał pracodawcom o zakupie położonej nad jeziorem działki i żeby jeszcze bardziej tą transakcją zakamuflować i skuteczniej ochronić swoją prywatność - dokonał jej za pośrednictwem pewnej zagranicznej firmy. Domek należał tylko do niego, do nikogo więcej. I bywa-

ło, że nie mogąc dłużej stawiać czoła światu, lądował na międzynarodowym lotnisku Dullesa w Waszyngtonie, wsiadał do samochodu i jechał non stop aż tutaj, pokonując w trzy godziny prawie dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów. Przyjeżdżał, brał łódź, wypływał na jezioro i łowił okonie, próbując ocalić choć część duszy przed podstępnyim fałszem i zakłamaniem, którymi musiał żyć na co dzień.

Jeziro Aswell, malutka, niebieska plamka na mapie, było jego światem, miejscem, gdzie szybciej biło mu serce. Otoczone kępami wierzb, brzoź i orzeszników, leżało u podnóża gór Sourland, tam, gdzie pola i łąki przechodziły powoli w gęsty las o wysokim poszyciu. Wiosną i latem królowała tu soczysta zieleń, ożywiona kwiatami i kolorowymi jagodami. Teraz, w styczniu, prawie wszystkie drzewa były nagie i szare. Mimo to miały w sobie coś mrocznie eleganckiego, jakby drzemała w nich utajona moc. Tak samo jak on potrzebowały czasu na odpoczynek, na odzyskanie sił.

Ieciał z nóg, co było ceną za wielogodzinne czuwanie. Wyruszył starym, niebieskim vanem, dodge'em ram, którego ukradł kilka ulic od kawiarenki internetowej. Wóz prowadziło się ciężko i niewygodnie i zwinął go tylko ze względu na charakterystyczną skrytkę na kierownicy. Skrytka była idiotycz-nym gadżetem dla ludzi, którzy ponad bezpieczeństwo samochodu jako takiego przedkładali złudne poczucie bezpieczeństwa, jakie zapewniał im za-pasowy kluczyk. Dwunastoletnia zielona honda civic, którą podprowadził

z nocnego parkingu przed dworcem kolejowym w Trenton, była zabezpieczona - a raczej niezabezpieczona - przed kradzieżą w identyczny sposób.

Nie rzucała się w oczy i jak dotąd sprawowała się całkiem nieźle.

Jechał szosą 31, a w głowie kłębiło mu się od myśli. Kto mu to zrobił?

To samo pytanie dręczyło go od niezliczonych miesięcy. Zmobilizowano przeciwko niemu tajne, choć działające zgodnie z prawem agencje rządowe.

Co oznaczało, że... Że? Że ktoś naopowiadał komuś kłamstw, że w jakiś sposób go wrobił, przekonał władze, że Hal Ambler zwariował, że zagrażał

41

bezpieczeństwu narodowemu. Albo że ktoś, jeden człowiek lub grupa ludzi, w każdym razie ktoś, kto miał praktycznie nieograniczoną władzę, chciał

żeby... zniknął. Uznał, że jest groźny, mimo to postanowił go nie zabijać.

Rozbolała go głowa; ból pulsował tuż za oczami, rozkwitał jak trujący kwiat.

Mogli mu pomóc koledzy z Oddziału Stabilizacji Politycznej, tylko jak ich znaleźć? Ludzie ci, kobiety i mężczyźni, nie przychodzili do pracy na dziewiątą rano - byli w ciągłym ruchu, jak pionki na szachownicy. Poza tym wymazano jego nazwisko ze wszystkich elektronicznych baz danych, jakie tylko znał. „Harrison Ambler: nie znaleziono”. Szaleństwo, jednak w szaleń-

stwie tym była na pewno jakaś metoda. Czuł to, namacalnie to odczuwał, tak samo jak odczuwał ten pulsujący ból, który sprawiał, że trzeźwe myślenie było prawdziwą agonią. Próbowali wymazać go z ludzkiej pamięci. Próbowali go pogrzebać. Oni! Ten nagi, irytujący zaimek. Oni! Słowo, które mó-

wiło wszystko i nic.

Żeby przeżyć, musiał wiedzieć dużo więcej - rzecz w tym, że nie będzie wiedział więcej, jeśli nie przeżyje. Barrington Falls w hrabstwie Hunterdon w New Jersey to odcinek szosy 31 poprzecinany nieoznakowanymi prze-cznicami i wąskimi uliczkami. Dwa razy skręcał i kluczył, żeby sprawdzić, czy za nim nie jadą, ale nie, nikt go nie śledził. Zerknął na zegar na desce rozdzielczej, podniósł wzrok i zobaczył mały drogowskaz: BARRINGTON FALLS.

Wpół do czwartej. Rano przebywał jeszcze w ośrodku psychiatrycznym o zaostrozonym rygorze. Teraz był prawie w domu.

Pokonawszy kilkaset metrów drogi do jeziora, zjechał w las i ukrył samochód w kępie świerków i cedrów. Było mu ciepło; po drodze kupił brązową kurtkę. Stąpając z cichym chrzęstem po dywanie z igieł i liści, czuł, że się uspokaja, że napięcie powoli mija. Im bliżej jeziora, tym więcej rozpoznawał drzew. Tak, znał je prawie na pamięć. Na wierzchołku potężnego cypry-sa o na pozór pozbawionym kory pniu, sękatym, zrytym szczelinami i po-marszczonym jak szyja staruszki, załopotiała sowa. Widział już zarys kamiennego komina chaty starego McGrudera stojącej niebezpiecznie blisko wody na drugim brzegu jeziora. Zawsze miał wrażenie, że wystarczyłaby większa burza i zmyłyby ją fale.

Przedarł się przez chaszczę za kępą świerków i wyszedł na swoją czarodziejską polanę, gdzie przed siedmioma laty postanowił zbudować leśny domek. Teraz, otoczony z trzech stron wieczną zielenią, domek ten zapewniał

mu nie tylko pełne odosobnienie i spokój, ale i kojący widok na obramowa-ne prastarymi drzewami

jezioro.

Nareszcie wrócił. Wziął głęboki, oczyszczający oddech, przebił się przez ostatni rząd świerków i spojrzał na...

Małą, pustą polanę, gdzie powinien stać domek. Na tę samą polanę, którą odkrył przed siedmioma laty, gdy postanowił go tu pobudować.

Zakręciło mu się w głowie, zalała go fala kompletnej dezorientacji, ziemia zadrżała mu pod nogami. Niemożliwe. To po prostu niemożliwe. Nie ma domku. Nie ma żadnego śladu, że kiedykolwiek tu stał. Drzewa, zarośla, krzewy - wszystko było nietknięte, nienaruszone. Doskonale pamiętał, w którym miejscu go zbudował, tymczasem widział tam jedynie mech, kępę zachłannych jałowców i niski, dwudziestoletni, może nawet trzydziestoletni cis o zdartej przez jelenie korze. Obszedł polanę, okrążył ją, wypatrując jakiegokolwiek śladu ludzkiej egzystencji, świeżego czy dawnego. Nic. Nie znalazł żadnego. Dziewiczy las, dziewicza działka, która wyglądała dokładnie tak samo jak w dniu, gdy ją kupił. Oszołomiony, nic z tego nie rozumiejąc, opadł w końcu na kolana, na zimny mech. Bał się tego pytania, ale musiał je sobie zadać: Czy aby na pewno mógł ufać wspomnieniom? Ostatnich siedem lat, zacznij od tego. Czy wspomnienia z tego okresu były prawdziwe? Może to tylko iluzja? A może iluzją jest to, co przeżywał teraz? Może obudzi się zaraz w białej, zamkniętej na klucz separacie w ośrodku na wyspie Parrish?

Ktoś powiedział mu kiedyś, że śniąc, nie czuje się zapachów. Jeśli tak, to na pewno nie spał. Czuł zapach jeziora, delikatny zapach gnijącego poszycia, zapach pleśni, wyrzuconej przez dżdżownice ziemi, słaby, żywiczny zapach świerków i sosen. Nie - niech Bóg mu dopomoże -- to nic był sen.

To był koszmar.

Wstał, wściekły i sfrustrowany, i wydał głuchy, gardłowy ryk. Przyjechał

do swego duchowego domu i domu tego nie było. Więzień żyje przynajmniej nadzieją ucieczki, człowiek torturowany - wiedział o tym z własnego do-

świadczenia nadzieją szybkiej śmierci. Ale jaką nadzieją mógł żyć ktoś, kto stracił swoje jedyne schronienie?

Wszystko tu było znajome i obce zarazem. I właśnie to doprowadzało go do furii. Zaczął nerwowo krążyć, wsłuchiwać się w ćwierkanie i pogwizdywanie zimowych ptaków. I nagle usłyszał cichy świst, odgłos zupełnie innego rodzaju, nagle poczuł silne uderzenie i ostry ból tuż poniżej szyi.

Czas zwolnił bieg. Ambler podniósł rękę, wymacał sterczący z ciała przedmiot, wyszarpnął go i obejrzał. Była to długa strzałka, coś w rodzaju rzutki: trafiła go w mostek, tuż pod gardłem. Trafiła i wbiła się jak rzucony w drzewo nóż.

Przypomniało mu się szkolenie i podręcznik: ten fragment grubej kości miał swoją nazwę. *Manubrium*. Tak, *manubrium*. Podczas walki wręcz nale-

żało to miejsce dobrze osłaniać. Co oznaczało, że miał dużo szczęścia. Dał

nura pod nisko zwisające gałęzie świerków i licząc na to, że nikt go na razie nie widzi, ponownie obejrzał strzałkę.

Nie, to nie była zwykła rzutka. To było coś w rodzaju maleńkiej strzykawki z nierdzewnej stali i plastiku. Wykonany małymi, czarnymi literami napis na niej ostrzegał, że zawiera karfentanyl, syntetyczny opiat dziesięć tysięcy razy silniejszy od morfiny. Dziesięcioma miligramami tej substancji można by unieruchomić słonia; w przypadku człowieka skuteczną dawką było kilka mikrogramów. Mostek znajduje się tuż pod skórą, dlatego igła nie mogła wejść głębiej. Ale gdzie podziła się zawartość pojemnika? Strzykawka była pusta, co jednak niczego nie wyjaśniało, bo karfentanyl mógł wyciec z niej zaraz po tym, gdy wyszarpnął igłę z ciała. Czubkami palców pomacał pod gardłem. Jak długo tam tkwiła? Miał dobry refleks, więc na pewno nie dłużej niż dwie sekundy. Rzecz w tym, że powalić go mogła nawet jedna malutka kropelka. A strzałkę zaprojektowano tak, żeby uwalniała swoją zawartość w ciągu ułamka sekundy.

W takim razie dlaczego nie stracił jeszcze przytomności? Czuł, że już za chwilę znajdzie na to odpowiedź. Zdał sobie sprawę, że myśli coraz wolniej, że jest coraz bardziej rozkojarzony i zamroczony. Dobrze znał to uczucie: podobnymi środkami odurzającymi szpikowano go wielokrotnie, na wyspie Parrish też. Całkiem możliwe, że się na nie uodpornił.

Chroniło go coś jeszcze. Ponieważ czubek pustej w środku igły ugrzązł

w kości, ta ją zablokowała, zatkała i narkotyk nie mógł swobodnie wyciec.

Poza tym dawka na pewno nie była śmiertelna, w przeciwnym razie nie zawracaliby sobie głowy strzykawkami i wpakowaliby mu kulę w łeb. Strzałek takich jak ta używano zwykle do oszalamiania tych, których chciano uprowadzić, a nie zabić.

Miał być nieprzytomny, tymczasem był tylko spowolniony. Spowolniony w chwili, gdy nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek przytępienie fizyczne i umysłowe. Najchętniej położyłby się na miękkim dywanie z igiel i liści i się zdrzemnął. Tak, tylko kilka minut. Odpocząłby i odzyskał siły. Tylko na parę minut.

Nie! Nie mógł ulec. Nie teraz. Teraz musiał poczuć strach. Pamiętał, że karfentanyl działa przez dziewięćdziesiąt minut. W przypadku przedawkowania należało podać nalokson. Gdy nie było naloksonu, wystarczyła epinefryna. Epinefryna, lepiej znana jako adrenalina. Tak więc nie mógł już bronić się przed strachem, musiał mu się całkowicie poddać, w przeciwnym razie nie przeżyje.

Zacznij się wreszcie bać, powtarzał sobie w duchu, pełzną pod zielonymi płachtami świerków i rozglądając się na wszystkie strony. I nagle usłyszał

ten sam odgłos, ten sam cichy świst, i ogarnął go strach. Lekki podmuch powietrza wywołany przez aerodynamiczną, szybko lecącą strzałkę wyposa-

żoną w stabilizujące skrzydełka. We krwi zaczęła krążyć adrenalina: zaschło mu w ustach, serce waliło jak młotem, ścisnęło go w brzuchu. Ktoś na niego polował. Co oznaczało, że ktoś wiedział, kim Ambler naprawdę jest. Świadome działanie ustąpiło miejsca działaniu pod kontrolą głęboko położonych warstw instynktu i wyszkolenia.

Obydwie strzałki wystrzelono z tego samego kierunku, od strony brzegu jeziora. Ale z jakiej odległości? Jeśli tamten przestrzegał obowiązujących procedur, na pewno zasadził się nieco dalej, żeby uniknąć niepotrzebnego starcia bezpośredniego, tym bardziej że miał strzelbę. Ale zważywszy, że strzelby służące do wystrzeliwania tego rodzaju pocisków mają stosunkowo niewielki zasięg, odległość nie mogła być duża. Powędrował w myśli na południe, próbując odtworzyć w pamięci każdy fragment terenu. Była tam duża kępa choinówek z gałęzmi obwieszonymi małymi brązowymi szyszka-mi. Za choinówkami rząd głązów, po których można było chodzić jak po schodach. Potem wilgotny, cienisty parów, gdzie latem rósł zajęczy szczaw i obuwik. I ambona na starym, schorowanym wiązcie.

Ambona. Oczywiście. Solidna, prowizoryczna ambona, którą jak wiele innych prowizerek - zbudował przed trzema laty i nigdy nie rozebrał. Samo siedzisko miało niecały metr kwadratowy powierzchni; przymocował je do pnia grubymi pasami i dwiema przykręconymi do drewna sztabami. Pamię-

tał, że jest na wysokości trzech i pół, czterech metrów nad ziemią - pamiętał

też, że wiąz rośnie w miejscu leżącym cztery metry wyżej niż to, gdzie był

teraz. Tak, ambona. Skorzystałby z niej każdy zawodowiec. Jak długo tam siedział? Jak długo go obserwował, zanim pociągnął za spust? I kim, u diabła, był?

Niepewność zaczynała go męczyć, wzmagając działanie krążącego we krwi karfentanylu. Mógłbym tu odpocząć. Tylko przez kilka minut. Przeklęty opiat.

Niemal słyszał jego złowieszcze podszepty. Nie! Otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości, do chwili obecnej. Liczyło się tylko to, co tu i teraz. Dopóki był wolny, miał szansę. O nic więcej nie prosił. Tak, miał szansę.

Szansę, że dane mu będzie zapolować na myśliwego. Że myśliwy poczuje strach, taki sam, jakim chciał sparaliżować jego.

Musiał przejść przez las. To najważniejsze zadanie. Przejść przez las, trzymając się tuż przy ziemi, po cichu, lecz bez zdradliwego wahania. Będzie musiał polegać na tym, czego nauczyli go podczas szkolenia, a co tak rzadko wykorzystywał. Przykucnął w gęstym poszyciu, rozluźnił kostkę u nogi i

stopę i nie zmieniając pozycji, powoli wysunął nogę do przodu. Dotknął piętą 45

ziemi i ostrożnie ją docisnął, sprawdzając, czy nie ma tam kruchych, zdradliwych gałązek. Potem, jednym płynnym ruchem, docisnął do ziemi całą stopę, od palców aż po piętę.

Równomierny rozkład ciężaru ciała minimalizował siłę nacisku, jaką cięż-

żar ten wywierał na daną powierzchnię. Powoli i płynnie, powtarzał sobie w duchu, powoli i płynnie. Sęk w tym, że teoria zwykle różniła się z praktyką. Był prawie pewien, że gdyby nie śladowe ilości narkotyku we krwi, już dawno by nie wytrzymał i zerwał się do panicznej ucieczki.

Zatoczywszy szeroki łuk, w końcu obszedł schorowany wiąz i zawrócił.

Dziewięć metrów od drzewa, dokładnie naprzeciwko ambony, wypatrzył lukę między jeżynami, pniami i gałęziami. Spojrzał w tamtą stronę.

Ale chociaż wiąz rósł tak jak dawniej, ambony na nim nie było. Mimo chłodu, zdjęty nagłym lękiem Ambler poczuł, że oblewa go gorący pot. Skoro nie stara ambona, to...

Powiał silny wiatr i wtedy usłyszał ten cichy, lecz wyraźny odgłos, odgłos, jaki wydają trące o siebie gałęzie drzew. Spojrzał przez ramię i wreszcie ją zobaczył. Kolejna ambona, większa, nowsza, wyżej zamontowana, przywią-

zana taśmami i przyśrubowana do szerokiego pnia starego platanu. Najciszej, jak tylko umiał, ruszył w tamtą stronę. U podstawy platanu rósł krzak róży wielokwiatowej. Gdyby tylko traciła zimą kolce, tak jak traciła liście! Ta agresywna azjatycka roślina przypominała zwój drutu kolczastego. I, ze względu-

dów dla siebie jak najbardziej oczywistych, podobnie jak drut kolczasty wiła się wokół wysokiego na prawie trzydzieści metrów pnia.

Ambler spojrział w górę i omijając wzrokiem gałęzie upstrzone małymi, zwisającymi jak morskie jeżowce strączkami, zobaczył w końcu zarys sylwetki człowieka. Mężczyzna. Rosły mężczyzna w panterce, który na szczęście patrzył w przeciwną stronę. Co oznaczało, że niczego nie zauważył, że wciąż zakłada, iż Ambler jest gdzieś tam, na opadającym ku jezioru terenie. Hał wytężył wzrok, próbując dostrzec coś więcej w przedwieczornym półmroku. Tamten miał lornetkę, lornetkę Steinera, wojskowy model: automatyczne ustawianie ostrości, obiektyw z filtrem antyodblaskowym, wodoszczelna obudowa z zielonej gumy. Metodycznie i uważnie lustrował przez nią najbliższą okolicę.

Z jego ramienia zwisała strzelba na luźnym pasku. To z niej do niego strzelał? Na pewno. Ale miał też pistolet, sądząc po kształcie, berettę M92 kaliber 9 mm. Była to broń wojskowa, lecz używali jej głównie żołnierze z oddzia-

łów specjalnych.

Był sam?

Na to wyglądało. Gdyby było ich więcej, miałby walkie-talkie, radionadajnik czy słuchawki na uszach. Ale całkowitej pewności nie było.

Ambler rozejrzał się jeszcze raz. Widok przesłaniała mu gruba gałąź o cętkowanej, lecz gładkiej korze. Gałąź. Gdyby zrobił krok w lewo i podskoczył, zdołałby się jej chwycić w miejscu, gdzie była na tyle mocna, że na pewno by go utrzymała. Miała siedem, może siedem i pół metra długości, rosła prawie poziomo i na odcinku mniej więcej czterech i pół metra była grubsza niż jego udo. Co oznaczało, że powinna wytrzymać, że nadaje się do tego, co sobie zaplanował. Gdyby zdołał się jej uchwycić i podciągnąć, wylądowałby poza zasięgiem kolczastych zwojów róży, metr, najwyżej dwa od ambony.

Zaczekał, aż wiatr powieje w dobrym kierunku - w jego stronę - odbił się i podskoczył. Nawet nie plasnęło: palce zacisnęły się na gałęzi mocno i bezszelestnie. Kolejny zastrzyk adrenaliny pomógł mu płynnie zarzucić nogi.

Gruba gałąź ugięła się z cichym jękiem. Odgłos nie był tak głośny, jak się tego obawiał, i czyhający na ambonie strzelec teraz już dobrze widoczny -

ani drgnął. Ot, powiał wiatr i drzewo zaszeleściło: jest przyczyna, jest skutek, wszystko się zgadzało. Nie, nic nie przykuło jego uwagi.

Powoli, powolutku, przytrzymując się rękami i stopami, Ambler sunął po gałęzi w stronę pnia i w końcu znalazł się tak blisko, że mógł dosięgnąć plastikowej taśmy, którą przymocowano ambonę. Miał nadzieję, że uda mu się ją poluznić, wówczas ambona spadłaby i roztrzaskała się o ziemię. Nic z tego - spinająca taśmę klamra była po drugiej stronie pnia. Poza tym stwierdził, że dalej już nie zajdzie, a od tej chwili zdradzić go mógł niemal każdy ruch. Zacisnął zęby, zbierając myśli. Żaden plan nigdy nie wypała do końca.

Trzeba go skorygować, trzeba improwizować.

Podciągnął się jeszcze wyżej, przeszedł na sąsiednią gałąź, zacisnął powieki, wziął głęboki oddech, odepchnął się i całym ciężarem ciała runął na tamtego. Klasyczny blok, manewr, którego nie stosował od ostatniego meczu futbolowego w szkole średniej.

Klasyczny blok, ale i błąd. Zaalarmowany hałasem strzelec błyskawicznie się odwrócił. Natomiast Ambler uderzył go za nisko, bo w kolana, dlatego zamiast spaść z ambony, mężczyzna chwycił go i ścisnął niczym stalowymi kleszczami. Hal zdołał jedynie wyszarpnąć mu berettę z kabury.

Jeden potężny cios i pistolet poszybował w kolczaste jeżyny. Stanęli naprzeciwko siebie na małej platformie i Hal zdał sobie sprawę, że czeka go ciężka przeprawa. Tamten miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ogoloną na łyso głowę, krótką, grubą szyję, był potężnie umięśniony i zadziwiająco zwinny. Zadawał ciosy jak wytrawny bokser. Każdy był starannie wymierzony i wsparty ciężarem całego ciała, po każdym momentalnie następował blok w pozycji obronnej. Ambler mógł jedynie chronić głowę; wiedział, że ma odsłonię-

ty korpus, że pod wpływem serii potężnych ciosów wkrótce zegnie się wpół.

Raptem zrobił krok do tyłu, oparł się ciężko o pień drzewa i bezwładnie opuścił ręce. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego.

Jego przeciwnik nie okazał zaskoczenia. Wprost przeciwnie: szykując się do zadania śmiertelnego ciosu, był mile rozczarowany.

Rozdział 4

hociaż dyszał jak wyrzucona na brzeg ryba, a ze zmęczenia drżały mu wszystkie mięśnie, zdołał zauważyć błysk w oku olbrzyma, błysk, który C

powiedział mu wszystko: olbrzym chciał go dobić -jednym ciosem wspar-tym całą siłą mięśni górnej połowy ciała.

I właśnie wtedy Ambler zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić - jedyną, jakiej nie zrobiłby żaden profesjonalista: z idealnym wyczuciem chwili osunął się na platformę i naga pięść tamtego grzmotnęła w pień drzewa.

Gdy zawył z bólu, Ambler poderwał się, uderzył go głową w splot słoneczny i nie czekając, aż przeciwnik odruchowo wypuści powietrze, chwycił go za kostki u nóg i mocno szarpnął. Mężczyzna runął na ziemię, Ambler za nim. Cielsko snajpera złagodziło upadek.

Kilkoma szybkimi, wprawnymi ruchami Hal rozpiął bączki, zdjął pasek strzelby i związał mu ręce za plecami. Dwa środkowe palce strzelca, zakrwawione i najwyraźniej złamane, zaczynały już puchnąć. Mężczyzna jęknął z bólu.

Ambler rozejrzał się w poszukiwaniu pistoletu. Beretta błyszcząca meta-licznie w ciernistych zwojach róży i postanowił zabrać ją później.

- Na kolana, żołnierzu - rzucił. - Wiesz jak. Stopy na krzyż.

Mężczyzna zrobił to powoli i niechętnie, lecz bez wahania, jak ktoś, kto wielokrotnie zmuszał do tego innych. Widać było, że jest wojskowym i przeszedł odpowiednie wyszkolenie. Nie ulegało też wątpliwości, że nie tylko standardowe.

- Chyba coś sobie złamałem - wychrypiał niskim, zdławionym głosem, dociskając łokcie do boków. Sądząc po akcencie, pochodził z głębokiego Południa, najprawdopodobniej z Missisipi.

- Przeżyjesz odparł krótko Ambler. - Albo i nie. Decyzja zależy od nas.

Prawda?

- Chyba nie rozumiesz sytuacji...

- Jeszcze nie, ale ty mi ją wyjaśnisz - przerwał mu Ambler. Przeszuka!

mu kieszenie i z jednej z nich wyjął mały wojskowy scyzoryk. - Zagramy 48

w szczerłość. - Otworzył scyzoryk; wybrał ostrze do patroszenia ryb. - Widzisz, nie mam zbyt dużo czasu. - Przytknął mu ostrze do policzka. - Dlatego od razu przejdę do rzeczy. - Starał się oddychać wolno i równo. Tamten musiał widzieć, że jest spokojny, że nad wszystkim panuje. A on musiał skupić się na jego twarzy i nie odrywać od niej wzroku nawet wtedy, gdy będzie ją ciął. - Pierwsze pytanie. Pracujesz sam?

- Nie. Jest tu cała grupa.

Kłamał. Ambler wyczuł to mimo zamroczenia narkotykiem, po prostu to wyczuł, jak zawsze. Gdy koledzy pytali go, jakim cudem to robił, odpowiadał, że każdy przypadek jest inny. Lekko drżący głos. Głos zbyt silny i stanowczy. Coś wokół ust. Coś w oczach. Zawsze było to „coś”.

Wydział Operacji Konsularnych powołał kiedyś zespół specjalistów, którzy badali go pod kątem tej niezwyklej zdolności; o ile wiedział, nie wykryto jej dotąd u nikogo innego. On nazywał to intuicją. Intuicją, czyli działaniem na wyczucie. Czasami zastanawiał się nawet, czy jest to dar, czy przekleństwo, gdyż nie był w stanie tej umiejętności nie wykorzystywać. Większość ludzi filtruje to, co dostrzega w czyjejś twarzy. Ludzie ci podświadomie przestrzega-ją zasady inferencji wytłumaczalnej, więc jeśli zobaczą coś, czego nie potrafią sobie logicznie wytłumaczyć, po prostu to ignorują. Ambler tego nie potrafił.

- Aha, a więc jesteś sam - skonkludował. Tak myślałem.

Olbrzym zaprzeczył, lecz bez przekonania.

Nawet nie wiedząc, kim są i czego chcą ci, którzy go ścigali, Ambler doszedł do wniosku, że nie mogli mieć całkowitej pewności, iż przyjedzie właś-

nie tutaj. Mógł pojawić się w pięćdziesięciu innych miejscach, więc musieli wysłać kogoś i tam. Zwykły rachunek prawdopodobieństwa oraz to, że dzia-

łali w pośpiechu, sugerowałyby, że w każdym z tych miejsc czyhał na niego pojedynczy strzelec. W przeciwnym razie nie wystarczyłoby im ludzi.

- Pytanie numer dwa. Jak się nazywam?

- Nie powiedziano mi - odparł tamten niemal z urazą.

Chociaż to niewiarygodne, mówił prawdę.

- W twoich kieszeniach nie ma zdjęcia celu. Jak miałeś mnie rozpoznać?

- Nie ma, bo nie ma. Dostałem to zlecenie kilka godzin temu. Czterdzieści lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, brązowe włosy, niebieskie oczy powiedzieli mi tylko tyle. Dla mnie jesteś facetem ze stycznia. Zresztą poza tobą nikt by się na tym zadupiu nie pojawił. Oni też tak mówili. Ostatecznie nie odbywa się tu zjazd Krajowego Stowarzyszenia Posiadaczy Broni Palnej, nie?

- Świetnie. - Jego tłumaczenie było dziwne. Lecz Ambler nie wychwytał

w nim niczego pokrętnego. - Powiedziałeś prawdę. Jak widzisz, zawsze potrafię to wyczuć.

49

- Tak? - odparł tamten. Nie wierzył mu.

Ambler musiał go przekonać. Gdyby mu się udało, przesłuchanie przebiegłoby znacznie sprawniej.

- Zróbmy mały eksperyment. Zadam ci kilka niewinnych pytań, a ty od-powiesz, jak chcesz. Kłam, mów prawdą, wszystko jedno. Sprawdzimy, jak wypadnę. Czy jako dziecko miałeś psa?

- Nie.

- Widzisz? Kłamiesz. Jak się ten pies nazywał?

- Elmer.

- Dobra odpowiedź, szczerza. Jak miała na imię twoja matka?

- Marie.

- Znowu kłamstwo. A twój ojciec?

- Jim.

- Kłamiesz - rzucił Ambler, uśmiechając się do klęczącego przed nim olbrzyma. Widział, że łatwość, z jaką oceniał poszczególne odpowiedzi, napawa go lękiem. Krótka pauza. - A teraz druga część egzaminu. Dla kogo pracujesz?

- Kurde, połamałem sobie żebra...

- Odpowiedź nie na temat. Ostrzegłem cię, nie mam czasu.

— Oni ci wyjaśnią, ja nie mogę. - Snajper odzyskiwał pewność siebie i je-

śli Ambler chciał się czegoś dowiedzieć, musiał ją podważyć.

- Oni? Ty chyba nic nie rozumiesz. Twój los nie zależy teraz od nich, tylko ode mnie. - Przytknął mu nóż do policzka, ząbkowaną częścią ostrza.

Przytknął i mocno przycisnął.

- Proszę... - jęknął południowiec.

Na przekłutej skórze pojawiły się małe kropki krwi.

- Dam ci dobrą radę. Jeśli podczas bójki na noże stwierdzisz, że zamiast noża masz w kieszeni pistolet, lepiej szybko go użyj. - Zimny, wyrachowany głos. Determinacja i bezwzględność: to ważny element przesłuchania.

Popatrzył na jego strzelbę. Paxarms MK24B, kaliber .509.

- Ładniutka - rzucił. - Wyrafinowany sprzęt. Zwykłym żołnierzom takich nie dają. No więc? - Ponownie przycisnął nóż.

- Proszę... - sapnął tamten, jakby uszło z niego całe powietrze.

- Wasz zespół miał mnie uprowadzić. Najpierw obezwładnić, a potem?

- Nie, rozkazy były inne. - Mężczyzna powiedział to głosem potulnym i łagodnym. - Ci, dla których pracuję, bardzo się tobą interesują.

- Ci, dla których pracujesz - powtórzył Ambler. - To znaczy rząd.

- Rząd? - Tamten był zaskoczony, jakby sądził, że Ambler się z niego nabija. - Jaki rząd? To prywatna operacja. Nie pracuję dla rządu, nie za taką 50

kasę. Powiedzieli, że możesz się tu pojawić, że jeśli się pojawisz, mam na-wiązać z tobą kontakt.

Ambler wskazał strzelbę.

- Tym?

- Powiedzieli, że jeśli okażesz się niebezpieczny, decyzja należy do mnie.

- Olbrzym wzruszył ramionami. - Więc na wszelki wypadek zabrałem strzelbę.

- No i?

Tamten ponownie wzruszył ramionami.

- No i uznałem, że jesteś niebezpieczny.

Ambler przesywał go spojrzeniem, nie drgnęła mu nawet powieka.

- Dokąd miałeś mnie zawieźć?

- Nie powiedzieli. Stwierdzili, że odezwą się, kiedy już cię będę miał.

Zakładając, że w ogóle się pojawisz. Nie wiem, jak bardzo na to liczyli.

- Znowu oni? Powiem ci coś: to nie jest moje ulubione słowo.

- Posłuchaj. Tak, ci ludzie czasem mnie wynajmują, ale robią to na odleg-

łość. Jasne? Nie spotykam się z nimi na partyjce szachów w niedzielne po-południe. Dowiedzieli się niedawno, że pojawiłeś się na rynku. Chcą cię zwerbować, zanim zrobi to konkurencja.

Widzę, że jest na mnie duży popyt, to miłe... - Ambler próbował to przeanalizować, lecz nie mógł. W tej chwili najważniejszy był rytm przesłuchania: nie mógł się załamać. - Sposób nawiązania kontaktu?

Już mówiłem, na odległość. Dziś rano przysłali zaszyfrowanego e-maila z opisem zadania. Wpłacili zaliczkę na konto. No to wziąłem to. Mężczyzna mówił coraz szybciej. - Spotkania odpadają. Gramy na zryw, obowiązują ścisły zakaz kontaktów bezpośrednich.

Nie kłamał i słowa te powiedziały Amblerowi więcej niż ich drastyczna treść. „Gramy na zryw”: żargon amerykańskiego wywiadu wojskowego.

- Pracujesz w wywiadzie.

- Pracowałem, w MI. - A więc jednak. - Siedem lat w siłach specjalnych.

- A teraz jesteś wolnym strzelcem.

- Otóż to.

Ambler rozpiął pękatą kieszeń jego kamizelki. Znalazł w niej trochę poobijaną nokię, której żołnierz używał najpewniej do prywatnych rozmów.

Zgodnie z przewidywaniami znalazł również wojskowy model urządzenia do przekazywania wiadomości tekstowych, tak zwane BlackBerry, komunikator zapewniający bezpośrednią łączność między końcowymi użytkownikami sieci. Schował to wszystko do kieszeni. Zarówno ten tu, jak i ci, którzy go wynajęli, posługiwali się sprzętem na wyposażeniu tajnych służb.

51

- Wymienimy się - powiedział. - Podasz mi hasła i kody dostępu.

Zapadła cisza. A potem najemnik pokręcił głową, powoli, lecz zdecydowanie.

- Odpada.

Amblera ścisnęło w żołądku. Znowu musiał odzyskać przewagę. Z twarzy południowca wyczytał, że nie ma do czynienia z fanatykiem. Że człowiek ten pracuje dla pieniędzy. Że chce podtrzymać swoją reputację, wiedząc, że od tego zależy jego przyszłość. Dlatego musiał mu uzmysłowić, że przyszłość ta zależy wyłącznie od tego, czy będzie z nim współpracował. W chwilach takich jak ta spokój i rozsądek były nieskuteczne. O wiele lepszy efekt wywierało wrażenie, że ma się do czynienia z sadystą, który tylko czeka na sposobność zademonstrowania swoich umiejętności.

- Wiesz, jak wygląda twarz obdarta ze skóry? -- spytał obojętnie. - Ja wiem. Skóra właściwa jest zaskakująco trwała, ale bardzo łatwo oddzielić ją od tkanki podskórnej i mięśni. Kiedy już się ją nadetnie i szarpnie, płąt odchodzi bez najmniejszego trudu. Przypomina to trochę zdzieranie darni z traw-nika. A kiedy się ten płąt podniesie, widać niezwykle skomplikowaną strukturę mięśni twarzy. Nożyk do patroszenia ryb niezbyt się do tego nadaje: robi nacięcia o poszarpanych brzegach i paskudnie to wygląda. Mimo to jakoś sobie poradzimy. Boję się, że nie będziesz nic widział, ale wszystko ci opi-szą. Obiecuję, że niczego nie przegapisz. Dobrze. A więc zaczynamy? Bę-

dzie trochę szczypało. No, może bolało. Poczujesz się tak, jakby... Hm, jakby zdzierano ci skórę z twarzy.

Oczy klęczącego przed nim człowieka zwęziły się ze strachu.

- Mieliśmy się wymienić - wykrztusił. - Co dostanę w zamian?

- Ach, o to ci chodzi... Hm, jakby to powiedzieć? Cóż, ocalisz twarz.

Osilek głośno przełknął ślinę.

- Kod: 1345GD-wychrypiał.-Powtarzam: 1345GD.

: - Przyjacielskie przypomnienie. Jeśli zaczniesz kłamać, natychmiast to po-znam. Jedno kłamstewko i wrócimy do lekcji anatomii. Musisz to dobrze Zrozumieć.

- Nie kłamię.

Lodowaty uśmiech.

- Wiem.

- Szyfrowanie maili odbywa się automatycznie. W temacie trzeba wpisać: „Szukając Ulissesa”. Wielkie litery nie mają znaczenia. Wiadomość koń-

czysz słowem „Cyklop”.

- Kilka innych kodów, kilka innych kryptonimów. - Ambler miał dobrą pamięć.

52

- Kurde, wypuść mnie już - poprosił najemnik, powtórzywszy wszystko trzy razy.

Ambler włożył jego kamizelkę bojową wzmocnioną kevlarem panterkę; uznał, że te rzeczy pewnie mu się przydadzą. Potem przepasał się jego pasem z saszetką; większość wolnych strzelców miała przy sobie sporo pieniędzy, a pieniądze też mogły mu się przydać. Beretta wciąż leżała w kolczastych krzakach.

Strzelba: była za duża i przysporzyłaby mu więcej kłopotów niż pożytku, przynajmniej w najbliższej przyszłości, a najbliższa przyszłość miała teraz długość ludzkiego życia. Rozłożył strzelbę na części, a strzałki z narkotykiem - pozostało ich sześć - cisnął w chaszczę. Dopiero wtedy rozwiązał

tamtemu ręce i rzucił mu swoją kurtkę.

- Żebyś nie zmarł - powiedział.

Nagle poczuł lekkie pieczenie na szyi - komar? giez? - i odruchowo klep-nął się w to miejsce ręką. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że w styczniu żadnych owadów nie może tu być i że ma zakrwawione czubki palców. To nie owad. I nie kolejna strzałka.

To kula.

Odwrócił się na pięcie. Olbrzym leżał bezwładnie na ziemi: na jego twarzy zastygła śmiertelna maska, z ust leciała mu krew. Kula - ta sama, która dra-snęła go lekko w szyję - weszła ustami i wyszła potylicą. Ambler postanowił

darować mu życie. Ktoś inny postanowił mu je odebrać.

A może kula była przeznaczona dla niego, dla Amblera?

Musiał uciekać. Błyskawicznie zanurkował w chaszczę. Brązowa kurtka, którą dał olbrzymowi, mogła być wyrokiem śmierci, znakiem, że celem jest on, Ambler, bo czyhający w oddali snajper namierzał go głównie po kolorze ubrania. Ale skoro zamierzali go zabić, po co wysłali kogoś, żeby „nawiązał

z nim kontakt"? Nie udało im się i uruchomili plan awaryjny?

Musiał jak najszybciej opuścić tę okolicę. Hondę na pewno już znaleźli.

Widział tu inne pojazdy? Tak, przykrytego brezentem gatora kilkaset metrów pod górę, przysadzistą, pomalowaną na zielono maszyną, którą można było pokonać niemal każdy teren, bagna, strumienie i wzgórze.

Gdy tam dotarł, bez zdziwienia stwierdził, że kluczyki są w stacyjce. Tu, w tej części świata, wciąż mieszkali ludzie, którzy nie zamykali nawet domu na klucz. Silnik odpalił bez problemów i Ambler wjechał w las, mocniej ściskając kierownicę i pochylając głowę, gdy podskakujący na kamieniach gator śmigał pod nisko zwisającymi gałęziami. Maszyna pędziła przez krzewy, chaszczę i zarośla i dopóki droga biegła między drzewami, Ambler nie musiał przejmować się tego rodzaju przeszkodami, ani parowami, ani strumieniami. Droga była straszliwie wyboista, jazda ostra - przypominała 53

przejażdżkę nie do końca ujeżdżonym koniem, lecz wóz ani razu nie stracił przyczepności.

I raptem na przedniej szybie wykwitła biała pajęczyna drobnych pęknięć.

Kolejna kula.

Szarpnął kierownicą, skręcił w lewo, zaraz potem w prawo. Prowadził jak szaleniec z nadzieją, że podskakujący na nierównym terenie pojazd będzie trudniejszym celem, że snajper nie utrzyma go na celowniku. Wirowało mu w głowie od wątpliwości i niepewności. Po linii strzału poznał, że tamten siedział gdzieś na drugim brzegu jeziora, gdzieś w okolicy starej chaty McGrudera. Albo na słupie wysokiego napięcia na zboczu wzgórza. Albo - oczami wyobraźni powiódł wzrokiem po horyzoncie - na silosie zbożowym na farmie Steptoe'a, prawie na szczycie wzgórza. Tak, gdyby to on miał strzelać, zasadziłby się właśnie tam. Bezpieczeństwo leżało w górze, na zboczu, w miejscu, gdzie jedno wzgórze łączyło się z drugim. U ich stóp biegła szosa i gdyby zdołał tam dotrzeć, ziemne masywy osłoniłyby go przed snajperem.

Wcisnąwszy pedał gazu, stwierdził, że maszyna bez trudu wspina się na największą stromiznę - dziesięć minut później był już na drodze. Gator był

za wolny, żeby nadążyć za zwykłymi samochodami, poza tym roztrzaskana szyba rzucała się w oczy. Skręcił, zaparkował za gęstą kępą czerwonych cedrów i wyłączył silnik.

Cisza. Słyszał tylko metaliczne pojękiwanie stygnącego silnika i szum samochodów na górskiej drodze.

Wyjął komunikator nieżyjącego snajpera. „Chcą cię zwerbować, zanim zrobi to konkurencja”. Olbrzym w to wierzył, ale jeśli to podstęp? Jedno było jasne: każda organizacja zatrudniająca byłych żołnierzy z oddziałów specjalnych chciała by zachować pełną anonimowość i „grałaby na zryw”. Jednak on musiał się dowiedzieć dlaczego, musiał poznać kryjącą się za tym prawdę. Tak więc nadeszła pora, żeby podać się za kogoś innego i nawiązać z ni-mi kontakt - kontakt na jego warunkach. Żeby uspić ich czujność, musiał im coś obiecać albo... czymś zagrozić. Wyobraźnia to potężna broń: im wiadomość będzie mniej konkretna, tym lepiej.

Po namyśle ułożył krótki, lecz starannie skomponowany tekst.

Wyjaśnił, że spotkanie z obiektem nie przebiegło zgodnie z planem, ale że wszedł w posiadanie „interesujących dokumentów”. Muszą się spotkać.

Zwięźle, lakonicznie i oszczędnie, bez zbędnych wyjaśnień.

„Czekam na instrukcje” - tak zakończył. A potem wysłał wiadomość do kogoś, kto ukrywał się w labiryncie kryptosystemu.

Doszedł do szosy i stanął na poboczu. W panterce wyglądał jak polujący poza sezonem myśliwy, ale zganiłoby go za to niewielu okolicznych miesz-54

kańców. Dwie minuty później zabrała go kobieta w średnim wieku w gmc z przepelnioną popielniczką. Miała na głowie mnóstwo spraw i zanim wyrzuciła go przed Motelem 6 na trasie 173, próbowała zagadać go na śmierć.

Ambler grzecznie jej przytakiwał, choć nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła.

Siedemdziesiąt pięć dolarów za pokój. Przez krótką chwilę martwił się, że nie starczy mu pieniędzy, a/e zaraz przypomniał sobie o saszetce snajpera.

W recepcji - zameldował się pod innym nazwiskiem - walczył ze straszliwym zmęczeniem, bojąc się, że lada chwila mu ulegnie i pewnie by uległ, nawet bez resztek narkotyku, który wciąż krążył w jego żyłach. Potrzebował

pokoju. Potrzebował wypoczynku.

Zgodnie z przewidywaniami pokój był kompletnie nijaki, styl bez stylu.

Szybko sprawdził zawartość saszetki. Znalazł dwa dokumenty wystawione na dwa różne nazwiska. Pożyteczniejszym było prawo jazdy z Georgii, stanu, którego system komputerowy należał do najbardziej zapóźnionych w kraju.

Wyglądało zwyczajnie, lecz gdy Ambler je zgiął, natychmiast stwierdził, że zaprojektowano je tak, żeby każdy mógł je podrobić. Wystarczyło pójść do najbliższego centrum handlowego, zrobić sobie zdjęcie i wkleić je do dokumentu, zresztą co najmniej raz już podrobionego. Był niższy od olbrzyma, jego oczy miały inny kolor, lecz nie były to różnice drastyczne i na pewno nie zwróciłyby niczyjej uwagi. Jutro ale jutro miał mnóstwo innych rzeczy do zrobienia. Nie, nie, nie. Był zbyt zmęczony, żeby teraz o nich myśleć.

Czuł się tak, jakby miał zaraz zemdleć: kombinacja stresu fizycznego i emocjonalnego była dobijająca. Dlatego zamiast myśleć, wszedł pod prysznic, puścił gorącą wodę - najgorętszą, pod jaką mógł tylko wytrzymać i zmywając z ciała pot, krew i brud, stał w kabinie dopóty, dopóki nie mżył ca/e/

kostki hotelowego mydła. Potem chwiejnie wyszedł i wytarł się białym, ba-welnianym ręcznikiem.

Miał tyle do przemyślenia, mimo to nie mógł się do tego zmusić. Nie teraz.

Nie dzisiaj.

Energicznie wytarł włosy i stanął przed lustrem nad umywalką. Było zaparowane, ale użył suszarki i para zniknęła. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni widział swoją twarz - ile to już miesięcy? - więc przygotował się na lekki szok.

Ale od tego, co zobaczył, doznał silnego zawrotu głowy.

To była twarz zupełnie obcego człowieka.

Nogi się pod nim ugięły i zanim się spostrzegł, leżał na podłodze.

Nie poznawał go, tego kogoś w lustrze. To nie był on, ani on sprzed kilku miesięcy, ani on teraz, zmęczony i wymizerowany. Ciemne worki pod 55

oczami, zryte zmarszczkami czoło - gdzie się to wszystko podziało? To nie był on!

Wystające kości policzkowe, orli nos: pomijając to, że biło z niej pewne okrucieństwo, była to twarz przystojnego mężczyzny, twarz, którą większość uznałaby za bardziej atrakcyjną niż ich własna. Jego nos był bardziej okrą-

gły, szerszy, bardziej mięsisty na czubku; policzki bardziej zapadłe, podbró-

dek rozcięty na pół podłużnym dołkiem. Przecież to nie ja, pomyślał i niedo-rzeczność ta uderzyła go z siłą potężnej fali.

Kim on jest? Kim jest mężczyzna z lustra?

Nie potrafił rozpoznać tej twarzy, lecz umiał z niej czytać i wyczytał to samo, co czuł w sercu: przerażenie. Nie, coś więcej niż przerażenie. Paniczny lęk.

W uszach zabrzmiał mu nagle psychiatryczny żargon, który słyszał przez te wszystkie miesiące: „rozpad osobowości”, „zaburzenia tożsamości”. Usłyszał cichy chór głosów, głosów lekarzy, którzy zgodnie twierdzili, że przeżył

załamanie psychiczne i że przyjmuje teraz osobowości fikcyjne, jedną po drugiej.

Czy to możliwe, że się nie mylili?

Czy naprawdę zwariował?

Rozdział 5

końcu zapadł w sen, niespokojny sen, lecz brak świadomości nie przyniósł mu ulgi. Bo we śnie natrętnie powracały wspomnienia z dale-

kiego kraju. Obraz zadrżał, zamigotał niczym na celuloidowej taśmie filmowej, która utknęła przed rozgrzaną żarówką projektora, i wiedział już, gdzie jest.

W Changhua na Tajwanie. To prastare miasto z trzech stron otaczały góry, od zachodu zaś Cieśnina Tajwańska prawie dwustukilometrowej długości przesmyk oddzielający wyspę od stałego lądu. Jako pierwsi już w XVII wieku, za panowania cesarzy z dynastii Ching - osiedlili się tu emigranci z Fu-Kien, nadmorskiej prowincji Chin; później fal osiedleńców było znacznie więcej. Każda z nich pozostawiała po sobie wyraźny ślad, a miasto, niczym zmyślny, inteligentny organizm, zdecydowało, które 7. nich zatrzeć, a które zachować dla potomności. W parku u stóp gór Baghua stał potężny posąg Buddy strzeżony przez dwa kamienne lwy. Turyści nie mogli oderwać; oczu od Buddy, miejscowi zaś taką samą estymą darzyli lwy, które od zawsze ich broniły, ich naprężone mięśnie i ostre pazury. Przed laty Changhua było wielkim portem. Teraz jest ludnym miastem i czymś w rodzaju bastionu. Bastionu demokracji.

Na przedmieściach, w pobliżu fabryki papieru i farmy kwiatowej, wzniesiono prowizoryczny podest. Przed wielotysięcznym tłumem miał wkrótce stanąć Wai-Chan Leung, według wielu następny prezydent Tajwanu. Jego zwolennicy ściągnęli tu tłumnie z miast Tianwei i Yungjing, dlatego wszystkie boczne ulice i zaułki były zapchane małymi, zakurzonymi samochodami.

59

Nikt nie pamiętał, żeby jakikolwiek działacz polityczny w historii tego kraju wzbudził tak wielką sensację wśród zwykłych mieszkańców Tajwanu.

Wai-Chan Leung był na swój sposób postacią niezwykłą. Po pierwsze, o wiele młodszy od pozostałych kandydatów - miał dopiero trzydzieści sześć lat - pochodził z zamożnej rodziny kupieckiej, mimo to był prawdziwym populistą obdarzonym charyzmą, która poruszała ludzi najbiedniejszych. Po drugie, założył najszybciej rozwijającą się partię polityczną na Tajwanie, która dzięki jego osobistemu zaangażowaniu odniosła niebywały wprost sukces.

Na wyspie tej nigdy nie brakowało związków, stowarzyszeń i organizacji, jednak jego partia natychmiast stała się głośna, deklarując zdecydowaną chęć reform społecznych i gospodarczych. Przeprowadziwszy skuteczną kampanię antykorupcyjną na poziomie lokalnym, Leung prosił teraz lud

o władzę, dzięki której mógłby zlikwidować korupcję i nepotyzm w całym kraju, oczyścić

z nich i politykę, i handel. Jednak jego wizja polityczna sięgała znacznie dalej. Podczas gdy pozostali kandydaci wykorzystywali w swojej kampanii zadawniony strach i niechęć do „imperium chińskiego” reprezentowanego przez stały ląd, on mówił raczej o „nowej polityce otwarcia na Chiny”, o polityce nastawionej na pojednanie i handel, o idei wzajemnie respektowanej suwerenności.

Dla wielu specjalistów z amerykańskiego Departamentu Stanu to, co głosił młody Wai-Chan Leung, było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Z jego dossier, skrupulatnie skompletowanego przez Wydział Operacji Konsularnych, a konkretnie przez Oddział Stabilizacji Politycznej, wynikało, że się nie mylą.

Dlatego szefostwo OSP powołało grupę specjalną i przysłało tu jego, Amblera. Ponieważ zadanie było oczywiście tajne, jak wszystkie zadania Oddzia-

łu Stabilizacji Politycznej, Hal działał na Tajwanie pod pseudonimem Tarkwiniusz, który przybrał, wstępując do tajnych służb. Czasem dochodził do wniosku, że Tarkwiniusz to nie tylko osoba, lecz i zupełnie odrębna osobowość. Przybierał ją tylko w terenie i tylko w terenie stawał się Tarkwiniuszem. Była to forma obrony psychicznej, dzięki której mógł robić to, co robił.

Jako jeden z nielicznych obcokrajowców w morzu Azjatów - którzy brali go najpewniej za przedstawiciela zagranicznych mediów - przebijał się przez gęsty tłum, nie odrywając oczu od podestu. Lada chwila miał zjawić się tam Wai-Chan Leung. Największa nadzieja nowej generacji Tajwańczyków. Młody idealista. Charyzmatyczny wizjoner.

I potwór.

Wszystkie fakty szczegółowo udokumentowano w dossier OSP. Wynikało z nich, że pod płaszczykiem umiarkowania i miłej dla ucha racjonalności Wai-

-Chan Leung ukrywa morderczy fanatyzm. Że jest ideologicznie powiązany z Czerwonymi Khmerami. Że macza palce w handlu narkotykami ze Złotego Trójkąta. Że odpowiada za serię morderstw politycznych na całym Tajwanie.

Nie można go było zdemaskować bez narażania na niebezpieczeństwo licznych agentów, bez skazywania ich na tortury i śmierć z rąk tajnych siepaczy Leunga. Nie można też było dopuścić, żeby mu się udało, żeby został nowym przewodniczącym Tajwańskiego Kongresu Narodowego. Usunięcie tego podstępnego populisty ze sceny politycznej kraju było gwarancją przetrwania demokracji jako takiej.

I właśnie w tego rodzaju zadaniach specjalizowali się agenci OSP. Niektó-

rzy analitycy z Departamentu Stanu, ci o miękkim sercu, ludzie mniej przewidujący, uważali, że ich

działania są zbyt bezwzględne. Tymczasem działania te, często okrutne i trudne do przełknięcia, służyły jedynie obronie przed konsekwencjami jeszcze bardziej bezwzględnymi i okrutnymi. Myśl ta przy-

świecała Ellen Whitfield, szefowej Oddziału Stabilizacji Politycznej - myśl i nakierowana na jeden cel zasada. Podczas gdy inni dyrektorzy tajnych służb zadowalali się analizowaniem i *ocenianiem*, ona *działała*, i to błyskawicznie.

„Raka trzeba wyciąć, zanim się rozpleni” - takie miała credo w kwestii zagrożeń politycznych. Nie wierzyła w skuteczność ciągnących się w nieskoń-

czoność zabiegów dyplomatycznych, uważając, że pokój można zapewnić jedną, szybką interwencją, wymierzonym z chirurgiczną precyzją cięciem.

Jednak rzadko kiedy gra toczyła się o tak wysoką stawką.

Zatrzeszczało w słuchawce.

Alfa Jeden na stanowisku - zameldował cichy głos. To znaczy: technik, specjalista od materiałów wybuchowych, znalazł się w bezpiecznej odległości i na rozkaz Tarkwiniusza był gotów zdalnie zdetonować ładunek. Operacja była skomplikowana, bo taka musiała być. Bojąc się o bezpieczeństwo Wai-

-Chan Leunga i nie dowierzając policji, jego rodzina zapewniła mu silną, wyrafinowaną ochronę. Sprawdzone wszystkie potencjalne miejsca, gdzie mogliby zasadzić się snajperzy. Tłum uważnie obserwowali wytrawni mistrzowie pra-starych sztuk walki oraz eksperci od współczesnych technik. Rozmieszczeni w regularnych odstępach, na widok każdej broni mieli reagować siłą. Wai-Chan Leung podróżował opancerzonym samochodem i zatrzymywał się w hotelach pilnie strzeżonych przez wiernych mu zwolenników. Żadnemu z nich do głowy by nie przyszło, że zagrożenie może czyhać pod tym zwykłym podestem.

Nadeszła pora działania.

Po narastającym wśród tłumu szmerze Tarkwiniusz poznał, że kandydat na prezydenta już przybył. Podniósł wzrok. Wai-Chan Leung wskoczył zwinnie na podest.

61

Tłum zaklaskał. Oklaski narastały, Leung promieniał. Promieniał, lecz nie wszedł jeszcze na mównicę, co było niezmiernie ważne. Żeby uniknąć strat ubocznych, zastosowano precyzyjny ładunek kumulacyjny. Dlatego Tarkwiniusz zwlekał, ściskając w rękę „dziennikarski” notes i długopis.

- Czekam na sygnał. - Metaliczny głos w słuchawce. Alfa Jeden czekał na sygnał śmierci.

„Czekam na sygnał”.

Nie wiedzieć czemu, temperatura nagle spadła, a głos Alfy Jeden zniknął

w dziwnym buczeniu, które obudziło go tu i teraz, dwa lata później, tysiące kilometrów od tamtego miejsca. Ambler drgnął i nerwowo przetoczył się na bok pod skłębionym, mokrym od potu prześcieradłem. Głośne buczenie i wibracje na stoliku nocnym. BlackBerry, komunikator, który odebrał olbrzymowi pod leśną amboną. Przyszła jakaś wiadomość. Hal wziął aparat ze stolika i wcisnął kilka guzików. Tak, nowa wiadomość tekstowa. Była krótka, lecz zawierała dokładne wskazówki. Wyznaczono mu spotkanie. O czterna-stej trzydzieści na międzynarodowym lotnisku w Filadelfii. Przy bramie C1 9.

Byli bardzo sprytni. Bojąc się, że przyjdzie uzbrojony, chcieli wykorzystać tamtejszą ochronę i bramki z detektorami metalu. Co więcej, jako miejsce publiczne, lotnisko gwarantowało im, że Ambler nie podejmie żadnych gwał-

townych kroków. Mimo to umówili się z nim w porze, kiedy jest tam najmniej ludzi. Wielki, opustoszały terminal - Hal był pewien, że właśnie dlatego wybrali bramę C19 - zapewniał względne odosobnienie. Było to zatem miejsce z jednej strony odosobnione i prywatne, z drugiej publiczne i bezpieczne. Dobrze pomyślane. Wiedzieli, co robią. Myśl ta wcale go jednak nie pocieszyła.

Clayton Caston siedział przy stole, jedząc śniadanie, w jednym ze swoich kilkunastu niemal identycznych szarych garniturów. Gdy zamawiał je z katalogu Jos. A. Banka, były sprzedawane z pięćdziesięcioprocentową zniżką, uznał więc, że cena jest rozsądna, poza tym materiał, wełna z poliestrem, mniej się gniótł, co miało duże znaczenie praktyczne. „Całoroczny garnitur służbowy z marynarką na trzy guziki” - napisali w katalogu. „Dobry na wszystkie pory roku”. Caston uwierzył im na słowo i nosił je na okrągło przez cały rok. Podobnie jak krawaty, czerwone w zielone paski lub niebieskie w paski czerwone. Wiedział, że z powodu tych identycznych garniturów koledzy mają go za ekscentryka. Ale różnorodność dla samej różnorodności? Jaki w tym sens? Po co zmieniać coś, co dobrze spełnia swoje zadanie?

Podobnie ze śniadaniem. Lubił płatki kukurydziane. Zawsze jadał je z rana i jadł je i teraz.

- Co ty pieprzysz? - Jego szesnastoletnia córka Andrea nie wytrzymała.

Oczywiście nie mówiła do niego, tylko do Maks; , swego o rok młodszego brata. - Chip jest obrzydliwy. Zresztą nie buja się we mnie, tylko w Jennifer, i dzięki Bogu!

- Jak łatwo można cię przejrzeć - syknął zjadliwie Max.

- Do krojenia grejpfruta używamy noża do owoców - wtrąciła z naganą w głosie ich matka, a jego żona Linda. - Po to są. - Była we frotowym szla-froku, we frotowych papuciach, a na głowie miała frotową opaskę. Dla Castona wciąż była uosobieniem uroku i piękna.

Max bez słowa wziął nóż; jeszcze nie skończył dogryzać siostrze.

- Chip nie znosi Jennifer, a Jennifer Chipa i dobrze o tym wiedziałaś, mówiąc mu to, co powiedziała o nim T.J. A propos. Mam nadzieję, że opowiesz mamie o wczorajszej lekcji francuskiego...

- Jak śmiesz! - Andrea zerwała się z krzesła i stanęła nad nim, pałając gniewem. - A może porozmawiamy lepiej o tym zadrapaniu na drzwiach naszego volvo? Przed twoim wczorajszym wyjazdem jeszcze go nie było.

Myślisz, że mama już je zauważyła?

- O jakim zadrapaniu? - spytała Linda, odstawiając wielki kubek z czarną kawą.

Max przeszył siostrę nienawistnym spojrzeniem, jakby układał już w głowie plan stosownych, zresztą zasłużonych i sprawiedliwych tortur.

- Powiedzmy, że nasz Szalony Max nie opanował jeszcze manewru par-kowania równoległego.

- Wiesz co? odparował Max, nie odrywając od niej oczu. Myślę, że nadeszła już pora, żebym pogadał z tym twoim Chipem.

Caston podniósł wzrok znad „Washington Post”. Doskonale zdawał sobie sprawę, że świadomość Maksa i Andrei jest dla niego niezgłębioną tajemnicą, lecz zupełnie się tym nie przejmował. Dzieci odziedziczyły po nim tak niewiele cech, że tajemnicą było już samo to, że w ogóle są jego dziećmi.

- Ani mi się waż, przebrzydła ropucho.

- O jakim zadrapaniu? — powtórzyła Linda.

Kłócili się i rozmawiali, jakby go tu nie było. Zdążył już do tego przywyknąć. Jak na dobrego urzędnika państwowego przystało, nie rzucał się w oczy nawet przy stole jadalnym, poza tym Max i Andrea, jak to nastolatki, byli nieco absurdalni i zbyt pochłonięci sobą. Andrea - usta pomalowane pachnącą malinami szminką, popisane mazakiem dzinsy - i Max, rozkwitająca gwiazda futbolu, który

nie umiał się dokładnie ogolić i zlewał się zbyt obficie Aqua Velvą. Caston poprawił się w duchu: nie, każda ilość Aqua Velvy byłaby zdecydowaną przesadą.

63

Byli niezdyscyplinowanymi, niesfornymi i hałaśliwymi rozrabiakami, któ-

rzy potrafili kłócić się o byle co. I Caston kochał ich za to tak, jak kochał życie.

- Jest jeszcze trochę soku? - To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział

przy śniadaniu.

Max podał mu karton. Życie wewnętrzne syna było dla niego zagadką, jednak od czasu do czasu widział na jego twarzy wyraz czegoś, co przypominało litość: młodzieniec próbował zaszufładkować ojca według kategorii an-tropologicznych obowiązujących w ogólniaku - dupek, głupek, palant, lamer - i czuł, że gdyby chodzili do jednej klasy, na pewno nie byłoby dobrymi kumplami.

- Zostało ze dwa łyki - powiedział.

- Jeden łyk nie czyni wiosny - mruknął Caston.

Max posłał mu niepewne spojrzenie.

- Skoro tak mówisz...

- Musimy porozmawiać o tym zadrapaniu - powiedziała Lindan W gabinecie Caleba Norrisa krzyków nie było, jednak przyciszone głosy tylko podkreślały wiszące w powietrzu napięcie. Wzywając Castona do siebie, Norris, zastępca dyrektora do spraw wywiadu, nie powiedział mu, o co chodzi. Nie musiał. Odkąd otrzymali wiadomość o incydencie na wyspie Parrish, nieustannie zalewała ich powódź *irytująco* sprzecznych ze sobą informacji, które jednak sugerowały, że w związku z tą sprawą doszło do kolejnych incydentów.

Norris miał szeroką twarz rosyjskiego wieśniaka, małe, szeroko rozstawione oczy, chropowatą cerę i szerokie bary. Spod mankietów koszuli sterczały mu kłaki czarnych włosów, takie same widać mu było na piersi, ilekroć zdejmował krawat i rozpinął kołnierzyk koszuli. Chociaż jako jeden z najwyższych urzędników wywiadu należał do ścisłego kręgu kierowniczego CIA, ktoś, komu pokazano by tylko jego zdjęcie, powiedziałby na pewno, że jest zupełnie kimś innym - bramkarzem, wykidajłą albo mafijnym ochroniarzem.

Jego maniery - mógłby uchodzić za związkowca, rzecznika robotników z jakiejś fabryki - też nie odzwierciedlały tego, co można było wyczytać z jego oficjalnego życiorysu: studia licencjackie na Wydziale Fizyki Katolickiego Uniwersytetu Ameryki, stypendium Krajowej Fundacji Naukowej, badania na temat wojskowych zastosowań teorii gier, praca w organizacjach cywilnych, takich jak Instytut Analiz Obronnych i Korporacja Lambda. Norris już dawno temu zrozumiał, że jest

człowiekiem zbyt niecierpliwym, żeby zrobić karierę w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Jednak tu, w CIA, niecierpliwość była cnotą, dlatego bez trudu przebijał się przez wszelkiego rodzaju **64**

blokady, przy których utknęli inni. Szybko zdał sobie sprawę, że władza w tej czy innej organizacji nie zależy od stanowiska i zakresu przydzielonych obowiązków, tylko od tego, ile się jej zdoła przejąć. Najważniejsze było to, żeby nie przyjmować do wiadomości odpowiedzi typu: „Wciąż nad tym pracuje-my”. Caston bardzo go za to podziwiał.

Gdy stanął w drzwiach, Norris robił właśnie to, co robił, ilekroć był zdenerwowany: ze skrzyżowanymi na piersiach rękami krążył po gabinecie. Nie, incydent na wyspie Parrish nie tyle go zmartwił, ile zdenerwował. A zdenerwował, ponieważ przypominał mu znów, jak wielka część tytułarnie należ-

nej mu władzy leżała poza jego zasięgiem. Był to problem, poważny i odwieczny. Każdy rodzaj wojsk-ładowe, siły powietrzne, marynarka wojenna i Korpus Piechoty Morskiej - miał swoje służby wywiadowcze, podczas gdy Pentagon, czyli Departament Obrony, pompował pieniądze we własną agencję, Agencję Wywiadowczą Obrony. Krajowa Rada Bezpieczeństwa Białego Domu utrzymywała sztab niezależnych analityków wywiadu. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego z siedzibą w Fort Meade miała swoją, szeroko roz-budowaną infrastrukturę, której celem było analizowanie „sygnałów łącznoś-

ciowych”; te same sygnały łącznościowe zbierało i analizowało Narodowe Biuro Rozpoznania i Narodowa Agencja Wywiadu Naziemno-Kosmiczne-go. Departament Stanu utrzymywał niezależne biuro badań i wywiadu, nie licząc tajnego Wydziału Operacji Konsularnych. We wszystkich tych organizacjach istniały dalsze podziały, setki szczelin i uskoków, z których każdy mógł być powodem poważnej katastrofy.

Dlatego nawet pozornie małe zmartwienie, w rodzaju wiadomości z wyspy Parrish, dręczyło go jak wrastający w ciało paznokieć. Zgoda, mogli nie wiedzieć, co się dzieje na stepach Uzbekistanu. Ale nie wiedzieć, co dzieje się na ich własnym podwórku? Kto im właściwie uciekł? I jak to możliwe, że nikt nie ma o tym zielonego pojęcia?

Z ośrodka na wyspie Parrish korzystały wspólnie wszystkie rodzaje tajnych służb. Ktoś, kto nie tylko tam przebywał, ale i kogo zamknięto w odizolowanym skrzydle gmachu, musiał być kimś bardzo niebezpiecznym albo z powodu tego, co mógł zdradzić, albo z powodu tego, co mógł zrobić.

Ale kiedy ich sekretariat poprosił o dane uciekiniera, nikt nie potrafił udzielić im konkretnej odpowiedzi. Albo był to jakiś obłąd - coś, z czego nie potrafili tam wyleczyć - albo niesubordynacja.

- No więc jest tak - wypalił Norris, jakby rozmawiali już od pół godziny.

- Każdy pacjent tego ośrodka ma numer... Jak się to nazywa? Numer zapotrzebowania. Tak. Ośrodek jest wspólny, ale każda agencja płaci na utrzymanie swoich pacjentów. Jeśli to Langley wsadzi tam jakiegoś obłąkanego **65**

analitka, Langley płaci za niego rachunek. Jeśli Fort Meade, płaci Fort Meade.

Każdy pacjent ma swój numer, numer zapotrzebowania. Dwunastocyfrowy.

Ze względów bezpieczeństwa opłaty są wnoszone poza księgowością operacyjną, ale w aktach powinno być nazwisko oficera odpowiedzialnego, tego, który nakazał umieścić pacjenta w ośrodku. Powinno, tylko że tym razem go nie ma. Mam nadzieję, że dojdiesz, dlaczego. Ze sprawozdań wynika, że jak dotąd system działał bez zarzutu, finanse zawsze się zgadzały. A tu proszę. Księgowi z konsularnego mówią mi nagle, że nie mogą znaleźć numeru zapotrzebowania. Zatem, nie wiemy nawet, kto podpisał wniosek.

- Nigdy dotąd nie słyszałem o czymś takim.

Norris aż sapnął. Jego żagle wypełnił kolejny podmuch rozdrażnienia.

- Albo mówią nam prawdę, co oznacza, że ktoś ich wykiwał, albo coś ukrywają, co oznacza, że chcą wykiwać nas. A jeśli tak, to ja chcę wykiwać ich. -

Gdy Norris był rozdrażniony, lubił używać konstrukcji „albo, albo”. Pod pachami jego błękitnej koszuli widniały ciemne plamy potu. - Ale to już moja bitwa, nie twoja. Ty masz mi tylko zapalić latarnię w mroku. Jak zwykle, co?

Caston pochylił głowę.

- Cał, jeśli ktoś coś ukrywa, muszą to być ludzie na bardzo wysokim szczeblu. To mogę powiedzieć już teraz.

Norris posłał mu wyczekujące spojrzenie i niecierpliwie machnął ręką.

- To za mało - powiedział tylko tyle.

- Jest oczywiste, że uciekinier był cennym agentem.

- Cenny agent, któremu odbiło.

- Tak mówią. Przypuszczam, że ci z konsularnego przysłali nam tylko

„szyld”, oficjalne akta pacjenta numer 5312. „Szyld” i jego historię choroby.

Setki rubryczek wypełnionych określeniami z „Księgi diagnostyczno-statystycznej” Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychiatrycznego. Ten facet ma rozpad osobowości.

- To znaczy?

- To znaczy, że uważa się za kogoś innego, niż naprawdę jest.

- A kim naprawdę jest?

- Właśnie. Oto jest pytanie.

- Niech to szlag! - Rozsierdzony Norris prawie krzyczał. - Jak można kogoś tak zgubić? Co to jest? Brudna skarpetka w koszu czy co? - Gniewnie błysnął oczami. Po chwili wyciągnął rękę, poklepał Castona po ramieniu i uśmiechnął się czarująco. Wiedział, że Clay potrafi być drażliwy. Od Claya niczego się nie żądało: Claya się prosiło. Zastraszony czy zdenerwowany reagował fatalnie i mógł wtedy stać się zwykłym urzędnikiem, za którego lubił uchodzić. Norris dostał tę nauczkę już dawno temu. Dlatego teraz sku-pił na nim cały swój czar. - Mówiłem ci już, że podoba mi się twój krawat?

Bardzo ci w nim do twarzy.

Caston przyjął ten czuły, choć żartobliwy komplement z leciutkim uśmiechem.

- Nie próbuj apelować do mojej dobrej strony, Caleb. Ja jej nie mam. -

Wzruszył ramionami. - Sytuacja wygląda tak. Jak już mówiłem, wszystkie akta psychiatryczne pacjenta 5312 ładnie się indeksują, a przynajmniej te, które my mamy. Ale za pomocą informacji, które oni posiadają, nie sposób znaleźć akt osobowych Wydziału Operacji Konsularnych, i to bez względu na to, w którym miejscu zaczniemy grzebać. Brak danych. Tyle.

- To znaczy, że zostały usunięte.

- To znaczy, co bardziej prawdopodobne, że wyłączono je poza system.

Bardzo możliwe, że gdzieś istnieją, ale zostały odcięte od identyfikatora cyfrowego, do którego mamy dostęp. To tak, jakby przeciąć komuś rdzeń kręgowy.

- Widzę, że długo buszowałeś w naszej sieci.

- Główne systemy komputerowe Departamentu Stanu nie są wewnętrznie zintegrowane, nie wspominając już o braku kompatybilności platformowej z naszym systemem. Rzecz w tym, że Departament Stanu używa tych samych plików z przecinkiem jako ogranicznikiem pola i programu operacyjnego, jakiego my używamy do układania listy płac, kosztów, potrąceń i za-mówień. - Caston wyrecytował to niczym kelner recytujący listę potraw dnia.

- Jeśli umie się ten program obejść, otrzymujemy coś w rodzaju deski, po której można przejść z jednego okrętu na drugi.

- Jak kapitan Kidd ścigający Sinobrodego.

- Nie chcę cię rozczarować, Cal, ale nie jestem pewien, czy Sinobrody w ogóle istniał. Dlatego

poważnie wątpię, czy znaleźlibyśmy jego ślad w aktach kapitana Kidda.

- No co ty? Nie było Sinobrodego? Świętego Mikołaja też nie?

- Wygląda na to, że rodzice karmili cię złymi informacjami, Cal - odparł

z kamienną twarzą Caston. - To klasyczny przykład świętecznej dezinformacji. Skoro już o tym mowa, powinieneś zweryfikować też prawdziwość opowieści o wróżce, która w zamian za mleczny ząb zostawiony pod poduszką przynosi dzieciom pieniądze. - Z lekką naganą w oczach popatrzył na jego biurko zavalone stertami niepokładanych notatek i okólników. Ale sens ogólny już rozumiesz. Na okręt zazwyczaj wchodzi się trapem. Ale kiedy nie ma wyboru, długa deska może okazać się dość skuteczna.

- No i czego się dowiedziałeś, kiedy już wbiegłeś po niej na pokład?

Jak dotąd niewiele. Wciąż przeczesujemy jego akta. Ale znaleźliśmy tylko zdekompletowane dane osobowe agenta o pseudonimie operacyjnym Tarkwiniusz.

67

- Tarkwiniusz - powtórzył Norris. - Pseudonim bez nazwiska. Robi się coraz ciekawiej... No dobrze, ale co my właściwie o nim wiemy?

- Najważniejsze ze wszystkiego jest to, że Tarkwiniusz był nie tylko pracownikiem Wydziału Operacji Konsularnych. Był również członkiem Oddziału Stabilizacji Politycznej.

- Jeśli tak, to był pewnie specem od mokrej roboty.

Mokra robota. Caston nie znosił takich eufemizmów. Wszystkie dowody wskazywały na to, że zbiegły agent jest niebezpiecznym socjopatą. Zdaje się, że bez spełnienia tego wymogu nie można zrobić tam kariery.

- Danych jest bardzo mało. Tego, że miał związek z OSP, dowiedziałem się z systemu kodowania. Numer identyfikacyjny każdego członka Oddziału Stabilizacji Politycznej ma sufiks 7588 i sufiks ten znaleźliśmy w bazie ośrodka psychiatrycznego na wyspie Parrish. Ale kiedy sprawdziliśmy w bazie danych Departamentu Stanu, zaczęły się schody: wszystkie pozostałe informacje zostały skasowane.

- Co ci mówi przecucie?

- Przecucie?

- Tak. Co podpowiada ci instynkt?

Chwilę trwało, zanim Caston zrozumiał, że Norris go podpuszcza.

Kiedy zaczęli razem pracować, Caston często i otwarcie szydził z instynktu i przeczuć. Co więcej, traktował to jako coś w rodzaju hobby. Bardzo się irytował, gdy proszono go o „ocenę na wycucie”, zanim zebrane informacje wskazały choćby ogólny kierunek dalszych działań. Zawsze uważał, że taka ocena jest jak wystrzał z rewolweru na pół gwizdka, że uniemożliwia logiczne rozumowanie, stosowanie zdrowego rozsądku i technik analizy pro-babilistycznej.

Na twarzy Norrisa pojawił się szeroki uśmiech; dyrektor lubił prowokować go do wygłaszania radykalnych poglądów.

- Tylko cię podpuszczam. Ale powiedz, co mamy o tym myśleć? Co podpowiada ci twój... hm... wzorzec decyzyjny?

Caston posłał mu słaby uśmiech.

- To są tylko dane przedwstępne. Ale z drugiej strony, niektóre z nich wskazują, że to zgniłe jajo. Znasz moje poglądy na temat agentów, którzy wykraczają poza linię. Jeśli jesteś na liście płac, musisz działać w obrębie granic wyznaczonych przez rządowe dekrety. I jest tak nie bez powodu. Możesz mówić o „mokrej robocie”, ale ja widzę to trochę inaczej: albo się jakieś działanie zatwierdza, albo nie. Nie ma działań w połowie zatwierdzonych. Chciałbym też wiedzieć, dlaczego rząd zatrudnia ludzi takich jak on, ten Tarkwiniusz.

Kiedy nasz wywiad się wreszcie nauczy, że to się nigdy nie sprawdza?

68

- Nigdy? - Norris uniósł brew.

- Nigdy - powtórzył Caston. - Nigdy nie idzie zgodnie z planem.

- Tak jak w całym stworzeniu. Łącznie ze stworzeniem jako takim. Poza tym Bóg miał siedem dni, żeby poskładać to wszystko do kupy. Ja mogą dać ci najwyżej trzy.

- Skąd ten pośpiech?

- Przeczucie. - Norris poniósł rękę, żeby uprzedzić jego protest. - Przeczucie i sygnały, które do nas docierają. Nie są zbyt konkretne, lecz powtarzają się na tyle często, że nie sposób ich ignorować. Od pewnego czasu rejestrujemy ślady czegoś, co można uznać za działalność niezgodną z prawem. Ale czy jest to działalność wymierzona przeciwko komuś? Wymierzona w nas? Tego jeszcze nie wiemy, ani ja, ani szef. Uważamy, że maczają w niej palce wysocy urzędnicy państwowi, dlatego jest to śledztwo priorytetowe. I dlatego postawiono nas w stan gotowości. Szukaj wszelkich anomalii, Clay. Nie wiemy, czy mają z tym związek, czy nie, ale niebezpiecznie byłoby zakładać inaczej. Masz trzy dni na sporządzenie raportu. Dowiedz się, kim jest ten przeklęty Tarkwiniusz. Pomóż nam go schwycić. Albo zlikwidować.

Caston bez słowa skinął głową. Miał kamienną twarz. Nie potrzebował

zachęty. Nie znosił anomalii, a człowiek, który uciekł z wyspy Parrish, był

anomaliją najgorszego rodzaju. Nic nie sprawiłoby mu większej satysfakcji niż jej zidentyfikowanie. I wyeliminowanie.

Rozdział 6

al Ambler wciąż przebywał w Motelu 6 pod Flemington w stanie New HJe rsey. Korzystając z nokii nieżyjącego snajpera z leśnej ambony, wykonał kilka telefonów. Najpierw zadzwonił do Departamentu Stanu. W sytuacji, w jakiej się znalazł, nie mógł przyjmować żadnych założeń: nie wiedział, czy łączą go z wywiadem stosunki przyjacielskie, czy wrogie. Nie mógł

użyć numerów alarmowych, które wciąż pamiętał, bo bał się, że go namierzą. Uznał, że najbezpieczniej będzie zapukać do frontowych drzwi. Dlatego najpierw zadzwonił do wydziału łączności Departamentu Stanu i podając się za reportera z Reuters International, poprosił o rozmowę z biurem Ellen Whitfield. Czy mogłaby potwierdzić przypisywane jej słowa? Jej asystentce, z którą wreszcie go połączono, było bardzo przykro. Pani sekretarz Whitfield była za granicą, w delegacji.

69

Za granicą, ale gdzie za granicą? Nie można by trochę konkretniej? Przykro jej, ale nie.

Zagraniczna delegacja: informacja była niewątpliwie prawdziwa. I całkowicie bezużyteczna.

Oficjalny tytuł Ellen Whitfield *podsekretarz w Departamencie Stanu* -

był przykrywką jej prawdziwej funkcji administracyjnej - dyrektorka Oddziału Stabilizacji Politycznej. Krótko mówiąc, Whitfield była jego szefową.

Czyjego koledzy myśleli, że umarł? Zwariował? Zniknął? Co wiedziała na ten temat Ellen Whitfield?

Pytania kłębiły mu się w głowie i wirowały. Jeśli nic nie wiedziała, na pewno zechce się czegoś dowiedzieć. Prawda? Próbował przypomnieć sobie czasy sprzed ośrodka na wyspie Parrish, sprzed pobytu w tej psychiatrycznej kolonii karnej. Jednak ostatnie wspomnienia były niewyraźne, zamazane, niedostępne, ukryte we mgle okrywającej jego dawne życie. Dlatego próbował ułożyć w całość wszystkie te, które w niej nie tonęły. Pamiętał, że kilka dni spędził

w Nepalu, gdzie odwiedził przywódców grupy tybetańskich dysydentów szukających pomocy u Amerykanów. Natychmiast wyczuł, że się podszywają, że tak naprawdę są przedstawicielami maoistowskich buntowników odtraconych przez Chiny i wygnanych przez nepalski rząd. Gdy wrócił, rozpoczęła się operacja Oddziału Stabilizacji Politycznej, której celem było usunięcie Wai-Chan Leunga. A potem? Jego umysł przypominał przedartą na pół kartę książki: zamiast wyraźnej granicy oddzielającej pamięć od niepamięci, przebiegały tamtędy zachodzące na siebie linie, krzywe, splątane i rozmyte.

Podobnie jak wtedy, gdy próbował przypomnieć sobie chwile sprzed zamknięcia w ośrodku. Wspomnienia były spękane, pofragmentowane, pozbawione jakiejkolwiek chronologii.

Może powinien cofnąć się w czasie jeszcze dalej, do chwil sprzed uprowadzenia, do wspomnień wciąż żywych, ciągłych i prawdziwych jak ziemia pod jego stopami? Gdyby tylko znalazł kogoś, z kim mógłby się nimi podzielić. Kogoś, kto wspominając, potwierdziłby to, czego Ambler tak bardzo teraz, potrzebował: że jest tym, za kogo się uważa.

Pod wpływem nagłego impulsu zadzwonił do biura numerów i poprosił o numer Dylana Sutcliffe'a z Providence w Rhode Island.

Dylan, człowiek, którego poznał przed laty, o którym od dawna ani razu nie pomyślał. Poznali się na pierwszym roku studiów w Goddard, małym college'u nauk humanistycznych w Connecticut, i natychmiast się z sobą zgadali. Dylan był jowialnym gawędziarzem i miał niewyczerpany zasób prze-zabawnych opowieści o swoim rodzinnym miasteczku Pepper Pike w Ohio.

Miał też wielką słabość do psot, figli i zwariowanych psikusów.

Pewnego ranka pod koniec października - byli wtedy na drugim roku studiów - mieszkający w kampusie studenci ujrzeli olbrzymią dynię na czubku iglicy zdobiącej czubek wieży McIntyre'a. Musiała ważyć co najmniej trzydzieści kilo i nikt nie wiedział, jak się tam znalazła. Była źródłem niezłej zabawy wśród studenckiej braci i konsternacji wśród administratorów, gdyż żaden z odpowiedzialnych za konserwację gmachu robotników nie miał odwagi tam wejść. Dlatego pozostawiono ją na iglicy z nadzieją, że w końcu sama spadnie. Nazajutrz rano u stóp wieży pojawiło się kilkanaście wycię-

tych z dyni latarni z otworami przypominającymi ludzką twarz: wyglądały, jakby patrzyły na tę na górze, a na niektórych widniał napis: SKACZ! Ten studencki kawał jeszcze bardziej dobił administratorów college'u. Dwa lata później, kilka miesięcy przed końcem studiów, gdy administracja nie była już tak bardzo zapracowana, rozeszła się wieść, że mogą za ten kawał podziękować Dylanowi Sutcliffe'owi, doświadczonemu, dobrze wyposażonemu w sprzęt wspinaczowi. Owszem, Dylan był kawalarzem, ale kawalarzem roztroptym: nigdy się do tego nie przyznał i bardzo sobie cenił dyskrecję Amblera. Bo kiedy na ten temat rozmawiali, Ambler zobaczył coś w jego twarzy, zobaczył i jako pierwszy się wszystkiego domyślił. Ale chociaż dał

mu do zrozumienia, że wie, nikomu o tym nie powiedział.

Doskonale pamiętał jego koszule z obrazkiem Charliego Browna na piersi, pamiętał, że miały szerokie, kolorowe pasy. Pamiętał też, że Dylan miał kolekcję glinianych fajek, rzadko używanych, lecz o wiele ciekawszych niż typowa dla studenta kolekcja butelek po piwie czy zbiór płyt Greatful Dead.

Pamiętał, że rok później był najego ślubie, że Dylan dostał dobrą pracę w banku komunalnym w Providence, dawniej niezależnym, potem należącym do wielkiej krajowej sieci.

Słucham, Sutcliffe. - Hal nie rozpoznał jego głosu, a przynajmniej nie od razu, mimo to uśmiechnął się serdecznie.

- Dylan! To ja, Hal Ambler. Pamiętasz mnie?

Cisza. I wreszcie skonsternowane:

- Przepraszam, ale... Czy mógłby pan powtórzyć nazwisko?

- Hal Ambler. Dwadzieścia lat temu studiowaliśmy razem w Goddard College. Na pierwszym roku mieszkaliśmy w jednym pokoju. Rany, przecież byłem na twoim ślubie! Pamiętasz? Kiedy to ostatni raz wypiliśmy razem kielicha, Dylan? Dawno temu, co?

- Nie kupuję nic przez telefon, zwłaszcza od nieznanomych - uciął tamten. - Proponuję, żeby spróbował pan gdzie indziej.

Czyżby to nie ten Dylan Sutcliffe? Jego głos, to, co mówił i jak mówił, zupełnie nie przypominało tamtego Dylana.

71

- Ups! Przepraszam, może to jakaś pomyłka. Zatem nie studiował pan w Goddard, tak?

- Studiowałem, ale nie miałem na roku nikogo o nazwisku Hal Ambler. -

I trzask odkładanej słuchawki.

Rozdrażniony, rozgniewany i trochę wystraszony Ambler zadzwonił natychmiast do Goddard College i poprosił o połączenie z archiwum. Telefon, jak przypuszczał, odebrał ktoś młody. Hal przedstawił się jako kadrowy du-

żej krajowej firmy, przyszły pracodawca niejakiego Harrisona Amblera, wyjaśniając, że zgodnie z obowiązującą u nich polityką, chciałby zweryfikować dane z jego życiorysu i wystarczy mu w zasadzie telefoniczne potwierdzenie, iż Harrison Ambler rzeczywiście u nich studiował.

- Tak, oczywiście - odparł archiwista. - Zaraz sprawdzimy. - Poprosił

o przeliterowanie nazwiska i Hal usłyszał cichy stukot komputerowej klawiatury. - Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć?

Ambler zrobił to z narastającym niepokojem.

- Dobrze, że pan zadzwonił - powiedział tamten.

- Nie ukończył studiów?

- Nie, nie. Nikt o takim nazwisku w ogóle tu nie studiował.

- Czy to możliwe, żeby wasze archiwa nie obejmowały tamtych lat?

- Nie. To bardzo mały college, dlatego nie mamy takiego problemu. Proszę mi wierzyć: gdyby ten człowiek studiował tu w dowolnym okresie XX

wieku, na pewno bym o tym wiedział.

- Dziękuję - odrzekł głuchym głosem Hal. - Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi swój czas. - Wcisnął guzik i przerwał połączenie.

Obłąd!

Poczucie tego, kim był - czy to tylko jakieś urojenia? Czy to możliwe?

Zamknął na chwilę oczy, żeby przywołać niezliczone wspomnienia sprzed lat, żeby zawirowały mu w głowie. Wolne, chaotyczne skojarzenia: musiał

im ulec, musiał się im poddać. Wspomnienia - przecież je miał i wiedział, że są wspomnieniami Hala Amblera, chyba że naprawdę zwariował. Dzień, kiedy jako mały chłopiec badał podwórko i natknął się na podziemne gniazdo os -

ich rój wystrzelił w górę niczym czarno-żółty gejzer, a on skończył na oddziale urazowym z trzydziestoma ukąszeniami na ciele. Albo ten upalny li-piec, letni obóz - uczył się właśnie pływać motylkiem w jeziorze Candaiga, gdy zerknąwszy w stronę brzegu, zobaczył kawałek piersi Wendy Sullivan, ich opiekunki, która przebierała się w budce z zepsutymi drzwiami. Albo sierpień - miał wtedy piętnaście lat - gdy pracował w restauracji w lunapar-ku, szesnaście kilometrów za Camden: „A może podać do tego kolbę świe-

żej kukurydzy?" - kazali mu proponować to gościom, którzy zamówili jedy-72

nie pieczone żeberka z tłuczonymi ziemniakami. Poważne rozmowy po pracy z Julianną Daiches, kędzierzawym rudzielcem, który stacjonował w Fria-lator. Temat? Różnice między pettingiem lekkim i zaawansowanym. Były też wspomnienia mniej przyjemne, te związane z odejściem ojca, gdy miał

pięć czy sześć lat; i słabość rodziców do alkoholu, którzy na dnie butelki szukali pocieszenia. Całonocny poker na pierwszym roku studiów: powiększająca się sterta żetonów i narastająca konsternacja jego przeciwników ze starszych lat, którzy dawali głowę, że wpadł na niewykrywalny sposób oszukiwania. Pamiętał też drugi rok i swoją pierwszą wielką miłość: Boże, te zapierające dech w piersi spotkania, te łzy, te burzliwe awantury, wzajemne oskarżenia, cytrynowo-werbenowy zapach jej szamponu do włosów, taki wówczas egzotyczny, wspaniały; przez wiele lat budził w nim tęsknotę i no-stalgiczne wspomnienia.

Pamiętał, jak zwerbowano go do Wydziału Operacji Konsularnych, jak go szkolono, jak zafascynował ich jego szczególny dar. Praca pod przykrywką w wydziale kultury i oświaty Departamentu Stanu - jako urzędnik odpowiedzialny za wymiany kulturalne regularnie bywał za granicą. Pamiętał to wszystko dokładnie i wyraźnie. Prowadził podwójne życie? A może tylko miał podwój-ne urojenia? Gdy wychodził z pokoju, coś zaczęło pulsować mu w głowie.

W kącie pomieszczenia, które uchodziło za motelowy hol, stał komputer z dostępem do Internetu, ot, małe udogodnienie dla gości. Ambler usiadł

i korzystając z kodów dostępu biura analiz Departamentu Stanu, wszedł do prasowej bazy danych LexisNexis. Miejscowa gazeta z Camden w Delaware, gdzie dorastał, zamieściła kiedyś króciutką notkę, gdy jako szóstoklasista wygrał powiatowy konkurs ortograficzny. „Półsmętny owadożerca". „Otłu-czona otiatra". „Użać i zdziesięciokrotnić". Przesylabizował to wszystko płynnie i bez zająknięcia, zdobywając tytuł najlepszego „ortografa" nie tylko w szkole podstawowej w Camden, ale i w hrabstwie Kent. Ilekroć zrobił

błąd, natychmiast o tym wiedział: poznawał to po minie egzaminatora. Pamiętał też, że matka - ojca już wtedy nie było i wychowywała go sama ucieszyła się tak bardzo, że aż sztucznie. Ale chodziło wtedy o coś więcej niż tylko o egotyzm dziecka.

Przeszukał całą bazę.

I nic. Nic nie pasowało do opisu. A przecież tak wyraźnie pamiętał tę notkę. Pamiętał, że matka wycięła ją z „Dover Post” i przyczepiła magnesem do drzwi lodówki. Pamiętał, że magnes był w kształcie arbuza i że notka wisiała tam, dopóki nie zżółkła od słońca. W bazie danych znalazł kopie „Dover Post” z dziesiątków lat, archiwalne numery z wiadomościami o wyborach do rady miejskiej, o zwolnieniach w Robbins Hose Co. i o kapitalnym remoncie 73

ratusza. Ale Harrison Ambler – przynajmniej według bazy danych Nexis -

po prostu nie istniał. Ani wtedy, ani teraz.

Oblęd!

Lotnisko, znajoma dżungla z lastryko, stali i szkła, znajome wrażenie, że jest to miejsce w pełni obsadzone wykwalifikowanym personelem. Gdziekolwiek się obrócił, wszędzie widział jakichś pracowników, ochroniarzy czy bagażowych, ludzi z identyfikatorami i w stosownych mundurach. Doszedł

do wniosku, że jest to coś pośredniego między halą pocztową a kurortem wypoczynkowym.

Kupił bilet do Wilmington, w jedną stronę, za sto pięćdziesiąt dolarów. Sto pięćdziesiąt dolarów za spotkanie. Nieźle. Robił wrażenie równie znudzone-go jak kobieta w okienku, która podbijając kartę pokładową, z trudem stłumiła ziewnięcie. Gdyby dokładniej obejrzała dokument, który jej pokazał -

prawo jazdy z Georgii ze zdjęciem nowego właściciela - pewnie zaczęłaby coś podejrzewać. Ale ona nawet na nie nie spojrzała.

Brama C19 była na samym końcu długiego korytarza i sąsiadowała z dwiema innymi promieniście rozłokowanymi bramami. Ambler rozejrzał się: zaledwie dziewięciu, dziesięciu pasażerów. Wpół do trzeciej. Tłoczniej zrobi się dopiero za półtorej godziny, bo właśnie wtedy odlatywał stąd najbliższy samolot. Za pół godziny zjawią się pewnie pasażerowie do Pittsburgha, ale w tej chwili panował tu martwy sezon.

Czy ten, z którym miał się spotkać, już tu był? Prawdopodobnie tak. Tylko gdzie? „Pozna mnie pan”, tak napisał.

Hal obszedł wszystkie poczekalnie, obserwując leniwych maruderów i ranne ptaszki. Gruba kobieta karmiąca cukierkami swoją pulchną córeczkę. Męż-

czynna w źle dopasowanym garniturze przeglądający prezentację na laptopie. I jakaś dziewczyna:

naszpikowana kolczykami twarz, popisane kolorowymi mazakami dzinsy. Nie, to żadne z nich. Narastała frustracja. „Pozna mnie pan”.

W końcu jego wzrok spoczął na kimś, kto siedział pod oknem.

Sikh w turbanie. Poruszał ustami, czytając „USA Today”. Podeszedłszy bli-

żej, Hal stwierdził, że mężczyzna jest chyba łysy, bo spod turbanu nie wystawał mu nawet pojedynczy kosmyk włosów. I że na policzku widać leciutki ślad po kleju, co wskazywałoby, że ma sztuczną brodę. Czy naprawdę poruszał

ustami, czytając, czy mówił do ukrytego mikrofonu światłowodowego?

Postronny obserwator uznałby pewnie, że jest to człowiek spokojny, zrównoważony i znudzony. Ambler jednak wyczuł, że jest wprost przeciwnie.

Pod wpływem impulsu gwałtownie zawrócił, stanął tuż za nim i błyskawicz-74

nym ruchem ręki zerwał mu turban z głowy. Błada, dokładnie ogolona skóra.

I przyklejony plastrem glock.

Już z pistoletem w ręku, Hal opuścił turban i znieruchomiał. Mężczyzna ani drgnął, zachowując taktyczną bierność i milczenie dobrze wyszkolonego zawodowca, który doskonale wie, kiedy rozsądniej jest nie reagować. Jedynie lekkim uniesieniem brwi zasygnalizował zaskoczenie. Cały ten bezgłoś-

ny manewr trwał nie więcej niż dwie sekundy, a ponieważ Ambler zasłaniał

sikha swoim ciałem, nikt niczego nie zauważył.

Glock był zadziwiająco lekki i Hal natychmiast rozpoznał ten model. Korpus pistoletu wykonano z plastiku i materiałów ceramicznych, a zamek zawierał mniej metalu niż klamra typowego paska. Prawdopodobieństwo tego, że broń uruchomiłaby alarm w bramkach bezpieczeństwa, było niewielkie; tego zaś, że straż ochrony wewnętrznej zainteresowałaby się religijnym strojem sikha i zawarto-

ścią jego turbanu, jeszcze mniejsze. Tubka brązowego podkładu i metr muślinu: tanie, ale jakże skuteczne przebranie. Staranność, z jaką zaplanowano i zorganizowano spotkanie, wzbudziła w nim zarówno podziw, jak i niepokój.

- Brawo - powiedział sikh niskim głosem, unosząc w uśmiechu kąciki ust. - Nie, żeby cokolwiek to zmieniało. - Spółgłoski wymawiał bardzo do-kładnie, jak ktoś, kto uczył się angielskiego za granicą, i to już od wczesnego dzieciństwa.

- Czyżby? odparł Ambler. - To ja mam teraz broń. Według mnie, zmienia.

Czasami bywa tak, że najlepszy użytek z broni robi się, oddając ją przeciwnikowi zripostował tamten z błyskiem rozbawienia w oczach. - Widzi pan mężczyznę w niebieskim mundurze za ladą przy tamtej bramie? Właśnie przyszedł.

Ambler zerknął przez ramię.

- Widzę.

- To jeden z naszych. W razie potrzeby bez wahania pana zastrzeli. - Sikh podniósł wzrok i spojrzał na wciąż stojącego Amblera. Wierzy mi pan? -

Rzekomy Hindus bynajmniej się z nim nie drażnił on go sprawdzał.

- Wierzę, że spróbuje. Ale oby chybił, dla twego dobra.

Fałszywy sikh pochwalił te słowa lekkim skinieniem głowy.

- Ale w przeciwieństwie do pana, mam na sobie kamizelkę kuloodporną.

— Ponownie podniósł wzrok. - A teraz? Wierzy mi pan?

- Nie odrzekł po krótkim namyśle Hal. - Nie wierzę.

Sikh rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- Tarkwiniusz, prawda? Nie jest pan listonoszem, tylko przesyłką. Pańska reputacja pana wyprzedza. Podobno ma pan niezwykły dar czytania w ludzkich myślach. Musiałem się upewnić.

75

Ambler usiadł obok niego; tym sposobem mniej rzucali się w oczy. Cokolwiek dla niego zaplanowali, na pewno nie była to szybka śmierć.

- Chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia - odparł. - Nie sądzi pan?

Sikh wyciągnął do niego rękę.

- Arkady. Widzi pan, doniesiono mi, że na rynku pojawił się legendarny agent, niejaki Tarkwiniusz...

:: . > - Na rynku?

- Tak, werbunkowym. Ale nie, nie znam pańskiego prawdziwego nazwiska. Wiem, że szuka pan pewnych informacji. Ja ich nie mam. Ale mam do nich dostęp. A raczej dostęp do tych, którzy je posiadają. - Arkady wystrzelił

palcami. - A raczej dostęp do tych z dostępem do ludzi, którzy weszli w ich posiadanie. Byłby pan zaskoczony, wiedząc, jak zmyślnie podzieliliśmy i rozczłonkowaliśmy naszą organizację. Informacje płyną tylko tam, gdzie muszą.

Mocno skupiony Ambler uważnie go obserwował. Wiedział, że nadzieja często przytępia zmysł trzeźwego postrzegania, podobnie jak rozpacz. Za-skoczonym jego darem kolegom zawsze powtarzał: „Nie widzimy tego, czego nie chcemy zobaczyć. Przestańcie chcieć. Zapomnijcie o swoich oczekiwaniach. Po prostu odbierajcie sygnały. Oto rozwiązanie zagadki”.

Sikh kłamał. Ale jego okłamać nie mógł.

- Muszę przyznać, że szybkość, z jaką wysłaliście mi zaproszenie, jest zaskakująca.

Nie lubimy tracić czasu. Pan chyba też; mamy ze sobą coś wspólnego.

Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj, jak mówią Amerykanie. Komunikat wysłano wczoraj rano... - „Komunikat”, firmowy żargon: ostrzeżenie rozesłane do wszystkich służb wywiadowczych w kraju. Była to bardzo nieszczelna forma łączności i korzystano z niej jedynie wtedy, gdy szybkość była ważniejsza od bezpieczeństwa. Wiadomość, która trafia do stu uszu naraz, może trafić do uszu kogoś, kto podsłuchuje.

- Wszystko jedno - odparł Ambler.

- Myślę, że potrafi pan połączyć kropki na papierze. Pańscy wielbicieli najwyraźniej czekali na tę chwilę. Jest całkiem prawdopodobne, że chcieli pana zwerbować jeszcze przed pańskim zniknięciem. I bez wątplenia wiedzą, że konkurencja nie śpi. Nie chcą niczego przegapić.

„Najwyraźniej”, „całkiem prawdopodobne”, „bez wątplenia”.

- To są tylko domysły - odrzekł Ambler. - A nie fakty.

- Jak już wspominałem, każdy członek naszej organizacji wie tylko tyle, ile musi. Ja też. Owszem, mogę się czegoś domyślać. Ale wielu rzeczy po prostu nie wiem i musi mi to wystarczyć. Ten system pracuje dla nas wszystkich. Zapewnia bezpieczeństwo i im, i mnie.

- Być może, ale pan to nie ja. Jeden z waszych próbował mnie zabić.

Arkady był wyraźnie skonsternowany.

- To absurd.

- Możliwe, bo pewien krzepki snajper z Południa też był zaskoczony na chwilę przed tym, gdy kula przebiła mu potylicę - wychrypiał niskim głosem Ambler. - To jakieś szaleństwo, w co wy gracie?

- To nie my - odparł Arkady. I jakby do siebie wymamrotał-. - Wygląda na to, że ktoś się wtrąca w nie swoje sprawy. Że nie tylko my zareagowaliśmy na komunikat...

- Chce pan powiedzieć, że jest i trzeci gracz?

- Wszystko na to wskazuje - odrzekł po namyśle Arkady. - Przeanalizuje-my to i sprawdzimy, czy nikt niczego nie wygadał. Ale myślę, że były to tylko odwiedziny jakiegoś drobnego... pasożyta. To się już nie powtórzy.

Kiedy będzie pan z nami, ten pasożyt już pana nie odwiedzi.

- To groźba czy obietnica?

Arkady aż drgnął.

- Mój Boże. Wstaliśmy dzisiaj lewą nogą, prawda? Powiem panu jedno.

Moi pracodawcy bardzo chcą zapewnić panu poczucie bezpieczeństwa, ale tylko pod warunkiem, że zrewanżuje się pan tym samym. Zaufanie musi obowiązywać i jedną, i drugą stronę.

- Mogą mi zaufać, ale to też kwestia wiary - odparł niewzruszony Am-V

bler.

- Rzecz w tym, że oni nie wierzą nikomu na słowo - odrzekł przeproszająco Arkady. - Wiem, to takie nudne. Nie, moi pracodawcy mają inny pomysł. Chcą upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Przygotowali dla pana małe zadanko.

Ambler zwrócił uwagę na to, jak Arkady wymawia dwugłoski i doszedł do wniosku, że musi być Słowianinem.

- Aha, coś w rodzaju egzaminu.

- Właśnie! - Arkademu wyjaśniały oczy. - Jaki egzamin byłby korzystny zarówno dla pana, jak i dla nas. To zadanie niewielkie, lecz dość... drażliwe.

- Drażliwe?

- Nie będę pana okłamywał, bo i po co? - Arkady promieniał. Zadanie jest niewielkie, lecz inni sobie z nim nie poradzili. A wykonać je trzeba.

Widzi pan, moi pracodawcy mają pewien problem. To bardzo ostrożni ludzie; sam się pan o tym przekona i na pewno pan to doceni. Ciągnie swój do swego, jak głosi maksyma. Ale ich przyjaciele? Może nie wszyscy są tacy ostrożni? Może ktoś spenetrował szeregi ich kolegów? Nie wszystko złoto, co się świeci, niestety. Może ten ktoś, agent, który zebrał obciążające ich 77

dowody, ma wkrótce zeznawać przed sądem? To wszystko jest takie zagmatwane...

- Agent? Mówmy otwarcie. Mówi pan o tajnym agencie federalnym.

; - To bardzo niezręczna sytuacja, prawda? Tak, to agent ATF.

Jeśli ATF, jeśli agent pracował w Biurze do Zwalczenia Nielegalnego Handlu Alkoholem, Tytoniem i Bronią, śledztwo dotyczyło najpewniej przemytu broni palnej. Co wcale nie znaczyło, że zajmuje się tym organizacja Arkady'ego; powiedział: „koleczy”. Nie, najprawdopodobniej chodziło o to, że w pułapkę wpadli ludzie zaopatrujący ich w broń.

- Pewnego dnia ten człowiek umrze - kontynuował w zadumie Arkady. -

Dostanie wylewu. Ataku serca. Zachoruje na raka. Któż to może wiedzieć?

Ale podobnie jak my wszyscy jest istotą śmiertelną i pewnego dnia umrze.

A my po prostu chcemy tę śmierć przyspieszyć. To wszystko.

- Ale dlaczego akurat ja?

Sikh zrobił minę.

- To naprawdę krępujące...

Ambler czekał.

- Cóż, widzi pan, nie wiemy nawet, jak on wygląda. Ryzyko zawodowe, prawda? Osoba, z którą robił interesy, nie jest w stanie nam pomóc...

- Bo nie żyje?

- Powód jest zupełnie nieistotny; nie traćmy z oczu tego, co najważniejsze.

Wiemy gdzie i wiemy kiedy, ale nie chcemy zlikwidować niewłaściwego człowieka. Nie chcemy popełnić błędu. Widzi pan, jacy jesteśmy skrupulatni? Niektórzy skosiliby po prostu wszystkich w okolicy. Niektórzy, ale nie my.

- Uważaj, Matko Tereso.

- Tarkwiniuszu, nie twierdzę, że aspirujemy do miana świętych. Jakkolwiek na to patrzeć, pan też nie jest świętym. - Arkady błysnął ciemnymi oczami. - Wracając do rzeczy: pan natychmiast go rozpozna. Ponieważ będąc celem, ten człowiek wie, że nim jest. A pan takie rzeczy momentalnie zauważa.

- Rozumiem - powiedział Ambler i rzeczywiście zrozumiał, a przynajmniej zaczynał rozumieć. Jego usług potrzebowała jakaś mętna, podziemna organizacja. Chcieli mu zrobić egzamin, lecz nie chodziło im wcale o spraw-dzenie, czy rzeczywiście potrafi czytać komuś w myślach. Nie, zabijając agenta federalnego, dowiódłby swojej lojalności, tego, że zerwał wszelkie więzy z byłymi pracodawcami, że zapomniał o zwykłej moralności. Założyli - pewnie nie bez podstaw - że jest wystarczająco rozgoryczony i zniechęcony, żeby powierzyć mu to zadanie.

Może źle ich poinformowano. Z drugiej strony, mogli po prostu wiedzieć więcej od niego - mogli wiedzieć choćby to, dlaczego trafił do ośrodka na 78

wyspie Parrish. Może rzeczywiście miał powody do rozgoryczenia, i to większe, niż przypuszczał.

- A więc? Umowa stoi?

Ambler myślał przez chwilę.

- A jeśli odmówią?

- Nigdy nic wiadomo, prawda? - Arkady uśmiechnął się leciutko. - Kto wie, może powinien pan odmówić. I ulec błogiej ignorancji. Są gorsze rzeczy. Ciekawość zabiła kota.

- A satysfakcja go ożywiła. - Niewiedza była jedyną rzeczą, której by nie zniósł. Musiał wiedzieć: musiał wymierzyć sprawiedliwość tym, którzy pró-

bowali zniszczyć mu życie. Ambler zerknął na mężczyznę w niebieskim mundurze za ladą przy bramie. - Chyba dobijemy targu.

To było szaleństwo, a zarazem jedyna rzecz, która mogła go przed szaleń-

stwem ochronić. Z dawnych, szkolnych lat pamiętał grecki mit o kreteńskim labiryncie, legowisku Minotaura. Labirynt był tak skomplikowany, że ci, któ-

rzy w nim utknęli, nie mogli znaleźć drogi powrotnej. Wszyscy oprócz Tezeusza, któremu pomogła Ariadna, dając mu kłębek nici i przywiązując jej koniec u wejścia do labiryntu. Tezeusz wszedł do środka i wrócił, właśnie dzięki tej nici. Taką nicią był teraz Arkady, fałszywy sikh, człowiek z lotniska. W przeciwieństwie do Tezeusza Ambler nie wiedział jednak, dokąd ten labirynt prowadzi i co go w nim czeka, wolność czy śmierć. Ale wolał już raczej zaryzykować, niż pozostać tam na wieki.

Arkady zaczął mówić tonem człowieka, który nauczył się na pamięć dokładnych wskazówek i poleceń.

Jutro o dziesiątej przed południem agent ma spotkanie z prokuratorem południowej dzielnicy Nowego Jorku. Przypuszczamy, że opancerzona limuzyna podrzuci go na róg St. Andrew's Plaża przy Foley Square na Dolnym Manhattanie. Możliwe, że ktoś będzie mu towarzyszył, a możliwe, że przyjedzie sam. Tak czy inaczej, jest to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy człowiek ten będzie musiał przejść piechotą prawie cały plac. Musi pan tam być.

- Bez żadnego wsparcia?

- Ktoś panu pomoże. W odpowiednim czasie przekaże panu broń. Reszta zależy od pana. Nalegamy tylko, żeby dokładnie wykonał pan wszystkie polecenia. To tak, jak prosić jazzmana, żeby zagrał z nut, zamiast improwizować. Wiem, zdaję sobie z tego sprawę, ale w tym przypadku o żadnej improwizacji nie może być mowy. Jak to mówicie? „Wszystko jedno, którądy tam dojedziesz, bylebyś jechał autostradą”. - Kolejny idiom, który Arkady przetłumaczył zapewne z oj-czystego języka i którego zrozumienie przysporzyło Amblerowi sporo trudno-

ści. - Musi pan przestrzegać wszystkich założeń planu, wszystkich szczegółów.

79

- To zły plan - zaprotestował Ambler. - Będę na widoku.

- Bardzo sobie cenimy pańskie doświadczenie i umiejętności, ale pan musi docenić nasze. Nie zna pan faktów. Moi pracodawcy je znają, dokładnie je przeanalizowali. Ten człowiek jest wyjątkowo ostrożny. Nie będzie chodził

ukradkiem pod mostami tylko po to, żeby było nam wygodniej. Co więcej, to dla nas niezwykła okazja. Kolejna nieprędko się nadarzy, a wtedy może być za późno.

- Widzę w tym mnóstwo potencjalnych problemów - nie ustępował Ambler.

- W każdej chwili może pan zrezygnować - odparł Arkady ze stalową nutką w głosie. - Ale jeśli wypełni pan zadanie zgodnie ze wszystkimi poleceniami, przedstawię pana mojemu zwierzchnikowi.

To ktoś, kogo pan zna.

Z kim pan pracował.

A więc ktoś, kto może wiedzieć, co tak naprawdę przydarzyło się Harrisonowi Amblerowi.

- Nie, nie zrezygnuję - odparł Hal. Nie wybiegał myślą naprzód, nie zastanawiał się, na co się godzi. Wiedział tylko, że jeśli upuści tę nić, już nigdy jej nie odnajdzie. Nić Ariadny - dokąd wiodła?

Arkady nachylił się i poklepał go po ramieniu. Z daleka robiło to wrażenie serdecznego gestu.

- Nie żądamy zbyt wiele. Pragniemy tylko, żeby udało się panu tam, gdzie inni zawiedli. I na pewno się uda. Nie pierwszy raz.

Nie, pomyślał Ambler. Ale teraz może to być ostatni.

Rozdział 7

Langley, Wirginia

Layton Caston wrócił do gabinetu pogrążony w głębokiej zadumie. Za-C gubiony w myślach? Nie, nie, doszedł do wniosku Adrian Choi. On się w myślach nie gubi, on się w nich odnajduje. Wygląda tak, jakby coś kombi-nował. Pewnie znowu chodzi mu po głowie jakiś arkusz kalkulacyjny, jak zwykle długi.

Tyle rzeczy w jego życiu miało związek z arkuszami i wydrukami. Nie, żeby Adrian do końca go rozgryzł. Zagadkowa była choćby sama jego nija-kość. Trudno było pojąć, że Caston wykonuje w sumie ten sam zawód co 80

choćby taki Derek St. John, zawadiacki bohater powieści sensacyjnych Clive'a McCarthy'ego, autora, którego Adrian bardzo lubił. Caston dałby mu niezły wycisk, gdyby kiedykolwiek odkrył, że jego podwładny ma w plecaku najnowsze czytadło z Derekiem St. Johnem i że przy śniadaniu przeczytał

prawie cały pierwszy rozdział. Głowica nuklearna ukryta we wraku „Lusitania” - przerwał lekturę w chwili, gdy nurkujący z aparatem powietrznym Derek St. John ledwo uniknął śmiertelnie granatu podwodnego, wystrzelonego przez agenta obcego wywiadu. Postanowił, że podczas godzinnej przerwy na lunch dokończy pierwszy rozdział i zacznie drugi; może nawet zdąży go przeczytać. Caston będzie pewnie czytał swój dziennik, „Księgo-wość, Kontrola i Finanse”.

To, że przydzielili go najnudniejszemu pracownikowi Centralnej Agencji Wywiadowczej, było chyba formą zasłużonej kary. Tak, bo Adrian zdawał

sobie sprawę, że podczas rozmowy kwalifikacyjnej zdrowo przesadził. Ci z kadr zrobili mu kawał i pewnie śmieją się teraz w kułak. Na pewno.

Zbłądził się i miał teraz za swoje. Jego szef przychodził do pracy w białej koszuli. Tylko w białej i zawsze w białej. Identyczne koszule, prawie identyczne krawaty i garnitury od Jos. A. Banka, identyczne w kroju, choć w róż-

nych odcieniach, od ekscytująco popielatego poczynając, na ciemnoszarym kończąc: prawdziwy szal! Adrian wiedział, że Caston nie pracuje w GQ, ale czy aby trochę nie przesadzał z tą monotonią? Nie dość, że monotonicznie wyglądał, to jeszcze monotonicznie jadł. Na lunch niezmiennie zamawiał jajko na miękko, lekko przypieczoną grzanekę, szklankę soku pomidorowego i zapijał

to wszystko łykiem maaloksa, tak na wszelki wypadek. Kiedyś, gdy poprosił

Adriana, żeby przyniósł mu lunch do gabinetu, i zamiast soku pomidorowego Adrian postawił przed nim szklankę red bulla, miał minę człowieka, któ-

rego zdradzono. Hej, od czasu do czasu trzeba pożyć niebezpiecznie, nie?

A propos niebezpieczeństwa: wyglądało na to, że najbardziej niebezpiecznym rodzajem broni, jakiego facet kiedykolwiek i gdziekolwiek użył, był

zaostrzony ołówek numer 2.

Mimo to były takie chwile, kiedy Adrian zastanawiał się, czy aby do końca go rozgryzł, czy Caston nie ma przypadkiem jakiegoś drugiego, ukrytego „ja”.

- Jakies polecenia? spytał jak zawsze z nadzieją.

- Tak - odparł Caston. - Tak. Wydział Operacji Konsularnych przysłał

nam zastrzeżone akta agenta o pseudonimie Tarkwiniusz, ale są niekompletne. Chcę mieć całość. Niech poszukają i przysła. Zezwolenie klasy pierwszej. Niech sprawdzą to u naczelnego, i do roboty.
- Mówił z leciutkim brook-

lińskim akcentem - Adrian wychwycił to dopiero po jakimś czasie - i z równą swobodą posługiwał się żargonem biurowo-technicznym i finansowym.

-

- Zaraz. - Adrian osłupiał. - Mówimy o zezwoleniu na dostęp do tajnych informacji? Ma pan... zezwolenie klasy pierwszej?

- Wydaje się że zależy od zadania. Ale tak, ja je mam.

Adrian z trudem ukrył zaskoczenie. Słyszał, że takie zezwolenie ma zaledwie kilkanaście osób w całej agencji. I Caston do nich należał?

Jeśli tak, to on, jego asystent, musiał przejść przez niezłe sito. No i musieli go dokładnie prześwietlić. Aż dostał rumieńców. Wiedział, że w przypadku nowych pracowników z dostępem do tajnych informacji robią to niejako automatycznie. Założyli mu podsłuch? Zanim ostatecznie przyjęto go do pracy, podpisał stos dokumentów i nie miał wątpliwości, że zrzekł się w nich prawa do prywatności przysługującego zwykłym obywatelom. Ale czy to możliwe, żeby go inwigilowano? Obserwowano? Myślał o tym przez chwilę i doszedł

do wniosku, że jeśli ma być wobec siebie całkowicie szczery, myśl ta była absolutnie rozkoszna.

- Poza tym potrzebuję więcej dokumentów z tego zakładu psychiatrycznego

- dodał Caston. I szybko zamrugał. - Chcę mieć akta osobowe wszystkich pracowników zatrudnionych na oddziale 4Z w ciągu ostatnich dwudziestu miesię-

cy: lekarzy, pielęgniarek, sanitariuszy, strażników i tak dalej. Wszystkich.

- Jeśli mają je w komputerze, mogą je przysłać zaszyfrowanym e-mailem

- odrzekł Adrian. - Niejako automatycznie.

- Zważywszy, że cyfrowe platformy operacyjne stosowane w rządowych komputerach przypominają uszytą ze skrawków narzutę, nic tu nie działa automatycznie. FBI, INS, a nawet głupi Departament Rolnictwa, wszyscy mają własne, niezależne od innych systemy. Rezultat? Zatrważający brak skuteczności działania.

- Poza tym niewykluczone, że część tych materiałów jest jeszcze na papierze - zauważył Adrian. - Jeśli tak, może to trochę potrwać.

- Nie mamy czasu. Musisz im to uświadomić.

Adrian milczał przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Proszę o pozwolenie na wypowiedź swobodną.

Caston przewrócił oczami.

- Adrian, jeśli lubisz prosić o pozwolenia, powinieneś być wstąpić do wojska. Pracujesz w CIA. My tego nie praktykujemy.

- To znaczy, że zawsze mogę mówić szczerze? I otwarcie?

Caston pokręcił głową.

- Chyba pomyliłeś nas z Amerykańskim Instytutem Kulinarnym. To się zdarza.

Czasami Adrian dawał głowę, że Caston nie ma poczucia humoru. Żadnego. Czasami zaś dochodził do wniosku, że owszem ma, sarkastyczne i oschłe, suche jak Dolina Śmierci.

82

- No, tak... - powiedział. - Mam wrażenie, że ci z konsularnego strasznie się guzdrzą. Nasza prośba chyba im nie w smak.

- Oczywiście, że nie. Gdyby było inaczej, musieliby przyznać, że CIA jest jedyną agencją wywiadowczą w tym kraju. To obraża ich poczucie dumy.

Ale ja nie potrafię posprzątać tego bałaganu. A przynajmniej nie dzisiaj.

Dlatego fakt pozostaje faktem: muszę liczyć na ich współpracę. A więc: musisz ich do niej zmusić. Bardzo na to liczę.

Adrian kiwnął głową, czując przyjemne mrowienie na karku. „Bardzo na to liczę”. Zabrzmiało to prawie jak: „Bardzo liczę na ciebie”.

Godzinę później z zakładu psychiatrycznego na wyspie Parrish przyszedł

duży spakowany i zaszyfrowany plik. Po rozpakowaniu i rozszyfrowaniu okazało się, że jest to plik audio.

- Znasz się na tym? - mruknął niechętnie Caston.

Owszem, Adrian się znał.

- To jest dwudziestoczerobitowy plik w profesjonalnie zintegrowanym formacie audio, konkretnie w formacie PARIS. Tak na oko, mamy tu pięciominutowe nagranie audiowizualne. - Skromnie wzruszył ramionami, przyjmując pochwałę, której Caston mu nie udzielił. - W ogólniaku byłem prezesem klu-bu audio-wideo. Jestem w tym mistrzem. Jeśli kiedykolwiek postanowi pan wejść na antenę z własnym programem, niech pan wali do mnie jak w dym.

- Spróbuję o tym pamiętać.

Wprowadziwszy do programu kilka poprawek, Adrian puścił nagranie na komputerze Castona. Był to zapis sesji psychiatrycznej z pacjentem numer 5312, która miała ocenić stan jego umysłu.

Wiedzieli, że ten człowiek był świetnie wyszkolonym i cennym agentem rządowym. Że po dwudziestu latach pracy w tajnych służbach zna niemal wszystkie tajemnice operacyjne: obowiązujące procedury, szyfry, kody, informatorów, agentów i siatki szpiegowskie, w których ci ludzie pracowali.

Tak więc był świetnie wyszkolonym agentem i jak wyraźnie wynikało z nagrania - osobnikiem kompletnie obłąkanym.

- Mam co do niego złe przeczucia - rzucił Adrian.

Caston zmarszczył brwi.

- Przeczucia? Znowu? Ile razy mam ci to powtarzać? Chcesz porozmawiać ze mną o logice, o konkretnych informacjach czy dowodach rzeczowych, proszę bardzo, wyłożę słuch. Wyrobiłeś sobie zdanie na jakiś temat? Natychmiast daj mi znać. Naszym kapitałem zakładowym jest wiarygodność, stopień wiarygodności, rozumiesz? Dlatego nie mów mi o „przeczuciach” czy „uczuciach”. Cieszę się, że masz uczucia. Ja też je mam, chociaż można by z tym polemizować. Ale ja nie obnoszę się z nimi w biurze. Już to przerabialiśmy.

- Przepraszam - odparł Adrian. - Ale myśl, że ktoś taki przebywa na wolności...

- Już niedługo - mruknął Caston bardziej do siebie niż do niego. I jeszcze ciszej powtórzył: - Już niedługo.

Pekin, Chiny

Jako szef drugiego departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego - departamentu zajmującego się operacjami zagranicznymi - Chao Tang bywał w Zhongnanhai dość regularnie, mimo to zawsze wchodził tam z bi-ciem serca. Tyle historii w jednym miejscu. Tyle nadziei i rozczarowań, tyle osiągnięć i klęsk. Świadomość ta towarzyszyła mu na każdym kroku niczym cień.

Zhongnanhai, znane również jako Nadmorskie Pałace, było stolicą w stoli-cy. Ten olbrzymi, dobrze strzeżony kompleks, gdzie mieszkali i skąd rządili najwyżsi chińscy przywódcy, był symbolem imperium, odkąd - za dynastii Yuan w XIV wieku - Mongołowie obwarowali go murami. Z biegiem stuleci cesarze z kolejnych dynastii powiększyli go i rozbudowali, wznosząc nowe, potężne gmachy; jedni robili to w pogoni za władzą, inni dla przyjemności.

Wszystkie budowle stały nad wielkimi, sztucznymi jeziorami w leśno-wiejskim, iście arkadyjskim splendorze. W 1949 roku, gdy po absolutną władzę nad krajem sięgnął Mao, kompleks, który zdążył już popaść w ruinę, ponownie odbudowano. I tak komunistyczni władcy Chin znaleźli nowy dom.

To, co niegdyś było dokładnym, starannie ukształtowanym odzwierciedle-niem natury, musiało ustąpić miejsca praktycznym betonowym alejom i par-kingom; ekstrawagancka finezja minionych stuleci uległa szarej, posępnej scenerii, typowej dla państw bloku wschodniego. Jednak były to tylko drobne zabiegi kosmetyczne, gdyż okazało się, że rewolucjoniści są wierni starym tradycjom odosobnienia i tajemnicy. Chao często zadawał sobie pytanie, czy tradycje te nie legną w gruzach pod rządami człowieka, który zamierzał je zmienić: pod rządami młodego prezydenta Chin Liu Anga.

Pamiętał, że to sam prezydent chciał tu zamieszkać; jego bezpośredni poprzednik nie mieszkał w Zhongnanhai, tylko w dobrze strzeżonej rezydencji.

Aie Liu Ang chciał przebywać tam, gdzie przebywali rządzący krajem nota-ble, i miał ku temu dobre powody: wierzył w swój dar perswazji i był przekonany, że potrafi zdławić ewentualny opór metodą nieformalnych wizyt, prze-chadzek po cichych, pięknie utrzymanych zagajnikach i niespodziewanych zaproszeń na podwieczorek.

Jednak to spotkanie nie było ani nieformalne, ani niespodziewane. Było spotkaniem, które na Angu wymuszono, i zrobili to nie jego przeciwnicy, lecz zwolennicy. Gra toczyła się bowiem o bardzo

wysoką stawkę, o jego przetrwanie, o przyszłość najliczniejszego narodu świata.

Pięciu z sześciu mężczyzn siedzących przy stole z czarnej laki na pierwszym piętrze prezydenckiej rezydencji paraliżował strach. Mimo to sam prezydent nie traktował zagrożeń poważnie. Chao poznał to po jego oczach: tak, miał ich za przerażonych starców. Tu, w tym małym, granitowym gmachu, stojącym w cieniu Pałacu Współczucia, trudno mu było zrozumieć, jak bardzo jest bezbronny. Dlatego musieli, po prostu musieli mu to uzmysłować.

Raporty wywiadowcze były mroczne i wciąż niejednoznaczne, lecz gdyby porównać je z raportami kolegów z departamentu pierwszego, specjalistów od wywiadu wewnętrznego, mrok momentalnie by zgęstniał, ustępując miejsca złowieszczej nocy.

Cichy, szczupły mężczyzna siedzący po prawej stronie Liu Anga zerknął

na towarzysza Chao, spojrział na prezydenta i odchrząknął.

- Panie prezydencie - zaczął. - Proszę wybaczyć, że mówię tak otwarcie, ale co nam przyjdzie z pańskich planów, skoro nie dożyje pan ich realizacji?

- Był doradcą do spraw bezpieczeństwa i podobnie jak Chao, pracował

w MBP, tyle że w wydziale spraw wewnętrznych. - Żółw jaszczurowaty jest groźny: chcesz bezpiecznie popływać, usuń go basenu. Chcesz mieć przejrzystą wodę w sadzawce, dobrze ją przefiltruj. Chcesz zrywać chryzantemy w ogródku, wyrwij jadowite pnącze. Chcesz...

Zebrać ziarno rozsądku, wyleń metafory - przerwał mu z uśmiechem Ang. Nie, nie, wiem, co chcesz powiedzieć. Ciągłe do tego wracasz. Ale moja odpowiedź pozostaje niezmienna. - I stanowczym głosem dodał: -

Strach mnie nie sparaliżuje. Nie zamierzam podejmować żadnych kroków tylko na podstawie podejrzeń, nie dysponując konkretnymi dowodami. Gdybym to zrobił, nie różniłbym się od moich wrogów.

- Będziesz tu siedział i rozprawiał o wzniosłych ideałach, tymczasem wrogowie cię zniszczą! - Nie wytrzymał Chao. - A wtedy tak, rzeczywiście, łatwo cię będzie od nich odróżnić, bo oni zwyciężą, a ty zostaniesz pokona-ny! -- Mówił żarliwie i szczerze. Ang zawsze nalegał na szczerłość; żarliwość jej tylko towarzyszyła.

- Niektórzy z moich przeciwników to ludzie głębokich zasad - odparł

prezydent, nie podnosząc głosu. - Ludzie, którzy miłują stabilizację i uważają, że jej zagrozam. Gdy przekonają się, że jest inaczej, ich opór osłabnie.

Często podkreślał, że czas jest po jego stronie. Chciał przeforsować tempo 85

reform, wprowadzając w życie swoje plany i udowadniając wszem wobec, że nie wywoła to społecznego chaosu.

- Mylisz szermierkę słowną z walką na noże! - zripostował Chao. - To są potężni ludzie - zasiadają nawet w radach państwowych! - dla których prawdziwym wrogiem jest zmiana, jakakolwiek zmiana. - Nie musiał tego rozwijać. Wszyscy wiedzieli o twardogłowych, którzy sprzeciwiali się wszelkim pró-

bom masowego marszu w stronę jawności, uczciwości i wydajności, czerpiąc korzyści z ich braku. To właśnie oni zrobili pośmiewisko z Pałacu Współczucia. Szczególnie niebezpieczni byli ci z rządzących krajem komitetów, z Chiń-

skiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, ludzie, którzy objęli te stanowiska na prośbę Anga, myśląc, że będą mogli go kontrolować; mówiono, że zapewniał ich o tym jego protektor, wice-przewodniczący Komunistycznej Partii Chin. Gdy okazało się, że prezydent nie zamierza być niczyją marionetką, ich niezadowolenie przerodziło się w poczucie zdrady. Jak dotąd żaden z nich nie odważył się wystąpić przeciwko niemu publicznie, gdyż otwarty atak na kogoś tak popularnego doprowadziłby do społecznego buntu, do prawdziwego trzęsienia ziemi. Ale przez cały czas uważnie go obserwowali, przez cały czas czekali na odpowiednią chwilę i coraz bardziej się niecierpliwi. Ich niewielka grupa uznała, że prezydent zdobywa coraz większą władzę i muszą działać, zanim będzie za późno.

- Wy, którzy twierdzicie, że jesteście wobec mnie lojalni - zaprotestował

Ang. - Dlaczego próbujecie zrobić ze mnie coś, czym gardzę? Mówią, że władza korumpuje, nie mówią tylko jak. Ale ja już wiem jak: właśnie tak.

Reformatorzy zaczynają słuchać podszeptów strachu. Ja ich słuchać nie będę.

Chao omal nie grzmotnął pięścią w stół.

- Czyżbyś był niezniszczalny? - rzucił, gniewnie błyskając oczami. - Czy wymierzona w twój reformatorski mózg kula odbije się od czaszki? Jeśli ktoś zechce poderżnąć ci twoje reformatorskie gardło, czy jego nóż ześli-zgnie się po skórze? Podszeptów strachu, powiadasz? A może raczej podszeptów zdrowego rozsądku!

Chao był mu całkowicie oddany zarówno jako przyjaciel, jak i profesjonalista i wielu stronników prezydenta nie mogło tego pojąć. Jak na kogoś, kto przepracował dziesiątki lat w chińskim wywiadzie, zupełnie nie pasował do profilu zagorzałych zwolenników Anga. Ale Chao szanował jego prawość i elastyczność na długo przed tym, gdy wybrano go na stanowisko sekretarza generalnego Narodowego Kongresu Ludowego i na stanowisko przewodniczącego Stałego Komitetu NKL. Uważał, że cechy te są najlepszymi cechami chińskiego charakteru. A to, że od lat miał do czynienia z partyjnymi kadrami, całkowicie pozbawiło go iluzji co do prawdziwego oblicza aparatu,

który prezydent chciał rozmontować. Aparat ten bowiem wspierał lenistwo, próżniactwo, kumoterstwo i zaściankowość - doprowadził do tego, że ludzie zaczęli oszukiwać samych siebie. Oszukiwać samego siebie: według Chao był to grzech największy z możliwych.

Stąd wypływało jego zaciętrzewienie. Ale wbrew temu, co mówił prezydent, Chao nie chciał, żeby Ang się zmienił: chciał, żeby po prostu przetrwał, żeby przeżył. Odpierając ten agresywny atak uprzedzający, wiedział, że prezydent może odebrać go jako przejaw despotyzmu, ale nawet jeśli tak, despotyzm ten miał służyć większemu dobru.

- Dobrze wiecie, że towarzysz Chao i ja nie zgadzamy się ze sobą w wielu sprawach - odezwał się pięćdziesięcioletni Wan Tsai; nosił okulary w drucianej oprawce, które jeszcze bardziej powiększały jego już i tak duże oczy.

- Ale w tej sprawie całkowicie podzielam jego zdanie. Trzeba zachować ostrożność. - Wan Tsai był ekonomistą i jednym z najstarszych przyjaciół

prezydenta. To właśnie on, jeszcze jako młody człowiek, namówił Anga do pracy od wewnątrz, przekonując go, że cios zadany od środka będzie miał

znacznie większą siłę rażenia. W przeciwieństwie do pozostałych doradców nigdy nie martwił się tempem zainicjowanych przez niego reform. Co wię-

cej, niecierpliwie nawoływał, że trzeba je zwiększyć.

- Zostawmy te eufemizmy - powiedział z wyrzutem prezydent. - Chcecie, żebym zrobił czystkę.

- Żebyś wyrwał nielojalne chwasty! - wykrzyknął Wan Tsai. - Tokwestia samoobrony!

Prezydent przeszył go ostrym spojrzeniem.

- A nasz wielki mędrzec Mencjusz pyta: Cóż nam po samoobronie kosztem własnego „ja”?

- Nie chcesz się ubrudzić. - Chao lekko się zaczerwienił. - Chcesz mieć czyste ręce. Już wkrótce wszyscy będąje podziwiali: na twoim pogrzebie! Zawsze był dumny ze swego opanowania, ale teraz oddychał głośno i coraz szybciej. -

Przyznaję, że nie znam się na prawie, ekonomii i filozofii. Ale znam się na sprawach bezpieczeństwa, bo prawie całe życie pracowałem w MBP. A Mencjusz powiedział też, że człowiek rozważny słucha osła mówiącego o osłach.

- Ty nie jesteś osłem - odparował z lekkim uśmiechem Ang.

- A ty rozważnym człowiekiem - zripostował Chao.

Podobnie jak pozostali doradcy zasiadający przy czarnym stole, Chao nie tylko dostrzegł drzemiący

w Angu potencjał, ale i pomógł mu samemu go dostrzec. On i jego koledzy mieli osobisty interes w tym, żeby Angowi się powiodło. W historii Chin byli już ludzie jemu podobni, lecz dotąd żadnemu się nie udało.

Fakt, że młodego prezydenta - Ang miał czterdzieści trzy lata, dużo mniej niż jego poprzednicy, a wyglądał jeszcze młodziej - uwielbiały miliony ludzi mieszkających za murami Zhongnanhai, miał bardzo różne konsekwencje, gdyż uwielbienie to - podobnie jak entuzjazm, z jakim pisały o Angu zachodnie media - jeszcze bardziej wzmagало podejrzliwość twardogłowych.

A jego reformy zrobiłyby z nich zaciekle wrogów. Już po dwóch latach rządów dał się poznać jako gorący zwolennik liberalizmu, potwierdzając liczne obawy otaczających go zwolenników. Dla wielu był źródłem natchnienia.

Jednak wśród twardogłowych wzbudzał jedynie lęk i nienawiść.

Zachodni dziennikarze szybko przypisali politykę, którą prowadził, jego pochodzeniu społecznemu. Zrobili wiele szumu wokół tego, że protestował

kiedyś na placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie, że jako pierwszy z tej grupy ludzi awansował do wyższych szeregów partii. Nie omieszkali też odnotować, że jest pierwszy chińskim przywódcą, który kształcił się za granicą, nadając przesadne znaczenie temu, że przez rok studiował w MIT. Spekulowali, że jego prozachodnie sympatie dodatkowo wzmocniła przyjaźń z ludźmi, których tam poznał. Współtowarzysze z kolei uważali, że fakt ten przytępił jego zdolność do poprawnej oceny sytuacji. Chińczyków, którzy przez jakiś czas przebywali za granicą, nazywano *hai gui*, „żółwiami mor-skimi” - specyficzna gra słów, gdyż określenie to może również oznaczać

„powracającego z morza”. Podejrzliwi Chińczycy, wrogo nastawieni do kosmopolityzmu *hai gui*, przybrali miano *tu bie*, „żółwi miejscowych”. Dla wielu z nich walka o wpływy z *hai gui* miała być walką na śmierć i życie.

- Dobrze mnie zrozumcie - kontynuował ponuro Ang. - Nie lekceważę problemów, które podnosicie.
- Wskazał w stronę okna wychodzącego na malowniczą wysepkę na Jeziorze Południowym, która była teraz pokryta szarym śniegiem i oświetlona przez latarnie. - Ilekroć na nią patrzę, zawsze widzę miejsce, gdzie uwięziono mojego poprzednika, cesarza Kuang-hsu.

Spotkała go kara za próbę wprowadzenia Reform Stu Dni. Tak samo jak ja, był zarówno idealistą, jak i realistą. To, co obaliło go przed stu laty, dziś może obalić mnie. Nie ma chwili, żebym o tym nie pamiętał.

A zdarzyło się to w 1898 roku, radykalna zmiana polityki, zmiana, która utorowała drogę masowym niepokojom społecznym sto lat później. Cesarz, poruszony zacofaniem kraju i zainspirowany radą Kang Yu-weia, gubernato-ra i wielkiego uczonego zarazem, zrobił coś, na co nie powążył się żaden z jego poprzedników. W ciągu stu dni wydał serię dekretów, które miały przekształcić Chiny w nowoczesne państwo konstytucyjne. Ale wielkie, wzniosłe nadzieje i aspiracje legły wkrótce w gruzach. Trzy miesiące później po-pierana przez generałów cesarzowa wdowa kazała uwięzić cesarza, swego 88

siostrzeńca, na tak zwanym Jeziorze Południowym i przywrócić dawny po-rządek. Zwolennicy odwiecznych przywilejów uznali, że reformy są zbyt groźne, i odnieśli zwycięstwo, utrzymując się u władzy - do czasu, gdy ich krótkowzroczna polityka restauracji musiała ulec pod naporem sił rewolucji o wiele gwałtowniejszej i bardziej bezwzględnej, niż mógł to przewidzieć zdetronizowany cesarz i jego doradca.

- Ale Kang był uczonym bez społecznego poparcia - zauważył ze spuszczonego wzrokiem chudy mężczyzna na końcu stołu. - Ty jesteś wiarygodny zarówno politycznie, jak i intelektualnie. A przez to jeszcze groźniejszy.

- Dość tego! - uciał prezydent. - Nie mogę zrobić tego, czego ode mnie żądacie. Mówicie, że tylko w ten sposób mogę obronić swoją pozycję. Ale jeśli ucieknę się do czystek, jeśli zniszczę przeciwników tylko dlatego, że nimi są, moja administracja nie będzie warta obrony. Można iść tą drogą z wielu wzniosłych powodów. Ale ta droga nie ma odgałęzień i prowadzi tylko do jednego: do tyranii. - Ang zrobił krótką przerwę. - Tych, którzy są mi przeciwni z zasady, będę próbował przekonać. Natomiast ci, którymi kierują motywy bardziej przyziemne... Cóż, to zwykli oportuniści i jeśli uda mi się przeforsować moją politykę, zrobią to, co zawsze. Sprawdzą, z której strony wieje wiatr, i odpowiednio się ustawią. Sami zobaczcie.

- Przemawia przez ciebie pokora czy pycha? - spytał mężczyzna siedzący na końcu stołu. Li Pei. Miał siwe włosy i twarz pomarszczoną i poprzecinaną żyłkami jak skorupa orzecha. Był całe pokolenie starszy od pozostałych i należał do najbardziej osobliwych stronników Anga. Pochodził z biednej, chłopskiej rodziny, dlatego szybko przyłgnął do niego przydomek *jiaohua de nongmin*, „chytry wieśniak”. Jako wytrawny gracz polityczny, obdarzony nieprawdopodobnym zmysłem przetrwania, mieszkał w Zhongnanhai od lat, czy to jako członek Rady Państwa, czy jako wpływowy członek partii, prze-trzymując i samego Mao, i jego następców. Rewolucja kulturalna, jej upadek, zamieszki, masakry, tysiące ideologicznych kursów, tysiące wprowadzanych do nich zmian - Li Pei przetrwał wszystko. Wielu uważało, że jest po prostu cynikiem, który potrafi dostosować się do każdego, kto jest aktualnie u władzy. Ale była to tylko część prawdy. Podobnie jak większość kąśliwych cyników Pei był też urażonym idealistą.

Liu Ang wypił łyk zielonej herbaty.

- Być może zgrzeszyłem zarówno pokorą, jak i pychą - odparł. - Ale na pewno nie ignorancją. Wiem, czym ryzykuję.

Odezwał się kolejny cichy głos:

- Nie powinniśmy patrzeć jedynie na siebie. Napoleon powiedział: „Po-zwólmy Chinom spać, bo gdy się obudzą, zadrżą wszystkie narody”. Wśród 89

twoich wrogów są obcokrajowcy, którzy nie życzą dobrze Państwu Środka.

Boją się, że pod twoimi rządami Chiny już nigdy nie zasną.

- To nie są tylko teoretyczne rozważania - wtrącił poirytowany Chao Tang.

- Raporty wywiadowcze, na które się powołuję, są bardzo niepokojące. Zapomniałeś już, co się stało z Wai-Chan Leungiem na Tajwanie? Wielu widziało w nim twoją pokrewną duszę i zobacz, jak skończył. Kto wie, może będziesz musiał stawić czoło tym samym wrogom co on, tym, którzy bardziej obawiają się pokoju niż wojny. Grozi ci realne niebezpieczeństwo. Jak już wspomniałem, całkiem niewykluczone, że już teraz niektórzy knują przeciwko tobie spisek.

- Spisek? - powtórzył Ang. - Ale jaki? Ostrzegasz mnie przed międzynarodową znową, ale tak naprawdę nie wiesz, kim ci spiskowcy są i jakie mają plany. Mówienie ogólnikami to miotanie słowami.

- A więc chcesz konkretów? - spytał Chao. - Faktów pewnych i spraw-dzonych? Fakty są pewne i sprawdzone dopiero wtedy, gdy jest już za późno.

Gdybyśmy znali szczegóły spisku, już dawno byśmy go zlikwidowali. Za dużo jest szeptów, za dużo poszlak i niejasnych aluzji, żebyśmy mogli...

- To są tylko domysły!

- Maczają w tym palce członkowie twojego rządu - odparł Chao, z trudem panując nad głosem. - Nie można też lekceważyć dowodów świadczą-

cych o tym, że zamieszane są w to pewne stronnictwa w amerykańskim rządzie.

- Twoje doniesienia nie dają podstaw do podjęcia jakichkolwiek działań

- zaprotestował Ang. - Doceniam twoją troskę, ale nie zrobię nic, co stałoby w sprzeczności z moją polityką, z przykładem, jaki chcę dać Chinom i światu.

- Zechciej rozważyć...

- Nie krępujcie się, kontynuujcie tę dyskusję beze mnie. - Prezydent wstał.

- Wybaczcie, ale moja żona twierdzi, że Chińska Republika Ludowa doprowadziła jądo wdowieństwa. Ostatnio coraz częściej robi do tego aluzje. Myślę jednak, że w tym szczególnym przypadku niepełna informacja zupełnie wystarczy do podjęcia stosownych kroków.

Doradcy roześmiali się, lecz był to śmiech sztuczny, który bynajmniej nie rozładował panującego w pokoju napięcia.

A może prezydent nie chciał wiedzieć, co mu grozi; wyglądało na to, że obawia się niebezpieczeństwa znacznie mniej niż konsekwencji tej politycznej paranoi. Ale pozostali nie mogli

pozwolić sobie na optymizm. Bo to, czego Liu Ang nie wiedział, mogło go zabić.

Rozdział 8

St. Andrew's Plaza, Dolny Manhattan

iekły go oczy, jakby czymś je zaproszył. Bolały mięśnie. Siedział na Pław ce na wielkiej, betonowej platformie, na czymś w rodzaju podwyż-

szonego placu między trzema wielkimi gmachami rządowymi o fasadzie z szarego kamienia. Podobnie jak na całym Dolnym Manhattanie, gigantyczne budowle były tu stłoczone niczym drzewa w gęstym lesie, które walczą o lepszy dostęp do światła i powietrza. W większości miast świata każdą z nich uznano by za wspaniały przykład dostojnej architektury. Ale tu ginęły w tłumie, nie pozostawiając po sobie żadnego wrażenia. Ambler poprawił się na ławce, lecz nie po to, żeby było mu wygodniej, tylko po to, żeby było mu mniej niewygodnie. Dudniący w pobliżu młot pneumatyczny ekipy remontowej z Con Ed zaczynał przyprawiać go o ból głowy. Spojrzał na zegarek; przeczytał już „New York Post” od deski do deski. Uliczny sprzedawca po drugiej stronie placu sprzedawał orzeszki w cukrze. Hal zastanawiał się właś-

nie, czyby trochę nie kupić - ot, tak, dla zabicia czasu gdy wtem... Czarna limuzyna. I mężczyzna w średnim wieku, który właśnie z niej wysiadł.

Pojawił się cel.

Mężczyzna miał mały brzusek i mimo zimna obficie się pocił. Wchodząc samotnie na schody, rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony jak ktoś, kto wie, że jest tu jak na widelcu. Jak ktoś, kto ma złe przeczucia.

Ambler powoli wstał. Co teraz? Postanowił, że będzie rozgrywał to we-dług narzuconego mu scenariusza, dopóki będzie mógł, a potem coś wymy-

śli. Było całkiem możliwe, że to tylko próba.

Szybkim krokiem szła ku niemu kobieta w szpilkach i w zielonym płaszczu przeciwdeszczowym. Gęste, długie blond włosy, pełne wargi, szarozielone oczy - szarozielone i kocie, może dlatego, że nie mrugała. Trochę absurdalne było to, że w ręku miała brązową torebkę z lunchem. Rozkojarzona, spojrzała na obrotowe drzwi gmachu po drugiej stronie placu, potknęła się i wpadła prosto na niego.

- Cholera, przepraszam - wychrypiała.

Hal stwierdził nagle, że brązowa torebka zmieniła właściciela i teraz on ją trzyma. Jeden lekki ucisk palców i wiedział już, że nie ma w niej lunchu.

Zlany potem mężczyzna był już na placu, szedł już w stronę gmachu. Amblerowi pozostało najwyżej dwanaście sekund.

Rozpiął brązowy płaszcz - widywało się takie na każdej ulicy - i wyjął

z torebki rewolwer. Błysnęła błękitna stal. Ruger .44, Redhawk. Jak na to zadanie, broń zbyt silna, a już na pewno zbyt głośna.

Odwrócił głowę. Blondynka siedziała na ławce przed gmachem. Jak w cyr-kowej loży.

Co teraz? Serce waliło mu coraz szybciej. Nie, to nie była próba.

To było czyste szaleństwo.

Szaleństwem było już samo to, że się zgodził. Szaleństwem było to, że w ogóle nawiązano z nim kontakt.

Mężczyzna gwałtownie przystanął, rozejrzał się i poszedł dalej. Dzielilo ich nie więcej jak dziewięć, dziesięć metrów. I wtedy...

Przebłysk intuicji był niczym wychodzące zza chmur słońce. Hal znieruchomiał. Że w ogóle nawiązano z nim kontakt... Dopiero teraz w pełni dotar-

ło do niego to, co przez cały czas nie dawało mu spokoju. Nie, nie nawiąza-liby z nim kontaktu. Nigdy.

Nie ulegało wątpliwości, że Arkady wierzy w to, co mu powiedziano, lecz wiara nie jest gwarancją prawdy. Cała ta historia nie miała sensu: żadna dzia-

łająca nielegalnie organizacja nie powierzyłaby takiego zadania komuś, komu nie ufała. Przecież mógłby zawiadomić władze, a te zapewniłyby bezpieczeństwo człowiekowi, który miał być jego celem. Wniosek?

To tylko próba. Ruger nie jest nabity.

Mężczyzna był sześć metrów od niego i równym krokiem szedł w stronę gmachu na wschodnim końcu placu. Ambler ruszył szybko przed siebie, wyjął

spod płaszcza rewolwer, wycelował mu w plecy i pociągnął za spust.

Metaliczne kliknięcie. Suchy trzask kurka, który zginął w huku młota pneu-matycznego ekipy remontowej. Udając skonsternowanego, Hal pociągnął za spust ponownie. Potem jeszcze raz, i jeszcze raz. Zrobił to w sumie sześć razy, indeksując cały magazynek.

Siedząca na ławce blondyna musiała to widzieć, musiała widzieć obracający się bębenek, podnoszący się i opadający kurek.

Wyczuwając nagły ruch na skraju pola widzenia, Ambler odwrócił głowę.

Zauważył go strażnik po drugiej stronie placu! I już dobył broni, i już przykucnął w klasycznej pozycji strzeleckiej.

Z tym że jego pistolet był oczywiście nabity. Hal usłyszał suchy trzask i jękliwy świst kuli koło ucha. Z tej odległości? Facet albo miał fart, albo był

świetnym strzelcem. I mógł go zabić, zanim Ambler zdołałby to ustalić.

Puścił się biegiem w stronę schodów, gdy wtem... Ogarnięty paniką sprzedawca orzeszków ruszył przed siebie i gwałtownie odepchnął swój wózek, 92

który wpadł prosto na strażnika, powalając go na ziemię. Hal usłyszał bolesny jęk i metaliczny klekot pistoletu na betonie.

Nie, nie: to, co się działo, nie miało żadnego sensu. Świadek strzelaniny, który zamiast uciekać, zmierza w stronę strzelającego? Bzdura. Sprzedawca był członkiem ubezpieczającej go grupy.

Ryk potężnego silnika i parę sekund później jak spod ziemi wyrósł przed nim czarny ducati monster. Twarz motocyklisty ginęła za ciemną przesłoną kasku. Wróg czy przyjaciel?

- Wskakuj! - wrzasnął tamten, zwalniając, lecz nie zatrzymując motoru.

Ambler wskoczył na tylną część szerokiego siodełka i motor ryknął jeszcze głośniejsze niż przedtem. Nie było czasu na analizowanie, musiał zdać się na instynkt. Uda zadrżały mu od wibracji potężnego silnika.

- Trzymaj się! - krzyknął kierowca. Chwilę później pędzili już po stopniach schodów i tylne koło podskakiwało i wierzgało jak nieujeżdżony koń.

Przerażeni przechodnie pierzchali na boki. Ale motocyklista dobrze wiedział, co robi, i już wkrótce mknęli ulicą, zygzakując między samochodami, omijając śmieciarki, taksówki i furgonetki pocztowe. Kierowca nieustannie zerkał w boczne lusterka, wypatrując policji. Dwie ulice dalej skręcili w Duane Street i zatrzymali się obok jakiejś limuzyny, bentleya w kolorze czerwonego wina.

Siedzący za kierownicą szofer był w oliwkowej liberii. Otworzyły się drzwi.

Ambler wsiadł i zapadł się w miękki fotel z beżowej skóry. Samochód był

cudownie dźwiękoszczelny, bo gdy drzwi zatrzasnęły się ze stanowczym mla-

nięciem, wszystkie uliczne hałasy nagle ucichły. Z tyłu, gdzie siedział, było bardzo dużo miejsca, a wewnątrz zaprojektowano w taki sposób, że chroniło ich przed ciekawskim spojrzeniem przechodniów i kierowców przejeżdżają-

cych obok samochodów.

Mimo poczucia całkowitego odosobnienia, Ambler nie był sam. Po drugiej stronie kanapy ktoś siedział, mężczyzna, który właśnie opuścił szklane przepierzenie oddzielające ich od szofera i przemówił po cichu dziwnym, pełnym gardłowych spółgłosek językiem.

- Ndiq harten. Mos kifrike. Pacfat te mbare. Falemnderit.

Ambler zerknął na szofera: ciemnoblond włosy, dziwnie kanciasta twarz.

Łagodnie ruszyli. Siedzący po drugiej stronie mężczyzna odwrócił się w jego stronę z wesołym: „Jak się masz?”

Hal drgnął. Znał go. To był człowiek, którego obiecał przedstawić mu Arkady. „To ktoś, kogo pan zna. Z kim pan pracował”. Ale znał go tylko z pseudonimu, podobnie jak on jego.

Ozyrys. Potężnie zbudowany, miał sześćdziesiąt kilka lat i nie licząc pasem-ka włosów nad uszami i na karku, był zupełnie łysy. Gdy pracowali razem w Oddziale Stabilizacji Politycznej, już wtedy miał duży brzuch, lecz zawsze był zaskakująco szybki. Rzeczą godną podziwu, zważywszy jego ułomność.

- Kopę lat - powiedział Ambler.

Ozyrys lekko poruszył głową, uśmiechnął się i spojrzał na niego niebieskimi, przesłoniętymi mgłą oczami. Spotkali się wzrokiem, ale jakby nie do końca.

- Rzeczywiście sporo - odrzekł. Grał tak dobrze, że rozmawiający z nim ludzie często zapominali, iż od urodzenia jest niewidomy.

Wrażliwy na ciepło słońca, na fakturę tkaniny czyjejś marynarki, przetwarzał bodźce słuchowe i dotykowe na ich odpowiedniki wizualne. Przetwarzał, a może raczej przekładał czy tłumaczył, bo jego najmocniejszą stroną było właśnie tłumaczenie. Wydział Operacji Konsularnych nie miał lepszego lingwisty. Nie dość, że znał chyba wszystkie główne języki, to władał

jeszcze kreolskim i mnóstwem miejscowych dialektów. Umiał też rozróż-

niać i naśladować wiele akcentów, lecz najważniejsze było to, że potrafił

mówić żywym językiem, takim, jakim naprawdę się mówiło, a nie jego sztuczną, wyczelowaną wersją, jakiej uczą na studiach lingwistycznych. Słyszac Niemca, wiedział, czy człowiek ten pochodzi z Drezna, czy z Lipska, z Hesji czy z Turynii; potrafił odróżnić samogłoski języka używanego w danej prowincji od tych występujących w prowincji sąsiedniej - znał trzydzieści odmian „ulicznego” arabskiego! W krajach Trzeciego Świata, gdzie w bliskim sąsiedztwie mieszkają ludzie posługujący się różnymi dialektami, a nawet językami - choćby w Nigerii, gdzie w obrębie niemal jednego obejścia mówi się w igbo, hausa, joruba, pigeon English i kilkoma odmianami arabskiego -

jego umiejętności były wprost bezcenne. Bywało, że po wysłuchaniu jakiegoś nagrania ekspercji z Departamentu Stanu łapali się za głowy i żądali trzech miesięcy na jego przeanalizowanie, Ozyrys zaś włączał magnetofon i po prostu tłumaczył. Ot tak, symultanicznie.

- Nasz szofer nie zna angielskiego - powiedział. - Za to po albańsku mówi jak prawdziwy książę. Myślę, że większość jego przyjaciół uchodźców ma go za... sztywniaka. - Wcisnął guzik i gdy ze ścianki pod przepierzeniem wysunął się barek, sięgnął po butelkę wody i rozlał ją do szklanek. Ruchy miał pewne i zdecydowane jak człowiek widzący. Żeby usmierzyć jego naturalne w tych okolicznościach podejrzenia, zczekał, aż Ambler weźmie szklanekę, po czym wziął drugą. - Przepraszam za ten cyrk - powiedział. -- Wszystkiego się pewnie domyśliłeś. Moi pracodawcy chcieli poddać cię próbie.

Cóż, referencji sprawdzić nie mogli.

Ambler kiwnął głową. Było dokładnie tak, jak myślał. Zasadzka na placu miała go zweryfikować: obserwowali go i widzieli, jak pociąga za spust.

Gdyby wciąż pracował dla rządu, nigdy by tego nie zrobił.

- A co z nim, z moim celem?

- Któż to wie. Nie mamy z nim nic wspólnego. Federalni wszczęli śledztwo w sprawie manipulowania cenami w budownictwie. Facet wkurzył się i postanowił zeznawać. Jeśli wyczułeś, że był przerażony, to się nie myliłeś.

Wielu ludzi chciałoby zobaczyć go w trumnie. Ale nie my.

- Ale Arkady o tym nie wiedział.

- Arkady powiedział ci to, co my mu powiedzieliśmy. Uważał, że mówi prawdę, bo nie wiedział, że go okłamaliśmy. - Ozyrys roześmiał się cicho. -

Ja skłamałem jemu, a on tobie, ale kłamstwo zostało poniekąd oczyszczone, bo Arkady wierzył, że *mówi* prawdę.

- Pożyteczna uwaga - odrzekł Ambler. - Skąd mogą wiedzieć, że tobie nie naopowiadano kłamstw o innych rzeczach? Zerknął w lusterko i zakrę-

ciło mu się w głowie: zobaczył otyłego Ozyrysa, a na wprost niego, człowieka, którego nie potrafił z nikim skojarzyć. Krótkie brązowe włosy, niebieskie oczy i ta twarz...

Ta symetryczna, przystojna i okrutna twarz, którą rozpoznał dopiero po dłuższej chwili.

Twarz, która nie była jego twarzą. Którą po raz pierwszy zobaczył w Motelu 6, a której widok wciąż mroził mu krew w żyłach.

- Odpowiedź na to pytanie uniemożliwia zawarta w nim przesłanka - odparł z rozwagą Ozyrys. Jego niebieskie oczy patrzyły na niego, nic nie wi-dząc. - Zaufaj instynktowi. Zawsze tak robisz, prawda?

Ambler głośno przełknął ślinę, wziął głęboki oddech i oderwał wzrok od lusterka.

- Zróbmy zatem mały quiz. Znasz moje nazwisko?

- Ile razy razem pracowaliśmy? Trzy? Cztery? Znam cię od lat i myślisz pewnie, że to i owo słyszałem. Tarkwiniusz. Prawdziwe nazwisko Henry Nyberg...

- Nyberg to kolejne nazwisko operacyjne - przerwał mu Ambler. - Uży-

łem go tylko kilka razy. Jak się nazywam naprawdę?

- Mówisz teraz jak alfons z Dziewiątej Alei odrzekł Ozyrys, próbując utrzymać żartobliwy ton. - „Jak się nazywam?”, „Kim jest twój tatuś?” Po-słuchaj, rozumiem, że masz wiele pytań. Ale nie jestem punktem informacyjnym. Nie znam wszystkich odpowiedzi.

- Dlaczego?

Ozyrys poruszył cienkimi, niemal świńskimi brwiami. Miał wyblakłe, lecz czujne oczy.

95

- Ponieważ niektóre odpowiedzi leżą poza zasięgiem mojej listy płac.

- Chętnie wysłucham tego, co wiesz.

- Niedostatek wiedzy to rzecz niebezpieczna, mój przyjacielu. Weź to sobie do serca. To, co chcesz wiedzieć, może ci się nie spodobać.

- Dobra, sprawdź mnie.

Niewidzące oczy Ozyrysa patrzyły na niego długo i z namysłem.

- Porozmawiamy. Ale nie tutaj. Znam lepsze miejsce.

Rozdział 9

Pekin

hociaż prezydent Liu Ang wrócił już do swojej prywatnej rezydencji Cw innym skrzydle gmachu, narada wciąż trwała.

- Wspomniałeś coś o dowodach - powiedział cichy weteran z MBP. -

O jakichś zdjęciach.

Chao Tang, szef drugiego departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Pań-

stwowego, kiwnął głową, otworzył czarną dyplomatkę i wyjął z niej kartono-wą teczkę ze zdjęciami. Rozłożył je na stole i rzekł:

- Pokazywałem je oczywiście prezydentowi, ale z dającymi się przewidzieć rezultatami. Całkowity brak reakcji. Prosiłem go, żeby ze względów bezpieczeństwa odwołał przynajmniej zagraniczne wystąpienia publiczne.

Odmówił. Ale my powinniście zrozumieć, o co mi chodzi.

Postukał palcem w zdjęcie przedstawiające tłum ludzi przed drewnianym podestem.

- Zrobiono je na kilka minut przed zamachem w Changhua - wyjaśnił. -

Pamiętacie? Nieco ponad dwa lata temu. Spójrzcie na tego białego.

Rozdał im kolejne zdjęcia i powiększenie zdjęcia z Changhua.

- Zamachowiec. Człowiek, który dokonał tego krwawego dzieła. Na tamtych zdjęciach zobaczycie go na miejscu innych zamachów. To prawdziwy potwór. Nasi agenci dowiedzieli się o nim tego i owego.

- Jak się ten potwór nazywa? - spytał Li Pei z mocnym, wiejskim akcentem.

Chao jakby się trochę tym pytaniem zdenerwował.

-- Znamy tylko jego pseudonim operacyjny - wyznał. - Tarkwiniusz.

- Tarkwiniusz... - powtórzył powoli Li Pei i podgardle zafalowało mu jak u starego wołu. - Amerykanin?

- Tak uważamy, chociaż nie jesteśmy pewni, dla kogo pracuje. Trudno jest oddzielić właściwe sygnały od szumu. Ale naszym zdaniem może być głównym organizatorem i wykonawcą zamachu na Liii Anga.

- W takim razie trzeba go wyeliminować - warknął Li Pei, uderzając ręką w stół.

Chytrusek, pomyślał Chao. Ale i wieśniak.

- My też tak uważamy -- odrzekł. - Czasami martwię się, że nasz prezydent jest za dobry dla tego świata. - Zrobił pauzę. - Na szczęście ja za dobry nie jestem.

Doradcy ponuro pokiwali głową.

- Tak czy inaczej, podjąłem już odpowiednie kn)ki. Nad tą sprawą pracuje zespół ludzi z drugiego departamentu. Wczoraj, gdy tylko uzyskaliśmy wiarygodne informacje na temat miejsca jego pobytu, natychmiast przystą-

piliśmy do działania. Wierzcie mi, powierzyliśmy to zadanie najlepszemu z najlepszych.

Chao zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to jak pusta retoryka, jednak z technicznego punktu widzenia mówił prawdę, zainteresował się 50e Ui, gdy ten, jeszcze jako nastolatek, zajął pierwsze miejsce w regionalnych za-wodach strzeleckich zorganizowanych przez Armię Ludowo-Wyzwoleńczą.

Osiągnięte przez niego wyniki sugerowały, że mirtio chłopskiego pochodzenia Li ma wiele niezwykłych talentów. Chao zawsze wypatrywał młodocianych geniuszy. Głęboko wierzył, że największym skarbem Chin jest liczebność narodu i chociaż naród ten składa się w większości z taniej, prymitywnej siły roboczej, to od czasu do czasu można w nim znaleźć cudowne dziecko.

Często powtarzał, że w miliardzie otwartych ostryg znajdzie się więcej niż garść pereł. Był przekonany, że młody Joe Li jest właśnie taką perłą, dlatego osobiście dopilnował, żeby przygotowano go do niezwyklej wprost kariery.

Zaczął od intensywnych kursów językowych: Joe? Li miał się nauczyć nie tylko najważniejszych zachodnich języków, ale i poznać styl życia mieszkających tam ludzi. Miał do perfekcji opanować wszystko to, co dla nich było szarą codziennością. Miał przejść intensywne szkolenie w posługiwaniu się bronią, w sztuce kamuflażu, zachodnich sztukach walki wręcz i sztukach walki mnichów z klasztoru Shaolin.

Joe Li nigdy go nie zawiódł. Co prawda nie wyrósł na wysokiego, krzepkiego mężczyznę, lecz okazało się, że jego niewielki wzrost jest czymś nad wyraz korzystnym: ukrywając swoje niezwykle umiejętności pod maską przeciętności, nie rzucał się w oczy i sprawiał wrażenie człowieka zupełnie niegroźnego. Był, jak powiedział mu kiedyś Chao, pancernikiem przebranym za lekki żaglowiec.

97

Co więcej, chociaż wykonywał swoją pracę beznamytnie i z zawodową sprawnością, jego wierność krajowi i samemu Chao nie podlegała dyskusji.

Chao osobiście o to zadbał. Częściowo ze względów bezpieczeństwa, a częś-

ciowo dlatego, że wiedział, iż ci z najwyższych szczebli rządowych ciągle wyklócają się o finanse, ściśle ograniczył liczbę tych, którzy kontrolowali jego poczynania. Mówiąc konkretniej i bez ogródek, ich najlepszy i budzący największą grozę agent odpowiadał wyłącznie przed nim.

- Ten, jak mu tam, ten Tarkwiniusz - spytał Tsai, bębniąc palcami w czarny stół. - Czy on już nie żyje?

- Jeszcze żyje - odparł Chao. - Ale to tylko kwestia czasu.

- To znaczy? - drażył Tsai.

- Tego rodzaju operacja jest zawsze operacją delikatną - pouczył go Chao.

- Zwłaszcza jeśli przeprowadza się ją za granicą. Ale jak już was zapewni-

łem, wysłaliśmy tam naszego najlepszego człowieka, który jeszcze nigdy mnie nie zawiódł. Na bieżąco otrzymuje od nas najświeższe dane wywiadowcze.

Jeden z naszych mędrców powiedział, że życie i śmierć zawsze się spotyka-ją. Powiem wam tylko tyle, że Tarkwiniusz jest już na to spotkanie umówiony. Niebawem zginie.

- Niebawem, to znaczy kiedy? - nie ustępował Tsai.

Chao zerknął na zegarek i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- A która jest teraz godzina?

Hotel Plaża na rogu Piątej Alei i Central Park South zbudowano na począt-ku XX wieku i od tamtej pory gmach ten jest głównym symbolem elegancji Dolnego Manhattanu. Wykończone miedzią gzymsy, wyłożone brokatami ściany, kapiące złotem wnętrza - był niczym wspaniały francuski zamek w centrum amerykańskiego miasta. Dzięki jego Sali Dębowej i Sali Palmo-wej, dzięki ekskluzywnym galeriom i luksusowym butikom ludzie - nawet ci, którzy nigdy w życiu nie wynajęli jednego z ośmiuset mieszczących się tam apartamentów - mieli mnóstwo okazji, żeby dopomóc w jego utrzymaniu.

Ale oni, na życzenie Ozyrysa, kontynuowali rozmowę nie w apartamencie, lecz w olimpijskim basenie na czternastym piętrze gmachu.

Sprytne, pomyślał Ambler, przebierając się w hotelowe kąpielówki. W tych warunkach raczej trudno założyć podsłuch, a nagranie czegokolwiek przy dochodzącym zewsząd plusku wody jest prawie niemożliwe.

98

- A więc dla kogo teraz pracujesz - zaczął, gdy dopłynęli na głębszy koniec basenu. Na płytszym końcu leniwie pływała jakaś kobieta. Nie licząc jej, w basenie nie było nikogo. Na stojących na brzegu leżakach siedziały dwie matrony w jednoczęściowych kostiumach. Piły kawę albo herbatę, bez wątplenia zbierając siły przed jakimś przełożonym na później spotkaniem.

- Dla ludzi takich samych jak my - odrzekł Ozyrys. - Tylko inaczej zorganizowanych.

- Intrygujące. Ale mętne. O czym ty, do diabła, mówisz?

- O rozwijaniu talentów. Pełno tu tych wszystkich byłych tajnych agentów, agentów operacyjnych, ludzi z Oddziału Stabilizacji Politycznej, któ-

rych nie do końca się wykorzystuje. A u nas? Nadal służą krajowi, z tym że teraz pobierają pensje ze źródeł prywatnych. - Dzięki wydatnemu brzucho-wi Ozyrys łatwo unosił się na wodzie; przebieranie rękami i nogami nie kosztowało go prawie żadnego wysiłku.

- A więc prywatna inicjatywa - odrzekł Ambler. - Historia stara jak świat.

Stara jak hescy najemnicy, którzy ubarwili wojnę o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

- Nie do końca - odrzekł Ozyrys. - To raczej coś w rodzaju sieci wspólników z prywatnego sektora. Sieć. Najważniejsza jest sieć.

- Wielopoziomowy model marketingowy. Jak w Avonie czy w Tupper-ware. Union Carbon odpada.

Idąc za jego głosem, Ozyrys lekko odwrócił głowę i zmrużył niewidome oczy.

- Ująłbym to nieco inaczej, ale tak, o to mniej więcej chodzi. Niezależni i niezależnie pracujący agenci koordynowani i rozmieszczani przez „górze”.

Chyba już rozumiesz, dlaczego tak bardzo im na tobie zależy. Chcą cię zaangażować z tego samego powodu, dla którego zaangażowali mnie. Mam unikalne zdolności. Ty też. A im zależy na unikalnych talentach. Dzięki temu masz świetną pozycję przetargową. Wśród chłopców z OSP jesteś legendą.

Nasi szefowie myślą pewnie tak: Jeśli tylko połowa z tego, co o nim mówią, jest prawdą... A ja widziałem, jak pracujesz. Chryste, przypomniało mi się Kuala Lumpur. Coś niesamowitego. Właśnie tak tworzy się legenda. A ja tam byłem, ja to widziałem. Niewielu członków OSP mówi po malajsku.

- Ile to już lat... - Ambler położył się na wodzie.

Kuala Lumpur. Dawno do tego nie wracał, lecz wspomnienia ożyły niemal natychmiast. Putra World Center, dzielnica finansowa, Złoty Trójkąt i bliź-

niacze wieże Petronas. Międzynarodowy zjazd handlowy i on, Henry Nyberg jako oficjalny przedstawiciel nowojorskiej firmy prawniczej specjalizującej się w ochronie własności intelektualnej. Jego szefowie dowiedzieli 99

się, że członek jednej z zagranicznych delegacji jest terrorystą - ale który?

Ambler miał być chodzącym wykrywaczem kłamstw. Myśleli, że zajmie mu to cztery dni, całą konferencję, tymczasem wszystko razem trwało niecałe pół godziny. Pierwszego dnia rano przeszedł się po holu i pokręcił między grupkami ludzi z dostarczonymi przez organizatorów niebieskimi segregatorami w rękę. Patrzył, jak przedstawiciele firm wymieniają się wizytówkami, jak przedsiębiorcy polują na potencjalnych inwestorów, jak odbywa się tam tysiąc identycznych tańców naraz, tańców, które miały na celu złowienie nowego klienta. W powietrzu unosił się mocny zapach kawy i ciepłych bułeczek. Widząc, że ktoś na niego spogląda, kiwał głową komuś za jego plecami i szedł dalej. Nie myślał, a raczej myślał o niczym, błądził myślami wszędzie i zarazem nigdzie. Dwadzieścia pięć minut później już wiedział.

To nie była jedna osoba, tylko dwie, dwóch agentów z delegacji bankierskiej z Dubaju. Jak ich rozpoznał? Nie zamierzał dokonywać wivisekcji subtelnych oznak lęku i ukradkowości. Zobaczył

ich i po prostu wiedział, jak zawsze. To wszystko. Ekipa speców z OSP spędziła resztę dnia na poszukiwaniu dowodów na to, co on wykrył jednym spojrzeniem. Okazało się, że dwaj młodzi „urzędnicy” saniem tylko siostrzeńcami prezesa pewnego banku, ale i członkami dżihadu, do którego wstąpili, studiując na Uniwersytecie Kairskim. Dżihad kazał im zdobyć pewien sprzęt przemysłowy, sprzęt sam w sobie niegroźny, jednak w połączeniu z innymi powszechnie dostępnymi materiałami i urządzeniami wykorzystywany do produkcji amunicji.

Przez kilka chwil pogrążony w zadumie Ambler unosił się spokojnie na wodzie. Ci ludzie wiedzą co potrafisz, myślał. W jaki sposób zmieni to sytuację?

- W Kuala Lumpur wszyscy pytali cię, skąd wiedziałeś, a ty odpowiada-

łeś, że to przecież oczywiste, że byli zdenerwowani, że było widać to jak na dłoni. Rzecz w tym, że wiedziałeś to tylko ty, nikt inny. Poza tym oni wcale nie byli zdenerwowani. Kilka dni później chłopcy z OSP przeanalizowali nagranie z tego holu. Ci dwaj byli świetni, wtapiali się w tłum jak nikt. Robili wrażenie znudzonych, sumiennych urzędników, wyglądali dokładnie tak, jak chcieli i powinni wyglądać. Tylko ty zauważyłeś, że coś jest nie tak.

- Widziałem ich takimi, jakimi naprawdę byli.

- Właśnie, nikt inny tego nie potrafił. Nigdy dotąd o tym nie rozmawiali-

śmy. To niesamowita umiejętność. To dar.

- Jeśli tak, to chętnie bym się z kimś zamienił.

- Dlaczego? Jest dla ciebie za wielki? - Ozyrys zachichotał. - Skąd go masz? Jakiś szaman dał ci czarodziejski amulet?

- Nie wiem, nie znam się na tym - odparł bez uśmiechu Ambler. - Ale to jest chyba tak: ludzie widzą to, co chcą widzieć. Wszystko upraszczają, pod-100

świadomie stawiają hipotezy i szukają ich potwierdzenia. Ja nie. Ja tak nie

umiem. Nie potrafię tego wyłączyć.

- Nie wiem, czy to dar, czy przekleństwo - powiedział Ozyrys. - A może to i to. *Comme d'habitude*. Stan, w którym wie się za dużo.

- Ale teraz mój problem polega na tym, że wiem za mało. Wiesz, czego szukam. Oświecenia. - I rzeczywiście, była to dla niego sprawa życia lub śmierci. Musiał poznać prawdę, gdyż czuł, że jeśli jej nie pozna, wciągnie go wir podświadomości, który go już nie puści.

- Oświecenie przychodzi stopniowo - odparł Ozyrys. - Jak już mówiłem, nie dysponuję konkretnymi informacjami i mogę ci zaoferować tylko swój osąd. Podaj mi fakty, a może będę mógł się w nich rozeznać.

Unosił się na wodzie niemal bez żadnego wysiłku. Maleńkie fale omywały mu ramiona, lecz włosy wciąż miał suche. Jego oczy patrzyły przyjaźnie i niemal czule. Był lekko spięty, lecz nie wynikało to z tego, że kłamał czy próbował go podejść. Wątpliwości Amblera były niejako automatyczne, ale musiał o nich zapomnieć. Okazja była zbyt dobra, żeby mógł ją przepuścić.

Do hotelowego holu obrotowymi drzwiami wszedł Chińczyk w eleganckim, dobrze skrojonym wełnianym garniturze w drobnutkię prążki. Był szczupły, przystojny, miał delikatne rysy twarzy i jasne, przyjazne oczy, dlatego nikt nie zwrócił na niego uwagi. Skinął też głową recepcjonistce, a ona odpowiedziała mu tym samym, myśląc, że pomylił ją z kimś innym, pewnie z koleżanką, która załatwiała formalności. Skinął głową konsjerżowi, który odpowiedział mu usługowym uśmiechem, i nie zwalniając kroku, ruszył w stronę wind. Gdyby się zawahał, gdyby choć na chwilę niepewnie przystanął, ktoś z niezbyt zajętego personelu mógłby zatrzymać go uprzejmym: „Czy mogę w czymś pomóc?” Ale w tym wielkim, luksusowym hotelu z ośmiuset pokojami można było bezpiecznie założyć, że ktoś wyglądający jak on naprawdę tu mieszka.

W ciągu zaledwie kilku minut upewnił się, że tych, których szukał, nie ma ani w holu, ani w hotelowej restauracji. W ciągu kilku następnych ustalił, że nie ma ich również w ogólnie dostępnych pomieszczeniach na parterze, w galeriach sztuki, butikach, sklepach, salonach fryzjerskich i w sali odnowy biologicznej.

Zdażył już wykluczyć możliwość, że ludzie ci wynajęli tu pokój. Luksusowy hotel to wiele niewygodnych wymogów: dokumenty, karty kredytowe i tak dalej. Tymczasem oni nie wyglądali na takich, którzy chcieliby pozostawić po sobie jakiś ślad. Skoro nie było ich w miejscach publicznych, miał

dwie możliwości. Jedną z nich był fitness club.

101

Żaden z portierów i witających gości pracowników nie widział, jak Joe Li skrzył w wyłożony dywanem korytarz między windami i otworzył dyskretnie ukryte drzwi dla personelu technicznego. Żaden z nich nie widział, jak otworzył dyplomatkę, żeby złożyć w całość to, co w niej miał. Żaden z nich nie widział też, jak włożywszy *na* garnitur roboczy kombinezon, wsiadł do służbowej windy, pchając przed sobą wózek z wiadrzem i szczotką.

Gdyby którykolwiek z nich spotkał go teraz, na pewno by go nie rozpoznał. Wystarczyło, że inaczej napiął mięśnie, że się lekko przygarbił, i momentalnie postarzał się o dwadzieścia lat. Był teraz znużonym sprzątaczem z niekończącą się listą obowiązków do wypełnienia. Takich ludzi po prostu się nie zauważa.

Ozyrysowi zaczęła brakować tchu, ale nie dlatego, że się zmęczył.

- Nie rozumiesz? - mówił. - Są jeszcze inne hipotezy. - Utrzymywał się na powierzchni, wykonując lekkie, wdzięczne ruchy, niczym dyrygent kierujący orkiestrą. Jego oczy miały kolor wody.

- Pasujące do moich doświadczeń z ostatnich dwudziestu czterech godzin?

- Tak. Masz zaskakująco czyste konto. Zbiło cię z tropu to, że pamięć o tym, kim jesteś, nie przystaje do tego, co widzisz. Dlatego zakładasz, że ktoś manipuluje twoim otoczeniem. A jeśli założenie jest złe? A jeśli ktoś manipulował twoim umysłem?

Ambler słuchał go z narastającym lękiem.

- Sięgnijmy po brzytwę Ockhama - kontynuował Ozyrys. - Jakie jest najprostsze wytłumaczenie? Łatwiej jest zmienić czyjś umysł niż cały świat.

Ambler zdrętwiał.

- O czym ty mówisz?

- BLUEBIRD, ARTICHOKE, MKULTRA. Słyszałeś o czymś takim? Na pewno. To programy behawioralne z lat pięćdziesiątych. Po wielu burzliwych dyskusjach zostały w końcu odtajnione. Dzisiaj uważa się, że był to mały, komiczny epizod w historii szpiegostwa.

- I słusznie - prychnął szyderczo Ambler. - To szaleństwa zimnej wojny, fantazje z dawnych czasów. Już dawno nikt się tym nie zajmuje.

- Czyżby? Widzisz, nazwy programów się zmieniły, ale badań nie przerwano. Ważnym elementem jest tu historia. Wszystko zaczęło się od pewnego kardynała. Jozsef Mindszenty. Mówi ci to coś?

- Był jedną z ofiar powojennego reżimu komunistycznego. Węgry zorganizowali pokazówkę. Rozstawili kamery i kazali mu przyznać się do zdrady stanu i korupcji. Zarzuty były oczywiście sfabrykowane.

102

- Naturalnie. Ale CIA to zaciekało. Agenci zdobyli taśmę magnetofonową z nagraniem jego zeznań i przepuścili ją przez aparaturę badającą poziom stresu, żeby znaleźć dowody na to, że kardynał kłamał. To dziwne, ale ich nie znaleźli. Wszystkie testy potwierdziły, że mówił prawdę. Tymczasem zarzuty były fałszywe, wiedzieli to na sto procent. No i zaczęli się zastanawiać. Czy to możliwe, żeby Mindszenty wierzył w to, co mówił? Jeśli tak, jak zdołali go do tego nakłonić? Jakim sposobem narzucili mu tę... inną rzeczywistość? Jeśli podano mu jakieś narkotyki, to jakie? I tak dalej, i tak dalej. Wszystko to razem doprowadziło do uruchomienia naszego własnego programu badań nad

możliwościami sterowania ludzkim umysłem. Przez pierwsze dwadzieścia lat nic z tego nie wychodziło, to prawda. Wstrzykiwali delikwentowi pentotal, wprowadzali go w stan śpiączki, potem wstrzykiwali mu deksedrynę i facet dostawał wytrzeszczu. No i co? myśleli. Czy będzie teraz bardziej podatny na hipnotyczne sugestie? Ci najlepsi i najbystrzejsi byli zafascynowani kryjącymi się w tym możliwościami. I już wkrótce przydzielono im do pomocy ludzi z naszych służb technicznych. Ale ponieważ potrzebowali większych środków i zasobów, wciągnięto w tę sprawę Wojskowy Wydział Operacji Specjalnych z Fort Detrick w Maryland, gdzie dzia-

łało duże centrum badań biologicznych.

Skąd ty to wszystko wiesz? - Ambler przeszedł zimny dreszcz.

Ozyrys wzruszył ramionami.

- Jak myślisz, dlaczego powołano nasz zespół? Mnie przydzielono do grupy psychologów. Wielu innych lingwistów też. Znajomość języka była kiedyś bardzo drażliwą sprawą. W dobrych, starych czasach bywało tak: Rusek uciekał na zachód, Koreańczyk z północy na południe. Zamykano ich w jakiejś kryjówce, Ruska w Niemczech, Koreańczyka w Seulu, i szprycowano narkotykami. W stanie regresji delikwent zaczynał bredzić w języku, jakim mówił

w swojej rodzinnej wiosce. Te małpy od Berlitz'a nic z tego nie rozumiały, bo niby skąd mieli znać dialekt z jakiegoś zadupia. I właśnie wtedy postanowiono zaangażować ludzi takich jak ja. Skompletowanie ekipy kosztowało ich sporo trudu, a my mieliśmy odplacić się im solidną pracą nad jakimś tam projektem. A potem, powoli i stopniowo zaczęto nas „wypożyczać”. „Kole-gialność”, tak to się nazywało. A tak naprawdę chodziło o pieniądze, o dys-trybucję środków i o budżet.

- Rozumiem, trafiliście do PSR, do Pozostałych Służb Rządowych. Wydział Operacji Konsularnych, Oddział Stabilizacji Politycznej. To dla nich pracowaliście?

- Otóż to. Dobrze wiesz, jak to wszystko działa. Tak czy inaczej, w końcu poprosiłem o przeniesienie do Departamentu Stanu, bo myślałem, że czekają 103

mnie tam większe wyzwania lingwistyczne. Ale tych z konsularnego zaintrygowała moja znajomość psychologii. W tamtych czasach jeszcze ci nie ufali. Nie wiedzieli, czy można na tobie polegać. Dlatego parą razy ci towarzyszyłem.

- Po prostu na mnie donosiłeś.

- Tak jakby. Ty donosiłeś im na tych złych, ja na tego dobrego, który pomagał nam ich złapać. Ale na pewno to wyczułeś. Jak zwykle, co?

- Przypominam sobie, że poproszono mnie kiedyś, żebym doniósł na ciebie - odparł Ambler. - Jesteś niewidomy i nie byli do końca przekonani, czy sprawdzisz się w terenie. Szukali potwierdzenia.

Ozyrys się uśmiechnął.

- I mówić tu o ślepym prowadzącym ślepego. Musiałeś wiedzieć, po co tam jestem. Byłeś za dobrze wychowany, żeby mnie wypytywać.

- Wiedziałem, że masz dobre intencje.

- I miałem. Wiesz, nawet bardzo cię polubiłem. Już wtedy, w Kuala Lumpur.

- Rozdmuchany epizod.

- Ten w hotelu, z tymi z dżihadu? Nie, nie, mówię o czymś innym.

- O czym?

- Cofnij się pamięcią do chwili tuż przed.

- Obstawiałeś drzwi. Siedziałeś na końcu lady i piłeś gazowany napój jabłkowy; wyglądał jak piwo. Miałeś w uchu mikrosluchawkę, a nasz technik kierował mikrofon to w jedną, to w drugą stronę. Usłyszawszy coś podejrzanego, miałeś dać mi znać.

- Ale ani nic nie usłyszałem, ani nie musiałem. Nie, chodzi mi o coś, co zdarzyło się jeszcze wcześniej. Szliśmy razem, pamiętasz? Z tymi identyfikatorami na garniturach od Kilgoura Frencha & Stanbury'ego. Garnitury były eleganckie, kosztowne. „Płacą nam od godziny”, takie robiliśmy wrażenie.

Wyczuwało się to na kilometr.

- Wierzę ci na słowo - mruknął Ambler.

- Te czubeczki nigdy nie kłamią. - Ozyrys podniósł rękę i pokiwał palcami.

- Przędza czesankowa. Były świetnie dopasowane, świetnie leżały. No więc, dochodzimy już prawie na miejsce i nagle pojawia się ten wieśniak z prowincji. Stoi tam, wypytuje o drogę na dworzec, ale nikt nie chce mu pomóc. Z jego akcentu wywnioskowałem, że jest Djakiem, że należy do tej dość prymitywnej mniejszości etnicznej, która zamieszkuje wsie rozrzucone po tym, co zostało z wiejskiej Malezji. A on, biedaczyna, zawędrował jakimś cudem do wielkiego, nowoczesnego centrum finansowego! Ludzie są zajęci, traktują go jak powietrze, nikt nie ma czasu, żeby porozmawiać z prostym chłopem. Zdespero-104

wany Djak, bo na pewno był Djakiem, pewnie takim w sandałach i w tym śmiesznym wiejskim stroju, zwraca się o pomoc do ciebie...

- Skoro tak mówisz...

- Ty nie znasz miasta, nie masz pojęcia, gdzie jest dworzec. Ale zamiast powiedzieć mu: „Przepraszam, ale nie mogę panu pomóc”, zatrzymujesz jednego z tych eleganckich, idących różnym

krokiem dżentelmenów i z drobnym, chudym Djakiem u boku pytasz: „Przepraszam, gdzie jest najbliższy dworzec kolejowy?” Dżentelmen przystaje i wskazuje wam drogę, tymczasem ja zaciskam w kieszeni pięści: za chwilę mamy wkroczyć do akcji, a ty pomagasz jakiemuś chłopu.

- No i?

- Pewnie nawet tego nie pamiętasz, bo nic to dla ciebie nie znaczyło. Ale dla mnie znaczyło bardzo dużo. Myślałem, że jesteś jednym z tych nadętych dupków, agencyjnych waśniaków, tak jak większość twoich kumpli z OSP, a tu nagle coś takiego. Zmieniłem o tobie zdanie.

- Byliśmy tam sami? Bez sojuszników?

Sami, tylko nasza ekipa. - Ozyrys roześmiał się ponownie; zawsze lubił

się śmiać. - To zabawne, jakie rzeczy się pamięta. T o jakich się zapomina.

Co prowadzi nas do kolejnej fazy eksperymentów psychologiczno-psychiatrycznych. Trwa wojna w Wietnamie. Nixon nie był jeszcze w Chinach. Na arenę wydarzeń wkracza człowiek bardzo błyskotliwy, bardzo niebezpieczny i bardzo wpływowy.

- Co ty? Robisz mi wykład z historii?

- Wiesz, co mówią. Ci, którzy zapominają o przeszłości...

- Oblewają egzamin z historii, wiem dokończył Ambler. - Wielkie mi co. Przeszłość lubi się powtarzać i czasem myślę, że powtarza się dzięki tym, którzy ją pamiętają.

- Rozumiem. Mówisz o ludziach, którzy pielęgnują w sobie żal i urazę po czymś, co zdarzyło się wieki temu. Ale gdybym tak zasadził coś paskudnego w twoim ogródku, zasiał trujące ziele między jagodami. Nie chciałbyś o tym wiedzieć?

- To znaczy?

- Mówię o Jamesie Jesusie Angletonie i jednej z ofiar jego spuścizny.

- Ale o kim, do diabła?

- Niewykluczone, że... o tobie.

A więc nie fitness club. Joe Li dokładnie przeczesał wszystkie pomieszczenia, łącznie z szatnią. To zadziwiające, że nikt się nim nie zainteresował -

jakby miał na głowie czapkę-niewidkę. Teraz wszedł z wózkiem do szatni 105

przy basenie. Nikogo. Pozostawał sam basen. W sumie niezłe miejsce na takie spotkanie...

Wszedł tam, powłócząc nogami, jak na steranego mężczyznę przystało.

Nikt na niego nawet nie spojrzał. Ani na niego, ani na długi trzonek szczotki.

A że trzonek był przesadnie gruby? Myśl ta była zbyt skomplikowana, żeby dotrzeć do podświadomości ludzi w miejscu takim jak to. Pchając wózek po podłodze wyłożonej małymi ceramicznymi płytkami, ostrożnie rozglądał się wokoło. Człowiek, który umknął mu w górach Sourland... Drugi raz mu się nie uda.

Jeśli tylko tu był, zadanie będzie wkrótce wykonane.

Ambler zamknął oczy, zanurkował do samego dna i szybko wypłynął na powierzchnię. Musiał zrobić sobie przerwę. Angleton, największy mózg zim-nowojennego kontrwywiadu, był geniuszem opętanym paranoidalną obsesją, która omal nie zniszczyła jego własnej agencji.

- Angleton angażował się we wszystko naraz - zaczął Ozyrys. - Rezultat był taki, że na początku lat siedemdziesiątych, kiedy to powołano komitet Churcha i kiedy CIA polecono przerwać projekt MKULTRA, Angleton zrobił wszystko, żeby projekt ten nie trafił do szuflady. I zamiast do szuflady, MKULTRA trafia do Pentagonu. Angleton kończy wkrótce kadencję, ale jego najzagorzalsi zwolennicy wiernie trwają. Rok w rok wydają miliony dolarów na badania rządowe i pozarządowe. Zatrudniają naukowców z firm farmaceutycznych i laboratoriów uniwersyteckich. I robią swoje, nie słuchając bzdur tych z senackiego komitetu bioetyki. Prowadzą badania ze skopolami-ną, bufoteniną, z korynantyną. Ze środkami wzmagającymi poczucie euforii, z depresantami, ze środkami pośrednimi. Konstruuje zmodyfikowaną wersję elektrokonwulsyjnej maszyny Wilcoкса-Reitera. Bazująca na dokonanym wówczas przełomie w dziedzinie „demodelowania”, na procesach, podczas któ-

rych ingeruje się w umysł do tego stopnia, że człowiek zaczyna tracić poczucie czasu i przestrzeni, ztraca wzorce nerwowe i poczucie własnego „ja”.

Dodaj do tego technikę „sterowania psychicznego”, kiedy to wprowadza się pacjenta w stan apatii i bombarduje go przekazami z zapętłonej taśmy mag-netofonowej: dzień w dzień, po szesnaście godzin na dobę, całymi tygodniami. Metody badawcze były wtedy bardzo prymitywne. Jednak Angleton uważał, że mogą mieć zastosowanie praktyczne. Tak, oczywiście, miał obsesję na punkcie sowieckich technik kontrolowania umysłu. Wiedział, że Ro-sjanie mogą schwytać naszych agentów i wyssać z nich wszystko za pomocą wzmożonego stresu, traumy i środków psychotropowych. Ale gdyby tak można było zmienić zawartość naszej pamięci?

- To niemożliwe.

- Angleton tak nie uważał. Najważniejszym wyzwaniem było zaadaptowanie starych technik demodelowania i sterowania i nadanie im zupełnie innego wymiaru. Przenieśmy się teraz do

pentagońskiego Wydziału Neuro-psychologii Strategicznej, gdzie wynaleziono i rozwinięto technikę zwaną war-stwowaniem mnemonicznym. Zapętlone taśmy magnetofonowe? Precz z tym!

Jesteśmy już o wiele dalej. Warstwowanie mnemoniczne to między innymi

„stymulacja wielowarstwowa” - audio, wideo i bodźce węchowe - oraz setki dyskretnych „winietek”, siłą narzuconych fragmentów wspomnień. Bada-nego, który jest oczywiście pod wpływem wszelkiego rodzaju środków psychotropowych, poddaje się stymulacji: wyświetla mu się serię plastycznych epizodów, obrazów bez żadnej chronologii czasoprzestrzennej, wymieszanych z innymi obrazami, od defekacji poczynając tu masz widok bobaska na plastikowym nocniczku - po intensywny petting chłopca z trzynastoletnią sąsiadką. Rozdanie dyplomów ukończenia szkoły średniej, pożegnalne chla-nie z kumplami i... nowa tożsamość, nazwisko, które się nieustannie powtarza. Rezultat? Zapasowa lub raczej nowa, zmieniona świadomość, do której agent będzie automatycznie uciekał w warunkach ekstremalnego stresu. Celem tego wszystkiego było stworzenie szpiega odpornego na każde przesłuchanie. Ale sam wiesz, jak działają tajne służby. Gdy metoda jest już dopra-cowana, jeden Bóg wie, kiedy, gdzie i jak jej użyją.

- Sugerujesz, że...

- Właśnie - przerwał mu Ozyrys. - Tylko sugeruję. Nie twierdzę, bo twierdzić nie mogę. Po prostu nie wiem. Podsuwam ci jedynie pewną myśl. Czy coś z tego, co pamiętasz, ma teraz jakiś sens?

Mimo chłodnej wody Ambler poczuł na ciele ukłucia setek gorących igie-

łek. „Defragmentacja osobowości... Rozpad osobowości, syndromy egodystoniczne...” Ostre, tnące jak brzytwa fragmenty psychiatrycznych diagnoz.

Obłąd!

Żeby sprawdzić fizyczną realność zmysłów, żeby się w tej realności utwierdzić, spróbował świadomie zarejestrować chłód wody, ból mięśni. Wyciąg-nął szyję i rozejrzał się wokoło, odnotowując najdrobniejsze szczegóły otaczającej go rzeczywistości. Starsza pani, która wciąż pływała tam i z powrotem na płytszym końcu basenu; musiała mieć co najmniej osiemdziesiąt lat. Dziewczyna w kostiumie kąpielowym z czerwonej koronki; pewnie jej wnuczka.

Pulchne kawoszki na leżakach w skromnych, jednoczęściowych kostiumach; bez wątplenia rozmawiały o ćwiczeniach gimnastycznych i kolejnej diecie cud. Pochylony sprzętacz z wiadrem i szczotką po drugiej stronie. Mężczyzna w nieokreślonym wieku, Chińczyk, z tym że...

107

Ambler szybko zamrugał. Coś mu tu nie pasowało. Chińczyk był pochylony, owszem, ale jakoś tak dziwnie, nieprzekonująco. Nieprzekonująca i dziwna była również szczotka.

O Chryste!

Czy to halucynacje? Paranoidalne zwiady? Znowu?

Nie, nie mógł sobie na to pozwolić.

- Posłuchaj - rzucił. - Na brzegu jest sprzątac, Chińczyk. To jeden z waszych?

- Wykluczone - odparł Ozyrys. - Decyzją podjąłem w ostatniej chwili, nikogo nie powiadomiłem, dokąd jedziemy.

- Jest jakiś dziwny. Jakby... Nie, nie wiem. Nieważne. Ale lepiej stąd chodź-

my. - Ambler ponownie zanurkował, chcąc wypłynąć kilka metrów dalej i jeszcze raz przyjrzeć się sprzątacowi. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że coś z nim jest nie tak.

Chwilą później woda gwałtownie zmętniała, pociemniała.

Zamiast wypłynąć, Hal odruchowo zanurkował jeszcze głębiej i dopiero wtedy zerknął do góry.

Buchająca z Ozyrysa krew - kula musiała naruszyć tętnicę szyjną; wskazywały na to szybkość i ciśnienie, z jakim wypływała - kłębiła się w chloro-wanej wodzie niczym wielkie, czarne chmury.

Kevin McConnelly z trudem zachowywał cierpliwość. Ten natrętny, czerwony na gębie bufon bez szyi chciał koniecznie zajrzeć do „przebieralni”, bo zginął mu portfel. „Szatnia” mu nie pasowała; kojarzyła mu się pewnie z czymś prymitywnym i przyziemnym. „Szatnia” to grzybica międzypalcowa i ochraniacze na genitalia, a hotel Plaża był przecież hotelem dla bogaczy, którzy uważali, że świat stworzono wyłącznie dla nich. Cholera jasna, jakby jakiś krawiec z Savile Row wziął szpilki i nożyczki, pociął całą zachodnią półkulę na kawałki, po czym pozszywał je zgodnie z ich życzeniem.

Przeszkadza szanownemu panu Cincinnati? Zaraz je przesuniemy. Jezioro Michigan jest za małe? Zaraz poszerzymy. Tak rozmawiali. Tak myśleli. A jeśli istniało gdzieś miejsce, gdzie mogli spełnić swoje marzenia, miejscem tym był na pewno hotel Plaża.

- Ależ oczywiście - odparł. - Jeśli ktoś ukradł panu portfel, musimy potraktować to poważnie. Chcę tylko powiedzieć, że rzadko kiedy mamy problem z kradzieżą mienia w przebieralni.

- Zawsze musi być pierwszy raz - mruknął tamten.

- Czy sprawdzał pan w marynarce? - spytał McConnelly, wskazując wybrzuszenie w lewej, dolnej kieszeni jego granatowej marynarki.

Bufon łypnął na niego spode łba, ale sprawdził. Poklepał się po kieszeni, wyjął z niej portfel i otworzył go, jakby wciąż nie dowierzał, że naprawdę należy do niego.

A czyj portfel spodziewałeś się tam znaleźć, ty pieprzony grubasie? -

McConnelly powstrzymał się od uśmiechu, bo wiedział, że tamten może to źle odebrać.

- Zatem wszystko w porządku - powiedział.

- Nigdy nie trzymam tu portfela - odparł bufon tonem rozkapryszonego dziecka, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem.

Jasne, palancie, pomyślał McConnelly, to ja. Zrobiłem ci głupi dowcip. Co za pajac.

- Cóż, przepraszam, że zawracałem panu głowę. Bufon posłał mu ostry jak brzytwa uśmiech. Ton jego głosu wyraźnie sugerował, że wszystkiemu jest jednak winny McConnelly.

Co za klasa. McConnelly tylko wzruszył ramionami.

- Nic się nie stało. To się często zdarza. - Zwłaszcza chamowatym sukin-synom, którzy nie potrafią przyznać się do pomyłki. Służąc w żandarmerii wojskowej, nigdy nie musiał się czymś takim zajmować. Żandarmeria miała do czynienia z ludźmi, którzy znali swoje miejsce. Wyznaczała je liczba belek na pagonach.

Już miał sięgnąć po deskę z klipsem, żeby odnotować to zdarzenie w ru-bryce INCYDENTY - powinna była się nazywać „incydenty bez znaczenia”, gdyż niemal wszystkie były skargami bez żadnego pokrycia - gdy nagle usłyszał przeraźliwy krzyk.

Wodę przeszła kolejna kula, pozostawiając za sobą sznur powietrznych koralików i omijając go zaledwie o kilkadziesiąt centymetrów. Załamanie światła utrudniało celowanie, lecz Ambler wiedział, że następnym razem snajper nie popełni tego błędu i weźmie odpowiednią poprawkę. Jak daleko stał, z jakiego kąta strzelał? Tuż przy dnie, ze wszystkich sił pracując rękami i nogami, popłynął w stronę brzegu, prosto na tamtego. To paradoksalne, ale im bliżej był, tym mniejsze groziło mu niebezpieczeństwo, ponieważ Chiń-

czyk musiał strzelać z ostrzejszego kąta.

Zerknął na kłębiący się w wodzie czerwony obłok krwi na drugim końcu basenu. Ozyrys nie żył. Unosił się na powierzchni z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami.

O Chryste, nie!

Gdzie było najbezpieczniej? Był pod wodą dziesięć, piętnaście sekund, a mógł wstrzymać oddech najwyżej na minutę. W niebieskiej, krystalicznie 109

czystej toni nie dostrzegł miejsca, gdzie mógłby się skryć. Żadnego, z wyjątkiem... obłoku krwi kilka metrów dalej. Tak, ciało Ozyrysa było jego jedynym ratunkiem, gdyż w samych tylko hotelowych kąpielówkach Ambler był

zupełnie bezbronny. Wypłynął na powierzchnię tuż przy ścianie basenu i szeroko otwierając usta, żeby oddychać jak najciszej, kilka razy szybko zaczerpnął

powietrza. Dobiegł go przeraźliwy krzyk. To te kobiety. Przerazone uciekały.

Zaraz wpadną tu hotelowi ochroniarze, ale wtedy będzie już za późno. Poza tym podejrzewał, że nie dadzą Chińczykowi rady.

Nie miał żadnej osłony? Nie, niezupełnie. Sama woda była swego rodzaju pancierzem. W najgłębszym miejscu basen miał ponad cztery metry głęboko-

ści. Woda jest tysiąc razy gęściejsza od powietrza i wytwarza tysiąc razy większy opór. Bez utraty prędkości, a tym samym energii i kierunku, kula mogła pokonać najwyżej kilkadziesiąt centymetrów.

Zanurkował do samego dna, odbił się, ukrył w rozszerzającym się obłoku krwi pod martwym Ozyrysem i pociągnął jego ciało w stronę trampolin. Kolejna kula. Ta chybiła zaledwie o kilka centymetrów. Coś za coś: karabin, który można łatwo rozłożyć i złożyć, którego lufa mogła uchodzić za kij od szczotki, to niezbyt celna broń. Najprawdopodobniej jednostrzałowa, taka, którą trzeba za każdym razem nabijać i przeładowywać. Stąd pięciosekundowe przerwy między wystrzałami.

Przez mętną od krwi wodę spojrział do góry. Był prawie pod trampoliną.

Jej betonowy wspornik zapewniałby mu jakąś osłonę.

Zobaczył też Chińczyka. Jego długa, przypominająca kij strzelba musiała mieć lufę małego kalibru i była chyba zmodyfikowaną wersją AMT Lightning, karabinu snajperskiego ze składaną kolbą.

Kolejny trzask i kolejna kula. Ambler wyczuł moment i zanim tamten pociągnął za spust, rzucił się gwałtownie w prawo i ponownie zanurkował.

Teraz liczył się tylko czas. Miał pięć, maksymalnie sześć sekund. Zdąży dopłynąć do wspornika? Ale jeśli nawet zdąży, co zrobi potem?

Nie było czasu na planowanie. Przeżyje albo zginie - wszystko okaże się już za chwilę. Nie miał wyboru. Teraz!

Nie krzyczą z bólu, pomyślał Kevin McConnelly. Tak krzyczy ktoś ogarnięty paniką. Trochę się zaniedbał, był bez formy - lustro nie kłamie - ale piętnaście lat w żandarmerii wykształciło w nim właściwe odruchy. Zajrzał

do Le Centre Nautique, jak głosił pretensjonalny napis nad drzwiami do basenu, i szybko się cofnął. Chińczyk. Jakiś Chińczyk strzelał z dziwnie wyglą-

dającego karabinu. Zawodowiec - wiedział, że służbowym rewolwerem nic z takim nie wskóra. Wpadł do szatni i rozejrzał się z rozpaczą w oczach. Był

złany potem, ścisnęło go w brzuchu i przypomniało mu się, dlaczego odszedł z żandarmerii. Mimo to musiał coś zrobić, bo nikogo innego tu nie było.

Coś. Ale co?

Nie uważał się za człowieka błyskotliwego, lecz to, co w końcu zrobił -

doszedł do tego wniosku znacznie później - było posunięciem bardzo inteligentnym: znalazł główny wyłącznik prądu i zgasił światło na całym parterze.

Zapadły atramentowa ciemność i dziwna cisza, bo znieruchomiały wszystkie wentylatory i nawiewy wytwarzające szum, który rejestruje się na ogół dopiero wtedy, gdy ten nagle cichnie. Wiedział, że snajper może uciec, ale miał to gdzieś. Chciał, żeby przestał wreszcie strzelać, uznał, że to najważniejsze.

A w ciemności strzelać się nie da. Prawda? Teraz latarka. Musiała tu gdzieś być...

Usłyszał szybkie kroki i odruchowo wystawił nogę.

Ktoś potknął się i wpadł na szafki. McConnelly zapalił światło i zobaczył

mierzącego metr osiemdziesiąt mężczyzn w hotelowych kąpielówkach.

Krótkie brązowe włosy, dobrze umięśnione ciało, trzydzieści pięć, czterdzie-

ści lat - trudno to było ocenić, bo ktoś, kto dba o kondycję, wygląda w tym wieku znacznie młodziej.

Co pan wyprawia? - warknął tamten, rozmasowując sobie posiniaczone ramię.

To nie on, nie snajper. Raczej ten, do którego strzelano.

McConnelly otaksował go spojrzeniem. Ani śladu broni.

Tamten zwiął, obydwaj o tym wiedzieli. McConnelly'emu ulżyło.

- Będzie tak. - Lubił wypowiadać te słowa. Biła z nich stanowczość i poczucie władzy; to zdumiewające, jak skutecznie oddziaływały nawet na naj-groźniejszych zbirów. - Zaraz wezwę policję, ale najpierw powie mi pan, co się tam stało. - Wziął się pod boki, rozchylając poły marynarki i demonstrując mu pas z rewolwerem w kaburze.

- Tak pan myśli? - Mężczyzna otworzył szafkę. Wytrzeł włosy ręcznikiem i zaczął się przebierać.

- Nie, ja to wiem - odparł McConnelly, podchodząc bliżej.

I wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Mężczyzna spojrzał w lustro i gwałtownie zbladł, jakby zobaczył

ducha. Po chwili odwrócił się i głęboko odetchnął.

- Przy okazji niech pan wezwie też reportera z jakiejś popołudniówki -

rzucił. Chętnie mu wszystko opowiem. „Strzelanina na basenie w hotelu Plaża”. Tytuł aż się prosi.

- To nie będzie konieczne - burknął McConnell, czując, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Nie miał ochoty tłumaczyć się przed kierownikiem.

Mógłby stracić pracę. Dawał głowę, że szef zważyłby wszystko na niego, tak jak ten czerwony na gębie bufon, i z taką samą logiką.

111

- To pan tu decyduje, co jest konieczne, a co nie? - spytał mężczyzna.

- Chcę tylko powiedzieć, że policja może przeprowadzić śledztwo bez niepotrzebnego upubliczniania tego, co tam zaszło.

- Wolę gazety - odparł tamten. - A może... „Krwawa kąpiel w hotelu Plaża”?

- Nie może pan teraz wyjść, to naprawdę ważne. - Ale McConnell nie powiedział tego z pełnym przekonaniem. Bo w gruncie rzeczy przekonania tego nie miał.

- Będzie tak - rzucił przez ramię mężczyzna, ruszając w stronę drzwi. -

Nigdy mnie pan tu nie widział.

Langley, Wirginia

Niepocieszony Caston patrzył ze smutkiem na listę fałszywych nazwisk agentów zatrudnionych w Departamencie Stanu.

Problem w tym, że, oczywiście, nie było na niej nazwiska człowieka, któ-

rego szukał. Zostało wymazane. Jak miał znaleźć coś, co nie istniało?

Przypadkowo natrafił wzrokiem na porannego „Financial Timesa” w koszu na śmieci przy biurku. Musiał być strasznie rozkojarzony, bo po raz pierwszy, odkąd tylko pamiętał, zrobił błąd w krzyżówce. „Faramuszką; nic ważnego”. Napisał: „błahostka” i musiał to wymazać, gdyż prawidłową odpowiedzią było: „bagatelka”. Wyjął gazetę z kosza i popatrzył na krzyżówkę.

Na papierze wciąż widać było mikroskopijne wałeczki gumki.

I nagle... Ruszyły trybiki. Wrzucił gazetę do kosza. Wymazać to znaczy zetrzeć. Ale ścierając jakies

słowo, zwykle zastępujemy je innym. Prawda?

- Adrian - zawołał.

- Tak, mistrzu. - Adrian pochylił głowę z wesołą ironią. Gdyby wypowiedział te słowa z mniejszą czułością, otarłby się o granicę niesubordynacji.

- Przygotuj zapotrzebowanie 1133A, dobrze?

Adrian osłupiał.

- Czyżbyśmy szukali żelaznej góry? W zagranicznych archiwach?

- Bardzo dobrze, chłopcze. - Młody człowiek nie próżnował, codziennie uczył się czegoś nowego.

- Nasi tego nienawidzą. Strasznie to upierdliwe.

Niewątpliwie dlatego tak długo się z tym grzebią, pomyślał Caston i lodowatym głosem powtórzył:

- Upierdliwe? Czy tak jest napisane w regulaminie?

Adrian się zaczerwienił.

112

- Znam kogoś, kto tam pracuje.

- Ciekawe kogo.

- Pewną dziewczyną - wymamrotał asystent, spuszczać oczy.

- Bardzo mi się spieszy.

- Rozumiem.

- Posłuchaj, czy powiedziałbyś, że jestem... czarujący?

Adrian miał oczy sarny, która zastygła bez ruchu w świetle samochodowych reflektorów.

- Raczej... nie? - wykrztusił, wiedząc, że mówiąc: „tak”, nie zdołałby zachować kamiennej twarzy.

- Bardzo dobra odpowiedź. Cieszę się, że nie straciłeś poczucia rzeczywistości. Jeden z naszych

pracowników powiedział kiedyś, że cierpię na „chroniczny brak czaru osobistego”, a jest to ktoś, kto w sumie mnie lubi. Dobrze.

Mam dla ciebie bardzo delikatne zadanie. Chcę, żebyś zadzwonił do tej dziewczyny z archiwum i... - Caston odchrząknął. - I tak ją zbajerowałem, żeby jej majtki spadły. Rozumiesz? Poradzisz sobie?

Zaskoczony Adrian przekrzywił głowę.

- Chyba... chyba tak. - Głośno przełknął ślinę. Potrzebowali go, wzywała go ojczyzna! I z całym przekonaniem dodał: - Tak, na pewno.

- W takim razie niech będzie to najszybciej załatwione zapotrzebowanie w historii CIA - powiedział Caston i posłał mu lekki uśmiech. Potraktuj to jako wyzwanie.

- Super - odparł Adrian.

Caston podniósł słuchawkę; musiał zamienić kilka słów z szefem. Siedział

tu już od wielu godzin. Ale nareszcie zaczynał robić postępy.

Rozdział 10

Gaithersburg, Maryland

om był parterowy, ranczerski i gdyby nie starannie przystrzyżony żywopłot pod frontową ścianą, który wyglądał jak ciernista, wiecznie zied

lona fosa, nie odróżniałby się od pozostałych domów w okolicy. Zdawało się, że jest to najbardziej niebezpieczne miejsce z możliwych, lecz może jednak

takie

nie

było.

Musiał

się

o

tym

przekonać.

Zadzwonił do drzwi. Czy w ogóle była w domu?

Usłyszał kroki i przez głowę przemknęła mu kolejna myśl: a jeśli nie jest sama? W garażu stał jeden samochód, stara corolla, a podjazd był pusty. Zza ściany nie dochodziły żadne odgłosy, które mogłyby wskazywać, że mieszka z kimś. Ale to żaden dowód.

Drzwi otworzyły się, a właściwie uchyliły; napiął się łańcuch.

Spotkali się wzrokiem i zamarła.

- Proszę, nie rób mi krzywdy - powiedziała cichym, przestraszonym głosem. - Błagam, odejdz stąd!

I Laurel Holland, pielęgniarka, która pomogła mu uciec z wyspy Parrish, zatrzasnęła drzwi.

Myślał, że usłyszy jej kroki, że dziewczyna natychmiast pójdzie zadzwonić na policję, ale nie, wciąż tam stała, jakby sparaliżowały ją niepewność i wahanie.

Zadzwonił jeszcze raz.

- Laurel.

Cisza. Laurel nadśluchiwała. Wiedział, że o wszystkim rozstrzygną słowa, które miał za chwilę wypowiedzieć.

- Laurel, jeśli chcesz, żebym odszedł, to pójdę. Pójdę i już nigdy mnie nie zobaczysz. Obiecuję. Uratowałaś mi życie, dostrzegłaś coś, czego nie dostrzegł nikt inny. Miałaś odwagę mnie wysłuchać, zaryzykowałaś karierę, zrobiłaś coś, czego nie zrobił nikt inny. Nigdy ci tego nie zapomnę. - Krótka przerwa. - Ale potrzebuję cię, Laurel. Znowu potrzebuję twojej pomocy. -

Odczekał dłuższą chwilę. - Proszę, wybacz mi. Już nie będę cię niepokoił.

Odwrócił się ze ściśniętym sercem, zszedł z ganku i rozejrzał się po ulicy.

Nikt go nie śledził, to niemożliwe - nikt nie mógł wiedzieć, że zamierza odwiedzić pracownicę ośrodka na wyspie Parrish - mimo to zrobił wszystko, żeby się co do tego upewnić. Po drodze dwa razy zmieniał taksówkę, dwa razy wynajmował samochód i przez cały czas uważnie obserwował pojazdy jadące w tę samą stronę. Zanim zadzwonił do jej drzwi, dokładnie zlustrował ulice wokół domu, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Były opustoszałe, jak to w południe. Minęło go zaledwie kilka samochodów należących zapewne do ludzi, którzy, podobnie jak Laurel Holland, pracowali na drugą zmianę i czekali teraz na powrót dzieci ze szkoły. Z niektórych okien dochodziły odgłosy transmisji meczu baseballowego, z innych sączył się łagodny rock: gospodynie domowe - gatunek to odporny i wytrzymały, mimo licznych ostrzeżeń, że grozi mu wymarcie - prasowały pewnie koszule albo polerowały tanie meble.

Drzwi otworzyły się ponownie, zanim doszedł do końca podjazdu. Przystanął i się odwrócił.

Laurel pokręciła samokrytycznie głową.

114

- Wejdz - rzuciła. - Zanim otrzeźwieję.

Bez słowa wszedł do skromnego domu. Koronkowe firanki. Tani dywan z importu na podłodze z dębowych paneli. Sofa, nijaka, lecz przykryta ciekawą, haftowaną orientalną narzutą. W kuchni od nowości niczego nie zmieniło. Podniszczone blaty, mosiężne krany, podłoga wyłożona czarno-białym winylem z rolki.

Laurel robiła wrażenie przerażonej, złej na niego, ale chyba bardziej na samą siebie. I była śliczna. Tam, na wyspie, była jedynie ładną, oschłą pielęgniarką, ale tu, w domu, z rozpuszczonymi włosami, w swetrze i dżinsach wypiękniała, stała się jeszcze bardziej kobieca, urocza, a nawet elegancka.

Poruszała się teraz z naturalnym wdziękiem, a jej kręcone, kasztanowe włosy łagodziły stanowczy wyraz twarzy. Jej ukryte pod luźnym swetrem ciało było jędrne i miękkie zarazem, gibkie i ustępliwe. Chociaż miała wąską talię, w kształcie jej piersi było coś niemal matczynego. Zdał sobie sprawę, że się na nią gapi i odwrócił wzrok.

Z nagłym skurczem serca zobaczył mały rewolwer, smitha & wessona kaliber 22 na ścianie nad półką z przyprawami. To, że go miała, było znaczące.

Ale bardziej znaczące było to, że nie zrobiła żadnego ruchu w tamtą stronę.

- Dlaczego przyszedłeś? - spytała, patrząc na niego urażonym wzrokiem.

- Wiesz, co ryzykuję?

- Laurel...

- Jeśli naprawdę jesteś mi wdzięczny, odejdz! Zostaw mnie w spokoju.

Ambler drgnął, jakby go spoliczkowała. Pochylił głowę.

- Dobrze, odejdę - szepnęła.

- Nie. Nie chcę... Nie wiem, czego chcę. - W jej głosie pobrzmiwały ból i zażenowanie, że Hal to słyszy.

- Masz przeze mnie kłopoty, tak? Chcę ci podziękować, Laurel. Podzię-

kować i przeprosić.

Z roztargnieniem przeczesła ręką swoje lśniące włosy.

- Mówisz o tym kluczu? Nie był mój. Siostra z nocnej zmiany zawsze zostawiała go w szufladzie z lekami.

- Pomyśleli, że go zwinąłem.

- Tak. Jest taśma, nagranie, a na nagraniu wyraźnie widać, co się stało.

Wszyscy dostali naganę i na tym się skończyło. Nie licząc tych dwóch. No i tak. Uciekłeś. A teraz wróciłeś.

- Jeszcze nie do końca.

- Mówili, że jesteś niebezpiecznym psychopata.

Ambler ponownie zerknął na rewolwer na ścianie. Dlaczego go nie chwyciła, dlaczego się nie uzbroiła? Nie wiedzieć czemu wątpił, że to ona go tam

powiesiła. Nie, ktoś zrobił to za nią. Mąż. Kochanek. Nie była to męska broń. To była broń, jaką mężczyzna mógłby kupić kobiecie. A przynajmniej mężczyzna pewnego rodzaju.

- Wmawiali wam to, a ty im nie uwierzyła? odparł. - Przecież nie wpuś-

ciłabyś do domu niebezpiecznego psychopaty. Zwłaszcza że mieszkasz sama.

- Nie bądź tego taki pewny.

- Ale kiedyś z kimś mieszkałaś. Opowiedz mi o nim.

- Skoro jesteś taki mądry, może ty mi o nim opowiesz?

- To podwójny eks. Eksprzyjaciel lub mąż i ekszołnierz.

Lekko zaskoczona kiwnęła głową.

- Był na wojnie - ciągnął Ambler.

Ponownie kiwnęła głową i lekko zbladła.

- Możliwe, że ma lekkie odchylenia paranoidalne - dodał Ambler, ruchem głowy wskazując rewolwer. - Zastanówmy się. Jesteś pielęgniarką i pracujesz w ośrodku psychiatrycznym. Ciekawe dlaczego? Może dlatego, że na wojnie - w Somalii? Brał udział w „Pustynnej Burzy”? - trochę pomieszało mu się w głowie.

- Posttraumatyczny zespół urazowy - szepnęła.

- A ty chciałaś go wyleczyć. Pragnęłaś, żeby znowu był sobą.

- Próbowałam - odrzekła. Lekko zadrżał jej głos.

- I nie dałaś rady. Ale nie dlatego, że nie wkładałaś w to serca. A potem...

Potem poszłaś do szkoły, może do jednej z tych wojskowych szkół zawodowych. Zachęcali cię, zaproponowali specjalizację, a ponieważ jesteś inteligentna i bezgranicznie się temu poświęciłaś, zdobyłaś dyplom wykwalifikowanej pielęgniarki psychiatrycznej. A jeszcze potem? Jeszcze potem trafiłaś na wyspę Parrish.

- Dobry jesteś - warknęła zła, że sprowadził ją do roli obiektu badawczego.

- Nie, to ty jesteś dobra, dlatego się w to wplątałaś. Jak powiadają, żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie.

Zesztywniała.

- To dlatego tu jesteś? Chcesz wymierzać sprawiedliwość?

- Chryste, nie.

- W takim razie, po jakiego diabła...

- Ponieważ... - Od natłoku myśli zawiroowało mu w głowie. - Ponieważ boję się, że naprawdę zwariowałem. I ponieważ jesteś jedyną osobą, która patrzy na mnie jak na normalnego człowieka. Pokręciła głową, lecz czuł, że powoli przestaje się bać.

- Chcesz, żebym powiedziała, że nie jesteś psychopatą? Nie, nie jesteś.

Ale moja opinia nie ma najmniejszego znaczenia.

116

- Dla mnie ma.

- Chcesz kawy?

- Jeśli akurat robisz

- Rozpuszczalna. Może być?

- Wszystko jedno.

Posłała mu długie, spokojne spojrzenie. Jakby prześwietlała go wzrokiem docierając do samego jądra osobowości, do rdzenia zdrowych zmysłów.

Pili kawę, gdy nagle go olśniło. Już wiedział, dlaczego tu przyszedł. Biło z niej człowieczeństwo i ciepło, którego tak rozpaczliwie teraz pragnął, które-go potrzebował do życia jak tlenu. Wykład Ozyrysa na temat warstwowania mnemonicznego i arsenału środków kontroli umysłu dogłębnie nim wstrząsał: poczuł się tak, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg. Widok jego gwał-

townej śmierci, równie wstrząsający, jeszcze bardziej utwierdził go w przekonaniu, że niewidomy agent miał rację.

I podczas gdy tamci chcieli go zwerbować, Laurel była jedyną osobą na świecie, która z jakichś powodów wierzyła mu, tak jak on chciał wierzyć sobie samemu. Cóż za bolesna ironia: pielęgniarka, która widziała go na samym dnie, w szponach obłądu, jedyna na świecie mogła teraz zaświadczyć, że jest człowiekiem zdrowym psychicznie.

- Patrzę na ciebie i jakbym widziała samą siebie - powiedziała powoli. -

Wiem, że bardziej różnić się nie możemy, ale... - Na chwilę zamknęła oczy.

- Ale mamy ze sobą coś wspólnego. Nie wiem co.

- Jesteś moim portem podczas sztormu.

- Czasami myślę, że sztorm jest dla portu radością.

- Cnota konieczności?

- Coś w tym rodzaju. A propos. Tak, brał udział w „Pustynnej Burzy”.

- Twój były.

- Były mąż. I były żołnierz. Były żołnierz piechoty morskiej to osobowość sama w sobie. Nie można się jej wyzbyć. Dlatego nie mógł zapomnieć o tym, co się tam stało. Co to właściwie znaczy? Czy mam dar pakowania się w kłopoty?

- Ale kiedy się poznaliśmy, był zdrowy, prawda?

- Tak. To było tak dawno temu. Ale pojechał tam, zaliczył dwie tury i wrócił odmieniony.

- W negatywnym tego słowa znaczeniu.

- Zaczął pić i to dużo. Kilka razy mnie uderzył.

- A nie powinien wcale.

- Tak. Próbowалаm do niego dotrzeć, jakby tkwił w nim mały, załamany psychicznie chłopiec i czasami myślę, że gdybym go bardziej kochała, 117

poczułby się lepiej. Ale tak, kochałam go. On też mnie kochał. Chciał mnie chronić. Coraz częściej popadał w stany paraioidalne, wszędzie widział wrogów. Ale bał się o mnie, nie o siebie. Jediną rzeczą, jaka nigdy nie przyszła mu do głowy, było to, że to właśnie jego się boję. Ten rewolwer na ścianie.

To on go tam powiesił. Chciał, żebym nauczyła się strzelać. Rzadko kiedy pamiętałam, że tam wisi. Ale czasami miałam ochotę zdjąć go ze ściany, żeby obronić się... przed nim.

Ponownie zamknęła oczy i zażenowana kiwnęła głową. Przez chwilę milczała.

- Ciebie też powinnam się bać. Nie wiem, dlaczego tak nie jest. I to mnie przeraża.

- Jesteś taka sama jak ja. Robisz to, co podpowiada ci instynkt.

Zatoczyła ręką łuk.

- Widzisz, gdzie mnie ten instynkt zaprowadził.

- Jesteś dobrym człowiekiem - odrzekł Ambler i nie zastanawiając się, przykrył dłonią jej dłoń.

- Instynkt ci to mówi?

- Tak.

Laurel tylko pokręciła głową i spojrzała na niego swymi piwnymi oczami, w których połyskiwały zielone iskielki.

- Ty też miałaś... znałaś kogoś takiego jak on?

- Mój styl życia nie ułatwiał głębszych znajomości. Ani głębszych, ani płytszych. Trudno jest utrzymać przy sobie kochankę, skoro w każdej chwili mogą przenieść cię na siedem miesięcy do Sri Lanki, na Madagaskar, do Czeczenii czy Bośni. Trudno jest mieć przyjaciół w życiu cywilnym, skoro wiesz, że przyjaźniąc się z nimi, automatycznie skazujesz ich na długą, dokładną inwigilację. To niby rutyna, ale jeśli masz dostęp do tego rodzaju informacji, każdy kontakt cywilny jest albo kimś, kogo wykorzystujesz, albo kimś, kto wykorzystuje ciebie. To praca i życie dobre dla samotnika. Dla kogoś, kto nie ma nic przeciwko temu, że każda nowa znajomość jest jak karton mleka z datą ważności. To było poświęcenie. I to duże. Ale miało mnie uodpornić, wzmocnić.

- I wzmocniło?

<- Jeśli dobrze o tym pomyśleć, to wprost przeciwnie.

W kasztanowych włosach Laurel igrały promienie światła odbijającego się od lampek w ścianie.

- Nie wiem. Z moim szczęściem wyszłabym chyba lepiej, będąc sama.

Wzruszył ramionami.

- Wiem, jak to jest, kiedy ludzie się przy tobie zmieniają. Mój ojciec pił.

Potrafił długo nie pić, ale potem zawsze zaczynał od nowa.

118

- Typ gniewnego pijaka?

- Tak, zwłaszcza pod wieczór, jak większość z nich.

- Bił cię?

- Rzadko.

Ale bił.

Ambler uciekł wzrokiem w bok.

- Nauczyłem się rozpoznawać, w jakim jest humorze. To trudne, bo nastrój pijaka może się zmienić w każdej chwili. Jest wesoły, roześmiany i nagle chlast! Różnie, otwartą ręką albo pięścią. I nagle pochmurnieje mu twarz, i nagle: „Bezczelny jesteś, gnoju”.

- Chryste.

- Potem zawsze mnie przeproszał. Naprawdę tego żałował. A ja? Wiesz, jak to jest. Ktoś przyrzeka

ci, że się zmieni, a ty mu wierzysz, bo chcesz wierzyć.

Kiwnęła głową.

- Bo musisz mu wierzyć. Tak jak wierzysz, że pewnego dnia wreszcie przestanie padać. I cały instynkt szlag trafia.

- Nazwałbym to oszukiwaniem samego siebie. Ignorowaniem instynktu.

Widzisz, gdybyś była tym małym chłopcem, szybko nauczyłabyś się zauwa-

żać najdrobniejsze zmiany na jego twarzy. I byłabyś w tym dobra, naprawdę dobra. Wiedziałaabyś, że jeśli jest w złym humorze, to tylko dlatego, że znowu przechodzi załamanie. Wtedy poprosiłabyś go o kieszonkowe, o nowego action-mana, a on spojrzałby na ciebie tak, jakbyś zrobiła mu przysługę. Dałby ci piątaka, może nawet dychę i powiedział: Idź, kup sobie coś. Dobry z ciebie chłopak. Innym razem wydawałoby się, że jest wesoły i żartobliwy, ale gdybyś tylko źle na niego spojrzała, natychmiast wpadłby w szal i zdjął pas.

-- A więc nigdy nie wiedziałeś, czego oczekiwać. Był zupełnie nieprzewidywalny.

- No, właśnie. Nauczyłem się. Nauczyłem się to wszystko rozpoznawać, rozróżniać wszystkie subtelności. Rozpracowałem go jak system pogodowy.

Kiedy skończyłem sześć lat, znałem jego humory na pamięć jak alfabet. Wiedziałem, kiedy lepiej zejść mu z oczu. Wiedziałem, kiedy jest wspaniało-myślny. Kiedy zły, agresywny czy apatyczny, kiedy się nad sobą użala. Wiedziałem, kiedy okłamuje mnie czy mamę.

- Musiało ci być ciężko.

- Zostawił nas, kiedy miałem siedem lat.

- Ulżyło wam?

- To trochę bardziej skomplikowane... - Ambler zamilkł.

Laurel też przez chwilę milczała, pijąc podłą kawę.

- Miałaś kiedyś inną pracę? To znaczy, zawsze byłeś... szpiegiem?

- Tak, pracowałem. Parę razy, latem. Robiłem za kelnera w knajpce w luna-parku za miastem; podawałem gościom zeberka, tym, którzy mieli siłę i ochotę najedzenie po przejażdżce diabelską kolejką. Swego czasu nieźle rysowałem.

W wakacje po drugim roku studiów pojechałem do Paryża i próbowałem zarabiać jako uliczny artysta. Za kilka franków rysowałem przechodniów.

- Nie ma to jak własna droga do bogactwa, co?

- To była prawdziwa autostrada, ale szybko musiałem z niej zjechać. Klienci się wkurzali.

- Nie umiałeś uchwycić podobieństwa?

- Nie, to nie to... - Ambler urwał. - Boże, nie myślałem o tym od lat.

Długo trwało, zanim zrozumiałem, dlaczego tak reagowali. Chodzi o to, że widziałem ich niekoniecznie tak, jak chcieli być widziani. Nie wiedzieć czemu, na moich rysunkach zawsze robili wrażenie wystraszonych, zalekanych, zrozpaczonych czy zżeranych wątpliwościami. Może tacy naprawdę byli. Ale oni nie chcieli znać prawdy. Niektórych to przerażało, inni się wkurzali. Pokazywałem im rysunek, a im odbijało. Mięli go, rwali na strzępy i wrzucali do kosza na śmieci. Miało to chyba coś wspólnego z przesądem.

Jakby nie chcieli, żeby ktoś ich widział, zajrzał im w głąb duszy. Ale wtedy nic z tego nie rozumiałem.

- A teraz? Rozumiesz, co się dzieje?

Popatrzył na nią.

- Masz czasem wrażenie, że nie wiesz, kim jesteś?

- Cały czas - odrzekła, hipnotyzując go swymi kocimi oczami. - Co ołciici Zrobili?

Odpowiedział jej smutnym półuśmiechem.

i - Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Co oni ci zrobili? - Teraz z kolei ona położyła dłoń na jego dłoni i poczuł, jak jego ręka wypełnia się aż po ramię ciepłem jej ciała.

Opowiedział jej o swoim zniknięciu, o elektronicznych bazach danych, z których wyparowało jego nazwisko, a potem streścił pokrótce to, co usłyszał od Ozyrysa. Słuchała zamyślona i zaraźliwie spokojna.

W końcu powiedziała:

- Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

- Chcę.

- Myślę, że kiedy byłeś w ośrodku, ktoś próbował namieszać ci w głowie.

Nie, nie myślę. Jestem tego pewna. Użyli do tego narkotyków, elektro-wstrząsów i Bóg wie czego jeszcze. Ale nie wierzę, żeby można było zmienić to, kim naprawdę się jest.

120

- Kiedy tam byłem... Kiedy tam byłem, puścili mi taśmą z nagraniem.

Opowiedział jej o tym bez drastycznych szczegółów.

- Skąd wiesz, że to byłeś ty?

- Po prostu wiem.

Obserwowała go w skupieniu.

- To można wyjaśnić.

- Wyjaśnić? Jak?

- W szkole miałam farmakologią. Zaczekaj, przyniosą podręcznik i coś ci pokażę.

Kilka minut później wróciła z grubą księgą w złoconych, głęboko tłoczonych okładkach.

- Ta psychoza, o której mówiłeś. Można wywołać ją pewnymi narkotykami.

- Znalazła rozdział o środkach przeciwcholinergicznym. - Popatrz. Symptomy przedawkowania. Piszą tu, że przedawkowanie może wywołać psychozę.

- Ale ja tego nie pamiętam. Nie pamiętam, żebym miał psychozę. Nie pamiętam nawet, żeby podawali mi jakieś leki.

- Mogli połączyć te środki z innymi, choćby z versedem. Przewróciła kilka pelurowych kartek. - Tutaj. Spójrz. - Postukała palcem w książkę. -

Niektóre leki, wśród nich versed, wpływają na kształtowanie pamięci. A tutaj? Ostrzeżenie przed „retroamnezją”, czyli utratą pamięci o wszystkich wydarzeniach sprzed podania leku. Chcę przez to powiedzieć, że za pomocą odpowiedniej mieszanki leków można wprowadzić pacjenta w stan chwilo-wego obłądzenia, obłądzenia, o którym pacjent potem nie pamięta. Przez kilka godzin będzie po prostu bredził, zachowywał się jak prawdziwy wariat...

Ambler powoli kiwnął głową. Czuł, że z podniecenia jeżą mu się włosy na karku.

- Nagrali cię w tym stanie, żebyś sam w to uwierzył. Z sobie tylko wiadomych powodów chcieli ci wmówić, że postradałeś zmysły.

Z sobie tylko wiadomych powodów...

Pytania - kto? dlaczego? - były niczym rozwarta otchłań czyhająca na tych, którzy śmieli w nią zajrzeć. Jego wyczerpywało już zmaganie się z pytaniem podstawowym: Ale z jakich?

Z sobie tylko wiadomych.

Przypisywanie logiki szaleństwu tylko z pozoru było paradoksalne. Sztuczne wywoływanie demencji należało do ich arsenału brudnych sztuczek. Było jednym ze sposobów kompromitowania tych, których chciano zdyskredytować. Po cichu puszczano w obieg taśmę z nagraniem, które miało przekonać zainteresowane strony, że ten i ten jest szaleńcem. Bardziej szczegółowych informacji oczywiście odmawiano.

121

Perspektywa była przerażająca. W takim razie skąd u niego ten dziwnie radosny nastrój? Stąd, że nie był sam. Że ktoś pomagał mu rozwiązać tę zagadkę.

Że ten ktoś mu wierzył. Wierzył w niego. Że wiara ta pomogła mu uwierzyć w siebie samego. Tezeusz nie wyszedł jeszcze z labiryntu, ale znalazł

już swoją Ariadnę.

- A jak wyjaśnisz to, że zniknąłem ze wszystkich baz danych? - drążył. -

Jakbym nigdy nie istniał.

- Dobrze wiesz, co mogą ci u władzy. Ja też wiem. Mało to razy słyszałam o rzeczach, o jakich nie powinno się rozmawiać? O zakładaniu historii choroby ludziom, którzy nigdy nie istnieli? Skoro można ją założyć, jeszcze łatwiej można ją zniszczyć.

- Obłąd.

- Mniej groźny niż coś innego. - Powiedziała to tak stanowczo, z taką pewnością w głosie, że Hal natychmiast odrzucił hipotezę Ozyrysa. - Ukryli cię w ośrodku psychiatrycznym, zniknąłeś w systemie. To znaczy, że chcieli uniknąć pytań na twój temat. To tak jakbyś wszedł na dach, a oni zabrali ci drabinę.

A to, co widziałem w Sourlands? Ani śladu domku, ani śladu, że w ogó-

le istniał.

- Myślisz, że dla potężnej agencji rządowej to taki wielki problem?

Posłuchaj. - Załamał mu się głos. Patrzę w lustro i nie rozpoznaję samego siebie!

Dotknęła jego policzka.

- Zmienili ci twarz.

- Twarz? Jakim cudem?

- Nie jestem chirurgiem, ale słyszałam o takich technikach. Niektóre są tak zmyślne, że operowany nie widzi potem najmniejszych śladów operacji.

Wiem też, że można kogoś uśpić i utrzymywać go w tym stanie przez wiele tygodni. Robi się tak choćby w przypadku silnych oparzeń, żeby zaoszczędzić

pacjentowi potwornego bólu. Poza tym istnieją wszelkiego rodzaju techniki bezinwazyjne lub półinwazyjne. Mogli cię zoperować i wybudzić dopiero miesiąc później, kiedy rany już się zagoiły. A jeśli miałeś w tym czasie okresy pełnej świadomości, mogli zastosować terapię versedem, żebyś niczego nie pamiętał. Jeśli tak było, skąd możesz o tym wiedzieć?

- Obłąd - powtórzył Ambler. - Prawdziwy obłąd.

Stała tuż przed nim i przytknęła ręce do jego twarzy. Zbadała skórę wzdłuż szczęki i za uszami, szukając blizn za linią włosów. Przyjrzała się uważnie jego powiekom, policzkom i nosowi. Czuł ciepło jej twarzy, a gdy przesunę-

ła palcami po jego skórze, coś w nim drgnęło. Boże, jaka ona była piękna...

122

- Widzisz coś? - spytał.

Pokręciła głową.

Żadnych blizn, ale to nic nie znaczy. Mogli to zrobić bezinwazyjnie. Gdyby wprowadzili skalpel przez nos, gdyby nacięli powieki od wewnętrznej strony... Jest wiele sposobów. Ale to nie moja działka.

- Nie masz na to żadnych dowodów, tylko tak myślisz. - Ambler wciąż podchodził do tego z dużym sceptycyzmem, lecz niezachwiane przekonanie, z jakim to mówiła, chwilowo dodało mu otuchy.

- To jedyne logiczne wytłumaczenie - odparła rozemocjonowana. - Tylko tak da się wyjaśnić to, co przeszedłeś.

- Oczywiście zakładasz, że to, co przeszedłem i to, co pamiętam, ma jakiś sens. - Umilkł. Chryste, czuję się jak ofiara.

- Może tego właśnie chcieli. Posłuchaj, ludzie, którzy ci to zrobili, są źli.

To manipulatorzy. Nie sądzę, żeby zamknęli cię w ośrodku dlatego, że byłeś słaby. Wsadzili cię tam prawdopodobnie dlatego, że byłeś za silny. Dlatego^

że dostrzegłeś coś, czego miałeś nie zobaczyć.

- Zaczynasz bredzić tak samo jak ja - odrzekł ze słabym uśmiechem.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie? - spytała niemal nieśmiało.

- Śmiało.

- Jak się nazywasz?

Roześmiał się, pierwszy raz tego dnia, głośnym, serdecznym śmiechem.

Teatralnym gestem wyciągnął do niej rękę.

- Bardzo mi miło panią poznać. Harrison Ambler, ale może mi pani mówić Hal.

- Brzmi tysiąc razy lepiej niż pacjent 5312. Zanurzyła mu we włosy obie ręce i delikatnie odgarnęła grzywkę. Potem ujęła jego głowę i odwróci-

ła ją w lewo i w prawo, jakby bawiła się manekinem. Jeszcze potem nachyliła się i pogłaskała go po policzku.

Minęło kilka chwil, zanim zareagował. Ale kiedy już to zrobił, zachował

się jak umierający z pragnienia podróżnik, który po miesiącach spędzonych na pustyni znajduje wreszcie oazę. Przytulił ją obiema rękami - była jędrna, i była miękka, była wszystkim, co miał, i nie chciał niczego więcej.

- Wierzę ci - powiedziała drżącym, lecz wesołym głosem, gdy się od siebie oderwali. - Wierzę, że ty to ty.

- Pewnie jako jedyna.

- A twoi znajomi?

- Mówiłem ci, przez ostatnich dwadzieścia lat żyłem w izolacji. Taka praca. Moimi przyjaciółmi byli koledzy po fachu, dlatego nie sposób ich znaleźć. W tej chwili mogą być pod każdą długością i szerokością geograficzną, 123

zależnie od zadania, jakie wykonują. Zresztą nie znaleźliśmy naszych prawdziwych nazwisk, to była zasada numer jeden.

- Dobrze, zostawmy ich. A koledzy z dzieciństwa? Ze studiów?

Wzdrygnął się na to wspomnienie, ale opowiedział jej o rozmowie z Dyla-nem Sutcliffe'em.

To ją przystopowało, ale tylko na kilka sekund.

- Może ma wczesnego alzheimera. Albo miał wypadek i pomieszało mu się w głowie. Może zawsze cię nienawidził. Albo myślał, że chcesz pożyczyć od niego pieniądze. Kto to wie? - Wstała i przyniosła mu długopis i kartkę papieru. - Masz. Spisz nazwiska ludzi, których pamiętasz i którzy mogą pamiętać ciebie. Kolega z podwórka. Kolega z akademika. Wszystko jedno. Postaraj się przypomnieć sobie tych o rzadszym nazwisku, bo wyszukiwarka nam padnie.

- Ale... Nie mam pojęcia, jak do nich dotrzeć. Poza tym...

Przerwała mu stanowczym gestem ręki.

- Pisz.

Napisał'. Kilkanaście wybranych na chybił' frańców nazwisk znajomych z Camden, z ogólniaka, z obozu letniego i z college'u. Wzięła listę i przeszli do małej wnęki za kuchnią, gdzie stał trochę już wysłużony komputer, sądząc po wyglądzie, najpewniej z demobilu.

- Mam modem - wyjaśniła przepaszająco. - Ale to zdumiewające, co można znaleźć w Internecie.

- Posłuchaj - powiedział ostrożnie. - Nie wiem, czy powinnaś... Nie musisz tego robić, naprawdę.

- To mój dom i będę robiła, co chcę.

Usiadła, wprowadziła nazwiska do „wyszukiwarki znajomych” i pięć minut później na ekranie wyświetliło się sześć nazwisk wraz z numerem telefonu, które przepisała ładnym, wyraźnym charakterem pisma.

Potem podała mu słuchawkę.

- Dzwon. Znajdziesz ich, wystarczy wyciągnąć rękę - powiedziała z niezachwianą pewnością siebie.

- Nie - odparł. - Nie z twego telefonu.

- Martwisz się o koszt zamiejscowych? Jakie to słodkie. Możesz zostawić ćwierć dolara na etażerce, jak Sidney Poitjer w *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad*.

- Nie o to chodzi. - Ambler nie chciał, żeby zabrzmiało to tak, jakby znowu popadł w paranoję, ale ściśle przestrzeganie środków ostrożności, druga natura każdego agenta, mogła się wydać dziwne cywilowi. - Po prostu nie wiem, czy...

- Mój telefon jest na podsłuchu? - Na Laurel nie zrobiło to zbyt wielkiego wrażenia. - Można to jakoś sprawdzić?

- Nie bardzo.

Pokręciła głową.

- Boże, w jakim świecie ty żyjesz. - Wpisała do komputera jego nazwisko.

Ambler wiedział, co za chwilę zobaczy; nie da się uciec przed nieuchronnym, HARRISON
AMBLER: BRAK DOKUMENTÓW

- Zadzwoń z komórki - powiedział, wyjmując nokię. - Tak będzie bezpieczniej. - Wziął głęboki oddech i wybrał pierwszy numer z listy.

- Czy mogę rozmawiać z panią Elaine Lassiter? - spytał, próbując mówić powoli i spokojnie.

- Moja żona zmarła w zeszłym roku - odparł cichy głos.

- Bardzo mi przykro - rzucił pośpiesznie Hal i przerwał połączenie.

Następny numer. Ktoś odebrał, i to natychmiast.

- Szukam Gregsona Burnsa...

- Słucham - przerwał mu szorstki głos.

- Greg! Mówi Hal Ambler. Dawno się nie widzieliśmy...

- Jeśli dzwoni pan z reklamy, proszę umieścić moje nazwisko na liście:

„Rezygnacje” - odparł poirytowany tenor.

- Czy mieszkał pan w dzieciństwie na Hawthorn Street w Camden? - nie ustępował Ambler.

Ostrożne „tak”. W tle słychać było głos kobiety: „Kto to, kochanie?”

- I nie pamięta pan Hala Amblera, chłopaka z naprzeciwka? Nie pamięta pan nikogo o tym nazwisku?

- Znam Erica Amblera, tego pisarza. Już nie żyje. Może pan do niego dołączyć, bo tracę przez pana

czas. - Trzask odkładanej słuchawki.

Hal zamarł. Podłoga zachwiała mu się pod nogami. Szybko wybrał kolejny numer. Juliannę Daiches, obecnie Juliannę Daiches Murchison, wciąż mieszkała w Delaware, jednak gdy w końcu podeszła do telefonu, w jej głosie nie usłyszał niczego, co wskazywałoby, że go poznaje. W przeciwieństwie do Gregsona Burnsa, była jednak bardzo serdeczna. Mówiła niespiesznie, bez podejrzliwości w głosie i słychać było, że jego konsternacja zbiła ją z tropu.

- Powiedział pan: „Sandler” czy „Ambler”? - odrzekła, próbując mu po-móc. - Bo na pewno znałam chłopca nazwiskiem Sandler...

W połowie listy zaczął mieć kłopoty ze skupieniem wzroku i się pocić.

Popatrzył na kartkę jeszcze raz, zmiął ją, zacisnął w pięści, opadł na kolana i zamknął oczy.

Gdy je otworzył, zobaczył Laurel. Stała przed nim ze ściągniętą twarzą.

- Widzisz? To bez sensu. - Zabrzmiało to jak głęboki jęk. -- Już nie mogę.

125

- Pieprzyć to - rzuciła. - Wszyscy w tym siedzą. Albo nie wiem co. Nieważne. Nie musimy tego robić, nie teraz. Nie powinnam cię była zmuszać.

- Nie, nie - wychrypiał. - Przepraszam. Po prostu nie mogę...

- I nie będziesz. Już nie. Nie przepraszaj. Nie dasz im tej satysfakcji.

" - Im - powtórzył. Znowu to trudne do przełknięcia słowo.

- Tak, im. Tym, którzy uknuli ten przeklęty spiszek. Nie dasz im satysfakcji. Ci ludzie próbują wykończyć cię nerwowo. Pieprz ich. Nie będziemy grali w ich grę. Zgoda?

Ambler chwiejnie wstał.

- Zgoda - odrzekł głosem przepelnionym emocjami, nad którymi nie mógł

już zapanować.

Gdy objęła go i przytuliła, poczuł, że wracają mu siły.

- Posłuchaj - powiedziała. - Nie wiem, może jesteśmy tylko myślą, ideą Boga. Miałam kiedyś chłopaka, który mawiał, że nieśmiertelność osiągniemy dopiero wtedy, gdy zdamy sobie sprawę, że nas nie ma, że nie istniejemy.

Fakt, był zwykle nawalony jak stodoła... - Przytknęła czoło do jego czoła i poczuł, że się uśmiecha. - Chcę tylko powiedzieć, że nie da się wierzyć we wszystko, że czasem musimy wybierać. A ja... Kurczę, a ja wybrałam ciebie.

Instynkt. Widzisz?

- Ale...

- Zamknij się, dobra? Wierzę ci, Hal. Wierzę.

Ambler poczuł się tak, jakby na nocne niebo wzeszło nagle ciepłe, promienne słońce.

Rozdział 11

yjeżdżając z osiedla i skręcając wynajętym pontiakiem na przebiega-j

Wąc ą tuż obok ruchliwą dwupasmówkę, odczuwał dziwne uniesienie, jakby był pękniętym naczyniem tańczącym na falach. Ulga była namacalna, lecz niezwykle krucha. Siedział u niej dość długo i chociaż rozpaczliwie pragnął zostać jeszcze dłużej, uznał, że Laurel może poczuć się w końcu niezręcznie. Tak dużo dla niego zrobiła: nie chciał, żeby poświęcała się jeszcze bardziej.

Na najbliższym skrzyżowaniu, kilka kilometrów dalej, musiał przystanąć na czerwonym świetle. Gdy cierpliwie czekał na zielone, zobaczył nadjeżdża-jącą z naprzeciwka furgonetkę, więc zmienił światła na krótkie. Gdy zapaliło 126

się zielone i wjechał na skrzyżowanie, poczuł nagły chłód i odruchowo sprawdził, czy ma włączone ogrzewanie. Przy okazji zerknął w boczne lusterko i...

O Chryste, o Chryste, o Chryste! Furgonetka! Ten sam kierowca! Te same ostre rysy twarzy, ta sama krótką, gruba szyja i potężne bary. Wóz do „odbioru przesyłek”.

Albo jeszcze gorzej.

Chciał natychmiast zawrócić, ale z przeciwnej strony ciągnął sznur samochodów. Tracił czas, którego nie miał!

Ale jakim cudem? Jak to się stało? „To mój dom i będę robiła, co chcę”.

Komputer. Ten przeklęty komputer: wyszukiwarka musiała uruchomić jakiś mechanizm. Agencje rządowe często instalowały na serwerach programy na-mierzające - najbardziej znanym był chyba Carnovore FBI - które nieustannie monitorowały ruch w Internecie. Programy te czyhały w serwerach wę-

złowych, polując na tak zwane pakiety, bloki danych o ściśle określonej strukturze. Tak jak wszystkie komputery podłączone do Internetu, komputer Laurel miał adres cyfrowy, który umożliwiał

logowanie i... mógł naprawa-dzić ich na jej adres domowy.

W sznurze jadących z naprzeciwka samochodów zrobiła się mała luka i z piskiem opon Ambler zrobił skręt o sto osiemdziesiąt stopni. Usłyszał klakson samochodu, któremu zajechał drogę i który wpadł w poślizg, żeby uniknąć zderzenia. Czerwone światło na skrzyżowaniu: gdyby ruch był nieco mniejszy, spróbowaliby przejechać, ale samochody śmigały nieustannie z obu stron i ryzyko kolizji było zbyt duże - lepiej już zaczekać parę minut, niż w ogóle nie dojechać na miejsce. Sekundy wlokły się w nieskończoność. W końcu ruch nieco zelżał i - teraz! teraz! teraz! - wykorzystując tę najwyższą trzy-sekundową przerwę, Ambler wdepnął pedał gazu i z piskiem opon, przy akompaniamencie rozpaczliwie trąbiących klaksonów, przemknął przez skrzyżowanie na czerwonym świetle.

Chwilę później znalazł się tuż za kombi, które jechało pięćdziesiąt na godzinę, podczas gdy mogło tu jechać siedemdziesiąt. Wcisnął klakson, zatra-

bił cholera jasna, przecież nie miał czasu! ale kombi nie przyspieszyło i jakby na złość jemu utrzymywało tę samą prędkość. Ambler gwałtownie skręcił w lewo, przejechał podwójną linię ciągłą, przyspieszył jeszcze bardziej i wyprzedził je z rykiem silnika. Skręcając w Orchard Lane, stwierdził, że ma kompletnie przepoconą koszulę. Labirynt uliczek: pokonał go z maksymalną prędkością i gwałtownie zahamował przed domem Laurel, gdzie...; O Chryste, o Chryste, o Chryste! Na podjeździe, tyłem do ganku, stała już pospiesznie zaparkowana furgonetka z szeroko otwartymi drzwiami. Usłyszał krzyk - krzyk Laurel - i trzask otwieranych drzwi. Dwóch roślących, 127

potężnie umięśnionych mężczyzn w czarnych koszulach włożyło jej kaftan bezpieczeństwa i chociaż rzucała się na wszystkie strony, szarpała i wierzga-

ła, wlokło ją teraz do furgonetki. Nie! Boże, nie!

Było ich tylko dwóch, ale - o Chryste! - jeden z nich wyjmował właśnie dużą strzykawkę z błyszczącą w świetle latarni igłą. Chcieli pozbawić ją przytomności albo zrobić coś jeszcze gorszego. Ale najbardziej przerażające były ich twarze, stanowcze i spokojne twarze zawodowców.

Wiedział, co będzie dalej. On też miał zniknąć na wieki w tym oślepiająco białym więzieniu, w tej sterylnej, psychiatrycznej otchłani, do której go wrzuciono. A teraz ten sam los chcieli zgotować Laurel. Za dużo wiedziała. Chcieli pogrzebać ją żywcem, żeby już nic nikomu nie zdradziła. Jeśli będą litościwi, pewnie ją zabiją. Jeśli nie, resztę swych dni spędzi jak chodząca mumia, tam, gdzie miał kiedyś zgnieć on: w psychiatrycznym grobie. Będą ją dręczyli, będą na niej eksperymentowali, a gdy wreszcie umrze z wycieńczenia, zatrą wszelkie ślady jej bytności w świecie żywych.

Boże święty, nie! Nie mógł do tego dopuścić!

Jeden z mężczyzn, kierowca o ostrych rysach twarzy, ruszył biegiem w je-go stronę.

Ambler wrzucił jedynkę, wdepnął pedał gazu i gdy silnik ryknął na peł-

nych obrotach, gwałtownie zwolnił sprzęgło. Cała moc silnika poszła w na-pęd i pontiac dosłownie

skoczył w kierunku oddalonej o zaledwie dwana-

ście metrów furgonetki. Kierowca był teraz po jego lewej stronie, jakby zamierzał wywlec go z samochodu. Ambler otworzył drzwi, szybko i w ostatniej chwili. Usłyszał głośny trzask i gdy tamten runął nieprzytomny na ziemię, ostro skręcił w lewo. Tył pontiaca momentalnie zarzucił w prawo, grzmotnął w furgonetkę i wóz znieruchomiał, pochłaniając całą siłę uderzenia.

Hal wyskoczył z samochodu. Laurel wciąż krzyczała, co przyjął z dziwną ulgą: dziewczyna wciąż oddychała, nie zdążyli jej zrobić tego przekłętogo zastrzyku. Rzucił się w tamtą stronę i stanął przed otwartymi drzwiami furgonetki. Laurel, wciąż w kaftanie bezpieczeństwa, szarpała się ze wszystkich sił, walcząc z potężnie umięśnionym porywaczem.

- Puść ją, skurwysynu, bo zabiję! - ryknął Ambler. - Jedna kula w łeb, druga w bebechy. - Wiedział, że to specyficzne wyszczególnienie - ile kul i w które miejsce - musi podziałać. W furgonetce panował półmrok i tamten natychmiast założył, że Hal jest uzbrojony. Nawet tego nie sprawdził. Był zawodowcem, nie fanatykiem: po prostu wykonywał swoją pracę, zarabiał na życie. - Wyłaż stamtąd, ale już! - wrzasnął Ambler. - I marsz przed siebie!

Mężczyzna wykonał polecenie. Wsiadł, podniósł ręce do góry i powoli ruszył w stronę szoferki. Gdy znalazł się na wysokości otwartych drzwi, zro-128

bił dokładnie to, czego Ambler się spodziewał: błyskawicznie wskoczył za kierownicę, nisko pochylił głowę i odpalił silnik. Wyjść z tego, przeżyć - to było teraz najważniejsze. Ambler cofnął się, sprawdził, czy Laurel zdążyła wysiąść, i wtedy tamten ruszył. Furgonetka grzmotnęła w zderzak pontiaca, odepchnęła go na bok, przemknęła przez trawnik i zniknęła na ulicy.

Ten zwiął, ale już wkrótce pojawią się tu inni.

- Laurel. - Szybkimi, wprawnymi ruchami Ambler rozwiązał kaftan.

- Nie ma ich? - spytała drżącym głosem.

- Musimy uciekać. - Powiedział tylko tyle.

Nagle objęła go, przywarła do niego całym ciałem.

- Wiedziałam, że wrócisz, wiedziałam - powtarzała. - Wiedziałam, że po mnie wrócisz, wiedziałam, że...

Czuł, jak drży, czuł na szyi jej ciepły oddech.

- Laurel - przerwał jej stanowczo. - Musimy uciekać. Masz gdzie prze-nocować? Jakies bezpieczne miejsce, u znajomych czy...

- Mam brata w Richmond.

- Nie! Na pewno o tym wiedzą, natychmiast cię znajdą. Nie znasz kogoś, o kim by nie wiedzieli?

Laurel miała bladą, ściągniętą twarz.

- Znam pewną kobietę, jest dla mnie jak ciotka. Kiedy byłam mała, przyjaźniła się z mamą. Teraz mieszka w Wirginii Zachodniej, pod Clarksburgiem.

- Dobrze, tam powinnaś być bezpieczna.

- Proszę... - Urwała zrozpaczona i przerażona. Nie chciała być teraz sama.

- Nie bój się - powiedział. - Zawiozę cię.

Podróż do Clarksburga zajęła im kilka godzin. Jechali jej starym mercurym, autostradą 68, potem 79. On nieustannie zerkał w lusterko, sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi. Ona większość czasu przepłakała, a gdy przestawała, w samochodzie zapadała martwa cisza. Intensywnie myślała, zmagając się z czymś zupełnie jej obcym. Powoli wychodziła z szoku, reagując gniewem i zdeterminowaniem. Tymczasem on przeklinał siebie w duchu. Była zwykłą pielęgniarką: pomogła mu w chwili słabości, narażając się na śmiertelne niebezpieczeństwo i niewykluczone, że już nigdy nie będzie mogła wrócić do dawnego życia. Siedziała teraz tuż obok i wiedział, że patrzy na niego jak na swego wybawcę i obrońcę, jak na kogoś, kto zapewni jej poczucie bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo? Przy nim? Boże, jak bardzo się myliła. Nie, nie umiałby jej tego wytłumaczyć, nie dałaby się przekonać, że jest zupełnie inaczej. Prawda logiczna stała w sprzeczności z prawdą emocjonalną.

129

Gdy się zegnali - wezwał taksówkę; miała czekać na skrzyżowaniu niedaleko domu jej przyszywanej ciotki - gwałtownie drgnęła, jakby zerwano jej z rany opatrunek. On czuł się podobnie.

- To ja cię w to wpakowałem - wymamrotał bardziej do siebie niż do niej.

- To moja wina.

- Nie - zaprotestowała gwałtownie. - Nigdy tak nie mów. To ich wina.

Ich. Ludzi, którzy... - Urwała.

- Poradzisz sobie? - spytał.

Powoli kiwnęła głową.

- Dorwij tych sukinsynów syknęła przez zaciśnięte zęby. Potem odwró-

ciła się i poszła w stronę małego, wiktoriańskiego domu „cioci Jill”. Na ganku paliło się ciepłe, żółtawe światło. Inny świat - bezpieczny i spokojny.

Świat, w którym nie dane mu było zamieszkać.

Nie śmiał, nie miał odwagi wciągać ją w to jeszcze głębiej. W labiryncie czyhał potwór. Tezeusz musiał zabić Minotaura, w przeciwnym razie żadne z nich nigdy nie będzie bezpieczne.

Tę noc spędził w tanim motelu pod Morgantown. Długo nie mógł zasnąć.

Stare wspomnienia znowu powróciły - trwałe i nieprzyjemne jak piwniczny zaduch. Kawałki roztrzaskanego lustra, a w nich ojciec, jego ładna, regular-na twarz, z bliska znacznie brzydsza, bo pokryta chropowatą skórą z popękkanymi żyłkami. Lata nałogowego picia. Lukrecjowy zapach sen-senów, cukierków, które miały zabić zapach alkoholu. Charakterystyczny wyraz twarzy matki, jej pełna urazy bierność. Długo trwało, zanim zrozumiał, że tąbiernoś-

cią maskuje gniew. Zawsze się malowała i pudrowała, codziennie i bardzo starannie. Żeby nikt nie dostrzegł sińców.

Było to kilka tygodni przed jego siódmymi urodzinami.

- Dlaczego tatuś odchodzi? - spytał. Siedział z matką w ciemnym pomieszczeniu za kuchnią, które nazywali pokojem rodzinnym, chociaż rzadko kiedy zbierali się tam jako rodzina. Matka robiła ciepły szalik, dobrze wiedząc, że nikt nigdy nie będzie go nosił. Kłębek czerwonej włóczki i ciche szcęknięcie błyszczących drutów. Podniosła głowę i zbladła.

- Co ty pleciesz? - W jej głosie pobrzmiwała nutka bólu i konsternacji.

- To tatuś nie odchodzi?

- A mówił, że odchodzi?

- Nie.

- W takim razie... Co w ciebie wstąpiło? - rzuciła gniewnie,

- Przepraszam - powiedział szybko siedmioletni Hal.

Diabeł cię chyba opętał. Co ci przyszło do głowy?

Czy to nie oczywiste? - pomyślał. Czy ty tego nie widzisz?

- Przepraszam - powtórzył.

Ale przeprosiny nie wystarczyły, bo już tydzień później ojciec rzeczowi-

ście odszedł. Z szafy zniknęły jego ubrania, z kredensu jego rzeczy spinki do krawata, mosiężna zapalniczka i cygara - z garażu jego samochód. On też zniknął: z ich życia.

Matka odebrała go po jakiejś szkolnej imprezie; była w centrum, gdzie kupowała prezenty urodzinowe. Gdy wrócili do domu i zrozumiała, co się stało, zaczęła płakać i lamentować.

On też płakał, mimo to niezdarnie próbował ją pocieszyć, ale wzdrygnęła się przed jego dziecięcym dotykiem. Do końca życia nie zapomni, jak wtedy na niego spojrzała. Przypomniała sobie, co powiedział kilka dni wcześniej, i była przerażona.

Z czasem, jak choćby w dniu jego urodzin, zaczęła robić dobrą minę do złej gry, a przynajmniej próbowała. Ale już nigdy nie było między nimi tak jak dawniej. Denerwowała się, gdy na nią patrzył, i wyraźnie tego nie chcia-

ła. Dla Hala to był początek długiej serii podobnych doświadczeń. Ze wszystkich płynęła ta sama naučka: jeśli ma cię ktoś porzucić, lepiej już być samemu.

A potem siedmioletni chłopiec wyrósł na trzydziestosiedmioletniego męż-

czynę. Ale wciąż miał to samo spojrzenie, przenikliwe jak spojrzenie kandydata

na

prezydenta

Tajwanu.

Inne

miejsce,

inne

czasy.

„Dlatego,

że

dostrzegłeś

coś,

czego

miałeś

nie

zobaczyć”.

Znowu był w Changhua, znowu stał w gęstym tłumie ludzi i czekał, aż Wai-Chan Leung znajdzie się w odpowiednim miejscu, by dać znak techni-kowi, który miał odpalić ładunek.

Krwawa jatka i niewinny dobór słów. Może tylko dlatego mogli robić to, co robili.

Wai-Chan Leung był drobniejszy, niż się spodziewał, dużo szczuplejszy i niższy. Ale w oczach witających go zwolenników był przepotężny i gdy zaczął mówić, Tarkwiniusz też przestał zwracać uwagę na jego wzrost.

- Przyjaciele - zaczął. Nie czytał, mówił z pamięci. W klapie marynarki miał bezprzewodowy mikrofon, więc mógł przemawiać, chodząc. -- Mogę się tak do was zwracać? Chyba tak. I bardzo bym pragnął, żebyście wy chcieli zwracać się tak do mnie. Chińscy przywódcy nie są naszymi przyjaciółmi i jest tak od wielu, zbyt wielu lat. Może są przyjaciółmi zagranicznych inwestorów. Przyjaciółmi dynastii bogaczy. Przyjaciółmi innych przywódców. Przyjaciółmi Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Ale nie przypuszczam, żeby

kiedykolwiek

byli

waszymi.

Zamilkł, bo przerwały mu gromkie oklaski.

131

- Znacie tę starą, chińską opowieść o trzech abstynentach mijających wi-niarnię. Pierwszy mówi: „Jestem tak wrażliwy, że po jednym kieliszku wina robię się czerwony na twarzy i tracę przytomność”. Drugi mówi: „To jeszcze nic. Ja zaczynam się zataczać i tracę przytomność, kiedy tylko poczuję zapach wina”. A trzeci na to: „A ja upijam się, kiedy tylko zobaczę kogoś, kto poczuł...” - Ludzie znali tę historyjkę i wybuchli śmiechem. - W czasach globa-lizacji - ciągnął Wai-Chan Leung - niektóre kraje są bardziej bezbronne od innych. Tajwan jest jak ten trzeci abstynent. Ilekroć kapitał zaczyna odpływać za granicę, ilekroć amerykański dolar idzie w górę lub spada, ilekroć dzieje się to wszystko w innych krajach, nasz system polityczny zaczyna czerwienić się i chwiać. - Wai-Chan Leung skierowali się w stronę mównicy.

Tarkwiniusz - bo Ambler był teraz Tarkwiniuszem - obserwował go jak zahipnotyzowany. W tym stojącym dwadzieścia metrów dalej człowieku nie było nic, co pasowałoby do danych z jego akt, do informacji, które przekazało im szefostwo Oddziału Stabilizacji Politycznej. Nie mógłby podeprzeć się faktami, gdyż był to jedynie podszept intuicji, lecz intuicja zawsze przemawiała do niego z siłą prawdy. Wai-Chan Leung. W aktach przedstawiono go jako człowieka chytrego, podstępnego i wyrachowanego, polityka mściwego, gniewnego, cynicznego i pełnego urazy, jako wytrawnego aktora, który potrafi omamić ludzi fałszywym współczuciem. Tymczasem on, Tarkwiniusz, nie wykrył w nim żadnej z tych cech: ani śladu podstępności czy cynizmu, ani śladu oszukańczego aktorstwa.

Wai-Chan Leung przemawiał bardzo elokwentnie i sprawiało mu to wyraźną przyjemność, lecz nie ulegało wątpliwości, że wierzy w to, co mówi, że wierzy w wagę i znaczenie wypowiedzianych przez siebie słów.

„Dlatego, że dostrzegłeś coś, czego miałeś nie zobaczyć”.

- Mały tygrys - kontynuował niemal nabożnym głosem. - Tak nazywają Tajwan. Ale nie martwi mnie to, że jesteśmy mali. Martwi mnie to, że tygrysy są gatunkiem na wymarciu. - Ponownie zrobił krótką pauzę. - Samowy-starczalność jest pięknym ideałem. Ale czy aby realistycznym? Nie, przyjaciele. Potrzebujemy zarówno ideałów, jak i realizmu. Niektórzy powiedzą wam, że musicie wybierać, albo jedno, albo drugie. Ale zauważcie, że są to ci sami ludzie, którzy utrzymują, że można cieszyć się demokracją pod warunkiem, że pozwoli im się robić to, co chcą. Wiecie, co mi to przypomina?

Przypowieść o pewnym chytrusie, który dawno, dawno temu otworzył w wiosce sklepik, wystawiając na sprzedaż włócznię, która, jak twierdził, przebije wszystko, i tarczę, której nie przebije nic.

Przez plac przetoczyła się fala śmiechu i oklasków.

- Mieszkańcy Tajwanu, podobnie jak wszyscy Chińczycy, mają przed sobą cudowną przyszłość. Pod warunkiem że przyszłość tę wybiorą, że sami ją

sobie zbudują. Dlatego wybierajmy mądrze, przyjaciele. Chiny się zmieniają. Czy mamy przyglądać się temu z założonymi rękami? - Wai-Chan Leung stał teraz zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od poplamionego, drewniane-go podium, o krok od śmierci. Tarkwiniusz znieruchomiał. Serce waliło mu coraz szybciej, a każdy nerw jego ciała mówił, że coś jest nie tak, że ich operacja jest zła. Źle obmyślana. Źle zainicjowana. Wymierzona w zły cel.

Że Wai-Chan Leung nie jest ich wrogiem.

Kandydat na prezydenta wyciągnął przed siebie ręce i zetknął zaciśnięte pięści.

- Widzicie? Opór to bezruch, to zastój. To paraliż. Czy taki ma być nasz stosunek do kuzynów po drugiej stronie cieśniny? - Splótł palce obu rąk, ilustrując wizję koegzystencji z zachowaniem niezależności terytorialnej. -

Nie, przyjaciele. Siła leży we współpracy, w byciu razem. Dzięki integracji odzyskamy pełną niezależność.

Trzask w słuchawce i głos technika.

- Nie wiem, czy dobrze widzę, ale cel jest chyba tam, gdzie być powinien.

Czekam na znak.

Tarkwiniusz nie odpowiedział. Nadeszła pora odpalić ładunek, pora usunąć Wai-Chana z tego świata, lecz sprzeciwiał się temu instynkt. Stojąc w wielotysięcznym tłumie Tajwańczyków w tradycyjnych białych koszulach, koszulkach i podkoszulkach, był tego w pełni świadomy. Gdyby dostrzegł coś, co potwierdziłoby, że informacje z akt są prawdziwe coś, cokolwiek, najmniejszy ślad nie wahałby się ani chwili. Lecz nie dostrzegł absolutnie niczego.

Skrzekliwy głos w słuchawce.

Czy ty tam śpisz? Pora sjesty minęła, odpalam...

- Nie - szepnął Tarkwiniusz do mikrofonu ukrytego w kołnierzyku koszuli. - Nie!

Ale technik był niecierpliwy i miał wszystkiego dość. Gdy odpowiedział, w jego głosie zabrzmiał przyprawiony żółcią cynizm człowieka, który spędził w terenie o kilka lat za dużo.

- *One for the money, twofor the show, three to get ready, now go, cat, go...*

Wybuch był o wiele cichszy, niż się Tarkwiniusz spodziewał. Przypominał

trzask, z jakim pęka nadmuchana przez dziecko papierowa torba. Wewnętrzne ścianki mównicy wzmocniono betonem, żeby zminimalizować ewentualne straty uboczne. Beton wyłumił dźwięk i skierował siłę wybuchu w stronę mówcy.

Jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie Wai-Chan Leung, wielka nadzieja tylu Tajwańczyków zwolenników reform z miasta i wsi, studentów Elvis Presley *Blue Snede Shoes* (przyp. tłum.).

133

i sklepikarzy - nagle zeszywniał, a potem, zbryzgany własnymi wnętrznoś-

ciami, powoli upadł na lekko dymiące szczątki mównicy leżącej teraz po jego lewej stronie.

Przez chwilę był zupełnie nieruchomy. Lecz nagle podniósł głowę i popatrzył na tłum przed nim. To, co stało się potem, zahipnotyzowało Tarkwiniusza i całkowicie go odmieniło: wzrok konającego w drgawkach Wai-Chan Leunga spoczął na nim, akurat na nim.

Był ciepły, wilgotny dzień, lecz on czuł, że ma zupełnie suchą i chłodną skórę. Wiedział, że widok ten na zawsze utkwi mu w pamięci, że będzie nawiedzał go w snach.

Przyjechał do Changhua, żeby zabić człowieka i człowiek ten zginął. Człowiek, który w tej niesamowitej, intymnej i jakże upiornej chwili dzielił z nim ostatnie sekundy życia.

W jego oczach nie było ani nienawiści, ani gniewu, nawet teraz. Były tylko konsternacja i smutek. Miał twarz łagodnego idealisty. Twarz kogoś, kto umiera i nie wie dlaczego.

Tarkwiniusz też tego nie wiedział. Już nie.

Tłum ryczał, zawodził, lamentował i wrzeszczał, a on usłyszał w tym hałasie śpiew ptaka. Z trudem oderwał wzrok od Wai-Chan Leunga i popatrzył

na płamę, gdzie trelowała wilga. Głośno. Nieprzerwanie. Bez końca.

Tysiące kilometrów dalej i lata później poruszył się niespokojnie na łóżku, czując nagle zapach motelowego pokoju, duszny i stęchły. Otworzył oczy.

Śpiew wilgi nie umilkł.

Komórka. Nokia leśnego olbrzyma.

Wcisnął guzik i przytknął aparat do ucha.

- Tak?

- Tarkwiniusz? Głośny, serdeczny głos.

- Kto mówi? - rzucił nieufnie Ambler. Zalała go zimna fala strachu

- Prowadzący Ozyrysa.

- Kiepska rekomendacja.

- Nie musisz mi tego mówić. Bardzo się baliśmy, że popełniono jakiś błąd w systemie zabezpieczenia, że doszło do naruszenia...

- Błąd w systemie zabezpieczenia jest wtedy, kiedy ktoś czyta wasze e-maile. Ale jeśli ktoś zabija waszego agenta, to już trochę poważniejsza sprawa.

- Słusznie, masz rację. Ale chyba wiemy już, co się stało. Tak czy inaczej, wszystko sprowadza się do jednego: potrzebujemy cię, i to natychmiast.

Nie wiem nawet, kim, u diabła, jesteście - odparł Ambler. - Mówisz, że prowadziłeś Ozyrysa. Dobra, w porządku, ale według mnie, zabił go ktoś od was.

134

- Posłuchaj. Ozyrys był niezwykłym agentem. Opłakujemy jego stratę, ja i my wszyscy.

- Aha, i myślisz, że uwierzę ci na słowo.

- Tak, tak myślę. Wiem, co potrafisz.

Ambler potarł ręką czoło. Podobnie jak Arkady i Ozyrys, rozmówca wiedział

o jego umiejętnościach. Sęk w tym, że uczciwość nie była gwarancją prawdy, bo jego też mogli okłamać. Ale Tarkwiniusz - czy Ambler - nie miał wyboru i musiał grać dalej. Wiedział, że im głębiej spenetruje tę organizację, tym większe ma szanse na poznanie prawdy o tym, co mu zrobili i kim naprawdę jest.

Dręczyła go pewna myśl. Pracując w OSP, uczestniczył czasami w czymś, co nazywano operacjami sekwencyjnymi: jedna informacja prowadziła do drugiej, a każda była istotniejsza i bardziej krytyczna od poprzedniej, gdyż jej celem było oszukanie i usidlenie przeciwnika. Wiedział, że powodzenie operacji tego typu zależy od całkowitej wiarygodności, im bardziej doświadczony przeciwnik, tym wiarygodność ta musi być większa. Jednak najbardziej wyrafinowani przeciwnicy nigdy nie ufali nikomu do końca. Angażowali „ślepych” pośredników, każąc zadawać im pytania, na które trzeba było odpowiadać natychmiast i bez namysłu. Odpowiedzi nie musiały być bezbłędne - gdyby były, przeciwnik mógłby nabrać podejrzeń ale musiały przejść próbę intuicji. Wystarczył jeden fałszywy krok i gra się kończyła.

Najbardziej przebiegli przeciwnicy próbowali odwrócić przebieg operacji; to tak, jakby ogon próbował machać psem. Opracowywali specjalne wabiki, puszczając w obieg informacje, których celem było utrudnianie życia amerykańskim służbom wywiadowczym: operacja sekwencyjna osłabiała, z tym że nie tę co trzeba, stronę, gdyż niespodziewana gratka w postaci tak spreparowanych informacji przesłaniała właściwy cel operacji. Skutek? Myśliwy stawał się zwierzyną.

No właśnie. Ambler nie zdołał dotąd ustalić, czy jest celem takiej operacji, czy nie, a jeśli tak, czy potrafiłby to w jakiś sposób wykorzystać. Nie było bardziej niebezpiecznej gry. Ale jaki miał wybór?

- Dobrze - odparł. - Słucham.

- Spotkamy się jutro w Montrealu - powiedział tamten. - Zabierz dokumenty, jakiegokolwiek. Dobre będą te, które dał ci Ozyrys, ale weźmiesz, które zechcesz. - Podał mu szczegółowe wskazówki: Ambler miał lecieć do Montrealu jeszcze tego ranka.

Już miał wychodzić, gdy zadzwonił telefon. Laurel. Była dużo spokojniej-sza, bardziej opanowana, mimo to w jej głosie pobrzmiwał wyraźny niepokój. Bała się, lecz nie o siebie, tylko o niego. Wyjaśnił jej szybko, że jest umówiony na spotkanie, bo skontaktował się z nim prowadzący Ozyrysa.

135

- Nie chcę, żebyś tam jechał - powiedziała stanowczo i z lękiem.

- Boisz się o mnie. Ja też się boję. Ale bardziej bałbym się, gdybym nie pojechał. Jestem jak... jak wędkarz, który zмага się z rybą. Ryba na pewno tam jest, tylko jaka? Marlin? Czy rekin ludojad? Nie wiem, bo i skąd, ale nie wypuszczę z rąk wędki.

Laurel długo milczała.

- Nawet jeśli ryba zatopi łódź?

- Nawet wtedy - odparł. - Nawet wtedy.

Zatoka Discovery, Nowe Terytoria, Hongkong

Luksusowa chińska willa miała dwanaście pokoi. Wszystkie były pięknie urządzone w stylu lat dwudziestych dużo adamaszku i złożonych francuskich mebli, obite mieniącym się jedwabiem ściany -jednak jej najpiękniejszą ozdobą był kwietny taras z widokiem na spokojne wody zatoki. Z widokiem, który roztaczał się stąd zwłaszcza o tej porze dnia, gdy kąpało się w nich różowe słońce wczesnego wieczoru. Na końcu tarasu, przy białym stole za-stawionym tuzinem rzadkich potraw, przygotowanych przez najwprawniej-szych kucharzy, siedziało dwóch mężczyzn. Zapachy mieszały się przy lekkim wietrze, a jeden z mężczyzn, Ashton Palmer, siwowłosa Amerykanin o wysokim, wyraźnie zarysowanym czole, wdychał je z rozkoszą, świadomy, że nie licząc przedstawicieli cesarskiego dworu, w ucztę takiej jak ta mogliby uczestniczyć nieliczni.

Westchnął i spróbował potrawy z piskląt górskiego słowika; ich kości były jeszcze nierozwinięte jak ości sardynek, co przydawało im miłego posmaczku. Podobnie jak trznadla potrawę tę opracował sam Escoffier - pisklęcia słowika jadało się na jeden gryz, miażdżąc zębami kruche, niemal embrionalne kosteczki i rozkoszując się ich lekką twardością podobną do twardości szkieletu zewnętrznego kraba z miękką skorupą. Po mandaryńsku nazwa tej potrawy brzmiała *chao niao ge*, co w dosłownym tłumaczeniu znaczyło: „sma-

żony ptak śpiewający”.

- Niezwykły smak, prawda? - spytał Palmer towarzyszącego mu Chiń-

czyka o szerokiej, zniszczonej twarzy i hardych, świdrujących oczach.

Chińczyk, doświadczony generał Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, uśmiechnął się i na jego skórzastych policzkach wykwitły sięgające ust bruzdy.

- To prawda, niezwykle odrzekł. - Ale przyzwyczailem się już, że innych rzeczy u pana nie uświadczysz.

- Bardzo pan generał miły - powiedział Palmer, spoglądając na martwe twarze nic nierozumiejącej służby. Rozmawiali bowiem nie po mandaryńsku i nie w języku kantońskim, lecz w dialekcie hakka,

którym mówiło się w rodzinnej wsi generała. Ale wiem, że podobnie jak ja, docenia pan dbałość o szczegóły. O ile wiem, potrawę tę, *chao niao ge*, po raz ostatni serwowano w ostatnich dziesięcioleciach panowania dynastii Qing. Boję się, że pańscy przyjaciele z Wanshoulu - mówił o mocno strzeżonych przedmieściach Pe-kinu, gdzie mieszkali najwyżsi urzędnicy państwowi - czy z Zhongnanhai uznaliby, iż jest to potrawa dekadenska.

- Oni wolą hamburgery - mruknął generał. - I pepsi w srebrnych puchach.

- Obrzydliwe powiedział Palmer. - Ale jakże prawdziwe.

- Nie, żebym spędzał dużo w Zhongnanhai.

- Gdyby Liu Ang zdołał przeforsować swoje plany, wszystkich prawdziwych wojowników wygnano by na prowincję. Zawsze uważał armię za wroga i w końcu stała się jego wrogiem. Ale z drugiej strony, jak dowodzi historia Chin, wygnanie to sposobność.

- Nie tylko dla Chińczyków - odparł generał. - Dla pana też.

Palmer uśmiechnął się, lecz nie zaprzeczył. Gdyby mógł, nie taką obrałby sobie karierę, ale cóż, to on popełnił błąd, nie kto inny. Przed laty, gdy po zrobieniu doktoratu zaczął pracować w wydziale planowania politycznego w Departamencie Stanu, inwestorzy przewidywali, że zostanie drugim Henrym Kissingerem i najbardziej obiecującym intelektualistą swojego pokolenia. Okazało się jednak, że jak na kogoś, kto chce zrobić karierę w Foggy Bottom, ma jedną, za to fatalną wadę: głęboko wierzy w prawdę. Dlatego traktowany jak gwiazdor wunderkind z dnia na dzień stał się enfant terrible, człowiekiem, od którego zaczęto powszechnie stronić. Miernota ponownie zwyciężyła, usuwając ze swoich szeregów tego, który zagrażał jej wygodnej pozycji. Ale wygnanie było w sumie najlepszą rzeczą, jaka mogła mu się przydarzyć. Autor opublikowanego w „New Republic” artykułu o jego upadku i wzlocie zapewniał, że opuściwszy „korytarze władzy”, Palmer wycofał się w zacisze gaju Akademosy. Jeśli tak, był to odwrót strategiczny, coś w rodzaju przegrupowania sił, bowiem jego uczniowie i protegowani - palmercy, jak nazywali ich wrogowie - stopniowo opanowali Pentagon, Departament Stanu, służbę zagraniczną oraz najlepiej ustosunkowane waszyngtońskie zespoły doradcze. Długo uczył ich dyskrekcji i w końcu się jej nauczyli. Zajmowali teraz najwyższe stanowiska państwowe, a on, ich guru, który niczym wielki dyktator Cincinnatus powrócił na swoje wiejskie zacisze, długo i cierpliwie czekał na okazję.

137

Teraz jednak liczył już dni.

- A propos Zhongnanhai - powiedział. - Ciesz się że dzielimy pogląd na te sprawy.

Generał dotknął jednego policzka, potem drugiego.

- Prawe oko, lewe oko. - Ludowe powiedzenie z jego ojczystych stron.

Ich poglądy były tak podobne, jak podobne są do siebie ludzkie oczy.

- Prawe oko, lewe oko... - wymamrotał Palmer. - Ale widzieć to jedno.

Działać to drugie.

- Święta prawda.

- Mam nadzieję, że nie ogarnęły was wątpliwości - dodał Palmer, wypatrując najmniejszych oznak niezdecydowania.

Generał odpowiedział kolejnym przysłowiem Hakka.

- Wiatr nie przesunie góry.

- Ciesz się - odrzekł Palmer. - Bo to, co nas czeka, będzie wielką próbą stanowczości i zdecydowania. Powieją wiatry i będą miały siłę wichru.

- Co ma być zrobione, zrobione być musi - odparł Chińczyk.

- Silny wstrząs bywa czasem konieczny do zapewnienia większej stabilności.

- Otóż to. - Generał podniósł do ust pikantnie przyrządzone pisklę i zmrużył

oczy, rozkoszując się jego doskonałą wprost kruchością.

Żeby zagotować ryż, trzeba ściąć drzewo - powiedział Palmer, cytując kolejne przysłowie z ojczystych stron Chińczyka.

Generał nie dziwił się już, że Amerykanin tak dobrze zna historię jego regionu.

- Ale tym razem ściąć trzeba drzewo niezwykle - odparł.

Bo i niezwykle będziemy gotować ryż - zripostował Palmer. - Pańscy ludzie znają swoje zadanie. Muszą wiedzieć, kiedy wkroczyć do akcji i zrobić to bez chwili zwłoki.

- Oczywiście - odrzekł generał Lam.

Palmer przeszył go spojrzeniem.

- Za sześć dni - dodał z subtelnym naciskiem. Wszyscy muszą doskonale odegrać swoją rolę.

- Obowiązkowo - przytaknął mu generał. - Stawką w tej grze jest ostatecznie nasza przyszłość, historia.

- Możemy się też zgodzić, że historia jest zbyt ważna, żeby pozostawić ją własnemu biegowi.

Generał kiwnął głową i ponownie dotknął policzka.

- Prawe oko, lewe oko odparł cicho.

138

Rozdział 12

Montreal

owiedziano mu przez telefon, że punktualnie o jedenastej ma czekać na Ppó łnocno-zachodnim rogu Dorchester Square. Przyjechał wcześniej, wsiadł do taksówki, kazał się zawieźć na róg rue Cypress i rue Stanley, wysiadł i przeprowadził krótkie rozpoznanie. Stojący na placu gigantyczny gmach Sun Life'u był kiedyś największym budynkiem całego Imperium Brytyjskiego, ale teraz przytłaczały go nowoczesne drapacze chmur. I to właśnie dlatego Dorchester Square tak bardzo mu się nie podobał: otaczało go zbyt wiele gmachów.

Na ramieniu miał aparat fotograficzny, w ręku kilka plastikowych toreb z la Place Montreal Trust i wyglądał jak zwykły turysta. Posnuł się trochę bocznymi ulicami i nie zauważywszy niczego podejrzanego, wszedł na plac.

Przecinające go chodniki dokładnie oczyszczono ze śniegu: wszystkie bieg-

ły w kierunku leżącego pośrodku okrągłego skweru, gdzie stał pomnik sir Johna A. Macdonalda, pierwszego premiera Kanady. Pomnik stojący tuż obok upamiętniał uczestnictwo Kanady w wojnie burskiej, a nieco dalej był katolicki cmentarz ofiar dziewiętnastowiecznej epidemii cholery. Zmurszałe, porośnięte mchem nagrobki mocno kontrastowały z pokrywającym ziemię białym śniegiem. Nad cmentarzem górował ciemnoszary gmach Banku Imperialnego. Przed Dominion Square Building, masywną budowlą w stylu neorenesansowym, zatrzymał się czerwony autobus z napisem LR TRAM DU

MONTREAL.

Bez względu na staranne rozpoznanie terenu było oczywiste, że układ najważniejszych elementów otoczenia może w każdej chwili ulec zmianie. W takim razie dlaczego prowadzący Ozyrysa wybrał akurat to miejsce? Ambler przytknął do oka celownik aparatu fotograficznego i powiódł obiektywem po wychodzących na plac oknach. Były ich setki, większość się nie otwiera-

ła, natomiast te otwierane były zamknięte ze względu na pogodę. Chociaż miał na sobie ciepłe ubranie, zaczęły mu marznąć uszy, ponieważ temperatura spadła niemal do zera. Usłyszał zbliżające się ku niemu szybkie, zdecydowane kroki i odwrócił na pięcie.

- Bardzo pana przepraszam...

Grube, jasne kurtki, rozwiane na wietrze siwe włosy. Starsze małżeństwo.

- Tak? odrzekł obojętnym, niezainteresowanym głosem.

- Czy mógłby pan zrobić nam zdjęcie? - Mężczyzna podał mu żółty aparat fotograficzny, tanią jednorazówkę, jedną z tych jakie można było kupić niemal w każdym sklepie. Z sir Johnem Macdonaldem w tle. Dobrze?

- Oczywiście - odparł Ambler zażenowany swoimi podejrzeniami. - Amerykanie?

- Z Sacramento. Byliśmy tu w podróży poślubnej. Niech pan zgadnie kiedy.

- Nie mam pojęcia.

- Czterdzieści lat temu!

- Moje gratulacje - powiedział Ambler, kładąc palec na przycisku mi-gawki. Gdy zrobił krok do przodu, żeby ująć ich w kadr, dostrzegł w tle jakiś ruch. Ktoś cofnął się za cokół pomnika i zrobił to odrobinę za szybko, jakby nie chciał, żeby go widziano. Zdziwiony Hal uniósł brew. Dziecinny błąd.

I to mają być zawodowcy?

Zwrócił aparat małżeństwu, skrzył i szybkimi krokami poszedł w tamtą stronę.

Nastolatek. Czternaście, może piętnaście lat. Wystraszony zbladł i skurczył się ze strachu..

- Cześć - rzucił obojętnie Ambler.

- Cześć - odparł chłopak.

- No i co mi teraz powiesz?

- Że chyba to skopałem. - Chłopak mówił z lekkim akcentem z Quebecu.

Miał wydatny, haczykowaty nos, który kiedyś mógł wrosnąć mu w brodę, i krótkie, sterczące na wszystkie strony tlenione włosy.

- Bywa - powiedział Ambler, uważnie wpatrując się w jego twarz.

- Miał mnie pan nie widzieć. Dopiero o jedenastej.

- A czy ktoś musi wiedzieć, że widziałem?

Chłopak wyraźnie się ożywił.

- To znaczy, że pan nic nie powie?

- Po co? Przecież już wiem.

- Pana przyjaciel mówił, że to taka zabawa, niespodzianka urodzinowa.

Jakby poszukiwanie skarbu czy coś.

- Dobra. Co miałeś mi powiedzieć? Będę udawał, że jestem zaskoczony.

Słowo.

- Musi pan - odparł chłopak z nutką niepokoju w głosie.

- Ile ci płaci? Dam tyle samo.

Chłopak natychmiast się uśmiechnął.

- Ile mi płaci? - powtórzył, żeby zyskać na czasie.

- Tak.

Czterdzieści. - Marny był z niego łgarz.

140

Ambler uniósł brew.

- Trzydzieści.

Ambler uniósł brew jeszcze wyżej.

- No dobra, dwie dychy - mruknął w końcu chłopak Hal dał mu dwadzieścia dolarów.

- A teraz słucham.

- Miałem panu powiedzieć, że miejsce spotkania się zmieniło. Że macie spotkać się w Podziemnym Mieście.

- Gdzie?

- Na Les Promenades de la Cathedrale. Ale jeśli to niespodzianka, to niech pan udaje zaskoczonego,

dobra?

Les Promenades de la Cathedrale, promenada i olbrzymie, luksusowe centrum handlowe, mieściły się pod katedrą Christ Church i ktoś, kto lubi metafory, powiedziałby pewnie, że jest to albo wymowna ironia, albo strzał w dziesiątkę. „I na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą” - kościół sprzedał podtrzymującą go skałę i tak słowa Jezusa przetłumaczono na język obowiązujący w erze powszechnej komercjalizacji—

Ambler zjechał na dół ruchomymi schodami i właśnie rozglądał się po olbrzymim centrum, gdy wtem ktoś chwycił go za ramiona i szybko odwrócił.

Stał przed nim krzepki, wesoło uśmiechnięty rudzielec.

- Nareszcie się spotykamy - powiedział. Nazywał się Fenton. Miał czyste, jasne oczy i mętną reputację.

Paul Fenton, wybitny amerykański przemysłowiec. Zastąpił jako założyciel teksaskiej firmy elektronicznej, która szybko nawiązała współpracę z Pen-tagonem i zdobyła kilka wielkich kontraktów handlowych. Ale od tamtego czasu jego zainteresowania znacznie się poszerzyły i pod koniec lat osiemdziesiątych w niektórych kręgach polityczno-przemysłowych zaczęły krążyć uporczywe pogłoski, że Fenton finansuje prawicowe rebelie i przewroty na całym świecie, a wśród tych, którym patronuje, są między innymi Contras z Salwadoru, Renamo z Mozambiku i Unita z Angoli.

Dla niektórych był patriotą, człowiekiem, który ponad wierność wszechpotężnemu dolarowi przedkłada wierność ojczyźnie. Dla innych był niebezpiecznym fanatykiem, który notorycznie obchodził i nagiął przepisy rzą-

dzące międzynarodowym handlem bronią i amunicją, w czym przypominał

biznesmenów, którzy wsparli finansowo katastrofalną w skutkach inwazję Biblia Tysiąclecia, Ewangelia według św. Mateusza, 16,18 (przyp. tłum.).

141

W Zatoce Świń na początku lat sześćdziesiątych. Natomiast nikt nie próbował podważyć tego, że był przedsiębiorcą mądrym, sprytnym i agresywnym.

- Tarkwiniusz, prawda?

Ambler nie odpowiedział. Fenton wziął to za potwierdzenie i wyciągnął

do niego rękę. Lecz pytanie nie było wcale retoryczne i brzmiała w nim nutka niepewności. Fenton nie wiedział, jak Ambler wygląda.

Hal uściśnął mu rękę i cofnął się o krok.

- Spotkanie w tym miejscu to idiotyczny pomysł - powiedział cicho i chrapliwie. - Rozpoznają pana.

Fenton puścił do niego oko.

- Ludzie nie widzą tego, czego nie chcą widzieć. No i nie przesadzajmy, nie jestem hollywoodzkim gwiazdorem filmowym. Poza tym tłum bywa czę-

sto najlepszą kryjówką, nie sądzi pan? - Zatoczył ręką szeroki łuk. - Witam w największej na świecie podziemnej sieci handlowej. - Mówił miodnym barytonem. Miał rumianą cerę, lekko podniszczoną, taką o dużych porach, jednak dziwnie gładką, co mogło być efektem dermabrazji, kosmetycznego starcia naskórka. Jego dość przerzedzona fryzura upstrzona była malutkimi kępkami rudych włosów, tworzącymi regularny, geometryczny wzór, jak u lal-ki. Nie ma to jak człowiek z pasją do samodoskonalenia.

Robił wrażenie krzepkiego i dbającego o kondycję fizyczną. Robił też wra-

żenie bogatego. Biły od niego swoista gładkość i elegancja agresywnego, świetnie prosperującego biznesmena, który w jeden weekend gra w polo w Ar-gentyinie, w drugi sprzedaje czołgi w Czadzie, a w trzeci jedzie na solne zabiegi kosmetyczne do uzdrowiska w Parrot Cay. Krzepki, o trochę podniszczonyj twarzy, a jednocześnie gładkiej i dobrze nawilżonej. Uosobienie twardego, hardego miliardera.

- Podziemne Miasto - odparł Ambler. Doskonałe miejsce dla podziemnych ludzi.

Fenton nie przesadzał: było tu ponad trzydzieści kilometrów pasaży handlowych, tysiąc sześćset butików, ponad dwieście restauracji i barów oraz kilkadziesiąt kin. Chociaż na dworze panował mróz, tu, na dole, było jasno, ciepło i przytulnie. Ambler rozejrzał się jeszcze raz. Zamontowane na długich łukach światła, zmyślnie rozmieszczone ruchome schody, wychodzące na pasaż balkony - wszystko to razem jeszcze bardziej powiększało to miejsce i dodawało mu przestronności.

Luksusowe galerie Podziemnego Miasta łączyły się z galeriami Cours Mont-Royal, sklepami Eaton Centre, z arkada-mi Complexe Des Jardines, a nawet z Palais des Congres, ogromnym Pałacem Kongresowym, który niczym olbrzym ze stali, szkła i betonu rozłożył

się nad autostradą Ville Marie.

142

Hal zrozumiał wreszcie, dlaczego Fenton wybrał właśnie Podziemne Miasto: miało zapewnić poczucie bezpieczeństwa jemu, Amblerowi - w miejscu tak publicznym jak to praktycznie niczym nie ryzykował.

- Chcę o coś spytać - powiedział. Przyszedł pan tu sam? Człowiek o pań-

skiej... pozycji?

- Niech pan mi na to odpowie.

Hal powiódł wzrokiem po twarzach kręcących się w pobliżu ludzi. Męż-

czyzna o kwadratowej szczęce w brudnozielonej budrysówce: krótkie włosy, czterdzieści kilka lat. Sześć metrów na lewo od niego kolejny. Kurtka z wielbłądziej wełny, ciemne spodnie od garnituru - ubranie było kosztowne, a on czuł się tu bardzo nieswojo.

- Widzę tylko dwóch. Jeden z nich zajmuje się na co dzień czymś innym.

- To Gillespie, mój sekretarz. Sekretarz, kamerdyner, zarządca i tak dalej.

- Fenton skinął mu głową. Gillespie odpowiedział tym samym i lekko się zaczerwienił.

- Ale miał pan powiedzieć mi o Ozyrysie, a to nie jest dobre miejsce na pogawędkę w cztery oczy.

- Znam dużo lepsze - wymruczał Fenton i wyłożonym lastryko przejściem ruszyli w stronę luksusowego butików kilka kroków dalej. W oknie sklepu była wystawiona tylko jedna sukienka, a raczej suknia z opalizującego, fio-letowego jedwabiu, pozornie niewykończona, z dobrze widocznymi szwami fastrygowanymi dużymi pętlami z zielonej nici. Wyglądała tak, jakby krawiec wciąż nad nią pracował, lecz była dziełem w pełni ukończonym i jako wyrafinowana „suknia prymitywna” na pewno wzbudzała podziw prasy, gdy jakaś anorektyczna modelka demonstrowała ją na wybiegu. Na przyczepionej do niej miedzianej tabliczce wygrawerowano napis: SYSITMK DR LA MODE.

Fenton ponownie zaimponował Amblerowi: miejsce to zapewniało zarówno poczucie bezpieczeństwa, jak i całkowitą prywatność. Luksusowy, odstraszaający cenami butik był doskonale widoczny, jednak tylko jeden na tysiąc z przechodzących obok potencjalnych klientów odważyłby się tam wejść.

Przed wejściem stała bramka antykradzieżowa, dwie wyłożone plastikiem wieżyczki, chociaż te zamontowano trochę dalej od drzwi. Gdy Ambler podszedł bliżej, rozległ się cichy pisk.

- Przepraszam - powiedział Fenton. - Pewnie nie spodobał się jej aparat fotograficzny.

Co oznaczało, że nie była to tylko zwykła bramka. Hal zdjął aparat i przeszedł między wieżyczkami.

- Czy mógłby się pan tam na chwilę zatrzymać? - poprosił Fenton.

Ambler przystanął. Drzwi się zamknęły.

- Teraz już można - rzucił Fenton. - Witam w moim skromnym sklepiku.

Myśli pan pewnie, że to jeden z wielu, ale gdyby był pan specem od mody, przeżyłby pan nielichy wstrząs. Na żadnej metce nie znajdzie pan ceny z mniej niż czterema zerami.

- Ma pan dużo klientów? - spytał Ambler.

- Ani jednego - odrzekł Fenton z szerokim uśmiechem. - Zresztą sklep jest prawie cały czas zamknięty. Poza tym mam tu najbardziej przerażającą sprzedawczynię na świecie. Ma na imię Brigitte i jest wybitną specjalistką: każdy klient czuje się przy niej, jakby miał gówno na butach. Wyszła na lunch, szkoda, że jej pan nie pozna. Tak, Brigitte to jest ktoś, wyjątkowa kobieta. Nie, nie mówi klientom, że są za ciency, żeby robić tu zakupy: potrafi przekazać im to bez słów.

- Rozumiem. Taka kryjówka jest skuteczniejsza i znacznie dyskretniejsza niż sklep z wielką tablicą: „Nie wchodzić!” Niech zgadnę. Te wieżyczki przed drzwiami to nie tylko bramka antykradzieżowa. To wykrywacz podsłuchu.

- Wykryje absolutnie wszystko. Potężna rzecz. Cały czas ją testujemy, i nic, nie zdołaliśmy wnieść tu ani jednej pluskwy. To znacznie przyjemniejsze niż rozbieranie ludzi do naga i dokładna rewizja osobista z uwzględnieniem wszystkich otworów ludzkiego ciała. I o wiele skuteczniejsze. Ale nawet gdyby ktoś zdołał tu coś wnieść, nie miałyoby to żadnego znaczenia. Niech pan przyjrzy się szybko.

Ambler podszedł do okna wystawowego. W szkle była zatopiona drobniutka metalowa siatka. Ozdoba, lecz ozdoba jakże funkcjonalna.

- Ten sklep to... komora ekranizująca - wyszeptał z nieukrywanym podziwem. Komora ekranizująca to pomieszczenie osłonięte siatką ferromagnetyczną, która blokuje przepływ sygnałów na wszystkich częstotliwościach radiowych.

- Otóż to. A ta błyszcząca ściana z tyłu? Dwanaście warstw lakieru. Dwanaście! Każda wypolerowana przed nałożeniem kolejnej. Robili ją prawdziwi artyści. A pod tymi dwunastoma warstwami? Tynk i metalowa siatka.

- Ostrożny z pana człowiek.

- I właśnie dlatego spotykamy się w cztery oczy. Rozmawiasz z kimś przez telefon i nigdy nie wiesz, czy mówisz do niego, czy do niego i do magnetofonu, czy jeszcze do kogoś, kto podsłuchuje rozmowę za pomocą jakiegoś cyfrowego cacka. Widzi pan, zawsze byłem wielkim zwolennikiem kategoryzowania. I zawsze robiłem, co tylko możliwe, żeby serwować informacje po trochu, małymi obiadowymi porcjami. Trochę ziemniaczków tobie, trochę ziemniaczków komuś innemu. - Fenton zachichotał. Był zadowolony. Bardzo chciał, żeby jego ostrożność zrobiła na Amblerze wrażenie.

Nie daj mu przejść do ataku.

- W takim razie jak pan wyjaśni to, co przytrafiło się Ozyrysowi? - spytał

z nagłym gniewem.

Rumiana twarz Fentona nieco pobladła.

- Miałem nadzieję, że nie będziemy o tym mówić...

Ambler zmrużył oczy. Widział zbitego z tropu sprzedawcę - tylko co ten sprzedawca sprzedawał?

Niech pan posłucha. To, co się zdarzyło, to wielka tragedia. Moi ludzie już nad tym pracują i chociaż nic jeszcze nie wiemy, wkrótce będziemy wiedzieli wszystko. Ozyrys był prawdziwym geniuszem, jednym z najniezwykleszych agentów, z jakimi kiedykolwiek pracowałem...

- Niech pan zachowa te pochwały na mowę pogrzebową przerwał mu szyderczo Ambler.

- Był też pana wielbicielem, wielkim wielbicielem. Powinien pan o tym wiedzieć. Kiedy tylko rozeszły się słuchy, że pan tu jest, jako pierwszy dora-dził mi, żebym pana zwerbował. Dobrze wiedział, że każdy wolny strzelec jest dla mnie potencjalnym towarem.

Nić Ariadny sprawdź, dokąd prowadzi.

- Wygląda na to, że sporo pan o mnie wie - odparł zachęcająco Ambler.

Tylko co ten Fenton tak naprawdę wiedział?

- Sporo? Wiem wszystko i nic. Tarkwiniusz. Nie znam żadnego innego imienia czy nazwiska. Bez butów ma pan dokładnie metr osiemdziesiąt wzrostu. Waży pan osiemdziesiąt sześć kilo. Wiek? Czterdzieści lat. Brązowe włosy, niebieskie oczy. - Fenton wykrzywił usta w uśmiechu. - Ale to tylko suche fakty. Dane. Nie zrobią wrażenia ani na panu, ani na mnie.

Niech mówi, pomyślał Ambler. Niech mówi jak najwięcej. Przypomniały mu się długie popołudnia, jakie spędzał na łowieniu ryb. Ten naprzemienny rytm, to popuszczanie żyłki i jej ściąganie: stały opór męczył rybę i po jakimś czasie można ją było wciągnąć do łodzi.

- Jest pan za skromny - odrzekł. - Myślę, że wie pan znacznie więcej.

- Owszem, słyszałem różne opowieści...

- Od Ozyrysa.

- Nie tylko, od innych też. Mam dużo znajomych, dużo kontaktów. Na pewno jeszcze pan o tym usłyszy. Jest niewielu, których nie znam, oczywiście spo-

śród tych, których warto znać. - Odchrząknął. - Musi pan mieć potężnych wrogów. I potężnych przyjaciół. Chciałbym znaleźć się w gronie tych ostatnich. Uśmiechnął się i pokręcił głową. Bardzo mi pan imponuje, a takich, którzy potrafią mi zaimponować, jest niewielu. Dla mnie jest pan

genialnym magikiem. Sztukmistrem. Puf! Słoń znika ze sceny. Puf! Znika sam sztukmistrz, cylinder, różdżka i wszystko. Do diabła, jak pan to zrobił?

145

Ambler usiadł na lśniącym chromowanym stołku, przyglądając się jego gładkiej, rumianej twarzy. Jesteś moim wrogiem? Czy tylko mnie do nich doprowadzisz?

- Sztukmistrem? - powtórzył cichym, znudzonym głosem.

- Tajemnice zawodowe, co? Mówiono mi, że Tarkwiniusz ma wiele talentów, ale nie miałem pojęcia, że aż takich. *Incognito ergo sum*, he? Wie pan, że sprawdziliśmy pańskie odciski palców?

Szklanka, z której pił w limuzynie Ozyrysa.

- No i?

- No i nic. Nada. Zero. Usunięto pana ze wszystkich baz danych, jakie tylko istnieją. Testy biometryczne, wszystkie te identyfikatory cyfrowe? Też nic. - Zrobił pauzę i wyrecytował: - „Gdy wchodziłem na schody, spotkałem człowieka, którego tam nie było...”

- „Nie było go tam i dzisiaj” - wtrącił Ambler.

- „A tak bym chciał, żeby przyszedł się ze mną pobawić” - dokończył

z uśmiechem Fenton, zmieniając zakończenie starej rymowanki. - Zapewne nie zdziwi się pan, że mamy dostęp do wszystkich akt personalnych Departamentu Stanu. Pamięta pan Horusa?

Ambler kiwnął głową. Horus, olbrzym, który za dużo ćwiczył na siłowni.

Chodził jak małpa, z odstającymi na boki rękami, i na pewno brał sterydy, na co wskazywał jego pokryty trądzikiem kark, ale dobrze się bił i bywał użyteczny w mniej subtelnych misjach OSP. Hal pracował z nim trzy czy cztery razy. Nie byli przyjaciółmi, ale żyli ze sobą w zgodzie.

- Zna pan jego prawdziwe nazwisko? - spytał Fenton.

- A skąd. Oczywiście, że nie. Takie były zasady. Nigdy ich nie naginaliśmy.

- A ja znam. Harold Neiderman. Mistrz zapasów ogólniaka w South Bent.

Przez jakiś czas pracował w sekcji walk ekstensywnych Wydziału Operacji Specjalnych. Potem ożenił się, zrobił dyplom z zarządzania i administracji w dwuletniej szkole na Florydzie, rozwiódł się, ponownie wstąpił do służb specjalnych... Szczegóły są bez znaczenia. Chcę tylko udowodnić, że mógł-

bym mówić o nim i mówić. A Trytona? Pamięta pan?

Miedziane włosy, piegi, cienkie nadgarstki i delikatne kostki u stóp, mimo to niezwykle sprawny i zręczny, specjalista od zabijania po cichu. Był mistrzem Rymowanka Hughesa Mearnsa (przyp. tłum.).

As I was going up the stair

I met a man who wasn't there.

He wasn't there again today,

I wish, I wish he'd stay away.

garoty, ekspertem od podrzynania gardła i wykorzystywano go wszędzie **tam**, gdzie nawet broń z tłumikiem byłaby za głośna. Ambler kiwnął głową.

- Tryton to Simmons, Ferrell Wyeth Simmons. Żołnierz. Dzieciństwo spędził w Wiesbaden. Ukończył Lawton, prywatną szkołę średnią pod Fort Sili w Oklahomie. A propos: akta personalne są ściśle tajne i dobrze zakamuflowane, tak że zwykłe szperanie nic nie da. Ale ja jestem uprzywilejowany i mam do nich dostęp. To chyba oczywiste. Dlatego bez najmniejszego trudu powinienem był znaleźć akta niejakiego Tarkwiniusza, prawda? Mimo to nie udało mi się. Bo jest pan sztukmistrzem, prawdziwym czarodziejem. - Powiedział to ze szczerym podziwem w głosie. - A jako sztukmistrz i czarodziej jest pan tym cenniejszym agentem. Gdyby pana schwytano - nie twierdzę, że do tego dojdzie, ale gdyby - byłby pan jak chodzący szyfr. Jak kółeczko dymu. Drobną plamką w polu widzenia. Jedno mrugnięcie okiem i już pana nie ma. Voila: Człowiek Którego Nie Było. Absolutnie nic pana z nikim nie łączy. Genialne!

Ambler nie odpowiedział od razu. Zwlekał. Nie chciał wyprowadzać go z błędu. Fenton był grubą rybą. „Mam dużo znajomych, dużo kontaktów”

to małe niedomówienie.

- Dobry sztukmistrz może również sprawić, żeby to, co znikło, pojawiło się z powrotem odrzekł ostrożnie. Popatrzył w okno, na przechodzących chodnikiem ludzi, cichych, spokojnych i niczego niewidzących. Tak, mógł-

by wykorzystać Fentona, ale czy inni nie wykorzystali go już przypadkiem?

Gdyby ci z „odbioru przesyłek” dowiedzieli się o tym spotkaniu... Ale jak dotąd nie zauważył w pasażu nikogo podejrzanego.

I panu się to udało, prawda? Czy ma pan pojęcie, ile jest pan dla mnie warty? Według pańskich dawnych kolegów, jest pan kimś w rodzaju jasno-widza. W dodatku oficjalnie pan nie istnieje!

- Pewnie dlatego czuję w środku taką pustkę - rzucił oschle Ambler.

- Zawsze zależało mi na najlepszych. Nie wiem, co pan zrobił, że wpadł

pan w takie kłopoty. Nie wiem, w co się pan wpakował i jak pan z tego wyszedł. Ale mało mnie to obchodzi.

- Trudno w to uwierzyć - odparł Ambler. Jednak sam już jak najbardziej wierzył.

- Widzi pan, lubię otaczać się ludźmi prawdziwie, ale to prawdziwie doskonałymi. A pan, mój przyjacielu, przeszedł moje wszelkie oczekiwania.

Nie mam pojęcia, jak pan to wszystko zrobił, ale serce mi rośnie, kiedy na pana patrzę.

- Myśli pan pewnie, że lubię łamać zasady i reguły.

- Ja nie myślę, ja wiem. Wielkość polega na tym, że człowiek prawdziwie wielki doskonale wie, kiedy może to zrobić. Kiedy i jak.

147

- Wygląda na to, że kompletuje pan coś w rodzaju Parszywej Dwunastki.

- O nie, to coś znacznie większego. Słyszał pan o Strategii Services Group?

Nić Ariadny - sprawdź, dokąd prowadzi.

Podobnie jak McKinsey, Bain, KPMG, Accenture i kilkanaście innych, Strategii Services Group, Grupa Usług Strategicznych, była słynną firmą konsultingową, jedną z tych, które znajdują złe rozwiązania dla źle posta-wionych problemów. Pamiętał jej billboardy na niemal wszystkich większych lotniskach. Wielkie inicjały SSG, a pod spodem pełna nazwa, małutkimi literkami: STRATEGIO SERVICES GROUP. I olbrzymi napis nad grupą zdezoriento-wanych biznesmenów: JEŚLI NIE ZADAJESZ WŁAŚCIWYCH PYTAŃ, WŁAŚCIWE ODPOWIEDZI NA NIC CI SIĘ NIE ZDADZĄ.

- To dobrze, bo myślę, że to pańska przyszłość.

- Nie jestem specem od zarządzania.

- Nie będę owijał w bawełnę. Jesteśmy w całkowicie dźwiękoszczelnym, doskonale przesłoniętym pomieszczeniu. Bardziej prywatnie nie byłoby na księżycu.

- No i atmosfera jest tu odrobinę lepsza.

Fenton niecierpliwie kiwnął głową.

- SSG jest trochę jak ten butik. Oferuje biznesmenom swoje usługi, ale nie po to istnieje. Może Ozyrys zaczął już to panu tłumaczyć... Widzi pan, jestem kimś w rodzaju wodzireja. Tak mnie zresztą nazywają.

- I jaką to imprezę pan prowadzi?

- Międzynarodowa firma konsultingowa, co to tak naprawdę jest? Kilku facetów w garniturach, którzy podróżują po całym świecie, nabijając licznik wylatanych kilometrów i dostając za to coraz

większe zniżki. Pełno ich na każdym większym lotnisku. Każdy celnik rozpozna ich na kilometr. To zawodowcy. Wyglądają jak ludzie, którzy nauczyli się żyć w samolocie. Ale zna pan te ogłoszenia, w których firma tłumaczy, co różni ją od innych...

- „Nie tylko znajdujemy właściwe odpowiedzi, ale i zadajemy właściwe pytania” - wyrecytował Ambler.

- Najistotniejsza jednak różnica polega na tym, że trzonem naszej ekipy są byli tajni agenci. I to nie byle jacy. Zgarnąłem samą śmietankę. Najlepszych ludzi z OSP.

- A więc jest to coś w rodzaju fuchy na emeryturze? - Prowokacja była celowa.

Oni nie są na emeryturze - odparł Fenton. - Robią to samo co przedtem.

Co więcej, teraz mogą wykonywać swoją pracę: swoją prawdziwą pracę.

Co jest dla pana bardzo korzystne.

148

- Co jest korzystne dla wolności. Dla prawdy, sprawiedliwości i dla Ameryki.

- Chciałem się tylko upewnić wtrącił przepraszająco Ambler.

- Bo teraz, zamiast wypełniać tony papierków i nadziewać się na własny miecz, ilekroć nastąpią na odcisk jakiemuś zagranicznikowi, ludzie ci naprawdę pracują. Koniec z waszyngtońską biurokracją. Kiedy trzeba ostro, gramy ostro. Bez żadnych przeprosin. Czy widzi pan w tym jakiś problem?

- Ja? A skąd, niby dlaczego? - Poluźnij żyłkę.

- No właśnie. Nie znam agenta, który odpowiedziałby inaczej. Jestem patriotą z krwi i kości. Ale zawsze doprowadzało mnie do szału to, że dajemy się spętać przepisom, regulaminom, federalnemu nadzorowi, ONZ, tym wszystkim międzynarodowym traktatom i porozumieniom. Ostrożność, powiedział-

bym nawet nieśmiałość, naszych tajnych operacji jest po prostu obrzydliwa.

Zakrawa na zdradę. Nasi ludzie są najlepsi w branży, a te urzędasy pętają im ręce i nogi! Ja im te pęta zdejmuję i mówię: pokażcie, na co was stać.

Ściągnij żyłkę.

- I jest pan tym samym wrogiem rządu, który próbuje pan chronić. - Cięte słowa, spokojny głos.

- Pyta pan, czy nastąpiłem im na odcisk? -- Fenton uniósł brwi i na jego czole pojawiły się cztery

zdumiewająco regularne zmarszczki, proste i równe jak zaprasowania na koszuli dopiero co przyniesionej z pralni. - I tak, i nie. Nie ulega wątpliwości, że wielu zatwardziałych urzędasów tego nie pochwała. Ale w Waszyngtonie są i ludzie dobrzy. Ludzie, którzy naprawdę się liczą. Prawda?

- I którzy liczą na pana.

- Otóż to. - Fenton zerknął na zegarek. Pilnował, żeby trzymać się jakiegoś harmonogramu. Tylko jakiego? - Istnieje powszechnie znany model dla tego rodzaju układu - ciągnął. - Zapewne pan wie, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat bardzo wzrosło znaczenie i rola PFW, prywatnych firm wojskowych.

- Tak, zwłaszcza w oddziałach pomocniczych, oddziałach wsparcia tak-tycznego i tak dalej.

- Guzik prawda! Fenton grzmotnął ręką w mały stolik obok fotela. - Nie wiem, jak długo pana nie było, ale wygląda na to, że nie jest pan na bieżąco.

Żyjemy w nowym, wspaniałym świecie, Tarkwiniuszu. Odkąd Defence Services Limited, wic pan, Brytyjczycy, głównie SAS, połączyła się z naszym Armor Holding, przeszliśmy na system globalny. Ci z Armor strzegli ambasad, kopalni, instalacji naftowych w Afryce Południowej i szkolili żołnierzy sił specjalnych w Indonezji, Jordani i na Filipinach. Potem wykupili udziały 149

DSL, kupili Intersec i Falconstara. Zainwestowali olbrzymie pieniądze w zarządzanie firmami podwyższonego ryzyka, we wszelkiego rodzaju usługi, od zabezpieczania kopalń poczynając, na wywiadzie kończąc. A jeszcze póź-

niej Armor Holding kupił rosyjską Alfę.

W Alfie pracowali byli żołnierze elitarnego sowieckiego oddziału, odpowiednika amerykańskiej Deltę.

- Specnaz Specnazu - wtrącił Ambler.

Fenton kiwnął głową.

- Kupili też Defence Systems Colombia obsadzoną głównie przez byłych wojskowych z Ameryki Południowej. Wkrótce stali się jedną z najszybciej rozwijających się firm w świecie. Ale zamiast spocząć na laurach, kupili Group 4 Flack, duńską korporację, do której należał Wackenhut. Kupili też Levdan i Vinnell, L-3 Communication i MPRI, i to właśnie MPRI, Military Professional Resources Incorporated, mnie zainspirowała. Ta jedna, jedyna firma z siedzibą w Wirginii utrzymała pokój i doprowadziła do ustabilizowania sytuacji w Bośni. Myśli pan, że to zasługa błękitnych hełmów? Nie, to MPRI. Jednego dnia do dymisji podaje się specjalny doradca Pentagonu do spraw federacji bośniacko-chorwackiej. Następnego znowu pracuje na Bał-

kanach, ale już dla MPRI. Jest rok dziewięćdziesiąty piąty i Chorwaci dają Serbom łupnia. Nagle, zupełnie niespodziewanie. Jakim cudem? Jakim cudem ta banda obszarpanych, dezorganizowanych i niekompetentnych igno-rantów była w stanie przeprowadzić serię perfekcyjnie zaplanowanych ataków na serbskie pozycje? Dzięki MPRI. To właśnie ona zmusiła Serbów do rokowań, to właśnie ona była w tym równie skuteczna jak natowskie bom-bardowania. Nie chodzi już tylko o sprywatyzowanie wojny. Chodzi też o sprywatyzowanie pokoju, *comprends'*? O ludzi z sektora prywatnego pracujących dla dobra publicznego.

- O ile pamiętam, kiedyś nazywaliśmy ich najemnikami.

- Bo co w tym nowego? Kiedy Ramzes II walczył z Hetytami, zatrudnił

numidyjskich doradców. A Cyrus Młodszy i jego słynne dziesięć tysięcy Gre-ków? Dziesięć tysięcy zwykłych najemników, którzy skopali tyłek Persom.

A wojna peloponeska? Fenicjanie też zatrudniali najemników.

- Chce pan powiedzieć, że robili to, żeby obniżyć koszty?

- Wybacz pan staremu miłośnikowi historii wojen i wojskowości. Ale jak można wierzyć w geniusz rynku i bezpieczeństwo, nie łącząc tego w jedno?

Ambler wzruszył ramionami.

- Rozumiem, że jest popyt. Ale co z podażą? - Ponownie powiódł wzrokiem po pasażu za oknem i spojrzał na siedzącego przed nim przemysłowca.

Dlaczego Fenton tak często zerka na zegarek?

- Zastanawiał się pan może, co stało się z tak zwanym deficytem pokoju?

Stany Zjednoczone mają teraz o dwie trzecie żołnierzy mniej niż podczas zimnej wojny. Przeprowadziliśmy wielką demobilizację. Gdzie indziej jest podobnie, w Afryce Południowej, a zwłaszcza w Wielkiej Brytanii. Poroz-wiązywano całe pułki. A co pozostało? ONZ? Przecież to żart. ONZ przypomina średniowiecznego papieża: mnóstwo edyktów i zaledwie parę bagne-tów.

- I stąd nadmiar wojskowej siły roboczej.

- Nie, nie, to bardziej skomplikowane. Już nie pracuję w sektorze wojskowym; jak na mój gust, jest to rynek za bardzo zatłoczony. Paul Fenton lubi mieć poczucie, że robi coś wyjątkowego i unikalnego.

- I rzeczywiście robi?

- Oczywiście. Bo SSG nie konkuruje z PFW. Oni działają otwarcie, my po kryjomu. I właśnie to jest najpiękniejsze, rozumie pan? Operacje, nie walka.

Zajmujemy się czymś znacznie poważniejszym. Zajmujemy się tajnymi operacjami. Jesteśmy jak zinkorporowany Wydział Operacji Konsularnych.

- Szpiedzy do wynajęcia.

- To Boże dzieło, Tarkwiniuszu. Dzięki nam Stany Zjednoczone są silne jak nigdy dotąd.

- A więc podlegacie rządowi i jednocześnie nie podlegacie.

- Robimy to, czego nie może zrobić USA. - Fentonowi zaiskrzyły się oczy.

Wydawało się, że nie mają żadnego konkretnego koloru, lecz po chwili Ambler zauważył, że jedno jest szare, a drugie zielone. Ależ tak, oczywiście, biurokraci z Fort Meade i Langley, nie wspominając już o tych z Foggy Bottom, często mnie potępiają. Ale w głębi serca cieszą się, że robię to, co robię.

Przypuszczam, że niektórzy nie tylko w głębi serca. Musi pan mieć po-wiązania z bardzo wysokimi urzędnikami państwowymi. Wysocy urzędnicy państwowi, a wśród nich ci, którzy mi to zrobili. Kto i dlaczego.

- Jak najbardziej. Ci ludzie chętnie korzystają z naszych usług. Wynajmują nas, żeby zaoszczędzić na kosztach.

- Sam smak, ani jednej kalorii rzucił Ambler, czując, że z obrzydzenia zbiera mu się na wymioty. Fanatycy tacy jak Paul Fenton byli tym groźniejsi, że uważali się za herosów. Chociaż swoją wzniosłą retoryką potrafili usprawiedliwić każde okrucieństwo, szybko tracili zdolność rozróżniania między interesem własnym i Wielką Sprawą, której się poświęcili. Karmili swoje firmy publicznymi pieniędzmi, głosząc kazania na temat cnót prywatnej inicjatywy. Ci, którzy naprawdę wierzyli w sprawę, tacy jak Fenton, często stawali ponad prawem i sprawiedliwością, zagrażając bezpieczeństwu państwa, które tak wychwalali.

- Wszyscy wiedzą, że wrogowie wolności, w tym wolnego rynku, są wrogami Paula Fentona. - Przemysłowiec spoważniał. - Dużo z tego, co robimy, może wydawać się mało ważne. Ale dążymy do rzeczy wielkich - dodał

podekscytowany. - Ostatnio otrzymaliśmy duże, poważne zlecenie.

- Naprawdę? - Ambler musiał pogrywać z nim bardzo ostrożnie: nie mógł

interesować się za bardzo, lecz nie mógł też demonstrować kompletnej obojętności. Beznamiętny obiektywizm - do tego dążył. Niech ryba trochę po-walczy.

- I właśnie dlatego pana potrzebuję.

- Co pan o mnie słyszał? - spytał Ambler, uważnie obserwując jego twarz.

- Mnóstwo rzeczy. Nawet to, że jest pan niebezpiecznym wariatem - odparł szczerze Fenton.

- No i? Po co panu wariat? Dlaczego?

- Może dlatego, że rządowa definicja wariata niekoniecznie zgadza się z moją. A może dlatego, że tylko niebezpieczny wariat wykonałby to zadanie. Niebezpieczny wariat z pańskimi umiejętnościami miałby szanse. - Fenton zamilkł na chwilę. - No więc? Jak będzie? Dobijemy targu? Naprawimy razem ten sfatygowany świat? Co pan sądzi o moim biznesie? Tylko szczerze!

Nić Ariadny dokąd prowadzi?

- Zanim się poznaliśmy - odparł Ambler, dotykając jednej z sukien na półce - nie miałem pojęcia, co można zrobić z plisowanym woalem.

Fenton roześmiał się nosowym dyszkantem, niemal zachichotał. Potem spoważniał i długo mu się przyglądał.

- Tarkwiniuszu, chciałbym gdzieś pana zaprowadzić. Pójdzie pan ze mną?

Coś panu pokażę.

- Świetnie. - Ambler popatrzył na stalowoszarą wykładzinę i lodowato eleganckie, błyszczące od chromu meble. - Bo tutaj chyba nie ma nic w mo-im rozmiarze.

Wyszli z butiku i ponownie znaleźli się w gigantycznej, wiecznie ruchliwej jaskini Podziemnego Miasta. Gdy przebijali się przez tłum do ruchomych schodów, Ambler myślał o Fentonie. Fanatyzm, przebiegłość i otwartość: ciekawa kombinacja. Niewielu ludzi równie bogatych jak on wychodziłoby do miasta bez licznego orszaku, tymczasem on szczycił się swoją niezależ-

nością i samodzielnością, a przynajmniej tak to wyglądało. Tę samą dziwną kombinację hardego indywidualizmu i rozpieszczonego samouwielbienia można było zauważyć w tym, co mówił i jak mówił. Może właśnie dzięki temu został miliarderem.

152

Wysoko pod sufitem, lecz poniżej rzędu lamp, wisiała olbrzymia tablica reklamowa Gap. Inc. Wszędzie widać było sklepy, butik, kioski i... kupują-

cych, całe rzesze, niezliczone tłumy ludzi. Przeszli kilkaset metrów i w koń-

cu znaleźli się przed wejściem do Palais des Congres nad autostradą Ville Marie. Dwa ciągi ruchomych schodów i wreszcie powierzchnia: powrócili na swoją lodowatą planetę. Lodowato wyglądał również sam pałac, olbrzymi gmach ze stali, szkła i betonu.

Gdy weszli na biegnący w tamtą stronę chodnik, Ambler zobaczył gęsty kordon ochroniarzy i

strażników.

- Co tu się dzieje? - spytał.

- Spotkanie grupy G7 - wyjaśnił Fenton. A konkretnie G7 plus jeden.

Ministrowie handlu z całego świata. Z USA, Kanady, Francji, Anglii, Niemiec, Japonii i specjalni goście. Wielka impreza. Nigdy nie ogłaszają, gdzie się odbędzie, żeby uciec od antyglobalistów. Ale tak naprawdę to żadna ta-jemnica.

- Nie przypominam sobie, żeby mnie tu zapraszano.

- Jest pan ze mną - odparł Fenton z szelmowską iskierką w oku. - Chodźmy. Będzie na co popatrzeć.

Joe Li wyregulował ostrość wielkiej lornetki. Był wysoko, na ostatnim piętrze wieżowca sąsiadującego z obleczonym w szkło Complexc Guy-Favreau.

Dostał wiadomość, że obiekt może podjąć próbę dostania się na międzynarodowe spotkanie. Tuż obok leżał chiński karabin wyborowy Type 95 kaliber 7,62 mm. Rankiem Li dokładnie wyzerował celownik. Tarkwiniusz, jego cel, był w tej chwili doskonale widoczny i biorąc poprawkę na silne, nieregularne podmuchy wiatru, Li mógłby oddać względnie pewny strzał.

Tylko kto towarzyszył Tarkwiniuszowi? Lekko przesunął lornetkę i poprawił ostrość. Kim był ten rumiany, atletycznie zbudowany mężczyzna?

Działać czy analizować? Prastary dylemat: analizując dostępne opcje, można było zginąć lub narazić na śmierć innych. Jednak Li coraz poważniej zastanawiał się, czy przed wkroczeniem do akcji nie zażądać od centrali dodatkowych informacji wywiadowczych. Postąpiłby wbrew sobie, wbrew całemu swojemu jestestwu: stworzono go - wyselekcjonowano i wyszkolono — do działania. Towarzysz Chao nazwał go kiedyś żywą bronią. Jednak działanie skuteczne nie może być działaniem impulsywnym. Najważniejsza jest pełna synchronizacja, podobnie jak umiejętność adaptacji i do zmieniających się warunków zewnętrznych, i reagowania na nie.

Zdjął palec ze spustu, wziął aparat cyfrowy, uchwycił w kadr rumianego rudzielca i zrobił mu kilka zdjęć. Wyśle je centrali do analizy.

153

Rzadko kiedy doświadczał uczucia strachu, odczuwał jednak lekki niepokój.

Martwił się, że wrogowie Liu Anga mogli znaleźć nowe, śmiertelne narzędzie.

Targany narastającymi wątpliwościami ponownie spojrzął na karabin.

Analizować czy działać?

Rozdział 13

dy weszli do centrum konferencyjnego, spojrzął na Fentona. Zdawało Gsię , że przemysłowiec drży z niecierpliwego oczekiwania. Pałacowe atrium miało kilka pięter wysokości, wyłożoną sześciokątnymi granitowymi płytami posadzkę oraz trzy balkony skąpane w srebrzystym świetle zimowego nieba, które wpadało do środka przez ukośnie połączone tafle przeszkle-nej kopuły. Na uroczej, staromodnej tablicy z białymi literkami, mozolnie powtykanymi w podziurkowany czarny plastik, wisiał plan pałacu, na któ-

rym zaznaczono, gdzie odbywają się poszczególne spotkania.

- Już za chwilę zobaczy pan dowód tego, co potrafimy - wymruczał cicho Fenton.

Z sąsiadującej z atrium sali dobiegał głośny szum, trzask i gwar głosów, znak, że skończyło się jakieś spotkanie. Ludzie wstawali, odsuwali krzesła, spieszyli przedstawić się tym, z którymi chcieli porozmawiać. Inni wycho-dzili na kawę czy na papierosa.

- Która godzina? - spytał Fenton.

- Za kilka sekund... dwunasta.

W granitowo-szklanym atrium rozległ się przeraźliwy krzyk. Wszystkie rozmowy natychmiast ustały i słychać było jedynie słowa, które nieodmien-nie wypowiadają ludzie przerażeni: „O Boże! O Boże! O mój Boże!" Rozpaczliwie krzyki przybierały na sile, przetaczały się przez całe atrium. Fenton przystanął na wyłożonych dywanem schodach i objął Amblera ramieniem.

Do atrium wpadli ubrani na czarno ochroniarze, kilka chwil później sani-tariusze. Ktoś zginął. Kogoś zamordowano.

Z trudem panując nad emocjami, Ambler spojrzął na Fentona i spytał:

- Co się stało?

Fenton rzucił kilka słów do telefonu komórkowego i ruchem głowy wskazał rozedrgany tłum.

- Kurt Sollinger - szepnął. - Negocjator handlowy z Brukseli.

- Nie znam.

- Według naszych informacji jest, a raczej był, bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Na studiach podyplomowych zgadał się z niedobitkami grupy Baader^

-Meinhof i od tej chwili prowadził podwójne życie. Każdy powiedziałby ci, że to świetny ekonomista, niezwykle ujmujący człowiek. Tymczasem on, wykorzystując swoją pozycję w UE, założył kilka międzynarodowych firm, które prały brudne pieniądze z bandyckich krajów, i przekazywał znaczne kwoty starannie wybranym komórkom terrorystycznym. Nazywali go Kasjerem. Płacił tym ban-dziorom za podkładanie bomb, organizowanie i przeprowadzanie zamachów.

- Ale dlaczego...

- Dzisiaj jest wyjątkowy dzień. - Fenton przeszył go spojrzeniem. - Wie pan? Swoista rocznica. Pamięta pan naszego wiceministra skarbu? Tego, któ-

rego zamordowano?

Ambler powoli kiwnął głową. Zastrzelono go przed kilkoma laty na oczach tłumu zebranego w luksusowym hotelu w Sao Paulo. Był najmłodszym w historii wykładowcą na wydziale ekonomii Harvardu, głównym architektem nowej polityki finansowej krajów Ameryki Łacińskiej, człowiekiem, który dwukrotnie uratował je przez kryzysem walutowym, i najjaśniejszą gwiazdą amerykańskiego rządu. Mimo to zamachowca nie schwytano. Chociaż władze podejrzewały, że było to dzieło antyglobalistycznych ekstremistów, mię-

dzynarodowe śledztwo utknęło w miejscu.

- Zginął dokładnie pięć lat temu - powiedział Fenton. - Punktualnie o dwunastej w południe. W hotelowej sali balowej. Na oczach tłumu. Zabójcami byli ludzie, którzy chwalili się, że potrafią zrobić to precyzyjnie i bezczelnie.

Zapłacił im za to ten, Kurt Sollinger. Za pośrednictwem byłych zwolenników Rotę Armee Fraktion, Frakcji Armii Czerwonej. Niedawno się o tym dowiedzieliśmy. Mamy dowody. Sąd by ich nie uznał, ale cóż, dla nas są wystarczająco mocne.

- Jezu Chryste - wymamrotał Ambler.

- Dokładnie pięć lat temu, punktualnie o dwunastej. Wierz mi, te sukiny-ny na pewno zrozumieją, o co chodzi. Właśnie nadaliśmy komunikat na ich częstotliwości radiowej. Już wiedzą, że ich namierzaliśmy. Wpadną w panikę, rozproszą się i spróbują się przegrupować. Przerwą wszystkie aktualnie prowadzone operacje. Sieć ich kontaktów stanie się podejrzana. Ich własna paranoja narobi im więcej szkód niż my. Te wrzaski, te krzyki... Jakbym słuchał taśmy z nagraniem z Sao Paulo. Poetycka, kurwa, sprawiedliwość. -

Fenton zapalił papierosa.

Ambler głośno przełknął ślinę. To, że Fenton przyszedł na miejsce zamachu, który sam zorganizował, graniczyło z popisywaniem się.

Przemysławiec jakby czytał w jego myślach.

- Zastanawia się pan, dlaczego tu jestem? Dlatego, że mogę. - Patrzył na niego spokojnym, niewzruszonym wzrokiem. - SSG się nie boi. Musi pan o tym pamiętać. Nasza praca jest tajna, ale nie jesteśmy bandą wyjętych spod prawa kryminalistów. My to prawo reprezentujemy.

Najpewniej tak właśnie działał. Doskonale wiedział, że nikt nigdy nie skojarzy jego nazwiska z zamachem, do którego doszło zaledwie kilka kroków dalej.

- Ale dla ciebie, Tarkwiniuszu, mamy o wiele grubszą rybę. - Podał mu małą kartkę papieru, papieru bardzo dziwnego, czegoś pośredniego między pelurem i papierem termicznym do faksów. Charakterystyczny zapach wskazywał, że jest to papier niezwykle łatwo palny, który spala się całkowicie w kilka sekund. - A raczej rekina - dodał Fenton.

- To ten, którego miałbym zdjąć? - spytał Hal. Próbował mówić cicho i spokojnie, chociaż żołądek podchodził mu do gardła. Nić Ariadny - sprawdź, dokąd prowadzi.

Fenton ponuro kiwnął głową.

Ambler zerknął na kartkę. Benoit Deschesnes. Znał to nazwisko. Deschesnes był dyrektorem generalnym Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej.

Fakt, gruba ryba. Pod nazwiskiem wypisano dane dotyczące miejsca zamieszkania oraz opis jego codziennych zwyczajów.

- Czym zalażł wam za skórę? - spytał, z trudem zachowując spokój.

- Kiedyś pracował dla Francuzów jako ekspert od broni jądrowej. Teraz, już jako szef agencji, przekazuje swoją wiedzę krajom takim jak Iran, Syria, Libia, Algieria, a nawet Sudan. Może uważa, że tak jest bardziej demokra-tycznie. Może chce zbić fortunę. Nieważne. To parszywiec. W dodatku niebezpieczny parszywiec. I musi zniknąć. - Fenton zaciągnął się dymem. -

Wszystko pan zapamiętał?

Ambler kiwnął głową.

Fenton wziął karteczkę i dotknął jej czubkiem papierosa. Błysnął różowo-biały płomyk wyglądał jak róża, którą sztukmistrz wyczarował na dłoni -

i szybko zgasł. Ambler się rozejrzał. Nikt niczego nie zauważył.

- Pamiętaj, Tarkwiniuszu: my jesteśmy tymi dobrymi - powiedział Fenton. Było chłodno i z ust szła mu para. - Wierzysz mi, prawda?

- Wierzę, że pan wierzy sobie - odparł spokojnie Ambler.

- Zaufaj mi. To początek czegoś bardzo wyjątkowego. Zajmij się Deschesnes'em, a uznamy cię za swego. Wtedy porozmawiamy. Wtedy będziesz najlepszy.

Hal zamknął oczy. Miał olbrzymi dylemat. Mógłby powiadomić władze, ale jaki byłby w tym sens? Przecież to właśnie władze, ci z rządu, zlecili to zadanie Fentonowi. Poza tym nikt by mu nie uwierzył. Jego byli przełożeni myśleli, że Tarkwiniusz zwariował, a Harrison Ambler nigdy nie istniał.

Wrogowie nie wysłaliby go na wyspę Parrish, gdyby nie chcieli tego wykorzystać - nie zadaliby sobie aż takiego trudu. Taśmę z nagraniem bredzącego Amblera na pewno pokazano najważniejszym szefom wywiadu. Z drugiej strony,

gdyby

odmówił,

Fenton

znalazłby

kogoś

innego.

Nagle podszedł do nich umundurowany policjant.

- Proszę pana! - warknął, patrząc na Fentona.

- Mówi pan do mnie?

- Tak, do pana! - Policjant podszedł bliżej. Wyglądał na urażonego. —

Prawo pana nie dotyczy? Tak pan uważa?

- Słucham? - spytał Fenton, uosobienie niewinności.

Policjant zbliżył twarz do jego twarzy i wykrzywił usta.

- Tu nie wolno palić. Zgodnie z zarządzeniem władz miasta, we wszystkich budynkach miejskich obowiązuje całkowity zakaz palenia tytoniu. Niech pan nie udaje, że pan o tym nie wie. Wszędzie wiszą tabliczki.

Ambler popatrzył na Fentona i pokręcił głową.

- Jezu, ale wpadłeś.

Kilka minut później wyszli przed pałac. Ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu. Przyprószył on

również dwa rzędy żywopłotu, między którymi biegł

chodnik z błękitnoszarego piaskowca.

;'

- No więc? -- rzucił Fenton. - Umowa stoi?

Obłąd. Szaleństwo. Miał wstąpić do organizacji, której działalność potę-

pieł. Nie było w tym żadnej logiki. Lecz odmawiając, upuściłby nic, a tego zrobić nie mógł. Nie teraz, nie w labiryncie. Gubiąc nic, zgubiłby siebie.

- Zapłacisz mi wiedzę, Wodzireju. - Czy to naprawdę on wypowiedział te słowa?

Fenton kiwnął głową.

- Normalka. Ktoś chciał zrobić ci kuku. A ty chcesz, żebym dowiedział

się kto i dlaczego. O to chodzi?

Normalka? pomyślał Ambler. Nie, w tej historii nie ma niczego normalnego.

- Mniej więcej odparł.

Niebo pociemniało i stało się zupełnie szare. Szare tak ostatecznie i jednoznacznie, że trudno było sobie wyobrazić, iż kiedykolwiek mogło mieć inny kolor.

- Z twoimi umiejętnościami nie powinieneś mieć z tym żadnych kłopotów - powiedział stanowczo Fenton. - A gdybyś je miał? Gdybyś wpadł?

Cóż, jesteś Człowiekiem, Którego Nie Było, prawda? Nikt się w niczym nie pokapuje.

- Brzmi całkiem nieźle - odparł głucho Ambler. - Chyba że to ty jesteś Człowiekiem, Którego Nie Było.

Langley, Wirginia

Clay Caston patrzył z dezaprobatą na kremowy dywan w gabinecie zastępcy dyrektora do spraw wywiadu. Była na nim plama od kawy. Tam, krok przed brązową, skórzaną sofą. Wypatrzył ją podczas poprzedniej wizyty. I podejrzewał, że będzie tam również podczas kolejnej. Caleb Norris po prostu przestał ją zauważać. Z wieloma innymi rzeczami bywa podobnie. Przestaje się je zauważać nie dlatego, że są ukryte, tylko dlatego, że człowiek do nich przywyknął.

- Jak dotąd chyba rozumiem - mówił Norris. - Bierzesz dane klienta i prze-prowadzasz...

- Analizę wariancyjną.

- Właśnie. Analizę wariancyjną. Szukasz subtelnych regularności w ich wydatkach. Ulotnej mgiełki nad tym czy innym wydarzeniem. Dobry sposób. - Wyczekująca pauza. - No i co znalazłeś?

- Nic.

- Nic - powtórzył zgaszony Norris. -- No cóż...

- I właśnie to jest najbardziej fascynujące.

Norris posłał mu niepewne spojrzenie.

- Widziałeś kiedyś psa, który ani razu nie zaszczekał? Operacje niskiego szczebla to kilogramy papierków, wszelkiego rodzaju zatwierdzeń, potwierdzeń, wniosków o zapotrzebowanie, i tak dalej. Nawet jeśli chodzi o wydatek rzędu kilku dolarów. Każdy pracownik niskiego szczebla, który ma do czynienia z rządową gotówką, musi wypełnić stos formularzy. Zostawia za sobą ślad, trop w gęstym lesie. Im wyższy szczebel, tym mniej papierków.

Bo na wyższym szczeblu dysponujesz już pewnymi środkami własnymi. Chcę ci tylko wytłumaczyć, że całkowity brak nieregularności sugeruje, że musiał

to załatwić ktoś bardzo ważny. Nikt nie przyjeżdża na wyspę Parrish dobro-wolnie. Ludzie w białych fartuchach przywożą go tam w kaftanie bezpieczeństwa. To z kolei pociąga za sobą konieczność zamówienia samochodów, łodzi, godzin nadliczbowych, i tak dalej, i tak dalej. Tymczasem ja nie znalazłem absolutnie niczego.

- Jak myślisz, jak wysoko może to sięgać?

Poziomu E17, co najmniej. To musi być ktoś twojej rangi. Albo wyższej.

- To powinno zawęzić sprawę...

- Tak? Czyżby podczas mojej wizyty w toalecie nasz rząd się nagle skurczył?

- Hm. Przypomina mi się, jak przydybałeś tego faceta z operacyjnego, który wyjechał na lewo do Algierii. Falszywy paszport i cała reszta: dokład-158

nie pozacierał wszystkie ślady. Oficjalnie wybył na tydzień do Adirondacks.

A tobie nie spodobało się zwiększone zużycie papieru toaletowego w kibel-ku przy jego gabinecie. Jezu, uwielbiam tę historię!

- Cóż, subtelnością to on nie grzeszył. Rolka papieru toaletowego dziennie?

- Ha! Biegunka. Stwierdziłeś, że to giardiasis, bakteria jelitowa powszechnie występująca w Algierii. Dwa dni później gość się przyznał. Oj, narobił

sobie, narobił... - Norris zachichotał. - No dobrze, a przebieg kariery zawodowej naszego specjalisty od ucieczek? Znalazłeś coś?

- Parę rzeczy - odrzekł Caston.

- Bo według mnie powinniśmy go jakoś podejść, zwabić...

- To nie będzie takie proste. Mamy do czynienia z niezwykłym klientem.

Podam ci pewien bardzo sugestywny szczegół. Nikt z kolegów nie chciał grać z nim w karty.

- Oszukiwał? - Norris rozwiązał krawat, ale go nie zdjął i przypominał

teraz redaktora podrzędnego brukowca. Spod rozpiętego kołnierzyka koszuli sterczały mu czarne włosy.

Caston pokręcił głową

- *Menschenkenner*. To po niemiecku. Znasz to słowo?

Norris zmrużył oczy..

- Znaczący... ludzi? Ktoś, kto dużo o nich wie?

- Niezupełnie. *Menschenkenner* to ktoś, kto potrafi ich rozgryźć, dostrzec, jacy naprawdę są.

- Kto czyta w myślach?

- Jak w otwartej księdze. Gdybyś miał coś do ukrycia, trzymałbyś się od niego z daleka.

- Chodzący wykrywacz kłamstw. Nieźle, chciałbym tak. Przydałoby mi się.

- Ci, z którymi rozmawiałem, wątpię, czy Tarkwiniusz wie, jak to wszystko działa. Ale, co nie dziwne, nasi ludzie przeprowadzili odpowiednie badania.

- No i? - Norris opadł na sofę.

- Rzecz jest zależna od wielu czynników, ale badania wskazują, że tacy jak on są szczególnie wyczuleni na tak zwane mikroekspresje, wyraz twarzy, który utrzymuje się niecałe trzydzieści

milisekund. Tego rodzaju subtelności nikt normalny nie zauważa. Specjaliści nazywają to przeciekami albo em-blematami. Wygląda na to, że skrywane emocje uzewnętrzniają się na bardzo wiele sposobów. Ale kiedy widzimy czyjaś twarz, większości z nich nie rejestrujemy. Inaczej nie dotrwalibyśmy do końca dnia.

159

- Chyba się w tym pogubiłem. *Norris oparł nogi o wysłużony stół kawowy z Departamentu Usług i Zaopatrzenia. Wszystkie meble w jego gabinecie robiły wrażenie bardziej wysłużonych, niż wskazywałby na to ich wiek.*

- Sam niedawno się o tym dowiedziałem - ciągnął Caston. Ale okazuje się, że psychologowie pracują nad tym od lat. Ktoś coś mówi. Ty nagrywasz go na wideo, analizujesz nagranie klatka po klatce i czasami widzisz minę, która nie pasuje do słów. Człowiek jest smutny. I nagle przez ułamek sekundy widać na jego twarzy wyraz triumfu. Ale dzieje się to tak szybko, że prawie nigdy nie zdajemy sobie z tego sprawy. W umiejętnościach Tarkwiniusza nie ma niczego mistycznego. On reaguje po prostu na rzeczy, których większość z nas nie dostrzega.

- Więcej widzi. Ale co widzi?

- Ciekawe pytanie. Specjaliści zajmujący się badaniem ludzkiej twarzy wyodrębnili kilka grup mięśni odpowiedzialnych za tłumienie uczuć. Uśmiechasz się i natychmiast ściągasz do dołu kąciki ust. Ale robiąc to świadomie, musisz poruszyć mięśniami podbródka. Jeśli natomiast robisz to odruchowo, bo twoje uczucia są szczerze, mięśnie podbródka ani drgną. Jeśli twój uśmiech jest sztuczny, mięśnie czoła pracują inaczej, niż powinny. Mięśnie brwi i powiek zaczynają pracować, kiedy jesteś zły albo zaskoczony. Tak więc jeśli udajesz, mięśnie zachowują się inaczej, niż kiedy jesteś szczerzy.

W większości przypadków tego nie dostrzegamy. Różnice, a raczej rozbież-

ności są dla nas zbyt subtelne. Mięśnie twarzy współdziałają ze sobą na setki sposobów, a my jesteśmy jak daltoniści, którzy patrzą na obraz i widzą tylko różne odcienie szarości. Podczas gdy taki Tarkwiniusz widzi wszystkie kolory.

- Ten facet to straszliwa broń... - Brwi Norrisa ściągnęły się i powędrowały w dół. To, co mówił Clay, nie było zbyt pocieszające.

- Owszem. - Caston nie wspomniał mu o swoich podejrzeniach. Doszedł

bowiem do wniosku, że między niezwykłymi zdolnościami Tarkwiniusza i jego hospitalizacją może istnieć związek. Hospitalizacją i tym, że ktoś wymazał go z tego świata. Jeszcze nie dopatrywał się w tym żadnej logiki, ale cóż, dzień dopiero się zaczął.

- Pracował u nas przez dwadzieścia lat.

- Tak.

- A teraz musimy założyć, że pracuje dla tych, którzy są przeciwko nam.

- Norris potrząsnął głową, jakby próbował wymazać coś z pamięci. - Taki ktoś po drugiej stronie barykady? Niedobrze.

- Fakt, niedobrze. Bez względu na to, kto za tą barykadą stoi.

160

Rozdział 14

osepne montrealskie niebo na chwilę pojaśniało, gdy zadzwoniła Laurel.

P

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Tak, Hal, w porządku - odrzekła, siląc się na spokój. - U cioci Jill też.

Sześćdziesiąt słoików przetworów z brzoskwiń też czuje się dobrze, nie, żeby ktoś miał je kiedykolwiek zjeść i żebyś o to pytał. - Zasłoniła ręką słuchawkę i zamieniła z kimś kilka słów. - Ciocia pyta, czy lubisz brzoskwinie.

Ambler zeszywniał.

- Co jej powiedziałaś?

O tobie? Nic. - Zniżyła głos. - Myśli, że rozmawiam ze swoim chłopakiem. „Narzeczonem”, tak powiedziała. Wyobrażasz sobie?

- I jesteś pewna, że nie zauważyłaś niczego podejrzanego? Absolutnie niczego?

- Jestem. - Powiedziała to zbyt szybko. - Na sto procent.

- W takim razie opowiedz mi o tych procentach.

- No, może tylko... Ale to chyba nic takiego. Przed chwilą dzwonił ktoś z firmy naftowej. Aktualizowali dane czy coś i zadawał mnóstwo idiotycznych pytań, wiesz, ile ciocia zużywa oleju opałowego, jakiego typu ma piec, i tak dalej, a kiedy poszłam sprawdzić, okazało się, że wszystko tu jest na gaz, a nie na olej i kiedy mu to powiedziałam, ni z tego, ni z owego odłożył

słuchawkę. To pewnie jakaś pomyłka...

- Mówił, z jakiej jest firmy?

- Chodzi ci o nazwę? - Pauza. - Nie, chyba nie.

Ambler poczuł się jak w bryle lodu. Typowa próba ustalenia tożsamości: małe, pozornie niewinne zamieszanie, telefon z firmy, wrażenie, że jednej z wielu, profesjonalnie miła rozmowa - i analizator głosu na drugim końcu linii.

Klasyczna sonda.

Przez kilka sekund milczał, nie chcąc się odzywać, dopóki się nie uspokoi.

- Laurel, kiedy to było?

- Jakies... dwadzieścia minut temu - odrzekła, powoli tracąc zimną krew.

Dwanaście warstw lakieru. Dwanaście warstw strachu.

- Posłuchaj uważnie. Musisz natychmiast wyjść z domu.

- Ale...

- Natychmiast, Laurel. - Dał jej szczegółowe wskazówki. Miała pojechać do warsztatu samochodowego, powiedzieć, że trzeba ustawić zbieżność kół

161

i wziąć od nich samochód zastępczy. Był to najtańszy i najłatwiejszy sposób zdobycia wozu trudnego do namierzenia.

Potem miała pojechać gdzieś, gdzie nigdy dotąd nie była, gdzie nikt z nikim i z niczym jej nie skojarzy.

Wysłuchiwała go i wszystko powtórzyła. Czuł, że zaczyna rozumieć sytuacją, że się uspokaja, przekładając zagrożenie na zestaw zadań do wypełnienia.

- Dobrze - powiedziała, biorąc głęboki oddech. - Ale muszę cię zobaczyć.

- To niemożliwe - odrzekł najłagodniej, jak umiał.

- Inaczej sobie nie poradzę. - Nie prosiła go. Stwierdzała fakt. - Po prostu... - Załamał jej się głos. - Po prostu nie poradzę.

- Jutro wyjeżdżam z kraju.

- W takim razie jeszcze dzisiaj. Wieczorem.

- Laurel, to nie jest dobry pomysł.

- Muszę cię zobaczyć - powtórzyła z posępną stanowczością. - Dzisiaj.

Wieczorem.

Stał w oknie na dziewiętnastym piętrze motelu niedaleko lotniska Kenne-dyego - specjalnie poprosił o pokój z widokiem na północ - śledząc ruch na Sto Czterdziestej. Widoczność była słaba. Lało jak z cebra już od godziny i jezdnie zalewała woda wypływająca z przepelnionych studzienek. W Nowym Jorku było trochę cieplej niż w Montrealu, mimo to zdecydowanie chłodno, cztery, najwyżej pięć stopni Celsjusza, a duża wilgotność powietrza jeszcze ten chłód wzmagala. Laurel miała przyjechać samochodem, a jazda w taką pogodę nie należała do najbezpieczniejszych. Mimo to perspektywa spotkania z nią bardzo podniosła go na duchu. Naprawdę zimno jest wtedy, kiedy ma się wątpliwości, czy z nią kiedykolwiek będzie cieplej. A on czuł, że tylko ona może go ogrzać.

O jedenastej zobaczył przez lornetkę, jak przed tonący w ulewie motel podjeżdża ford taurus. Podświadomie wiedział, że to ona, zanim za szybą wozu mignęły jej potargane kasztanowe włosy. Zrobiła dokładnie to, co jej kazał: zatrzymała się, odczekała chwilę, włączyła się do ruchu, dojechała do najbliższego skrzyżowania i zawróciła. Stąd, z wysoka, dobrze widział ruch pojazdów na całej ulicy. Gdyby ktoś ją śledził, na pewno by to zauważył.

Dziesięć minut później przystanęła pod betonowym zadaszeniem hotelu.

Gdy zadzwonił do niej na komórkę i potwierdził, że wszystko jest w porządku, wysiadła z samochodu z plastikową torbą, którą trzymała obiema rękami jak jakiś skarb. Kilka minut później była już na górze. Gdy tylko zamknął

drzwi, zrzuciła na podłogę zieloną kurtkę z kapturem - kompletnie przemoczoną - i położyła torbę na dywanie. Bez słowa podeszła bliżej, jeszcze bli-

żej i przytulili się do siebie, czując bicie swych serc. Przywarł do niej całym ciałem i trzymał ją, jak tonący trzyma się koła ratunkowego. Przez długą chwilę stali zupełnie nieruchomo. Potem Laurel przytknęła usta do jego ust.

Hal cofnął głowę.

- Posłuchaj, to, co się stało... Laurel, nie możesz się w to mieszać. Musisz być ostrożna. To nie jest... Nie tego pragniesz. - Mówił chaotycznie i coraz szybciej^

Patrzyła na niego bez słowa z błaganiem w oczach.

- Laurel, nie jestem pewien, czy ty i ja... czy my...

Wiedział, że silny wstrząs może wytworzyć rodzaj zależności, zniekształcić perspektywę, wypaczyć uczucia. Wciąż widziała w nim kogoś, kto ją uratował, nie akceptując tego, że to właśnie on naraził ją na niebezpieczeństwo.

Wiedział też, że rozpaczliwie chce, by ją pocieszył, podniósł na duchu, może nawet posiadał. Lecz odtrącając ją, zadałby jej wielki ból, a tego nie chciał.

Poczucie winy walczyło w nim z pożądaniem i wkrótce przegrało: upadli na łóżko, dwa nagie, splecione ze sobą ciała, giętkie, drżące, zarumienione i pełne ciepła, którego obydwójce tak bardzo łaknęli. Gdy się w końcu od siebie oderwali - zaspokojeni, bez tchu i złani potem - odszukali się ponownie dłońmi, jakby ani jedno, ani drugie nie mogło znieść myśli o rozstaniu.

Nie teraz. Jeszcze nie teraz.

- Po drodze gdzieś wstąpiłam - szepnęła po kilku minutach błędnego milczenia. Wstała i podniosła z dywanu plastikową torbę. Zobaczył jej nagą sylwetkę na tle okna i serce zabiło mu szybciej. Boże, jaka ona była piękna.

Wyjęła z torby dużą, grubą księgę.

- Co to? - spytał.

Z trudem powstrzymała uśmiech.

- Zobacz.

Zapalił lampkę. Oryginalna, krucha, nieco poszarzała ze starości folia, grube, oprawione w płótno okładki, tłoczony herb - księga absolwentów Goddard College, księga jego rocznika. Rozszerzyły mu się oczy.

- Nietknięta - powiedziała Laurel. - Nienaruszona i niezmienniona. Twoja przeszłość. W tej tutaj nie mogli grzebać.

Była w Goddard College.

- Laurel - szepnął, czując przyływ głębokiej wdzięczności i czegoś jeszcze, czegoś znacznie silniejszego. - Zrobiłaś to dla mnie.

Spojrzała na niego i dostrzegł w jej oczach wielki ból. Ból i miłość.

- Zrobiłam to dla nas obojga.

Ujął księgę obiema rękami. Była ciężka, solidnie oprawiona, miała przetrwać dziesiątki lat. A Laurel wierzyła w niego do tego stopnia, że nie zdjęła nawet folii - po prostu nie odczuwała takiej potrzeby.

Zaschło mu w ustach. Tak, znalazła sposób na przebicie się przez ten stek kłamstw, na rozwikłanie i powstrzymanie tej podstępnej maskarady. Laurel Holland. Moja Ariadna.

- Boże - szepnął zadziwiony.

- Powiedziałeś mi, gdzie chodziłeś do szkoły, powiedziałeś, kiedy ją ukoń-

czyłeś, więc zaczęłam myśleć. I wymyśliłam, że sposób, w jaki próbowali wymazać twoją przeszłość, musiał być pobieżny, żeby zmylić tych, którzy przypadkowo się tobą zainteresują. Nie mogli sięgnąć głębiej, do samego dna.

Oni. Znowu o ulotne słowo. Słowny pomost nad otchłanią niepewności.

Energicznie kiwnął głową. Mów. Mów dalej.

- Za dużo tego jest, prawda? To samo pomyślałam. To tak jakbyś tuż przed przyjściem gości przebiegł przez dom z odkurzaczem w rękę. Niby wszystko wygląda czysto i ładnie. Ale zawsze coś można znaleźć: kurz pod dywanem, karton po chińszczyźnie pod sofą. Trzeba tylko uważnie popatrzeć. Tak, mogli zmienić bazę danych w archiwum. Ale ja poszłam do biura kontaktów z absolwentami i kupiłam książkę twojego rocznika. Książkę. Prawdziwą, fizyczną rzecz. Zapłaciłam za nią sześćdziesiąt dolarów.

- Boże - szepnął ponownie Ambler ze ściśniętym gardłem. Przeciął pa-znokciem sztywną ze starości folię, usiadł i oparł się o wezgłowie łóżka.

Książka pachniała plastikowym zapachem kosztownego woluminu, tuszem, klejem i płócienną oprawą. Zaczął ją kartkować, uśmiechając się do znajomych obrazów: słynny kawał z dynią, wielka krowa, którą wprowadzili do szkolnej biblioteki; na zdjęciu wachlowała ogonem ich katalogi... Najbardziej uderzyło go to, że wszyscy byli wtedy tacy szczupli. On na pewno też.

- Budzi wspomnienia, co? - Laurel ułożyła się tuż obok niego.

Ambler przeglądał książkę z coraz mocniej bijącym sercem. W jej wadze i grubości było coś podtrzymującego na duchu. Doskonale pamiętał zdjęcie swojej szczerzej, dwudziestojednoletniej twarzy, pamiętał widniejące pod nim słowa, cytat z Margaret Mead, który, nie wiedzieć czemu, bardzo mu się wtedy podobał: „Nigdy nie wątp w to, że grupka myślących, pełnych oddania ludzi może zmienić świat. Albowiem tylko tacy ludzie świat ten wielokrotnie zmieniali”.

Otworzył na literze A i przesunął palcem po kolumnie małych, prostokątnych, czarno-białych zdjęć chłopców o gęstych włosach i dziewcząt w aparatach na zębach. ALLEN, ALGREN, AMATO, ANDERSON, ANDERSON, AZARIA. Uśmiech zgasł.

Na stronie było pięć rzędów zdjęć, po cztery zdjęcia w każdym. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, gdzie powinno być zdjęcie Harrisona Amblera.

Ale go tam nie było. Nie było tam nic. Nawet wolnego miejsca czy napisu:

„Zdjęcie niedostępne”. Było za to zdjęcie kolejnego absolwenta, którego mgliście pamiętał.

Zakręciło mu się w głowie i zrobiło niedobrze.

- Co się stało? - spytała Laurel. Spojrzała na miejsce, które wskazywał palcem i drgnęła.

- Kupiłam nie tę książkę - powiedziała. - Pomyliłam rok, tak? Boże, jaka ja jestem głupia...

- Nie - wychrypiał. - Rok jest dobry. To ze mną jest coś nie tak. - Głośno wypuścił powietrze, zamknął oczy i otworzył je, chcąc siłą woli zobaczyć coś, co przeoczył. Coś, czego tam jednak nie było.

To niemożliwe.

Z rozpaczliwym pośpiechem przesunął palcem po spisie nazwisk. ALLEN, ALGREN, AMATO, ANDERSON.

Amblera tam nie było.

Szybko przeczucił kilkanaście kartek i znalazł grupowe zdjęcie reprezentacji szkoły w wioślarstwie. Pamiętał te stroje, pamiętał stojącą w tle łódź, tę cholerną, lekko dobitą ósemkę. Ale przyjrzał się ich twarzom i swojej tam nie znalazł. Młodzi mężczyźni w szortach i żółtych podkoszulkach. Jego koledzy, dumni, pewni siebie, z wyprostowanymi ramionami i wypiętą piersią. Grupa - szybko ich policzył - dwudziestu trzech studentów. Znał ich.

Wszystkich. Ale Hala Amblera wśród nich nie było.

Jak sterowany autopilotem przeglądał księgę, szukając innych zdjęć grupowych - drużyn, zespołów, zdjęć z różnych imprez na których powinien być. Na próżno.

W uszach zabrzmiały mu słowa Ozyrysa: „Sięgnijmy po brzytwę Ockhama. Jakie jest najprostsze wytłumaczenie? Łatwiej jest zmienić czyjś umysł

niż cały świat”.

Harrison Ambler był jednym wielkim łgarstwem. Błyskotliwą wstawką.

Życiem stworzonym z luk, z tysięcy fragmentów prawdziwego świata, które wtłoczono do umysłu kogoś innego. „Stymulacja wielowarstwowa”. Sztuczne życie, które zastępuje życie prawdziwe. „Seria plastycznych epizodów, obrazów bez żadnej chronologii czasoprzestrzennej, wymieszanych z innymi obrazami”. Tablica starta i na nowo zapisana.

Wtulił głowę w ramiona oszołomiony i przerażony, że odebrano mu coś, czego już nigdy nie odzyska: tożsamość.

Laurel patrzyła na niego z zapłakaną twarzą.

- Nie dawaj im satysfakcji - powiedziała przez łzy.

- Laurel...

- Nie rób tego sobie - przerwała mu twardym jak stal głosem.

Czuł, że zapada się w sobie jak planeta zmiażdżona siłą własnej grawitacji.

Laurel objęła go i cicho spytała:

- Jak to idzie? „Jestem nikim! A ty? Też? Bądźmy nikim razem”.

- Laurel, nie mogę ci tego zrobić...

- Nie możesz zrobić tego sobie - odparła. - Bo wtedy oni wygrają. - Chwyciła go za ramiona, jakby chciała wyrwać go z odległego miejsca, do którego odpłynął, i sprowadzić z powrotem do domu. - Nie wiem, jak to powiedzieć.

To sprawa instynktu, prawda? Czasem wiemy, co jest prawdziwe, chociaż nie potrafimy tego udowodnić. W takim razie powiem ci, co jest prawdziwe we-dług mnie. Patrzę na ciebie i już nie czuję się samotna. Nawet nie wiesz, jakie to u mnie rzadkie. Kiedy jestem z tobą, czuję się bezpieczna. Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem. Wiem, bo aż za dobrze znam innych. Mój były mąż zmienił moje życie w piekło; miał sądowy zakaz zbliżania się do mnie, co guzik dało. Tych dwóch bandziorów wczoraj. Widziałam, jak na mnie patrzyli: jak na kawał mięsa. Mieli to gdzieś, czy będę żyła, czy nie. Jeden z nich powiedział, że niezła ze mnie dupa i że jak tylko mnie uśpią, chętnie mnie zerżnie.

Ten drugi na to, że on też i nikt się nie dowie. To miała być pierwsza rzecz, jaką dla mnie szykowali. Tylko że nie wzięli pod uwagę ciebie.

- Ale gdyby nie ja...

- Przestań! To tak, jakbyś mówił, że to nie ich wina. A to jest ich wina i za to zapłacą. Idź za głosem instynktu, a dowiesz się, co jest prawdziwe.

- Co jest prawdziwe... - powtórzył głucho Hal.
 - Ty jesteś prawdziwy. Zaczniemy od tego. - Przytuliła go. - Ja wierzę. Ty też musisz. Dla mnie.
- Ciepło jej ciała wzmacniało go jak pancerz. Tak, Laurel była silna. Boże, jaka ona była silna. On też musiał zapomnieć o słabości.
- Milczeli przez długą chwilę.
- Muszę lecieć do Paryża - powiedział w końcu Hal.
 - Ucieczka czy pościg? - Pytała go i jednocześnie rzucała mu wyzwanie.
 - Nie wiem. Może trochę powęszę. Muszę znaleźć wyjście z tego labiryntu.
 - Rozumiem.
 - Ale posłuchaj, musimy być przygotowani, bo może się okazać, że nie jestem tym, kim myślę. Że jestem kimś zupełnie innym. Obcym dla ciebie i dla siebie samego.
 - Przerażasz mnie - odparła spokojnie.
 - Może powinnaś być przerażona. - Wziął ją za rękę. - Może powinniśmy bać się oboje.

166

Sen długo nie nadchodził, a gdy wreszcie nadszedł, znowu nawiedziły go nieproszone obrazy z przeszłości, którą wciąż uważał za swoją.

Twarz matki, przykrywający sińce puder, ból i konsternacja w jej głosie.

- To tatuś nie odchodzi?
- A mówił, że odchodzi?
- Nie.
- W takim razie... Co w ciebie wstąpiło? Diabeł cią chyba opętał. Co ci.

przyszło do głowy?

I niewypowiedziana myśl: Czy to nie oczywiste? Czy ty tego nie widzisz?

Dla mnie jest pan genialnym magikiem. Sztukmistrem. Puf! Słoń znika ze sceny. Puf! Znika sam

sztukmistrz, cylinder, różdżka i wszystko. Do diabła, jak pan to zrobił?

Właśnie: jak?

I kolejna twarz. Ale najpierw tylko oczy, spokojne i wyrozumiałe. Oczy Wai-Chan Leunga.

„Przypowieść o pewnym chytrusie, który dawno, dawno temu otworzył

w wiosce sklepik, wystawiając na sprzedaż włócznię, która, jak twierdził, przebije wszystko, i tarczę, której nie przebije nic”-

Wrócił do Changhua, spadł w najgłębszą otchłań pamięci. Wspomnienia, które zniknęły ze świadomości, buchnęły jak gejzef z ukrytego źródła, zalały go jak fala.

Nie wiedział, dlaczego nie mógł przypomnieć sobie tego przedtem, tak jak i tego, dlaczego przypominał sobie o tym teraz. Wspomnienia cięły i paliły żywym ogniem, a ból obudził wspomnienia jeszcze wcześniejsze i jeszcze bardziej bolesne...

Bywał świadkiem rzezi, lecz patrząc na konającego Tajwańczyka, nie potrafił zachować wewnętrznego spokoju. Zamiast spokoju ogarnęła go wściekłość, największa, jaką kiedykolwiek odczuwał. Wrobiono ich, jego i jego kolegów - to było oczywiste. Dossier Wai-Chan Leunga? Stek kłamstw, setki słabych, pojedynczych nici, które razem - sprytnie ze sobą splecione -

tworzyły

mocną

nić.

„Dostrzegłeś coś, czego miałeś nie zobaczyć”.

Wieczorem tego samego dnia tajwański rząd ogłosił, że zatrzymano kilku radykalnych lewicowców odpowiedzialnych za zorganizowanie i przeprowadzenie zamachu; komórka, do której należeli, znajdowała się na oficjalnej liście organizacji terrorystycznych. Tarkwiniusz tQ komórkę znał: ot, kilkunastu wiecznych studentów, którzy rozprowadzali skserowane broszurki ma-oistyczne z lat pięćdziesiątych i przy filiżance słabej zielonej herbaty dysku-towali o mętnych doktrynach politycznych.

167

Jego koledzy wyjechali - musieli przegrupować siły przed kolejną misją -

tyczasem on przez cztery dni szalał, próbując odkryć prawdę. Bez trudu znalazł niemal wszystkie kawałki układanki. Brakowało mu czasu, więc działał szybko, tak szybko, że cały Tajwan, ośrodki władzy, pagody, kunsztownie malowane, nacinane i rzeźbione dachy świątyń, szybko rozrastające się,

gęsto zaludnione miasta pełne rynków i sklepów, to wszystko razem zlało się w niewyraźną smugę. Ale na wyspie najwięcej było ludzi, ludzi na wielkich, „rodzinnych” motocyklach, w małych samochodach i autobusach, mężczyźni żującymi betel i plującymi na chodnik czerwona papką. Rozmawiał z informatorami z tajwańskiego Ministerstwa Obrony, którzy prawie nie ukrywali radości ze śmierci Leunga.

Rozmawiał też ze stronnikami i towarzyszami partyjnymi skorumpowanych polityków, z ich sługusami i z biznesmenami, prawdziwymi władcami Tajwanu -

zdobywał informacje, udając, że z nimi sympatyzuje i czasami to wystarczało.

Ale czasami wyciągał je z nich siłą, posuwając się do brutalności, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewał. Znał takich jak oni, znał ich aż za dobrze. Nawet wtedy, gdy mówili układnymi, starannie dobranymi słowami, ich twarz zdradza-

ła wszystko. Tak, doskonale ich znał.

A teraz oni mieli poznać jego.

Trzeciego dnia pojechał do Peitou. Peitou leżało szesnaście kilometrów na północ od Tajpej i było kiedyś znanym uzdrowiskiem. Z biegiem czasu pod-upadło i stało się brudną, zapuszczoną dzielnicą czerwonych latarni. Teraz było czymś pośrednim. Za herbaciarnią i hotelem znalazł „zabytek” z dawnych lat, luksusową łaźnię. Tam, na trzecim piętrze budynku, odszukał pulchnego młodzieńca, siostrzeńca potężnego generała, który handlował narkotykami, przemycając heroinę z Birmy do Tajlandii, z Tajlandii na Tajwan, a z Tajwanu do Tokio, Honolulu i Los Angeles. Rok wcześniej pulchny siostrzeniec postanowił kandydować do parlamentu i chociaż, jako znanemu playboyowi, bliź-

szy sercu był mu koniak niż problemy polityczne przyszłego okręgu wyborczego, miejsce miał praktycznie zapewnione. I nagle dowiedział się, że Leung prowadzi rozmowy, chcąc oddać je komuś innemu. Nie przyjął tego zbyt dobrze: przeforsowawszy kandydaturę tamtego, Leung zagroziłby jego bezcennym wpływom politycznym. Co więcej, gdyby udało mu się przeprowadzić kampanię antykorupcyjną na szczeblu krajowym - lub choćby tylko zainspirować do tego kolejny rząd - jego wujowi groziła katastrofa.

Odurzony narkotykiem i zanurzony po pierś w wodzie oglądał KTV, telewizję karaoke. Ożywił się dopiero na widok kompletnie ubranego Tarkwiniusza, który podszedł do niego z wojskowym nożem o ząbkowanym, tytanowym ostrzu długości piętnastu centymetrów. Wystarczyło kilka nacięć silnie ukrwionej skóry głowy i okazało się, że pulchny młodzieniec jest całkiem 168

komunikatywny; przerażenie, w jakie wpadają ludzie, którym własna krew zalewa oczy, jest przerażeniem bardzo szczególnym.

Było tak, jak podejrzewał. „Informacje wywiadowcze” z dossier Leunga zostały spreparowane przez

jego politycznych rywali i żeby były bardziej wiarygodne, zmyślnie poprzepłatano je z prawdziwymi informacjami na temat innych, prawdziwych już złoczyńców i zbrodniarzy. Jednak do rozwiązania pozostawała zagadka znacznie większa i bardziej tajemnicza. Jakim sposobem ta prymitywna fałszywka trafiła do sieci wywiadowczej Wydziału Operacji Konsularnych? Jakim sposobem w ten groch z kapustą wmanewrowano ludzi z Oddziału Stabilizacji Politycznej?

Nie było bardziej znanej pułapki: nieprzyjaciel powiedziałby wszystko, żeby tylko sprowadzić nieszczęście na swego wroga. Ponieważ żadna ze stron tych informacji nie potwierdziła, były to tylko puste słowa. Poza tym należało oczekiwać, że ludzie zagrożeni działalnością reformatorów politycznych spróbują podważyć ich wiarygodność kłamstwami. Natomiast rzeczą zupełnie nieoczekiwaną i niewytłumaczalną było to, że na te kłamstwa dał się nabrać OSP.

Doświadczał uczuć mieszanych i niebezpiecznych. Niebezpiecznych dla innych. Czyżby dla niego też?

Obudził się jeszcze bardziej zmęczony niż przedtem i nie miało to nic wspólnego ze stłumionym rykiem samolotów lądujących i startujących z pobliskiego lotniska. Czuł, że jest - a może raczej był - bliski odkrycia czegoś złego, złowieszczego, czegoś, co otuliło jego umysł niczym poranna mgła i niczym poranna mgła szybko zniknęło. Miał zaczerwienione oczy i puls jak na kacu, chociaż wieczorem nic nie pił.

Laurel zdążyła już wstać i się ubrać; była w brązowych spodniach i błękitnej bluzce. Spojrzał na zegarek, sprawdzając, czy nie zasnął.

- Masz mnóstwo czasu - powiedziała, gdy chwiejnym krokiem ruszył do łazienki. - Nie spóźnimy się.

- My?

- Lecę z tobą.

- Nie możesz. Nie wiem, co nam grozi, ale wiem, że grozi, dlatego nie pozwolę, żebyś...

- Wiem, że może być niebezpiecznie. Dlatego cię potrzebuję. A ty potrzebujesz mnie. Pomogę ci. Będę cię ubezpieczała. Będę parą dodatkowych oczu.

- Wykluczone.

- Tak, rozumiem, jestem amatorką. Ale właśnie tego się nie spodziewają.

Poza tym ty się nie ich boisz. Ty boisz się samego siebie. A przy mnie będziesz bał się mniej.

- Jak mógłbym dalej żyć, gdyby coś ci się stało?

- Jakbym się czuła, gdyby coś stało się tobie, a ja zostałabym tutaj?

Przeszył ją spojrzeniem.

- To ja ci to zrobiłem - powiedział z tłumionym przerażeniem. - To przeze mnie. - Cały czas dręczyło go pytanie, którego jednak nie wypowiedział: Kiedy to się wreszcie skończy?

- Nie zostawiaj mnie, dobrze? - poprosiła spokojnie, lecz stanowczo.

Ukrył twarz w dłoniach. To, co proponowała, było czystym szaleństwem.

Z drugiej jednak strony, mogło uchronić go od innego szaleństwa. Miała rację: będąc w Europie, nie obroni jej przed tymi, którzy mogli czyhać na nią w Stanach.

- Jeśli coś ci się stanie... - Nie musiał kończyć.

Patrzyła na niego spokojnie i bez strachu.

- Szczoteczkę do zębów kupię na lotnisku - powiedziała.

Rozdział 15

Paryż

dy pociąg zatrzymał się na Gare du Nord, natychmiast wzmógł czuj-Gno ść, ulegając jednocześnie nostalgii. Zapach Paryża - potrafił rozpoznać każde miasto po jego charakterystycznym zapachu - cofnął go w czasie i wywołał gwałtowną falę wspomnień z dziewięciu miesięcy, jakie tu kiedyś spędził; dziewięciu miesięcy, podczas których dojrzał szybciej niż w ciągu pięciu wcześniejszych lat. Zostawił walizkę w przechowalni bagażu i wielką dworcową bramą wkroczył do Miasta Świąteł.

Żeby było bezpieczniej, podróżowali osobno. On poleciał do Brukseli jako Robert Mulvaney, posługując się dokumentami od Fentona, i stamtąd przyjechał do Paryża cogodzinnym pociągiem Thalys. Ona miała paszport, który kupił pospiesznie na Bronksie i szybko podrobił: nazwisko Lourdes Esqui-vel nie bardzo pasowało do bursztynookiej Amerykanki, lecz na dużym, ru-chliwym lotnisku dokument nie powinien wzbudzić żadnych podejrzeń. Idąc przez zatłoczony dworzec, spojrzął na zegarek. Laurel siedziała w poczekalni, tak jak się umówili. Na jego widok pojaśniały jej oczy.

Jemu zaś wezbrało serce. Była zmęczona podróżą, mimo to piękniejsza niż kiedykolwiek.

Gdy wyszli na plac Napoleona III, popatrzyła z podziwem na wspaniałą fasadę dworca i jej

korynckie kolumny.

- Tych dziewięć posągów symbolizuje główne miasta północnej Francji -

powiedział głosem typowego przewodnika. - Dworzec miał być bramą na północ, do północnej Francji, Belgii, Holandii, a nawet Skandynawii.

- Niesamowite - szepnęła. Takie słowa wypowiada się często. Jednak w jej ustach nie były tylko pustymi słowami: płynęły prosto z serca. Podziwiając znajome widoki jej oczami, Ambler patrzył na nie tak, jakby nigdy dotąd nie był w Paryżu.

Te symboliczne bramy były kwintesencją historii człowieka. Zawsze bowiem znajdowali się tacy, którzy próbowali je otworzyć. I tacy, którzy chcieli je zamknąć. On robił swego czasu i to, i to.

Godzinę później zostawił ją w swojej ulubionej kawiarni Deux Magots. Kupił

jej duże cappuccino, dał przewodnik i posadził przy oknie z widokiem na najstarszy kościół Paryża. Powiedział, że musi coś załatwić i niebawem wróci.

Równym, niespiesznym krokiem ruszył do siódmej dzielnicy. Kilka razy niespodziewanie skręcał, sprawdzając w oknach, czy nikt go nie śledzi, i son-dując wzrokiem twarze mijających go przechodniów. Nic. Nikogo podejrzanego. Miał nadzieję, że dopóki nie nawiąże kontaktu z ludźmi Fentona, nikt sienie dowie, że jest w Paryżu. W końcu dotarł do eleganckiego, dziewiętnastowiecznego budynku przy rue St. Dominique i nacisnął dzwonek.

Na drzwiach wisiała prostokątna, mosiężna tabliczka ze znakiem firmowym Grupy Usług Strategicznych. W pewnym momencie dostrzegł w niej odbicie twarzy obcego mężczyzny i poczuł się jak po zastrzyku adrenaliny.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że tym mężczyzną jest on sam.

Wyprostował się i przyjrzał drzwiom. W futrynę wbudowano kwadrat z ciemnego szkła, który przypominał ekran wyłączzonego telewizora. Wiedział, że jest to element najnowocześniejszego audiowizualnego systemu bezpieczeństwa: w silikonowej płytce zatopiono setki mikroskopijnych soczewek, które widziały wszystko pod kątem niemal stu osiemdziesięciu stopni, tworząc coś w rodzaju owadziego oka. Sygnały z poszczególnych soczewek płynęły do komputera, który łączył je w ruchomy obraz. Zasięg urządzenia i pole widzenia można było dowolnie regulować.

- *Est-ce que vous avez un rendez-vous?* Usłyszał w głośniku.

- Nazywam się Robert Mulvaney - odrzekł Ambler. Świadomość, że używa przybranego nazwiska, podniosła go na duchu. Wolał takie niż nazwisko, którego autentyczności wciąż nie był pewien.

Komputer porównał jego obraz z cyfrowym zdjęciem od Fentona, zabrę-

czał elektroniczny zamek i Ambler znalazł się w surowo urządzonej holu, 171

jakie widywało się w siedzibach niemal wszystkich instytucji. Na wysokości oczu wisiała plastikowa tablica ze znakiem firmowym SSG, powiększoną kopią znaku z mosiężnej tabliczki na drzwiach. Charles'owi, łysiejącemu osobnikowi, który na niego czekał, Ambler przedstawił listę niezbędnych dokumentów, łącznie z ważnym od roku i opatrzonym odpowiednimi stemplami paszportem na nazwisko Mary Mulvaney. Miejsce na zdjęcie miało pozostać puste i niezabezpieczone folią. Fotografii zamierzał wkleić sam.

Pół godziny później łysielec wręczył mu zgrabną walizeczkę, dyplomatkę o twardych ściankach. Ambler nie zwracał sobie głowy sprawdzaniem jej zawartości. Wiedział, że organizacja Fentona działa szybko i sprawnie. Czekał na Charles'a, przestudiował uzupełnione dossier Benoit Deschesnes'a, a w drodze powrotnej do kawiarni jeszcze raz przeanalizował wszystkie fakty.

Trzy wyraźne zdjęcia pokazywały pięćdziesięciokilkuletniego mężczyznę o wyrazistych rysach twarzy i długich, siwych, błyszczących włosach; na jednym z nich Deschesnes był w binoklach i wyglądał nieco pretensjonalnie.

Z dokumentów wynikało, że obecnie mieszka przy rue Rambuteau i jest wybitnie uzdolnionym naukowcem. Studiował fizykę jądrową w Ecole Polytechnique, na najbardziej elitarniej politechnice tego najbardziej elitarystycznego kraju i po ukończeniu studiów rozpoczął pracę w nuklearnym laboratorium badawczym CERN w Genewie. Potem, mniej więcej przed piętnastoma laty, już jako trzydziestokilkuletni teoretyk i badacz, wrócił do Francji, gdzie coraz bardziej zaczęła go interesować polityka nuklearna. Gdy zwolniło się miejsce inspektora w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej ONZ, zgłosił swoją kandydaturę i został natychmiast zaakceptowany. Bardzo szybko okazało się, że biurokratyczne rafy i mielizny nie są dla niego żadną przeszkodą; potrafił sprytnie między nimi manewrować i miał prawdziwy dar do zarządzania i dyplomacji wewnętrznej. Szybko awansował i gdy zaproponowano mu stanowisko dyrektora generalnego MAEA, zrobił wszystko, żeby zdobyć poparcie Francuzów.

Niektórzy z nich, zwłaszcza wyżsi urzędnicy francuskiego Ministerstwa Obrony, mieli pewne obawy wynikające głównie z tego, że jako student działał

w Actions des Français pour le Désarmement Nucleaire, organizacji, która żądała całkowitego zakazu produkcji i rozpowszechniania broni jądrowej.

Gdy wstąpił do MAEA, francuski minister spraw zagranicznych podał w wątpliwość „obiektywizm jego osądów”. Deschesnes najwyraźniej przetrwał tę burzę. Bez poparcia swego kraju nigdy nie otrzymałby tak wysokiego i wpływowego stanowiska.

Ogólnie uważano, że odniósł sukces. Chociaż główna siedziba agencji mieści się w Wiedeńskim Centrum Międzynarodowym przy Wagramer Strasse - pracu-172

ją tam najwyżsi i najważniejsi urzędnicy - bardzo niewielu było zaskoczonych tym, że Deschesnes

spędza pół roku w paryskim przedstawicielstwie MAEA.

Francuzi już tacy byli; wiedziała o tym cała ONZ. Często jeździł do Wiednia.

Regularnie bywał w należących do agencji laboratoriach w Seibersdorfie w Austrii i w Trieście we Włoszech. W ciągu trzech lat dyrektorowania wykazał się umiejętnością unikania niepotrzebnych konfliktów, wytrwale dbając o prestiż i wiarygodność MAEA. Autor dołączonego do akt artykułu z „Time'a” nazywał

go „Dr. Cerberem”. Twierdził, że Deschesnes nie jest „zwykłym, serożernym biurokrata”, tylko „francuskim intelektualistą o sercu równie wielkim jak umysł”, który „jako jeden z nielicznych z należytą powagą traktuje największe obecnie ogólnoświatowe zagrożenie: zagubione głowice atomowe”.

Jednak czytelnicy „Time'a” nie znali faktów. Otóż mniej więcej przed rokiem agenci CIA ustalili, że dyrektor generalny MAEA spotyka się potajemnie z pewnym Libijczykiem, atomistą i renegatem. Podczas jednego z tych spotkań zdołali nagrać fragment rozmowy, z którego wynikało, że to wysokie, eksponowane stanowisko służy Deschesnes'owi jedynie jako przykrywka bardzo dochodowej działalności ubocznej i że on pomaga zdobywać broń jądrową krajom tej broni nieposiadającym. Jego oficjalna praca była zatem fikcją.

Ale jego antyamerykańskie wystąpienia z lat studenckich fikcją nie były.

Fenton powiedział Amblerowi, że źródłem tych informacji jest wyższy urzędnik amerykańskiego wywiadu. I rzeczywiście, wskazywał na to styl raportu, charakterystyczne zwroty, ostrożne określenia, pokrętne sformułowania. Zebrane materiały nigdy nie „dowodziły”, że wniosek jest poprawny.

Nie, materiały te „wywoływały obawę”, „zdawały się potwierdzać” lub też

„wzmacniały tezę”. Ale Fenton zupełnie się tym nie przejmował. CIA, ta niewolnica legalistycznej kultury Waszyngtonu, nie była obrończynią kraju.

I właśnie tu na arenę wydarzeń wkraczał on. Robił dla ojczyzny to, czego jej oficjalni protektorzy zrobić nie mogli.

Trzy kwadransy później Ambler wszedł do Deux Magots. Ponieważ na kolację było jeszcze za wcześnie i nie wydawano posiłków, w ciepłej sali pachniało kawą i dymem papierosowym. Laurel wyraźnie odetchnęła z ulgą na jego widok. Posłała mu uśmiech i przywołała kelnera. Hal usiadł, postawił dyplomatkę obok krzesła i wziął ją za rękę.

Powiedział, że musi zająć się przygotowaniem dokumentów, ale zafolowanie jej zdjęcia w paszporcie zajmie tylko kilka minut.

- A wtedy, już jako państwo Mulvaney, będziemy mogli zachowywać się jak prawdziwe małżeństwo.

- Tu? We Francji? - odparła. - Czy to nie znaczy przypadkiem, że bę-

dziesz musiał znaleźć sobie kochankę?

- Czasem nawet we Francji kochanką bywa żona.

Gdy szli w stronę taksówek na rogu ulicy, ogarnęło go niejasne wrażenie, że ktoś ich śledzi. Gwałtownie skręcił w boczną uliczkę; Laurel bez słowa poszła za nim. Obecność czujki nie była w sumie powodem do niepokoju: ludzie Fentona chcieli po prostu mieć pewność, że Ambler ponownie nie zniknie. Kilka zaułków i pięć minut później stwierdził, że drugą stroną ulicy idzie za nimi postawny mężczyzna.

Zauważył go, wiedział, że tam jest, jednak cały czas coś nie dawało mu spokoju. Tylko co? Wreszcie na to wpadł: facet za bardzo rzucał się w oczy.

Zapomniał o utrzymywaniu odpowiedniej odległości od śledzonego obiektu, co więcej, wyglądał na typowego Amerykanina: był w ciemnym garniturze od Braci Brooks i krawacie w wąziutkie paseczki - wypisz, wymaluj członek rady miejskiej z jakiegoś zadupia. Po prostu chciał, żeby Hal go zauważył.

Co oznaczało, że tak naprawdę śledzi ich ktoś inny. Znalezienie tej osoby trwało trochę dłużej. Była to stylowa brunetka w palcie za kolana. Nie było sensu ich gubić. Zresztą Ambler chciał, żeby ludzie Fentona wiedzieli, co robi i jakie ma plany. Posunął się nawet do tego, że w siedzibie SSG ostentacyjnie zadzwonił do hotelu Debord, żeby potwierdzić rezerwację.

W końcu złapali taksówkę, odebrali z dworca bagaże, zameldowali się w hotelu i znaleźli w pokoju na drugim piętrze.

Hotel był chyba zawilgocony, bo wykładziny zalatywały pleśnią. Ale Laurel nie narzekała. Chciała się od razu rozpakować, lecz Hal ją powstrzymał.

Otworzył dyplomatkę od Charles'a, który Charles'em na pewno nie był.

W wytłoczonych w sztywnej czarnej piance przegródkach tkwiły części snajperki TL 7 ze składaną kolbą, ulubionej broni strzelców wyborowych z CIA.

Był tam również glock 26 kaliber 9 mm. Dokumenty, o które prosił, znalazł

w bocznej kieszeni.

Ale to, czego szukał, starannie ukryto i wiedział, że poszukiwania trochę po-trwają. Najpierw dokładnie sprawdził zewnętrzne ścianki walizeczki, upewniając się, czy nie ma tam zbędnych ozdób. Potem wyjął z niej piankę i czubkami palców zbadał każdy centymetr kwadratowy wykładziny. Nie wykrył niczego niezwykłego. Postukał paznokciami w uchwyt, uważnie obejrzał górne szwy, w końcu zajął się pianką. Długo uciskał ją palcami, wreszcie wyczuł małe wybrzuszenie. Wsunął ostrze noża między dwie warstwy pianki, rozchylił je i wreszcie znalazł to, czego szukał: mały, błyszczący przedmiot przypominający zawiniętą w folię drażetkę. Miniaturowy nadajnik GPS, który na

specjalnej czę-

stotliwości radiowej wysyłał regularny sygnał umożliwiający jego namierzenie.

Zdumiona Laurel wytrzeszczyła oczy, tymczasem on już rozglądał się po pokoju. Pod oknem stała mała sofa w kwiatki z podnoszonym siedziskiem 174

nad drewnianymi nogami w kształcie lwich łap. Ambler podniósł je i ukrył

pod nim nadajnik. Sądząc po leżących na płóciennej osłonie monetach i pa-pierkach, nikt nie zaglądał tam co najmniej od roku; wątpił, żeby w ciągu tego sytuacja uległa zmianie.

Wziął dyplomatkę i gestem ręki kazał Laurel zabrać torbę. Bez słowa wyszli z pokoju. Minęli windy, skręcili za róg korytarza i wsiedli do wielkiej windy towarowej, gdzie zamiast wykładziny na podłodze lśniła chropowata stal. Wysiedli na parterze, w korytarzu prowadzącym do rampy rozładunkowej, o tej godzinie zupełnie pustej. Hal otworzył szerokie stalowe drzwi i zbie-gli rampą na dół. Ulica była kilkadziesiąt metrów dalej.

Kilka minut później siedzieli już w taksówce, jadąc do hotelu Beaubourg przy rue Simon le Franc, niedaleko Centrum Pompidou. Był to idealny hotel dla amerykańskich turystów interesujących się sztuką nowoczesną; poza tym mieścił się zaledwie kilka kroków od mieszkania Benoit Deschesnes'a. I tutaj bez kłopotów dostali pokój - był styczeń i tutaj Hal zapłacił pieniędzmi leśnego olbrzyma; miał wprowadzić kartę kredytową nazwisko Robert Mulvaney, ale zamiast jej użyć, równie dobrze mógłby wejść na dach najbliższego domu i wystrzelić flarę sygnalizacyjną. Hotel nie należał do najlepszych.

Nie było restauracji, tylko mała sala śniadaniowa w suterenie. Za to pokój miał piękny sufit z dębowych belek i wygodną łazienkę z dużą wanną na wielkich lwich łapach. Dawał poczucie bezpieczeństwa i anonimowości.

Widział, że Laurel czuje się tu podobnie.

Przerwała milczenie pierwsza.

- Chciałam cię zapytać, o co chodzi. Ale chyba już wiem.

- Miejmy nadzieję, że to tylko niepotrzebna ostrożność.

- Mam wrażenie, że nie mówisz mi o wielu rzeczach. I chyba powinnam się z tego cieszyć.

Rozpakowali się i rozgościli w niekrępującej ciszy. Mieli za sobą długi dzień, mimo to Laurel chciała pójść na kolację. Gdy się kąpała, Hal włą-

czył hotelowe żelazko, wkleił do paszportu jej zdjęcie i starannie je zafoliował. Amerykańskie paszporty były trudne do podrobienia głównie ze względu na materiały, z jakich je robiono: papier,

folię i metalowy pasek z hologramem. Materiały te były ściśle kontrolowane, co oznaczało, że Fenton dysponuje nimi dzięki uprzejmości swoich rządowych współpracowników.

Laurel wyszła z łazienki, wstydliwie okrywając się ręcznikiem. Pocałował ją lekko w policzek.

- Zjemy kolację i pójdziemy wcześniej spać. Śniadanie zjemy w kafejce za rogiem. Człowiek, którego szukam, mieszka kilka ulic dalej.

175

Spojrzała na niego, jakby chciała o coś spytać. O coś bardzo dla niej ważnego. Zachęcił ją spojrzeniem.

- No? Wal. Wszystko, bylebyś tylko nie miała tej zmartwionej miny.

- Zabijałeś ludzi, prawda? To znaczy, kiedy pracowałeś dla rządu.

Kiwnął głową. Jego twarz była kamienną maską.

- Czy to... trudne?

Czy trudno jest zabić człowieka? Nie takie pytanie zadawał sobie od lat.

Ale za to od lat dręczyły go pytania pokrewne. Ile go to kosztowało? Ile zapłacił za to właśnie duszą?

- Nie wiem, jak na to odpowiedzieć - odparł cicho.

Laurel zawstydzila się i zmieszala.

- Przepraszam. Ale miałam do czynienia z pacjentami, których urazy psychiczne wynikały stąd, że zadawali ból innym. Nie robili wrażenia mięczaków. Przed przyjęciem do pracy większość z nich musiała przejść długo-trwały trening psychologiczny. Tymczasem byli jak porcelanowa filiżanka z cieniutkim jak włos pęknięciem. Nie widać go, dopóki filiżanka nagle się nie rozleci.

- To tym był ośrodek na wyspie Parrish? Pudełkiem pełnym popękanych, porcelanowych żołnierzyków?

Odpowiedziała dopiero po chwili:

- Czasami takie miałam wrażenie.

^ I ja byłem jednym z nich?

- Pytasz, czy byłeś... pęknięty? Nie. Może raczej posiniaczony. Jakby ktoś próbował cię bezskutecznie zmiażdżyć. Trudno opisać to słowami. - Spojrzała mu w oczy. - Ale kiedyś musiałeś robić rzeczy... trudne. Prawda?

- W Wydziale Operacji Konsularnych miałem instruktora, który mówił, że są dwa światy - zaczął powoli Ambler. - Świat nasz, agentów. Świat morderstw i najpotworniejszego chaosu, jaki można sobie wyobrazić. Jest to również świat nudy, wlokącego się tygodniami czekania, planowania, żmudnego analizowania możliwości, których przeanalizować się do końca nie da, zastawiania pułapek, które nigdy nie działają. Tak, jest to świat prawdziwej, namacalnej brutalności. Brutalności niby codziennej, lecz bardzo prawdziwej.

- To takie... bezduszne - powiedziała łamiącym się głosem Laurel. - Takie zimne.

- Ale jest też inny świat. Normalny, codzienny. Świat, gdzie ludzie wstają rano, uczciwie pracują, marzą o awansie, kupują urodzinowe prezenty dla syna i zmieniają plany, żeby zapłacić taniej za rozmowę międzymiastową z córką w college'u. Świat, w którym wachasz owoce w sklepie, żeby sprawdzić, czy są dojrzałe, w którym szukasz przepisu na ciasto, które jadłeś w ka-176

wiarni, w którym nie chcesz spóźnić się na pierwszą komunię wnuczki. -

Zrobił pauzę. - Rzecz w tym, że światy te czasem na siebie zachodzą. Powiedzmy, że ktoś chce sprzedać jakiemuś państwu technologię, którą można wykorzystać do zgładzenia setek tysięcy, może nawet milionów ludzi. Bezpieczeństwo tego normalnego świata, ich świata, zależy od tego, czy mu się uda. A to pociąga za sobą konieczność zastosowania środków nadzwyczajnych.

- Środków nadzwyczajnych... - powtórzyła Laurel. - Mówisz tak, jakby to było jakieś lekarstwo.

- Bo może i jest. W sumie bardziej przypomina to leczenie niż pracę policjanta. W mojej dawnej firmie obowiązywała prosta zasada: jeśli będziemy pracowali jak policja, stracimy teren, którego stracić nie możemy. Przegramy wojnę. A wojna trwała nieustannie. W podziemiach każdego wielkiego miasta - w Moskwie, Istambule, Teheranie, Seulu, Paryżu, Londynie i w Pekinie - w każdej minucie toczyła się bitwa. Dlatego żeby wszystko było tak, jak być powinno, żeby ludzie tacy jak ty mogli normalnie żyć i pracować, ludzie tacy jak ja muszą pilnować, żeby bitwa ta nie przeniosła się na powierzchnię. - Ambler zamilkł.

Tyle pytań wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Na wiele z nich nigdy nie znajdzie odpowiedzi. Czy Benoit Deschesnes prowadził jakąś wojnę? Czy mógł go zabić? Czy powinien? Jeśli wierzyć informacjom Fentona, zdradził

nie tylko swój kraj, nie tylko ONZ, ale i wszystkich tych, których życiu może zagrozić kilku nędznych dyktatorów z głowicą atomową w ręku.

- A jeśli tego nie dopilnują? - spytała Laurel. Jeśli coś zawałną?

- Wtedy ta wielka gra staje się po prostu zwykłą grą, tyle tylko, że gra się w nią ludzkim życiem.

- Ty wciąż w to wierzysz, prawda? - drażyła Laurel.

- Już nie wiem, w co wierzę - odparł. - Czuję się teraz jak zwierzak z kre-skówki, który zawisł w powietrzu tuż za krawędzią skały i szybko przebiera nogami, żeby nie spaść w przepaść.

- Jesteś zły i zagubiony.

Kiwnął głową.

- Ja też - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. - Ale odkryłam w sobie coś jeszcze: poczucie celu. Chociaż absolutnie nic z tego nie rozumiem, pierwszy raz w życiu wszystko ma sens. Coś się stłukło, więc trzeba to naprawić i jeśli my tego nie zrobimy, nie zrobi tego nikt. - Urwała. - Nie słuchaj mnie. Nie wiem nawet, co mówię.

- A ja nie wiem nawet, kim jestem. Dobrana z nas para.

Spojrzeli sobie w oczy i lekko się do siebie uśmiechnęli.

177

- No więc przebieraj tymi nogami - powiedziała. - Przebieraj. I nie patrz w dół. Patrz przed siebie. Nie przyjechałeś tu bez powodu. Nie zapominaj o tym.

Nie bez powodu, pomyślał. Boże, oby to była prawda.

Postanowili zaczerpnąć świeżego powietrza i poszli na plac przed Centrum Pompidou. Laurel była zachwycona widokiem tego wielkiego, szklanego potwora z wnętrzościami na wierzchu. Gdy szli w stronę gmachu, mijając po drodze uciekających z zimna ludzi, miała już lepszy humor.

- Z tymi wszystkimi kolorowymi rurami i przewodami wygląda jak olbrzymie, świetliste pudło - powiedziała. - Jak zabawka wielkoluda. Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałam. Obejdźmy je, dobrze?

- Chętnie. - Hal cieszył się jej radością. Był też zadowolony, że ma okazję w wielkich, bezkresnych oknach gmachu poszukać sylwetki mężczyzny w garniturze od Braci Brooks i stylowej brunetki w palcie za kolana. Ale nie, tym razem nikt za nimi nie szedł. Wewnętrzny dzwonek alarmowy odezwał się w nim tylko wtedy, gdy w szybie mignęło ulotne odbicie krótkowłosego męż-

czyzny o przystojnej, lecz niemal okrutnej twarzy i badawczych oczach.

Oczach, które szukały czegoś zbyt intensywnie, desperacko i rozpaczliwie.

W końcu zdał sobie sprawę, że widzi samego siebie, lecz świadomość ta nie podniosła go na duchu.

Nazajutrz rano o wpół do ósmej powitali recepcjonistę wesołym *bonjour*.

Próbował namówić ich na śniadanie w suterenie, lecz Ambler odmówił -

chcieli zjeść *un vraipetit dejeuner americain*. Poszli do kawiarenki na rogu rue Rambuteau, którą namierzył poprzedniego dnia. Gdy usiedli przy stoliku z widokiem na ulicę, Hal sprawdził, czy na pewno zobaczy stąd wejście do budynku numer 120. A potem zaczęli obserwację.

Spali dobrze. Laurel była wypoczęta, ożywiona i gotowa na to, co ich czekało.

Zamówili obfite śniadanie. Croissanty, po dwa jajka w koszulkach, sok pomarańczowy, kawę. Ambler wyszedł, żeby kupić „International Herald Tribune” w pobliskim kiosku.

- To może trochę potrwać - powiedział po powrocie. - Nie ma się co spieszyć.

Laurel kiwnęła głową i położyła gazetę na stoliku.

- Wiadomości ze świata - powiedziała. - Zastanawiam się tylko, z które-go. Z którego z tych dwóch.

Zerknął na nagłówki. Przemówienia biznesmenów i przywódców politycznych na dorocznym Światowym Forum Ekonomicznym w Davos w Szwajcarii. Dokładne analizy ich próśb, żądań i programów politycznych. Strajk i 78

w zakładach Fiata i załamanie produkcji w Turynie. Eksplozja bomby podczas religijnego festiwalu w Kaszmirze; winą obarczano hinduskich ekstremistów. Zerwanie rozmów na Cyprze.

Same nowiny, pomyślał zjadliwie. Same nowiny.

Nie musieli długo czekać. O ósmej z domu naprzeciwko wyszedł Deschesnes. Przystanął na chodniku z dyplomatką w ręku, rozejrzał się i wsiadł

do czarnej limuzyny, która po niego przyjechała.

Od okna kawiarni odbijały się oślepiające promienie słońca i niewidoczny w ich blasku Hal mógł dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Ale niczego z niej nie wyczytał.

-- Przepraszam cię, kochanie - powiedział głośno. - Chyba zostawiłem przewodnik w hotelu. Jedz śniadanie, zaraz wrócę.

Laurel, która nie widziała zdjęć Deschesnes'a, była zaskoczona, ale tylko przez chwilę. Uśmiechnęła się promiennie i odrzekła:

- Dziękuję, kochanie, jesteś słodki.

Zareagowała tak, jakby się dobrze bawiła, pomyślał Ambler. Podał jej listę ubrań, które miała kupić,

i wyszedł.

Dwie minuty później był już na stacji metra Ranibuteau. Deschesnes wybierał się prawdopodobnie do biura - nic w jego twarzy nie wskazywało, żeby tego dnia miało wydarzyć się coś niezwykłego - dlatego Hal złapał

pociąg do Ecole Militaire. Wsiadł w pobliżu przedstawicielstwa MAEA mieszczącego się w wielkim, posępnym gmachu na Place de Fontenoy, ulicy odchodzącej łukiem od Avenue de Lowendal, naprzeciwko wieży Eiffła strzelającej w niebo na drugim końcu Parc du Champ de Mars. Okolica była ma-lownicza, w przeciwieństwie do samego gmachu. Otoczony żelaznym ogrodzeniem - zgodnie z zaleceniami UNESCO i odpychająco modernistyczny, był konstrukcją ze stalowych belek, kamienia i szkła, która zamiast przyjaź-

nie witać, skutecznie odstraszała.

Ambler zmienił się w obserwatora ptaków: siedział na Square Combronne z małą lornetką w rękę, od czasu do czasu karmiąc gołębnie okruchami ciastka, które kupił od ulicznego sprzedawcy. Na pozór rozleniwiony i trochę roztar-gniony, widział każdego, kto wychodził z gmachu przy Place de Fontenoy 7.

O pierwszej wyszedł stamtąd Deschesnes. Miał zdecydowany wyraz twarzy. Szedł na lunch do pobliskiej restauracji? Nie, zszedł do metra: osobliwy ruch jak na dyrektora generalnego potężnej międzynarodowej agencji. Ambler sądził, że należy on do tych, którym zawsze ktoś towarzyszy - zagraniczni dygnitarze, pracownicy czy chcący z nim porozmawiać koledzy - i któ-

rzy zawsze podróżują z klasą. Ostatecznie, był osobistością. Kiedy ktoś taki znika w podziemiach metra, pachnie to podstępni.

179

Tymczasem rano z jego twarzy nie można było wyczytać nic, co wskazywałoby, że Deschesnes przeżywa jakiś szczególny stres, że dręczy go myśl o ryzykownym spotkaniu.

Pojechał za nim aż do Boucicaut. Tam Deschesnes wysiadł, wyszedł na ulicę i na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo, w cichy, spokojny za-ułek z klasycznymi, paryskimi domkami. W połowie zaułka przystanął przed jednym z nich, wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Dom był starszą wersją paryskiego *cinq a sept* i wszystko wskazywało na to, że wyprawa Deschesnes'a jest z jednej strony wybiegiem, z drugiej czymś rutynowym: dyrektor miał romans, prawdopodobnie od bardzo dawna, i przyjechał tu na schadzkę. Ambler wyjął lornetkę i obejrzał okna szarego, znisz-czonego domu. Refleks światła w oknie na trzecim piętrze: to tam. Zerknął na zegarek. Dwadzieścia po pierwszej. Po chwili zobaczył cień Deschesnes'a na nierównie

zaciągniętej zasłonie. Był sam, jego kochanka jeszcze nie przyszła. Może miała się zjawić o wpół do drugiej, a Deschesnes przyjechał wcześ-

niej, żeby się przedtem odświeżyć? Za dużo tych może. Hal potrząsnął głową. Instykt podszeptował mu, żeby wkroczyć do akcji już teraz. Poprawił

pistolet. Mały glock 26, niewidoczny pod paltem, tkwił w wygodnej kaburze. Na rogu ulicy była kwiaciarnia. Kilka minut później Ambler zadzwonił

do drzwi z eleganckim bukietem kwiatów w ręku.

- *Oui?* - Głośnik domofonu syczał i trzeszczał, mimo to w głosie Deschesnes[^] słuchać było nutkę podejrzliwej czujności.

- *Liwaison.*

- *De quoil* - spytał Deschesnes.

- *Des fleurs.*

- *De quP.*

- *J'ai Monsieur* - odparł Ambler beznamiętnym, znudzonym głosem; *des fleurs pour M. Benoit Deschesnes. Si vous n'en voulez pas...*

- *Non, non.* - Zadzwieczyła zamek. - *Troisieme etage. A droite.*

Ambler wszedł.

Nieodnawiane od dziesięcioleci schody, wytarte twardymi podeszwami butów, pęknięta w dwóch miejscach poręcz - dom był bardzo zaniedbany. Hal przypuszczał, że Deschesnes i jego kochanka chętnie zamieszkaliby gdzie indziej, ale mieszkanie musiało być względnie tanie, aby koszty jego utrzymania nie obciążały zbytnio domowego budżetu.

Gdy Deschesnes uchylił drzwi, zobaczył mężczyznę w porządnym, zimowym palcie z bukietem kwiatów w lewej ręce. Nie wyglądał na posłańca, miał za to miły, szczerzy uśmiech. Francuz otworzył drzwi szerzej, żeby odebrać kwiaty.

180

Ambler upuścił bukiet i zablokował je nogą. W prawej ręce trzymał pistolet, mierząc w brzuch Deschesnes'a.

Francuz krzyknął, cofnął się i spróbował zatrzasać ciężkie, drewniane drzwi, lecz w tej samej chwili Hal skoczył do przodu i grzmotnął w nie ramieniem.

Siła uderzenia odrzuciła Deschesnes'a kilka kroków do tyłu. Dyrektor gwał-

townie pobladł i rozejrzał się rozpaczliwie w postukiwaniu jakieś broni czy osłony. Ambler zamknął drzwi, założył łańcuch j trzasnął zasuwą. Nikt im teraz nie przeszkodzi.

Ruszył w stronę Deschesnes'a, zmuszając go do wejścia do pokoju.

- Bądź cicho albo tego użyję - powiedział po angielsku. Musiał go zastra-szyć, musiał go przekonać, że ma nad nim całkowitą władzę.

Tak jak przypuszczał, Francuz był sam. Przez duże okno naprzeciwko drzwi wpadały do środka promienie zimowego słońca i skąpo umeblowany pokój tonął w srebrzystym blasku. Półka, kilka książek, stolik do kawy, gazety, czasopisma, jakiś maszynopis - nie było tam nic więcej. Niemal całe pomieszczenie było doskonale widoczne z ulicy i to, co umożliwiło mu przedtem wygodną obserwację, stawiało go teraz w bardzo niekorzystnym położeniu.

- Gdzie sypialnia? - spytał.

Deschesnes ruchem głowy wskazał drzwi po lewej stronie. Ambler skierował go tam i rozejrzał się wokoło.

- Jesteś sam?

Deschesnes kiwnął głową. Mówił prawdę.

Był rosły i postawny, lecz słaby fizycznie i zbyt gruby; pewnie z braku ćwiczeń i z nadmiaru obfitych posiłków w drogich restauracjach. Z dossier Fentona wynikało, że jest uosobieniem zła. „Zajmij się Deschesnes'em i uznamy cię za swego. Wtedy porozmawiamy". Jeśli wszystkie te informacje były prawdziwe, dygnitarz zasługiwał na śmierć i zabijając go, Ambler mógłby spenetrować ośrodek decyzyjny imperium Fentema. Znaleźć to, czego szukał. Dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Lub kim nie jest.

Żaluzje były podniesione, więc opuścił je, trzymając Deschesnes'a na muszce.

Potem przysiadł na oparciu sofy pod oknem, gdzie walały się jakieś ubrania.

Siadaj. - Wskazał mu łóżko.

Francuz usiadł i powoli wyjął z kieszeni portfel.

Ambler intensywnie mu się przyglądał.

- Schowaj to - rzucił.

Wystraszony i skonsternowany Deschesnes zamarł.

- Podobno dobrze znasz angielski, ale jeśli czegoś; nie rozumiesz, od razu mów.

- Po co pan tu przyszedł? - To były jego pierwsze słowa.

- Czyżbyś myślał, że ten dzień nigdy nie nadejdzie? - spytał cicho Ambler.

- Rozumiem... - szepnął Deschesnes. Miał smutną minę i zapadł się w sobie jak nadmuchiwana lalka, z której uszło całe powietrze. - Gilbert, tak? To zabawne, ale zawsze myślałem, że jest pan Francuzem. Amerykanin? Joelle nigdy mi nie mówiła. Nie, żebyśmy o panu rozmawiali. Wiem, że ona pana kocha, że zawsze kochała. Nigdy tego nie ukrywała. Ale to, co jest między nami... To nic poważnego. Nie oczekuję, że pan jej wybaczy, chcę tylko powiedzieć, że...

- Monsieur Deschesnes - przerwał mu Ambler. - Nie chodzi o Joelle. To nie ma nic wspólnego z pańskim życiem prywatnym.

- W takim razie...

- Chodzi o pańskie życie zawodowe. To potajemne. O te *liaisons dange-reuses*. O pańskie związki z tymi, którym bardzo zależy na broni jądrowej.

Którym tak *bardzo* pan sprzyja.

Na twarzy Deschesnes'a pojawił się wyraz konsternacji i oszołomienia.

Jeśli udawał, musiał być świetnym aktorem. A może słabo znał angielski?

Mówił bardzo płynnie, ale może miał kłopoty ze zrozumieniem.

- *Je voudrais connaitre votre role dans la proliferation nucleaire* - przetłumaczył Ambler, starannie wymawiając słowa.

Deschesnes odpowiedział po angielsku:

- Moja działalność na tym polu jest powszechnie znana. Przez całe życie występowałem przeciwko rozpowszechnianiu broni jądrowej... - Nagle zamilkł

i podejrzliwie zmarszczył brwi. - Jakiś bandzior celuje do mnie z pistoletu, a ja mam opowiadać o mojej pracy? Kto pana przysłał? O co tu, na Boga, chodzi?

- Powiedzmy, że o krótki wywiad. Niech pan mówi na temat, bo już nigdy nie wypowie pan ani słowa. Żadnych sztuczek. Żadnych spekulacji.

Deschesnes zmrużył oczy.

- Nasłali pana ci z Actions des Francais? Czy wy naprawdę nie rozumiecie, że przyniesie to skutki

odwrotne do zamierzonych? Zachowujecie się tak, jakbym był waszym wrogiem.

- Na temat, proszę - warknął Ambler. - Na wiosnę spotkał się pan w Genewie z doktorem Abdullahem Alamoundi. Niech pan mi o tym opowie.

Kompletnie zaskoczony Deschesnes długo milczał.

- O czym pan mówi?

- To ja zadaję pytania. Nie wie pan, kto to jest? Niech pan nie udaje.

- Oczywiście, że wiem odparł Francuz z urażoną dumą. - Libijski fizyk, który jest na naszej czarnej liście. Uważamy, że uczestniczy w tajnym programie badań nuklearnych prowadzonym przez niektóre kraje arabskie.

182

- W takim razie po co dyrektor generalny Międzynarodowej Agencji Ener -
gii Atomowej miałby się z kimś takim spotykać?

- Właśnie, po co? - prychnął Deschesnes. - Prawdopodobieństwo tego, że się z nim kiedykolwiek spotkam, jest takie samo jak prawdopodobieństwo tego, że mysz zacznie bawić się z kotem.

Ambler nie wyczuł w tych słowach kłamstwa.

- A więc jak wyjaśni pan to, że w zeszłym roku pojechał pan do Harare?

- Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Nareszcie coś...

- Nie potrafię, bo nigdy tam nie byłem.

Ambler przyjrzał mu się uważnie.

- Nigdy?

- Nigdy - powtórzył stanowczo Deschesnes. - Skąd pan ma te informacje? Kto naopowiadał panu tych bzdur? Chciałbym to wiedzieć. Ci z Actions des Francais, tak? - Zrobił przebiegłą minę. - Kiedyś odgrywali bardzo po-

żyteczną rolę. A teraz uważają mnie za sprzedawczyka. Wątpią we wszystko, co widzą i słyszą. Gdyby naprawdę chcieli pognać moje poglądy, kupili-by gazetę albo włączyli radio,

- Słowa nie zawsze jokrują się z czynami.

- *Exactement* odparł Deschesnes. - Niech pan powie swoim przyjacio-

łom z Actions, że zrobiliby więcej dobrego, gdyby wywarli większy nacisk na naszych urzędników.

- Nie mam nic wspólnego z Actions des Francais, dyrektorze - powiedział Ambler.

Deschesnes spojrzał na pistolet w jego rękę.

- Nie - odrzekł po chwili. - Oczywiście, że nie. Te ksenofoby nigdy w życiu nie powierzyłyby takiego zadania Amerykaninowi. W takim razie skąd pan jest? Z CIA? To by wszystko tłumaczyło, bo mają fatalny wywiad. -

Ambler widział, że oburzenie walczy w nim z chęcią uspokojenia napastnika, który wciąż trzymał go na muszce. Wygrały oburzenie i gadatliwość. -

Może powinien pan przekazać swoim chlebodawcom coś bezpośrednio ode mnie. Niech zajrzą do akt i choć raz porządnie je zweryfikują. Bo prawda jest taka, że największe kraje zachodnie dopuszczają się zbrodniczego zanie-dbania, ignorując największe zagrożenie, jakie przed nami stoi. Ameryka nie jest tu wyjątkiem, wprost przeciwnie: jest głównym winowajcą.

- Nie przypominam sobie, żeby przemawiał pan tak otwarcie i szczerze w ONZ - dociął mu Ambler.

- W moich raportach są suche fakty. Przemawianie pozostawiam innym.

A fakty są hańbiące. Korea Północna ma dość plutonu, żeby wyprodukować 183

kilkaście głowic nuklearnych. Iran też. W ponad dwudziestu innych krajach są tak zwane reaktory badawcze pełne wzbogaconego uranu, który świetnie nadaje się do produkcji bomb. A bomby i głowice, które już istnieją, przechowuje się w warunkach tak absurdalnych, że aż śmiesznych.

Jedwabna bluzka w de la Samaritaine jest lepiej zabezpieczona przed kradzieżą niż rosyjskie głowice jądrowe. To jest moralna nieprzyzwoitość.

Świat powinien być przerażony, tymczasem wszyscy mają to gdzieś! -

Deschesnes oddychał coraz szybciej i głośnie. Zapomniałszy o strachu i konsternacji, dawał upust złości, która była siłą napędową jego kariery zawodowej.

Ambler był wstrząśnięty. Nie wątpił już w jego szczerść - musiałby wtedy zwątpić w to, co widział i czuł.

Ktoś go wrobił. Ktoś wrobił Deschesnes'a.

Ale jakim cudem? Fenton nie miał najmniejszych wątpliwości co do wiarygodności materiałów wywiadowczych z jego akt. W takim razie jak wysoko - lub jak nisko - to wszystko sięgało? I jaki był tego powód?

Kto i dlaczego - Hal musiał się tego dowiedzieć. A Francuz nie mógł mu w tym pomóc.

Podszedł do okna, odchylił żaluzje i zobaczył drobną brunetkę, która zmierzała do drzwi domu. Pewnie Joelle.

- Czy w mieszkaniu na górze ktoś jest? - spytał.

- Wszyscy sąsiedzi pracują - odparł Deschesnes. - Wracają dopiero po szóstej. Ale co z tego? I tak nie mam klucza. A Joelle...

- Boję się, że jeszcze nie skończyliśmy rozmowy, a wolałbym jej w to nie mieszać. Dlatego zechce pan...

Deschesnes pobladł i kiwnął głową.

Z pistoletem w ręku Hal wszedł za nim na czwarte piętro. Drzwi były rzeczywiście zamknięte, co nie stanowiło jednak żadnego problemu; wystarczyło spojrzeć na zdezelowaną klamkę, słaby zamek i zmurszałą futrynę. Ambler podszedł bliżej i uderzył w nie biodrem. Cichy trzask, kilka drzazg i drzwi stanęły otworem. Joelle była już na półpiętrze. Na pewno będzie zaskoczona nieobecnością kochanka, ale cóż. Niech tłumaczy się przed nią Deschesnes.

Mieszkanie wyglądało tak, jakby nikt w nim nie mieszkał. Owalny, jutowy dywan, kilka mebli, których nie udałoby się sprzedać nawet na pchlim targu, i to wszystko.

Usiedli. Ambler kazał mu mówić przyciszonym głosem.

- Załóżmy, że rzeczywiście przekazano mi fałszywe informacje. Że ma pan wrogów, którzy chcą pana zrobić. Wynika z tego oczywiste pytanie: dlaczego?

184

- Dla mnie oczywistym pytaniem jest to, dlaczego, do diabła, nie zniknie pan z mojego życia - odparł Francuz z zimną furią, uznawszy, że nie grozi mu już bezpośrednie niebezpieczeństwo. - I dlaczego ciągle wymachuje pan tym pistoletem? Chce pan wiedzieć, kim są moi wrogowie? Spójrz w lustro, amerykański kowboju! To ty jesteś moim wrogiem.

- Dobrze, odłożę broń - odrzekł Ambler, chowając glocka do kabury. -

Ale nie będzie pan przez to bezpieczniejszy.

- Nie rozumiem.

- Mój pracodawca zatrudnia wielu takich jak ja,

Deschesnes lekko się wzdrygnął.

- A pańskim pracodawcą jest...

- To nieważne. Ważne jest to, że ktoś przekonał wysokich i bardzo wpływowych urzędników państwowych, że stanowi pan poważne zagrożenie bezpieczeństwa międzynarodowego. Ciekawe dlaczego.

Francuz pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Jako dyrektor generalny MAEA jestem czymś w rodzaju symbolu zdecydowanego i jednolitego stanowiska w tej kwestii, pomijając fakt, że ich zdecydowanie też bywa symboliczne, i to aż zbyt często.

Moje poglądy na temat zagrożenia nuklearnego wynikają ze zdrowego rozsądku. Podzielają je miliony ludzi i tysiące fizyków.

- Część pańskich prac jest zapewne tajna. Poufne rozmowy, poufne raporty...

Z zasady nie publikujemy niepełnych danych. Ale niemal wszystkie raporty i opracowania są w odpowiednim czasie udostępniane zainteresowanym. - Potarł ręką czoło. - W tej chwili takim nieopublikowanym jak dotąd opracowaniem jest raport na temat roli Chin w rozpowszechnianiu broni ją-

drowej.

• I czego się pan na ten temat dowiedział?

- Niczego.

- Jak to niczego? - Ambler stanął przy oknie. Drobna brunetka wyszła niepewnie na chodnik. Zasypie kochanka pytaniami, ale to już nie jego sprawa.

- Wbrew temu, co twierdzą Amerykanie, Francuzi i NATO, nie ma żadnych dowodów, że Chińczycy łamią zakaz rozpowszechniania broni jądrowej. Z tego, co zdołaliśmy ustalić, Liu Ang jest bardzo przeciwny sprzedaży technologii nuklearnej krajom trzecim. Pytanie tylko, czy da radę utrzymać w ryzach swoją armię.

- Ilu ludzi pracuje nad tym raportem?

- Tylko kilku, garstka, w Wiedniu i w Paryżu, chociaż mamy duży zespół

raportu. Tylko ja mogę poświadczyć jego wiarygodność wiarygodnością mojego urzędu.

Ambler był coraz bardziej sfrustrowany. Deschesnes mógł być zupełnie niewinny, ale był też zupełnie nieważny. Owszem, był człowiekiem o wątpliwej moralności w sprawach prywatnych, jednak nie ulegało wątpliwości, że w sprawach publicznych jest szczery, rzetelny i uczciwy.

Mimo to musiał być jakiś powód. Musiał gdzieś istnieć człowiek - lub grupa ludzi - który kazał go zabić. I jeśli nie zginie teraz, zginie później, zamordowany przez kogoś innego.

Hal zamknął na chwilę oczy. Już wiedział, co zrobić.

- *Vous etes fou! Absolument fou.* - Taka była pierwsza reakcja Deschesnes'a, gdy wyjaśnił mu sytuację.

- Być może - odparł spokojnie; wiedział, że musi zdobyć jego zaufanie. -

Ale niech pan tylko pomyśli. Ci, którzy mnie tu przysłali, traktują to bardzo poważnie. I mają odpowiednie środki. Jeśli pana nie zabiję, przyślą tu kogoś innego. Ale jeśli uda się nam ich przekonać, że pan nie żyje, jeśli na jakiś czas pan zniknie, spróbuję dowiedzieć się, kto pana wrobił. Chce pan żyć?

To jedyny sposób.

Deschesnes wytrzeszczył oczy.

- To szaleństwo! Poza tym, jak się pan tego dowie?

- Sprawdzę kilka szczegółów i odezwę się do pana za kilka godzin. Może pan wyjechać gdzieś, gdzie pana nie znajdą? Tylko na parę tygodni.

- Mamy domek na wsi...

- Tak, pod Cahors - przerwał mu niecierpliwie Hal. - Wiedzą o tym. Odpada.

- Rodzina Joelle ma dom pod Dreux. Zimą tam nie jeżdżą, więc... -Urwał.

- Nie. Nie mogę jej w to mieszać. Nie chcę.

Zamilkł.

Proszę posłuchać - powiedział Ambler. - To nie powinno potrwać dłu-

żej jak parę tygodni. Proponuję, żeby wynajął pan samochód; swojego niech pan nie bierze. Niech

pan wyjedzie na południe, do Prowansji. Jeśli wszystko wypali, nie będą pana szukać. Tu jest mój adres e-mailowy. - Zapisał go na kartce. - Proszę mi przysłać numer telefonu. Zadzwonię, kiedy będzie po wszystkim.

- A jeśli pan nie zadzwoni?

To znaczy, że nie będę już żył, pomyślał Hal.

- Zadzwonię - odparł stanowczo i uśmiechnął się zimno. Ma pan moje słowo.

186

Rozdział 16

Langley, Wirginia

layton Caston nie mógł się powstrzymać i jego wzrok ponownie powę-

Cdro wał w stronę plamy od kawy na kremowym dywanie w gabinecie Caleba Norrisa. Coś mu mówiło, że plama stamtąd nie zniknie. Nigdy. A może najlepszym rozwiązaniem było poczekać na kolejne plamy? Dywan nabrałby wtedy jednolitego odcienia i nic nie rzuciłoby się w oczy. Tak też można coś ukryć. Wystarczy zmienić naturalne otoczenie przedmiotu i przedmiot zniknie.

Była

w

tym

jakaś

myśl...

Rozmyślania przerwał mu głos Norrisa.

- No i co się stało?

Caston zamrugał. W promieniach porannego słońca, wpadających przez okno gabinetu unosiły się drobiny kurzu.

- Jak już wiesz - odparł - znamy ludzi, którzy z nim pracowali. Dlatego spróbowałem ustalić, jakie było jego ostatnie zadanie. Okazało się, że wysła-no go na Tajwan. Chciałem też ustalić nazwisko oficera odpowiedzialnego, które powinno figurować w raporcie końcowym, bo pomyślałem, że on

bę-

dzie wiedział, kim był Tarkwiniusz, zanim stał się Tarkwiniuszem. Że może nawet osobiście go zwerbował.

- No i? Kto podpisał raport?

.. - Nikt. Jest tam tylko pseudonim „Transience”.

- A kim jest Transience?

- Nie udało się ustalić.

- Pracowałoby się nam dużo łatwiej, gdyby CIA przekazała nam dane agentów Wydziału Operacji Konsularnych - burknął opryskliwie Norris. - Niech szlag trafi tę ich bezcenną „zasadę rozczłonkowania”. Rozczłonkują i rozczłonkują, i zwykle kończy się to tak, że przyczepiają nam do tyłka ośli ogon.

Caston popatrzył mu w twarz.

- Ponieważ nie ustaliłem tego ja, zrobisz to ty. Zadzwońisz do szefowej Oddziału Stabilizacji Politycznej i poprosisz o rozmowę. Jesteś wicedyrektorem wywiadu, musi cię wysłuchać.

- Transience mruknął Norris. -Zaczynam mieć złe przeczucia... Urwał, widząc minę Castona. To znaczy, no wiesz, jest w tym bardzo dużo niewiadomych. Zawsze powtarzasz, że jest różnica między ryzykiem i niepewno-

ścią. Prawda?

187

- Tak, oczywiście. Ryzyko można wyliczyć. Niepewności nie. Jeśli wiesz, że coś może wypalić na pięćdziesiąt procent, to już coś, to już jakiś konkret.

Jeśli nie wiesz nic, to nie wiesz nic.

- A więc jest to kwestia wiedzy o tym, czego się nie wie. Wiedzy lub jej braku. - Norris wziął głęboki oddech i popatrzył na Castona. - Boję się, że my nie wiemy nawet, czego nie wiemy.

Po powrocie do biura Castona zaczęło ogarniać nasilające się uczucie...

cóż, chyba niepewności. Adrian jak zwykle wyglądał pogodnie, co było zupełnie nie na miejscu, jednak pewne ukojenie przyniósł mu widok biurka: leżących tuż obok siebie, lecz niestykających się ze sobą ołówków i długopisów, cienkiej, żółtej teczki pięć centymetrów na lewo od nich, komputerowego monitora, którego ekran ani na milimetr nie wystawał poza krawędź

blatu.

Usiadł ciężko w fotelu i jego palce zastygły nad klawiaturą. Ryzyko, niepewność, niewiedza: koncepcje te mieszały mu się w głowie jak ziarna w spi-chlerzu.

- Adrian - rzucił nagle. - Mam porcelanową urnę z czarnymi i białymi kulkami.

— Tak? - Adrian rozejrzał się niepewnie.

Tak na niby - mruknął gderliwie Caston.

- Super.

- Wiesz, że połowa z tych kulek jest czarna, połowa biała. W sumie jest ich tysiąc. Pięćset czarnych, pięćset białych. Wkładasz do urny rękę i wycią-

gasz jedną kulkę. Jakie jest prawdopodobieństwo, że będzie to czarna?

- Pięćdziesiąt procent, tak?

- A teraz mam inną urnę, którą napełniono kulkami w tej samej fabryce kulek. Wiesz, że ta urna zawiera albo czarne, albo białe, albo białe i czarne.

To wszystko. Nie wiesz, czy więcej jest białych, czy czarnych. Może być nawet tak, że wszystkie kulki są czarne. Albo białe. Może podział na białe i czarne jest równy. A może nie. Może w urnie jest tylko jedna kulka. A mo-

że tysiąc. Po prostu nie wiesz.

- Czyli w tym przypadku jestem głupi jak świnia - podsumował Adrian. -

Nie wiem nic oprócz tego, że w urnie są jakieś kulki. O to chodzi?

- Tak. Jakie jest prawdopodobieństwo, że wyciągniesz czarną?

Adrian zmarszczył swoje gładkie czoło.

- Nie wiem, bo i skąd? Prawdopodobieństwo może być stuprocentowe albo zerowe. Albo zupełnie dowolne. - Przeczesał ręką gęste czarne włosy.

188

- Zgadza się. Ale gdybyś musiał je określić? Powiedziałbyś, że prawdopodobieństwo wyciągnięcia czarnej kulki wynosi dziesięć do jednego? Sto do jednego? Tysiąc do jednego? Ile?

Adrian wzruszył ramionami.

- Powiedziałbym, że wynosi... tyle samo co przedtem. Pięćdziesiąt procent.

Caston kiwnął głową.

- Do takiego samego wniosku doszedłby każdy fachowiec. W tym drugim przypadku, kiedy nie wiesz praktycznie nic, zachowasz się tak samo jak w pierwszym, gdzie danych jest znacznie więcej. W latach dwudziestych ekonomista Frank Knight wprowadził rozróżnienie między „ryzykiem” i „niepewnością”.

Ryzykując, powiedział, można okiełznać losowość prawdopodobieństwem. Natomiast w przypadku niepewności nie mamy nawet wiedzy na temat prawdopodobieństwa. Ale wszystko się zmienia. VonNeumann i Morgenstern stwierdzili, że można zmierzyć nawet ignorancję. Inaczej nie moglibyśmy żyć i pracować.

- Czy ma to coś wspólnego z urną o nazwie Tarkwiniusz, mistrzu? - spytał Adrian, błyskając kolczykiem w języku.

Caston wydał odgłos będący czymś pośrednim między śmiechem i serią chrząknięć. Potem westchnął i podniósł z biurka fotokopię tajwańskiej gazety z akt, które otrzymał tego ranka. Nie potrafił jej przeczytać, a w aktach nie było tłumaczenia.

- Pewnie nie umiesz czytać po chińsku, co? - spytał z nadzieją.

- Niech pomyślę... Czy *dim sum* się liczy?

- Przepraszam, ty znasz koreański, tak?

- Też nie - odparł szczerze Adrian.

- Przecież twoi rodzice są Koreańczykami.

- Właśnie dlatego. - Adrian powoli rozciągnął usta w uśmiechu. - „Sprząt-nij pokój”. Musieli nauczyć się tego po angielsku, dzięki czemu zawsze zyskiwałem mnóstwo czasu.

- Rozumiem.

- Przykro mi, że pana rozczarowuję. Ale nawet nie lubię tego języka. Wiem, trudno w to uwierzyć.

- A więc jednak mamy ze sobą coś wspólnego - odparł oschle Caston. -

Przynajmniej jedno.

Paryż

Mieli dużo do zrobienia i mało czasu. Ambler nie mógł już zwrócić się o pomoc do ludzi Fentona i

proceedził teraz podwójną grę. Zamiast dobrze zaopatrzonego magazynu, musiały wystarczyć im pomysłowość i rzeczy ogólnie dostępne.

Pod wieczór zaczął gromadzić to, co mogło im się przydać. Postanowił

zaanektować mieszkanie Deschesnes'a i wykorzystać je jako prowizoryczny warsztat. Otwieraczem do konserw otworzył trzy puszki bulionu i wyciął

z nich trzy okrągłe blaszki, które następnie okleił cienką warstwą pianki z opa-kowania taniego budzika z radiem. Potem wziął trzy cienkie, lateksowe pre-zerwatki i do połowy napełnił je sztuczną krwią, którą kupił w sklepie z rekwizytami teatralnymi Les Ateliers du Costume w dziewiątej dzielnicy.

W końcu powoli i ostrożnie wyjął spłonki z dwóch nabołów kaliber 0.284, tych od Fentona. Praca była trudniejsza i żmudniejsza, niż się spodziewał, ponieważ spłonki były wpuszczone w kryzę łuski. Nie miał odpowiednich narzędzi i musiał radzić sobie kluczami, szczypcami i kombinerkami z najbliższego sklepu z artykułami metalowymi. Każde gwałtowniejsze szarpnię-

cie czy wywarcie zbyt dużego nacisku na kryzę groziło eksplozją materiału zapalającego w spłonce i kalectwem. Dlatego musiał to robić bardzo powoli i bez pośpiechu. Każda spłonka zawierała niecały gram piorunianu rtęci -

żeby zrobić jednej dobry zapalnik, musiał wyjąć aż cztery.

Kolejne półtorej godziny zajęło mu połączenie tego wszystkiego w całość, czyli przyklejenie wypełnionych krwią prezerwatki do prymitywnych zapalników ze spłonek oraz podłączenie ich do dziewięciowoltowej baterii.

Uplęnęło kilka godzin, zanim spotkał się z Laurel w galerii na najwyższym piętrze Centrum Pompidou musiał zebrać i przygotować wszystkie rekwizyty do spektaklu w teatrze śmierci.

Gdy przedstawił jej swój plan, początkowo przyjęła go bardzo sceptycznie, lecz wkrótce górę wzięło jej niesamowite opanowanie. Jednak plan miał

jedną poważną wadę - uświadomił ją sobie, omawiając z Laurel poszczególne fazy operacji. Ona też ją dostrzegła.

- Kiedy ludzie to zobaczą - zauważyła - natychmiast wezwą karetkę.

Ambler zmarszczył brwi. Nie dawało mu to spokoju.

- Każdy sanitariusz natychmiast się zorientuje. I wszystko się wyda. A nie może się wydać. - Musiał znaleźć jakieś rozwiązanie, w przeciwnym razie groziła mu katastrofa. - Niech to szlag zaklął pod

nosem. - Trzeba skombi-nować karetkę. Dorwać kierowcę, zwerbować go albo jakoś...

- Jakoś? - powtórzyła Laurel. - Czy to jedno z określeń szpiegowskich?

- Nie pomagasz mi - odparł z wyrzutem i jednocześnie błaganiem w głosie.

- Właśnie na tym polega cały problem. A raczej rozwiązanie. Musisz pozwolić mi sobie pomóc. Karetkę poprowadzę ja.

190

Momentalnie złagodniała mu twarz i spojrzał na nią z podziwem. Nawet nie próbował protestować. Miała rację. To był jedyny sposób. Idąc ramię w ramię w kierunku Sekwany, omówili dalsze szczegóły. Znowu pojawił się szpieg w garniturze od Braci Brooks, dlatego nie mogli sprawiać wrażenia zaafierowanych: Fenton natychmiast zaczęłby coś podejrzewać. Laurel twierdziła, że świetnie się bawi, ale cóż, nie miała innego wyboru. Wiedział, że szybko do tego przywyknie, tak samo jak on kiedyś.

Chłonał wzrokiem jej gibką sylwetkę, falujące brązowe włosy i ciepłe piwne oczy, w których, niczym refleksy światła odbitego od szlifowanego topazu, połyskiwały małe zielone iskierki. Każde spojrzenie, jakie mu posyłała, każde pytanie, jakie mu zadawała, każdy delikatny uścisk ręki - wszystko to mówiło, że całkowicie mu ufa i jest gotowa zrobić wszystko, o co Hal ją poprosi.

- Dobrze - podsumowała. A więc teraz musimy tylko... rąbnąć karetkę, tak?

Hal spojrzał na nią z podziwem.

- Czy ktoś mówił ci, że szybko się uczysz?

Clinique du Louvre - szerokie, łukowate okna na parterze, rzędy mniejszych, podwójnych okien na piętrach, wielkie, beżowe głazy ustępujące miejsca ma-

łym, beżowym cegłom - mieści się w olbrzymim, eleganckim gmachu między Luvrem, największym i najświetniejszym paryskim muzeum, i Les Grands-Magasins de la Samaritaine, największym paryskim domem towarowym. Naprzeciwko kliniki wznosi się kościół Saint-Germain l'Auxerrois, a ulicę dalej na południe, kilkaset metrów od Pont Neuf spinającego brzegi Sekwany jest Quai du Louvre. Tak więc jest to gmach centralnie położony i można do niego dojechać z wielu kierunków. Dlatego też doskonale nadawał się do ich celów: do polowania na karetkę. Zgodnie z zarządzeniami rady miejskiej klinika musiała dysponować taborem specjalistycznych pojazdów medycznych - nie wspominając już o potężnym zespole techników i sanitariuszy - taborem, którego liczebność znacznie przewyższała realne zapotrzebowanie.

Ambler stał samotnie przed wejściem, próbując zachować kamienny spokój. Czuł smolisty aromat mokrego chodnika, metaliczny zapach spalin i sła-by odór psych ekskrementów - Paryż to miasto wielbicieli psów, którzy nie zważają na przepisy dotyczące sprzątania „pamiętek” po ich pupilach.

Nadeszła pora rozpocząć przedstawienie.

Na jego znak Laurel podeszła do strażnika siedzącego w budce przed wjazdem na okrągły parking. Była turystką i chciała go o coś spytać. Strażnik - nieciekawym typem z papuzim nosem i ciemnoczerwonym znamieniem na łysej głowie

- był sam, nie licząc aparatu telefonicznego, przestarzałego komputera i kołono-tatnika, w którym zapisywał, o której godzinie dany pojazd wyjeżdża i o której 191

wraca. Obrzucił ją czujnym, ale nie wrogim spojrzeniem. Dla kogoś, kto siedzi przez cały dzień w budce, atrakcyjna kobieta nie jest widokiem do pogardzenia.

Mówiła słabo po francusku, on jeszcze gorzej po angielsku. Dlatego już wkrótce

„turystka” wyjęła olbrzymi plan miasta i zaczęła go rozkładać.

Gdy głowa papuzionosiego strażnika zniknęła za olbrzymią papierową płachtą, Ambler przeskoczył przez niską bramę i betonowym zjazdem wszedł na najwyższy poziom parkingu, gdzie stał tabor pojazdów marki Renault, jaskrawo-białych karet z pojedynczym, pomarańczowym pasem i niebieskimi napisami po bokach. Większość z nich była niska, pudełkowata i miała ściętą maskę.

Była to tak zwana rezerwa, pojazdy zapasowe, rzadko używane, lecz regularnie myte i konserwowane, aż lśniły białawo w słabym, rozmytym świetle parkingu. Wybrał najmniejszy i chyba najstarszy ze wszystkich. Otworzył drzwi i szybko rozmontował stacyjkę. Trochę dłużej trwało dorobienie kluczyka, wypiłowanie żłobień w gładkim, stalowym pasku, tak żeby pasowały do żłobień w tym oryginalnym. Skończył po dziesięciu minutach i jeszcze raz wszystko sprawdził, przekonany, że warkot silnika zginie w hałasie innych pojazdów, zarówno tych w podziemnym garażu, jak i tych na ulicy.

Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem, lecz gdy pomyślał o czekającej ich przeprawie, poczucie satysfakcji szybko przybladło. Za dużo rzeczy mogło pójść nie tak.

Dwie godziny później, już w hotelu, rozłożył snajperkę, wyczyścił i na-smarował wszystkie części, po czym z powrotem ją złożył; karabin był stosunkowo krótki, a dzięki składanej kolbie bez problemu mieścił się w sportowej torbie. Potem włożył dresy i adidasy, jakby szedł poćwiczyć. W holu pomachał recepcjonistce i z uśmiechem zawołał:

- *Le joggingi*

Recepcjonista roześmiał się i wzruszył ramionami. Było oczywiste, co sobie pomyślał: Ach ci Amerykanie. Mają na tym punkcie prawdziwego fiola.

- Do zobaczenia, monsieur Mulvaney!

Laurel dołączyła do niego przed Centrum Pompidou. Szli spiesźnie, lecz spokojnie, jeszcze raz krok

po kroku omawiając poszczególne fazy operacji.

Hal regularnie omiatał wzrokiem okolice, lecz wszystko wyglądało normalnie, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Mimo to musieli zachować wyjątkową czujność: wystarczyła jedna pomyłka, jedno małe niedociągnięcie i cały plan wzięłby w łeb.

Za kwadrans piąta pojawił się Benoit Deschesnes. Tak jak co dzień szedł

na popołudniowy spacer do Ogrodów Luksemburskich, dwudziestocztero-hektarowego parku rozrywki i idyllicznego spokoju w szóstej dzielnicy Pa-192

ryża. Obserwujący go przez lornetkę Ambler z ulgą stwierdził, że ruchy ma płynne, spokojne i naturalne. Zdawało się, że jest zagubiony w myślach i niewykłuczone, że tak było.

Hal rozejrzał się jeszcze raz. Ogrody Luksemburskie. Słyszał, że ci ze Stra-conego Pokolenia łapali tu gołębie, żeby zaspokoić głód. Dzisiaj było tu wię-

cej dzieci niż artystów. Zgodnie z najlepszymi francuskimi wzorcami obowiązywał tu regularny układ wszystkich krzewów, ścieżek i klombów; nawet drzewa rosły w geometrycznym porządku. Zimą dzieci mogły jeździć tu na stareńkiej karuzeli albo oglądać przedstawienia kukielkowe Grand Guignol.

Myśli te przeniknęły mu przez głowę, nie pozostawiając po sobie najmniejszego śladu: był za bardzo skupiony na własnym przedstawieniu, które miało się zaraz rozpocząć. Ogon? Jest. Amerykanin w garniturze od Braci Brooks z namaszczeniem czytał tablice na piedestale posągów. Kilkadziesiąt metrów dalej grupka Francuzów w dżinsach grała w *petanque*, kilku innych pochylało się nad szachownicą. Poza nimi w parku nie było prawie nikogo.

Kolejne zerknięcie przez lornetkę. Zgodnie z poleceniem Deschesnes był

w rozpiętym palcie i białej koszuli. Teraz usiadł na ławce, podziwiając dzia-

łającą nawet w zimie fontannę. Dzień był bezchmurny i wieczorne słońce rzucało cienie na nagie klomby. Fizyk lekko zadrżał.

Hal miał nadzieję, że wie, co robić, że wszystko dobrze pamięta. Bezpo-

średnio nad lateksowymi pojemniczkami ze sztuczną krwią miał naciętą koszulę, żeby wybuch mikroładunku mógł bez przeszkód ją rozerwać.

- Proszę pamiętać - ostrzegał go Ambler. Kiedy ładunki eksplodują, niech pan nie robi niczego dramatycznego. Niech pan zapomni o tym, co widział pan na filmach. Żadnych dziwnych padów w przód czy w tył, żadnego chwytania się za piers. Niech pan się po prostu osunie na ziemię, jakby pan nagle zasłabł.

Wiedział, że chociaż metalowe kółka ochronią go przed poparzeniem, Deschesnes będzie szczerze zaskoczony serią wybuchów i że wybuchy te, choć małe, będą trochę bolesne. Ale to dobrze, bo dzięki temu zareaguje bardziej przekonująco.

Kilka minut zajęło mu zlokalizowanie mężczyzny z lornetką, który obserwował park z okna wysokiego, eleganckiego budynku. Jak na razie mężczyzna widział tylko jego plecy, ale to wystarczyło. Jedyne zawodowiec mógłby nabrać podejrzeń, że Hal jest kimś więcej niż zwykłym entuzjastą sportu, który w dresach i z torbą na ramieniu wraca z treningu. Obserwował okolicę, dopóki nie namierzył brunetki w palcie za kolana. Potem mógł już tylko czekać.

Mężczyzna z lornetką, facet w garniturze i brunetka byli jego publicznością, chociaż nie mogliby przysiąc, że gdzieś w pobliżu nie ma widzów na 193

gapą. Tak czy inaczej musiał zaryzykować: bezszelestnie zniknął w kępie ja-

łowców sześćdziesiąt metrów od fontanny i wyjął z torby snajperkę. Odszukał wzrokiem Deschesnes'a - miał go jak na widelcu - włączył walkie-talkie i podniósł aparat do ust.

- Jeśli pan mnie słyszy, proszę podrapać się w ucho - powiedział.

Fizyk wykonał polecenie.

- Będę liczył od pięciu w dół. Na „jeden” proszę zewrzeć styki baterijki, I niech się pan nie martwi. Zaraz będzie po wszystkim.

Przed ławką Deschesnes'a przeszła młoda kobieta. Z przeciwnego kierunku nadchodziła grupa turystów. Dzielili ich odległość dwudziestu pięciu, może trzydziestu metrów - będą dobrymi świadkami. Hal podniósł snajperkę i wysunął lufę zza jałowców: wystawała na kilkanaście centymetrów i brunetka musiała ją zauważyć.

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

Dwa szybkie strzały, króciutka przerwa i strzał trzeci. Każdemu towarzyszyło stłumione puf! i wyrzut gazów z lufy; ludzkie oko nie było w stanie zauważyć, że nie opuścił jej ani jeden pocisk.

Zgrali się idealnie i na białej koszuli Deschesnes'a wykwitła czerwona plama, jedna, a zaraz potem dwie kolejne. Francuz głośno stęknął i z zaskoczonym wyrazem twarzy - Ambler obserwował go przez celownik optyczny

- zsunął się z ławki na ziemię. Plamy szybko się rozrastały i rozlewały.

Zauważyli go grający w *petanque*. Natychmiast ruszyli w jego stronę, lecz któryś z nich musiał zrozumieć, co się stało, i zawrócili. Hal szybko rozłożył

snajperkę i schował ją do torby. Czekał. Przez długą chwilę nic się nie dzia-

ło. A potem usłyszał zawodzenie syreny. Teraz. Wyjął z torby biały fartuch.

Laurel zatrzymała się dokładnie tam, gdzie ustalili i podbiegła do Deschesnes[^].

Powiewając połami rozpiętego fartucha, Ambler popędził w stronę karetki. Tylne drzwi, nosze - wszystko razem trwało niecałe pół minuty. Gdy podszedł do ubranej na biało Laurel, ta stała bez słowa, patrząc na leżącego na ścieżce Francuza.

- On nie żyje - powiedziała drżącym głosem.

- Jasne - mruknął Hal, dźwigając Deschesnes'a z ziemi i układając go na noszach.

- Nie, on naprawdę nie żyje. - Laurel była blada i miała dziwną minę.

Ambler poczuł się tak, jakby połknął bryłę lodu. Niemożliwe. Przecież to niemożliwe!

Ciało Francuza było bezwładne i ciężkie. Tak bezwładne i ciężkie mogły być tylko zwłoki.

194

Z głowy, spod mokrej, zmierzwionej kępkі włosów, sączyła się krew. Hal dotknął tego miejsca palcami i omal nie zasłabł. Kilka centymetrów nad czo-

łem Deschesnes'a wyczuł przestrzelinę po małokalibrowym pocisku. Tego rodzaju rany powodują natychmiastową śmierć i prawie nie krwawią. Ktoś ukrywający się w parku lub w jednym z otaczających go budynków zabił

Francuza celnym strzałem w głowę.

Odrętwiali przenieśli ciało do karetki. Nic mogli go zostawić, bo cały plan runąłby jak domek z kart. Rzecz w tym, że stracili za dużo czasu. Karetka zwróciła już uwagę grupy gapiów. Hal zamknął tylne drzwi, rozpiął Deschesnes'owi koszulę, zerwał mu z piersi prowizoryczną kamizelkę z przymocowanymi do niej blaszkami i przewodami, pobieźnie wytarł sztuczną krew.

Ktoś załomotał do drzwi. Ambler poderwał głowę.

- *Ouvrez la porte! Cest la police!*

Po co? Dlaczego? Chcieli jechać z nimi do szpitala? Takie obowiązywały tu przepisy? Nie mógł do tego dopuścić. Dwoje Amerykanów i trup w kra-dziennej karetce - koszmar. Szybko przeszedł na przód pojazdu i usiadł za kierownicą. Silnik wciąż pracował. Zamierzali pojechać do Bois de Boulogne, gdzie Deschesnes zostawił wynajęty samochód. Teraz nie miało to sensu. Ale musieli stąd zniknąć, i to natychmiast. Wrzucił jedynkę. Nie pora na rozmowy z *gendarmerie*.

Zerknął w lusterko. Policjant wrzeszczał coś do mikrofonu walkie-talkie.

Brunetka w płaszczu za kolana - stała nieco na uboczu rozmawiała przez telefon. Miał nadzieję, że składała przełożonym meldunek o wykonaniu zadania. I wtedy ponad jej ramieniem zobaczył coś, co przyprawiło go o zimny dreszcz.

Dziesięć kroków za agentką Fentona w kłębiącym się tłumie gapiów dostrzegł twarz, której wolałby nie widzieć. Twarz Chińczyka. Drobneho, przystojnego mężczyzny.

Snajpera z hotelu Plaża.

Rozdział 17

Waszyngton DC

mach Departamentu Stanu przy C Street 2201 to tak naprawdę dwa Gsą siadujące ze sobą budynki, z których jeden ukończono w 1939, a więc 195

na początku II wojny światowej, a drugi w 1961, czyli w samym środku zimnej wojny. Każda organizacja ma swoją historię, którą pieczołowicie pielęgnuje wśród otoczonych czcią ścian, jeśli odeszła w niepamięć poza nimi.

W Departamencie Stanu są audytoria i sale konferencyjne poświęcone zmar-

łym dygnitarzom: jest tu na przykład sala imienia Loya Hendersona, dyrektora wydziału do spraw krajów Bliskiego Wschodu i Afryki z lat czterdzie-stych. Jest też wielka sala imienia Johna Fostera Dullesa, sekretarza stanu z czasów największego nasilenia zimnej wojny. Ale głęboko we wnętrzach nowszego budynku znajdują się sale, które zamiast nazwiskami czcigodnych dostojników, oznaczono jedynie numerami i literami alfabetu. „Najczystsza”

i najbezpieczniejszą z nich była sala 0002A, lecz postronny obserwator, któ-

ry zawędrowałby przypadkiem do podziemi gmachu i zobaczyłby jej drzwi, pomyślałby zapewne, że to kolejna pakamera czy magazyn, podobna do magazynów i pakamer po drugiej stronie korytarza z pomalowanych na szaro pustaków, pełnego miedzianych rur, aluminiowych szybów wentylacyjnych i migoczących jarzeniówek. Podczas odbywających się tam narad nigdy nie podawano niczego dojedzenia; do sal oznaczonych potrójnym zerem nie chodziło się na kanapki, ciastka czy ciasteczka. Narady te trzeba było dzielnie przetrwać, a nie czerpać z nich przyjemność, dlatego unikano wszystkiego, co mogłoby je niepotrzebnie przedłużyć.

Temat spotkania, które odbywało się tu tego dnia, na pewno do przyjemnych nie należał.

Ethan Zackheim, przewodzący naprędce zebranemu zespołowi, powiódł

wzrokiem po twarzach ośmiorga ludzi, szukając w nich oznak niewypowiedzianego sprzeciwu.

Chciał uniknąć pułapek „grupowego myślenia”, tendencji do „równania kroku”, jednakowej interpretacji problemu wieloznacznego, otwartego i niejasnego.

- Czy wszyscy zgadzacie się z ocenami, których przed chwilą wysłuchaliśmy? -- spytał.

Odpowiedział mu tylko zgodny pomruk głosów.

- Abigail. - Zackheim spojrzał na postawną blondynkę w bluzce z wysokim kołnierzykiem. - Jesteś pewna, że dobrze odczytałaś te sygnały?

Blondynka kiwnęła głową; jej sztywna, lakierowana grzywka ani drgnęła.

- Nie są stuprocentowo jednoznaczne, ale potwierdzają wcześniejsze ustalenia. W połączeniu z innymi danymi zwiększają prawdopodobieństwo po-prawności oceny.

- A ty, Randall? Zackheim przeniósł wzrok na Denninga, szczupłego, bladego i przygarbionego mężczyznę w granatowej marynarce. - Czego do-kopał się zespół obrazowania?

196

- Moi ludzie potwierdzili to na dwadzieścia sposobów - odparł Denning.

- Zdjęcia są autentyczne. Widać na nich obiekt, w którym chłopcy Chandle-ra rozpoznali Tarkwiniusza w chwili, kiedy przyjeżdża do Montreal Dorval zaledwie kilka godzin przed zamachem na Sollingera. Potwierdziliśmy również autentyczność taśmy wideo z kamer bezpieczeństwa. Nie mamy żadnych wątpliwości. Podał Zackheimowi zdjęcia. Ten obejrzał je, w pełni zdając sobie sprawę, że gołym okiem nie dostrzeże w nich nic, czego nie dostrzegłoby wspomagane komputerem oko fachowca.

- Podobnie zdjęcia z Ogrodów Luksemburskich, te sprzed godziny do-dał Denning.

- Zdjęcia bywają mylące, prawda? - Zackheim posłał mu pytające spojrzenie.

Nie chodzi o zdjęcia, tylko o sposoby ich interpretacji, które w ciągu ostatnich lat stały się niezwykle wyrafinowane. „Progowanie”, analiza graniczna, stopień nasycenia koloru: nasze komputery wychwytyją różnice, któ-

rych jeszcze niedawno nie wykryłby żaden ekspert. Chronomatografia...

- Mów po angielsku, do cholery, możesz? przerwał mu Zackheim.

Denning wzruszył ramionami.

- Zdjęcie to niezwykle bogaty pakiet informacji. Układ gałązek drzewa, struż-

ki soku na korze, mchy i porosty: wszystko to zmienia się z dnia na dzień.

Zwyczajne drzewo nigdy nie wygląda tak samo. Jednego dnia jest takie, następnego inne. Macie tutaj przykład bardzo złożonego terenu. Terenu o szczególnym ukształtowaniu i szczególnym układzie cieni, które wskazując na porę dnia, umożliwiają nam również rozpracowanie konfiguracji tysięcy dyskretnie ukrytych szczegółów. - Postukał wskaźnikiem w dolną ćwiartkę zdjęcia. -

W powiększeniu widać, że mniej więcej trzy centymetry od żwirowej ścieżki leży nakrętka od butelki. Od fanty. Dzień przedtem jej nic było.

Zackheim zabębnił palcami w stół.

- Trochę to cienkie...

- „Pozostałości dzienne”, tak to nazywamy. Szczegóły takie jak ten moż-

liwiają prowadzenie prac archeologicznych w czasie realnym.

Zackheim przeszył go spojrzeniem.

- Zawał serca: mamy doprowadzić do czegoś równie poważnego i nieodwracalnego. Muszę wiedzieć na sto procent, czy wszystko jest dograne. Zanim ogłosimy, że Tarkwiniusz jest „nie do odzyskania”, musimy mieć absolutną pewność, że sprawa jest do końca przemyślana i że działamy na pewniaka.

- Całkowita pewność jest możliwa tylko w szkolnych podręcznikach do arytmetyki.

197

Słowa te wypowiedział brzuchaty osobnik w grubych okularach w czarnej oprawce. Miał dużą głowę, nazywał się Matthew Wexler i od dwudziestu lat pracował w wydziale wywiadowczo-badawczym Departamentu Stanu. Bez-pretensjonalny i na pierwszy rzut oka niechlujny, posiadał wybitny, budzący respekt intelekt, który jeden z sekretarzy stanu porównał kiedyś do rafinerii naftowej, gdyż Wexler potrafił przyswajać olbrzymie ilości złożonych informacji, rozbijać je na proste produkty częściowe i przetwarzać na czyste de-stylaty. Umiał przekładać dane wywiadowcze na jednoznaczne dane operacyjne i nie bał się podejmowania decyzji. Umysł o tak wybitnych i cennych cechach był w Waszyngtonie rzadkością, dlatego istniał na niego duży popyt.

-- W świecie realnym kontynuował - gdzie podejmuje się realne decyzje, całkowita pewność nie istnieje. Gdybyśmy czekali, aż ją zyskamy, wszystkie działania byłyby tak opóźnione, że straciłyby sens. Stara maksyma mówi:

„Brak decyzji jest decyzją”. Nie można decydować bez informacji. Ale nie można też czekać na

informację kompletną. Między całkowitym brakiem informacji i informacją częściową jest pewien gradient, a integralność proceduralna polega na umiejętności jego określenia, zdecydowania, czy to, co wiemy, wystarczy do podjęcia tych czy innych działań.

Zackheim z trudem ukrył rozdrażnienie. Odkąd nazwano to zasadą Wexlera, analityk korzystał z każdej sposobności, żeby o niej przypomnieć.

- I twoim zdaniem, to, co w tej chwili wiemy, wystarczy do podjęcia konkretnych kroków?

- Moim zdaniem tak, i to od dawna. - Wexler przeciągnął się i stłumił

ziewnięcie. - Zwróciłbym również waszą uwagę na jego poprzednie zadania. Tego człowieka trzeba powstrzymać. Dyskretnie. Zanim okryje niesławą swoich pracodawców.

- Mam nadzieję, że mówisz o jego byłych pracodawcach. - Zackheim ponownie spojrzął na młodego, bladego mężczyznę w granatowej marynarce. - Zidentyfikowaliście go? Na sto procent?

- Tak - odparł Randall Denning. - Jak już wspominałem, Tarkwiniusz zrobił sobie operację plastyczną...

- Typowe dla zdziżaczego agenta - wtrącił Wexler.

Ale podstawowe wymiary ludzkiej twarzy są stałe - kontynuował Denning. - Nie można zmienić odległości między oczodołami ani nachylenia nadoczołowego. Nie można też zmienić kształtu dolnej szczęki bez całkowitego zniszczenia zębów...

- Ale co to, do diabła, znaczy? - warknął Zackheim.

Denning popatrzył na siedzących przy stole kolegów.

198

- To znaczy, że chirurgia plastyczna nie zajmuje się podstawową strukturą kostną czaszki. Nos, policzki, podbródek: to tylko wypukłości powierzchniowe. Komputerowy system identyfikacji twarzy można zaprogramować tak, żeby je ignorował, skupiając się na elementach stałych. Podał

Zackheimowi kolejne zdjęcie, które pokazywało trzydziestokilkuletniego mężczyznę w tłumie Azjatów. Jeśli to jest Tarkwiniusz, Tarkwiniuszem jest i on. - Postukał wskaźnikiem w zdjęcie mężczyzny na montreal skim lotnisku.

Franklin Runciman, wicedyrektor Wydziału Operacji Konsularnych, mó-

wił jak dotąd niewiele. Szorstki i oschły, miał niebieskie oczy, przesywają-

ce spojrzenie, grube brwi i wyraziste rysy twarzy. Chodził zwykle w kosztownych, wełnianych

garniturach w delikatny, ledwo widoczny wzorek. Teraz łypnął na nich spode łba i powiedział:

- Nie widzę powodu, żeby opóźniać decyzję.

Zackheim był zakłopotany, a nawet rozdrażniony jego niespodziewanym przybyciem na naradę. Mianowano go szefem zespołu i obecność przełożonego mogła podważyć jego autorytet. Spojrzał na niego wyczekująco i zacisnął zęby.

Trzeba postawić na nogi wszystkie placówki i posterunki zadudnić

Runciman. I wysłać w teren tych od przesylek. - Widać było, że ta eufemi-styczna nazwa wzbudza w nim lekki niesmak. - Zadanie: namierzyć, schwytać lub zlikwidować.

Proponowałbym wciągnąć w to pozostałe agencje powiedział Zackheim. FBI i CIA.

Runciman powoli pokręcił głową.

- W razie potrzeby damy im znać odparł. - Ale wiem, że poradzimy sobie bez pomocy kolegów. Jestem ze starej szkoły i wierzę w zasadę korygowania własnych błędów. - Zamilkł i zjadliwie dodał: - W Wydziale Operacji Konsularnych każdy sprząta po sobie.

Rozdział 18

Paryż

iedy i co się właściwie stało? Wszędzie same niespodzianki. Choćby Laurel. Znowu przeżyła silny wstrząs, a mimo to wyszła z tego cało K

199

zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Jej niezwykła odporność podtrzymywała go na duchu. Bliskość śmierci wzmogła drzemiące w nich uczucia, przede wszystkim strachu, ale nie tylko. Przyłapał się na tym, że coraz czę-

ściej myśli w liczbie mnogiej: tam, gdzie jeszcze niedawno było „ja”, pojawiło się „my”. Składały się na to słowa, spojrzenia i wspólnie przeżywane radość i smutek. Ból i ukojenie. Cichy śmiech. Cieniutka pajęczka nić, jakże delikatna, ale i jakże mocna.

To było niczym mały cud. Stworzyli coś normalnego tam, gdzie normalność nie istniała. Rozmawiali ze sobą, jakby znali się od lat. Gdy spali zauważył to któreś nocy - ich ciała przylegały do siebie, jakby były dla siebie stworzone. A gdy się kochali, ogarniała go upojna błogość, w której chwilami wyczuwał coś jeszcze bardziej nieuchwytnego, coś, co kojarzyło mu się z wewnętrznym spokojem i pogodą ducha.

- Przy tobie czuję się bezpieczna - powiedziała. Czy to obraźliwe?

- Nie, ale lepiej nie kuś losu - odrzekł z lekkim uśmiechem. Myślał o zmianie hotelu, lecz doszedł do wniosku, że lepiej zostać w tym. Ryzyko przeprowadzki było dużo większe.

- Ale ty wiedziałeś o tym już wcześniej. Prawda?

Nie odpowiedział.

To zabawne - szepnęła. - Mam wrażenie, że wszystko o mnie wiesz, a przecież to niemożliwe.

Moja Ariadna, pomyślał. Moja piękna Ariadna.

- ... Są fakty i są prawdy

odrzekł. - Faktów nie znam. Ale może znam kilka

prawd.

- Bo umiesz czytać w ludzkiej duszy. Niektórzy muszą czuć się przy tobie nieswojo. Świadomość, że ktoś zna cię na wylot... Ja też powinnam się tak czuć. Jakby widać mi było bieliznę, tylko tysiąc razy gorzej. Ale się tak nie czuję. I nigdy się nie czułam. Właśnie to jest najdziwniejsze. Może nie przeszkadza mi, że widać mi bieliznę. Może chcę, żebyś widział mnie taką, jaką jestem. A może mam dość facetów, którzy widzą we mnie tylko to, co chcą widzieć. Ta swoista nagość jest w sumie czymś innym, czymś miłym.

- Nie tylko dla ciebie powiedział, przyciągając ją bliżej.

Wzięli się za ręce.

- „Wiem, że ty wiesz, że ja wiem, że ty wiesz...” Pamiętasz? Dzieci tak mówią. Uśmiechnęła się powoli, jakby uśmiech przepływał z jego twarzy na jej. Opowiedz mi o mnie.

- Myślę, że jesteś jedną z najbardziej wrażliwych osób, jakie kiedykolwiek poznałem.

- Powinieneś częściej wychodzić z domu.

200

- Jako dziecko różniłaś się od innych dzieci, prawda? Może trzymałaś się bardziej na uboczu. Nie, nie byłaś outsiderką, ale potrafiłaś dostrzec rzeczy, których inni nie dostrzegali, łącznie z samą sobą. Jakbyś wyczuwała, że jeśli cofnie się trochę aparat, zdjęcie będzie lepsze i wyraźniejsze.

Laurel przestała się uśmiechać. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

Jesteś troskliwa i uczciwa, ale trudno ci dopuścić kogoś bliżej, żeby poznał prawdziwą Laurel Holland. Ale jeśli już go dopuścisz, to na dobre.

Na tym polega twoja lojalność. Zaprzyjaźniasz się z ludźmi bardzo powoli, ale kiedy już się zaprzyjaźnisz, jest to przyjaźń niezwykle silna, bo prawdziwa, a nie taka na pokaz. Czasami wolałabyś, żeby trwała krócej, żeby kiedyś minęła, byś mogła zmieniać przyjaciół jak inni... Mówię bzdury?

Bez słowa pokręciła głową.

- Myślę, że jesteś osobą godną największego zaufania. Może nic świętą, bo potrafisz być samolubna i wybuchowa i zdarza ci się krzyczeć na ludzi naprawdę ci bliskich. Ale w sytuacji krytycznej zawsze jesteś przy nich. Rozumiesz, co znaczy prawdziwy przyjaciel. Bardzo chcesz panować nad sytuacją, ale nie zawsze tak jest. Panowanie nad sytuacją wymaga siły woli i samodyscypliny, a to oznacza, że najpierw trzeba zapanować nad samym sobą.

Laurel powoli zamrugła.

W przeszłości bywałaś zbyt szczerą. Czulaś, że za bardzo się przed kimś otworzyłaś. Dlatego teraz bywasz przesadnie ostrożna i zbyt powściągliwa.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Zapomniałaś o jednym powiedziała drżącym głosem. A może jesteś zbyt taktowny, żeby o tym wspomnieć dodała podchwytliwie.

Wpatrywała się z bliska w niego i widział jej rozszerzone źrenice. Pocałował

ją, objął i przytulił tak czule i namiętnie, jakby dopiero co skończyli się kochać.

Niektórych rzeczy nie trzeba ujmować w słowa szepnął, czując, wiedząc, że promienne ciepło, które go wypełnia, pochodzi od niej. Było niczym jasny świt po ciemnej nocy.

Później, gdy leżeli obok siebie złani potem i zaplątani w pościel, wbiła wzrok w sufit i powiedziała:

- Mój ojciec walczył w Wietnamie. Był dobrym człowiekiem, ale zwich-niętym, tak jak mój mąż. Kiedyś myślałam, że ciągnie mnie do takich jak oni, ale chyba nie. Po prostu taki mój los.

- Bił mamę?

-- Nie - odparła zdecydowanie. - Nigdy. Gdyby podniósł na nią rękę, straciłby ją na zawsze. Dobrze o tym wiedział. Mówi się czasem o niekontrolowanych wybuchach gniewu. Ale niewiele z nich jest naprawdę niekontrolowanych. Podczas przyływu morze zalewa brzeg, ale worków z piaskiem nie

zaleje. Takie worki ma większość z nas. Słowa, których nigdy nie wypowie-my, rzeczy, których nigdy nie zrobimy. Ojciec pochodził ze wsi i gdyby tylko mógł, kazałby mi pewnie doić krowy. Ale miał rodzinę na utrzymaniu. I musiał stawić czoło realiom. Dlatego wychowywałam się pod Norfolk

w Wirginii. On pracował w wytwórni sprzętu elektrycznego, a mama w rejestracji u pewnego lekarza.

- Może właśnie dlatego zainteresowała cię medycyna.

- Raczej jej przedsiónek. - Zamknęła oczy. Nie było tam praktycznie nic oprócz dobrej szkoły, o którą wszyscy dbali. Słyszała z wysokiego poziomu przedmiotów humanistycznych i rodzice uznali, że dam sobie radę. Mamie bardzo na tym zależało. Może nawet za bardzo. Było widać, że ojciec ją rozczarował, że liczyła na coś więcej. Ciągłe powtarzała, żeby poprosił o podwyżkę czy awans. Skończyło się na tym, że pewnego dnia zaczepiła kogoś z fabryki na jakiejś szkolnej imprezie, chyba na wystawie ciast, i chociaż niczego się wtedy nie domyślałam, dano jej chyba do zrozumienia, że zatrudnili ojca tylko z uprzejmości. Bo był w Wietnamie, i tak dalej. Tak czy inaczej, żaden awans nie wchodził w grę. Mama się zmieniła. Początkowo była smutna, ale z czasem zaczęła podchodzić do tego bardzo rzeczowo.

Ojciec ją rozczarował, ale cóż, jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

I skupiła na tobie...

- Wszystkie nadzieje. Tak. A kiedy zdobyłam swego pierwszego Oscara -

dodała z goryczą - kiedy podziękowałam jej na oczach milionów telewizorów, spełniły się jej marzenia.

- Mama już nie żyje, prawda? Oboje już nie żyją.

- Chyba nigdy w życiu nie byłam bardziej dumna z siebie niż wtedy, kiedy oglądali mnie na szkolnym przedstawieniu *West Side Story*. - W jej oczach pojawiły się łzy. W stłumionym głosie pobrzmiwało echo starych, świeżo przywołanych wspomnień. - Grałam Marię i kiedy opadła kurtyna, ojciec zaczął gwizdać, krzyżeć i tupać nogami. Wciąż go widzę, słyszę... Zginęli w drodze do domu. Oboje.

- Nie musisz o tym mówić, Laurel.

Łzy spływały jej z policzków na poduszkę.

- Skrzyżowanie było oblodzone. Jechali za miejską śmieciarką, która wpadła w poślizg. Ojciec nie uważał. Był trochę rozkojarzony, bo wypili po kilka piw i byli szczęśliwi. Prowadził firmową ciężarówkę i na skrzyni było pełno sprzętu. Kiedy uderzyli w śmieciarkę, cały sprzęt runął prosto na nich.

Zmiażdżył ich. Oboje. Przez parę dni leżeli w śpiączce w szpitalu, a potem jakby zrezygnowali. Umarli jednocześnie, prawie o tej samej godzinie.

Mocno zacisnęła powieki, próbując osuszyć łzy i zapanować nad emocjami.

- Może mnie to jakoś zmieniło. A może nie. Ale nigdy się od tego nie uwolniłam. Rozumiesz? Mała kropla dioksyny w wielkim rozlewisku.

Opatrzony rany z czasem się zagoiły, lecz nie do końca. Niektóre takie już są. Laurel chciała, żeby o tym wiedział, a on doskonale rozumiał dlaczego.

Chciała, żeby ją poznał, żeby dowiedział się nie tylko tego, kim jest, ale i tego, jak się tym kimś stała. Pragnęła podzielić się z nim swoją tożsamo-

ścią, tożsamością, która choć złożona z setek tysięcy mozaikowych płytek, tysięcy zdarzeń i wspomnień, była zwartą, jednolitą i niepodważalną cało-

ścią. Całością, która do niej należała. Nie. Całością, która ją tworzyła.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Początkowo nie mógł go rozpoznać i dopiero po chwili odkrył, że jest to zazdrość.

Pekin

Cieszyć się poczuciem bezpieczeństwa bez konieczności odosobnienia -

czy to w ogóle możliwe? *Koan*, paradoks, pomyślał Liu Ang. Odosobniony i odizolowany od świata czuł się tutaj, w Zhongnanhai, i podobnie jak cesarz Kuang-hsu, którego skazano na więzienny przepych, często zastanawiał się, czy nie mieszka przypadkiem w złotej, a przynajmniej pozłacanej klatce.

Mimo to zaniedbanie choćby podstawowych środków bezpieczeństwa było-by samolubstwem: gra toczyła się o wysoką stawką, o stawkę wyższą niż jego życie. Z tych samych powodów jednak konsekwentnie odrzucał propozycję rezygnacji z wystąpień publicznych, choćby z wyjazdu na Światowe Forum Ekonomiczne. Gdyby uległ podszeptom strachu, straciłby konieczny do przeprowadzenia reform impet. Spojrzał w okno, na jeziora Północne i Południowe. Zimą były szkliste i zamglone jak oczy martwego giganta. Liu zadrżał. Znajomy widok nie tłumił złowieszczonego rytmu historii.

Tak, najważniejsza była realizacja planów, jego spuścizna. Życie liczyło się mniej. Głupotą byłoby poświęcić to pierwsze na ołtarzu tego drugiego. Skoro jego śmierć dałaby początek epoce wolności i demokracji, której tak żarliwie pragnął, miał nadzieję, że odważnie stawi jej czoło. Jednak wyglądało na to, że nie musi tego robić, przynajmniej na razie. I nie, nie przemawiała przez niego próżność. Zresztą gdyby nawet jej uległ, zawsze miał pod bokiem *jiaohua de nongmin*, który na pewno mu to wytknie. Wszyscy bali się jego ciętego języka

- według niektórych dowcipnisiów był cięty dlatego, że przez wiele lat Li Pei nieustannie go ostrzył - lecz on nie bał się już nikogo.

Potoczył wokoło wzrokiem. Znajomy stół z czarnej laki, znajome twarze i znajomy niepokój na twarzach.

203

Chao Tang, minister bezpieczeństwa państwowego i dyrektor Drugiego Departamentu, był tego ranka wyjątkowo spokojny i opanowany.

- Mamy nowe informacje - powiedział.

- Prawdziwe czy tylko nowe? - spytał lekko Liu Ang.

- Boję się, że i nowe, i prawdziwe. - Towarzysz Chao nie był w nastroju do żartów, ale z drugiej strony, kiedy ostatnio z czegoś żartował? Z cienkiej skórzanej teczki wyjął kilka zdjęć. Najpierw pokazał je prezydentowi, potem kolegom.

- To Tarkwiniusz - wyjaśnił. W Kanadzie, na spotkaniu Grupy G7 dwa dni temu. Proszę spojrzeć na

datę i godzinę. Kilka minut wcześniej zamordowano tam członka europejskiej delegacji. Kurta Sollingera. Naszego przyjaciela, w sensie ekonomicznym oczywiście, człowieka, który ciężko pracował nad układem handlowym między Chinami i Unią Europejską.

Prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego, który siedział po lewej stronie Liu Anga, posępnie potrząsnął głową.

Kiedy puszczyk zabija swoje pisklęta, rolnik musi zabić puszczyka - powiedział.

- Myślałem, że puszczyki już wyginęły odparł cierpko prezydent.

- Jeszcze nie, ale jeśli temu nie zapobiegniemy, wkrótce wyginą- prychnął jak zawsze porywczy Wan Tsai, szybko mrugając i poprawiając swoje druczane okulary. - W tym jesteście do siebie podobni.

- A oto kolejne zdjęcie Tarkwiniusza kontynuował Chao. Zrobiono je w Ogrodach Luksemburskich w Paryżu na chwilę przed tym, jak zastrzelono dyrektora generalnego Europejskiej Agencji Energii Atomowej, Benoit Deschesnes[^]. Doktor Deschesnes przygotowywał właśnie raport, który miał oczyścić nas z nagłośnionego przez międzynarodową prasę zarzutu rozpowszechniania broni jądrowej.

Doradca do spraw bezpieczeństwa wewnętrznego robił wrażenie coraz bardziej roztrzęsionego.

- Ten zbrodniarz ma na celowniku przyszłość Chin - powiedział.

-- Pytanie brzmi: dlaczego? - wtrącił Liu Ang.

-- Jesteś wielkim optymistą - odparł Chao. - Nie dlaczego, tylko kiedy.

Ułożył zdjęcia obok siebie. - Powiększenie jego twarzy. To zrobiono w Changhua, to w Kanadzie.

- Przecież to nie ten sam człowiek - powiedział prezydent.

- Wprost przeciwnie. Nasi analitycy zbadali fragmenty twarzy, któryer nie można zmienić, takie jak odległość między oczami, odległość między okiem i ustami, i doszli do wniosku, że to Tarkwiniusz. Zmienił wygląd żeby umknąć przed wrogami. Według jednych doniesień zrobił sobie opera-204

cję plastyczną i zbuntował się przeciwko swoim. Według innych wciąż pracuje dla swego rządu.

- Dla rządu można pracować na wiele sposobów - mruknął ponuro *jiaohua de nongmin*.

Prezydent spojrział na zegarek.

Dziękuję za najświeższe informacje, panowie, ale nie mogę spóźnić się na posiedzenie komitetu do spraw przemysłu. Źle by to odebrali. - Wstał, skinął im głową i wyszedł.

Ale narady nie przerwano.

- Wróćmy do pytania, które postawił prezydent zaproponował WanTsai.

Nic wolno go ignorować. A więc dlaczego?

Tak, to ważne pytanie. - Siwowłosy chytrusek Li Pei spojrział na towarzysza Chao. Dlaczego ten człowiek wciąż żyje? Na ostatniej naradzie mó-

wieś, że to tylko kwestia czasu.

- Może dlatego, że jest chytrzejszy od ciebie odparł cicho Chao Tang.

Paryż

Czternasta dzielnica, która rozciąga się za Boulevard du Montparnasse, należała kiedyś do ulubionych dzielnic zamieszkałych w Paryżu Amerykanów. Jednak Ambler bardzo wątpił, żeby dlatego Fenton wybrał to miejsce na kryjówkę - a przynajmniej na jedną z kryjówek, gdyż prawdopodobnie miał ich wiele. Labiryntem jednokierunkowych ulic ciągnął sznur samochodów zmierzających na Orły i do przemysłowych dzielnic na południu miasta. Demonstranci, charakterystyczni dla Paryża tak samo jak bezdomni dla Nowego Jorku, od dawna upodobali sobie Denfert RocherEAU na skrzyżowaniu kilku głównych arterii. Ale nawet na mniej ruchliwych ulicach roiło się od bretońskich knajpek z naleśnikami, nocnych klubów i kafejek: żeby dotrzeć do miejsc spokojniejszych, trzeba było iść znacznie dalej. Jednym z nich była rue Poulenc. Fenton dał mu ten adres jeszcze w Montrealu; Ambler miał się tam zgłosić po wykonaniu zadania. Biuro SSG przy rue St. Domini-que nie wchodziło w rachubę. Jedna wizyta wystarczyła.

Dom oznaczony numerem 45 był uderzająco szary i nijaki. Mógłby się w nim mieścić gabinet miejscowego okulisty czy dentysty. Górne okna były zasłonięte zakurzonymi żaluzjami, za szybą dolnych zwiślały jakieś pnącza, smętna próba rozweselenia czegoś, czego rozweselić się nie dało.

Hal nacisnął dzwonek i musiał czekać prawie minutę, zanim ktoś przyjrzał

mu się przez wizjer lub za pomocą ukrytej kamery. Wreszcie coś głucho 205

zgrzytnęło i trzasnął zamek. Ambler przekreślił klamkę i wszedł do wyło-

żonego dywanem opustoszałego holu. Po prawej stronie były schody na górę. Leżał na nich kosztowny dywan, który przytrzymywały na stopniach błyszczące mosiężne pręty. Zaskrzeczały małe głośniki wbudowanego w podstawę schodów interkomu i popłynął z nich soczysty baryton Fentona.

- Jestem na dole. Na końcu korytarza.

Korytarz, drzwi, kolejne schody. I podwójne drzwi na półpiętrze. Ambler zapukał.

Paul Fenton powitał go w progu. Powitał i wprowadził do czegoś, co wyglądało jak gabinet naukowca. Wszystkie ściany były zastawione półkami, a półki książkami. Ale nie takimi, jakie kupuje się dla ozdoby, lecz takimi, jakich naprawdę się używa, wypłowiałymi ze starości księgami o wytartych, wystrzępionych grzbietach.

- Siadaj - rzucił do Fentona. Wskazał mu obrotowy stołek na kółkach, a sam usiadł na składanym metalowym krześle.

- Ładnie tu - powiedział Ambler. Był dziwnie spokojny. Karetkę ukryli na automatycznym parkingu, a gdy wrócili do hotelu, nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Powrócili do normalności. Ot tak, po prostu. Dlatego teraz, wkraczając do tego zacisznego, choć dziwaczego imperium Fentona, czuł się jedynie odrętwiały.

- Pewnie będziesz się śmiał, ale jest to wierna replika gabinetu Pierre'a du Pre, tego z Coilege de France. A na górze prawie doskonała replika gabinetu dentysty z Montparnasse'u. Można by kręcić tam film. Moi technicy go urządzali. Chciałem sprawdzić, czy to w ogóle możliwe, i okazało się, że tak.

Możliwe, ale cholernie trudne.

Co dwie głowy to nie jedna - powiedział Ambler, obracając się powoli na stołku. A co cztery ręce to nie dwie.

- Słucham?

Z wystudiowaną nonszalancją Ambler spojrzał mu prosto w oczy.

- Zaskoczyło mnie, że postanowiłeś wysłać do parku jeszcze jednego snajpera. I że mi nic o tym nie powiedziałaś. Pewnie uznałaś, że przyda mi się wsparcie, ale w tym przypadku było to operacyjnie nieuzasadnione. I niezbyt mądre, bo mógłbym go wziąć za obcego i po prostu zdjąć.

Fenton miał dziwną minę. Był szczerze zaskoczony.

- Nie rozumiem...

- Chcę tylko powiedzieć - ciągnął Ambler - że nie pracuję ze wsparciem

a jeśli już, to z ludźmi, których znam.

- Ale z jakim wsparciem?

Hal sondował wzrokiem jego twarz, szukając w niej czegoś fałszywego, śladów choćby najmniejszego napięcia. Nie znalazł niczego.

- Bo jeśli chodzi o tego Chińczyka...

- O jakiego Chińczyka? - przerwał mu Fenton.

Ambler przekrzywił głowę i westchnął.

Nie wiesz, o czym mówię, prawda?

- Boję się, że nie. Był tam ktoś jeszcze? Coś się stało? Jeśli tak - muszę o tym wiedzieć.

Wierz mi, gdyby coś się stało, dowiedziałbyś się o tym pierwszy-zełgał

bez zajknięcia Hal. Nie, nic się nie stało. A jeśli chodzi o tych Obserwatorów, rozumiem, że było to konieczne...

Przecież to tylko standardowa procedura zaprotestował Fenton.

Nie ma problemu. Kiedy pracowałem w OSP, zwykle wszystkich zna-

łem, no ale cóż, to było w OSP...

- Dobrze - powiedział Fenton. Odniósł sukces tylko dzięki temu, że potrafił skupić się na najważniejszym, pomijając nieistotne szczegóły. - Już zaczynałem się martwić. Grunt, że spełniłeś nasze oczekiwania i podtrzymałeś swoją reputację. Bardzo się cieszę. Zrobiłeś swoje szybko i czysto.

Wykazałeś się pomysłowością, sprawnością i umiejętnością podejmowania decyzji. Byłeś świetny. Masz przed sobą przyszłość. Chciałbym wciągnąć cię do kręgu najbliższych współpracowników. Na samą górę. Ale pamiętaj, w SSG nie ma urzędasów. Ludzie o orlim wzroku muszą być drapieżnikami jak orły. To moja filozofia. Uspokajającym gestem podniósł rękę. - Nie, nie, nie zapomniałem o naszej rozmowie przed Pałacem Kongresowym. Chciałeś się czegoś dowiedzieć. Powiedziałem ci wtedy, że musisz mieć potężnych wrogów i potężnych przyjaciół, i chyba się nie pomyliłem. Rozmawiałem z moim głównym wspólnikiem z Departamentu Stanu.

- No i?

- Coś tam mają, ale nie za bardzo chcą mówić. Kategoryzowanie informacji, i tak dalej. Ale rozumiem to i szanuję. Najważniejsze, że wspólnik zgodził się spotkać z tobą w cztery oczy. Obiecał wprowadzić cię w szczegó-

ły. Umówię was, jak to tylko będzie możliwe. Może nawet tutaj.

- Kto to jest?

- Przyrzekłem mu, że tego nie zdradzę. Jeszcze nie. Zawsze dotrzymuję słowa, jeszcze się o tym przekonasz.

- No to dotrzymaj, do cholery - warknął Ambler. Miałeś mi zapłacić wiedzą. Myślisz, że wyłgasz się tak nędzną wymówką?

Rumiana twarz Fentona poczerwieniała jeszcze bardziej.

207

- To nie jest tak, jak myślisz - odparł spokojnie. - Mój wspólnik chce się z tobą spotkać. Tym bardziej teraz. I za kilka dni na pewno się spotkacie. Nie będziesz czekał w nieskończoność. Wiem, że ludzie tacy jak ty chcą jak najszybciej wrócić do pracy. A po akcji w Ogrodach Luksemburskich nie ma zadania, którego bym ci nie powierzył. Reklama zwykle kłamie. Ale nie w twoim przypadku. Jesteś naprawdę świetny.

- Cóż mogę powiedzieć? - rzucił obojętnie Ambler. Nic Ariadny - sprawdź, dokąd prowadzi.

- Marny na tapecie wyjątkowo fascynujący projekt. Ale nie pakuj jeszcze walizek. Przedtem czeka cię pewne zadanie.

- Jeszcze jedno?

- Człowiek, którego naprawdę trzeba zabić. Wybacz, że mówię tak bezpośrednio. To będzie dość trudne...

- Aha, trudne - powtórzył Hal.

- Powiem ci tylko tyle, że Wydział Operacji Konsularnych uznał, że nie da się go „odzyskać”. Jest rozkaz: namierzyć, schwytać lub zlikwidować. Przydzielili do tego najlepszych. Ale i tak przyszli do mnie. Zawsze przychodzą.

Nie chcą i nie mogą ryzykować. Weźmiesz Fentona, będziesz miał rezultaty.

Dlatego ja też przydzieliłem do tego mojego najlepszego człowieka: ciebie.

- Kto jest celem?

- Ktoś świetnie wyszkolony i doświadczony, prawdziwy as. As, który się zbiesił.

Kiepsko.

- Bardzo. Gorzej być nie mogło.

A konkretnie? Kto to?

- Psychopata, który za dużo wie, bo przez wiele lat pracował i w terenie, i w centrali. - Zatroškany Fenton spochmurniał. - Zna wiele tajemnic, hasła procedury, kody operacyjne, wszystko. W dodatku zwariował. Každy dzień jego życia to większe niebezpieczeństwo dla kraju.

- Dzięki, nie ma to jak dokładne informacje. Brakuje tylko nazwiska.

- Oczywiście. Harrison Ambler.

Hał drgnął.

Fenton uniósł brew.

- Znasz go?

Ambler z trudem zachował kamienną twarz.

- Powiedzmy, że miałem z nim do czynienia.

Część III

Rozdział 19

Langley, Wirginia

layton Caston ponownie otworzył teczkę pacjenta, którą przysłano mu Cte go ranka, i jeszcze raz obejrzał zdjęcie. Przystojna, lecz w sumie przeciętna twarz o ostrych, regularnych rysach, w których było coś okrutnego.

Zamknął teczkę. Niektórzy śledczy potrafili gapić się na zdjęcia godzinami i analizować wszystkie szczegóły. On do nich nie należał. Podpisy cyfrowe, zestawienia wydatków - tego rodzaju dane były o wiele cenniejsze niż to, o czym wiedziało každy dziecko: że człowiek ma dwoje oczu, nos, usta i uszy.

Adrian?

Tak, Shifu. - Adrian złożył ręce jak do modlitwy w teatralnym geście uległości i posłuszeństwa. „Shifu”. Caston wyczytał, że młodzi adepci wschodnich sztuk walki zwracają się tak do swego instruktora; od „Shifu” roilo się w každy-

dym filmie karate. Ten młodzieniec ma dziwne poczucie humoru, pomyślał.

Co z tą listą? Są jakieś postępy?

- Pyta pan o personel oddziału 4Z? Nie. Ale zapotrzebowanie 1133 A już zrealizowano, prawda?

- Tak. Bardzo sprawnie to załatwiłeś, imponujące tempo.

- Przysłali też teczkę pacjenta. Jest tam jego zdjęcie.

- Tak, widziałem.

- A jeśli chodzi o tę listę, mówią, że jeszcze jej nie uzupełnili.

- Niech przyślą to, co mają.

Tak im powiedziałem, ale nic z tego. - Zamyślony Adrian zagryzł dolną wargę, błyskając złotym kolczykiem w języku. Muszę przyznać, że są wyjątkowo oporni. Dosłownie robią nam na złość.

211

Caston ironicznie uniósł brew.

- „Dosłownie” dosłownie czy „dosłownie” w przenośni?

Spokojna głowa, jeszcze się nie poddałem.

Caston uśmiechnął się lekko i usiadł wygodniej. Czuł się coraz bardziej nieswojo. Informacje, które otrzymał, robiły wrażenie przebranych. Wyselekcjonowanych. Przeznaczonych dla ludzi takich jak on. Owszem, było wśród nich sporo nowych danych na temat zadań, jakie Tarkwiniusz wykonywał

w Oddziale Stabilizacji Politycznej. Ale ani słowa o jego prawdziwej toż-

samości. No i ani słowa o tym, jak trafił na wyspę Parrish. Wystawienie skierowania do ośrodka psychiatrycznego to co najmniej kilka dokumentów, to papierowy ślad, tymczasem w przypadku Tarkwiniusza dokumenty te były niedostępne. Ośrodek na wyspie Parrish był ośrodkiem rządowym i jako taki musiał przechowywać w archiwum akta wszystkich zatrudnionych tam pracowników. Jednak każda próba ich pozyskania kończyła się niepowodzeniem. Caston wątpił, żeby z winy tamtejszych urzędników. Wątpił nawet, żeby z winy jego odpowiednika w Departamencie Stanu, człowiek ten nie śmiałby raczej utrudniać prowadzonego przez nich śledztwa. Co oznaczało, że utrudniał je ktoś z innego szczebla: z niższego, a więc poza zasięgiem radaru, lub z wyższego, a więc całkowicie poza strefą obserwacyjną.

Wszystko to razem było doprawdy irytujące.

Zadzwęczał telefon. Podwójny dzwonek, linia wewnętrzna. Caleb Norris.

Miał dziwnie przygaszony głos. Poprosił go do siebie. Natychmiast.

Gdy Clayton wszedł do gabinetu, okazało się, że Norris jest jeszcze bardziej zasepiony, niż to było słyhać w słuchawce.

Wstał, skrzyżował na piersi swoje grube ręce i nie zważając na sterczące spod koszuli włosy, wyraźnie zdenerwowany rzucił:

- Rozkaz z góry. Kończymy śledztwo - powiedział i uciekł wzrokiem w bok. - No i tyle.

- O czym ty mówisz? - Caston z trudem ukrył zaskoczenie.

- Szef dogadał się z Departamentem Stanu. - Czoło Norrisa lśniło od potu w skośnych promieniach wieczornego słońca. - Tak czy inaczej, dano nam do zrozumienia, że śledztwo koliduje z prowadzoną przez nich operacją.

- Wiadomo z jaką?

Norris wzruszył ramionami tak gwałtownie, że podskoczyła mu cała pierś.

Na jego twarzy malował się wyraz odrazy i rozdrażnienia, którego powodem nie był bynajmniej Caston.

- Ściśle tajną, jasne? Szczegóły wymagają specjalnej autoryzacji, której nam oczywiście nie udzielono. Ten cały Tarkwiniusz jest podobno w Paryżu.

Chcą tam na niego zapolować.

212

- Zapolować czy upolować?

- A skąd mam wiedzieć? Odcięli nas, zatrzasnęli nam drzwi przed nosem.

- Na cios najlepiej odpowiedzieć ciosem.

- Clayton, do ciężkiej cholery. Nie mamy wyboru, rozumiesz? To nie zabawa, to słowa samego szefa. Precz z łapami albo polecą głowy. Dotarło?

Słowa samego szefa.

- Ten sukinsyn nie odróżniłby poliomy od polipa - warknął Caston. -

Robi błąd.

- Wiem, że robi błąd - wybuchnął Norris. - Ale tu chodzi o demonstrację siły, kapujesz? Nikt z tamtych nie chce uznać prymatu CIA. I dopóki nie uzyskamy poparcia prezydenta i Senatu, nikt tego nie robi.

- Nie lubię, jak ktoś mi przerywa. Kiedy rozpoczynam śledztwo...

Doprowadzony do rozpaczyny Norris zmiażdżył go wzrokiem.

- To, co myślimy, ty czy ja, jest gównem. W grę wchodzi zasada proceduralna. Naczelnik uległ, szef podjął decyzję, a my musimy się jej podporządkować.

Caston długo milczał.

- Nie sądzisz, że to dziwne?

- Sądzę, ale co z tego? - Przygnębiony Norris zaczął krążyć po gabinecie.

- Bardzo dziwne - dodał Caston. - Źle się z tym czuję.

- Ja też, co w niczym nie zmienia faktu, że śledztwo już się skończyło.

Zamykamy akta, palimy je na stosie i zapominamy, że kiedykolwiek istniały.

To rozkaz.

Bardzo dziwne - powtórzył Caston.

- Clay, bitwy się wybiera - mruknął Norris głosem człowieka pokonanego.

- Nie uważasz, że to bitwy zawsze wybierają? - Caston odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kto tu, do cholery, rządził?

Zamyślony wrócił do siebie i usiadł. Dziwne. A może to, co dziwne, wymaga dziwnej reakcji? Popatrzył na leżące na biurku akta, przeniósł wzrok na trochę mniej starannie uporządkowane biurko Adriana i zamyślił się jeszcze bardziej.

„Ten cały Tarkwiniusz jest podobno w Paryżu. Chcą tam na niego zapolować”.

Przysunął bliżej bloczek papieru i zaczął robić listę. Pepto-Bismol. Ibu-profen. Maalox. Imodium. Podróżować bez leków? Nigdy. Choroba loko-mocyjna, obce bakterie, rozstrój żołądka. Zadrżał na myśl, że będzie musiał

wsiąść do samolotu. Nie chodziło o lęk wysokości, o klaustrofobię czy strach przed katastrofą. Chodziło o to, że w samolocie oddycha się powietrzem, którym oddychają inni pasażerowie: wystarczy, że będzie tam jakiś gruźlik czy ktoś, kto rozsiewa prątki jakiegoś innego paskudztwa, i... To takie nie-higieniczne. Dadzą mu zarzygany fotel. No, na pewno już wyczyszczony, 213

mimo to zarzygany, taki z pasożytami układu pokarmowego w każdym zaka-marku obicia. I włochaty koc, w którym będzie roilo się od przeróżnych krętków przyciąganych przez naelektryzowane włókna.

Nie mógł się powstrzymać: z dolnej szuflady biurka wyjął *Domowy po-radnik medyczny* i zaczął przeglądać spis treści.

Głośno wypuścił powietrze. Potworność.

Jedzenie. Czekają go to obrzydliwe francuskie jedzenie. Prawdziwy horror, horror nie do uniknięcia. Ślimaki. Żabie udka. Sery z pleśnią. Rozdęte wątroby karmionych na siłę gęsi. Niebezpieczeństwa związane z niezna-omością języka. Może zamówić w restauracji kurczaka i dostać jakieś obrzydliwstwo, które tylko smakuje jak kurczak. Osłabiony gruźlicą, której bez wątplenia nabawi się w samolocie, nie będzie miał szans na przeżycie.

Zadrżał. Brał na siebie zbyt wielki ciężar. Nie zrobiłby tego, gdyby nie pewność, że gra o bardzo wysoką stawkę.

Zdjął nasadkę z wiecznego pióra i zaczął notować.

Zapełniwszy całą stronę równym, starannym pismem, podniósł wzrok i gło-śno przełknął ślinę.

- Adrian, wybieram się w podróż. Do Paryża. - Miał nadzieję, że powiedział to bez przerażenia w głosie.

- Super! Entuzjazm Adriana był zupełnie nie na miejscu. - Urlop? Jedzie pan na tydzień czy na dwa?

- Jeszcze nie wiem. Posłuchaj, co zabiera się w podróż?

- Czy to pytanie z rodzaju podchwytliwych?

- Jeśli nawet, to na nie odpowiedz.

Adrian ściągnął usta.

- A pan? - spytał. - Co pan zwykle zabiera na urlop?

- Ja nie biorę urlopów - odparł niewzruszony Caston.

- No to kiedy pan gdzieś wyjeżdża.

- Nie znoszę jeździć. Nigdy nie lubiłem. Jeżdżę tylko po dzieci, kiedy wracają z obozu, ale to się chyba nie liczy.
- Chyba nie... Ale w Paryżu na pewno będzie super. Będzie się pan dobrze bawił.
- Bardzo wątpię.
- W takim razie dlaczego pan jedzie?
- Już ci mówiłem. - Caston wyszczerzył zęby w trupim uśmiechu. - Jadę na urlop. To nie ma nic wspólnego z pracą. Ani z naszym śledztwem, które jak mi przed chwilą zakomunikowano, zostało oficjalnie zamknięte.

Adrianowi nareszcie coś zaświtało.

To trochę... dziwne. Nie uważa pan?

2!4

- Bardzo.
- Nietypowe. Powiedziałbym nawet, że... nienormalne.
- Właśnie.
- Ma pan dla mnie jakieś polecenia? - Podekscytowany Adrian już chwycił długopis. - Shifu? - dodał z błyskiem w oczach.
- Skoro już o tym wspomniałeś... - Caston pozwolił sobie na lekki uśmiech-
- Tak, w rzeczy samej. A więc posłuchaj, Pasikoniku...

Rozdział 20

Paryż

rzy rue St. Florentin, kilkaset metrów od Place de la Concorde, stał długi, P elegancki budynek w stylu Haussmanna, taki z bogato zdobionymi bal-konami z kutego żelaza i wysokimi dzielonymi oknami. Pod czerwonymi markizami na parterze mieściły się luksusowe księgarnie i perfumerie oraz biura zagranicznych instytucji. Był tam również konsulaty amerykański, ostatnie miejsce, gdzie - teoretycznie rzecz biorąc Ambler chciałby się pokazać. Ale w tym pozornym szaleństwie tkwiła racjonalna metoda.

Po tym, co zaszło w Ogrodach Luksemburskich, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że będą go wypatrywać pracownicy wszystkich amerykańskich konsulatów na całym świecie. Paradoksalne było to, że mógł ten fakt wykorzystać.

Częściowo chodziło o to, żeby wiedzieć, czego się szuka, a on wiedział.

Wiedział, że biura przy rue St. Florentin 2 są doskonałą przykrywką dla placówki Wydziału Operacji Konsularnych. Na parterze stała kolejka zrozpaczonych turystów, którzy zgubiwszy paszport, musieli wypełnić formularze wydawane przez urzędnika z miną przedsiębiorcy pogrzebowego. Jeszcze gorzej mieli obcokrajowcy. Ci tracili nadzieję już w drzwiach, gdyż urzędnicy rozpatrujący wnioski wizowe pracowali tu w tempie ślimaków.

Jednak żaden turysta ani pracownik sekcji konsularnej nie pomyślał nawet, co dzieje się na wyższych piętrach budynku, dlaczego sprzęta tam inna ekipa sprzętaczek i dlaczego pracujący tam ludzie korzystają z osobnych wejść. Bo właśnie tam mieściła się paryska placówka Wydziału Operacji Konsularnych, którego szefowie -jak twierdził Fenton uznali, że były agent o pseudonimie Tarkwiniusz „nie nadaje się do odzyskania”.

215

Hal chciał wejść do jaskini lwa, ale tylko pod warunkiem że lwa w niej nie będzie.

Lwem był w tym przypadku niejaki Keith Lewalski, korpulentny sześćdziesięciolatek, który rządził żelazną ręką i którego prześladowała obsesja bardziej przystająca do Moskwy z lat pięćdziesiątych niż do współczesnego Paryża.

Niechęcią, a nawet pogardą, jaką wzbudzał wśród współpracowników, zupeł-

nie się nie przejmował, gdyż w oczach zwierzchników uchodził za solidnego menedżera bez żadnej wpadki na koncie. Awansował na stanowisko, na jakie chciał awansować, i nie miał większych ambicji. Ambler znał go tylko ze słyszenia, z reputacji, której bynajmniej nie chciał sprawdzać.

Jego los spoczywał w rękach Laurel.

Czy popełnił błąd? Czy narażał ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo?

Na pewno, ale nie mógł zrobić inaczej tego, co musiał.

Usiadł na krześle w pobliskiej kafejce i zerknął na zegarek. Jeśli jej się udało, za chwilę powinien się o tym przekonać.

A jeśli nie? Jeśli coś nie wypaliło? Zalała go fala zimnego strachu.

Wytłumaczył jej dokładnie, co ma robić zapamiętała wszystkie wskazówki. Ale nie była profesjonalistką. Czy potrafiłaby improwizować? Czy poradziłaby sobie z czymś nieoczekiwanym?

Była w Ambasadzie Amerykańskiej przy Avenue Gabriel i jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, już zadzwoniła do konsulatu. Zrobiłby to sam, ale nie mógł ryzykować, gdyż w centrali telefonicznej konsulatu mogli mieć analizatory głosu. Tylko czy zadzwoniła? Czy nie popełniła jakiegoś błędu?

Omawiali przeróżne scenariusze, brali pod uwagę przeróżne ewentualno-

ści. W końcu, zapoznawszy się ze stroną internetową ambasady, ustalili, że jako asystentka kuratora znanego muzeum uczestniczącego w międzynarodowym programie wymiany kulturalnej pójdzie na Avenue Gabriel, żeby zapoznać się ze szczegółami najbliższego spotkania. Duże znaczenie miało również to, że w wydziale kulturalnym ambasady panowała granicząca z chaosem dezorganizacja. Pracownicy ciągle deptali sobie po piętach, dublując powierzone im zadania lub w ogóle ich nie wykonując. Laurel miała powiedzieć, że doszło do jakiegoś nieporozumienia z datami, i chciałyby je z kimś wyjaśnić. Najprawdopodobniej wysłano ją na trzecie piętro i kazano czekać.

Tam miała spytać, czy mogłaby zadzwonić do kuratora i uprzedzić go, że sprawa trochę się przeciągnie.

Dał jej numer i nauczył kilku charakterystycznych zwrotów z żargonu, jakim posługiwali się tamtejsi urzędnicy: miała zadzwonić do konsulatu i przekazać pilną wiadomość dla Keitha Lewalskiego: przyjechał ważny dygnitarz z Departamentu Stanu i konieczna jest jego natychmiastowa obecność. W cen-216

trali konsulatu wyświetli się numer ambasady, a żargon przekona telefonistkę, że sprawa jest naprawdę pilna.

Rola Laurel wymagała odrobiny aktorstwa i wielkiej precyzji. Jak sobie poradziła? Czy w ogóle poradziła?

Ponownie spojrzął na zegarek, próbując nie myśleć o tym, co mogło pójść nie tak. Pięć minut później z domu przy St. Florentin 2 spiesznie wyszedł

otyły mężczyzna. Gdy wsiadł do czekającej przy krawężniku limuzyny, Hal odetchnął. A jednak sobie poradziła.

Pytanie tylko, czy jemu też się uda.

Gdy tylko samochód zniknął za rogiem, wszedł do konsulatu krokiem człowieka zblazowanego, choć zdecydowanego.

- Paszporty na lewo, wize na prawo - powiedział znudzony strażnik. Siedział w czymś w rodzaju szkolnej ławki. Na niej stał kubek z zatemperowanymi ołówkami bez gumki. Pewnie używali ich tu kilkadziesiąt dniennie.

Sprawa urzędowa - mruknął Ambler.

Strażnik wskazał mu stanowisko po drugiej stronie sali. Nie zwracając uwagi na stojących w kolejkach ludzi, Hal podszedł do lady, za którą siedziała młoda tęga kobieta. Miała przed sobą listę artykułów biurowych i z namaszczeniem stawiała na niej ptaszki.

- Jest Arnie Cantor? - rzucił Hal.

- Chwileczkę. - Dziewczyna potoczyła się do drzwi i zaraz potem do Hala podszedł młody mężczyzna.

- Pan do Arniego Cantora? Można spytać o nazwisko?

Ambler przewrócił oczami.

- Jest albo go nie ma - odparł znudzonym głosem. Zaczniemy od tego.

- Nie, w tej chwili go nie ma - odrzekł niepewnie tamten. Miał krótkie włosy - krótkie urzędniczo, nie wojskowo - i szczerą twarz młodego, „zielonego” agenta.

- A gdzie jest? W Mediolanie? Znowu ciupcia Francescę? Nie, lepiej nie odpowiadaj.

Agent uśmiechnął się lekko i wbrew sobie.

- Nie wiedziałem, że... - Wyprostował się i spojrzał na niego z przesadną, bo wyćwiczoną szczerością. - Ale może ja będę mógł pomóc?

- Za wysokie progi, staruszk - odparł zjadliwie Hal i zerknął na zegarek.

- Szlag by to. Wy chyba jaja sobie robicie, co?

- Słucham?

- I dobrze, lepiej słuchaj.

- Gdyby zechciał pan się przedstawić...

- Nie wiesz, kim jestem?

- Boją się, że nie.

- W takim razie powinieneś natychmiast przyjąć założenie, że tak musi być. Ty chyba prosto z inkubatora, co? Zrób coś dla siebie, dobra? Jak coś cię przerasta, od razu krzycz o pomoc.

„Inkubator”: żargonowa nazwa programu szkoleniowego, który musieli zaliczyć wszyscy nowi agenci.

Tamten uśmiechnął się krzywo.

- Ale co mam zrobić?

- Masz dwa wyjścia. Możesz zadzwonić do Arniego; jak nie masz numeru Franceski, to ci go dam. Albo możesz pogonić jednego z tych kowbojów na górze. Mam wiadomości, *comprenez-vous?* Im szybciej zejdziesz z oczu tym cywilom, tym lepiej. - Coraz bardziej zniecierpliwiony, ponownie spojrzał na zegarek. - A zresztą nie, chodźmy stąd - rzucił. - Nie mam czasu. Gdyby-

ście nie spieprzyli sprawy, siedziałbym sobie na tyłku i robił swoje.

- Ale musi pan okazać dowód... tożsamości? Żądanie w ostatniej chwili zmieniło się w pytanie. Zaskoczony agent czuł się coraz bardziej niepewnie.

- Jezu, dajesz dupy po raz trzeci. Dowód tożsamości? Który? Mam cztery.

Tłumaczą ci jak komuś dobremu, że idę prosto z terenu. Myślisz, że łążą po mieście z prawdziwymi papierami? Posłuchaj, chłopcze. Nie utrudniaj mi roboty. Kiedyś stałem dokładnie w tym samym miejscu co ty teraz. Dobrze pamiętam, jak to jest.

Ambler wszedł za ladę i wcisnął guzik windy dwa kroki dalej.

- Nie może pan jechać sam - zaprotestował agent.

Nie zamierzam, pojedziesz ze mną.

Skonsternowany agent lekko się zawahał, ale wszedł z nim do windy. Zdecydowane ruchy i władczy głos były o wiele skuteczniejsze niż jakiegokolwiek dokumenty. Hał wcisnął drugie piętro. Mimo antycznego wyglądu harmonijkowe drzwi zewnętrzne, małe okienko w obitych skórą drzwiach wewnętrznych sama ma-szyneria była nowa i gdy winda się zatrzymała, wkroczyli do zupełnie innego świata.

Co wcale nie znaczyło, że do obcego. Sala wyglądała tak samo jak niemal wszystkie sale w wydziale wywiadowczo-badawczym Departamentu Stanu.

Rzędy biurek, płaskie monitory, telefony. I - zgodnie z zarządzeniem wydanym po zamachu na ambasadę w Teheranie w 1979 roku - rzędy kubełków pod niszczarkami dokumentów. Ale najbardziej znajomo wyglądali pracujący tu ludzie, niejako poszczególni osobnicy, lecz jako określony typ. Białe koszule, rypsowe krawaty - kilka kosmetycznych poprawek i mogliby uchodzić za pracowników IBM z początku lat sześćdziesiątych, złotej ery amerykańskiej myśli technicznej.

Ambler szybko powiódł wzrokiem po sali, odnajdując, zanim ten go zauważył i wstał, najstarszego rangą „kowboja” - szerokie biodra, kurza klatka 218

piersiowa, pociągła, zarozumiała gęba, grube, krzaczaste brwi, grzywka na oczach na studencką modłę sprzed lat. Pierwszy zastępca Keitha Lewalskiego. Siedział w rogu, bo nie było tu osobnych pomieszczeń.

Ambler nie czekał.

- Hej, ty rzucił szorstko. Chodź no tu. Musimy pogadać.

Skonsternowany chuderlak podszedł bliżej.

- Od kiedy siedzisz na tej placówce? - spytał Hal.

Chwila wahania.

- A kim pan właściwie jest?

- Od kiedy, do ciężkiej cholery?

Ostrożne:

- Od pół roku.

Ambler zniżył głos.

- Tarkwiniusz: mówi ci to coś? Dalej jesteście w stanie pogotowia?

Ledwie dostrzegalne skinienie głową.

- To już chyba wiesz, kim jestem, a raczej kim jesteśmy. I nie będziesz na tyle głupi, żeby wtykać nos w nie swoje sprawy.

- Pan z... przesyłek? - spytał tamten przyciszonym głosem. Na jego załk-nionej twarzy pojawił się wyraz zazdrości: on, zwykły urzędnik, rozmawiał

z zawodowym zabójcą.

Nie ma żadnych przesyłek, a ty nigdy mnie nie widziałeś - odparł ochrypłym głosem Hal, chociaż chwilę wcześniej potwierdził jego domysły lekkim skinieniem głowy. - Tak to rozegramy, jasne? Jak masz jakieś waty, wal prosto do szefowej. Chociaż na twoim miejscu dobrze bym się zastanowił, chyba że ci to wisi i chcesz pracować gdzieś indziej. Nadstawiamy tyłek w terenie, żebyście mogli posadzić swoje tłuste dupska na wygodnym krzeselku. Straci-

łem dziś człowieka. Jeśli śledztwo wykaże, że coś spieprzyliście, dostanę sza-

11. Moi chłopcy też. Powiem ci tylko jedno: teraz liczy się czas.

Urzędnik wyciągnął do niego rękę.

- Sampson. W czym mogę pomóc?

- W sprzątaniu.

-- To znaczy, że...

. - Że o dziewiątej cel został wyeliminowany;

- Szybka robota.

- Szybsza niż przypuszczaliśmy. I mniej przyjemna, niż zakładaliśmy.

- Rozumiem.

Bardzo wątpię. Ambler mówił głosem władczym i apodyktycznym. -

Niepokoi nas wasza krypa. Bo chyba przecieka.

- Co takiego? Pan żartuje.

- Zapamiętaj, chłopcze: ja nie mam poczucia humoru. To tylko domysły, ale trzeba je sprawdzić. Tarkwiniusz za dużo wiedział. Skutek? Kompletny burdel. Muszę natychmiast skontaktować się z Waszyngtonem. Na czystych, bezpośrednich łączach, bez Jasia gumowe ucho za ścianą.

- Powinniśmy omówić to...

- Nie wkurwiał mnie, Sampson!

- W takim razie trzeba na górę, do klatki. Jest całkowicie hermetyczna i dźwię-

koszczelna, codziennie ją sprawdzamy. Spełnia wszystkie wymagania i...

- Wiem, co spełnia. - Ha! spiorunował go wzrokiem. - Zbudowano ją według naszych zaleceń. Wymagania to jedno. Ich przestrzeganie to drugie.

- Jest całkowicie bezpieczna, osobiście to gwarantuję.

- Muszę coś sprawdzić i złożyć meldunek. A potem niech się dzieje, co chce.

- Oczywiście.

Ambler zmrużył oczy.

- No to chodźmy.

Większość ambasad i konsulatów jest wyposażona w „klatkę”, pomieszczenie, w którym przetwarza się i przechowuje dane wywiadowcze. Ponieważ jednym z najbardziej widocznych symboli potęgi USA stał się supernowoczesny system łączności i dowodzenia, Departament Stanu ugiął się pod presją wojskowych, uznając przewagę rozwiązań siłowych nad dyplomatycznymi. Było tak już od kilkudziesięciu lat, od końca zimnej wojny, lecz świat, w którym żyli ludzie pokroju Sampsona, różnił się od świata zewnętrznego. Urzędnicy tacy jak on wciąż pracowicie sporządzali przeróżne raporty i analizy, uważając, że są w samym środku wydarzeń, chociaż echo tych wydarzeń już dawno przebrzmiało.

„Klatka” mieściła się za dwójgim drzwiami. Dzięki zmyślnemu systemowi klimatyzacyjnemu panujące w niej ciśnienie było nieco wyższe od ciśnienia zewnętrznego, tak że jeśli któreś z nich zostały otwarte, pracujący w „klatce”

operator natychmiast to wyczuwał. Były zrobione z grubej stali i dla pełnej hermetyczności zaopatrzone je w gumowy kołnierz. Zgodnie z obowiązują-

cymi wymogami konstrukcyjnymi ściany „klatki” składały się z kilkunastu naprzemiennie ułożonych warstw betonu i włókna szklanego.

Ambler wcisnął guzik i drzwi się zamknęły. Przez chwilę panowała głucha cisza. Pomieszczenie było duszne i słabo oświetlone. Potem zamrugały halo-genowe światła i rozległ się cichy syk włączającego się systemu klimatyzacyjnego. „Klatka” miała około trzydziestu siedmiu metrów kwadratowych powierzchni i były w niej dwa usytuowane obok siebie stanowiska robocze: pokryte białym laminatem stoły, za którymi stały dwa krzesła z obitymi czarną tapicerką owalnymi siedzeniami i oparciami. Na stołach stały płaskie mo-220

nitory, identyczne z tymi na dole, a na zamontowanych nad stołami półkach dwa komputery w beżowej obudowie, które dzięki bardzo szybkim łączom światłowodowym utrzymywały stałą łączność z Waszyngtonem, przesyłając i odbierając stamtąd gigabajty zaszyfrowanych przekazów. Tego rodzaju system łączności sprawdzano, aktualizowano i synchronizowano co godzina.

W każdym komputerze zainstalowano trzy napędy stałe o łącznej pojemności osiemdziesięciu czterech terabajtów. Komputery wyposażono również w aktywny system kontroli, oprogramowanie wykrywające i korygujące błę-

dy oraz w automatyczny system kasowania danych, który włączał się w razie jakichkolwiek zakłóceń. Przedsięwzięto wszystkie możliwe środki ostrożno-

ści, żeby olbrzymia baza danych nigdy nie wpadła w niepowołane ręce.

Hal musnął klawisz i czekał, aż rozbłyśnie ekran monitora: wszystko było już podłączone, wszystko

działało. Usiadł na krześle i wprowadził ha-sło. Był w najpilniej strzeżonym miejscu placówki. Wszedł tu bezczelnie i wiedział, że lada chwila wszystko może się wydać. Założył, że Lewalski wróci z ambasady za dwadzieścia minut, ale jeśli ruch był mały, mógł wrócić wcześniej. Dlatego musiał mądrze wykorzystać każdą sekundę.

Położył palce na klawiaturze i wystukał: „Wai-Chan Leung”. Na ekranie monitora ukazała się standardowa biografia sporządzona przez wydział wywiadowczo-badawczy Departamentu Stanu. Podkreślone linki prowadziły do plików tematycznych: rodzice, ich zainteresowania zawodowe, pochodzenie, powiązania polityczne. Nie znalazł tam niczego ciekawego. Działał-ność handlowa rodziców Wai-Chan Leunga nie była sterylnie czysta łapówki dla miejscowych polityków, nieudokumentowane łapówki dla zagranicznych urzędników niższego szczebla za ułatwienie kilku transakcji finansowych -

jednak biorąc pod uwagę miejsce i czas, należało uznać, że należeli do ludzi w miarę rzetelnych i uczciwych. Hał niecierpliwie wrócił do biografii samego Wai-Chan Leunga.

Znajome słowa, znajome zwroty. Rzecz w tym, że nie znalazł wśród nich ani jednej wzmianki na temat zarzutów z dossier przygotowanego przez Oddział Stabilizacji Politycznej. Dobrze wiedział, jakimi metodami posługiwali się zawodowi analitycy, jakich używali sformułowań i aluzji. Były to zwykle powściągliwe zaprzeczenia poprzedzone wstępem w rodzaju: „Wbrew pogłoskom o rzekomych kontaktach...” Albo: „Wbrew powszechnym spe-kulacjom...” Tymczasem niczego takiego tu nie znalazł. Analityków interesowało głównie to, w jaki sposób „zdecydowanie pokojowa retoryka” Leunga może wpłynąć na przyszłe relacje z Chinami. Hał skakał od akapitu do akapitu niczym samochód wyścigowy na wyboistej górskiej drodze. Od czasu do czasu zwalniał, żeby uważniej przeczytać ten czy inny fragment.

221

Wai-Chan

Leung wierzył w „liberalizację zbieżną”. Uważał, że powstanie bardziej demokratycznego rządu w Chinach doprowadzi do zacieśnienia więzów politycznych z Tajwanem. Jego przeciwnicy

natomiast

zachowywali

konserwatywną

postawę

wrogości

i podejrzliwości, postawę, którą bez wątpienia umacniały wrogość i podejrzliwość panujące wśród ich odpowiedników w Komunistycznej Partii Chin

i w Chińskiej

Armii Ludowo-Wyzwoleń-

czej . Jest wysoce prawdopodobne, że podobnego stanowiska w tej kwestii

nie

przeforsowałby

żaden

polityk

niedysponujący

jego

siłą oddziaływania i urokiem osobistym.

Słowa były suche i starannie dobrane, lecz opisywały młodego idealistę, któ-

rego Ambler widział na własne oczy, człowieka, który bronił swych poglądów bez względu na koszty polityczne i którego jeszcze bardziej za to szanowano.

Raport na temat Kurta Sollingera był mniej dokładny. Jako negocjator handlowy Sollinger, rocznik 1953, poświęcił piętnaście lat życia na sprawy europejskie, pracując w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, we Wspólnocie Europejskiej i wreszcie w Unii Europejskiej. Wychował się w belgijskim Deurne na średnio zamożnych przedmieściach Antwerpii. Jego ojciec był

wykształconym w Lozannie osteopatą, matka bibliotekarką. W szkole średniej i w college'u - liceum w Deurne i katolicki uniwersytet w Leuven -

młody Sollinger wykazywał naturalne w tym wieku tendencje lewicowe. Na początku lat osiemdziesiątych sfotografowano go w grupie demonstrantów protestujących przeciwko rozlokowaniu w Niemczech pocisków raketowych średniego zasięgu. Był sygnatariuszem kilku petycji Greenpeace oraz innych organizacji walczących o ochronę środowiska naturalnego. Jednak jako młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna zarzucił ten rodzaj działalności, całkowicie oddając się nauce. Obronił doktorat na temat związków między integracją europejską i gospodarką krajów członkowskich EWG; jego promotorem był

profesor Lambrecht. Hal czytał te suche słowa, szukając... Czego? Nie był

tego pewien. Ale jeśli istniał w tym wszystkim jakiś wzór, musiał chłonąć je z otwartym umysłem. Wtedy coś znajdzie. Albo i nie.

Szybko przesuwał stronę, prześlizgując się po otępiających listach biurokra-tycznych awansów

wielojęzycznego doktora Sollingera. Sollinger piął się w górę powoli i bez żadnych fajerwerków, jednak z czasem wyrobił sobie opinię człowieka prawego i inteligentnego, przynajmniej w świecie wysoko wykwalifikowanych technokratów, takich jak on. Zespół ds. Wschodnich - taki nagłówek miał kolejny fragment raportu. Ponieważ omawiano w nim działalność komitetu specjalnego do spraw handlu między Wschodem i Zachodem, któremu przewodniczył Sollinger, Hal czytał teraz wolniej i dokładniej. Oka-222

zało się, że komitet pracował nad układem handlowym między Europą i Chinami i że odnosił na tym polu duże sukcesy. Jednak po śmierci głównego euro-pejskiego negocjatora, Kurta Sollingera, prace nad układem zarzucono.

Z coraz szybciej bijącym sercem Ambler wprowadził do komputera kolejne nazwisko: Benoit Deschesnes. Liceum, uniwersytet, stypendia, asystentura na uczelni, praca w ONZ, w Komisji Monitoringu, Weryfikacji i Inspekcji, szybki awans w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej - opuścił mało istotne szczegóły.

Już wiedział, czego szukać, i znalazł to na końcu raportu. Deschesnes powołał specjalną komisję, która miała zbadać zarzuty, że Chiny rozpowszechniają broń jądrową. Wielu uważało, że podniesiono je ze względów politycznych, inni zaś mówili, że nie ma dymu bez ognia. Jako dyrektor generalny MAEA, Deschesnes słynął z uczciwości i niezależności. Opierając się na doniesieniach wywiadowczych z wielu różnych źródeł, analitycy z Departamentu Stanu doszli do wniosku, że po roku pracy raport był prawie gotowy i że oczyściłby Chiny z wszelkich zarzutów. W ostatnim dopisku, zaledwie przed kilkunastu godzin, dodano, że ze względu na nagłą śmierć Deschesnes'a

publikację

raportu

wstrzymano

do

odwołania.

Chiny.

Wszystko kręciło się wokół Chin. Słowo to mówiło mu wszystko i nic.

Absolutnie jasne było jedynie to, że zamachu na Wai-Chahn Leunga dokonano z premedytacją, że nie była to żadna pomyłka ani reakcja na dezinformujące działania jego przeciwników. Wprost przeciwnie, z tej dezinformacji świadomie skorzystano. Wszystko wskazywało na to, że śmierć Wai-Chan Leunga pasuje do tej układanki. Że jest elementem szerszego spisku, którego celem było wyeliminowanie ludzi przychylnie nastawionych do nowego przywództwa Chin. Tylko dlaczego?

Coraz więcej pytań, coraz więcej wniosków. Skoro poprzez sprytną dezinformację zrobiono z niego

ślepe narzędzie, tę samą technikę mogli zastosować wobec innych. Fanatyzm Fentona tylko by to ułatwił, bo zawsze istniało niebezpieczeństwo, że zbytnia gorliwość zabije instynktowną czujność. Łatwo też było zaapelować do jego patriotyzmu i podsunąć mu spreparowane informacje. Potem wystarczyło już tylko spokojnie czekać na rezultaty.

Chryste, ale dlaczego?

Spojrzał na zegarek. Siedział tu już za długo i z każdą chwilą rosło ryzyko wpadki. Ale zanim wyłączył monitor, wystukał na klawiaturze jeszcze jedno, ostatnie nazwisko.

Mijały sekundy, wirowały osiemdziesięcioczołowe dyski. Wreszcie się poddały.

HARRISON AMBLER - BRAK DANYCH.

223

Rozdział 21

Ambler zatrzymał się na wyżwirowanym podjeździe. Podsekretarz stanu Ellen Whitfield wysiadła i ruszyła wolno w stronę pałacu.

D

Chateau de Gournay, zaledwie czterdzieści minut jazdy na północny zachód od Paryża, jest skarbem siedemnastowiecznej architektury francuskiej i chociaż rzuca się w oczy znacznie mniej niż pobliski Wersal, nie brakuje mu imponujących ozdób i detali. Zaprojektowany przez Francois Mansarta, należy do najwspanialszych zabytków w swojej klasie, poczynając od foyer, które jest apoteozą klasycyzmu, po słynny, często fotografowany stół z bogato rzeź-

bionego kamienia. Do obecnych czasów zachowało się w oryginalnej postaci jedenaście komnat; kort tenisowy i baseny zbudowano niedawno. Od prawie pięćdziesięciu lat odbywają się tu międzynarodowe konferencje organizowane zarówno przez francuski rząd, jak i instytucje pozarządowe; kiedyś spotykali się tu również bogaci przemysłowcy, teraz w pałacu bywają ich następcy, młodzi biznesmeni wieku informacji. Ostatnio wynajęto go pewnej bogatej firmie konsultingowej z Waszyngtonu, na prośbę profesora Ashtona Palmera, przewodniczącego zespołu Krajów Basenu Oceanu Spokojnego, który lubił

scenerie odzwierciedlające najwspanialsze osiągnięcia cywilizacji.

Ellen Whitfield weszła do foyer, gdzie powitał ją kamerdyner w liberii.

- Monsieur Palmer czeka w błękitnym pokoju, madame - powiedział. Miał

pięćdziesiąt kilka lat, złamany nos, kwadratową szczękę i posturę człowieka, który posiadał znacznie więcej umiejętności, niż wymagała tego jego obecna praca. Whitfield nie zdziwiłaby się, gdyby był

żołnierzem Legii Cudzoziemskiej. Palmer lubił zatrudniać „podwójnych pracowników”, jak ich nazywał: służącego, który był jednocześnie tłumaczem, kamerdynera, który był ochroniarzem. To zamiłowanie do mnogości i różnorodności wynikało z estetyki wydajności: Palmer uważał, że człowiek może odegrać w historii więcej niż jedną rolę, a dobrze przemyślany czyn może przynieść więcej niż jeden skutek. Ta doktryna mnogości legła u podstaw scenariusza, który właśnie wcielił w życie.

Okazało się, że błękitny pokój jest przestronną, ośmiokątną wnęką z widokiem na pałacową stajnię. Miał prawie pięć metrów wysokości, był wyłożony najwspanialszymi dywanami z okresu, a wiszące tam żyrandole chętnie przyjęto by do każdego muzeum. Whitfield podeszła do okna i podziwiała piękny krajobraz. Stajnię, elegancki budynek z drewna i cegły, można by z powodzeniem przebudować na wytworną rezydencję.

224

- Znali się na rzemiośle, prawda?

Palmer.

Odwróciła się i zobaczyła go w progu dyskretnie ukrytych drzwi.

- Zawsze powtarzałeś, że „nie chodzi o umiejętność, tylko o stopień jej wykorzystania” - odrzekła z uśmiechem.

- Właśnie to było uderzające na dworze Króla Słońce: najwyższy poziom kultury osobistej i największe uznanie dla osiągnięć w dziedzinie literatury, sztuki, nauki i architektury. Jednocześnie tylu rzeczy byli nieświadomi. Przede wszystkim nie zdawali sobie sprawy z prawdziwie sejsmicznej niestabilności

ówczesnego porządku społecznego, a przecież to już w tamtych czasach powstał zaczątek rewolucji, która sto lat później pożarła własne dzieci. Żłudny to był pokój, pokój, w którym pęczniały ziarna zniszczenia. Ludzie szybko zapomnieli to, czego nauczał nas Heraklit: „Wojna jest pospolita, niesnaski zgodne ze zwyczajem, a wszystko jest rezultatem niesnasek i konieczności”.

- Miło cię znowu widzieć, Ashton - powiedziała ciepło Whitfield. - W ciekawych czasach żyjemy. Nie urazi cię to starochińskie przekleństwo?

Ashton tylko się uśmiechnął. Jego srebrzyste włosy były rzadsze niż wtedy, gdy u niego studiowała, lecz nie mniej zadbane. Czoło miał wysokie i imponujące, a z jego szarych oczu biła czysta inteligencja. Było w nim coś ponadczasowego, coś, co wykraczało poza ramy codzienności. W trakcie swej kariery politycznej EUen Whitfield poznała wiele postaci powszechnie uznawanych za te, które przejdą do historii, lecz zawsze uważała, że jedynym prawdziwie wielkim człowiekiem i wizjonerem w każdym tego słowa znaczeniu jest właś-

nie on, Ashton Palmer. Spotkanie z nim było zaszczytem już wtedy, gdy miała dwadzieścia kilka lat.

Takim samym zaszczytem było i teraz.

- Jakie przynosisz mi wiadomości? - spytał. Przyleciał tu prosto z Hong-kongu, lecz wyglądał niezwykle świeżo.

- Jak dotąd wszystko przebiega tak, jak przewidziałeś. A raczej, jak prze-powiedziałeś - dodała z błyskiem w oczach. Spojrzała w eleganckie weneckie lustro. Przez ołowiowe szyby w oknach wpadało szare, zimowe światło, podkreślając zarys jej policzków i wyraziste rysy twarzy. Miała starannie ułożone, kasztanowe włosy, pojedynczy sznur pereł na szyi i była w wiśniowym kostiumie. Kolor muśniętych pędzelkiem powiek pięknie harmonizował z błękitem jej tęczywek. - Wspaniały pałac.

- Centrum Studiów Politycznych organizuje tu konferencję. „Przepisy de-wizowe - Wschód-Zachód. Perspektywy". Co powiedziałaś swoim?

- Spokojnie, Chateau de Gournay jest na mojej trasie. Mam tu spotkanie na temat liberalizacji walutowej.

- Mimo to nie można zapominać o środkach ostrożności.

225

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Whitfield usiadła za połączonym stołem.

Palmer usiadł naprzeciwko. - Pamiętam, jak pierwszy raz byłam na twoim wykładzie - powiedziała, spoglądając w okno. -- Właśnie zrobiłam licencjat w Radcliffe, a tym miałeś wykład w Sanders Theatre: *Globalne dominium*.

Napisałeś na tablicy trzy słowa: *Machtpolitik*, *Geopolitik* i *Realpolitik*. Ktoś z tyłu spytał, czy będziemy mówili po niemiecku. A ty, że nie, ale że jest pewien język, którego będziemy się musieli nauczyć, i że w pełni opanuje go bardzo niewielu z nas. Język polityki.

Palmer zmrużył oczy.

- Uznałem, że trzeba was ostrzec.

- Właśnie. Powiedziałeś, że większość z nas nie ma do tego języka smykałki.

Że tylko garstka opanuje go do perfekcji, a pozostali zadowolą się pustymi komunałami historycznej miernoty. Mocne słowa. Pamiętaj, że byliśmy młodzi.

- Ale ty już wtedy miałaś tę wewnętrzną siłę - odrzekł Palmer. Swoisty upór, który albo się ma, albo nie.

- Pamiętam, opowiadałeś nam o Czyngis-chanie i powiedziałeś, że dzisiaj nazwalibyśmy go

zwolennikiem liberalizmu i wolności religijnej, ponieważ właśnie tak rządził swoim imperium.

- Dlatego był taki niebezpieczny. - Palmer położył ręce na stole.

- Pokazałeś je nam na mapie, imperium Czyngis-chana za czasów jego syna, a zarazem następcy, Ógódeja, który do 1241 rozbił Niemców na wschodzie, przeszedł przez Węgry i stanął pod murami Wiednia. Obszar jego kró-

lestwa niemal idealnie pokrywał się z obszarem Bloku Wschodniego. To było niesamowite. Jego imperium i imperium komunistyczne, od Korei Pół-

nocnej i Chin po Europę Wschodnią. Na tym samym obszarze. Nazwałeś to

„śladem historii". I dodałeś, że gdyby nie przypadek, Mongołowie poszliby jeszcze dalej.

- Bo to był przypadek - powtórzył Palmer. - Ógódej umarł i jego dowódcy chcieli wybrać następcę.

- Udowadniałeś nam, że w tym, jak żyły i umierały wielkie imperia, jest pewien wzór. W XVI wieku Sulejman Wspaniały był najpotężniejszym suł-

tanem otomańskim i jak żaden przywódca przed nim, popierał sprawiedliwe i uczciwe sądownictwo i wolny handel. Wykazałeś, że zagrożenie, jakim były dla Zachodu wschodnie imperia, zawsze zależało od ich polityki wewnętrznej, od tego, jak bardzo była liberalna.

- Niestety, Zachód nie wyczuł pisma nosem - wtrącił Palmer. Zwłaszcza że tamci pisali po chińsku.

- My przysypialiśmy, jak to studenci, a ty tłumaczyłeś nam, że przez kilkaset lat Chiny, Państwo Środka, nie zagrażały hegemonii Zachodu, chociaż 226

mogły być naszym największym rywalem. Że przewodniczący Mao był tak naprawdę papierowym tygrysem. W Chinach zawsze było tak, mówiłeś, że im bardziej totalitarny reżim, tym bardziej rząd ten skupiał się na swojej polityce wewnętrznej. To było mocne i mocno powiedziane. Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, co to wszystko znaczy, jakie wypływają z tego wnioski, natychmiast się ocknęliśmy. Pamiętam, że dostałam gęsiej skórki z wrażenia.

- Mimo to niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Twój kolega z Departamentu Stanu wciąż nie chce dostrzec prawdy, wciąż nie rozumieją, że demo-kratyzacja rządów w Chinach nieuchronnie pociągnie za sobą zagrożenie dla Zachodu, zagrożenie i militarne, i gospodarcze. Ich prezydent ma miłą twarz i tą twarzą zaślepił nasz rząd, który nie widzi, że człowiek ten, jak żaden przywódca przed nim, coraz bardziej chce obudzić śpiącego smoka. - Palmer spojrzął na zegarek, elegancki Philippe Patek z cyferblatem pokazujący czas gwiazdowy, wschodnioamerykański i aktualną godzinę w Pekinie.

- Już wtedy rozumiałaś więcej niż inni ciągnęła Whitfield. - To seminarium na pierwszym roku studiów podyplomowych. Poczułam się, jakbym doznała olśnienia.

Zgłosiło się pięćdziesięciu studentów. Przyjąłem tylko dwunastu.

- To byli niesamowici ludzie. Ale nie należałam do najbardziej błyskotliwych.

- Nie, byłaś za to najzdolniejsza.

Przypomniało jej się pierwsze spotkanie nowej grupy. Palmer opowiadał im, jak wyglądał świat z perspektywy premiera Benjamin Disraeliego pod koniec XIX wieku, u szczytu potęgi Imperium Brytyjskiego. Disraeli myślał pewnie, że imperium jest niezniszczalne, że XX wiek będzie należał do Anglików i do ich potężnej floty. Kilkadziesiąt lat później Wielka Brytania została zredukowana do potęgi militarnej drugiej kategorii. To tak, powiedział Palmer, jakby na naszych oczach Imperium Rzymskie przekształciło się nagle we Włochy.

Wiek XX należał do Ameryki, mówił. W następstwie II wojny światowej Stany Zjednoczone zdominowały świat zarówno pod względem gospodarczym, jak i wojskowym, gdyż macki wyrafinowanego mechanizmu dowódczego sięgnęły najdalszych zakamarków naszego globu. Jednak błędem by-

łoby zakładać, przestrzegając, że następny wiek też będzie należał do Ameryki, bo jeśli Państwo Środka ocknie się ze snu, XXI wiek może należeć do Chin.

Centrum naszego świata przesunęłoby się wtedy na wschód. A polityka „konstruktywnego zaangażowania” jest właśnie tym, co najskuteczniej ich wzmocni i przyspieszy rozwój ich potęgi.

W latach siedemdziesiątych XIX wieku Marks odciął się od francuskich marksistów i naśladując go, Palmer zażartował kiedyś, że „nie jest palmerytą”.

227

Wyraźnie zaprzeczył ordynarnie uproszczonym wnioskowi, jakie niektórzy wyciągnęli z jego doktryny o nieuchronności historycznej. W swoich pracach łączył metody analizy ogólnej, która zajmowała się historią na przestrzeni wielu wieków i epok, z precyzyjnymi metodami mikrohistorycznymi, które skupiały się na poszczególnych latach i wydarzeniach. Uważał, że nie moż-

na sprowadzać tego do sloganów, maksym czy wzorców. I najważniejsze: twierdził, że nic nie jest nieuniknione. Uwierzyć w determinizm historyczny to ulec bierności. Historia świata jest historią ludzkich czynów. To czyni ją tworzą.

I

czynny

mogą

ją

odmienić.

Kamerdyner cicho odchrząknął.

- Panie profesorze, ma pan wiadomość.

Palmer spojrział przepaszająco na swego gościa.

- Przepraszam cię na chwilę, El len.

Zniknął w długim korytarzu. Kilka minut później wrócił ożywiony i lekko zaniepokojony.

- Wszystko idzie zgodnie z planem - powiedział. - Tylko napięcie coraz większe.

- Rozumiem.

- Co z Tarkwiniuszem?

- Tak jak powiedziałeś: wszystko idzie zgodnie z planem.

- A jego nowa towarzyszka? Nie niepokoi cię?

- Absolutnie. Mamy na nią oko.

- Wybacz, że ciągle to powtarzam: to już za siedemdziesiąt dwie godziny.

"Wszyscy muszą idealnie odegrać swoją rolę.

- I jak dotąd odgrywają - odparła Whitfield.

- Tarkwiniusz też?

Whitfield kiwnęła głową z cieniem uśmiechu na ustach.

- Zwłaszcza on.

Wychodząc z konsulatu, patrzył prosto przed siebie jak człowiek, który nie ma czasu do stracenia. I właśnie to było najtrudniejsze, bo naprawdę go nie miał. Kilkaset metrów dalej zwolnił, udając zwykłego spacerowicza w tłumie innych spacerowiczów pod czerwonymi markizami i przed skrzącymi się w słońcu oknami wystawowymi. Coraz bardziej oddalając się od Place de la Concorde, szedł w stronę rue Saint Honore - od zgody do honoru -

i chociaż pozornie zagubiony w myślach, nieustannie obserwował okolicę.

Czułość to coś więcej niż zdolność widzenia. To również zdolność ciągle-go nasłuchiwanie i słyszenia, choćby kroków kogoś niewidocznego, kto zwalnia lub przyspiesza, żeby utrzymać stałą odległość od obserwowanego celu.

228

I właśnie teraz ktoś go obserwował, jednak robił to wbrew wszelkim zasadom sztuki. Ktoś za nim szedł, ktoś o nogach zdecydowanie krótszych niż jego i - sądząc po tym, jak dyszał - w kiepskiej formie fizycznej.

Zdawał sobie sprawę, że powinno go to zaniepokoić, z drugiej jednak strony, tamten poruszał się z wdziękiem kelnera ścigającego gościa, który zapomniał uregulować rachunek. A może właśnie o to chodziło? Może rzucając się w oczy, chcieli go zmylić?

Wydłużył krok, na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w lewo, w wąziutką rue Cambon, a potem, po krótkim biegu, w rue du Mont Thabor. Piętnaście metrów dalej był zaułek z kilkoma butikami. Ambler przystanął, udając, że patrzy na zegarek, i w szkiełku zobaczył odbicie mężczyzny, który go ścigał.

Nagłym, szybkim i płynnym ruchem odwrócił się na pięcie, chwycił go za kłapy płaszcza, wciągnął w zaułek i przyparł do upstrzonej graffiti ściany.

Mężczyzna był wyjątkowo nieciekawym okazem. Miał ziemistą cerę, najwyżej metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, rzadzące włosy, wystający brzuch, worki pod oczami i sapał jak stara lokomotywa. Czoło błyszczało mu od potu. Był w tanim, brązowym płaszczu przeciwdeszczowym na pewno amerykańskim - białej koszuli i w szarym, nijakim garniturze kupionym lub uszytym w Stanach. Ambler zerknął na jego ręce, sprawdzając, czy mężczyzna wykona ruch w stronę ukrytej pod ubraniem broni.

- Ty jesteś Tarkwiniusz, tak? - wysapał blady karzełek.

Hal grzmotnął nim o ścianę i szybko go obszukał. Trochę za gruby i za długi długopis? Trochę za pękaty portfel? Nie, nie znalazł broni ani czegoś, co mogłoby nią być. Przeszył go wzrokiem, wypatrując oznak podstępów.

- A ty kto?

- Zabierz te łapy, bydlaku - prychnął tamten z leciutkim, dosłownie śladowym brooklińskim akcentem.

- Pytałem o coś.

Mężczyzna wyprostował się z wyrazem urażonej dumy na twarzy.

- Nazywam się Clayton Caston - odparł.

Ale nie, ręki do niego nie wyciągnął.

Rozdział 22

ie mów mi tylko, że jesteś moim przyjacielem - powiedział Ambler z nieukrywaną pogardą i podejrzliwością. – Że chcesz mi pomóc.

- Chyba żartujesz - odparł z irytacją Caston. - Nie jestem twoim przyjacielem. A pomoc chcę, owszem, ale sobie.
- Z kim pracujesz? - warknął Ambler. Facet był beznadziejny: tak wielkiej nieudolności nie sposób było udawać. Z drugiej strony, mogło być tak, że nieudolność ta miała uspić jego czujność i wystawić go na odstrzał. Bo skąd mógł wiedzieć, czy gdzieś w pobliżu nie czyhają jego kumple?
- To znaczy, w biurze?
- Nie w biurze, tylko tutaj, teraz. Kto tam jest? I gdzie, do cholery? Mów albo już więcej nie wypowiesz ani słowa.
- A ja zastanawiałem się, dlaczego nie masz przyjaciół.

Ambler odwiódł do tyłu zgiętą w łokciu rękę. Chciał, żeby tamten wiedział, że w każdej chwili może roztrzaskać mu czaszkę.

- Kto tam jest? - powtórzył Caston. - Jeśli uwzględnić przedmieścia, dziesięć, jedenaście milionów Francuzów.
- Chcesz powiedzieć, że jesteś sam?
- Cóż... - mruknął Caston. Ale tylko chwilowo.

Hal trochę się odprężył. W twarzy nieznanego nie odkrył niczego fał-

szywego. Facet naprawdę działał sam. „Ale tylko chwilowo” - powiedział to tylko po to, żeby dodać sobie odwagi i zatuszować niewygodną prawdę.

Bo ja pracuję w CIA - dodał ostrzegawczo Caston, czując, że Ambler przyparł go do muru, dosłownie i w przenośni. - Dlatego żadnych takich. Jeśli zrobisz mi krzywdę, długo to popamiętasz. Moi szefowie nie lubią płacić za szpital i bardzo by się wkurzyli. Dlatego zabierz to... tę rękę. Marnie byś na tym wyszedł. Ja zresztą też. To pat, z którejkolwiek strony by na to patrzeć.

- Ty tak... na poważnie?
- Domysły często bywają błędne - odparł Caston. - Koło opery jest McDonald. Może pójdziemy tam i pogadamy?

Ambler wytrzeszczył oczy.

- Co się stało? - spytał Caston.

- W McDonalddie? - zdziwił się Hal. - To nowy punkt kontaktowy?

- Nie mam zielonego pojęcia, po prostu nie trawię tutejszego jedzenia.

Jeśli jeszcze się tego nie domyśliłeś, powiem ci, że nie jestem Zorro i nie lubię wygłupów z płaszczem i szpadą. To nie dla mnie.

Hal ponownie zerknął na ulicę. Jak dotąd nie wykrył niczego szczególnego w ruchu pieszych, co wskazywałoby, że czuwa tam ktoś z obstawy

- Dobrze, pogadamy w McDonalddie. - Nigdy nie zgadzaj się na spotkanie w miejscu zaproponowanym przez przeciwnika. - Ale nie w tamtym. -

Włożył rękę do jego kieszeni i wyjął z niej telefon, standardowego ericssona z francuskim SIM-em; Caston wypożyczył go pewnie na lotnisku de Gaul-230

le'a. Wcisnął kilka guzików i na ekranie wyświetlił się numer. Hal zapamiętał go i zwrócił Castonowi komórkę.

- Za kwadrans zadzwonię i podam ci adres.

Otyły karzełek spojrzął na zegarek, cyfrowego Casio.

- No dobrze - mruknął niechętnie.

Dwanaście minut później Hal wysiadł na stacji Pigalle i wyszedł na ulicę.

McDonald był dokładnie naprzeciwko, a tłumy przechodniów ułatwiały dyskretną obserwację. Zadzwonił do Castona i wskazał mu miejsce.

Teraz pozostawało tylko czekanie. Przechodzień może zająć setki pozycji.

Roześmiana para przy kiosku z gazetami, samotny, blady mężczyzna przed oknem wystawowym sklepu z gumowymi i skórzanymi akcesoriami dla dorosłych, młody mężczyzna o pulchnych policzkach w kurtce z wełnianym kołnierzem i aparatem na szyi - wszyscy ci ludzie mogli w każdej chwili odejść, dyskretnie ustąpić miejsca innym, którzy nie nawiązując kontaktu wzrokowego, utrzymywaliby jednak stałą łączność z niewidocznym koordynatorem akcji.

Ale taka podmiana zawsze wywołuje lekkie zakłócenia tła, zakłócenia, które dobry obserwator potrafi wychwycić. Ludzie zawsze zachowują pewną odległość od innych, zgodnie z prawami, których są nieświadomi, a które mimo wszystko determinują ich zachowanie.

Dwoje ludzi w windzie dzieli między siebie przestrzeń kabiny. Jeśli jest ich więcej niż troje, wszyscy starannie unikają kontaktu wzrokowego. Kiedy do windy wsiądzie kolejny pasażer, natychmiast się cofają, żeby jak najbardziej zwiększyć dzielącą ich odległość. Ten mały taniec trwa przez całą dobę we wszystkich windach świata: ludzie zachowują się, jakby ich wyszkolono, chociaż robią to zupełnie nieświadomie, nie wiedząc, dlaczego przesuwiają się do tyłu, troszeczkę w lewo, w prawo czy do przodu. Ale kiedy już się to zauważy, rzecz staje się oczywista. Podobne wzorce zachowań elastyczne, trudne do sprecyzowania, lecz jak najbardziej prawdziwe - można zaobserwować na chodniku, przed oknem wystawowym sklepu czy w kolejce po gazety. Obecność kogoś, kogo w tym czy innym miejscu „ustawiono”, narusza naturalny porządek. Czujny obserwator potrafi wykryć anomalie nawet podświadomie. Wykryć, a raczej wyczuć, gdyż jej zdefiniowanie jest znacznie trudniejsze. Świadoma myśl jest logiczna i po-wolna - w przeciwieństwie do szybkiej, odruchowej i zwykle bardziej precyzyjnej intuicji. Dlatego wystarczyło zaledwie kilka minut, żeby Hal zyskał całkowitą pewność, że nie kręci się tam żadna czujka czy grupa obserwatorów.

Caston przyjechał taksówką i wysiadł na rogu przed McDonaldem. Wysiadł i natychmiast wyciągnął szyję w beznadziejnym geście, który już bardziej nie mógł go wystawić na odstrzał ewentualnie śledzących go ludzi.

231

Gdy wszedł do restauracji, Hal zaczął czekać, aż taksówka zniknie za rogiem.

Potem odczekał jeszcze pięć minut. Wciąż nic. Wciąż nikogo.

Przeszedł przez ruchliwą ulicę i wszedł do McDonalda. W środku panował półmrok rozjaśniony czerwonymi światłami, co skojarzyło mu się z dzielnicą czerwonych latarni. Caston siedział w narożnym boksie z filiżanką kawy na stoliku.

Ambler kupił dwa mac royale z bekonem i usiadł w tylnej części sali, skąd dobrze widział frontowe drzwi. Spojrzał na Castona i lekkim ruchem głowy zaprosił go do stolika. Karzełek wybrał boks, żeby nie rzucać się w oczy - błąd, którego nie popełniłby żaden agent. Zasada była prosta: jeśli nieprzyjaciel wkracza na twój teren, dobrze wie, że tam jesteś. Dlatego o wiele lepiej jest wykryć jego obecność, zanim on ostatecznie namierzy ciebie, gdyż wtedy jest jeszcze szansa na mobilizację sił. Tylko amatorzy siadają w kącie, celowo się oślepiając.

Caston usiadł naprzeciwko. Miał nieszczęśliwą minę.

Ambler nieustannie lustrował wzrokiem salę. Nie mógł wykluczyć możliwości, że grubas jest niczego nieświadomą przynętą. Gdyby na przykład miał

w bucie radionadajnik, jego kumple mogliby go namierzyć bez konieczności prowadzenia stałej obserwacji.

- Jesteś wyższy niż na zdjęciu - powiedział Caston. - Większy. Ale cóż, miałem małe zdjęcie.

Ambler puścił tę uwagę mimo uszu.

- Kto wie, że tu jesteś? - spytał.

- Tylko ty - mruknął tamten niechętnie, lecz bez fałszu czy poczucia winy w głosie. Kłamca intensywnie przypatruje się rozmówcy, chcąc sprawdzić, czy ten mu uwierzył, czy też nie trzeba dodać czegoś, co go ostatecznie przekona. Mówiący prawdę natomiast po prostu zakłada, że mu uwierzono.

Wzrok Castona spoczął na hamburgerach.

- Zjesz dwa?

Ambler pokręcił głową.

Caston chwycił hamburgera i zaczął zachłannie jeść.

- Przepraszam - wymlaskał po chwili. - Bardzo zgłodniałem.

- Trudno tu o dobre jedzenie, co? - rzucił Ambler.

— Mnie to mówisz? - odparł tamten, nie wyczuwając sarkazmu.

- Nie, to ty powiesz wszystko mnie. Kim jesteś? Nie wyglądasz na agenta CIA. W ogóle nie wyglądasz na agenta. - Hal otaksował go spojrzeniem.

Brzuch, pochylone ramiona: facet był kompletnie bez formy, zupełnie tu nie pasował. - Dla mnie wyglądasz na... księgowego.

- f prawidłowo. - Caston wyjął z kieszeni ołówek i wycelował nim w Amblera jak z pistoletu. - Dlatego lepiej ze mną nie zadzieraj - dodał z uśmie-232

chem. - Właściwie to pracowałem w CIA, zanim wstąpiłem do CIA. Certified Internal Auditor: byłem dyplomowanym rewidentem. Ale już od trzydziestu lat pracuję w Agencji. Tyle że rzadko kiedy bywam... w terenie, tak?

- Aha, jesteś jednym z tych, którzy wchodzą do biura tylnym wejściem.

- Tak powiedzieliby ci, którzy wchodzą głównym.

- Jak trafiłeś do firmy?

- Na pewno mamy na to czas?

- Mów - rzucił Hal z groźną nutą w głosie.

Caston kiwnął głową. Wiedział, że Tarkwiniusz nie pyta go o to z próżnej ciekawości, tylko w ten sposób go sprawdza.

- Zacząłem od SEC, komisji nadzorującej działalność giełdy papierów wartościowych; zajmowałem się wykrywaniem oszustw. Potem przeszedłem do Ernsta & Younga, z tym że u nich bardziej przypominało to oszukiwanie niż wykrywanie. Wtedy jakiś bystrzak z Waszyngtonu doszedł do genialnego wniosku, że CIA to też firma i postanowił ściągnąć tam kogoś o wyjątkowych zdolnościach i umiejętnościach. - Dopił kawę. - Wyjątkowych - po-wtórzył. - Naprawdę.

Ambler nieustannie sondował jego twarz.

- Aha, a więc wysledził mnie amator, zwykły urzędas. Nie wiem, czy śmiać się, czy wstydzić.

- Może i jestem urzędasem, ale na pewno nie kompletnym idiotą.

- W to akurat wierzę. Jak mnie znalazłeś i po co?

W kącikach ust Castona wykwitł leciutki uśmiezek, chwila szybko stłumionej próżności.

- To było proste odparł. - Dowiedziałem się, że jesteś w Paryżu, i już.

-- Jak sam zauważyłeś, mieszka tu jedenaście milionów ludzi.

- Cóż, zacząłem od rachunku prawdopodobieństwa. Paryż nie jest dobrą kryjówką: mieszczą się tu placówki wywiadowcze kilkunastu krajów. Doszedłem do wniosku, że to ostatnie miejsce, o jakim powinieneś być pomy-

śleć. Skoro więc tu przyjechałeś, to na pewno nie po to, żeby się ukrywać.

Miałeś tu coś do załatwienia? W takim razie dlaczego od razu nie wyjecha-

łeś? Co pozostaje? Ano to, że jesteś tu, bo czegoś szukasz, najpewniej jakiejś informacji. Były agent Wydziału Operacji Konsularnych, obecnie określany mianem „zbuntowanego”: dokąd na pewno by się nie udał? Oczywiście do paryskiej placówki WOK, tak przynajmniej pomyśleliby moi koledzy. Paryska placówka WOK to ostatnie miejsce na świecie, gdzie by cię szukali.

- Więc poszedłeś tam, usiadłeś na ławce naprzeciwko i czekałeś.

- Tak, ponieważ informacje, których szukasz, muszą mieć coś wspólnego z twoją dawną pracą, poza tym to jedyne miejsce, gdzie czujesz się jak w domu.

A więc to było tylko przeczucie, tak?

Caston poczerwieniał.

- Przeczucie? - Był majestatyczny w swojej pogardzie. - Przeczucie? Clay Caston nie wierzy w przeczucia. Nie pracuje, opierając się na instynkcie, intuicji czy...

- Możesz mówić trochę ciszej?

- Przepraszam. - Caston zaczerwienił się jeszcze bardziej. - Trąciłeś wrażliwą strunę.

- Dobrze, a więc dzięki wielu błyskotliwym wnioskom...

- Chodziło raczej o macierz probabilistyczną niż o błyskotliwe...

- Wszystko jedno, tak czy inaczej postanowiłeś obstawić akurat te drzwi.

I miałeś szczęście.

- Szczęście? Nie słuchasz, co mówię. Nie, zastosowałem twierdzenie Bayesa: obliczyłem prawdopodobieństwo warunkowe, zwracając uwagę na prawdopodobieństwo uprzednie i unikając w ten sposób fałszywego...

- Dobra, zostawmy to. Dlaczego? To trudniejsze pytanie. Dlaczego mnie szukałeś?

- Wielu cię szuka. Mogę odpowiadać tylko za siebie... - Caston zawiesił

głos. - Ale to też trudne. Jeszcze kilka dni temu interesowało mnie tylko jedno: żeby cię wreszcie znaleziono i wyeliminowano. Anomalia usunięta, sprawa zamknięta. Ale teraz myślę, że mam do czynienia z anomalią znacznie większą. Wszedłem w posiadanie pewnych informacji. Przypuszczam, że ty jesteś w posiadaniu innych. Zestawiając je ze sobą, tworząc większą

„przestrzeń próbkowania”, by użyć technicznego określenia, moglibyśmy zrobić jakiś postęp.

- Ciągłe nie rozumiem, dlaczego nie siedzisz w biurze i nie ostrzysz ołówków.

- Bo mnie przyblokowano - prychnął Caston. - Do tego to się sprowadza.

Chcą cię znaleźć kiepscy aktorzy. Ja chcę znaleźć ich. Mamy wspólne interesy.

- Zaczekaj, czy ja na pewno dobrze to zrozumiałem? - Ambler mówił

cichym, spokojnym głosem, wiedząc, że w panującym w sali gwarze usłyszałby go jedynie ktoś siedzący niecały metr dalej. - Tropiłeś mnie, żeby mnie wykończyć. A teraz postanowiłeś zapolować na innych, a konkretnie na tych, którzy polują na mnie?

- Właśnie.

- A potem?

- Potem? Potem będzie twoja kolej. Kiedy już ich wyeliminuję, wyeliminuję ciebie. A jeszcze potem wrócę do temperowania ołówków.

- Chcesz mnie po prostu zlikwidować? Ot, tak? Po cholere mi to mówisz?

- Bo to prawda. Reprezentujesz sobą wszystko to, czego nienawidzę.

234

- Pochlebstwem niczego nie wskórasz.

- Widzisz, ludzie twojego pokroju są prawdziwym przekleństwem. Zachowują się jak dzikusy, którym rozkazy wydają inne dzikusy, ludzie, którzy nie respektują żadnych zasad i przepisów, którzy za każdym razem chodzą na skróty. Jest jeszcze coś. Słyszałem, że potrafisz wykryć kłamstwo, więc po co miałbym zawracać sobie głowę?

- Dobrze słyszałeś. Nie odstrasza cię to?

- Wprost przeciwnie, ułatwia mi życie. Krętaćto nie należy do moich mocnych stron.

- Jeszcze jedno: mówiłeś komuś, dokąd jedziesz?

- Nie.

- W takim razie mogę cię zabić.

- Ale raczej nie zabijesz, bo jak już mówiłem, na krótką metę łączą nas wspólne interesy. A na dłuższą... Cóż, Keynes powiedział, że na dłuższą metę i tak już nie żyjemy. Dlatego myślę, że postawisz na tymczasowy sojusz.

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem?

- Boże broń! To okropna filozofia. - Caston wziął serwetkę i zaczął robić z niej samolocik. - Postawmy sprawę jasno. Nie jesteś moim przyjacielem.

A ja na pewno nie jestem twoim.

Waszyngton DC

Pięć pięter, potężna konstrukcja z 1961 - Ethan Zackheim powiódł wzrokiem po twarzach analityków i techników siedzących przy stole w sali konferencyjnej 0002A, zastanawiając się, ile ton kamieni i betonu wisi im nad głową. Ciężar, który spoczywał mu na ramionach, był chyba jeszcze większy.

- No, dobrze zaczął. - Jak widać, nie osiągnęliśmy zamierzonego celu, ale powiedzcie przynajmniej, że czegoś się dowiedzieliśmy. Abigail?

- Sprawdziliśmy, jakie dane ściągnął w konsulacie - odparła Abigail, niepewnie spoglądając spod brązowej grzywki. Zdumiewający, jednocześnie po-niżający wyczyn Tarkwiniusza - spenetrowanie bezpiecznej rzekomo placów-ki w Paryżu był bardzo drażliwym problemem i powodem do wzajemnych oskarżeń, dlatego żadne z nich nie chciało drażnić tematu. - Szukał informacji o Wai-Chan Leungu, Kurcie Sollingerze i Benoit Dechesnie...

- O swoich ofiarach - mruknął Matthew Wexler. Pracował w Wydziale Wywiadowczo-Badawczym już od dwudziestu lat i uważał, że ma prawo przerywać każdemu i zawsze. - Zbrodniarz wraca na miejsce zbrodni.

235

Zackheim poluźnił krawat. Czy tu tak gorąco, czy tylko ze mną coś nie tak? - pomyślał. Wolał jednak o to nie pytać. Przeczucie mówiło mu, że duchota doskwiera tylko jemu.

- To znaczy?

- To znaczy, że jeśli mieliśmy jeszcze wątpliwości co do związku między nim i jego ofiarami, to teraz już ich nie mamy. - Wexler pochylił się do przodu, napierając brzuchem na stół. - Przedtem były to głównie poszlaki, teraz mamy konkrety.

- Wyniki analizy zdjęć poszlakami? Nie sądzę. - Denning powiedział to cicho, jakby zależało mu jedynie na tym, żeby odnotowano jego sprzeciw. -

Wskazują, że Tarkwiniusz był na miejscu przestępstwa, i to jednoznacznie.

- Matthew - odparł Zackheim. - Rozumujesz zgodnie z przyjętymi przez nas założeniami. Ale coś mnie zastanawia. Po co zabójca miałby czytać życiorysy ludzi, których zabił? Jeśli już, zrobiłby to raczej przed, a nie po. Prawda?

Siedzący na drugim końcu stołu Franklin Runciman, wicedyrektor Wydziału Operacji Konsularnych, znacząco odchrząknął. Poruszony przez Zackheima temat bardzo mu się nie spodobał.

- Ethan - powiedział. - Owszem, można to interpretować na wiele sposobów. - Zmarszczył krzaczaste brwi i przeszył Zackheima spojrzeniem. - Ale nie możemy się rozdrabniać. Musimy przyjąć jeden kierunek działania. Przeanalizować dowody - wszystkie dowody - zinterpretować je najlepiej, jak potrafimy i przystąpić do działania. Nie mamy czasu na żonglowanie faktami.

Zackheim zacisnął zęby. Runciman doprowadzał go do szału. Przecież właś-

nie o to chodziło: o ustalenie, co jest faktem, a co nim nie jest. Ale sprzeciw nie miał żadnego sensu. Zresztą Runciman miał w sumie rację: wizytę Tarkwiniusza w paryskiej „klatce” można było

interpretować na wiele sposobów. Tyle że... Tyle że z jakichś powodów, których nie potrafił ująć w słowa, zaniepokoił go raport Abigail. Bo wyglądało to tak, jakby Tarkwiniusz robił

dokładnie to samo co oni, jakby prowadził własne śledztwo. Zackheim z trudem przełknął ślinę. Czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Natomiast prawdziwą zagwozdką jest ten Fenton - powiedział Wexler.

Zackheim zauważył, że Wexler ma rozpięty kołnierzyk. Ale zważywszy, że miał też błyskotliwy umysł, nikt nie zwracał uwagi na jego niechlujstwo.

- Stuprocentowo pewna identyfikacja - wtrącił Denning. - Na zdjęciu stoi obok Tarkwiniusza w bezpośredniej bliskości miejsca zamachu na Sollingera. Paul Fenton.

- Nikt temu nie zaprzecza - odrzekł Wexler, przemawiając do niego jak do tępego ucznia. - Pytanie tylko, co to znaczy. - Popatrzył na pozostałych.

- Jest na ten temat coś nowego?

236

- Są problemy z autoryzacją - odparła ostrożnie Abigail.

Z autoryzacją? - powtórzył z niedowierzaniem Zackheim. - Kim my jesteśmy? Zespołem redakcyjnym „Washington Post”? Przeszkody wewnętrzne? Brak dostępu do informacji? Co to za bzdura? - Spojrzał na Wexlera. -

A ty? Przeglądałeś akta Fentona?

Wexler bezradnie rozłożył ręce.

- Są zastrzeżone - odparł. - Dostępne tylko za specjalnym pozwoleniem.

- Zerknął na Runcimana.

Zackheim poszedł za jego wzrokiem.

- Słucham wyjaśnień - warknął. Biurokratyczna logika mówiła mu, że Runciman zablokował te akta z własnej inicjatywy albo zrobił to na rozkaz kogoś z góry.

To sprawa nieistotna dla celów tego zespołu - odparł nieporuszony Runciman. Nawet w świetle tanich jarzeniówek jego garnitur, ciemnoszara flanela w delikatny wzorek, robił wrażenie eleganckiego i kosztownego.

- Nieistotna? - wybuchnął Zackheim. - Czy to przypadkiem nie my o tym, decydujemy? Frank, do

ciężkiej cholery! Sam kazałeś mi to rozgryźć. Ściągnąłem tu najlepszych, same asy, a ty nie pozwalasz nam działać?

Runciman zmiażdżył go wzrokiem, chociaż jego wyrazista twarz nie zdradzała najmniejszego napięcia.

-Etap zbierania informacji jest już zakończony - odparł, - Waszym zadaniem jest teraz przystąpić do działania zgodnie z przyjętymi ustaleniami. A nie debatować, spekulować, stawiać hipotezy czy z czystej ciekawości grzebać w archiwum. Jest do wykonania konkretna misja, a wy macie ją wykonać, to znaczy dopilnować, żeby nasi agenci terenowi otrzymali odpowiednie wsparcie operacyjne.

-Ale z ogólnego obrazu sytuacji wynika... - zaczął Zackheim.

Z obrazu sytuacji? - przerwał mu z nieukrywaną pogardą Runciman. -

W takim razie weź ten obraz i wymaż z niego tego sukinsyna. Oto twoje zadanie.

Paryż

Pół godziny później Ambler i Caston, agent i księgowy, przyjechali oddzielnie do hotelu Sturbridge, w którym zatrzymał się urzędnik. Hotel, mały i ciasny, był oczywiście amerykański: Caston robił, co mógł, żeby odizolować się od otoczenia i zapomnieć, gdzie jest. Jego pokój, choć według paryskich standardów dość duży, był pudełkowaty i przypominał biuro. Ambler 237

usiadł w fotelu na kółkach, podczas gdy on zajął się układaniem dokumentów na małym lakierowanym biurku, jednym z tych, których pozorna wystawność jeszcze bardziej podkreśla ich kiczowatą tandetność.

Caston zaczął od kilku krótkich, konkretnych pytań na temat tego, co zdarzyło się po ucieczce z wyspy Parrish. Odpowiedzi Amblera były równie krótkie i treściwe.

- To musi być bardzo dziwny... stan - rzucił w zadumie Caston. - Stan, w którym teraz jesteś. Gdybym miał zdolność empatii, pomyślałbym, że tego rodzaju doświadczenie musi być dość... niepokojące. Że jest to coś w rodzaju kryzysu osobowości.

- Kryzysu osobowości? - prychnął szyderczo Ambler. - Daj spokój. Kryzys osobowości jest wtedy, kiedy programista komputerowy zaszywa się na pustkowiu w Arizonie i czyta Carlosa Castanedę. Albo kiedy dyrektor do spraw marketingu McDonald'sa rzuca pracę i zaczyna sprzedawać wegańskie bułeczki. Nie. Powiedzmy sobie, że to nie to, to coś więcej.

Caston przepaszając wzruszył ramionami.

- Zbierałem te materiały przez pięć dni, ja i mój asystent. Jest tu sporo danych na temat twojej działalności w Oddziale Stabilizacji Politycznej, coś w rodzaju listy... osiągnięć. - Podał mu plik spiętych zszywką kartek.

Ambler przejrzał je pobieżnie. Krew, pot i łzy w krótkiej, lapidarnej formie

- dziwne uczucie, ponure uczucie. Jego praca była całkowicie tajna, podobnie jak praca wielu innych. Tajność tą miało wynagrodzić im bohaterstwo czynów. Tak mu obiecywano, taka była umowa: nikt się o tym nigdy nie dowie, ale twoje czyny mogą zmienić bieg historii. Będiesz jej tajną ręką.

Ale jeśli to tylko iluzja? Jeśli jego utajnione życie - życie, które zmusiło go do zerwania więzów z innymi ludźmi, więzów, które nadają temu życiu sens

- niczemu tak naprawdę nie służyło, nie zaowocowało niczym trwałym, a przynajmniej dobrym? Co wtedy?

Caston pochwycił jego spojrzenie.

- Skup się - powiedział. - Jeśli zobaczysz tam coś, co wydaje ci się nieprawdziwe, od razu mów.

Hal kiwnął głową.

- A więc wygląda to tak: masz niezwykłą zdolność wykrywania „zaburzeń emocjonalnych”. Jesteś chodzącym wariografem i tym cenniejszym agentem. Trafiasz do Wydziału Operacji Konsularnych i prawie natychmiast wer-bują cię do Oddziału Stabilizacji Politycznej. Bierzesz udział w różnych awanturach i przepychankach, wykonując zadania typowe dla OSP. Caston nawet nie próbował ukryć odrazy. - Jedziesz na Tajwan. Według akt zadanie zostaje wykonane. I wtedy znikasz z pola widzenia. Dlaczego? Co się stało?

238

Ambler streścił mu to, co pamiętał.

Caston długo milczał.

- Opowiedz mi, co się stało, kiedy cię zabrano - powiedział nagle, patrząc mu prosto w oczy. - Wszystko, co mówiłeś, wszystko, co mówili inni.

Opisz tych, których tam widziałeś, których pamiętasz.

- Przykro mi, ale... - Ambler urwał. Rzecz w tym, że nic nie pamiętam.

Laurel mówi, że to rodzaj amnezji wstecznej wywołanej narkotykami.

- Ale to gdzieś jest - odparł Caston. W twojej głowie. Musi tam być.

Prawda?

- Nie wiem. Wiem tylko, że jest tam moje życie, które w pewnym momencie się rozmywa.

- Jakby film ci się urwał.

- Coś w tym rodzaju, tylko sto razy gorzej.

- Może za słabo próbujesz to sobie przypomnieć?

- Cholera jasna, zgubiłem gdzieś dwa lata życia, rozumiesz? Dwa lata grzebania w mózgu. Dwa lata pustki i rozpaczy. Dwa lata beznadziei.

Caston szybko zamrugał.

- To razem sześć.

- Caston, jeśli kiedykolwiek zechcesz pomagać komuś zawodowo, to lepiej od razu pomyśl o innej pracy. Nie masz pojęcia, przez co przeszedłem...

Ty też nic. I właśnie próbuję to ustalić. Dlatego narzekania zachowaj dla kogoś,

któ

będzie

udawał,

że

go

to

obchodzi.

Ambler westchnął.

- Nic nie rozumiesz. Cofam się myślą i nic nie widzę. Kapujesz? Jak w te-lewizorze z odłączoną anteną, nic, tylko śnieg, bez żadnego obrazu. Był

kompletnie wyczerpany. Zmęczony. Zbyt zmęczony, żeby mówić. Zbyt zmę-

czony, żeby myśleć.

Wstał, podszedł do łóżka, położył się i wbił wzrok w sufit.

Pieprzyć obraz - prychnął Caston. - Zaczynij od drobiazgów. Jak wróci-

łeś

z

Tajwanu?

- Nie mam pojęcia.

- Czym?

- Kurwa, mówiłem ci, że nie pamiętam! - wybuchnął Ambler.

Ale jego gniew i ból nie robiły na Castonie najmniejszego wrażenia,

- Płynąłeś? Parowcem?

- Musiałem chyba wrócić samolotem.

- A więc jednak coś pamiętasz. Skąd leciałeś?

Ambler wzruszył ramionami.

- Chyba z lotniska Czang Kaj-szeka pod Tajpej.

- Jakimi liniami?

- Nie wiem, nie pamiętam... - Hal szybko zamrugał i nagle powiedział: -

Cathay Pacific.

- A więc zwykłymi liniami pasażerskimi. - Caston nie okazał najmniej szego zaskoczenia. - Dwanaście godzin lotu. Piłeś coś w samolocie?

- Pewnie tak.

- Co mogłeś pić?

- Chyba Wild Turkey.

Caston podniósł słuchawkę i zadzwonił na dół. Pięć minut później kelner przyniósł im butelką

bourbona.

Caston nalał na dwa palce i podał szklanę Amblerowi.

- Odpręż się i wypij - rzucił sztywno. Miał groźnie zmarszczone brwi, a jego słowa zabrzmiały jak rozkaz księgowego, który zmienił się nagle w bar-mana z piekła rodem.

- Ja nie piję - zaprotestował Ambler.

- Od kiedy?

- Od...

- Odkąd trafiłeś na tę wyspę. Ale kiedyś piłeś, więc wypijesz i teraz. Do dna!

- Caston, co to ma być?

- Eksperyment naukowy. Pij.

Hal wypił, czując, jak bourbon pali mu przełyk. Euforia? Nie było żadnej euforii, tylko zawrót głowy i lekkie mdłości.

Caston kazał mu wypić drugą szklanę i Ambler go posłuchał.

-Kiedy wylądowałeś? Wieczorem czy rano?

- Rano - odparł Hal. Miał wrażenie, że w brzuchu wije mu się oślizły węgorz. Wspomnienia powracały jak z innego wymiaru. Nie słuchały go, nie mógł ich przywołać, mimo to jakimś cudem przywoływał.

- Byłeś na odprawie? - spytał Caston. - Złożyłeś raport?

Ambler czuł się jak sparaliżowany. Złożył, przecież musiał złożyć...

- Jedziemy dalej - drążył niezmiernie Caston, odhaczając kolejne pozycje na nieskończenie długiej liście krótkich, konkretnych pytań. - Kto to jest Transience?

Pokój zawirował, a gdy Hal zamknął oczy, ściany zawirowały jeszcze szybciej. Długo milczał. Pytanie Castona było jak głośny wystrzał w górach i jak wystrzał zbudziło małą kaskadę, która zmieniła się w lawinę. Pochłonęła go ciemność.

I nagle w ciemności tej rozblęskło światełko.

onownie Changhua, ponownie przeszłość kładąca się cieniem na teraźniejszości. Tajwan, obłąkany wir zamazanych obrazów, szaleńcza po-P
goń przez wyspą. I potwierdzenie jego najgorszych obaw.

Potem seria ulotnych, przypadkowych obrazów. Stewardesa w samolocie, gejsza podniebnych szlaków. Bourbon był na wyciągnięcie ręki, a ona bardzo o niego dbała. Taksjarsz na lotnisku Dullesa, Trynidadczyk o zapadnię-

tych policzkach i stanowczych poglądach na to, którądy będzie najszybciej.

Mieszkanie w Baskerton Towers, które tego dnia wydawało się takie małe i puste. Jak miejsce, gdzie można się było wykapać, ubrać i przygotować do bitwy.

Do bitwy.

Tylko jakiej? Znowu ta dziwna mgła, znowu ten gęsty dym. Ale w dymie tym coś błyszczało i Ambler - nie, Tarkwiniusz, bo znowu był Tarkwiniuszem - wiedział, że to... uczucie. Że jeśli zdoła je przywołać, przywoła towarzyszące mu wspomnienia. Uczucie było wyjątkowe i wyjątkowo silne: wściekłość i poczucie winy.

Mgła powoli opadała. Ujrzał domy i ludzi. Głosy, początkowo niewyraźne niczym szum, stawały się powoli słyszalne i zrozumiałe. Wyraźne, zrozumiałe i namacalne stało się to, co popychało go do działania.

Nigdy nie był narcyzem moralnym, nigdy nie twierdził, że ma czyste ręce.

Lecz do furii doprowadziło go odkrycie, że splamił je krwią tylko dlatego, że ktoś wykazał się kompletnie niezrozumiałym brakiem profesjonalizmu.

Musiał powiedzieć o tym Transience.

Wciąż nie dowierzając, że to możliwe, i kipiąc wściekłością, pojechał do kwatery głównej w Waszyngtonie: mężczyzna w krawacie jak tysiące innych, w wielkim kamiennym gmachu, jakich były tam setki. Poszedł od razu na samą górę, do podsekretarz stanu Ellen Whitfield, szefowej Oddziału Stabilizacji Politycznej. Do Transience.

I wtedy to, co niezrozumiałe, stało się czymś niewybaczalnym. Dobrze znał Ellen - można nawet powiedzieć, że znał ją aż za dobrze. Była ładną kobietą o mocno zarysowanym podbródku, wystających policzkach i ma-

łym prostym nosie; miała kasztanowe włosy i ciemnoniebieskie oczy, które podkreślała delikatnie cieniem do powiek. Tak, była bardzo ładna, choć kiedyś uważał, że jest piękna. Kiedyś, kiedy on dopiero zaczynał pracować w WOK, a ona jeszcze pracowała w terenie: ich romans trwał niecały miesiąc 241

i skonsumowali go na Wyspach Mariańskich. „To, co dzieje się na Saipanfl, na Saipanie pozostaje” - powiedziała mu wtedy z uśmiechem.

Zaraz potem dostała pracę w administracji, a on przyjął kolejne zadanie; jego zdolności były niezastąpione, tak mówili ci z szefostwa. Mijały lata. Ich ścieżki czasem przecinały się, czasem rozchodziły. W Wydziale Operacji Konsularnych Ellen zyskała opinią osoby o niebywałym umyśle: bardzo niewielu potrafiło przetwarzać informacje wywiadowcze, kategoryzować je i jednocześnie organizować działania operacyjne w terenie. Okazało się również, że jest bardzo dobrym politykiem, że potrafi schlebiać przełożonym, pozornie im nie schlebując, i dyskretnie usuwać z drogi tych, którzy jej przeszkadzali. Już po roku awansowano ją na dyrektora wydziału Azji Wschodniej i Pacyfiku. Dwa lata później na stanowisko wicedyrektora WOK. Trzy lata później została szefową Oddziału Stabilizacji Politycznej, który błyskawicznie ożywiła, poszerzając zakres jego kompetencji i działalności operacyjnej.

W samym WOK uważano, że agenci Oddziału Stabilizacji Politycznej są ludźmi wysoce „zaangażowanymi i aktywnymi”, lecz zdaniem krytyków byli

„nierozważni”. Po przyjściu Ellen OSP zaczął działać jeszcze „aktywniej”

i z jeszcze większym „zaangażowaniem”. Krytycy twierdzili, że jej podwładni nie szanują przepisów, są zbyt agresywni, że międzynarodowego prawa przestrzegają tak samo, jak bostoński taksówkarz kodeksu drogowego. To, że za tą nagłą transformacją stał ktoś tak sztywny i opanowany jak ona, było dość zaskakujące. Może dla innych, ale nie dla niego. Bo on wiedział, że Ellen ma w sobie coś dzikiego i nieokiełzanego, że potrafi być impulsywna i wyra-chowana: kiedyś powiedziano by, że wcielony z niej diabeł. Przekonał się o tym tamtego parnego sierpnia na Marianach.

Ale teraz - już jako podsekretarz stanu - była dziwnie nieuchwytna. Po-czątkowo myślał, że unika go z powodu tego romansu, ale przecież nigdy nie ukrywała, że poszła z nim do łóżka tylko dlatego, by zapewnić sobie miłą rozrywkę na nudnej placówce. Uzgodnili to już na samym początku, tak samo jak zgodnie doszli do wniosku, że pora to zakończyć. Gdy po raz czwarty powiedziano mu, że pani sekretarz „jest na zebraniu”, domyślił się wreszcie, że po prostu nie chce się z nim widzieć. Napisał już raport na temat tego straszliwego fiaska w Changhua. Chciał, żeby ktoś za to odpowiedział. Żeby Ellen wszczęła śledztwo. Żeby przyznała, że sytuacja w OSP wymknęła jej się z rąk. Żeby przywróciła tam ład i porządek.

Nie żądał chyba zbyt wiele.

Pięć dni po przyjeździe do Waszyngtonu nieoficjalnymi kanałami dowiedział się, że wbrew regulaminowi Whitfield nie przyjęła nawet jego oficjalnej skargi. To było wprost nieprawdopodobne. Przecież słynęła z perfekcyjno-242

nizmu, za to ją wychwalano. Czyżby aż tak wstydziła się porażki, że nie miała odwagi wyznać

wszystkiego dyrektorowi WOK albo sekretarzowi stanu? Czyżby myślała, że uda jej się to zatuszować? Musiał z nią porozmawiać, musiał usłyszeć, co ma mu do powiedzenia.

Usłyszeć to z jej ust.

Tak samo jak w Changhua zalała go fala wściekłości. Wściekłości, że go zdradzono. Był piątek, koniec tygodnia, ale nie dla niego. „Bardzo mi przykro, ale pani sekretarz jest na spotkaniu. Jeśli pan sobie życzy, może pan zostawić kolejną wiadomość”. Gdy zadzwonił godzinę później, sekretarka odpowiedziała mu głosem posłusznego pachołka, któremu kazano przepę-

dzić niewygodnego intruza: „Przykro mi, ale pani sekretarz już wyszła”.

Obłąd! Czy Ellen naprawdę myślała, że uda się jej go spławić? Spławić i na zawsze ukryć prawdę? Siny z gniewu wskoczył do samochodu i pojechał do jej domu w Fox Hollow na zachód od Waszyngtonu. Wiedział, gdzie mieszka, wiedział, że tam mu nie ucieknie.

Pół godziny później wjechał powoli na długi, biegnący szerokim łukiem podjazd, piękną, wysadzaną gruszami aleję. Sam dom, majestatyczna rezydencja w stylu Monticello, miał eleganckie gzymsy, ceglane narożniki i duże okna wykuszowe. Wokoło rosły artystycznie przycięte magnolie i kopulaste rododendrony. Do rzeźbionych, dębowych drzwi prowadziła ścieżka wyło-

żona wielkimi płaskimi głazami.

W XIX wieku kilku członków rodziny Whitfieldów dorobiło się wielkiego majątku, jedni na hutnictwie i podkładach kolejowych, inni na eksporcie tych właśnie produktów. W latach powojennych rodzinna fortuna nieco stopniała, ponieważ zamiast dalej gromadzić bogactwa, spadkobiercy Whitfieldów zajęli się bardziej prestiżową działalnością intelektualną i kulturalną.

Metropolitan Museum, National Gallery, Instytut Hudsona czy królestwo mię-

dzynarodowej bankowości - wszędzie tam byli jacyś Whitfieldowie. Jednak dzięki dobrze zarządzanym funduszom powierniczym żaden z nich nie musiał martwić się o rzeczy tak przyziemne jak zarabianie i wydawanie pieniędzy-

dzy, dlatego, podobnie jak Rockefellerowie, już od dziesięcioleci byli wierni etyce służby publicznej. Najlepszym dowodem na to, że służba ta nie wymagała rezygnacji z dobrodziejstw mamony, była ta wspaniała wiktoriańska rezydencja. Choć bardziej majestatyczna niż ostentacyjna, na pewno nie nale-

żała do tych, które można było kupić za państwową pensję.

Ambler zaparkował przed wielkimi, podwójnymi drzwiami, wysiadł i nacisnął dzwonek. Chwilę później otworzyła mu służąca w czarnym stroju z bia-

łymi falbankami z przodu. Flipinka?

- Hal Ambler do Ellen Whitfield - rzucił Hal, połykając końcówki słów.

- Madame nikogo nie przyjmuje - odparła służąca. I sztywno dodała: Madame nie ma.

Oczywiście kłamała. Ambler natychmiast to wyczuł, poza tym z sąsiedniego pokoju dobiegał głos Ellen. Odepchnął służącą, wszedł do foyef i jak burza wpadł do wyłożonej drewnem biblioteki.

Wykuszone okno, wysokie do sufitu półki i Ellen Whitfield: przeglądała dokumenty z jakimś starszym mężczyzną. Mężczyzna - typ naukowiec o siwych włosach i wysokim czole - był w czerwonym, jedwabnym krawacie i wełnianej kamizelce pod tweedową marynarką.

Za Halem wbiegła służąca.

- Madame, mówiłam temu panu, żeby...

Ellen i siwowłosego naukowca poderwali głowy. Byli zaskoczeni i wystraszeni.

- Ambler, do ciężkiej cholery! - krzyknęła rozwścieczona Ellen. - Co ty tu robisz?

Mężczyzna odwrócił się szybko, jakby nagle zainteresowały go książki na półkach.

- Doskonale pani wie... pani sekretarz - odparł Hal, z nieukrywaną pogardą wymawiając jej oficjalny tytuł. - Przyszedłem po odpowiedź. Mam dość tych uników. Myślisz, że się mnie pozbędziesz? Co próbujesz ukryć, Ellen?

Twarz Whitfield pokryła się czerwonymi plamami.

- Ty pieprzony świrusie! Precz z mego domu! Wynoś się stąd, natychmiast! Jak śmiesz naruszać moją prywatność? Jak śmiesz?! - Wskazała mu drzwi. Trzęsła się jej ręka. Z wściekłości? Ze strachu? Prawdopodobnie i z te-go, i z tego.

- Masz mój raport - odparł lodowato Hal. - Zawiera samą prawdę. Myślisz, że uda ci się ją pogrzebać? Od razu to sobie odpuść: zabezpieczyłem się.

- Spójrz na siebie. Posłuchaj, co mówisz. Zachowujesz się jak żółtodziób, jak kompletny amator. Jak ktoś niezrównoważony. Nie słyszysz sam siebie?

Nie słyszysz, jak to brzmi? Mam na głowie mnóstwo spraw, nawet nie wyobra-

zasz sobie ile. Jeśli chcesz porozmawiać, możemy porozmawiać w poniedzia-

łek rano. Ale posłuchaj mnie, i to dobrze: jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, wylecisz z pracy szybko i nieodwołalnie. A teraz precz. Zejdz mi z oczu.

Zaskoczony tym uprzedzającym atakiem Ambler stał przez chwilę, ciężko dysząc.

- W poniedziałek - rzucił przez zaciśnięte zęby i wyszedł.

Kilka kilometrów za Fox Hollow pojawiła się za nim karetka pogotowia z pulsującymi, czerwonymi światłami i syreną. Wyprzedziła go i zajęła mu drogę, jednocześnie tuż za nim zaparkował inny samochód, ciężki, czarny buick. Z karetki wyskoczyło kilku ludzi, chyba sanitariuszy, chociaż coś mu w tym 244

wszystkim nie pasowało. Kolejni wysiedli szybko z buicka. Gdy wyciągnęli go z samochodu i bezceremonialnie wbili mu igłę w ramię, próbował się w tym wszystkim połapać. Ci ludzie działali oficjalnie, wykonywali czyjeś rozkazy i to z zawodową sprawnością. Tylko kim byli? I czego od niego chcieli?

Mgła nie opadła do końca i to, co zdarzyło się potem, tonęło w niej podobnie jak jeszcze do niedawna to, co było przedtem. Gdy przywiązywali go do wózka, słyszał, jak wymieniają krótkie, nerwowe uwagi. Potem świat zachwiał się, zakołysał i rozmazał. Był to początek długiego zmierzchu.

Gdy ponownie otworzył oczy, też był zmierzch.

Jeszcze przed czterema dniami „leczył się” w ośrodku psychiatrycznym o zaostrowym reżimie. Od wyspy Parrish dzielił go teraz cały ocean. Mimo to wciąż nie był wolny.

Rozdział 24

tworzył oczy, skupił wzrok na bladym rewidencie i opowiedział mu Ows zystko, co sobie przypomniał. Mgła czasu wciąż przesłaniała tysią-

ce szczegółów, mimo to samo wydarzenie pamiętał teraz całkiem dobrze.

Bałem się, że zasłabłeś - rzucił Caston, gdy pięć minut później Hal przestał wreszcie mówić. - Witaj ponownie wśród żywych. - Odłożył książkę, którą czytał, *Dziennik matematyki stosowanej i analizy stochastycznej*. -

I zjeżdżaj z mojego łóżka.

- Przepraszam. - Ambler przeciągnął się, wstał i usiadł na krześle w kolorze musztardy. Chyba przysnął. Według zegarka minęły cztery godziny.

- A więc Transience to Ellen Whitfield? Pani sekretarz we własnej osobie?

- Używała tego pseudonimu, kiedy jeszcze pracowała w terenie. Gdy się skomputeryzowaliśmy, całą dokumentację szlag trafił. Kazała wyczyścić wszystkie akta, zwłaszcza swoje. Mówiła, że ze względów bezpieczeństwa.

- To wyjaśniałoby, dlaczego nic nie znalazłem... - Caston przyglądał mu się przez chwilę bez słowa.
- Dać ci jeszcze jednego drinka?

Hal wzruszył ramionami.

- Masz w barku wodę mineralną?

- Jasne, pewnie, jest evian. Według obecnego kursu wychodzi dziewięć dolarów, dwadzieścia pięć centów za pół litra, co znaczy, że centymetr sześcienny kosztuje prawie dwa centy. Dwa centy za centymetr sześcienny wody? Wystarczy, żebym się porzygał.

Ambler westchnął.

- Twoja dokładność jest godna podziwu.

- Dokładność? Co ty gadasz? Przecież horrendalnie to zaokrągliłem.

- Caston, nie mów mi tylko, że masz rodzinę.

Księgowy poczerwieniał.

- Pewnie doprowadzasz ich do szału.

- Bynajmniej - odparł Caston i prawie się uśmiechnął. - Bo widzisz, oni mnie wcale nie słuchają.

- W takim razie to ty musisz dostawać szału.

- Nie, nawet mi to odpowiada. - Caston miał przez chwilę dziwną minę -

pełną czci - i Hal zrozumiał, że ten oschły, bezduszny rewident jest tak naprawdę bardzo czułym ojcem i mężem. Czują ojciec i mąż odchrząknął i znowu stał się zimnym, sztywnym księgowym. - Ten mężczyzna, który był z nią w bibliotece. Opisz mi go najdokładniej, jak potrafisz.

Ambler spojrzał w dal i ponownie przywołał wspomnienia. Sześćdziesiąt kilka lat. Starannie uczesane srebrzyste włosy i zdumiewająco gładkie, wysokie czoło. Wyrazista, skupiona twarz. Wystające kości policzkowe i mocno zarysowany podbródek.

Caston wysłuchał go i popadł w milczenie. Potem wstał. Był dziwnie poruszony, na czole pulsowała mu żyłka.

- To niemożliwe - wyszeptał.

- Dobrze go pamiętam -- odparł Ambler.

- Opisałeś... Nie, to niemożliwe.

- No wyduś to z siebie.

Caston podłączył laptop do gniazdka telefonicznego i pstryknął włącznikiem. Wszedł do Internetu, wpisał coś w wyszukiwarce, stanął z boku i gestem ręki zaprosił Amblera bliżej. Na ekranie widniała twarz mężczyzny.

Mężczyzny, którego Hal widział u Ellen Whitfield.

- To on.

- Wiesz, kto to jest?

Ambler pokręcił głową.

Ashton Palmer. Whitfield u niego studiowała.

Hal wzruszył ramionami. ;

- I co z tego?

Potem wyparła się i jego, i wszystkiego, co sobą reprezentował; Zerwała z nim kontakt. Musiała. Inaczej nie zrobiłaby kariery.

- Nie rozumiem.

- Ashton Palmer. Nic ci to nie mówi?

- Chyba nie.

246

- Może jesteś za młody. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu był najjaśniejszą gwiazdą naszego establishmentu, zwłaszcza polityki zagranicznej.

Napisał kilka artykułów często przedrukowywanych w „Foreign Affairs”.

Zabiegały o niego obie partie polityczne. Zapraszano go na seminaria do Departamentu Stanu, do Zachodniego Skrzydła Białego Domu, nawet do Gabinetu Owalnego. Ludzie chłonęli każde jego słowo. Zaproponowano mu honorowe stanowisko w Departamencie Stanu, ale on mierzył wyżej. Chciał

e 0

zostać drugim Henrym Kissingerem, jednym z tych, których wizje pozostały

wiają trwały ślad w historii, nieważne, czy jest to ślad dobry, czy zły.

- I co się stało?

- Większość twierdzi, że popełnił zawodowe har kiri. A może się tylko prze a

-

liczył. Tak czy inaczej uznano go w końcu za ekstremistę, za niebezpiecznego fanatyka. Pewnie doszedł do wniosku, że jego autorytet intelektualny osiągnął

już tak wysoki poziom, że może sobie pozwolić na całkowitą szczerą i przekonać do siebie ludzi samym faktem, że to on wygłasza tę czy inną opinię. Ale bardzo się pomylił. Miał piekielnie niebezpieczne poglądy, które mogły wprowadzić nasz kraj na kurs kolizyjny z historią. Wygłosił agresywny, a nawet podburzający wykład w Instytucie Polityki Zagranicznej Macmillana w Waszyngtonie i wiele krajów zagroziło odwołaniem swoich ambasadorów, my-

śląc, że Palmer reprezentuje nasz rząd lub jego odłam. Wyobrażasz to sobie?

- Nie.

Sekretarz stanu przez całą noc wisiał na telefonie. I tak, praktycznie z dnia na dzień, Ashton Palmer stał się persona non grata. Przyjął posadę wykładowcy na kilku uniwersytetach Ivy League? stworzył własny ośrodek akademicki, został członkiem zarządu pewnej elitarnej firmy konsultingowej w Waszyngtonie. To jest zdjęcie ze strony internetowej Harvardu. Każdy pracownik Departamentu Stanu, który był z nim w bliskich stosunkach, stał

się natychmiast podejrzanym.

- I stracił stołek.

- Może nie do końca. Palmerytów jest sporo, w rządzie i nie tylko. Błysz-kotliwi studenci, absolwenci harwardzkiej Szkoły Kennedy'ego, stypendy-

ści przeróżnych programów rządowych: jest ich dużo. Ale jeśli chcesz zrobić karierę, nie możesz się przyznać, że wyznajesz jego poglądy. A już na pewno nie możesz utrzymywać z nim kontaktów.

- To logiczne.

- A ty widziałeś ich razem, co logiczne nie jest.

- Zaczekaj, powoli...

- Jedna z najwyższych urzędniczek Departamentu Stanu»w towarzystwie profesora Ashtona Palmera. Czy ty wiesz, co to za bomba? Zdajesz sobie sprawę, że to mogło ją zniszczyć? Pewien znakomity amerykański jurysta powiedział, że „słońce jest najlepszym środkiem dezynfekującym”. To jedyna rzecz, na jaką nie mogli sobie pozwolić.

Ambler zmrzył oczy i ponownie ujrzał rozwścieczoną, pokrytą czerwonymi plamami twarz Ellen Whitfield. Teraz już rozumiał, dlaczego się tak bała.

- A więc o to chodziło...

- Nie jestem pewien, czy tylko. - Caston był jak zwykle dokładny. - Ale utrzymywanie kontaktów z Palmerem to dla niej czyste samobójstwo. Jako szefowa OSP po prostu nie może sobie na to pozwolić.

Ambler odchylił się na krześle i popadł w zadumę. Ellen była wygadana i umiała łączyć jak nikt, dlatego bez trudu wytłumaczyłaby obecność Palmera w swoim domu. Wszystkim, tylko nie jemu. Był jedyną osobą, której nie mogłaby okłamać.

I właśnie dlatego musiał pójść w odstawkę. To właśnie wiadomość o spotkaniu z Palmerem nie mogła przedostać się na zewnątrz. Jego paranoidalne bredzenie miało być polisą ubezpieczeniową, która gwarantowała, że nikt mu nie uwierzy.

Whitfield musiała wpaść w panikę i uruchomić 918PSE, rzadko stosowaną procedurę błyskawicznego zneutralizowania tajnego agenta, który postradał zmysły. Ponieważ wspomniał, że się „zabezpieczył” - dając jej do zrozumienia, że w przypadku jego śmierci wszystko i tak wyjdzie na jaw - zapewne doszła do wniosku, że jedynym rozwiązaniem jest ośrodek psychiatryczny na wyspie Parrish. Że trzeba go tam zamknąć i zatrzeć wszystkie ślady jego istnienia.

Czuł, że serce wali mu jak młotem. Mały, pozornie nic nieznaczący incydent zatrzęsł całym jego życiem - nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe.

I co Ellen próbowała ukryć? Tylko znajomość z Palmerem czy coś więcej?

Przeprosił Castona, zadzwonił do Laurel i podał jej dwa nazwiska; w gigantycznej Bibliotheque Nationale de France w ósmej dzielnicy Paryża powinna znaleźć materiały, których gdzie indziej na pewno by nie znaleźli. Po rozmowie poczuł się trochę lepiej. Był spokojniejszy i wiedział już, dlaczego do niej zadzwonił. Musiał usłyszeć jej głos. Po prostu. Laurel chroniła go przed kompletną rozpaczą. Była jedyną ostoją zdrowia psychicznego w tym oszalałym świecie.

Caston odwrócił się i spojrzał na niego, jakby coś nie dawało mu spokoju.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie?

Ambler kiwnął głową, lekko i z rezerwą.

- Jak ci właściwie na imię?

Dla Paula Fentona wszystko co najlepsze, pomyślała Ellen Whitfield, gdy ten zaprosił ją do swego

apartamentu w Jerzym V. Ten siedmiopiętrowy hotel w po-

łowie drogi między Łukiem Triumfalnym i Sekwaną uchodził za najznamienit-szy tego typu przybytek w mieście, i nie bez powodu. Większość pokoi była urządzona w lekkim, wdzięcznym stylu Ludwika XVI. Ale nie apartament cesarski, przy którym pozostałe wyglądały jak nędzne klitki w przydrożnym zajęz-

dzie. Foyer apartamentu cesarskiego przechodziło w przestronny salon sąsiadujący z pokojem dziennym i jadalnią. W salonie gościnnym - dla odwiedzających gościa - była nawet damska toaleta. W hołdzie Napoleonowi i Józefinie całość ozdobiono ich podobiznami, wieloma obrazami i rzeźbami. Nie licząc obitych żółto-złotą tkaniną ścian, temat wczesnego imperium ujęto w różne odcienie zieleni i ciemnego drewna. Wszędzie stały wazony, wszędzie lśniły brązy. Z okna rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na miasto, na plac Inwalidów, Montparnasse i oczywiście na wieżę Eiffla.

Widok jej się podobał. Apartament nie. Jako osoba znająca się na rzeczy, natychmiast uznała, że jest wprost odrażający, straszliwie zagracony, krzykliwy, bombastyczny i napuszony. Z drugiej jednak strony, był też doskonałą ilustracją filozofii gospodarza, który zawsze uważał, że najlepszy jest nadmiar.

Fenton rudy, rumiany i niedźwiedziowaty - zaprowadził ją do salonu, gdzie usiedli na krzesłach w zielone pasy przy małym, szklanym stoliku.

Whitfield musnęła palcami drewniany podłokietnik, ozdobiony egipskimi motywami w błyszczącym brązie.

- Nie wiem, czy już panu mówiłam, jak bardzo jestem... jak bardzo jesteśmy wdzięczni za to, co zrobił pan dla nas przez te wszystkie lata. Mówiła ciepło i serdecznie, ze zmysłowo rozszerzonymi oczami. Ufnie nachyliła się ku niemu i dopiero teraz zauważyła, jak gładką, miękką i delikatną ma skórę: wyglądał, jakby przed chwilą zdjęto mu z twarzy okładę z błota. Miał grube ręce i nadmiernie wyrobione mięśnie klatki piersiowej jak ktoś, kto godzinami przesiaduje na siłowni. Cóż, inwestował w wiele rzeczy. Jedną z nich było najwyraźniej ciało.

Skromnie wzruszył ramionami.

- Napije się pani kawy?

Whitfield spojrzała na mahoniowy kredens.

- Widzę, że już pan zaparzył, jak to miło. Ale pozwoli pan, że ja naleję. -

Wstała, po czym wróciła do stolika z tacą z dzbankiem - wykończone szkłem polerowane srebro porcelanowym dzbanuszkim na śmietankę i cukiernicą. Rozlała kawę do dwóch delikatnych filiżanek Limogcs.

Usiadła i upiła łyk; lubiła czarną. Wiedziała, że Fenton pije mocno słodzoną, i nie pomyliła się: przysunął bliżej filiżankę i łyżeczka za łyżeczką zaczął

wsypywać do niej cukier.

249

- Aż tyle? - wymruczała tonem matczynej nagany. - To pana zabije.

Fenton wypił łyk i uśmiechnął się szeroko.

- Żyjemy w ekscytujących czasach, prawda? Niesienie pomocy zawsze było dla mnie zaszczytem. To prawdziwa przyjemność pracować z kimś, kto widzi świat tak samo jak ja. Obydwoje rozumiemy, że Ameryka zasługuje na bezpieczniejsze jutro. Oboje wiemy, że jutrzejszą groźbę najlepiej jest zażegnać już dzisiaj. Chorobę trzeba wykryć jak najwcześniej.

- To ułatwia leczenie. A nikt nie robi tego lepiej niż pańscy ludzie. Bez pańskich agentów i pańskiego wywiadu nigdy nie zrobilibyśmy tak wielkich postępów. Nie uważamy pana za prywatnego zleceniobiorcę. W naszych oczach jest pan pełnoprawnym współnikiem, uczestnikiem misji, której celem jest utrzymanie naszej dominacji w świecie.

- Tak, pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni - przyznał Fenton. - Oboje lubimy wygrywać. I właśnie to robimy: wygrywamy dla dobra dru-

żyny, w którą oboje wierzymy. -- Dopił kawę i postawił filiżankę na talerzyku.

- Łatwiej jest wygrywać, kiedy przeciwnik nie wie nawet, że bierzemy udział w grze - odparła z wdzięcznością Whiffield.

Fenton kiwnął głową. Zamknął oczy i otworzył je, jakby trudno mu było się skupić.

- Ale chyba nie przyszła tu pani tylko po to, żeby mi pogratulować - powiedział, lekko przeciągając słowa.

Miał mnie pan zapoznać z raportem na temat Tarkwiniusza. Rozumiem, że on nie wie, gdzie się pan zatrzymał. Nie zapomniał pan o środkach ostrożności?

Fenton sennie pokręcił głową.

- Spotkałem się z nim w jednej z naszych kryjówek. Jest dobry. Jest bardzo dobry. - Ziewnął. - Przepraszam, to chyba ta różnica czasu.

Whiffield dołała mu kawy.

- Od kilku dni dzieje się tyle, że pewnie leci pan z nóg - powiedziała, obserwując go uważnie. Coraz niewyraźniej wymawiał spółgłoski, coraz bardziej ciążyła mu głowa.

Ziewnął jeszcze raz i poruszył się ospale.

- Dziwne - wymamrotał. - Oczy mi się kleją.

- Niech pan nie walczy - powiedziała Whitfield. - Niech pan się temu podda. - Jej agenci bez najmniejszego trudu weszli do apartamentu i dosypali do cukru CNS, szybko działającego, krystalicznego środka, pochodnej kwasu masłowego, która powoduje utratę przytomności i jest praktycznie niewykrywalna, ponieważ jej metabolity są naturalnym składnikiem ludzkiego osocza.

Fenton otworzył na chwilę oczy - być może w reakcji na lodowaty chłód bijący z jej głosu - i wydał senny, zduszony jęk.

250

- Naprawdę bardzo mi przykro. - Whitfield zerknęła na zegarek. - Była to dla nas bardzo trudna decyzja. Nie, żebyśmy wątpili w pańską lojalność, wprost przeciwnie. Chodzi po prostu o to, że pan nas zna, że wie pan, kim jesteśmy, Ashton i ja. Po nitce doszedłby pan do kłębka, a my nie byliśmy pewni, czy spodobałby się panu kolor włóczki. - Nieprzytomny Fenton osunął się na sofę. Czy w ogóle ją słyszał?

Ellen Whitfield bynajmniej nie kłamała. Istniało ryzyko, że poznawszy prawdziwy charakter misji, którą mu powierzyli, Fenton poczułby się zdradzony, a zdrada za często prowadziła do zdrady. Zbliżające się wydarzenie było zbyt ważne, żeby coś mogło pójść nie tak. Każdy musiał idealnie odegrać swoją rolę.

Patrząc na nieruchome ciało na sofie, Whitfield pomyślała, że Paul Fenton swoją już odegrał.

Rozdział 25

am

złe

przecucia

-

powiedział

Ambler.

M Szli Boulevard de Bonne Nouvelle. Castonowi zmarzły ręce i trzymał

je za pazuchą. Hal nigdy by tego nie zrobił - nie zrobiłby tego żaden agent -

ale z drugiej strony, poza biurem ręce przydawały się Castonowi bardzo mało.

Szedł ze spuszczonego wzrokiem, lustrując chodnik w poszukiwaniu psich odchodów, podczas gdy jego oczy nieustannie omiatały ulicę.

- Co masz? - Rewident spiorunował go wzrokiem.

- To, co powiedziałem.

- Czy twój horoskop wskazuje na złą konfigurację gwiazd? Czy jakiś wróż-

bita znalazł w twoich wnętrznościach coś paskudnego? Posłuchaj, jeśli wiesz coś, o czym powinienem wiedzieć, chętnie o tym porozmawiam. Jeśli chcesz wygłosić racjonalnie umotywowaną opinię, punkt dla ciebie. Ile razy mamy o tym mówić? Jesteśmy dorośli. Powinniśmy reagować na fakty, a nie na przeczucia.

- Szybki powrót do realiów, Caston: tutaj nie masz przewagi własnego boiska. Nie jesteśmy w krainie wydruków. To, co tu widzisz, to prawdziwe wieżowce z betonu i szkła, a nie kolumny liczb. Jeśli ktoś do nas strzeli, to strzeli prawdziwą kulą, a nie krzywą balistyczną na papierze. Poza tym, skąd ktoś taki jak ty mógłby wiedzieć o tej kryjówce? „Wiem tylko to, co muszę wiedzieć”: ta zasada powinna obowiązywać i ciebie. Tego rodzaju informacje nie są przeznaczone dla urzędników.

251

- Ciągle nic nie rozumiesz. Kto płaci czynsz? Kto przegląda rachunki? Na moim radarze jest każdy wydany przez nas cent. Jestem rewidentem. Nic się przede mną nie ukryje.

Ambler milczał przez chwilę, wreszcie spytał:

- Skąd wiesz, że nikogo tam nie ma?

- Ponieważ pod koniec miesiąca wygasa dzierżawa, a my jej nie przedłu-

żamy. I ponieważ jedna z pozycji naszego budżetu uwzględnia wypłatę dla ekipy sprzątającej, która ma pojechać tam w przyszłym tygodniu. A więc, dom jest pusty, ale wciąż wyposażony. Przed wyjazdem przejrzałem faktury i zapotrzebowania, dlatego mogę ci powiedzieć, że w ciągu ostatnich czterech lat koszt utrzymania domu przy rue Bouchardon, po przeliczeniu na naszą walutę, rzecz jasna, wynosił dwa tysiące osiemset trzydzieści dolarów miesięcznie. Koszty dodatkowe, w kolejności malejącej, uwzględniają: wydatki na sprzęt telekomunikacyjny, które to z kolei dzielą się na...

Dobra, wystarczy. Przekonałeś mnie.

Pokryte sadzą i porośnięte mchem kamienne ściany, brudne okna, wgnieciona i poobijana metalowa kratka w drzwiach - dom przy rue Bouchardon robił wra-

żenie dziwnie opuszczonego. Stojąca w pobliżu r tęciówka iskrzyła i buczała.

- Jak tam wejdziemy? - spytał Ambler.

- Przecież to nie moja działka - odparł urażony Caston. - Chcesz, żebym wszystko za ciebie robił? To ty jesteś agentem, więc działaj.

Cholera. To nie był parking przed Clinique du Louvre: miejsce było odsłonięte, co oznaczało, że będzie musiał spróbować czegoś szybszego.

Ukląkł i rozwiązał sznurówkę. Gdy wstał, trzymał w ręku cieniutki klucz, płaski, lecz z pięcioma małymi wybrzuszeniami. Był to tak zwany „gwóźdź”, którego użycie wymagało zarówno umiejętności, jak i szczęścia; wątpił, czy wystarczy mu jednego i drugiego. - Zostań tu - rzucił do Castona.

Podbiegł do pojemnika na śmieci na końcu krótkiej uliczki i kilka minut później wrócił z książką w miękkiej okładce, którą ktoś wyrzucił. Była brudna, za to gruba i miała twardy grzbiet. Z powodzeniem mogła zastąpić młotek.

Musiał teraz trafić „gwóździem” w dolną zapadkę zamka i uderzyć w nią z taką siłą, żeby górne zapadki na chwilę puściły, umożliwiając wepchnięcie klucza.

Wepchnięcie i jednoczesne przekręcenie na ułamek sekundy przed tym, jak sprężyny zapadek górnych wepchną na miejsce. Wtedy zamek powinien ustąpić.

Teoretycznie.

Rzeczywistość była zwykle inna. Jeśli zapadki górne podskoczyły za nisko, klucz się po prostu nie obracał. Nie obracał się również wtedy, gdy zapadki dolne podskoczyły za wysoko. A jeśli przekręciło się go w zamku ułamek sekundy za późno, całą robotę szlag trafiał.

252

Hal przytknął klucz do otworu zamka, ze wszystkich sił grzmotnął go grzbieciem książki i gdy tylko klucz zagłębił się w szczelinie, natychmiast go przekręcił.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Udało mu się, w dodatku za pierwszym razem! To się prawie nigdy nie zdarzało. Wyjął klucz z zamka, pchnął

drzwi i dumny jak paw spojrział z uśmiechem na Castona.

Księgowy stłumił ziewnięcie.

- Nareszcie. Myślałem, że już nigdy nie skończysz.

Hal z trudem zachował milczenie.

W środku, na podwórzu, mógł pracować bez obawy, że ktoś go zobaczy; dom robił wrażenie całkowicie opustoszałego. Sęk w tym, że ekipa, która go urządziła, nie omieszkała zamontować w drzwiach wewnętrznych solidnego, wpuszczanego zamka.

Ambler badał go przez kilka minut, wreszcie się poddał. Gdyby miał klucz dynamometryczny, może by sobie poradził, ale tak...

- Czy ty nie umiesz zrobić niczego porządnie? - spytał z pogardą Caston.

- Jesteś podobno świetnym agentem. Przez dwadzieścia lat pracowałeś w OSP

i nie potrafisz...

- Caston - przerwał mu Hal. - Zamknij się, dobra?

Obszedł małe, opustoszałe podwórze. Na parterze były dwa okna. Cóż, mało elegancki to sposób, ale nie miał wyboru.

Grzbietem książki wybił prostokątną szybę i starannie usunął z ramy sterczące odłamki szkła. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał, ale nie, w domu i w okolicy panowała głucha cisza. Nic nie wskazywało na to, że ktoś usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

- Czteryście dolarów - powiedział cicho Caston. - Co najmniej. Właśnie tyle zapłacą za ciebie Stany Zjednoczone Ameryki. Nie licząc kosztów wymiany szyby. Tutejsi szklarze są horrendalnie drodzy.

Ambler oparł ręce na kamiennym parapecie, podciągnął się szybko i wszedł

do środka. Tuż pod oknem stała solidna półka na książki: zdołał ją przeskoczyć

i

wylądować

miętko

na

podłodze.

Idąc ostrożnie przez mrok, dotarł do drzwi, zapalił światło i otworzył zasuwę.

Przygarbiona sylwetka, założone ręce - w progu stał zniecierpliwiony Caston.

- Jest mróz, a ty musiałeś zbić to cholerne okno.

- Nie gadaj, tylko włącz. - Ambler zamknął drzwi i odruchowo trzasnął

zasuwają. W domu nie było systemu alarmowego; groźba, że odwiedzi ich zaraz policja, byłaby dużo większa niż ryzyko przypadkowego włamania.

Krążyli po mieszkaniu, wreszcie trafili do małego pokoju z dużym telewizorem. W szafce pod nim stało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak dekodery kablowe. Lecz Ambler dobrze wiedział, co to jest. Na dachu domu 253

musiano zainstalować antenę satelitarną i odpowiedni sprzęt podłączony do dekodera cienkim światłowodem, sam zaś dekodery zawierał urządzenie deszyfrujące.

Nie był to sprzęt wyposażony w wyrafinowane zabezpieczenia ani przeznaczony do odbioru cennych i tajnych informacji. Ale też i wcale nie zamierzali z nich korzystać; materiały, których szukali, były ogólnie dostępne.

Caston podszedł do szafki, wyciągnął kilka szuflad, wreszcie znalazł klawiaturę. Uśmiechnął się jak na widok starego przyjaciela. Włączył telewizor i przez kilka minut stukał w klawisze.

Ożył ekran, szary i zaśnieżony.

- Zobaczmy, czy pamiętam jeszcze, jak to się robi - wymruczał do siebie, bawiąc się nerwowo pilotem. I nagle ekran wypełnił się cyframi pokazują-

cymi rozmiar i czas ładowania potężnych plików.

Caston przestał być zły i opryskliwy. Nagle spoważniał.

- Ściągam to z otwartej domeny - wyjaśnił. - W większości są to jawne, powszechnie dostępne materiały. Chcę, żebyś zobaczył Palmera w swoim żywiole. Jesteś specem od ludzkich twarzy, tak? Pokażę ci jego twarz w po-większeniu i kolorze, w maksymalnej rozdzielczości. - Jego palce znowu zatańczyły na klawiaturze, dobierając odpowiednie ustawienia. Na ekranie ukazały się jaskrawe obrazy przedstawiające Palmera na mównicy. - Połowa lat dziewięćdziesiątych - rzucił Caston. - Przemówienie na konferencji spon-sorowanej przez Centrum Studiów Politycznych. Była na ten temat wzmian-ka w jednym z czasopism. Jest tu dość grzeczny, ale nie będziesz się musiał

za bardzo wysilać, żeby domyślić się, o czym tak naprawdę mówi.

Palmer robił wrażenie pewnego siebie, władczego i absolutnie spokojnego. Stał na tle ciemnych zasłon. Był w granatowym garniturze, ciemnoczerwonym krawacie i błękitnej koszuli.

- Tradycyjna

formą chińskiego osiedla jest tak zwany siheyuan, w dosłownym tłumaczeniu „czworoboczny dziedziniec”, zamknięte, zabudowane ze wszystkich stron podwórze. W innych cywilizacjach

centra

metropolitalne

były

również

centrami,

gdzie rozwijał się naturalny pęd ku ekspansji na zewnątrz, ku nowym odkryciom czy podbojom. W innych cywilizacjach, ale nie w

Chinach.

Już

sama

architektura

siheyuan

jest

doskonałym

symbolem ich narodowego charakteru. - Palmer uniósł wyżej głowę i błysnął ciemnoszarymi oczami. -Przez całe milenium, przez wszystkie kolejne dynastie, Państwa Środka było królestwem zamkniętym w sobie. Wszechogarniająca ksenofobia należała chyba do najbardziej stałych i najgłębiej zakorzenionych elementów szero-254

kiego

wachlarza

różnorodnych sposobów

myślenia,

które

nazywamy chińską kulturą. W historii Chin nie ma Piotra Wielkiego, cesarzowej

Katarzyny,

Napoleona,

królowej

Wiktorii

ani

cesarza Wilhelma. Od upadku tatarskiego jarzma nie było w niej niczego, co można by określić mianem imperium. Zawsze były tylko Chiny. Tak, olbrzymie, to prawda. Nie ma wątpliwości co do tego, że i potężne. Jednak w ostateczności zawsze przypominały

ten

czworoboczny

dzieliniec,

to

wielkie,

zamknięte

ze

wszystkich stron podwórze. Można dyskutować, czy ta zakorze-niona

ksenofobia

dobrze

przysłużyła

się

Chińczykom.

Diskusji,

jednak nie podlega fakt, że nam służyła aż za dobrze.

Ambler

przysunął

się

bliżej

wielkiego

ekranu,

zafascynowany

elokwent—

nym mówcą, palącą inteligencją, jaka z niego biła.

-

Niektórzy politolodzy uważali, że Chiny zmienia się wraz z nastaniem rządów komunistycznych - kontynuował Palmer, wypiwszy łyk wody ze stojącej na mównicy szklanki. -Komunizm był przecież tym, czym był: międzynarodowym ruchem nastawionym na ciągłą ekspansję. Chiny powinny więc się otworzyć, przynajmniej na wpływy bratnich

krajów

bloku

wschodniego.

Takie

były

przypuszczenia

i

założenia.

Ale

stało

się

oczywiście

zupełnie

inaczej.

Podobnie

jak

jego

srodzy

historyczni

poprzednicy,

przewodniczący

Mao

rządził

krajem żelazną ręką. Zrobił z siebie boga. Lecz mimo wojowniczej retoryki nie tylko ukrywał swoich rodaków przed wichrami nowoczesności, ale i był niezwykle konserwatyw-ny, a nawet reakcyjny w demonstrowaniu potęgi wojskowej Chin.

Nie licząc kilku mniejszych potyczek, godne uwagi są jedynie dwa incydenty. Jeden to konflikt na Półwyspie Koreańskim na początku

lat

pięćdziesiątych;

notabene,

Chińczycy

naprawdę

wierzyli, że Stany Zjednoczone szykują tam inwazję. Lecz zamiast agresywnej,

rezultatem

tego

koreańskiego

impasu

była

postawa

jeszcze

bardziej

defensywna.

Fakt

pozostaje

faktem,

że

przewodniczący Mao był prawdziwym cesarzem Chin, cesarzem ostatnim, człowiekiem, który idąc za przykładem swoich ortodoksyjnych poprzedników, obsesyjnie spoglądał w głąb siebie i kraju.

Palmer

odchrząknął.

Przedstawiając

swoją

wizję,

miął

obojętną

minę,

lecz

mówił hipnotyzująco płynnie.

- Dopiero od kilku lat obserwujemy w Chinach sejsmiczne wprost zmiany, prawdziwy zwrot na zewnątrz, podsycany niezwykle gwałtownym skokiem na głębiny kapitalistycznego globalizmu. Dokładnie 255

o takim skoku marzyła nasza administracja, dokładnie takiego skoku żarliwie pragnęła, dlatego jeden rząd po drugim robił

wszystko, żeby do niego doszło. Ale, jak powiadają Chińczycy, z życzeniami trzeba bardzo ostrożnie. Obudziliśmy tygrysa z nadzieją, że da się na nim przejechać. **-Zrobił pauzę i na jego ustach wykwitł lekki uśmiech.** - I marząc o tej przejażdżce, zapomnieliśmy, co się może stać, kiedy z tygrysa spadniemy. Polityczni strate-dzy wmówili sobie, że zbieżność interesów ekonomicznych doprowadzi do zbieżności interesów

politycznych,

do ich

pełnej

har—

monii. Tymczasem okazało się, że jest zupełnie odwrotnie. Dwóch mężczyzn zakochanych w tej samej kobiecie: czy to recepta na pokojową

koegzystencję? Chyba nie. -**Tui ówdzie na widowni rozległ**

się śmiech. -Podobnie dzieje się wtedy, kiedy dwa państwa rywalizują o ten sam cel, czy to o gospodarczą dominację, czy o polityczną

dominację

nad regionem Pacyfiku. Uwagze'naszych

krótco—

wzrocznych

mistrzów intryg politycznych uszło to, że im bardziej zadomowiała się tam gospodarka wolnorynkowa, tym bardziej Chiny stawały się wojownicze. Dziesięć lat po śmierci Mao zatopiły trzy wietnamskie statki w rejonie wysp Spratly. W 1994 byliśmy świadkami starcia amerykańskich okrętów wojennych z chińską łodzią podwodną na Morzu Żółtym, a w następnych latach zajęcia filipińskiej

Mischief

Reef,

z

pociskami

rakietowymi

eksplodującymi na międzynarodowych wodach u wybrzeży Tajwanu, i tak dalej,

i

tak

dalej. Chińska

marynarka wojenna

kupiła lotnisko—

wiec od Francuzów, a Chiny zbudowały przejście z prowincji Yunnan do Zatoki Bengalskiej, uzyskując w ten sposób dostęp do Oceanu

Indyjskiego.

Incydenty,

których

dotychczas

byliśmy

świadkami, można by łatwo zlekceważyć ze względu na ich znikomą skalę. Były to jednak tylko próby, nic więcej: próby zbadania

reakcji

społeczności

międzynarodowej.

Próby,

z

któ-

rych każda stanowiła dowód na to, jak bezżębni są ich rywale, ich przeciwnicy. Tak, nie łudźmy się: po raz pierwszy w historii

jesteśmy

przeciwnikami.

Z coraz bardziej przeszywającym spojrzeniem Palmer kontynuował wywód:

- Chiny stoją w ogniu i to właśnie Zachód dostarczył Chińczykom paliwa. Liberalizując gospodarkę, kraj ten zyskał sto miliardów

dolarów

kapitału

zagranicznego.

Ich

produkt

krajowy

brutto wzrasta co kwartał o dziesięć procent: bez zmasowanego wysiłku nie dokonałby tego żaden inny naród. Jesteśmy też 256

świadkami gigantycznego wzrostu konsumpcji: już za kilka lat ten

budzący się tygrys będzie

pochłaniał dziesięć

procent światowej

produkcji

ropy

naftowej,

jedną

trzecią

światowej

produkcji

stali.

Jako

konsument,

Chiny

mają

wielce

nieproporcjonalny

wpływ na kraje Azji Południowo-Wschodniej, takie jak Korea, Japonia,

no

i

oczywiście

Tajwan.

Nasze

przedsiębiorstwa

stają

się coraz bardziej zależne od chińskiego tempa wzrostu gospodarczego. Panie i panowie, czy nie brzmi to znajomo?

Palmer ponownie zamilkł i powiódł wzrokiem po niewidocznej publiczności. Miał mistrzowskie wyczucie chwili.

-

Powiem jaśniej. Rozważmy przypadek kraju, który doświadczył czegoś, co moglibyśmy nazwać drugą rewolucją przemysłową. Kraju z tanią siłą roboczą, bogatego i zasobnego, który był

w

stanie

przekształcić

swoją

gospodarkę

w

najszybciej

i

najwydajniej

rozwijający się organizm ekonomiczny w świecie. Mam tu na myśli . . . - Palmer lekko podniósł głos. - Mam tu na myśli Stany Zjednoczone Ameryki na początku XX wieku. Wszyscy wiemy, co było potem. Nastąpił okres niekwestionowanej supremacji

militarnej,

przemysłowej,

gospodarczej

i

kulturalnej,

okres potęgi i prosperity, który nazywamy w skrócie wiekiem amerykańskim. -Zerknął na pulpit i kontynuował: - Był to wiek imponujący i budzący respekt. Lecz nikt nie obiecywał, że będzie trwał wiecznie. Co więcej, są wszelkie podstawy, by sądzić, że już wkrótce się skończy. Że patrząc wstecz, stwierdzimy, iż wiek

XXI

należał

do

Chin.

Przez salę przetoczył się szmer głosów.

- Jestem bezstronnym naukowcem i nie mnie oceniać, czy jest to powód do radości, czy smutku. Pozwólcie państwo, że odno-tuję jedynie obecną w tym wszystkim ironię. Otóż wydarzenia te są owocem naszej własnej pracy. Owocem pracy kierujących się dobrą wiarą Amerykanów, którzy zdominowali establishment polityki

zagranicznej,

robili

wszystko,

żeby

obudzić

śpiącego

tygrysa.

Sprawić, żeby

zamknięte,

zwrócone ku

sobie

królestwo

stało się królestwem otwartym na świat. Życ z tym będą musiały nasze dzieci. - I cichym głosem dodał: - Życ albo umierać.

Ambler zadrżał, przypomniawszy sobie twarze innych ludzi, twarze, z któ-

rych bił taki sam fanatyzm i pewność siebie. Nie były to obrazy pocieszają-

ce: doktor Abimael Guzman, założyciel Świetlistego Szlaku, zbrodniczej organizacji terrorystycznej. David Koresh, samozwańczy mesjasz i przywódca 257

teksaskiej sekty Gałąź Dawida. Jednak Ashton Palmer był człowiekiem o wielkiej ogładzie, człowiekiem fałszywie przyzwoitym, co odróżniało go od tych oczywistych fanatyków i sprawiało, że potencjalnie był od nich dużo bardziej niebezpieczny.

- Raz

po

raz

nasi

soi-disant,

specjaliści

od

Chin,

wróżyli

z fusów. Wszyscy tu obecni pamiętają na pewno wybuch masowych zamieszek w Chinach zaraz po tym, jak Amerykanie zbombardowa-li Ambasadę Chińską w Belgradzie. Miliony chińskich obywateli nie chciało uwierzyć, że był to zwykły przypadek. Cały Waszyngton

załamywał

ręce.

Nawrót

nastrojów

antyamerykańskich

potraktowano jako coś bardzo złego. Eksperci ci nie przyswo-ili sobie tego, co stary chiński mędrzec Chung-wen Han nazwał

po

prostu

shuangxing,

„dwoistością”. W rzeczy samej rozkwit

tej ksenofobii mógłby być dobry dla Ameryki. Wiemy, że wszystko to, co spowalnia proces chińskiej integracji z międzynarodową społecznością, spowalnia również wzrost Chin jako takich. Sceptyk utrzymywałby zapewne, że rozwój tego państwa jest dobry dla nas i dla całego świata. Jako bezstronny i beznamienny obserwator nie mogę oczywiście twierdzić, że będzie tak czy inaczej. Mimo to uważam, że doszliśmy do rozstaju dróg i być może uda mi się zwrócić państwa uwagę na to, co leży na ich końcu. Konflikt z Chinami jest nieunikniony. Jednak może-my wyjść z niego zwycięsko. Będzie to zależało od naszych wyborów. Od wyborów, których dokonujemy już d z i s i a j .

Caston ukląkł i wystukał na klawiaturze serię poleceń, odtwarzając kolejny plik. Ten pochodził sprzed zaledwie dwóch lat i był bardziej zamazany, nieostry, najwyraźniej wielokrotnie kopiowany.

- Tu zaśpiewa trochę inaczej - powiedział. - Była to oczywiście konfe-rencja zamknięta - Palmer przemawiał do swoich najzagorzalszych zwolenników - a raczej dyskusja panelowa zorganizowana w Waszyngtonie przez pewną grupę konsultingową. Najwidoczniej uznał, że może odsłonić swoje prawdziwe oblicze.

W dyskusji brało udział pięciu sinologów i Palmer wyróżniał się wśród nich niewzruszonym spokojem. Z jego wysokiego czoła i ciemnoszarych oczu biły inteligencja i głębokie zamyślenie.

Nagranie zaczęło się od pytania, które zadał mu młody, tyczkowaty bro-dacz w grubych okularach.

- Panie

profesorze, czy uważa pan, że amerykańską politykę względem Chin cechuje zbyt mały sceptycyzm, że polityka ta nie 258

uwzględnia naszych narodowych interesów? Zadaje to pytanie, ponieważ wielu przedstawicieli Departamentu Stanu uważa, że rosnące wpływy prezydenta Liu Anga są ich wielkim sukcesem,

hołdem dla ich polityki „konstruktywnego zaangażowania”.

Kamera pokazała Palmera. Ten uśmiechnął się i odparł:

- I

słusznie. Liu Ang jest politykiem o cudownym wprost darze oddziaływania. Mam wielką nadzieję, że będzie symbolem przyszłości.

Uśmiechnął się ponownie, ukazując równe białe zęby. Mimo jego praktycznie jednoznacznej deklaracji i naturalnego zachowania Amblera przeszedł zimny dreszcz. Przyglądając się twarzy Palmera, wykrzył w niej - nie, po prostu zobaczył! - głęboką pogardę i wrogość w stosunku do chińskiego polityka. Gdy naukowiec wypowiadał nazwisko Liu Anga, przez jego oblicze przemknął ulotny wyraz odrazy, który całkowicie zaprzeczał jego słowom.

- Mogę tylko wyrazić nadzieję - kontynuował - że triumfaliści z Departamentu Stanu się nie mylą. Tak czy inaczej, musimy z nim współpracować.

- Brzmi to dość wiarygodnie - mruknął Caston. - Trudno go rozgryźć.

Nadeszła kolej na Amblera. Na ekranie widniała ikona przewijania w przód i wstecz, więc przewinął nagranie do momentu, gdy Palmer wypowiadał nazwisko chińskiego prezydenta. Tu. Jest. Liu Ang. W trwającej ułamek sekundy przerwie między imieniem a nazwiskiem twarz Palmera przybrała zupełnie inny wyraz. Zwęziły mu się oczy, opadły kąciki ust, rozszerzyły się nozdrza: był to wyraz wściekłości i odrazy. Dwie klatki dalej wyraz ten zniknął, ustępując miejsca sztucznemu uśmiechowi fałszywej aprobaty.

- Jezu Chryste szepnął Caston.

Ambler milczał.

Rewident pokręcił głową.

- Nigdy bym tego nie zauważył.

- Na niebie i ziemi jest wiele rzeczy, których twoje wszechpotężne arku-sze kalkulacyjne nigdy nie ujmą.

- Chyba mnie nie doceniasz - odparł Caston. - W końcu dochodzę do tego, do czego chcę dojść.

- I zjawiasz się tam już po strzelaninie, tylko po to, żeby pozbierać łuski.

Znam kilku analityków i wielu speców od analizy numerycznej. Pracujecie na papierze, przy komputerach, ślęczycie nad wydrukami, wykresami, grafa-mi i tabelami, ale nie macie do czynienia z żywymi ludźmi. Wygodniej czujecie się w towarzystwie bajtów i bitów.

Caston przekrzywił głowę.

- John Henry wygrał kiedyś z młotem pneumatycznym. Pewnie przespałeś nadejście wieku informatycznego. Dla technologii nie ma dzisiaj granic. Technologia widzi. Technologia słyszy. Technologia rejestruje wszystkie zmiany i najmniejsze nawet zakłócenia statystyczne. I jeśli tylko będziemy uważni...

- Słyszy, ale nie potrafi słuchać. Widzi, ale nie potrafi obserwować. A już na pewno nie potrafi gadać z ludźmi, z którymi mamy do czynienia. W tym przypadku nic nie zastąpi człowieka.

- Już dawno stwierdziłem, że pieniądze pozostawiają za sobą ślad o wiele wyraźniejszy i więcej mówiący niż ludzie.

- Jasne warknął Ambler. Wstał i zaczął nerwowo krążyć przed telewizorem. Pokój nagle skurczył się i klaustrofobicznie zmałał. - Dobra. Chcesz mówić o logice i probabilyście? Weźmy na przykład Chiny, to, co się tam ostatnio dzieje: co to wszystko znaczy dla kogoś takiego jak Ashton Palmer?

Dlaczego Palmer tak bardzo nienawidzi Liu Anga?

- Jestem specem od liczb, nie od geopolityki. - Caston wzruszył ramionami. -- Ale czytam gazety. Poza tym obaj słyszeliśmy, co mówił na konferencji w Centrum Studiów Politycznych. Skoro pytasz, więc ci odpowiem: z Liu Angiem chodzi przede wszystkim o to, że ten człowiek jest niezwykle popularnym przywódcą i potężną siłą napędową procesu liberalizacji. Otworzył na świat chińskie rynki, wdrożył sprawiedliwe systemy handlowe, zdławił nawet piractwo płytowe, likwidując nielegalne wytwórnie. I tak dalej, i tak dalej.

- Mimo to mamy tu do czynienia z gradualizmem, prawda? Z typowo chińskim sposobem na życie.

- Z gradualizmem, tak, ale z gradualizmem przyspieszonym.

- Przecież to sprzeczność.

- Liu Ang też jest pełen sprzeczności. Jakiego słowa użył Palmer? „Dwoistość”. Pomyśl tak jak on. Pomyśl o wieku chińskiej dominacji, o tym, co może się zdarzyć, jeśli zamknięte dotąd królestwo zacznie się nagle otwierać, integrować z innymi krajami i narodami. Gdybyśmy rozumowali takjak on, Liu Ang byłby dla nas koszmarem koszmarów.

- I chcielibyśmy coś z tym zrobić - wtrącił Ambler.

- Czytałem gdzieś, że w przyszłym miesiącu Liu Ang składa w Stanach oficjalną wizytę... - Caston zamilkł i długo milczał. - Muszę wykonać kilka telefonów.

Ambler popatrzył na ekran, na zastygły, bez ruchu obraz Palmcra, próbując coś z niego wyczytać.

Kim ty jesteś? Czego chcesz? Zamyślony spuścił głowę.

I nagle obraz zniknął.

Monitor eksplodował w chmurze dymu i szklanych odłamków, zanim jeszcze rozległ się stłumiony odgłos wystrzału.

260

Czas zwolnił bieg.

Co się stało? Pocisk. Dużego kalibru. Z karabinu. Z karabinu wyposażonego w tłumik.

Ambler odwrócił się na pięcie i na końcu prowadzącego do pokoju korytarza zobaczył ubranego na czarno mężczyznę. Mężczyzna przykucnął jak dobrze wyszkolony komandos i jak dobrze wyszkolony komandos mierzył do nich ze szturmowego karabinka, z G36 Hecklera & Kocha. Zakrzywiony, sterczący tuż przed kabłąkiem magazynek, w magazynku trzydzieści nabojów kaliber 5,56 mm, lekki korpus z czarnego polimeru, celownik z kolima-torem: broń poręczna i śmiertelnie niebezpieczna.

Broń ze standardowego wyposażenia Wydziału Operacji Konsularnych.

Rozdział 26

Ambler runął na podłogę na ułamek sekundy przed tym, gdy w jego stron

Ale pomknęły ze świstem kolejne trzy pociski. Zdążył jeszcze zoba -

czyć, że Caston rzuca się za biurko po drugiej stronie pokoju, schodząc z linii strzału. Byli bezpieczni.

Ale tylko chwilowo.

Tamten nie był sam; Ambler zobaczył to w jego oczach. Biła z nich pewność siebie członka zgranego zespołu.

Grupa uderzeniowa sił specjalnych. Ilu ich mogło być? Do operacji, której celem był cywil, zwykle wyznaczano dwóch albo trzech. Na miejsce akcji docierali różnymi trasami, jedni drzwiami, inni przez okno. Ale bez nokto-wizora trudno było ustalić ich dokładną pozycję.

Pytanie tylko, dlaczego jeszcze żył.

Gdy pierwszy strzelec zastygł bez ruchu, tuż za nim przebiegł drugi: klasyczny manewr oskrzydlający.

Ambler napiął mięśnie i silnym, gwałtownym kopniakiem zatrzęsął drzwi.

Wiem, co myślisz - wysapał skulony Caston. Jego blada zazwyczaj twarz była teraz biała jak kreda. - Ale wierz mi, nie miałem i nie mam z tym nic wspólnego.

- Wiem - odparł Ambler. - To nie ty. Ściągnaliśmy te pliki i któryś z nich musiał uruchomić alarm. Sprawdzili identyfikator I/O i bez problemu nas namierzili. Ten dom miał być niezamieszkały, sam mówiłeś.

- Co teraz?

261

- Nie jest dobrze. To zawodowcy. Mają karabiny szturmowe G36 Hecklera & Kocha. Wiesz, co to znaczy?

- Karabiny szturmowe G36 Hecklera & Kocha - powtórzył Caston i zamrugął.

- W hurcie, od tysiąca sztuk w górę, płacimy za nie osiemset czterdzieści pięć dolarów. Ale ze względu na koszty amunicji, które nie podlegają amortyzacji...

- One mają tłumik - przerwał mu Ambler. - Cholera jasna, przysłali tu czyszcicieli.

Seria kul wyrwała dziurę w górnej części drzwi. Poszybowały odłamki, zapachniało spalonym drewnem. Drzwi mogły w każdej chwili ustąpić.

Ambler szybko wstał, zgasił światło i ponownie rzucił się na podłogę.

Dlaczego jeszcze żył?

Bo było ich dwóch. Tamci mieli noktowizory i widzieli tylko tyle. Że jest ich dwóch. Nie zastrzelili go, ponieważ najpierw musieli sprawdzić, czy on to na pewno on. Zidentyfikować i zabić: taki musieli dostać rozkaz. Rozkaz ten jednak nie uwzględniał obecności drugiego celu.

- Nie powstrzymamy ich, nie mamy czym - powiedział Caston. - Musimy się poddać.

Kolejna seria, kolejne trzy kule i jeszcze większa dziura w drzwiach. Ciche, stłumione wystrzały i głośny trzask pękającego drewna.

Ambler wiedział, co zaraz będzie. Tamci podejną do wyrwanej przez pociski dziury, wsuną w nią lufy karabinów, spokojnie zidentyfikują cel, wymierzą i pociągną za spust.

Zostało mu jedynie kilka sekund na opracowanie jakiegoś planu, który by ich zmylił.

Dysponował tylko glockiem 26, małą, kompletnie bezużyteczną w starciu z kimś uzbrojonym w karabin zabawką, pistolecikiem na wodę bez szans przy potężnej armatce wodnej. Broń nie miała dobrego celownika, przy większej odległości była mało celna, a wystrzelone z niej małokalibrowe

pociski nie przebiłyby kamizelki kuloodpornej. Nie miała praktycznie żadnej wartości, ani obronnej, ani szturmowej, zwłaszcza w tej sytuacji.

Improwizuj. Improwizuj, do ciężkiej cholery.

- Chyba jednak mamy - szepnął.

- Chyba jednak nie - odparł przerażony Caston. - Pilotem do telewizora ich nie wyłączysz, już próbowałem.

- Masz mnie. Zakładnika.

- Oszalałeś.

- Zamknij się i słuchaj - syknął Ambler. - Musisz krzyknąć, najgłośniej jak umiesz, że masz zakładnika i zastrzelisz go, jeśli podejda choćby krok bliżej. No? Krzycz!

262

- Nie mogę...

- Możesz i krzykniesz. - Teraz! - dodał bezgłośnie Hal.

Caston wyglądał jak śmierć, mimo to kiwnął głową i wziął głęboki oddech.

- Mam zakładnika! - wrzasnął zaskakująco silnym, opanowanym głosem.

Zrobicie jeszcze jeden krok i go zastrzelę.

Kilka sekund ciszy i ledwo słyszalna wymiana zdań między tamtymi.

Ambler wyjął z kabury glocka i wcisnął go do ręki księgowemu.

- Przystaw mi lufę do głowy. Rozumiesz?

- Łatwo ci mówić - wychrypiał Caston. - To mnie zabiją...

- Musisz mi zaufać. Jak dotąd świetnie sobie radzisz.

Caston był potwornie zdenerwowany, lecz słowa te dodały mu chyba otuchy.

- Zrobisz ze mnie żywą tarczę - mówił dalej Ambler. - Co znaczy, że nie możesz pozwolić, żeby cię zobaczyli. Przez cały czas muszę stać między tobą i nimi. Jasne? Pomogę ci, ale musisz zrozumieć, na czym polega ten manewr.

- Ale przecież oni przyszli tu po ciebie, nie po mnie, tak? To nie ma sensu.

- Zaufaj mi - powtórzył Hal. W tym szaleństwie była pewna metoda, lecz wyjaśnienia trwałyby za długo. Pojawienie się zakładników zawsze wszystko psuło. Podczas nerwowej, pełnej napięcia operacji nikomu nie przyszło-by do głowy dokładnie identyfikować zakładnika i tego, który go wziął. Przed-operacyjna analiza zdjęć nie miała żadnego znaczenia, bo studiowali te zdjęcia na stole i w jaskrawym świetle lamp. Tu zaś nie było ani stołu, ani światła.

Tu mieli broń, byli naszprycowani adrenaliną i wypełniali rozkazy, starając się nie popełnić błędu, który mógłby zniszczyć im karierę. Takim błędem mogła być śmierć zakładnika. Dlatego gdyby Ambler i Caston dobrze ode-grali swoją rolę, tamci odebrali by to widowisko jako namacalny fakt, fakt niezbity, który przesłoniłby wszystkie pozostałe szczegóły w rodzaju wzrostu czy koloru ich włosów.

Ambler nachylił się do ucha Castona i podał mu kolejne wskazówki.

Ten nabrał powietrza i ryknął:

- Chcę rozmawiać z waszym dowódcą! - Gdyby mówił spokojnie, tak jak podczas zwykłej rozmowy, na pewno trząśłby mu się głos, lecz krzycząc, brzmiał odważnie i stanowczo.

Cisza.

Przybrawszy przerażony wyraz twarzy, Ambler runął na drzwi, jakby ktoś go gwałtownie popchnął. Ze stojącym tuż za plecami Castonem wcisnął głowę w wielką, wystrzępioną dziurę i wyszeptał:

- On mnie zabije! Błagam, zróbcie coś! - I dziko wytrzeszczył oczy, jak rozhisteryzowany cywil w szponach niewyobrażalnego koszmaru.

263

Po drugiej stronie drzwi zobaczył tych samych komandosów co przedtem, dwóch ciemnowłosych, muskularnych mężczyzn o mocno zarysowanym podbródku. Obaj patrzyli nie na niego, tylko w mrok za nim, nieświadomi, że ich cel stoi tuż przed nimi.

- Chcę rozmawiać z waszym dowódcą - powtórzył Caston głośnym, pewnym siebie głosem. - Natychmiast!

Komandosi wymienili spojrzenia i Amblerowi mocniej zabiło serce. Nie mieli dowódcy. Przynajmniej na razie. Przyjechali tu sami. Szybka reakcja kosztem oszczędności personalnych. Nie ulegało wątpliwości, że już niebawem nadciągną posiłki, jednak chwilowo działali bez wsparcia.

- Zróbcie coś, on mnie zabije - wychlipał przerażony „zakładnik”.

- Spokojnie, nic panu nie będzie - odparł cicho wyższy komandos.

- Wypuść go! - krzyknął drugi. -- Wypuść go i porozmawiamy!

- Macie mnie za kretyna? - wrzasnął natychmiast Caston.

Księgowy improwizował! Ambler był zdumiony.

- Zrobisz mu krzywdę i będzie po tobie! - odkrzyknął wyższy komandos.

Negocjacje z porywaczami przerabiali na początku kursu, ale pobieżnie. Najwyraźniej próbował przypomnieć sobie podstawowe taktyki działania.

W tym samym momencie Ambler osunął się gwałtownie na podłogę, znikając im z pola widzenia.

- Chryste! - stęknął, jakby Caston zdzielił go czymś w kark.

Mieli teraz krótką chwilę na szybką naradę. Całą akcję musieli przeprowadzić bez najmniejszego błędu. Precyzja należała do wartości, które Caston zawsze bardzo cenił, a wyraz najwyższego skupienia na jego twarzy świadczył o tym, że ceni ją również i teraz, nawet w tych okolicznościach.

Ambler wstał, ponownie pokazując tamtym swoją przerażoną twarz i gwał-

townie szarpnął głową, jakby Caston dźgnął go lufą w potylicę.

- Błagam - jęknął - wydostańcie mnie stąd! Nie wiem, kim jesteście.

I nie chcę wiedzieć. Chcę tylko stąd wyjść! - Jeszcze bardziej wykrzywił

twarz, w oczach pojawiły się łzy. - On ma taki długi karabin i bardzo dużo kul. Mówi, że mnie poszatkuje, że robi ze mnie sito. Mam żonę i dzieci.

Jestem Amerykaninem. - Mówił bez ładu i składu krótkimi, urwanymi zda-niami, jak człowiek ogarnięty śmiertelną paniką. - Lubicie kino? Pracuję w wytwórni filmowej. Przyjechałem tu szukać plenerów. Jestem przyjacielem naszego ambasadora. A on powiedział... Powiedział, że... Boże, o Boże...

- Zrobimy tak - zadudnił głos niewidocznego w mroku Castona. Jeden z was może podejść na półtora metra od progu. Najwyżej na półtora. Centymetr dalej i ten człowiek zginie. Pozwolę mu podejść bliżej, żebyście zoba-264

czyli, że nic mu nie jest. Ale cały czas będę trzymał go na muszce, jasne?

Jeden fałszywy ruch i mój lapua magnum pokaże, co potrafi.

Ambler otworzył szeroko drzwi i zrobił kilka sztywnych, niepewnych kroków przed siebie. Jego twarz była studium przerażenia. Komandosi musieli założyć, że ich cel przebywa w ciemnym kącie

pokoju, poza linią strzału, że ściska w rękach potężną, wyrafinowaną broń i nie narażając się na niebezpieczeństwo, w każdej chwili może zabić zakładnika. Musieli przystać na jego warunki, nie mieli wyboru. Czas grał na ich korzyść: zamierzali jak najdłużej zwlekać, czekając na przybycie posiłków. Tak, Ambler poznał to po ich twarzach. Niewykluczone, że liczyli się ze śmiercią zakładnika zwykle koszty uboczne, cena za likwidację Tarkwiniusza -jednak ostateczną decyzję musiał podjąć ich dowódca.

Ambler zrobił jeszcze jeden krok w stronę wyższego komandosa i zobaczył

jego zielone oczy, ciemne włosy, dwudniowy zarost na twarzy. Był dla niego przeszkodą, niewygodnym kłopotem, niewiadomą, której nie mógł usunąć jeszcze z równania. Opuścił karabin. W tej sytuacji nic było sensu strzelać.

Hal zadrżał ze strachu. Zerknął przez ramię w głąb ciemnego pokoju i udając, że widzi tam wycelowany w niego karabin, głośno wciągnął powietrze.

Potem spojrzał błagalnie na komandosów.

On mnie zabije wychrypiał. Wiem, że mnie zabije. Poznają to po jego oczach. Coraz bardziej zdenerwowany, przerażony i poruszony, z coraz większą histerią w głosie, zaczął bezładnie wymachiwać rękami. - Musicie mi pomóc. Boże, pomóżcie mi. Zadzwońcie do naszego ambasadora, do Sama Hurlbuta, on za mnie poświadczy. Jestem dobrym człowiekiem, nic nikomu nie zrobiłem. Nic zostawiajcie mnie tu. Nie zostawiajcie mnie z tym maniakiem. - Mówiąc to, nachylił się ku wyższemu komandosowi, jakby chciał powiedzieć mu coś na ucho.

- Proszę się uspokoić - warknął chrapliwie tamten, prawie nie ukrywając odrazy na widok bełkoczącego, spanikowanego cywila, który podszedł stanowczo za blisko, dziko wymachiwał rękami i...

Okazja na pewno się nadarzy. Skorzystaj z niej.

- Musicie mi pomóc, musicie mi pomóc, musicie... - Chaotyczne, pozbawione sensu słowa. Ambler nachylił się jeszcze bardziej. Poczł kwaśny zapach jego potu. Stres.

Chwyć karabin za łożę, nie za magazynek. Magazynek może wypaść i zostanie ci tylko nabój w komorze. Palce trzyma luźno, na kabłąku. Teraz!

Ze zwinnością atakującej kobry wyrwał mu z ręki broń i grzmotnął go kolbą w głowę. Gdy komandos osunął się na podłogę, wycelował w jego partnera.

265

Ten, kompletnie zaskoczony i oszołomiony, próbował na nowo ocenić sytuację. Hal przełączył karabin na ogień ciągły.

- Rzuć broń!

Tamten wykonał rozkaz i zaczął się powoli cofać.

Ambler wiedział, co zamierza.

- Stój! - ryknął.

Ale komandos ciągle się wycofywał, krok po kroku, z podniesionymi do góry rękami. Gdy operację trafiał szlag, trzeba się było ewakuować. Zasady tej przestrzegano ściślej niż jakiegokolwiek innej.

Komandos odwrócił się nagle, wybiegł na ulicę i zniknął, żeby dołączyć do oddziału i przegrupować się. Ambler i Caston też musieli się ewakuować *i na swój sposób przegrupować*. Nie było sensu go zabijać.

Na jego miejsce czekało zbyt wielu innych.

Pekin, Chiny

Chao Tang wstawał bardzo wcześnie i podobnie jak większość rannych ptaszków u władzy zmuszał swoich pracowników do wstawania o tej samej porze co on, zwołując odprawy tuż przed wschodem słońca. Członkowie sztabu pomocniczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego zdążyli już do tego przywyknąć, stopniowo rezygnując z późnowieczornych libacji, ryżowego wina i nocnego życia, na jakie wyżsi członkowie rządu mogli sobie pozwolić. Rozpusta nic była warta rozrywającego bólu głowy o szóstej rano nazajutrz. W ich początkowo kaprawych, zmęczonych oczach zaczął

się powoli pojawiać wyraz czujnego spokoju i z czasem poranne odprawy przestały być czymś strasznym.

Jednak odprawa - codzienny przegląd zadań zrealizowanych i tych do zre-alizowania - była teraz ostatnią rzeczą, o jakiej myślał. Od dłuższego już czasu siedział w ministerialnym centrum komunikacyjnym, analizując nocny meldunek - przeznaczony tylko dla niego - a to, co z niego wyczytał, było doprawdy wielce niepokojące. Jeśli Joe Li się nie mylił, mieli do czynienia z czymś o wiele groźniejszym, niż sądził. Tak, bo opis incydentu w Ogrodach Luksemburskich stanowił wyraźny dowód na to, że pogwałceniu uległy wszystkie założenia operacyjne. Musieli opracować nowe, i to jak najszybciej. Ale najbardziej ciążyło mu pytanie: dlaczego?

Czy to możliwe, żeby Joe Li się mylił? Chao Tang uznał, że nie. Meldunku nie można zlekceważyć. Mieli wielu wrogów, lecz teraz ich największym wrogiem był czas. Mieliby dalej zwlekać? Czekać, aż Liu Ang otrzeźwieje? Nie.

266

Chao Tang musiał coś zrobić, przedsięwziąć coś na własną rękę. Niektórzy powiedzieliby na pewno, że to zdrada, skandaliczne i niewybaczalne prze-kroczenie kompetencji.

Jednak krnąbrność Liu Anga nie pozostawiała mu wyboru.

Chao wziął głęboki oddech. Wiadomość musiała być dostarczona szybko i potajemnie. Musiała też być ułożona w taki sposób, żeby właściwie ją zin-terpretowano i wykonano zawarte w niej polecenia. Normalne zasady operacyjne trzeba było zawiesić. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę.

Wysyłając zaszyfrowane rozkazy, pocieszał się w duchu, że podjął kroki, jakich wymagała sytuacja. Jednak gdyby się przeliczył, popełniłby największy błąd w życiu. Targały nim obawy i lęk.

Niepokoili go również słowa z meldunku Joego Li. Kto jeszcze o nim wiedział? Młodzieniec, który mu go dostarczył, Shen Wang, miał tego ranka jasne, bystre oczy, jak zawsze. Towarzysz Chao traktował go początkowo nieufnie. Shen Wang został „oddelegowany” przez Armię Ludowo-Wyzwoleńczą; tak to nazywano, lecz określenie to było bardzo zwodnicze. Żeby promować rozwój powszechnej kultury rządu i uniemożliwić podział

na wszelkiego rodzaju frakcje czy koterie - Armia Ludowo-Wyzwoleńczą

„delegowała” młodszych oficerów do resortów cywilnych. (Cruczek polegał

na tym, że „delegatom” nie można było odmówić, nie wywołując tym niezadowolonia wojskowych. Tak więc Shen Wang, młody „delegat” z Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, miał spędzić rok jako stażysta w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego. Ministerstwo z kolei oddelegowało swojego pracownika na staż w ALW, chociaż powszechnie uważano, że więcej korzyści czerpie z tego układu wojsko.

W ministerstwie podejrzewano oczywiście, że stażysta będzie donosił na przełożonych swoim przełożonym z wojska. Wiedziano, że Shen Wang jest protegowanym Lama, konserwatywnego generała, do którego Chao żywił

pewną odrazę. Ale mimo początkowych podejrzeń Shen bardzo się do niego przywiązał. Był pracowity, niezmordowany i całkowicie pozbawiony cynizmu. Chao musiał przyznać, że ten młody człowiek - „delegat” nie mógł

mieć więcej jak dwadzieścia pięć lat - jest prawdziwym idealistą, takim, jakim kiedyś był on.

Shen Wang stanął w drzwiach i dyskretnie odchrząknął.

- Proszę wybaczyć, ale wydaje mi się, że coś towarzysza gnębi.

Chao popatrzył na zapracowanego stażystę. Czy Shen czytał meldunek?

Twarz miał tak jasną i szczerą, że wydawało się, iż to niemożliwe.

- Sprawy od dawna się komplikują- odparł. - Dzisiaj skomplikowały się jeszcze bardziej.

Shen Wang pochylił głowę i milczał przez chwilę.

- Bardzo dużo towarzysz pracuje - powiedział wreszcie. - **Nie znam** nikogo, kto pracowałby więcej.

Chao uśmiechnął się blado.

- Jesteś na dobrej drodze, żeby mnie przyćmić.

- Nie wiem, jak bardzo złożone sprawy państwowe spoczywają na waszych barkach. Wiem jednak, że barki te udźwigną każdy ciężar. - Była to aluzja do starego chińskiego przysłowia. Shen chciał go pokrzepić i zrobić

to, zgrabnie unikając pochlebstwa.

- Miejmy nadzieję.

- Czy towarzysz pamięta o dzisiejszym lunchu?

Chao posłał mu nieobecny uśmiech.

- Lepiej mi przypomnij.

Shen zerknął na plan dnia.

- Uroczysty obiad dla bohaterów ludu. W pałacu na półwyspie.

- W takim razie lepiej już chodźmy - odparł Chao. Obaj dobrze wiedzieli, na jak koszmarnie korki można natknąć się w tym niemożliwie zatłoczonym mieście. Nawet krótka wyprawa zajmowała sporo czasu. Poza tym ktoś taki jak towarzysz Chao nie mógł podróżować bez opancerzonego samochodu i odpowiednio wyszkolonego kierowcy.

Kilka minut później, wsiadając do czarnej limuzyny, pomyślał o wdzięku i przenikliwości młodego Shena. Zawsze szczylił się tym, że potrafi dostrzec czyjś talent i możliwości i uważał, że Shen Wang ma przed sobą świetlaną przyszłość.

Po dziesięciu minutach limuzyna przyspieszyła i z rykiem silnika wpadła na wiadukt.

Kilkadziesiąt metrów dalej, na sąsiednim pasie, stał olbrzymi buldożer z nisko opuszczoną łyżką. Roboty drogowe, pomyślał Chao. Będzie jeszcze większy korek. Dobrze chociaż, że nie na naszym pasie.

- Jak dotąd nie jest tak źle, prawda? - rzucił kierowca.

Chao nie odpowiedział. Zamiast słów, z jego ust wyrwał się przeraźliwy krzyk, a zaraz potem rozległ się potworny huk, nagły i nieoczekiwany. Buldożer skręcił na ich pas i limuzyna utknęła między innymi samochodami.

Przednia szyba eksplodowała w fontannie ostrych odłamków szkła, które sie-kły w oczy i cięły żyły. Metal zazgrzytał z jękiem o metal. Gigantyczna stalowa łyżka dźwignęła limuzynę, przygniotła ją do barierki i zepchnęła z wiaduktu.

Zmiażdżony samochód runął na wielką, betonową nieckę i stanął w ogniu.

Niewidoczny, bo siedzący w wysoko zamontowanej kabinie operator buldożera przytknął do ucha telefon.

- Posprzątane zameldował z silnym akcentem wieśniaka z północnej prowincji kraju.

- Dziękuję - odparł Shen Wang. Zważywszy na błyskawicznie rosnącą liczbę wypadków samochodowych w Pekinie, ten na wiadukcie wywoła zapewne konsternację, a nawet przerażenie, ale nikogo nie zaskoczy. Generał

będzie bardzo zadowolony.

- Co to? - spytała z rozszerzonymi oczami. Byli w hotelowym pokoju i Ambler właśnie zdjął koszulę. Szybko podeszła bliżej i ostrożnie przesunę-

ła palcami po fioletowym siniaku na jego ramieniu.

- Okazało się, że bezpieczna kryjówka Castona wcale nie jest taka bezpieczna.

- Ufasz mu? - spytała, przesywając go ostrym spojrzeniem. Robiła wrażenie zaniepokojonej, może nawet wystraszonej.

- Chyba muszę.

- Ale dlaczego? Skąd pewność, że...

- Bo jeśli mu nie zaufam, nie będę mógł zaufać samemu sobie. Ambler zamilkł na chwilę. - Trudno to wytłumaczyć.

Powoli kiwnęła głową.

- Nie musisz. Rozumiem. Nie wiem, dlaczego się tym przejmuję dodała ciszej. Ten świat zwariował i już od dawna nic nie ma sensu,

- Od kilku dni sprecyzował Ambler.

- Dłużej.

- Odkąd pojawiłem się w nim ja. - Poczul w gardle gorzki smak żółci. -

Ten obcy. Obcy nawet dla samego siebie.

- Przestań - rzuciła ostrzegawczo. Opuszkami i palców przesunęła po jego piersi i ramieniu, jakby chciała się upewnić, czy Ambler jest kimś realnym, namacalnym, człowiekiem z krwi i kości, a nie zjawą. Gdy ponownie spotkali się wzrokiem, miała łzy w oczach. - Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś takiego jak ty.

- Bądź wdzięczna za to, co masz.

- Nie. Ty jesteś dobry. - Postukała palcem w jego pierś. - Masz dobre serce.

- I nie swoją głowę.

- Ołać to - prychnęła z teatralnym szyderstwem. - Próbowali cię skasować, ale wiesz co? Jesteś prawdziwszy od wszystkich mężczyzn, jakich znam i kiedykolwiek znałam.

Lauren.. - Urwał, czując, że łamie mu się głos.

- Z tobą... Kiedy jestem z tobą, ciągle odkrywam, że nie zdaję sobie z tego sprawy, przez całe życie byłam sama, że nie wiedziałam, jak to jest być z kimś, tak naprawdę. Właśnie tak się przy tobie czuję. Jakbym zawsze była 269

sama i jakbym nagle kogoś znalazła. Nie mogę już wrócić do tego, co było.

[jak było. Po prostu nie mogę. - Głos miała przesycony uczuciem. Chcesz porozmawiać o tym, co mi zrobiłeś, na co mnie naraziłeś? Dobrze. Zrobiłeś mi właśnie to. I nie chcę, żeby to się zmieniło. Nigdy.

Zaschło mu w ustach.

- Nic nie przeraża mnie bardziej niż myśl, że mógłbym cię stracić.

- Nie stracisz. - Jej bursztynowe oczy rozświetlił wewnętrzny ogień i za-skrzyły się w nich iskielki. - Uratowałeś mi życie, dosłownie i w przenośni.

- Liczysz się tylko ty, Laurel. Bez ciebie nic nie miałoby sensu, przynajmniej dla mnie. Mówię to...

- Jako Harrison Ambler - przerwała mu z uśmiechem. - Jako Harrison Ambler.

Rozdział 27

e merite le detour - „Nie warto zbaczać z trasy, żeby je zwiedzić” -

N za pewne tak by to brzmiało w języku Michelina. Jednak Ambler pa-miętał je dobrze z młodzieńczych lat i wątpił, żeby cokolwiek się tam zmieni-

ło. Musee Armandier było jednym z nielicznych prywatnych muzeów w Pary-

żu i żeby utrzymać swój fiskalny status, skrupulatnie wypełniało spoczywające na nim obowiązki. Było regularnie otwarte, lecz zwykle opustoszałe; odwiedzało je prawdopodobnie mniej ludzi niż pod koniec XIX i na początku XX

wieku, kiedy to mieszkali tam prywatni właściciele. Sam budynek - stylowa włoska willa ze wspaniałymi, łukowatymi oknami głęboko osadzonymi w ele-wacji z wapienia z południowego Dorsetu i z częściowo zamkniętym dziedziń-

cem - robił nawet wrażenie. Wzniesiony przez pewnego protestanckiego bankiera, który zbił fortunę za czasów II Imperium, stał na Plaine Marceau, w okolicy ulubionej wówczas przez Napoleońską szlachtę i nową klasę finan-sistów, okolicy - o dziwo - spokojnej nawet teraz. Od czasu do czasu wynaj-mowali go filmowcy kręcący historyczne filmy kostiumowe. Nie licząc tego, należał do najmniej uczęszczanych miejsc w Paryżu. Miejsce w sam raz na młodzieńczą randkę - Ambler uśmiechnął się do dawnych wspomnień - lecz dla prawdziwych miłośników sztuki nie przedstawiało większej wartości, głównie ze względu na zgromadzone tam zbiory. Jacqueline Armandier, żona Marcela Armandiera, uwielbiała rokoko z początków XVIII stulecia, które przez ostatnie pół wieku zdecydowanie wyszło z mody. Co gorsza, miała wyraźną 270

słabość do rokoko podrzędnego, do obrazów malaizy obdarzonych skromniej-szym talentem w rodzaju Francois Bouchera, Nicolasa de Largilliere'a, Fran-cesca Trevisanigo czy Giacoma Amiconiego. Przepadała za pulchnymi, szeroko uśmiechniętymi amorkami baraszkującymi na tle turkusowego nieba, a jej pasterze byli najbardziej arkadyjscy z arkadyjskich-Rzucąła się na sielankowe krajobrazy, jakby zamiast płótna kupowała to, co było na nim namalowane.

Przekształcając dom w muzeum - przeżyła męża o dziesięć lat - musiała żywić nadzieję, że jej zbiory będą podziwiane przez przyszłe pokolenia. Tymczasem historycy sztuki, którzy rzadko kiedy tam zaglądali, zwykle witali je stłumionymi gwizdami lub okrzykami szyderczego podziwu.

Ambler lubił to muzeum z zupełnie innego powodu: opustoszałe wnętrza były dobrym miejscem na prywatne spotkanie, a dzięki licznym oknom wychodzącym na spokojną ulicę mógł szybko wykryć obecność tych, którzy mogliby go śledzić. Poza tym fundacja Armandiera miała bardzo skromny budżet i zatrudniała tylko jednego strażnika, który rzadko kiedy zapuszczał

się wyżej niż na pierwsze piętro.

On zaś wszedł na trzecie i skręciwszy w korytarz ozdobiony bogatymi zło-ceniami i wielkimi obrazami przedstawiającymi grające na lirze boginie na tle czegoś, co do złudzenia przypominało

pole golfowe, ruszył w stronę sali, gdzie miał czekać na niego Caston.

Gruby brzoskwiniowy dywan dobrze tłumiał kroki i podchodząc bliżej, usłyszał jego głos.

Zamarł. Zjeżyły mu się włosy na karku. Czyżby Caston nie był sam?

Po cichu podszedł jeszcze bliżej i wreszcie zaczął rozróżniać poszczególne słowa.

- To świetnie - mówił rewident. Naprawdę? A więc wszystko u nich dobrze, tak? - Rozmawiał przez telefon. - Tak. - Długa cisza, a potem: -

Dobranoc, dzwoneczku. Ja też cię kocham. - I trzask odkładanej słuchawki.

Ambler wszedł do sali.

- Jesteś? - rzucił Caston. - To miło.

- „Dzwoneczku”?

Caston zaczerwienił się i spojrzał w okno.

- Dzwoniłem do biura i kazałem im sprawdzić bazę danych kontroli granicznej - odrzekł po chwili. - Doktor Ashton Palmer przyjechał wczoraj do Roissy. Jest we Francji.

- Ufasz swoim podwładnym?

- Powiedziałem: „do biura”, ale tak naprawdę mam tylko jednego pracownika. Jest moim asystentem. I tak, ufam mu,

- Czego się jeszcze dowiedziałeś?

271

- Nie powiedziałem, że się dowiedziałem.

- Powiedziałeś - poprawił go Ambler - tyle że nie słowami.

Caston popatrzył na obwieszone obrazami ściany i nachmurzył czoło.

- To wszystko jest piekielnie zagmatwane i jeszcze nie wiem, co o tym myśleć. Mnóstwo krótkich, fragmentarycznych przekazów, które same w sobie nic nie znaczą. Nazywają to „szumem informacyjnym”.

- Same w sobie nie, ale razem...

- Tak, coś się dzieje, a raczej na coś się zanosi. Na coś związanego...

- Z Chinami - dokończył Ambler.

- Ale to najłatwiejsza część zagadki.

- Sam mówisz zagadkami.

- Najtrudniejszą jesteś ty. I podchodząc do problemu logicznie, od ciebie należałoby zacząć. Powiedzmy, że jest to swoista odmiana Zasady, którą nazywamy efektami obserwacji selektywnej.

- Caston, możesz mówić po angielsku?

Księgowy łypnął na niego spode łba.

- Efekty obserwacji selektywnej są bardzo powszechne. Czy będąc w supermarkecie, zauważyłeś, jak często stajesz w najdłuższej kolejce do kasy? Dlaczego tak się dzieje? Otóż dlatego, że w najdłuższych kolejkach jest najwięcej ludzi.

Załóżmy, że powiedziałem ci, że w jednej z nich stoi pan Smith, którego nie znasz, i poprosiłem, żebyś mi ją wskazał, wiedząc jedynie, ilu jest w niej ludzi.

Nie dałbym rady.

- Inferencja to probabilistyka. Dlatego pan Smith stałby najprawdopodobniej w najdłuższej kolejce. Jeśli spojrzysz na to z perspektywy outsidera, sprawa staje się zupełnie oczywista. Najwolniejszym pasem ruchu jest ten, gdzie jedzie najwięcej samochodów. Rządzące probabilistyką prawa mówią, że kierowcę, którego szukasz, znajdziesz właśnie tam. Kierowcę, czyli ciebie. To nie pech czy złudzenie, że samochody na pozostałych pasach ruchu poruszają się szybciej. One naprawdę tak się poruszają.

- Słusznie, to oczywiste.

- Tak, kiedy już się o tym wie. Podobnie z ludźmi. Gdybyś wiedział tylko tyle, że ten czy inny człowiek mieszka na naszej planecie, i gdyby poproszono cię o wskazanie kraju, gdzie można go znaleźć, zapewne szukałbyś w Chinach. Wskazując inne kraje, popełniłbyś znacznie większy błąd. Dlaczego?

Ano dlatego, że Chiny mają najwięcej ludności.

- Najświeższe wiadomości - mruknął Ambler. –Nie jestem Chińczykiem,

- Nie, ale wplątałeś się w coś, co ma związek z chińską polityką. Pytanie: dlaczego akurat ty? Stojąc w kolejce w supermarkecie, nie rzucasz się w oczy Ale w tym przypadku próbka kandydatów jest o wiele mniejsza.

- Aleja nie wybierałem. To oni mnie wybrali.

- I znowu pojawia się pytanie: dlaczego? drażył rewident. - Co o tobie wiedzieli? Jakimi kierowali się kryteriami?

Amblerowi przypomniało się to, co mówili o nim ludzie związani z Grupą Usług Strategicznych. Z ich punktu widzenia był kimś wyjątkowym.

- Paul Fenton mówił, że mają mnie za czarodzieja, bo „się skasowałem”.

- A tak naprawdę zostałeś skasowany”, jeśli już podoba ci się to określenie. Ale to z kolei sugerowałoby, że ci ludzie poszukiwali agenta, którego trudno zidentyfikować. W dodatku agenta nie byle jakiego. Kogoś o wyjątkowych umiejętnościach, człowieka, który potrafi czytać w ludzkich myślach. Chodzącego wariografu.

- Fenton miał moje akta z Oddziału Stabilizacji Politycznej, a przynajmniej ich część. Nie znał mojego nazwiska, prawdziwego nazwiska, ale wiedział, jakie zadania wykonywałem, co robiłem i gdzie byłem.

Tak, to jeden z kluczowych czynników. Trzeba by cię przeanalizować pod kątem zarówno osobowości, jak i przeszłości, sprawdzić, kim jesteś i czym się naprawdę zajmowałeś. Osobowość i przeszłość: jedno i drugie może być bardzo ważne.

- Nie chcemy wyciągać pochopnych wniosków, co?

Caston uśmiechnął się blado i powiódł wzrokiem po obrazie przedstawiającym malowniczą, soczystozieloną łąkę z pasącymi się na niej krowami i pło-wowłosą, błogo uśmiechniętą dojarzę z cebrzykiem.

- Znasz tę starą historyjkę o ekonomście, fizyku i matematyku, którzy podróżują przez Szkocję? Widzą przez okno brązową krowę i ekonomista mówi:

„To fascynujące, że szkockie krowy są brązowe”. „Boję się, że to zbyt uogólnienie powiada na to fizyk. - Na podstawie tego, co widzimy, można powiedzieć tylko tyle, że jedynie niektóre szkockie krowy są brązowe”. Matematyk kręci głową i mówi: „Mylicie się, panowie. Wasze wywody są zupełnie nieuzasadnione. Z logicznego punktu widzenia można powiedzieć tylko to, że w Szkocji istnieje co najmniej jedna krowa, której jeden z boków jest brązowy”.

Ambler przewrócił oczami.

- Powiedziałem ci kiedyś, że zjawiasz się na miejscu wydarzeń po strzelaninie, tylko po to, żeby pozbierać łuski, ale się myliłem. Ty wydłubujesz te łuski z archeologicznego wykopaliska tysięcy lat po tym, jak ucichły ostatnie wystrzały.

Caston tylko na niego spojrział.

- Próbuję po prostu odnaleźć w tym wszystkim jakiś wzór. Bo fakt pozostaje faktem: pewien wzór tu jest. Changhua. Montreal. A teraz Paryż, sprawa Deschesnes'a.

273

- Changhua... Próbowałem temu zapobiec. Za późno, ale próbowałem.

- Nie udało się. Ale tam byłeś.

- To znaczy?

- To znaczy, że musi gdzieś istnieć fotograficzny dowód twojej obecności tam. Jedna brązowa krowa nic nie znaczy. Ale trzy brązowe krowy pod rząd?

W tym miejscu zaczynają działać prawa probabilistyki. Pytanie brzmi: dlaczego potrzebowali akurat ciebie? I co miałeś dla nich zrobić? Changhua.

Montreal. Paryż. To nie są przypadkowe zdarzenia. To jest ich ciąg.

- Świetnie - odparł jadownicie Ambler; w muzeum było gorąco i czuł, że się poci. - Niech będzie ciąg. Tylko co to znaczy?

- To znaczy, że musimy teraz trochę policzyć. 0, 1, 1,2,3,5,8, 13,21,34, 55: ciąg Fibonacciego. Małe dziecko nie dostrzeże w tym żadnego wzoru, podczas gdy ten rzuca się w oczy. Każda cyfra i liczba jest sumą dwóch poprzedzających ją cyfr lub liczb. Podobnie jest ze wszystkimi innymi ciągami, w każdym z nich jest jakiś wzór. Wzór, zasada, reguła czy algorytm, któ-

ry porządkuje pozorny chaos. Właśnie tego szukamy. Musimy zbadać, w jaki sposób każde z tych wydarzeń łączy się z poprzednim, ponieważ wtedy bę-

dziemy mogli przewidzieć następne. - Caston spoważniał. - Z drugiej strony, możemy po prostu zaczekać. Sprawa wyjaśniłaby się sama. Bo wszystko wskazuje na to, że niedługo przekonamy się, do czego to zmierza.

- Ale wtedy będzie już za późno - mruknął Ambler. - Klasyczna progresja. Co znaczy, że nie masz pojęcia o logice.

- Co znaczy, że musimy to sprawdzić. - Rewident obrzucił go zimnym, zgorzkniałym spojrzeniem. - Gdybym był przesądny, powiedziałbym, że przynosisz pecha.

- To się może zmienić.

Caston aż się skrzywił.

- Prawdziwe ciągi same się nie zmieniają. Chyba że ktoś im w tym pomoże.

Langley

Adrian Choi siedział przy biurku szefa, bawiąc się kolczykiem w uchu.

Świetnie się tu czuł, poza tym nie widział w tym nic złego. Zresztą nikt tędy nigdy nie przechodził; korytarz, w którym mieściło się biuro Castona, był

ogólnie dostępny, ale na samym końcu gmachu. Wszyscy czuli się tu jak na Syberii. Adrian wykonał kolejny telefon.

Caston próbował zdobyć akta personalne pracowników ośrodka psychiatrycznego na wyspie Parrish, ale go spławiono i kiedy Adrian spytał, czy 274

mógłby mu w tym pomóc, szef wspomniał coś o jego uroku osobistym. Adrian nie miał jego władzy, lecz istniały jeszcze sposoby nieformalne. Wybrał

numer asystentki wydziału pomocniczego, a więc kogoś na równorzędnym stanowisku, i uśmiechnął się swoim najpromienniejszym uśmiechem. Caston rozmawiał z jej szefem - na próżno. Caston gderał, protestował i krzyczał, tymczasem on zamierzał podejść do tego zupełnie inaczej.

Natychmiast wyczuł, że dziewczyna, która odebrała telefon, będzie potrzebowała dłuższej rozgrzewki. Zaczęła bardzo nieufnie.

- Tak, wiem - powiedziała. - Ośrodek psychiatryczny na wyspie Parrish, akta personalne pracowników oddziału 4Z. Będę musiała przesłać zapotrzebowanie wyżej.

- Nie, nie, nie rozumiemy się. Akta już nam przesłaliście - zełgał Adrian.

- Tak?

- Jak najbardziej. Chodzi mi tylko o drugą kopię.

- Aha. - Lód zaczynał topnieć, dziewczyna jakby złagodniała. Przepraszam. Biurokracja, co?

- Mnie to mówisz? - odparł Adrian i swoim najbardziej aksamitnym i przekonującym głosem dodał: - Chciałbym móc powiedzieć, że to sprawa bezpieczeństwa narodowego. Ale tak naprawdę chodzi o mój tyłek.

- Jak to?

- Caitlin... Masz na imię Caitlin, prawda?

- Tak. - Czy to tylko jego wyobraźnia, czy dziewczyna naprawę zaczyna-

ła się powolutku rozluźniać?

- Mówisz jak dziewczyna, która nigdy niczego nie zaważyła, dlatego nie oczekuję od ciebie współczucia.

- Ja nie zaważyłam? Zachichotała. Żartujesz?

- Nie, nie, znam ten typ. Zawsze nad wszystkim panujesz. W twoim biurze każdy skrawek papieru leży na właściwym miejscu.

- Bez komentarza odparła; wyczuł, że z uśmiechem.

- Dobrze jest czerpać z kogoś wzór. Już cię sobie wyobrażam, wyobrażam i wielbię. Musisz mi na to pozwolić.

- Jesteś zabawny.

- Tak i pewnie się wygłupiłem, przesyłając te dokumenty wyżej i nie zatrzymując kopii dla szefa. - Adrian bajerował ją, ale i lekko z nią flirtował. -

A to znaczy, że szef dostanie apopleksji. I mój wykształcony w Stanfordzie tyłek wylądował na zielonej trawce. - Zrobił krótką przerwę. - Posłuchaj, Caitlin. Masz rację, to moja sprawa, nie twoja. Odpuśćmy to sobie. Nie chcę cię tym obarczać. Naprawdę.

Dziewczyna westchnęła.

275

- Nie, nie, chodzi tylko o to, że bardzo tych materiałów pilnują, Bóg jeden wie dlaczego. Autoryzacje, specjalne kody dostępu, i tak dalej.

- Wewnętrzne rozgrywki są najbardziej zażarte, co?

- Chyba tak odparła niepewnie. - Posłuchaj, zobaczę, co da się zrobić, dobrze?

- Ratujesz mi życie, Caitlin. Naprawdę.

Krążąc po terminalu Air France, Burton Lasker ponownie zerknął na zegarek. Fenton się spóźniał: to do niego niepodobne. Wpuszczano już pasażerów, a jego wciąż nie było. Spojrzał na czuwające przy bramie stewardesy, ale te tylko pokręciły głową; prosił je dwa albo trzy razy, żeby dały mu znać, kiedy Fenton nadejdzie. Nagle się zirytował. Pasażerowie mogli spóźnić się z wielu powodów, ale szef należał do ludzi przewidujących, przygotowanych na każdą ewentualność i

związane z podróżą niewygody. Miał dobrze rozwinięte poczucie tolerancji w życiu codziennym i zawsze potrafił im sprostać. Więc gdzie nagle przepadł? I dlaczego nie odbierał jego telefonów?

Lasker pracował u niego od dzieciństwa, a otóż to właśnie w swą rolę Ta jęgo najbardziej lojalnego porucznika. Każdy wizjoner potrzebował kogoś, kto potrafił dobrze wypełniać rozkazy i polecenia, kto zawsze wypełnia je do końca.

Lasker w tym przodował. Był weteranem służb specjalnych, lecz w przeciwieństwie do wojskowych nigdy nie gardził cywilami: podobnie jak niektórzy byli mecenasami artystów, Fenton był mecenasem agentów. Był też prawdziwym wizjonerem i naprawdę rozumiał, że państwowo-prywatna spółka może wzmocnić siłę i skuteczność tajnych operacji amerykańskich. Laskera szanował za ich doskonałą znajomość, doświadczenie w walce i za to, że pomagał

w szkoleniu oddziałów antyterrorystycznych, którym powierzano najdelikatniejsze misje. Lasker uważał, że lata spędzone u boku szefa są najcenniejszymi i najbardziej satysfakcjonującymi latami jego dorosłego życia.

Tylko gdzie on był? Gdy bezradnie wzruszywszy ramionami, francuskie stewardesy zamknęły bramkę, Lasker poczuł lodowaty uścisk strachu. Coś się stało. Zadzwoił z informacji do hotelu-Nie, monsieur Fenton się nie wyprowadził.

Tak, stało się coś bardzo złego.

Laurel Holland dołączyła do Amblera i Castona na opustoszałym piętrze muzeum później, niż planowali; musiała załatwić kilka spraw i trwało to dłużej, niż się spodziewała.

- Clayton Caston, prawda? - powiedziała i wyciągnęła do niego ręką. Zachowywała się i mówiła trochę zbyt oficjalnie. Widać było, że wciąż mu nie

ufa i boi się tego, co reprezentował sobą jako pracownik CIA. Jednocześnie całkowicie ufała osądowi Amblera. Skoro on postanowił z nim współpracować, zamierzała pójść w jego ślady. Hal miał nadzieję, że nie popełnił błędu.

- Clay - odparł rewident - tak jak „głina”. Przynajmniej w pani rękach.

Miło mi panią poznać, Laurel.

- Hal mówi, że jest pan pierwszy raz we Francji. Da pan wiarę, że ja też?

- Pierwszy i oby ostatni - burknął Caston. - Nienawidzę tego kraju. Odkręciłem w hotelu kran z literką C i omal się nie poparzyłem. Mógłbym przysiąc, że słyszę śmiech pięćdziesięciu milionów Francuzów.

- Pięćdziesiąt milionów Francuzów nie może się mylić - powiedziała poważnie Laurel. - Czy nie tak powiadają?

- Pięćdziesiąt milionów Francuzów może się mylić na pięćdziesiąt milionów sposobów - odparł Caston z naganą w oczach.

Tylko kto ich wszystkich policzy? rzucił lekko Ambler, obserwując twarze nielicznych zwiedzających. Zerknął na gazetę, którą przyniosła Laurel. „Le Monde Diplomatique”. Na pierwszej stronie był artykuł Bertranda Louis-Cohna, najpewniej jednego z godnych uwagi intelektualistów. Hal przebiegł go wzrokiem. Pretekstem do napisania artykułu było Światowe Forum Ekonomiczne w Davos, lecz roilo się tam od ogólnikowych dywagacji na temat aktualnej koniunktury gospodarczej. Była też mowa o „*la pensee unique*”, co, jak pisał Louis-Cohn, można by również zdefiniować jako „*Ja projection ideologique des interets financiers du capital mondial*” ideologiczną projekcją interesów globalnego kapitalizmu - lub też „*l'hegemonie des riches*”, hegemonię bogaczy. I tak dalej, i tak dalej: był to mocno „prze-trawiony”, lewicowy krytycyzm ortodoksyjnego liberalizmu ani go niepo-chwalający, ani nieodrzucający, dziwacznie stylizowane intelektualne kabuki.

- O czym pisze? spytała Laurel, wskazując gazetę.

O spotkaniu tytanów globalizmu w Davos. O Światowym Forum Ekonomicznym.

- Aha. Jest za czy przeciw?

- Diabli wiedzą.

Byłem tam - wtrącił Caston. - Ci z forum zaprosili mnie kiedyś na dyskusję o praniu brudnych pieniędzy. To ludzie, którzy naprawdę wiedzą, o czym mówią. Są jak ozdobna zieleń w bukacie kwiatów.

Ambler ponownie wyjrzał przez okno na ulicę, sprawdzając, czy w pobli-

żu nie kręci się ktoś podejrzany.

- Mam dość zabawy w ciuciubabkę - powiedział. Wiemy, że jest w tym wszystkim jakiś wzór, progresja czy ciąg zdarzeń, jak mówisz. Ale tym razem muszę wiedzieć z wyprzedzeniem, co będzie dalej.

277

- Mój asystent próbuje ściągnąć akta pracowników z ośrodka na wyspie Parrish - odparł Caston. - Myślę, że powinniśmy poczekać i zobaczyć, czego się dowie.

Hal posłał mu twarde spojrzenie.

- Załapałeś się na przejażdżkę, Caston - powiedział. - Nic więcej. Już ci mówiłem: to nie jest twój świat.

Wu Jingu mówił bardzo cicho, lecz rzadko kiedy miewał trudności z tym, żeby wszyscy go usłyszeli.

W Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego pracował od lat i przez ten czas wyrobił sobie reputację trzeźwego analityka, kogoś, kto nie był ani niepoprawnym optymistą, ani panikarzem. Ludzie po prostu go słuchali. Tylko prezydent Liu Ang pozostawał frustrująco głuchy na jego rady. Nic zatem dziwnego, że mięśnie ramion Wu były napięte jak postronki.

Leżał na brzuchu na wąskim stole, przygotowując się do masażu - brał go dwa razy tygodniowo próbując rozluźnić się, odprężyć i zapomnieć o stresie.

- Ma pan bardzo napięte mięśnie - powiedziała masażystka, ugniatając mu ramiona.

Nie znał tego głosu, to nie była jego masażystka. Wyciągnął szyję i przekrzywił głowę.

- Gdzie Mei?

- Źle się dzisiaj czuje. Mam na imię Zhen. Czy mogę ją zastąpić?

Była jeszcze piękniejsza niż Mei i miała silne, zdecydowane palce. Wu z zadowoleniem kiwnął głową. Jedno było jasne: w nowo otwartym w Pekinie, ekskluzywnym i elitarnym ośrodku odnowy biologicznej Caspara, zatrudniano najlepszych specjalistów. Opuścił głowę, oparł ją na podglówku i znieruchomiał, wsłuchując się w kojące bulgotanie wody i ciche dźwięki muzyki. Czuł, jak z miejsc, po których wędrowały palce masażystki, uchodzi zmęczenie i napięcie.

- Znakomicie wymruczał. - Żeby okręt ocalał, trzeba uciszyć wzburzo-ne wody.

- To nasza specjalność - odrzekła cicho Zhen. - Jak mocno są napięte...

Na pańskich barkach musi spoczywać wiele obowiązków.

- I spoczywa - wymruczał Wu.

- Ale mam na to sposób.

- Jestem w twoich rękach.

Stosując akupresurę, piękna masażystka zaczęła uciskać mu podeszwy Stóp i poczuł, że ogarnia go narastająca lekkość; Lekkość i senność tak wielkie, że 278

nawet nie zareagował, gdy Zhen wbiła mu igłę pod paznokieć palucha lewej stopy - wrażenie było tak absurdalne, że mózg początkowo go nie zarejestrował. Chwilę później całe ciało zalała fala graniczącego z odrętwieniem rozluźnienia. Przez kilka następnych chwil mógł się jedynie zastanawiać nad różnicą między całkowitym odprężeniem i paraliżem. Był martwy dla świata.

A potem, co rzeczowo potwierdziła Zhen, po prostu umarł

Burton Lasker wsiadł do hotelowej windy z młodym kierownikiem zmiany. Na szóstym piętrze

kierownik zapukał do ciężkich, masywnych drzwi, a potem otworzył je elektronicznym kluczem. Przeszli przez pokoje, nie widząc w nich żadnych śladów zamieszkania. Potem kierownik zajrzał do łazienki. Gdy wyszedł, miał szarą popiół twarz. Lasker wbiegł tam i zobaczył to co on. Głośno wciągnął powietrze. Nie mógł oddychać. Czuł, jakby w piersi miał balon.

- To pański przyjaciel? - spytał hotelarz.

- Przyjaciel i wspólnik potwierdził Lasker.

- Przykro mi. - Zapadła niezręczna cisza. - Zadzwoń. Zaraz przyjedzie pomoc.

Lasker stał jak wryty, dosłownie nie mogąc ruszyć się z miejsca. Próbował

się uspokoić. Paul Fenton. Jego nagie, zaczerwienione, pokryte bąblami cia-

ło leżało w wannie. Woda wciąż parowała, na podłodze leżała butelka po wódce: wszystko sfingowane. To były jedynie pozory, które mogły zmylić żandarmerię, ale ani na chwilę nie zmyliły jego.

Ten niezwykły, ten wielki człowiek został zamordowany.

Lasker domyślał się, kto go zabił, a zawartość jego komunikatora potwierdziła wszystkie podejrzenia. Tarkwiniusz, tak nazywał go Fenton. Człowiek, którego Lasker znał aż za dobrze.

Tarkwiniusz służył w Oddziale Stabilizacji Politycznej i Lasker - pseudonim operacyjny Kronos - miał nieszczęście pracować z nim podczas kilku misji. Tarkwiniusz uważał się za kogoś lepszego od kolegów i nawet nie zdawał sobie sprawy, jak wielkiego wsparcia bezinteresownie mu udzielali.

Miał szczególny dar czytania w ludzkich myślach, dar, który aż zanadto imponował strategom z operacyjnego. Za nic nie mogli pojąć tego, co dla niego, doświadczonego agenta, było drugą naturą - prostej prawdy, że sukces operacji zależy wyłącznie od siły ognia i mięśni.

A teraz Tarkwiniusz zamordował największego człowieka, jakiego Lasker znał, i będzie musiał za to zapłacić. Zapłacić jedyną walutą, jaką Lasker akceptował: swoim życiem.

279

Największym obrzydzeniem napawało go to, że kiedyś uratował mu życie - nie, żeby ten okazał mu za to jakąkolwiek wdzięczność. Przypomnia-

ła mu się parna, rojąca się od komarów noc w dżunglach Jaffry na Sri Lance. Tej nocy, prawie przed dziesięcioma laty, ryzykował życie, wpadając do obozowiska z plującym ogniem pistoletem maszynowym w rękach, żeby ocalić Tarkwiniusza przed grupą terrorystów, którzy chcieli go zabić.

Przypomniało mu się również stare powiedzenie: „Zrobisz dobrze, nie unikniesz kary”. Uratował

życie potworowi. Popęłnił błąd i będzie musiał go naprawić.

Fenton nie wprowadzał go we wszystkie sprawy; nie robił tego żaden prawdziwy wizjoner. Pewnego razu, gdy spytał go o powód i sens pewnej akcji, szef rzucił lekko: „Dla ciebie jedynym powodem i sensem jest przeprowadzić ją i zabić”.

Teraz nie było to już takie zabawne.

Jeszcze raz przejrzał spis ostatnich połączeń w jego komunikatorze. Tak, wysłał wiadomość do Tarkwiniusza. Ale najpierw zadzwoni do kilku „współ-

pracowników”, których Grupa Usług Strategicznych ulokowała potajemnie w Paryżu. Postawi ich na nogi, a zaraz potem wyda dokładne rozkazy mobi-lizacyjne.

Zalała go fala głębokiego smutku, jednak mógł sobie pozwolić na niego dopiero po dokonaniu zemsty. Wziął się w garść, jak na przedstawiciela tej ginącej profesji przystało. Wyznaczy mu spotkanie. O zachodzie słońca.

I będzie to ostatni zachód słońca, jaki Tarkwiniusz zobaczy.

Caleb Norris wyłączył telefon. To w sumie głupie, pomyślał, że CIA pozwala używać komórek w kwaterze głównej. Komórki podważały skuteczność wyrafinowanych środków bezpieczeństwa, jakie tu stosowano: to tak, jakby ktoś próbował uszczelnić sito. Ale w tej chwili bardzo mu to odpowiadało.

Wrzucił do niszczarki plik dokumentów, wziął marynarkę, na koniec wyjął

z szafy wyłożoną stalowymi płytkami dyplomatkę. W dyplomatce był pistolet o długiej lufie.

- Miłego urlopu, panie dyrektorze - powiedziała Brenda Wallenstein swoim charakterystycznym nosowym głosem. Była jego sekretarką od pięciu lat i z wielkim poświęceniem przestrzegała wszystkich mód obowiązujących w miejscu pracy. Gdy w prasie ukazała się seria artykułów na temat syndromu monotonicznych ruchów, zaczęła nosić specjalne obejmy i opaski uciskowe na nadgarstkach. A ostatnio zasiadała do pracy w słuchawkach - wyglądała wtedy jak telefonistka z centrali - żeby zaoszczędzić szyi niebezpieczeństw 280

związanych z ciągłym przekrzywianiem głowy i przytrzymywaniem słuchawki ramieniem. Norris pamiętał też, że był taki okres, kiedy wmówiła sobie, że ma alergię na zapachy, i zupełnie nie przeszkadzało jej to, że alergię ta za nic nie chciała się rozwinąć.

Norris już dawno temu doszedł do wniosku, że po prostu wyobrażała sobie, iż jej praca - która sprowadzała się głównie do stukania w klawiaturę komputera i odbierania telefonów jest równie niebezpieczna jak służba w oddziałach piechoty morskiej. I na pewno regularnie przyznawała sobie medale za rany odniesione na polu walki.

- Dziękuję, Brendo - odparł wylewnie. - Na pewno będzie udany.

- Tylko niech się pan za bardzo nie spieczę przestrzegła sekretarka, z nie-omylnym instynktem dostrzegając ciemne strony każdej sytuacji. - Tam nawet drinki podają z parasoleczkami, żeby się za bardzo nie opaliły. Słońce pali tam, że aż strach. Sprawdziłam prognozę pogody w Internecie: w St.

John na Wyspach Dziewiczych ma być czyściutkie niebo.

- Właśnie to chciałem usłyszeć.

- Któregoś roku pojechaliśmy z Joshua do St. Croix. - Wymówiła tę nazwę tak, że rymowała się z „komiks”. - Spiekł się już pierwszego dnia i żeby się ochłodzić, smarował twarz miętową pastą do zębów. Wyobraża pan sobie?

Wolę jednak nie, jeśli pani pozwoli. - Norris zastanawiał się przez chwilę, czy nie wziąć zapasowej amunicji, ale uznał, że nie warto. Mało kto o tym wiedział, ale był doskonałym strzelcem.

Brenda zachichotała.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże, prawda? Ale skoro lekarz tak zalecił, to tak ma być: niebieskie morze, błękitne niebo i biały piasek. Sprawdziłam, samochód już czeka. Walizki są w bagażniku. O tej porze dojedzie pan na lotnisko w pół godziny. Nie powinno być korków.

Miała rację mimo gadatliwości i wiecznego samoumartwiania się pracowała bardzo wydajnie - ale on wolał przyjechać na lotnisko dużo wcześniej.

Nawet z odpowiednimi dokumentami, odprawa celna broni mogła trwać dość długo. Okazało się jednak, że kolejka pasażerów klasy biznesowej posuwa się bardzo szybko.

- Dzień dobry - powiedział urzędnik jak zaprogramowany. - Dokąd dzisiaj lecimy?

Norris przesunął bilet po ladzie.

Do Zurychu.

Pewnie na narty. - Urzędnik spojrział na paszport i bilet i podstemplował

kartę pokładową.

281

Norris zerknął ukradkiem na zegarek.

- Jakżeby inaczej.

Patrząc, jak ulicą przed muzeum hula wiatr, Ambler poczuł wibrowanie w kieszeni marynarki. Wiadomość od Fentona albo jego ludzi, od których dostał komunikator. Szybko spojrzął na ekranik. Jeden z zastępców Fentona chciał się z nim zobaczyć, wieczorem i tym razem na otwartej przestrzeni.

Chowając telefon do kieszeni, poczuł się dziwnie nieswojo.

- Gdzie? - spytała Laurel.

- Pere-Lachaise - odrzekł. - Miejsce niezbyt oryginalne, ale ma swoje zale-ty. Poza tym Fenton nie lubi się spotykać dwa razy w tym samym miejscu.

- Denerwuję się powiedziała Laurel. - Nie podoba mi się to.

- Bo to cmentarz? Równie dobrze moglibyśmy spotkać się w wesołym miasteczku: i tu, i tu roi się od ludzi. Zaufaj mi, wiem, co robię.

Pozazdrościć pewności siebie - wtrącił Caston. - Ten człowiek jest nie-przewidywalny. A jego układ z rządem to puszcza robactwa. Próbowaliśmy przyjrzeć się dokładniej ich wydatkom, ale to tak, jak patrzeć na czarny we-lon. Stąd nic nie zobaczę. Ale chciałbym zerknąć na ich budżet. Daję głowę, że roi się tam od nieprawidłowości. - Szybko zamrugał. - A jeśli chodzi o spotkanie na cmentarzu Pere-Lachaise, wykracza to poza kategorię zwykłego ryzyka i prowadzi w głąb mrocznego królestwa niepewności.

- Caston, do ciężkiej cholery, ja już w tym pieprzonym królestwie żyję! -

wybuchnął Ambler. - Nie zauważyłeś?

Laurel wzięła go za rękę.

- Chcę tylko, żebyś na siebie uważał, Hal. Nie wiesz, co ci ludzie knują.

- Będę uważał. Najważniejsze, że jesteśmy coraz bliżej.

- I wkrótce dowiemy się, co ci zrobili.

- Tak. Co zrobili mnie i co zaplanowali dla reszty świata.

- Uważaj na siebie. - Zerknąwszy z ukosa na Castona, Laurel nachyliła się do ucha Amblera i szepnęła: - Naprawdę mam złe przeczucia.

Pekin

- Musimy przekazać tę wiadomość prezydentowi - powiedział Wan Tsai.

Miał grube, wypukłe okulary, które jeszcze bardziej potęgowały malujące się w jego oczach przerażenie.

- A jeśli to był zwykły wypadek? - spytał Li Pei. Siedzieli obaj w gabinecie Wana w Pawilonie Pracowitego Rządu. - Co wtedy?

282

- Wierzysz w to?

Starzec wypuścił powietrze i z jego piersi dobył się głośny szmer.

Nie - odparł. - Nie wierzę. - Li Pei miał prawie osiemdziesiąt lat i nagle zestarzał się jeszcze bardziej.

- Wszyscy stosowaliśmy odpowiednie procedury, wszyscy próbowaliśmy dotrzeć do niego oficjalnymi kanałami - powiedział Wan Tsai. - Wszyscy podnosiliśmy alarm, mimo to on już tam leci, jest w połowie drogi. Musimy go zawrócić.

- Tylko że on zawrócić się nie da - wyrzeźbił Li Pei. - Obydwaj dobrze o tym wiemy. Jest mądry jak sowa i uparty jak muł. - Przez jego zrytą zmarszczkami twarz przemknął wyraz smutku. - Poza tym nie wiadomo, czy tu, w domu, nie czyhają na niego jeszcze większe niebezpieczeństwa.

- Rozmawiałeś ze znajomym Chao, z tym Wu Jingu?

- Nikt nie wie, gdzie przepadł. - Wan z trudem przełknął ślinę.

- Jak to możliwe?

Wan zadrzał i pokręcił głową.

- Nikt nie wie - powtórzył. - Ale rozmawiałem z pozostałymi. Wszyscy chcą wierzyć, że Chao zginął w wypadku. Chcą, ale nie wierzą. - Przeczesał

ręką swoje gęste, siwiejące włosy.

- Wu Jingu... - myślał na głos starzec. Trzeba by chyba się nad nim zastanowić.

Na spokojnej dotąd twarzy Wana Tsai zagościł wyraz udręki i przerażenia.

Kto odpowiada za bezpieczeństwo prezydenta?

- Dobrze wiesz kto.

Wan zamknął oczy i szybko je otworzył.

- Wojsko.

- Specjalna jednostka pod ich kontrolą. Na jedno wychodzi.

Wan Tsai powiódł wzrokiem po swoim przestronnym gabinecie i spojrzał na widoczną przez okno fasadę Zhongnanhai. Drzwi, ściany, bramy, kraty - wszędzie środki bezpieczeństwa, jak w więzieniu.

I nagle rzucił:

- Porozmawiam z ich generałem. Zaapeluję do niego. Bez względu na poglądy polityczne wielu z nich to ludzie honoru.

Kilka minut później połączono go z człowiekiem odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Liu Anga. Wan nie ukrywał niepokoju. Przyznał, że nie ma konkretnych dowodów, i prosił generała, żeby ten poprzez swoich ludzi przekazał prezydentowi pilną wiadomość.

Proszę się nie martwić - odparł wojskowy chrapliwym akcentem ludu Hakka. Bezpieczeństwo Liu Anga jest dla mnie najważniejsze.

283

- Pragnę jeszcze raz podkreślić, że jego najbliżsi współpracownicy są bardzo,

ale

to

bardzo

zaniepokojeni

-

powtórzył

Wan

Tsai.

- W tej kwestii całkowicie się ze sobą zgadzamy - zapewnił go generał

Lam. - Prawe oko, lewe oko, jak powiadają w mojej wiosce. Proszę mi zaufać: bezpieczeństwo naszego ukochanego przywódcy ma dla mnie najwyż-

szy priorytet.

„Priorytet” - tak chyba powiedział. Wan Tsai nie był tego pewien, ponieważ generał mówił z silnym akcentem i słowo to zabrzmiało jak inne rzadko używane w mandaryńskim określenie, które można by przetłumaczyć jako

„igraszka”.

Rozdział 28

mentarz Pere-Lachaise powstał na początku XIX wieku na wzgórzu sta-Cre go Champ FEveque i został nazwany imieniem spowiednika Ludwika XIV, ojca Lachaise. Teraz było to miejsce ostatniego spoczynku ludzi legend: Colette, Jima Morrisona, Marcela Prousta, Oscara Wilde'a, Sary Bernhardt, Edith Piaf, Chopina, Balzaca, Gertrudy Stein, Modiglianiego, Ste-phane'a Grappellego, Delacroix, Isadory Duncan i wielu innych. Styl śmierci słynnych i bogatych, pomyślał Ambler, przekraczając bramę.

Cmentarz był olbrzymi miał ponad czterdzieści hektarów - i poprzecinany brukowanymi alejkami. Zimą wyglądał jak kamienny ogród.

Hal zerknął na zegarek. Mieli się spotkać dziesięć po piątej. Szybko zapadał zmierzch, bo o tej porze roku słońce zachodziło w Paryżu już o wpół do szóstej. Ambler zadrżał, po trosze z zimna.

Nigdy nie umawiaj się na spotkanie w miejscu wyznaczonym przez przeciwnika. Podstawowa zasada. Ale tym razem nie miał wyboru. Nie mógł

upuścić nici.

Perc-Lachais podzielono na dziewięćdziesiąt siedem kwartałów, miniatu-rowych „okręgów”, lecz główne alejki miały nazwy, poza tym poinstruowa-no go dokładnie, którymi ma pójść. Z czarnym plecakiem na plecach po-słusznie skręcił z Avenue Circulaire, biegnącej wokół cmentarza „obwodnicy”, w Avenue de la Chapelle, a potem w lewo, w Avenue Feuillant. Ścieżki i aleje, wzdłuż których - niczym małe domy - stały rzędy pomników i grobowców, wyglądały jak ulice małego miasta. Miasta zmarłych. Niektóre pomniki były z czerwonego granitu, dominowały jednak rzeźbione płyty z piaskow-284

ca, trawertynu i marmuru. Szary zmierzch jeszcze bardziej pogłębiał cmen-tarną ciszę i nastrój.

Zamiast pójść od razu na miejsce spotkania, obszedł je i zbadał. Drzew było sporo, jednak niemal wszystkie straciły już liście, dlatego stanowiły marną kryjówkę. Ale Fenton mógł rozmieścić swoich ludzi za większymi pomnikami i grobowcami. Mógł też kazać im, żeby wmieszali się w tłum turystów i zwiedzających i rozstawili się na okolicznych alejkach.

Podszedł do pobliskiej ławki z pomalowanych na zielono stalowych pła-skowników i swobodnym, nierzucającym się w oczy ruchem wsunął pod nią plecak. Potem odszedł, skręcił w ukośnie biegnącą alejkę i stał chwilę za jednym z większych kamiennych pomników. Rozejrzał się jeszcze raz, wszedł

do budki z napisem WC, zdjął kurtkę, włożył bluzę od dresów, szybko obszedł budkę i stanął za trzymetrowej wysokości kamiennym pomnikiem niejakiego Gabriela Lully'ego, skąd mógł niezauważenie obserwować całą okolicę.

Niewiele ponad minutę później minął go młody mężczyzna w dżinsach, brązowej skórzanej kurtce i czarnym podkoszulku. Usiadł na zielonej ławce, ziewnął, wstał i poszedł dalej. Plecak zniknął.

Mężczyzna był jednym z obserwatorów i z zaskakującą płynnością ruchów zrobił dokładnie to, czego Ambler się spodziewał. Ludzie Fentona widzieli, jak wsuwał pod ławkę plecak, i chcąc sprawdzić, po co to zrobił, wysłali kogoś na zwiady.

W plecaku była karma dla ptaków. Ot, mała aluzja do określenia z ich zawodowego żargonu: „karma dla ptaków” to coś, co choć zupełnie bezwartościowe, mogło odwrócić uwagę przeciwnika. Podstęp wyda się w chwili, gdy z plecaka wysypią się ziarna słonecznika.

Na razie jednak udało mu się zidentyfikować jednego z ich ludzi, jednego z obserwatorów. Wystarczyło teraz go śledzić i sprawdzić, czy doprowadzi go do innych.

Szedł alejką w dżinsach, szarej bluzie i okularach w rogowej oprawie. Kurtkę i spodnie ciasno zwinął i schował do nylonowej torby na zatrzask, którą niósł na ramieniu. Nie rzucał się w oczy.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Idąc jakieś dwanaście metrów za mężczyzną w czarnym podkoszulku, dotarł do małego placu, gdzie stał tłumek turystów, wycieczkowiczów, historyków, a może miejscowych. Mężczyzna szedł przed siebie równym, swobodnym krokiem. W pewnej chwili zerknął w lewo, a zaraz potem w prawo: niewielu zawodowców zauważyłoby ledwo dostrzegalny ruch głowy, jakim powitała go tęga kobieta po lewej i niski, cherlawy mężczyzna po prawej.

Ambler to jednak zauważył. Dwoje kolejnych obserwatorów. Kobieta miała krótkie szarobrązowe włosy i była w dżinsowej kurtce. Tak samo jak wielu innych, trzymała w ręku brulion i kawałek węgla do kopiowania nagrobnych inskrypcji. Jednak już na pierwszy rzut oka widać było, że udaje: miała roz-biegane oczy i patrzyła wszędzie, tylko nie na nagrobki.

Podobnie stojący nieco dalej cherlak o długich, ciemnych, lepiących się od brudu włosach rozdzielonych przedziałkiem. On też był obserwatorem.

Na uszach miał słuchawki i rytmicznie poruszał głową. Ale wcale nie słuchał muzyki. Odbierał polecenia od przełożonych, współpracując z tęgą kobietą o myszowatych włosach. Hał ruszył przed siebie, czując nieprzyjemne mrowienie na karku.

Było ich więcej.

Po prostu wiedział, że tak jest. Poznał to po ich oczach, po zbyt intensywnych spojrzeniach, którymi obrzucali przechodzących obok ludzi, po tym, że zbyt szybko odwracali wzrok. Po spojrzeniach, które wymieniali między sobą.

Po tym, że pochodzili z zupełnie różnych środowisk i jako tacy nie powinni się w ogóle znać.

Miał wrażenie, że znalazł się nagle w społeczności złożonej z ludzi o róż-

nej pozycji społecznej połączonych niewidzialnym sznurkiem, za który po-ciągał niewidzialny animator.

Dostał gęsiej skórki. To, że odkrył na cmentarzu obecność grupy agentów, wcale go nie zaskoczyło; wysoka urzędniczka państwowa, jaką była Ellen Whitfield, nie pojechałaby w teren bez obstawy.

Rzecz w tym, że rozstawienie tych agentów - konfiguracja, jaką tu zastosowali - zupełnie nie pasowało do zadania, które mieli wykonywać. Było ich za dużo, to raz. Sieć była za bardzo wyrafinowana, to dwa. Rozstawili się w taki sposób, że z pozycji pozornie defensywnej mogli natychmiast przejść do ataku, to trzy. Był to wzór aż znanadto znajomy: pracując w Oddziale Stabilizacji Politycznej, musiał czasem przeprowadzać identyczne akcje, akcje, których celem było uprowadzenie obiektu lub jego zlikwidowanie.

Zmroziło mu krew w żyłach, zakręciło się w głowie. Musiał się skupić, i to za wszelką cenę. Ten w skórzanej kurtce i czarnym podkoszulku przekazał

plecak dwóm mężczyznom w ciemnych wełnianych płaszczach. Ci odebrali go z kamienną twarzą i szybko odeszli, pewnie do czekającego w pobliżu samochodu.

Narzucały się dwie możliwości. Jedna to taka, że ktoś ich zdradził i wspól-ny nieprzyjaciel próbował zorganizować tu zasadzkę. Ale bardziej prawdo-podobna była druga: ktoś chciał zastawić na niego pułapkę, i to od samego początku.

Czy to możliwe, żeby Fenton przez cały czas go okłamywał? Byłby to dla Amblera dotkliwy cios, zwłaszcza dla jego poczucia własnej wartości. Jednak nie mógł tego wykluczyć. Bo co, jeśli Fenton

był znakomitym aktorem, jednym z tych, którzy stosując metodę Stanislawskiego, potrafią doświadczać uczuć i emocji tego, kogo odgrywają? Życie wielokrotnie dowiodło, że choć niezwykle czy wręcz nieprawdopodobne, umiejętności Amblera bywają zawodne, że można go oszukać. Z drugiej zaś strony, ktoś mógł oszukać Fentona. To było bardziej prawdopodobne. Fenton kupiłby kłamstwo dużo łatwiej niż on.

Bez względu na to Hal zdawał sobie sprawę, że jedynym bezpiecznym posunięciem jest natychmiastowy odwrót. I bardzo go to bolało, ponieważ każdy członek polującego na niego zespołu obserwacyjnego mógł wiedzieć coś, co było mu bardzo potrzebne, każdy z nich był potencjalnym źródłem informacji. Jednak gdyby tu zginął, wiedza ta na nic by mu się nie przydała.

Musiał się z tym pogodzić.

Przyspieszył kroku i skręcił w pierwszą alejkę w prawo; prowadziła do stacji metra. Była brukowana, więc ruszył przed siebie jeszcze szybciej jak biznesmen, który nagle przypomniał sobie o ważnym spotkaniu.

Zauważył ich za późno, dwóch rosnących mężczyzn w jednakowych wełnianych płaszczach, którzy odebrali jego plecak. Nadeszli z przeciwnych stron i płynnym, znakomicie zgranym i wyreżyserowanym ruchem jednocześnie go potracili.

Je m 'excuse, monsieur. Je m 'excuse. - Przepraszam pana, bardzo przepraszam. Postronny obserwator nie zwróciłby na nich najmniejszej uwagi, ot, mała kolizja drogowa, zderzenie kilku zaaferowanych biznesmenów.

Ambler szarpnął się, lecz na próżno. Tamci byli wysocy i potężnie zbudowani - wyżsi i rośniejsi od niego - a ich masywność świetnie maskowała zdyscyplinowaną zjadłość, z jaką dźwignęli go z ziemi, ruszając w stronę pobliskiego grobowca. Chwilę później, ukryci za wysoką kamienną ścianą, chwycili go mocniej za ręce i unieruchomili. Ten z prawej pokazał mu strzykawkę wypełnioną bursztynowym płynem.

- Ani słowa rzucił przyciszonym głosem. - Albo wbiję ci to w ramię. -

Amerikanin. Szerokie bary, szeroka gęba i oddech zalatujący bulionem dla pakerów na proteinowej diecie.

Dołączył do nich ktoś trzeci i Ambler rozpoznał go dopiero po kilku sekundach. Kędzierzawe, rzednące już i siwiejące włosy, wąsko rozstawione oczy i zryte zmarszczkami czoło - gdy widzieli się ostatni raz, jego twarz była gładka, a włosy gęste i rozwichrzone. Nie zmienił się tylko długi, prosty nos z szerokimi, końskimi nozdrzami. Kronos. Nie ulegało wątpliwości, że ma przed sobą Kronosa.

Mężczyzna uśmiechnął się zimno i zjadliwie.

- Kopę lat - rzucił rozmownie, choć było oczywiste, że rozmawiać z nim nie zamierza. - Długo się nie widzieliśmy.

- Szkoda, że nie dłużej - odparł obojętnie Hal, uważnie ich obserwując.

Było oczywiste, że Kronos jest tu szefem; pozostali czekali tylko na jego znak.

- Dziesięć lat temu coś ci podarowałem. Boję się, że będę musiał to teraz odebrać. Jak Indianin, co? Daję i odbieram.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie wiesz? - Kronos nienawistnie błysnął oczami.

- Dajesz i odbierasz? Jak Indianin? - powtórzył Hal. Potrzebował czasu, więcej czasu na rozgryzienie tej sytuacji. - Dziwię się, że tak mówisz, zwa-

żywszy setki traktatów, jakie z nimi podpisaliśmy, te wszystkie obietnice i gwarancje, które złamaliśmy. Powinieneś raczej powiedzieć, że dajesz i odbierasz jak biały. Nie uważasz, że pasuje to bardziej do nas niż do nich?

Kronos przeszył go spojrzeniem.

- Naprawdę myślałeś, że ujdzie ci to na sucho?

- Ale co?

- Ty skurwysynu. - Cicha eksplozja słów. - Zabiłeś wielkiego człowieka, ale nie stałeś się przez to kimś lepszym. Wciąż jesteś nędznym robakiem.

I jak robaka cię rozgniotę.

Ambler spojrzał mu w oczy. Błyszczała w nich wściekłość, ale nie tylko.

Były tam również żal i smutek.

- Kronos, co się stało? - spytał cicho i z naciskiem.

- Zamordowałeś Fentona - odparł tamten. - Pytanie tylko dlaczego.

Fenton zamordowany? W głowie Amblera zakipiało od myśli.

- Posłuchaj - zaczął. - Robisz duży błąd... - Dopiero teraz zrozumiał, że spotkanie to od samego początku miało być i było śmiertelną pułapką. Zemstą wiernego, oszalałego z rozpaczki adiutanta.

- Nie, do cholery, to ty posłuchaj mnie! - przerwał mu Kronos. - Powiesz mi to, co chcę wiedzieć. Dowiem się tego tak czy inaczej. Jeśli nie powiesz po dobroci, wyrwę to z ciebie razem z flakami. I wiesz co? - dodał z sady-stycznie wykrzywioną twarzą. - Bardzo bym tego chciał.

Wspaniały, wsparty na czterech kolumnach grobowiec Maximiliana Seba-stiana Foya, napoleońskiego generała i męża stanu, miał masywną podstawę, na której stał piękny, żelazny pomnik spoczywającego w grobowcu zmar-

łego. Dla Joego Li najważniejszy był jednak osłaniający go spadzisty dach.

Leżał tam wyciągnięty jak kot i zza ozdobnego parapetu spoglądał przez 288

lornetkę. Widok miał rozległy: grobowiec był najwyższą budowlą w okolicy, poza tym o tej porze roku większość drzew i krzewów przypominała już bezlistne szkielety. Jego karabin, zmodyfikowany model snajperki QBZ-95, zaprojektowano i wyprodukowano w Chinach, w zakładach Północnochiń-

skiej Grupy Przemysłowej, podobnie jak naboje kaliber 5,8 mm, których używały wyłącznie chińskie siły specjalne. Karabin Norinco był wzorowany na rosyjskich karabinach wyborowych, jednak wprowadzono do niego wiele unowocześnień, pociski zaś miały większą siłę przebicia, spłaszczoną i wydłużoną trajektorię lotu i znacznie większy zasięg. Dzięki kolejnym modyfikacjom, wprowadzonym już przez samego Joego Li, broń stała się znacznie poręczniejsza, łatwiejsza do złożenia i ukrycia.

Przez dużo lornetkę Chińczyk obserwował trzech mężczyzn ciasno otaczających Tarkwiniusza. Tarkwiniusz wielokrotnie udowodnił, że potrafi wywinąć się z najgorszej opresji - musiał to przyznać, tak nakazywała zawodo-wa bezstronność. Był jednak zwykłym śmiertelnikiem. Miał ciało i krew.

I z tego, co widział, jeszcze przed zachodem słońca krew ta obficie zbryzga ziemię.

Ostatnia wymiana zdań z Pekinem nie była zadowalająca. Jego przełożony zaczynał się niecierpliwić, gdyż jak dotąd Joe Li zawsze wykonywał powierzone mu zadania na czas. Li nie przywykł do tłumaczenia się z opóźnień.

Nie przywykł również do tego rodzaju komplikacji. Jednak nie był tylko bez-myślnym wykonawcą rozkazów. Potrafił myśleć. Potrafił zbierać i przetwarzać informacje. Miał dobrze wykształconą zdolność oceny sytuacji. *Sha-shou*, zwykły cyngiel? To nie on. Poza tym Tarkwiniusz był celem budzącym zbyt wielki respekt, żeby strzelać do niego jak do tarczy. No i gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę, żeby mógł popełnić błąd.

Ale w przypadku tego konkretnego zadania droga do sukcesu okazała się bardziej kręta, niż początkowo przypuszczał.

Popatrzył na tamtych przez zamontowaną na karabinie lunetkę. Obraz był

elektronicznie wyostrzony, najostrzejszy tam, gdzie krzyżowały się nitki celownika.

- Tak z ciekawości. Ilu masz tu ludzi? - spytał Ambler.

- Trzynastu - odparł Kronos.

- A więc zarzuciłeś sieć - powiedział Hal trochę do niego, trochę do siebie. Konfiguracja standardowo stosowana przez agentów OSP, którą obaj dobrze znali. Każdy agent utrzymywał łączność - wizualną, głosową lub elektroniczną - z co najmniej dwoma innymi, a kilku pozostawało w stałym kontakcie z dowódcą oddziału. Tego rodzaju system gwarantował ciągłość 289

operacji nawet w przypadku, gdy tego czy innego agenta zdjęto. Staromodny układ góra-dół okazał się wadliwy, gdyż dowodzący akcją zbyt często tracili łączność z podwładnymi. W układzie sieciowym było to niemożliwe.

- Nieźle, jak na szybko zorganizowaną akcję - pochwalił go szczerze Ambler.

- Grupa Usług Strategicznych działa wszędzie - odparł Kronos. - To spuś-

cizna Fentona. Oddalibyśmy za niego życie. Ludzie tacy jak ty nigdy tego nie rozumieją.

- Tacy jak ja? - Ostrożnie i z pozorną swobodą Ambler zrobił krok do tyłu. Wierzchołek trójkąta: tam wypatrywał szans ucieczki. Musiał ich rozproszyć, ustawić w szereg. Zrobił zrezygnowaną minę i zerknął na tego z lewej. Mężczyzna patrzył na Kronosa, czekał na jego sygnał i Hal musiał wykorzystać to przeciwko niemu.

Zaczął mówić, gorączkowo i gniewnie, ze swego rodzaju werbalnym pro-testem, sprzecznym normalnie z agresywną postawą mówiącego.

- Cały czas coś zakładasz, Kronos. Zawsze tak było. Mylisz się co do Fentona, ale jesteś za głupi, żeby przyznać się do błędu.

- Największym błędem, jaki zrobiłem, było to, że uratowałem ci w Vanni życie. - Vanii, północna część Sri Lanki, ojczyzna Tamilskich Tygrysów.

- Uratowałeś mi życie? Naprawdę tak myślisz? Ty głupi kowboju, ty mnie omal nie zabiłeś.

- Gówno prawda! - warknął Kronos cicho, lecz z wyraźnym oburzeniem.

- To była pułapka. Sześciu uzbrojonych po zęby Tygrysów. Uzbrojonych po to, żeby cię skasować'.

Ambler pamiętał tę scenę aż za dobrze. Po wielu tygodniach negocjacji udało mu się w końcu zorganizować spotkanie z kilkoma członkami tak zwanymi Czarnymi Tygrysami, partyzantami, którzy poprzysięgli wysadzić się w powietrze w tłumie wrogów i którzy jako pierwsi zastosowali tę terrorystyczną technikę. Tarkwiniusz uważał, że można ich spacyfikować, podobnie jak uczy-niono to

z Sinn Fein, że tych najbardziej zatwardziałych da się w końcu odizolować i wyłączyć z bratobójczej walki. Arvalan, Tamil, z którym się wtedy spotkał, rozumiał bezsens terroru. On i ludzie z jego najbliższego otoczenia chcieli przeciągnąć na swoją stronę innych. Uważali, że dadzą radę pod warunkiem, że otrzymają odpowiednie środki. Tarkwiniusz z kolei znał

sposób, żeby je zapewnić.

Kronos należał do małej grupy wsparcia, którą mimo jego protestów wysłało szefostwo Oddziału Stabilizacji Politycznej; w kamizelce kuloodpornej Ambler miał ukryty mikrofon, dzięki czemu Kronos mógł na bieżąco śledzić przebieg negocjacji. Zgodnie z oczekiwaniami kilka minut po rozpo-

częściu spotkania Arvalan zaczął obrzucać go obelgami i ktoś nieznający sytuacji mógłby pomyśleć, że grozi mu niebezpieczeństwo. Lecz Tarkwiniusz widział jego dziwnie beznamiętą twarz i wiedział, że Tamil robi to tylko pod publiczność, ze względu na podwładnych. Po prostu odgrywał swoją rolę, nic więcej.

Nagle otworzyły się na oścież drzwi i do chaty wpadł Kronos - wpadł

i natychmiast otworzył ogień. Rzygająca ołowiem lufa drugiego karabinu -

należącego do jednego z jego podwładnych - wychynęła zza drzwi po drugiej stronie i w ciągu kilku sekund było po wszystkim. Zginął Arvalan i większość jego ludzi. Jeden partyzant zbiegł do dżungli.

Tarkwiniusz się wściekł. Cały wysiłek poszedł na marne, a wszystko przez tego głupiego, upartego i nieostrożnego Kronosa. Ba! Było znacznie gorzej.

Wiedział, że wiadomość o masakrze szybko się rozejdzie, że szanse na dalsze mediacje czy interwencję gwałtownie zmaleją, bo nie zechce spotkać się z nim żaden Tygrys. Konsekwencje były aż nadto wyraźne i jednoznaczne.

Tymczasem Kronos stał pośród trupów, promieniejąc z dumy i z szyderczym uśmieszkiem na twarzy lekceważąco odrzucając coś, co brał za jego wdzięczność. Zaraz potem Tarkwiniusz zrobił rzecz dla niego rzadką: skontaktował się z EUen Whitfield, opisał jej, co się stało, i stwierdził, że Kronos stanowi poważne zagrożenie dla ich działalności i trzeba go natychmiast wycofać lub wyrzucić z oddziału. Jednak Whitfield przeniosła go tylko do sekcji analitycznej, a więc za biurko, motywując to tym, że jego rozległe do-

świadczenie bojowe jest zbyt cenne, żeby mogło się marnować. Tarkwiniusz rozumiał jej motyw, ale nigdy nie wybaczył Kronosowi jego samozadowolenia i prymitywnych, grubiańskich odruchów.

- Byłeś za bardzo zapatrzony w siebie, żeby wiedzieć, co się tam tak naprawdę działo - powiedział. - Przez ciebie całą operację diabli wzięli. Dlatego cię wycofano.

- Jesteś obłąkany - warknął Kronos. - Powinienem być pozwolić ci zdechnąć w tej tamilskiej norze.

Tak, popełniłem błąd. Ale drugi raz tego nie zrobię.

- Myślisz, że uratowałeś mi tyłek, tak? Otóż nie. Ty mnie omal nie zabi-

łeś, a przy okazji zepsułeś całą operację. Gdyby nie to, że była tajna, stanął-

byś przed sądem. I ci biedacy wykonują twoje rozkazy? Twoje? - Tarkwiniusz wiedział, że cała sztuka polega na tym, żeby nie przestawać mówić nawet podczas ataku. - Myślisz, że zasłużyłeś... - Odwrócił się bokiem. -

Na moją wdzięczność? To tylko dowodzi... - Teraz! Czubkami palców prawej ręki dźgnął w gardło tego z lewej. - Jaki z ciebie tępak. - Mimo wysiłku robił wszystko, żeby mówić normalnym głosem. Brak korelacji między głosem i tym, co robił, miał skonsternować przeciwnika i dać mu kilka cennych 291

sekund. Czuł, jak palce uderzają w chrząstkę. Zmiażdżona tkanka wokół tcha-wicy zatamowała dopływ powietrza i mógł już wykorzystać mężczyznę jako tarczę. Gdy strzykawka upadła na ziemię, zadał cios temu drugiemu, lecz ten zrobił unik i sięgnął pod kurtkę po broń. Drugi cios trafił go w skroń i ból omal nie sparaliżował Halowi ręki: mężczyzna był oszołomiony, lecz tylko chwilowo. W następnej sekundzie skoczyli w bok, on i Kronos, biegnąc w przeciwne strony - chwila wytchnienia, która wytchnieniem bynajmniej nie była. To, że Kronos skoczył natychmiast w lewo, oznaczało tylko jedno: Tarkwiniusz był pod ostrzałem.

Rzucając się na ziemię, usłyszał cztery stłumione wystrzały - tylko skąd?

- i tuż obok wytrysnęły cztery małe fontanny gliny i odłamków marmuru.

Lekko podniósł głowę, spojrział na drugą stronę alejki i zobaczył gęstą kępę rododendronów z grubymi, skórzastymi, odpornymi na zimno liśćmi. W kęp-

pie mignęło ramię schyłego tam człowieka.

Czas zwolnił bieg. Tarkwiniusz wyciągnął rękę w stronę powalonego męż-

czyzny i wyszarpnął z kabury pistolet, starannie wycelował i oddał trzy szybkie strzały.

Zdziwiony, że prawie ich nie słyszy, dopiero teraz spojrział na broń. Skró-

cony naciąg zamka, skrócona lufa: dziewiątka, beretta 92 Centurion. Na lufę miała nakręcony długi tłumik.

Z kępy rododendronów wysunęła się zakrwawiona ręka, a chwilę później wypadł stamtąd ranny mężczyzna. Wpadł i ukrył się za pobliskim pomnikiem.

Mimo to Tarkwiniusz wciąż nie był bezpieczny. Musiał się ruszyć, musiał

uciekać - każda sekunda zwiększała prawdopodobieństwo, że ktoś skrzyżuje na nim nitki celownika. Zerwał się na równe nogi i popędził za ICronosem, czując piekący ból policzka. Odłamki marmuru, kolejna kula: ten strzał padł

z wysoka i najpewniej oddał go snajper czyhający na jakimś wzniesieniu.

Rozejrzał się w biegu: miejsc takich było tu aż za dużo.

Trzynastu ludzi. Kronos na pewno nie blefował.

Wszyscy byli doświadczonymi zabójcami, wszyscy na niego polowali. Musiał odwrócić szanse, musiał wykorzystać przeciwko nim niezwykłość otaczającego ich terenu. Tylko jak?

Walczyć o życie na cmentarzu: nie miał siły ani czasu, żeby dostrzec w tym ironię. Poza tym Pere-Lachaise było czymś więcej niż cmentarzem: przypominało gigantyczną planszę do gry, planszę poprzecinaną labiryntem alejek, ścieżek, pomników i grobowców, które mogły być albo przeszkodami, albo pełnić rolę warownych przyczółków. Sieć przeciwnika na sieci kamiennych nagrobków.

292

Musiał ją spenetrować. Biegąc od pomnika do pomnika, zwracał na siebie mniejszą uwagę, niż się spodziewał.

Musiał pomyśleć - nie, musiał ich wyczuć, musiał ulec instynktowi. Jak by ich rozstawił, gdyby to od niego zależało? Kilku agentom wyznaczyłby pozycje ofensywne. Pozostałych rozlokowałby na pozycjach obserwacyjnych i rzuciłby do akcji tylko w ostateczności. Musiał też wykorzystać swoje szczególne umiejętności - które dawały mu pewną przewagę - w przeciwnym razie groziła mu śmierć. Nie, za daleko zaszedł, żeby teraz zginąć. Nad strachem wzięło górę uczucie o wiele potężniejsze: wściekłość.

Był wściekły za to, co mu zrobili, poczynając od Changhua. Wściekły, że odebrali mu duszę w sterylnych pomieszczeniach ośrodka na wyspie Parrish. Wściekły na aroganckich strategów, którzy pogrywali ludźmi jak pion-kami na geopolitycznej szachownicy.

Nie umrze tu. Nie teraz. Nie dzisiaj. Umrą inni. Ci, którzy chcieli go zabić, nie zasługiwali na litość.

Aleją Chemin du Quinconce, przecinającą pas rozmokłej ziemi, przebiegł

do brukowanej Avenue Aguado. Był na skraju północno-zachodniej części cmentarza, zbliżał się do wielkiej kaplicy w stylu mauretańskim, budowli z okrągłą kopułą i olbrzymim portykiem. Nie była to jednak kaplica, tylko kolumbarium, budynek, gdzie składano i przechowywano urny z prochami zmarłych. Przed głównym wejściem zobaczyć schody prowadzące do otwartych podziemnych krypt, które biegnęły stromo w dół, ginąc w prostokątnej, mrocznej czeluści.

Schronienie takie jak to mogło okazać się jednak śmiertelną pułapką. Było mało prawdopodobne, żeby tamci go nie obstawili. Jakies dwadzieścia metrów dalej ciągnęły się arkady, zadaszony pasaż z wapienia i łupku. Wbiegł tam, rozglądając się na wszystkie strony. Po lewej zobaczył Japończyka z aparatem cyfrowym, który obrzucił go wrogim spojrzeniem. Natychmiast go skreślił: to tylko turysta, zły, że Tarkwiniusz zepsuł mu zdjęcie. Sąsiednia nisza: młoda blondynka i starszy mężczyzna o oliwkowej cerze i siwiejących skroniach. Stali na wpół objęci, ona wpatrzona w niego jak w słońce, on wyraźnie zdenerwowany widokiem intruza. Zdenerwowany, lecz nie jak ktoś, kto czeka i wypatruje, tylko jak ktoś, kogo przyłapano na gorącym uczynku. Mąż zdradzający żonę -

ostatecznie to Francja - lub, co gorsza, kochanek zdradzający kochankę. W są-

siedniej niszy nie było nikogo, a w następnej siedziała jakaś kobieta. Miała szeroką, męską twarz i czytała coś, co wyglądało na tomik poezji. Podniosła wzrok, zerknęła na niego bez zainteresowania i wróciła do lektury.

Podstęp przeszedłby dziesięć, piętnaście minut wcześniej, kiedy było jaś-

niej i kiedy rzeczywiście dałoby się czytać. Kobieta siedziała jak dobrze 293

wyszkolona agentka, z charakterystycznie ugiętymi w kolanach nogami, w każdej chwili gotowa do skoku. Wsunęła rękę pod ciepłą kurtkę z kapturem, jakby się chciała ogrzać. Tarkwiniusz wyzbył się ostatnich wątpliwości.

Przez chwilę jednak nie dał po sobie poznać, że już wie, i zmierzając w stronę niszy, cały czas patrzył prosto przed siebie. Szedł krokiem człowieka, który dostrzegł nagle coś, co bardzo go zainteresowało i czemu chciał się dokładniej przyjrzeć. Minawszy kobietę, gwałtownie skręcił, wpadł na nią z impetem i potoczyli się ciężko po kamiennej posadzce. Przygniótł ją, unieruchomił, wbił jej w gardło lufę pistoletu i syknął:

- Ani słowa.

- Wal się - wycharczała przez zaciśnięte zęby. Amerykanka; na cmentarzu roilo się od rodaków. Miała rozdętą twarz jak kobra szykująca się do ataku.

Kopnął ją kolanem w brzuch i głucho stęknęła. Była wściekła, głównie na siebie, za to, że nie przewidziała jego manewru. Chwycił jej książkę - *Les Fleurs du Mai* - i szybko ją otworzył. Tak jak się spodziewał, w kartkach było prostokątne wycięcie, a w nim tkwił miniaturowy radionadajnik.

- Powiedz im, że mnie widziałaś - szepnął. - Że wbiegłem do kolumbarium.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Szybko! - dodał. - Bo twój trup dołączy do pozostałych. - Dźgnął ją w szyję lufą beretty. - Tylko bez żadnych sztuczek - ostrzegł. - Wszystkie znam na pamięć.

Kobieta wcisnęła guzik nadajnika.

- Tu Konstelacja. Tu Konstelacja osiemdziesiąt siedem. - Cmentarz miał

dziewięćdziesiąt siedem kwartałów; kolumbarium mieściło się w osiemdziesiątym siódmym. Dobrze, że nie przedstawiła się jako Konstelacja 87A czy 87E, bo to by oznaczało, że gdzieś w pobliżu czuwającej kompani.

Wyrwał jej z ucha bezprzewodową słuchawkę, maleńki kawałek cielistego plastiku, i wetknął ją do swego.

- Melduj - zaskrzeczał metaliczny głos.

Tarkwiniusz ponaglił ją ruchem głowy.

- Ukrył się w podziemnej krypcie...

- I jest uzbrojony - podpowiedział jej szeptem.

- I jest uzbrojony.

Już o tym wiedzieli, dzięki czemu jej meldunek był bardziej wiarygodny.

Silnym szarpnięciem zdarł jej z ramion kurtkę, unieruchamiając ręce. '

- *Mam selle... Il vous ennuie, ce mec ci?* - Donośny głos od strony głównego przejścia. Czy ten człowiek się pani naprzykrza? Podyktowane najlepszymi intencjami pytanie jakiegoś przechodnia. Tarkwiniusz zerknął w lewo.

294

Chudy, tyczkowaty młodzian o natrętnym spojrzeniu; typ naukowca, pewnie student.

Wrażenia powstają w ułamku sekundy - wystarczy kolejna sekunda, żeby je wymazać i zastąpić innymi. Tarkwiniusz przytknął usta do ust kobiety.

- Kochanie - wykrzyknął po angielsku. - Powiedziałaś: „Tak"! Naprawdę za mnie wyjdiesz? Jestem najszcześliwszym człowiekiem na świecie! -

Namiętnie ją obejmował, mówiąc z egzaltowanym zachwytem i radością.

Nieważne, że po angielsku: wymowa sceny była oczywista.

- *Excuse-moi* - powiedział cicho zaczerwieniony student i szybko odszedł.

Tarkwiniusz wytarł usta rękawem i spojrzął na mały pojemnik u pasa kobiety. Otworzył go,

odtrąciwszy jej ręce, bo chciała go uprzedzić.

Kleinmaschinenpistole - od razu go rozpoznał. Składany pistolet maszynowy, znany jako „pistolet maszynowy biznesmena”. Ta koszmarne niebezpieczna broń, wzorowana na rosyjskim pistolecie maszynowym PP-90, któ-

ry powstał w biurze projektów KGB w Tulę, mogła błyskawicznie wystrzelić cały magazynek, wypływając z siebie ołowiany promień śmierci. Zamontowany na zawiasach spust, sprężynujący przycisk umożliwiający szybkie zło-

żenie jej na pół: pistolet był prawdziwym cudem miniaturyzacji. Miał zaledwie dwadzieścia sześć centymetrów długości i magazynek na trzydzieści nabojów kaliber 9 mm. Tarkwiniusz wcisnął przycisk i z obudowy wysunęła się składana kolba.

Nagle i bez żadnego ostrzeżenia chwycił kobietę za szyję, założył jej dźwignię i szybkim ruchem pchnął jej głowę w dół. Natychmiast straciła przytomność. Posadził ją na marmurowej ławce i oparł głowę o ścianę, jakby drzemała. Potem rozsznurował jej buty, wyciągnął sznurowadła, zrobił z nich pętlę i założył ją na jej lewą kostkę. Pozostałą częścią sznurka dwukrotnie owinał pozbawiony kabłąka spust i jej nadgarstki. Gdy kobieta ocknie się i spróbuje wstać, pętla natychmiast się zaciśnie, a wtedy...

Przeszedł do niszy kilkadziesiąt metrów dalej. Była ciemna, lecz widział

stamtąd schody prowadzące do kolumbarium.

Nie musiał długo czekać.

Jako pierwszy pojawił się mężczyzna w czarnej koszuli, ten sam, który zabrał plecak spod ławki. Z ręką pod skórzaną kurtką, jakby bolał go brzuch, szybko zbiegł na dół. Zaraz potem nadszedł drugi, łysielec o dziobatej gębie i wystającym brzuchu. Zamiast zejść do krypty, stanął przed kaplicą, skąd dobrze widział schody. Wsparcie - bardzo sensowna pozycja.

Trzeci - jeden z tych, którzy zatrzymali go, gdy próbował uciec z cmentarza

- nadbiegł dwie minuty później. Miał zaczerwienioną twarz i był zlany potem ze zdenerwowania, fizycznego wysiłku lub z obu tych powodów naraz.

295

W małej, pokrytej gumą słuchawce, która wciąż **tkwiła % uchu Tarkwiniusza, ponownie rozległ się metaliczny głos:**

- Konstelacja osiemdziesiąt siedem, potwierdź meldunek.

Ten ze spoconą gębą poruszał ustami i najpewniej to on ją **wywoływał. Nie** doczekawszy się

odpowiedzi, skonsternowany powtórzył:

- Konstelacja osiemdziesiąt siedem, zgłoś się.

Tarkwiniusz oparł lufę beretty o kamienny parapet i z nieprzyjemnym ssa-niem w żołądku spojrzął w gęstniejący mrok. Nie. Nawet gdyby był mistrzem nad mistrzami - a nie był - z tej odległości i w tym świetle nikogo by nie trafił - przynajmniej z pistoletu - a tylko zdradziłby swoją pozycję.

Zaczekał, aż do tych przed i w kolumbarium dołączy kolejny agent z kwartału osiemdziesiąt siedem - zebrała się tam już prawie połowa grupy - po czym ukradkiem wycofał się i przez zarośla ruszył na północ. Widział już budkę strażnika, wielką mapę dla turystów i wysoką, zieloną bramę, a wyte-

żywszy wzrok, dostrzegł również wypłowiałą zielen i białe markizy na ulicy przed cmentarzem. Ich bliskość była jednak złudna.

Wtem doszedł go suchy trzask automatu i przeraźliwy krzyk. Wielbicielka poezji ocknęła się odrobinę za wcześnie i trzydzieści pocisków poszatkowa-

ło kamienne zagłębienie pod marmurową ławką. Pech. Wiedział, że na ope-rujących tu agentów huk wystrzałów podzielała jak wabik, ściągając ich do niszy, którą już dawno opuścił.

Biegając ile sił w nogach, mijał niezliczone grobowce i pomniki, bezlistne drzewa i szeleszczące krzewy. Cienie się wydłużały, ciemnoróżowe promienie zachodzącego słońca zaczynały powoli przygasać. Mięśnie miał napięte, zmysły wyostrzone. Swoją ostatnią zagrywką „zmniejszył ciśnienie”, jak mawiali zawodowcy, zredukował siły przeciwnika, jednak wciąż polowali na niego inni, wciąż obserwowali teren przez lornetkę. Największe niebezpieczeństwo groziło mu przy bramach, takich jak ta, do której się teraz zbli-

żał. Było oczywiste, że ktoś ją obstawia.

Przyspieszył jeszcze bardziej. Potknął się na jakiejś nierówności, zaklął

w duchu, usłyszał ciche pacnięcie i z pobliskiego pomnika wytrysnęła fontanna ostrych, piekących jak ogień odłamków. Gdyby biegł równym krokiem - gdyby się nie potknął - oberwałby prosto w pierś.

Przetoczył się po ziemi i ukrył za prawie dwumetrowej wysokości obeli-skiem. Skąd strzelali? Tu też możliwości było aż za dużo.

Kolejny strzał i kolejna fontanna kamiennych odłamków - tym razem z przeciwnej strony, a właśnie tam zamierzał poszukać schronienia. Dokąd teraz?

Gdzie było bezpiecznie?

Rozejrzał się jeszcze raz. Zważywszy na ukształtowanie terenu, liczne prze-szkody i kąć strzału, nie mogli czyhać ani z lewej, ani z prawej.

- Wstań i walcz jak mężczyzna.

Kronos.

Wyszedł z cienia za wielkim kamiennym grobowcem.

Tarkwiniusz rozpaczliwie zlustrował najbliższą okolicę i zobaczył niczego nieświadomego sprzątacza w zielonym uniformie z napisem PERE-LACHAISE

EQUIPE ^ENTRETIF.N na plecach. Zza wysokiej, zielonej bramy - była tak blisko, a jednak daleko - dochodził cichy szum paryskiej ulicy. Coraz mniej liczni turyści światło było już za słabe na zdjęcia - nie zdawali sobie sprawy, że niemal na ich oczach toczy się śmiertelna gra.

Kronos ścisnął w rękę pistolet. Tarkwiniusz mógłby spróbować dobyć broni, ale ponieważ beretta miała bardzo długą lufę - przekłety tłumik! - zanim zdążyłby wyszarpnąć ją zza paska, byłoby za późno.

Wokół nich toczyło się normalne, wieczorne życie. Dozorca, sprzątacznik czy kimkolwiek ten człowiek był - jego twarz przesłaniał długi daszek czapki -

spokojnie zbierał śmieci. Na ulicę wylewał się rzednący tłum turystów, któ-

rzy rozglądali się za taksówką lub zastanawiali, gdzie jest najbliższa stacja metra.

Kronos dał komuś znak; najpewniej snajperowi.

Spokojnie powiedział z zimną wrogością w głosie. - Snajper nic ci nie zrobi. On mnie tylko ubezpiecza. Zabić mam ja. Wszyscy o tym wiedzą.

Sprzątacznik był coraz bliżej i Tarkwiniusz zaczynał się o niego martwić. Męż-

czyzna, zwykły cywil, mógł zaraz zginąć: znalazł się tu zupełnie przypadkowo, ale dla kogoś takiego jak Kronos nie miało to żadnego znaczenia. W tym, jak szedł, było jednak coś dziwnego, coś dziwnie niepokojącego.

W szybie przejeżdżającego ulicą samochodu odbił się promień zachodzą-

cego słońca i na sekundę oświetlił jego twarz. Przerażony Tarkwiniusz gwał-

townie drgnął. Basen kąpielowy w hotelu Plaža. Ogrody Luksemburskie.

Chiński zabójca.

Szansę na przeżycie zmalowały jeszcze bardziej.

- Nigdy nie rozumiałeś jednego - rzucił, rozpaczliwie próbując zyskać na czasie. - Tego, że...

- Dość się już nasłuchałem - przerwał mu Kronos, zaciskając palce na uchwycie pistoletu. Nagle wyraz wrogości na jego twarzy ustąpił miejsca dziwnej nieobecności, a z jego lewego ucha wytrysnęła krew.

Chińczyk przyklęknął na jedno kolano - zamiast zaopatrzonego w gwóźdź

kijka do zbierania śmieci, trzymał teraz długi karabinek z tłumikiem. Wszystko 297

zdarzyło się tak szybko, że umysł Tarkwiniusza zarejestrował to z opóźnieniem.

Chińczyk odwrócił się w jego stronę, wypalił i przez ułamek sekundy Tarkwiniusz był pewien, że jest to ostatnia rzecz, jaką zobaczy na tym świecie...

tylko że tamten spoglądał przez lunetkę, a przecież strzelając do kogoś z odleg-

łości pięciu metrów, żaden zawodowiec nie korzysta z celownika optycznego. Cichy brzdęk. Na ziemię upadła łuska.

Chińczyk strzelał nie do niego, tylko do snajpera.

Tarkwiniusz miał w głowie kompletny chaos. To nie miało żadnego sensu!

Chińczyk wymierzył ponownie. Dwójnog ukrytego snajpera kontra strzał

„z kolana”: spróbować tego mógł tylko prawdziwy mistrz.

Dwa przytłumione kliknięcia i po ziemi potoczyły się kolejne dwie łuski.

Cichy brzdęk i stłumiony odległością jęk rannego człowieka.

Chińczyk wstał i złożył kolbę karabinu.

Tarkwiniuszowi odebrało mowę. Nie dowierzał własnym oczom, nic z tego nie rozumiał.

Zabójca darował mu życie.

- Nie rozumiem...

Tamten spojrział na niego swymi poważnymi brązowymi oczami.

- Teraz już o tym wiem. Dlatego żyjesz.

Tarkwiniusz przyjrzał mu się dokładniej i zobaczył w nim kogoś, kto robi tylko to, czego - jak wierzył - wymaga obowiązek, człowieka, który choć dumny ze swych niezwykłych umiejętności, nie

czerpie żadnej przyjemno-

ści z zabijania. Zobaczył nie tyle wojownika, ile strażnika. Ludzie tacy jak on istnieli od zawsze. Jako pretoriańscy prefekci, templariusze czy samuraje, uczyli się władać mieczem, żeby nie potrzebowali tego robić inni. Byli har-dzi i twardzi, żeby inni mogli być miękcy. Zabijali, żeby inni mogli bezpiecznie żyć. Ich hasłem była ochrona. To było ich credo.

Ułamek sekundy później z jego gardła buchnęła krew. Niewidoczny snajper, choć ranny, oddał jeszcze jeden strzał, mierząc w cel, który najbardziej mu zagrażał.

Tarkwiniusz zerwał się z ziemi. Przez chwilę - przez bardzo krótką chwilą

- od pozostałych napastników dzieliły go dziesiątki kamiennych grobowców ogrodu śmierci: musiał wykorzystać okazję, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, na pewno zginie. Puścił się pędem w kierunku wielkiej, podwójnej bramy i przystanął dopiero przed wynajętym samochodem, który zaparkował kilkaset metrów dalej. Przebijając się przez hałaśliwe paryskie ulice i nieustannie sprawdzając, czy nikt za nim nie jedzie, próbował przeanalizować to, co zaszło na cmentarzu.

298

W głowie miał kompletny mętlik. Fragmenty układanki zderzały się ze sobą i za nic nie chciały ułożyć w całość. Ktoś zabił Fentona. Tylko kto?

Członek jego organizacji, jakiś „kret”? Współpracownik? Ktoś z amerykańskiego rządu?

No i ten Chińczyk, najpierw wróg, potem sojusznik. Ktoś, kto oddał za niego życie.

Ale dlaczego?

Dla kogo pracował?

Było za dużo możliwości i za dużo niemożliwości, które stały się możli-wościami. Tarkwiniusz - nie, musiał teraz myśleć jak Ambler - znalazł się w punkcie, gdzie wszelkie spekulacje mogły być bardzo zwodnicze.

Przerażało go coś jeszcze: dziwne podniecenie, jakie wywoływała krążąca w żyłach adrenalina, nie było tak do końca nieprzyjemne. Więc jakim właś-

ciwie był człowiekiem? Zadrzał. Przed chwilą zabijał, przed chwilą do niego strzelano. W takim razie dlaczego był tak bardzo ożywiony? Dlaczego tak dobrze się czuł?

- Nie rozumiem - powtórzyła Laurel. Siedzieli we troje w hotelowym pokoju.

- Ja też nie - odparł Hal. - Nic do siebie nie pasuje.

- Fakt, nie trzyma się kupy - wtrącił Caston.

- Chwileczkę - rzuciła Laurel. - Powiedziałeś, że wszystkie te zabójstwa mają związek z Chinami. Że to swoista progresja, ciąg zdarzeń, który nieuchronnie do czegoś prowadzi. Że najbardziej prawdopodobnym celem jest Liu Ang...

- Który w przyszłym miesiącu ma złożyć wizytę w Białym Domu - wtrą-

cił Caston. - Historyczne spotkanie. Wielka gala, uroczysta kolacja i tak dalej. Mnóstwo możliwości, ale...

- Ale co?

- Czas się nie zgadza. Częstotliwość dotychczasowych wydarzeń była znacznie większa. Za duże opóźnienie...

- Nie ma żadnego opóźnienia - przerwała mu Laurel. Otworzyła torebkę i wyjęła zwiniętą gazetę, „International Herald Tribune”. - Wpadłam na to, kiedy wspomniałeś o tym artykule w „Le Monde”.

- Ale na co?

- Jutro wieczorem. Wielka chwila chińskiego prezydenta.

- O czym ty mówisz?

- O Światowym Forum Ekonomicznym w Davos.

Åmbler zaczął krążyć po pokoju.

299

- Po raz pierwszy od dnia objęcia urzędu - myślał na głos Liu Ang opuszcza swój bezpieczny pekiński kokon. Jedzie na Zachód i wygłasza wspaniałe przemówienie, które ma nastawić nas przychylnie do chińskiego tygrysa...

- Sam Palmer nie ująłby tego lepiej - rzucił cierpko Caston.

- I wtedy go zabijają.

- Usuwają z równania. - Caston pogrążył się w zadumie. - Ale kto?

Głos Fentona: „Mamy na tapecie wyjątkowo fascynujący projekt. Ale **nie** pakuj jeszcze walizek”.

Ambler długo milczał.

- Czy Fenton naprawdę sądził, że to zrobię?

- A mógł tak sądzić?

- Jego śmierć nie daje mi spokoju. Myślę o tym i myślę, i wymyśliłem, że to jakiś dowód. Coś jak niedopracowany szczegół, niezalatwiona sprawa, którą trzeba zakończyć przed kulminacyjnym punktem operacji.

- Cóż za beznamiętność - mruknął Caston. Na pewno nie byłeś kiedyś księgowym?

- Przypisz to temu, że przez wiele lat służyłem w Oddziale Stabilizacji Politycznej - odparł Ambler. - Śmierć Fentona to ważny drogowskaz. Kolejnym jest to, że mogę znać jego zabójcę. Że pracowałem z nim w OSP.

- Brzmi sensownie - powiedziała Laurel.

- OSP zawsze szczyliło się tym, że zatrudnia najlepszych z najlepszych.

A Fenton tym, że zatrudnia najlepszych z OSP. Gdybyście chcieli zlecić ko-muś zabójstwo chińskiego prezydenta, czy nie wynajęlibyście najlepiej wyszkolonego zabójcy, jakiego tylko moglibyście znaleźć?

- A gdyby był to ktoś z OSP - dodała powoli Laurel - istniałoby duże prawdopodobieństwo, że z nim pracowałeś.

- Jak najbardziej - potwierdził Hal.

- Kurde mol powiedział Caston. - Czy wy macie pojęcie, co to znaczy?

Jeśli rzeczywiście chodzi o Davos, to jest już po herbacie.

- Musimy się zastanowić...

- Co będzie potem, po Davos. - Caston spochmurniał jeszcze bardziej. -

Bo konsekwencje... Chryste, pomyślcie tylko o konsekwencjach. Prezydent Liu Ang to ukochany przywódca Chin. Jest jak John F. Kennedy, papież i John Lennon razem wzięci. Kiedy go zabiją, prawie półtora miliarda ludzi ogarnie oburzenie. Oburzenie typowo chińskie, histeryczne, tak głośne, że usłyszymy ich na drugim końcu świata. A jeśli coś, cokolwiek, najcieńsza nawet nić połączy jego śmierć z naszym rządem, w mgnieniu oka histeria ta przerodzi się w gniew. Widzieliście kiedyś zawór bezpieczeństwa, który dał-

by radą powstrzymać napór półtora miliarda ludzi? Groziłaby nam wojna.

Twardogłowe jastrzębie w ciągu jednej nocy opanowałyby Zhongnanhai.

- Tak ryzykować mógłby tylko fanatyk - szepnęła Laurel.

- Ktoś taki jak Ashton Palmer i jego uczniowie. - Ambler poczuł, że z twarzy odpływa mu krew.

Laurel spojrzała w dal i powtórzyła słowa, które wyrażały młodzieńcze pragnienia Hala:

- „Nigdy nie wątp, że grupka myślących, oddanych ludzi może zmienić świat. Albowiem tylko tacy ludzie świat ten wielokrotnie zmieniali”.

- Niech to szlag - nie wytrzymał Ambler. - To wszystko skończy się dopiero wtedy, kiedy się skończy. Nie pozwolę, żeby uszło im to na sucho.

Teraz z kolei Caston zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

- Przemyślałem to - powiedział. Pod każdym kątem. Kto wie, od kiedy nad tym pracują. Do tego rodzaju operacji potrzeba dobrze zakamuflowanego agenta i wsparcia. Przeanalizowałem tych operacji od cholery i wiem, że to standard. Poza tym każda musi mieć coś w rodzaju bezpiecznika, kodu czy hasła odwołującego akcję. Jej plan musi zawierać elementy dezinformacji. I zawsze jest kozioł ofiarny. Zawsze. - Stwardniał mu głos. - Sprawa jest oczywiście dużo prostsza, jeśli jest nim sam zabójca. Ale musimy założyć, że dokonali starannego przeglądu kadr i uwzględnili wszystkie okoliczności.

- W operacji zawsze biorą udział ludzie - odparł wyzywająco Ambler. -

A ludzie nigdy nie zachowują się jak liczby całkowite w macierzy. Czynnika ludzkiego nie da się precyzyjnie wyliczyć. Tacy jak ty nigdy tego nie rozumieją.

- A tacy jak ty nigdy nie rozumieją, że...

- Panowie - przerwała im niecierpliwie Laurel, stukając palcem w gazetę.

- Panowie. Piszą tu, że Liu Ang będzie przemawiał jutro o piątej. Za niecałe dwadzieścia cztery godziny.

- O Chryste - westchnął Ambler.

Laurel popatrzyła na Castona i przeniosła wzrok z powrotem na niego.

- Nie można po prostu postawić wszystkich na nogi?

- Wierz mi - odparł Hal - już od dawna obowiązuje tam alarm najwyższego stopnia. Tak się to robi, inaczej nie można. Rzecz w tym, że grożono mu już tyle razy, że kolejne ostrzeżenie nie odniesie żadnego skutku. Oni wiedzą o tych groźbach, Liu Ang też. To nic nowego. Ale groźby go nie uziemią, bo on tego po prostu nie chce.

Laurel była zdezorientowana i zrozpaczona.

- Nie można mu wytłumaczyć, że tym razem to nie przelewki?

301

Caston łypnął na nią spode łba.

- Ja się tym zajmę. Lepiej to przyjmą. - Spojrzał na Amblera. - Naprawdę myślisz, że rozpoznałbyś zabójcę? Że jest jakaś szansa?

- Tak - odparł krótko Hal. - Moim zdaniem chcieli zwerbować do tego mnie. Ale oczywiście masz rację: Fenton nie pracował bez wsparcia. Zadanie powierzono teraz mojemu zastępcy albo następcy. I jest to ktoś równie utalentowany jak ja.

Przez chwilę milczeli.

- Nawet gdyby był to ktoś spoza, rozpoznałbyś go tak czy inaczej - odezwała się Laurel. - Już to robiłeś, masz dar.

- Tak, robiłem - przyznał Ambler. - Sęk w tym, że nigdy dotąd gra nie toczyła się o tak wysoką stawkę. Z drugiej strony, jakie mamy wyjście?

- Nie musisz nic robić - powiedziała z nagłym wzburzeniem Laurel. -

Nie musisz być bohaterem. Po prostu zniknijmy, i już.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak - wymamrotała ze łzami w oczach. - Nie. Nie wiem - dodała przytłumionym głosem. - Wiem tylko, że jeśli tam pojedziesz, pojedę i ja. Nigdzie indziej nie czułabym się bezpieczna. Przecież wiesz.

Hal przytknął czoło do jej czoła, objął ją i mocno przytulił.

- Dobrze - szepnął, nie wiedząc, czy głos łamie mu się z radości, czy smutku. - Dobrze.

- Wiesz przynajmniej, jak się do tego zabrać? - spytał Caston.

- Wiem - odparł głucho Ambler.

Caston usiadł w musztardowym fotelu i popatrzył na niego z kamienną twarzą.

- Krótko to podsumuję, żebyś miał jasność sytuacji. Sprawa przedstawia się tak: musisz wykiwać tych z Grupy Usług Strategicznych i twego ukochanego Wydziału Operacji Konsularnych, dostać się do Szwajcarii, przebić się przez kordon wokół obradującej w Davos elity i zidentyfikować zabójcę, zanim uderzy. Tak?

Ambler kiwnął głową.

- No to coś ci powiem. - Caston uniósł brew. - To nie będzie takie proste.

Część IV

Rozdział 29

dy na drogowskazie pojawił się napis, że do szwajcarskiej granicy pozostało trzydzieści kilometrów, pod wpływem nagłego impulsu skręcił

G

z autostrady w wąską, wiejską drogą. Jechali za nim? Chociaż nikogo nie zauważył, zwykła roztropność podszeptwała mu, że wynajętym oplem nie przejedzie przez granicę.

Laurel Holland i Clayton Caston jechali do Zurychu ekspresem TGV; po-dróż miała potrwać nieco ponad sześć godzin, do czego trzeba było dodać dwie godziny jazdy autobusem do Davos-Klosters. Linia była bardzo uczęszczana; wsiedli do pociągu osobno i nie powinni mieć żadnych kłopotów.

Tak, ale oni nie byli celem operacji agentów z Wydziału Operacji Konsularnych ani nie mniej niebezpiecznej operacji agentów Grupy Usług Strategicznych, przeciwników bez nazwiska i twarzy. Podróżując środkami transportu masowego, wpadłby prosto w ich sieć. Nie miał wyboru i musiał jechać samochodem, szukając anonimowości wśród setek tysięcy innych samochodów na Autoroute du Soleil. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Ale najbardziej niebezpieczny moment podróży dopiero go czekał: przejście graniczne. Szwajcaria wciąż zachowywała wyniosłą rezerwę wobec europejskiej integracji i wiedział, że podczas kontroli nie będzie żadnych ulg.

W miasteczku o nazwie Colmar znalazł taksówkarza, który na widok przypominających wachlarz banknotów zgodził się przewieźć go przez Samoens do St. Martin, małej osady po drugiej stronie granicy. Taksiarz, Luc, mężczyzna tęgi i przysadzisty, o grubych, podobnych do kręgli ramionach i tłustych, prostych włosach, zalaatywał zapachem ołówkowych strużyn, zjełczalego 305

masła i obornika, odorem charakterystycznym dla ludzi nie lubiących kąpie-li, który bezskutecznie próbował zagłuszyć płynem po goleniu Pinaud Lilac Vegetal. Choć skąpy i chciwy, był człowiekiem prostodusznym i serdecznym. Hal wiedział, że można mu zaufać.

Uchylił okno i poczuł na twarzy podmuch chłodnego, górskiego powietrza. Jego torba podróżna leżała na siedzeniu obok.

- Otwiera pan? - spytał taksówkarz, nieświadomy, że w samochodzie panuje nieznośny zaduch. - Zimno jest, *monfrere*. Zimniej niż w tyłku Eski-mosa, jak tam u siebie mówicie.

- Nie szkodzi - odrzekł grzecznie Ambler. - Przynajmniej nie zasnę. -

Zapiął grubą, wełnianą kurtkę; była bardzo ciepła, starannie ją wybrał.

Jedenaście kilometrów przed granicą poczuł się dziwnie nieswojo i znów zaczął odbierać mgliste, niejednoznaczne i dalekie od konkretów sygnały, że ktoś mógł go mimo wszystko wytropić. Czyżby znów zaczął popadać w paranoję? Utrzymując stałą odległość, jechał za nimi dżip z brezentowym da-chem. Kilka razy pojawił się również śmigłowiec, choć w tej okolicy maszyny te widywano zapewne rzadko. Wprawdzie umysł człowieka nadmiernie pobudzonego dopatruje się niespójności w najbardziej niewinnych okolicznościach, ale czy to możliwe, żeby dżip czy śmigłowiec - lub oba te pojazdy naraz - był zwiastunem niebezpieczeństwa?

Kilka kilometrów przed granicą zobaczył niebieską furgonetkę ze znajomym numerem rejestracyjnym; już ją kiedyś widział. I znów pomyślał: czy to tylko paranoja? Wstawał świt i w padającym pod ostrym kątem świetle nie mógł

dostrzec twarzy kierowcy. Kazał Lucowi zwolnić: niemal natychmiast zrobiła to i furgonetka. Przez cały czas jechała za nimi w tej samej odległości, odległo-

ści dużo większej, niż wymagała tego zwykła ostrożność czy doświadczenie zawodowe kierowcy. Niepokój przerodził się w lęk. Tak, musiał iść za głosem instynktu. „Zaszliśmy tak daleko tylko dzięki wierze”. Wiara, która tyle razy uratowała mu życie, była zwykłą wiarą w siebie. Nie zamierzał wahać się i teraz. Prawda była bardzo niepokojąca, lecz musiał się z nią pogodzić.

Namierzyli go.

Zza krwawej wstęgi na horyzoncie powoli wychynęło słońce; było zimno jak w chłodni na mięso. Oznajmił Lucowi, że zmienił zdanie i ma ochotę na poranną wycieczkę. Tak, właśnie tutaj i teraz, w tej okolicy. Czyż nie jest urocza?

Kolejny plik banknotów i wyraz jawnej podejrzliwości na twarzy taksówkarza ustąpił miejsca pełnemu rozbawieniu sceptycyzmowi. Luc wiedział, że to nie jego sprawa, ale nawet jeśli klient próbował wcisnąć mu ciemnotę, dobrze płacił i to żywą gotówką. Dlatego nie zaprotestował. Co więcej, ta gra zaczynała go wciągać. Istniały niezliczone powody, dla których ludzie chcieli uniknąć kontroli granicznej, bo kto na przykład lubił płacić cło za towary luksusowe. Tak więc, dopóki samochód był czysty, Luc niczym w sumie nie ryzykował.

Ambler zawiązał mocniej ciężkie skórzane trapcry, wziął torbę i wysiadł.

Piesza wyprawa - w swoich planach przewidział taką ewentualność. W cią-

gu kilku minut zniknął między pokrytymi śniegiem świerkami, sosnami i mo-drzewiami, idąc równoległe do szosy, mniej więcej dwieście metrów od pobocza. Niecały kilometr dalej zobaczył dwa wysokie słupy po obu stronach drogi - dwa słupy, a na nich dwa potężne reflektory w baloniastym kloszu z matowego szkła. Budynek komory celnej - ciemnobrązowe drewno, ciemnozielone okiennice, lekka kratownica i spoczywający na niej duży, stromy dach - miał typową konstrukcję szkieletową. Przed budynkiem powiewała

trójkolorowa flaga francuska, niebieska, biała i czerwona, oraz charakterystyczna flaga szwajcarska z białym krzyżem na czerwonym tle. Ledwo widoczne w śniegu, wzdłuż białych linii na skraju szosy leżały wielkie, grubo ciosane głazy: przeszkoda fizyczna potęgująca wielkość i znaczenie przeszkody prawnej. Do tego jaskrawopomarańczowy szlaban i dwie budki straż-

nicze pojednej i drugiej stronie drogi. W szerokiej, wyasfaltowanej zatoczce za budynkiem komory celnej stała zepsuta furgonetka serwisu gastronomicznego i nawet z tej odległości widać było brzuch i nogi niskiego, przysadziste-go mechanika pochylającego się nad rozgrzebanym silnikiem. Wokół furgonetki walały się narzędzia i części. Od czasu do czasu słyhać było stłumione przekleństwo.

Po drugiej stronie budynku był przydrożny parking. Hał wyteżył wzrok i gdy słońce przesłoniła chmura, dostrzegł tam słaby rozbłysk światła: jeden ze strażników przypalał papierosa. Ambler zerknął na zegarek. Kilka minut po ósmej. Słońce wschodziło w styczniu późno, a w górach mrok utrzymywał się jeszcze dłużej.

Zobaczył dżipa, który parkował teraz na zaśnieżonym parkingu, trzepocząc brezentem na zimnym wietrze. Pewnie przywiózł tu francuskich straż-

ników na dzienną zmianę; szwajcarscy mieli niebawem nadjechać z przeciwnej strony. Stał za kępą młodych, niskich świerków. Większość sosen była „okrzesała” miała gęstą koronę i prawie nagi pień gałęzie świerków natomiast były rozłożyste już u podstawy i zapewniały dobrą osłonę. Wypatrzywszy lukę między drzewami, Hał przytknął do oczu małą lornetkę polową. Strażnik, który przed chwilą przypalił papierosa, zaciągnął się głęboko, leniwie przeciągnął i spokojnie rozejrzał. Nie, ten nie spodziewał się niczego niezwykłego; wiedział, że jak co dzień czeka go nudna służba na posterunku.

307

Przez okna budynku komory celnej widać było innych strażników, którzy pili kawę i, sądząc po ich minach, po prostu plotkowali. Z widocznym zadowoleniem siedział między nimi jakiś mężczyzna. Jaskrawoczerwona flanelowa koszula, gruszkowaty kształt ciała wskazujący na siedzący tryb życia: kierowca furgonetki.

Ruch był niewielki, praktycznie żaden. Bez względu na regulamin, trudno było zmusić kogoś, żeby w taki mróz stał na pustej drodze, na której tylko hulał wiatr. Nawet nie słysząc tego, co mówili, Hal widział, że między siedzącymi w budynku strażnikami panuje duch zadziornej wylewności.

Ale był tam również ktoś, kto siedział z dala od pozostałych, a to, jak się poruszał, wyraźnie wskazywało, że nie ma z nimi nic wspólnego. Hal skierował na niego lornetkę. Mężczyzna był w mundurze starszego oficera francuskich służb celnych i najwyraźniej przyjechał tu na inspekcję. To, że strażnicy zachowywali się przy nim tak swobodnie, można było przypisać jedynie obojętności, z jaką ten podchodził do ich uciążliwej i niewdzięcznej pracy.

Może paryscy biurokraci przysyłali ich tu na regularne kontrole? Ale kto z koiei miałby skontrolować kontrolującego?

Poprawiwszy ostrość, Hal zobaczył jego twarz i dopiero wtedy spostrzegł, jak bardzo się mylił.

Mężczyzna nie był żadnym inspektorem. Przed oczami mignęła Amblerowi seria obrazów: znał go, znał tę twarz. Po chwili niejasne wrażenie ustąpi-

ło miejsca pewności. Tak, znał jego nazwisko, chociaż samo nazwisko nie miało żadnego znaczenia, ponieważ mężczyzna posługiwał się kilkoma. Wychował się w Marsylii i już jako nastolatek usługiwał szefom tamtejszej ma-fii narkotykowej. Do południowej Afryki i Senegambii wyjechał już jako doświadczony zabójca - i najemnik. Teraz pracował na własną rękę wszę-

dzie tam, gdzie sytuacja wymagała wielkiej ostrożności, delikatności i śmiertelnej skuteczności. Był zawodowcem, ekspertem od broni palnej, noża i garoty, człowiekiem, który zabijał w taki sposób, że policja nie potrafiła przypisać tej zbrodni ani jemu, ani temu, kto ją zlecił. Takich jak on określano beznamiętnym mianem „specjalistów”. Gdy Hal widział go ostatni raz, marsylczyk miał jasne włosy, zapadnięte policzki, ostre, mocno wystające kości policzkowe i szparkowate usta. Teraz był szatynem i nieco się postarzał, lecz rysy twarzy miał wciąż takie same. Nagle spotkali się wzrokiem i Amblerowi mocniej zabiło serce. Zobaczył go? Nie, to niemożliwe. Kąt widzenia, oświetlenie, drzewa: był dobrze ukryty. Tamten wyglądał po prostu przez okno i spojrzał w jego kierunku przypadkowo.

To, że siedział w budynku komory celnej, powinno podnieść go na duchu.

Ale nie podniosło. Żaden specjalista nie działał sam. Jeśli on był tam, jego 308

kompani czuwali w okolicznych lasach. Chwilowe poczucie przewagi momentalnie wyparowało. Polowali na niego fachowcy, a fachowcy potrafili przewidzieć jego ruchy i skutecznie je zablokować. Ten z komory mógł być dowódcą, ale jego podwładni na pewno czyhali w pobliżu, żeby w razie potrzeby przybyć na każde wezwanie.

Plan zasadzki był naprawdę błyskotliwy: wykorzystywał zarówno elementy terenu naturalnego, jak i to, że zasadzkę zastawiono na państwowym przeje-

ściu granicznym. Profesjonalizm pełną gębą, Hal musiał to przyznać. Profesjonalizm, tylko czyj? Tych z Grupy Usług Strategicznych czy tych z Wydziału Operacji Konsularnych?

Na drogę wyszło dwóch szwajcarskich strażników, bo przed szlabanem, nie wyłączając silnika, stanęła mała, biała renówka. Jeden ze strażników nachylił się w stronę kierowcy i zadał mu kilka standardowych pytań. Potem porównał jego twarz z twarzą na zdjęciu w paszporcie. Zastosowanie dalszych procedur zależało od wzajemnego porozumienia. W pobliżu stał francuski strażnik, więc wymienili spojrzenia, jeszcze raz otaksowali kierowcę wzrokiem i wreszcie podjęli decyzję. Pomarańczowy szlaban powędrował

do góry i renówka pojechała dalej.

Wróciwszy do budki, strażnicy usiedli na plastikowych krzesłach, poprawili nauszники i grube kurtki.

- Ta baba w renówce była tak gruba, że od razu pomyślałem o twojej żonie - powiedział jeden po francusku; mówił tak głośno, że słyhać go było mimo wiatru.

Jego kolega z teatralnym oburzeniem wykrzywił twarz.

- O mojej żonie czy swojej matce?

Tego rodzaju żarty, jakkolwiek monotonne i niewyszukane, pomagały za-bić nudę długiego, nieciekawego dnia.

Po chwili z budynku komory celnej wyszedł zabójca z Marsylii. Wszedł

i rozejrzał się powoli.

Za jego wzrokiem, pomyślał Hal. Idź za jego wzrokiem!

Tamten patrzył na skalistą półkę jakieś sześćdziesiąt metrów wyżej. A więc tam. Tam zajął pozycją jeden z jego ludzi. Gdzieś w pobliżu musiał być i trzeci, obserwator, który w razie konieczności mógł wkroczyć do akcji.

Marsylczyk minął reflektory, przeszedł przez parking i zniknął za niskim, ceglany barakiem, gdzie zapewne przechowywano sprzęt i narzędzia. Czyż-

by się z kimś naradzał?

Nie było czasu na analizowanie dostępnych opcji: Ambler musiał działać.

Coraz jaśniejsze światło dnia sprzyjało przeciwnikom. „Zaszczyliśmy tak daleko tylko dzięki wierze”. Na szarą, skalną półkę mógł dotrzeć krętą, biegnącą na 309

ukos ścieżką. Im bliżej, tym mniejsze niebezpieczeństwo - tak często bywa.

Wycofał się, kilkaset metrów dalej ukrył torbę w kępie świerków i przysypał ją śniegiem. Potem wdrapał się na oczyszczoną przez wiatr wąską półkę, kilkoma długimi susami przeciął strome zbocze wzgórza, wreszcie chwycił się gałę-

zi karłowatego drzewa, żeby podciągnąć się i stanąć na wyższej półce, którą chciał wrócić do agenta czuwającego u stóp zbocza. Gałąź pękła z głośnym trzaskiem, runął w dół i gdyby nie zdążył szeroko rozłożyć rąk, ześliznąłby się prosto na skały. Spróbował wstać, ale głęboko żłobione podeszwy butów straciły całą przyczepność i nie mogły znaleźć żadnego oparcia w grubej warstwie świeżego, sypkiego śniegu. Wiedział, że wystarczy jeden zły ruch i znajdzie się piętnaście metrów niżej, piętnaście, a może i więcej. Przytrzymując się karłowatych drzew i wyężdżając mięśnie nóg, ruszył pod górę między zdradli-wymi zaspami. Nie, nie zastrzelą go tu jak zająca. Przypomniały mu się

ce prosto z serca słowa Laurel i od razu poczuł się lepiej. „Uważaj na siebie -

powiedziała na pożegnanie. - Zrób to dla mnie".

Norrisa dręczyły koszmary; w stresie sypiał chyba lepiej, a już na pewno spokojniej. Na godzinę przed lądowaniem w Zurychu obudził się, poszedł

do toalety, ochlapał twarz wodą i umył zęby. Wchodząc do jasnej, przestron-nej sali przylotów, bynajmniej nie robił wrażenia bardziej wymiętego i nie-chlujnego niż zwykle.

Co za ironia, ale dzięki pistoletowi szybciej dostał bagaż. Zgłosił jego posiadanie w specjalnym biurze Swiss Air, które zajmowało się takimi sprawa-mi, i nie pierwszy raz dane mu było podziwiać szwajcarską sprawność dzia-

łania: wystarczyło, że podpisał dwa papierki i natychmiast otrzymał broń wraz z torbą podróżną. W biurze czekali koledzy po fachu, kilku agentów Secret Service, których pamiętał mgliście z konferencji organizowanych przez FBI. Był wśród nich mężczyzna w ciemnoszarym garniturze w jodełkę, facet o rzucających się w oczy, farbowanych - co zupełnie nieprawdopodobne -

na pomarańczowo włosach. Mężczyzna odwrócił się i uśmiechnął, oczywi-

ście chłodno, żeby ukryć zaskoczenie. Nazywał się Stanley Grafton i był

członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Norris pamiętał go z różnych odpraw w Białym Domu. Grafton potrafił słuchać lepiej niż pozostali członkowie RBN, chociaż najpewniej miał dużo do powiedzenia.

- Caleb. - Wyciągnął do niego rękę. - Nie widziałem twego nazwiska na liście.

- Ja twego też nie - odparł bez zająknięcia Norris.

- W ostatniej chwili wlepili mi zastępstwo - wyjaśnił Grafton. - Ora Suleiman coś sobie złamała. -

i wzorem bohaterów pseudodokumentalnych seriali telewizyjnych miała sła-bość do wygłaszania patetycznych oświadczeń.

- Szkoda, że nie ma kości odpowiedzialnych za poczucie humoru. Może byłaby teraz dowcipniejsza.

Grafton uśmiechnął się wbrew sobie.

- Tak czy inaczej, przyjechałem na zastępstwo - powtórzył.

- Tak samo jak ja. Chryste, te wszystkie odwołania, te zastępstwa... Ale cóż począć? Jak zwykle będziemy wygłaszać puste, górnolotne komunały.

- Bo w tym jesteśmy najlepsi. - Grafton błysnął roześmianymi oczami. -

Chcesz, to cię podrzucę.

- Bo co? Dali ci limuzynę?

Lepiej prychnął pogardliwie Grafton. - Śmigłowiec, staruszk, śmi-głowiec. Jestem członkiem RBN, a członkowie RBN podróżują z klasą.

- Nie ma to jak szastać pieniędzmi podatników, co? - zażartował Norris.

- Prowadź, Stan. - Wziął dyplomatkę i ruszyli. To dziwne, ale z długolufo-wym pistoletem dyplomatka była o wiele lepiej wyważona.

- Muszę przyznać, że jak na kogoś, kto właśnie wysiadł z samolotu, wyglądasz świeżo jak stokrotka. A już na pewno nie gorzej niż zwykle.

- Jak mówi poeta, przed snem pokonasz niejedną milę. - Norris wzruszył

ramionami. - I wypełnisz obietnic tyle.

Wdrapawszy się na skalną półkę, skąd miał dobry widok na przejście graniczne, Hal poświęcił chwilą na dokładną obserwację terenu. „Specjalista”

z Marsylii stał na środku drogi, obserwując szosę i porastający pobocza las.

Strażnicy w budce wciąż byli znudzeni. Ich koledzy z komory celnej trochę mniej, bo kierowca furgonetki zabawiał ich jakimiś anegdotami.

Droga w dół była łatwiejsza niż pod górę. Po stromiźnie zsuwał się lub staczał, nieustannie kontrolując prędkość rękami i nogami i pozwalając, żeby resztą zajęła się grawitacja. Wreszcie

wrócił do kępy przysadzistych świerków.

Z odległości zaledwie kilku metrów doszedł go czyjś cichy głos.

Tu Beta Lambda Epsilon. Czy zlokalizowaliście obiekt? - Amerykanin.

Amerykanin z teksaskim akcentem. - Choierajasma, nie zwlokłem się z wyra tylko po to, żeby odmrozić sobie dupę!

Odpowiedzi Hal nie usłyszał; tamten musiał mieć słuchawkę w uchu i ja-kiś nadajnik, walkie-talkie albo coś w tym rodzaju. Głośno ziewnął i zaczął

chodzić w tę i we w tę, żeby się trochę rozgrzać.

Nagle... Krzyk od strony szlabanu. Hal wyrzwał i zobaczył stojący tam samochód. Kontrolowali go strażnicy, a przy samochodzie miotał się poirytowany 311

pasażer - kosztownie ubrany łysielec o różowej twarzy - któremu kazali wysiąść. „Biurokratyczny obłąd!” - wrzeszczał. Jeździł tędy codziennie i nigdy dotąd go nie przeszukiwano.

Strażnicy byli grzeczni, lecz nieugięci. Otrzymali niepokojące meldunki.

Od rana obowiązują specjalne środki bezpieczeństwa. Jeśli szanowny pan sobie życzy, proszę poskarżyć się władzom. Akurat mają tu dzisiaj starszego inspektora, może jemu?

Rumiany łysielec spojrział na marsylczyka, który przesywał go zimnym, pogardliwym spojrzeniem, ciężko westchnął, przestał protestować i stał się po prostu opryskliwy. Kilka minut później pomarańczowy szlaban powędrował do góry. Zawarczał silnik i luksusowy samochód odjechał. Było niemal widać, jak nad jego chłodnicą powiewa flaga urażonej godności.

Ale protesty biznesmena pochłonęły uwagę obserwatorów zarówno tych w lesie, jak i tych na poboczu drogi.

Hal nie mógł odwrócić szans, lecz mógł je przynajmniej zwiększyć. Po-czołgał się ścieżką w kierunku szosy i po chwili zobaczył tęgiego mężczyznę z kosztownym zegarkiem na rękę; zza chmury akurat wychynęło słońce i je-go promienie odbiły się od grubej złotej bransolety. Teksaszczyk we własnej osobie. Zegarek zupełnie do niego nie pasował i oznaczał jedno: facet był

uprzywilejowanym agentem z dostępem do niekontrolowanego konta ban-kowego, kimś, kto już od dawna nie pracował w terenie, i kogo zwerbowano w ostatniej chwili tylko dlatego, że blisko mieszkał. Hal wyszedł zza zasy, skoczył w jego stronę, prawą ręką otoczył mu szyję, splótł dłonie na jego lewym ramieniu i ucisnął mu tętnicę szyjną- biegła tuż pod szczęką, między bicipsem i przedramieniem. Mężczyzna zakaszał i zwiotczał. Hal szybko go obszukał.

Nadajnik był w kieszeni czarnej skórzanej kurtki podszytej co prawda fu-trem, ale zupełnie

nieprzydatnej podczas długiego czuwania na alpejskim mrozie - nieprzydatnej, za to jak najbardziej pasującej do złotego zegarka marki Audemars Piguet. Nadajnik z kolei dostał niedawno, najpewniej z rana, gdy tu przyjechał. Mały, w twardej plastikowej obudowie, miał stosunkowo niewielki zasięg, za to potężny sygnał. Hal wetknął do uszu małe słuchawki, wziął głęboki oddech, wcisnął przycisk z napisem NADAWANIE i po teksasku przeciągając samogłoski, powiedział:

- Tu Beta Lambda Epsilon...

Natychmiast przerwał mu chrapliwy głos z silnym akcentem z prowincji Savoyard.

- Miałeś nie gadać! Narazasz na szwank całą operację. Ten facet to nie amator. Jedynym amatorem jesteś ty!

312

Marsylczyk? Nie. Głos musiał należeć do kogoś innego, do czwartego obserwatora.

Do kurwy nędzy, zamknij się i posłuchaj! - warknął gniewnie Ambler.

Jak każdy komunikator elektroniczny, nadajnik spłaszczył głos, niwelując różnice między jednym głosem i drugim. - Widziałem sukinsyna. Po drugiej stronie szosy. Przebiegł przez parking jak lis. Ten skurwiel się z nami drażni.

Długa cisza. I wreszcie spięty, ostrożny głos:

- Gdzie teraz jest?

Hal zeszywniał. No i co? Co miał powiedzieć? Zupełnie o tym nie pomyślał i przez chwilę miał w głowie kompletną pustkę.

- Wczołgał się do dżipa - wypalił. - Pod brezent.

- I ciągle tam siedzi?

- Gdyby wylazł, na pewno bym go zauważył.

- Przyjąłem. Chwila ciszy. - Dobra robota.

Gdyby nie zdrętwiało z zimna policzki, Hal pewnie by się uśmiechnął.

Tamci uprawiali ten sam fach co on i na pewno pomyśleli o wszystkich moż-

liwych ewentualnościach. Przechytrzyć ich mógł tylko, nie myśląc, impro-wizując, ulegając ślepemu instynktowi. „Żaden plan nigdy nie wypala do końca. Trzeba go skorygować, trzeba improwizować”.

Stojący przy budce marsylczyk ruszył w stronę parkingu. W ręku trzymał

mały, ciężki pistolet maszynowy z tłumikiem. Na drodze i w pobliskich ja-rach hulał wiatr i jego gwałtowny podmuch uderzył Hala w plecy.

Co teraz? Marsylczyk był czujny i spięty. Trzymał palec na spuście i gotów był go w każdej chwili pociągnąć. Ambler musiał to wykorzystać, musiał

wyzwolić w nim proces swoistej nadreakcji. Poszukał wzrokiem jakiegoś kamienia, czegokolwiek, co mógłby rzucić na drugą stronę drogi. Ale wszystko przymarzło do ziemi, kamyki, kamienie, odłamki skał, dosłownie wszystko.

Wziął pistolet Tekskańczyka, wyjął z komory ciężki nabój i cisnął nim przed siebie. Kolejny podmuch wiatru poniósł go hen, wysoko i daleko, i gdy wiatr ucichł, nabój wylądował na brezentowym dachu dżipa. Odgłos upadku był

rozczarowująco cichy - ot, zwykłe pacnięcie - mimo to marsylczyk zareagował błyskawicznie i przesadnie. Bez ostrzeżenia przyklęknął i podtrzymując pistolet lewą ręką, zaczął strzelać w samochód, dziurawić brezent seriami pocisków o dużej prędkości wylotowej.

Był to prawdziwy wybuch ślepej furii - Ambler obserwował go przez lornetkę. Ale gdzieś w pobliżu musiał czyhać drugi. Ten z akcentem z prowincji Savoyard? Nigdzie nie było go widać. Mechanik nawet nie przerwał pracy.

Ukryty przed wiatrem pod maską furgonetki dalej grzebał w silniku, wiedząc, że im dłużej pogrzebie, tym więcej zarobi. Znudzeni strażnicy, i francuscy, 313

i szwajcarscy, wciąż siedzieli w budce, pijąc kawę i obrzucając się żartobli-wymi obelgami niczym znużeni grą w warcaby starcy.

Ambler z trudem przełknął ślinę. Musiał wyczuć moment, wszystko od tego zależało. Świadomy, że ma zaledwie kilka sekund, żeby niezauważenie przebiec na drugą stronę szosy, pod wpływem nagłego impulsu postanowił

to zrobić. Marsylczyk był bezwzględny, bezlitosny i nieustępliwy: gdyby jego ofiara wymknęła się z pułapki, ścigałby ją jak wściekły pies. Duma posiada-cza: Hal dopiero teraz rozumiał, że to właśnie on zastawił tę pułapkę.

Zamierzał odwdzińczyć mu się pięknym za nadobne.

Wbiegł za niski, ceglany barak na narzędzia i ostrożnie wszedł na parking.

Poszatkowawszy kulami brezentowy dach dżipa, marsylczyk zdążył już sprawdzić, że nikogo tam nie ma. Właśnie odchodził od samochodu, właśnie odwracał głowę w jego stronę. Hal miał go na muszce czterdziestki i półki Tekskańczyka, lecz wiedząc, że huk wystrzału ściągnie tu strażników,

zawahał się i... nie, nie pociągnął za spust. Doszedł do wniosku, że lepiej będzie go tylko postraszyć.

Ani kroku - rzucił.

- Jak chcesz - odparł tamten znośnie po angielsku.

Zastrzel go, podszeptował Halowi instynkt. Zastrzel!

- Teraz ty tu dowodzisz - dodał uspokajająco marsylczyk.

Ambler wiedział, że Francuz kłamie, wyczułby to, nawet gdyby wypowiadając te słowa, nie uniósł broni.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - Czyjs dudniący głos. Na parking wyszedł

jeden ze szwajcarskich strażników; pewnie usłyszał odgłos kul przeszywających dżipa. Marsylczyk odwrócił się, jakby nagle coś go zaciekawiło.

- Co tu się dzieje? - powtórzył Szwajcar po francusku.

Pośrodku jego czoła wykwitła nagle mała czerwona plamka i bezwładnie zwałił się na ziemię.

Ułamek sekundy później - ułamek sekundy za późno - Ambler pociągnął

za spust i...

Pistolet nie wypalił. W tym samym momencie przypomniał mu się nabój, którym rzucił na drugą stronę szosy i zdał sobie sprawę, że wyjął go bezpo-

średnio z komory zamka. Tymczasem marsylczyk zdążył się już odwrócić i dokładnie na wysokości twarzy Ambler ujrzał otwór wylotowy długiej, za-opatrzonej w tłumik lufy. Z tej odległości trafiłby nawet nowicjusz, a marsylczyk na pewno nim nie był.

314

Rozdział 30

dyby włókna nerwowe umiały krzyczeć, Hal usłyszałby teraz ich przeraźliwy wrzask. I wcale nie krzyczałyby z przerażenia czy po to, żeby G

go ostrzec. Nie, zrobiłyby mu karczemną awanturę, bo gdyby tylko posłuchał ich rad, szwajcarski celnik by żył, a on nie spoglądałby śmierci w oczy.

Zacisnął powieki. Rozwierając je, zmusił się do patrzenia, widzenia i mó-

wienia. Tak, będzie widział i mówił. Jego bronią będzie język ciała, głos, spojrzenie i mimika twarzy. To były przełomowe sekundy.

- Ile ci płacą? spytał.

- Jak dla mnie wystarczy - odparł beznamiętnie marsylczyk.

- Robisz błąd. Oszukali cię.

Hal upuścił pistolet - zrobił to bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, że to robi. Zabawne, ale od razu poczuł się dużo bezpieczniej. Człowiek bezbronny nie stanowi zbyt wielkiego zagrożenia i zabójca nie musi się spieszyć.

„Czasem bywa tak, że najlepszy użytek z broni robi się, oddając ją przeciwnikowi”.

- Przestań gadać - rzucił Francuz.

Hal wyczuł, że przynęta jednak chwyciła, że zabójca jest człowiekiem próżnym i chciwym. Kupił sobie kilka sekund życia.

- Oszukali cię powtórzył - bo kiedy zabijesz mnie, oni zabiją ciebie. Ta operacja to klasyczny SR
Znasz ten skrót?

Marsylczyk podszedł krok bliżej. W jego nieruchomych, gadzich oczach było tyle ciepła, ile w oczach kobry patrzącej na szczura.

Samoczyszczący się piecyk -- wyjaśnił Ambler. - Operacja zaplanowana w taki sposób, żeby wszyscy jej uczestnicy wzajemnie się wymordowali. Środek zapobiegawczy, coś w rodzaju samokasującego się pliku komputerowego.

Marsylczyk patrzył na niego z nikłym zainteresowaniem.

Hal roześmiał się krótko i szczekliwie.

- Jesteś idealnym kandydatem do ich celów. Dość przebiegły, żeby zabić, i za głupi, żeby przeżyć.
Kandydat marzenie.

- Nudzisz mnie tymi kłamstwami - odparł Francuz, lecz widać było, że bezczelność ofiary robi na nim wrażenie. Postanowił go wysłuchać.

- Wierz mi, pomagałem zaplanować wiele takich operacji. Pamiętam, wyśleliśmy kiedyś specjalistę takiego jak ty na Malaje. Miał zlikwidować pewnego mułę, faceta, który prał brudny szmal dla dżihadu. Sęk w tym, że cieszył się również dużym poważaniem wśród miejscowych, więc nie mogliśmy

zostawić żadnego śladu. Dlatego wysłaliśmy tam drugiego eksperta, specja od minerki, i ten nafaszerował semteksem cesseną, którą latał ten od mułły.

Potem ten od mułły dostał rozkaz zlikwidowania tego od minerki, co też zrobił, żeby kilka minut później wsiąść do cesseny. Trzy minus trzy równa się zero. Matematyka jest logiczna i piękna w swej prostocie, zawsze i wszę-

dzie, tutaj i teraz też. Z tym że znak odejmowania zobaczysz, kiedy będzie już za późno.

- Powiedziałbyś teraz wszystko. - Marsylczyk chciał go sprawdzić. - Ludzie w twojej sytuacji mówią byle mówić.

- Ludzie, którym śmierć zagłada w oczy? - Hal posłał mu pogardliwe spojrzenie. - To pasuje do nas obu, przyjacielu. I mogę to udowodnić.

Przez twarz zabójcy przemknął wyraz konsternacji i zainteresowania.

- Jak?

- Po pierwsze, mogę pokazać ci transkrypcję nagrania A23-44D. Mam ją w wewnętrznej kieszeni kurtki...

- Nie ruszaj się. - Oczy Francuza zwięziły się do szparek, cienkie usta wykrzywił szydery uśmiech. - Masz mnie chyba za amatora.

Ambler wzruszył ramionami i podniósł ręce do góry.

- To sam ją wyjmij - odparł obojętnie. - Jest w górnej kieszeni, wystarczy rozpiąć zatrzask. Ręce będę trzymał na widoku. Nie musisz wierzyć mi na słowo, ale jeśli chcesz wyjść z tego cało i dalej wieść to parszywe życie, będziesz potrzebował mojej pomocy.

- Bardzo wątpię.

- Wiesz co? Gównu mnie obchodzi, czy zdechniesz, czy przeżyjesz. Chodzi tylko o to, że nie mogę uratować tyłka, nie ratując przy okazji twojego.

- Bzdura.

- Świetnie. Jeden z naszych prezydentów mawiał: „Ufaj, lecz zawsze sprawdzaj”. Spróbujmy to sparafrazować: „Nie ufaj, lecz zawsze sprawdzaj”.

A może boisz się prawdy?

- Ruszysz się i rozpieprzę ci łeb - warknął tamten. Z ponurą miną podszedł jeszcze bliżej i trzymając pistolet w prawej ręce, ostrożnie wyciągnął

lewą. Metalowy uchwyt zamka błyskawicznego był ukryty pod kołnierzem kurtki, między dwiema

warstwami materiału zabezpieczającymi suwak, i dał

się stamtąd wyłuskać dopiero za trzecią próbą. Marsylczyk wsunął rękę, szukając kieszeni. Stał bardzo blisko. Pokrywająca mu głowę skóra wyglądała jak powłoka z twardej gumy. Miał cuchnący, lekko kwaśny oddech i nieruchome oczy, zimniejsze niż mróz w górach.

Teraz wszystko zależało od wyczucia i zgrania w czasie. Ambler zmusił się do zachowania absolutnego spokoju i po prostu czekał. Ruch zbyt wczesny 316

lub zbyt późny byłby ruchem fatalnym i zarazem ostatnim. Myśląc racjonalnie, niczego by nie wymyślił. Nie, musiał całkowicie oczyścić umysł, musiał

pozbawić go obciążeń świadomości. Świat przestał istnieć. Góry, powietrze, ziemia pod stopami i niebo nad głową zniknęły. Rzeczywistość składała się teraz z dwóch par oczu i dwóch par rąk. I ze wszystkiego, co się poruszało.

Marsylczyk stwierdził, że wewnętrzna kieszeń kurtki też jest zapięta na poziomy zamek, lecz lewą ręką rozpiąć go nie potrafił; była za mało sprawna i gdy ciągnął za metalowy uchwyt, taśma zabezpieczająca utykała między ząbkami suwaka. Podczas gdy on szarpał się z zamkiem, Hal - niczym ktoś znudzony i wyczerpany przeżyciami - lekko ugiął nogi w kolanach.

Zaraz potem, z powolną rezygnacją człowieka cierpiącego na silną migrenę, zamknął oczy. Marsylczyk miał teraz do czynienia z kimś, kto dobrowolnie rzucił broń i przestał go obserwować. „Czasem bywa tak, że najlepszy użytek z broni robi się, oddając ją przeciwnikowi”. Był to gest podświadomej uległości, uległości całkowitej i poddańczej, taki sam, jaki w świecie zwierząt wykonują na przykład psy, odsłaniając gardło na widok silniejszego i bardziej agresywnego pobratymca.

Wyczuć moment, to najważniejsze.

Sfrustrowany marsylczyk wyjął rękę. Hal jeszcze bardziej ugiął nogi w kolanach. Moment, musiał wyczuć moment. Wiedział, że Francuz nie ma wyboru, że musi przełożyć broń z prawej ręki do lewej, co potrwa nie dłużej jak sekundę. Nawet z zamkniętymi oczami poczuł i usłyszał, jak tamten to robi. Czas zwolnił bieg, upływały milisekundy. Palec wskazujący marsylczyka był teraz oparty o kabłąk, o stalową osłonę spustu - Hal spuścił głowę jak zawstydzone dziecko. Przestał myśleć, całkowicie ulegając instynktowi i...

Teraz! Teraz! Teraz!

Gwałtownie rozprostowując nogi i podnosząc głowę, skoczył do przodu, do przodu i do góry. Trafił czołem w szczękę i poczuł - i usłyszał - jak tamtemu trzeszczą zęby, jak wibruje mu czaszka. Chwilę później głowa marsylczyka odskoczyła do tyłu, ręce wystrzeliły w bok i jego pistolet zadudnił na ziemi.

Teraz! Teraz! Teraz!

Uderzył głową krótkim łukiem, z góry w dół, i potężnym ciosem roztrzaskał mu nos.

Wyraz stężalego zaskoczenia zniknął, twarz sflaczała i nieprzytomny Francuz runął na ziemię. Ambler podniósł jego pistolet, wbiegł chyłkiem do lasu za ceglany barak i przez tłumiący kroki śnieg ruszył wzdłuż drogi przed siebie. Technicznie rzecz biorąc, właśnie przekroczył granicę między Francją i Szwajcarią. Stos części przy zepsutej furgonetce urósł jeszcze bardziej, lecz brzuchaty mechanik nie pochylał się już nad silnikiem. Był nieco dalej: 317

przytrzymując palcem wetkniętą do ucha słuchawkę i wypinając brzuchem brudny od smaru kombinezon, spokojnym krokiem szedł w jego stronę.

Miał obwisły podbródek i był nieogolony, a na jego twarzy gościł wyraz znudzenia i urazy, tak częsty między francuskimi *hommes a toutfaire*. Szedł

i nieznośnie fałszując, pogwizdywał melodią Serge'a Gainsbourga. W pewnej chwili podniósł wzrok i jakby dopiero teraz zobaczył nadchodzącego Amblera, z drwiącym uśmiechem skinął mu głową.

Hala zalała fala przerażenia. W sytuacjach ekstremalnych często działał, zanim świadomie o działaniu pomyślał: tak było i teraz. Wyszarpnął z kieszeni pistolet, wymierzył i... stwierdził, że patrzy prosto w otwór lufy pistoletu wymierzonego prosto w niego, który jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się w pulchnym ręku mijającego go mechanika.

- *Salut*. - Z niemiecka brzmiące samogłoski francuskiego z prowincji Savoyard.

- *Salut* odparł Ambler i - Teraz! Teraz! Teraz! - runął na ziemię, pocią-

gając za spust nie raz, ale trzy razy pod rząd. Cichy trzask wystrzałów i absurdalnie silny odrzut - poczuł i usłyszał tylko tyle, gdyż w tym samym momencie długa lufa pistoletu mechanika plunęła ogniem w miejsce, gdzie ułamek sekundy przedtem była jego głowa.

Wylądował na śniegu ciężko, lecz z wdziękiem dużo większym niż mechanik. Z piersi Francuza buchała krew i w zimnym powietrzu unosiła się struż-

ka pary. Mężczyzna spazmatycznie zakaszał i znieruchomiał.

Do paska miał przypięty pęk kluczy. Ambler zdjął z kółka kluczyki samochodowe, ruszył w stronę parkującej trzydzieści metrów dalej furgonetki z dwujęzycznym napisem na drzwiach - GARAGISTF.-AUTOMECHANIKER - i kilkadziesiąt sekund później, przystanąwszy na chwilę, żeby wykopać z zasy ukryty tam plecak, wjechał na szosę prowadzącą do miasteczka St. Martin.

Granica - i Francja - zniknęły mu wkrótce z oczu.

Szybko stwierdził, że furgonetka ma potężny silnik; oryginalny musiano zmodyfikować lub zastąpić silnikiem o dużo większej mocy. Domyślał się, że firma, w której pracował mechanik, istnieje tylko

na papierze; samochód był na pewno oficjalnie zarejestrowany i dzięki widniejącemu na drzwiach napisowi mógł pojawić się wszędzie bez wzbudzania podejrzeń: tam, gdzie były samochody, były i awarie. Samochody takie często przekraczały do-zwoloną prędkość, lecz policja rzadko kiedy je zatrzymywała. Oczywiście, nie należały do pojazdów uprzywilejowanych, jak na przykład karetka pogotowia, ale często wysyłano je na miejsce wypadku. Nie ma to jak odpowiednio dobrana przykrywka.

318

Wiedział, że w samochodzie będzie bezpieczny, przynajmniej przez kilka godzin. Głębokie cienie i zalane słońcem góry krajobraz i czas zlały się w jedno. Skręcając to w lewo, to w prawo, wyprzedzał małe natrętne samochody i wielkie ciężarówki, pod którymi trzęsła się ziemia. Wszystkie spiskowały przeciwko niemu, wszystkie chciały go zatrzymać - świadomość rejestrowała tylko to, nic więcej. Wyposażona w zimowe opony i napędzana na cztery koła furgonetka bez trudu pokonywała najbardziej strome wzniesienia. Bez względu na to, jak często i szybko je zmieniał, biegi wchodziły bez zgrzytu, a maksymalnie obciążony silnik ani razu nie zarzęził.

Były takie chwile, gdy dostrzegał zapierające dech w piersi piękno krajobrazu: strzeliste sosny, które zima zmieniała w usypane ze śniegu warowne zamki, górskie szczyty wyrastające na horyzoncie niczym maszty odległych żaglowców, zasilane górskimi potokami przydrożne strumienie, które na przekór silnemu mrozowi płynęły wciąż dalej i dalej. Lecz jego umysł pochłania-

ło jedno: ruch, prędkość. Uznał, że może tak jechać przez dwie godziny i przez ten czas musiał pokonać jak największą odległość. Tak, na końcu trasy czyhały liczne niebezpieczeństwa - jednym będzie musiał stawić czoło, inne obejść - lecz była tam również nadzieja.

Nadzieja i Laurel. Bo Laurel już na niego czekała. Serce wezbrało mu uczuciem i bólem. Jego Ariadna. Boże, jak bardzo ją kochał. Laurel, kobieta, która najpierw uratowała mu życie, a potem zbawiła duszę. Nie, piękno krajobrazu nie miało żadnego znaczenia. Krajobraz był tylko przeszkodą. Oddzielał go od niej i mierzył.

Spojrzał na zegarek; robił to obsesyjnie od przekroczenia szwajcarskiej granicy. Czas uciekał. Kolejne wzniesienie, kolejny zjazd. Pedał gazu miał wciś-

nięty do deski, hamulca używał tylko w ostateczności. Był tak blisko i tak daleko zarazem. Pokonał tyle przeszkód. I tyle ich miał jeszcze do pokonania.

Rozdział 31

Davos

iewiele jest miejsc, które byłyby tak wielkie w ludzkiej wyobraźni i tak małe w skali fizycznej: ot, szereg domów i gmachów skupionych wzdłuż N

długiej na dwa kilometry ulicy. Miasta pilnowali strażnicy, strzeliste świerki w zimowych czapach. Geografowie powiedzieliby zapewne, że jest to najwyżej 319

położona miejscowość wypoczynkowa w Europie, lecz nie chodziło tylko o samą wysokość. Przez kilka dni w roku Davos było światowym ośrodkiem potęgi finansowej i politycznej, gospodarzem Światowego Forum Ekonomicznego, wielkiego zjazdu elity elit, który odbywał się tu w ostatnim tygodniu stycznia, kiedy to na tle posępnego o tej porze roku krajobrazu odwiedzający miasto goście mogli lśnić jeszcze jaskrawszym blaskiem. Choć forum było poświęcone wolnemu przepływowi kapitału i pracy, Davos przypominało pilnie strzeżoną warownię. Wokół rozległego kompleksu półokrą-

głych gmachów Centrum Kongresowego, otoczonego wysokim na trzy metry stalowym ogrodzeniem, stały setki szwajcarskich policjantów.

Hal zaparkował za starym, ponurym kościołem z wieżycą przypominającą kapelusz czarownicy. Wysiadł i wąską uliczką o nazwie Reginaweg ruszył w kierunku przecinającej miasto promenady. Chodniki były czystutkie; nieustannie je zamiatano, gdyż nawet wtedy, gdy niebo było pogodne, wiatr nosił

śnieg z gór. Promenada wyglądała jak długi pasaż handlowy: sklep przy sklepie, tu i ówdzie hotel lub restauracja. Sklepy, choć firmowe - Bally, Chopard, Rolex, Paul & Shar, Prada też nie były ani ciekawe, ani urokliwe. Hal minął

Bette und Besser, sklep z artykułami lnianymi, a zaraz potem wysoki, nowoczesny budynek z trzema flagami. Konsulat? Nie. Była to filia UBS, szwajcar-skiego banku inwestycyjnego: jedna z powiewających przed gmachem flag była flagą państwową, druga bankową, a trzecia flagą kantonu. Ambler nie miał wątpliwości, której z nich firma jest najwierniejsza. Jedyne architektura i zewnętrzny wystrój niektórych hoteli - Posthotelu z pocztowym rogiem nad gigantycznym szyldem czy Morosani Schweizerhof z zielono-czarnymi alpej-skimi butami nad markizą - odzwierciedlał miejscowy charakter.

Davos mogło leżeć na końcu świata, lecz nie ulegało wątpliwości, że świat ten jest tu obecny - poznać to można było choćby po gęstej chmurze meta-licznych spalin. Wyposażone w zimowe opony samochody na długich świat-

łach - minęły go granatowa honda, srebrzysty mercedes, terenowy opel i mi-nivan Forda - pędziły ulicami z absurdalnie dużą prędkością. Frontony sklepów przypominały hollywoodzki plan filmowy, zabudowania westerno-wego Dodge City, a miasto jako takie było niezwykle wąskie, o czym nieustannie przypominały otaczające je i zawsze widoczne górskie zbocza, za-marznięta katarakta drzew staczających się z niewidocznych szczytów. Same zaś góry - zwaliste, pofałdowane, nisko pochylone, grzęznące w niezrozumiałej płątanie grzbietów, łuków i spiral - sprawiały, że wszystko inne robiło wrażenie czegoś nieprawdziwego, nieautentycznego i nietrwałego.

Najstarszą budowlą był tu mało elegancki kamienny gmach z napisem KAN-TONPOLIZEI, siedziba kantońskiej policji. Jednak pracujący tam policjanci też 320

byli jedynie gośćmi pilnującymi czegoś, czego upilnować się nie da: nieustępliwych, pokrytych śniegiem gór i nieugiętej ludzkiej duszy.

A jego dusza? Był wyczerpany, wewnętrznie dobity potokiem informacji, które mogły coś znaczyć lub nie znaczyły nic. Nastrój miał ponury, jak ponury był ten dzień. Czuł się nieważny, bezsilny i wyobcowany. Jak „człowiek, którego nie było”. Bo nie było go nawet dla samego siebie. W głowie coraz częściej słyszał sardoniczne głosy, które łajały go i wypytywały. Był w gó-

rach, dotarł tak wysoko, mimo to czuł się jak na bezbrzeżnym morzu.

Ziemia zachwiała się i zakołysała, łagodnie, lecz wyczuwalnie. Co się z nim działo? Niedotlenienie, choroba wysokościowa: ci, którzy nie przywykli do mniejszej ilości tlenu we krwi, mogli odczuwać jej skutki. Wciągnął do płuc haust rozrzedzonego powietrza i spróbował zorientować się w terenie. Lecz gdy spojrzął na przypominające mur górskie zbocza, które zdawały się strzelać w niebo zaledwie kilka metrów dalej, zalała go fala klaustrofobicznego lęku i znowu znalazł się w wyłożonej gumą separacie na wyspie Parrish, znowu usłyszał ludzkie głosy, prześladowający go żargon: „rozpad osobowo-

ści, zaburzenia tożsamości, paranoja, dystonia aberaktywna”. To był obłęd -

lecz obłęd ich, nie jego i zamierzał go pokonać, gdyż przyjechał tu w poszukiwaniu własnego „ja”.

Chyba że obłędem była cała jego odyseja.

Otaczały go cienie, które tak bardzo chciał rozproszyć i odpędzić.

Dudniący, triumfalny głos tęgiego przemysłowca: „Jest pan człowiekiem, którego nie ma. Który oficjalnie nie istnieje!”

Nieufny głos genialnego ślepego Ozyrysa: „Sięgnijmy po brzytwę Ockhama. Jakie jest najprostsze wytłumaczenie? Łatwiej jest zmienić czyjś umysł

niż cały świat... To programy behawioralne z lat pięćdziesiątych... Nazwy programów się zmieniły, ale badań nie przerwano”.

Psychiatra w prostokątnych okularach w czarnej oprawie, jego długi loczek, mazaki i słowa, które paliły jak chirurgiczny kauter: „Pytanie, które panu stawiam, musi pan postawić sobie sam: Kim jestem?”

Ambler skręcił chwiejnie w alejkę za wielkim pojemnikiem na śmieci i oparł

się z jękiem o ścianę, żeby odpędzić te jazgotliwe, nakładające się na siebie głosy, cały ten piekielny

zgiełk. Nie mógł zawieść. I nie zawiedzie. Wziął

głęboki oddech, potem jeszcze jeden i mocno zamknął oczy, wmawiając sobie, że są wilgotne od mroźnego wiatru. Chciał pobyc przez chwilę w ciemności, wziąć się w garść. Tylko że zamiast ciemności ujrzał ekran komputerowego monitora - nie, kilkanaście ekranów z zamazanym obrazem, na których wyraźnie widać było jedynie kilka pulsujących pośrodku słów: Harrison Ambler - nie znaleziono.

321

Zgiął się w pół i zwymiotował, potem jeszcze raz i jeszcze raz, mocno, coraz mocniej. Stał nisko pochylony, niemal przysiadł z rękami na kolanach i nieświadomy chłodu, nieświadomy absolutnie niczego, dyszał jak pies w upał. I kolejny głos, kolejna twarz, która niczym słońce rozproszyła najgłębszy mrok i rozpacz. „Wierzę w ciebie - mówiła Laurel, przyciągając go bliżej. - Wierzę. Uwierz w siebie i ty”.

Chwilę później zrobiło mu się lepiej. Stał prosto i poczuł, że znowu jest silny i zdeterminowany. Wypłynął z mrocznych otchłani psyche, wynurzył

się na powierzchnię. Uciekł od prześladowającego go koszmaru.

Teraz musiał stawić czoło innemu koszmarowi i wiedział, że jeśli zawiedzie, koszmar ten pochłonie cały świat.

Zerknąwszy na zegarek i upewniwszy się, że zdążył, ruszył w kierunku największego hotelu w Davos, Steigenberger Hotel Belvedere, dokładnie naprzeciwko głównego wejścia do Congresszentrum. W tym gigantycznym gmachu, zbudowanym w 1875 roku, mieściło się kiedyś sanatorium. Miał

różową fasadę i wąskie łukowate okna, które przypominały otwory strzelnicze feudalnych zamków warownych. Ale w tygodniu, w którym odbywało się doroczne forum, jedyną bitwą, jaka się tu toczyła, była bitwa między sponsorami: nad głównym wejściem do hotelu KPMG wywiesiło swoją wielką niebiesko-białą flagę, która rywalizowała o uwagę gości z szyldem usług transportowych, ozdobionym zachodzącymi na siebie kółkami logo Audi.

Hal szedł w stronę drzwi z coraz mocniej bijącym sercem. Na kolistym podjeździe tuż obok luksusowych limuzyn stało kilka pojazdów wojskowych i policyjna terenówka z prostokątnym „kogutem” na dachu i jaskrawoczerwonym pasem na drzwiach, na którym widniał biały napis: MIUTAR POLIZF.I.

Na chodniku po drugiej stronie ulicy stała trzymetrowej wysokości bariera ze spiczasto zakończonych stalowych rur. Między rury wpleciono podłużną wstęgę z surowym ostrzeżeniem w trzech językach: SPERRZONE, ZONE INTER-DICTF, ZONA SBARRATA.

Z wiadomości na poczcie głosowej wiedział, że Castonowi udało się załatwić wejście oficjalnie: jako starszy pracownik CIA, pociągnął za odpowiednie sznurki i wpisano go na listę gości. Amblera

nikt by na listę nie wpisał, a Caston niczego jak dotąd nie wywęszył. Cóż, zadanie wymagało spostrze-gawczości, a nie wyrachowanego rozumowania.

Możliwe też, że wymagało cudu.

W hotelowym przedsiönku leżała wielka mata, na której wchodzący go-

ście strzepywali śnieg z butów, a za podwójnymi drzwiami szal ustępował

miejsca eleganckiej wykładzinie w delikatny, kwiecisty wzorek. Krótki ko-322

rytarz prowadził do kilku połączonych ze sobą salonów oraz jadalni oddzie-lonej od pozostałych pomieszczeń grubymi czerwonymi sznurami rozwie-szonymi na zwieńczonych mosiężnymi ananasami słupkach. Ambler wrócił

do recepcji i usiadł w fotelu z pikowanej skóry, skąd mógł dyskretnie obserwować wszystkich wchodzących do hotelu ludzi. Fotel stał pod ścianą wyło-

żoną jedwabiem w czarne i ciemnoczerwone pasy i ozdobioną na górze gip-< sowymi łukami. Hal zerknął w lustro po drugiej stronie foyer i z zadowoleniem stwierdził, że w kosztownym, ciemnoszarym garniturze wygląda tak, jak wyglądać powinien. Mógł z powodzeniem uchodzić za biznesmena, który, choć nie tak znakomity jak uczestnicy forum, zapłacił bardzo duże pienią-

dze, żeby się tu dostać. W elitarnym królestwie Światowego Forum Ekonomicznego na gościa płacącego za wstęp patrzono tak, jak uczniowie eksklu-zywnej prywatnej szkoły patrzą na biedaka, który dostał się tam tylko dzięki stypendium. Ludzie ci, szefowie firm czy burmistrzowie średniej wielkości miast, byli u siebie panami wszechświata, a przynajmniej za takich się uwa-

żali. W Davos byli zaledwie pachołkami.

Hal zamówił filiżankę czarnej kawy u zabieganej, lecz miłej kelnerki i zaczął

niespiesznie przeglądać leżące na stoliku czasopisma. „Financial Times”,

„Wall Street Journal”, „Forbes”, „Far East Economic Review”, „Newsweek International”, „The Economist” - był ich tam cały stos. Wziął „Economi-sta” i ścisnęło go w żołądku. Na okładce widniało zdjęcie uśmiechniętego Liu Anga, a pod zdjęciem napis: REPUBLIKA LUDOWA DLA LUDU.

Szybko przeczytał początek i zatrzymał wzrok na tytułach podrozdziałów.

POWRÓT ZÓLWIA MORSKIEGO. AMERYKAŃSKIE WPŁYWY? Co jakiś czas zerkał na wchodzących i wychodzących gości i wkrótce wypatrzył obiecującego kandydata, czterdziestokilkuletniego Anglika o siwiejących włosach, sądząc po szerokim kołnierzu i żółtym krawacie w delikatny wzorek, pewnie bankiera. Właśnie wszedł do hotelu i robił wrażenie lekko

poiryto-wanego, jakby zostawił w pokoju coś, czego bardzo potrzebował. Policzki miał zaróżowione od mrozu, a na jego czarnym kaszmirowym kapeluszu bielily się płatki śniegu.

Ambler położył na stoliku kilka franków, szybko wstał, dogonił idącego do windy Anglika i wsiadł, tuż zanim zamknęły się drzwi. Bankier wcisnął

trzecie piętro. Hal wcisnął to samo, jakby nie zauważył, że już się świeci.

Zerknął na identyfikator Anglika: Martin Hibbard. Chwilę później wysiadł, skręcił za nim w korytarz, sprawdził, przed którymi drzwiami tamten przystanął, i nie zwalniając kroku, zniknął za rogiem. Tam zaczekał. Drzwi otworzyły się, trzydzieści sekund później zamknęły i Anglik ruszył do windy ze skórzaną aktówką w rękę. Zważywszy na porę dnia, można było bezpiecznie 323

założyć, że umówił się z kimś na lunch, że w aktówce ma jakieś dokumenty, że prawdopodobnie zaraz po lunchu pójdzie do Centrum Kongresowego na sesję o wpół do trzeciej i wróci do hotelu nie wcześniej niż za kilka godzin.

Ambler zszedł do foyer i przyjrzał się recepcjonistom za mahoniowo-marmurową ladą. Uznał, że największe szanse ma u młodej, może dwudziesto-letniej, trochę za mocno umalowanej dziewczyny. Na pewno nie zamierzał

próbować ze starannie ogolonym facetem po czterdziestce, chociaż ten był

wolny, ani ze starszą, siwiejącą kobietą z przyklejonym uśmiechem i lekko podkrążonymi z niewyspania oczami.

Gdy dziewczyna skończyła załatwiać klienta - Afrykańczyka sfrustrowanego tym, że nie może wymienić naira na szwajcarskie franki - podszedł do niej z zażenowanym uśmiechem na twarzy.

- Jaki ze mnie kretyn - zaczął. - Może mi pani pomóc?

- Tak, słucham. Mówiła po angielsku prawie bez akcentu.

- Zostawiłem klucz w pokoju.

- Nie ma zmartwienia - odrzekła uprzejmie. - Często się zdarza.

- Nie mnie. Nazywam się Marty Hibbard. To znaczy, Martin Hibbard.

- Numer pokoju?

- Zaraz, zaraz... - Hal udał, że próbuje go sobie przypomnieć. - Już mam: czterysta siedemnaście.

Dziewczyna nagrodziła go uśmiechem, wystukała coś na klawiaturze komputera i po chwili stojąca za nią maszyna wyrzuciła nową kartę magnetyczną. Podała mu ją i powiedziała:

- Mam nadzieję, że miło spędza pan u nas czas.

- A wie pani, że tak - odparł. - Dzięki pani.

Rzadki komplement - dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie.

Pokój 417 był przestronny i wykwintnie urządzone. Lekkie, jasne kolory, delikatny, stylowy fotel z podłokietnikami, małe biurko, krzesło z wysokim oparciem w kącie pokoiów takich jak ten nie można było wynająć ani w Davos, ani pod Davos, nie w ostatnim tygodniu stycznia. Pokój Martina Hibbarda, który chwilowo zajął, miał mu się bardzo przydać.

Zatelefonował, zgasił światło, zaciągnął wszystkie zasłony i w pokoju pociemniało. Teraz mógł jedynie czekać.

Kilka minut później rozległo się pukanie do drzwi. Ambler przywarował

przy ścianie, tuż przy drzwiach, przy zasuwie. Standardowa pozycja, nauczył

się tego podczas szkolenia. Agent taki jak on, jak Harrison Ambler, miał to we krwi.

Jeśli tylko naprawdę był Harrisonem Amblerem.

324

Gęsty czarny niepokój wezbrał w nim jak trujący dym z komina. Trzasnął

zasuwą i lekko uchylił drzwi.

Było ciemno, ale nie musiał jej widzieć. Poznał ją po zapachu szamponu do włosów, płynu zmiękczającego do prania, po miodowym zapachu jej skóry.

Hal? - Ledwo słyszalny szept. Zamknęła drzwi.

- Tutaj. - On też mówił cicho, żeby jej nie przestraszyć. I uśmiechnął się bezwiednie, zupełnie odruchowo, tak jak odruchowo się kicha, szlocha czy kaszle. Wydawało mu się, że wraz z jej przyjściem w pokoju pojaśniało.

Ruszyła w stronę jego głosu, po omacku wyciągnęła rękę, dotknęła jego policzka, pogłaskała i podeszła jeszcze bliżej. Poczł ciepło jej ciała, elektryzujący dotyk ust na swoich ustach. Objął ją i przytulił, a gdy złożyła mu głowę na piersi, głęboko wciągając powietrze, zaczął całować jej włosy, ucho, szyję. Chciał nacieszyć się każdą chwilą, jaką dane mu było z nią spędzić.

Chociaż wiedział, że może nie przeżyć tego dnia, ogarnęła go dziwna, podnosząca

na

duchu

pewność,

że

nie

umrze

niekochany.

Laurel, ja...

Uciszyła go pocałunkiem, a on czerpał z jej ust odwagę.

- Wiem - szepnęła. - Wiem.

Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie przesunął kciukami po policzku, po cieniutkiej skórze pod oczami, które nagle zrobiły się wilgotne.

Nie musisz nic mówić - powiedziała głosem wciąż przyciszonym, lecz pełnym uczucia.

Stała na palcach i znowu przywarła ustami do jego ust. Na długą chwilę zapomniał o całym świecie. Liczyła się tylko ona, nic więcej, ciepło jej ciała, jej zapach, jędrne, drżące ciało przyciśnięte do jego ciała, powolne bicie jej

- j ego ? - serca. Wszystko inne zniknęło, hotelowy pokój, miasto, cały świat.

Istnieli tylko oni, ta specyficzna dwoistość, która przestała być dwoistością.

Czuł, jak Laurel się do niego tuli, już nie rozpaczliwie, lecz z błogim spokojem, który ogarnął i jego.

Wreszcie odstąpili od siebie, on i ona, znowu oddzielnie. Nacisnął włącznik przy drzwiach. Zapłonęło światło i pokój się zmienił; dzięki mnogości tekstur i kolorów stał się mniejszy, przytulniejszy, bardziej intymny. Lecz ona się nie zmieniła i była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażał, jakby się nagle zmaterializowała, tu i teraz, na jego oczach. Duże brązowe oczy ze skrzącymi się zielenią plamkami, bijące z nich tęsknota, miłość i troska, porcelanowa skóra, pełne, lekko rozchylone wargi była uosobieniem całkowitego oddania jak ktoś, kogo widuje się tylko na filmie, z tym że ona była jak najbardziej realna, namacalna, bo stała tuż przed nim. Tak, była najpraw-dziwszą kobietą pod słońcem.

325

- Dzięki Bogu, że nic ci nie jest - powiedziała cicho. - Dzięki Bogu, że jesteś bezpieczny.

- Jesteś taka piękna. - Wypowiedział te słowa podświadomie, nie chcąc ich wypowiedzieć. Moja Ariadna.

- Wyjedźmy stąd rzuciła nagle z szaleństwem i nadzieją. - Zjedźmy z gór na nartach i już nigdy tu nie wracamy.

- Laurel...

- Tylko my, ty i ja. Co będzie, to będzie. Nikt nam nas sobie nie odbierze.

- Już niedługo, Laurel, za kilka godzin.

Powoli zamrugła. Próbowała okiełznać strach, lecz nie mogła.

- Mój kochany - szepnęła. - Mój kochany... Mam złe przeczucia. Nie mogę ich odpędzić. - Zadrżał jej głos, jeszcze bardziej zalśniły wilgotne oczy.

Jej strach stał się nagle jego strachem, strachem o nią.

- Rozmawiałaś o tym z Castonem?

Uśmiechnęła się przez łzy.

- Rozmawiać z Castonem o przeczuciach? Zaczęłyby **od razu mówić o szansach i prawdopodobieństwie.**

- Cały on.

- Małe szanse, małe prawdopodobieństwo. - Laurel przestała się uśmiechać. Myślę, że on też ma złe przeczucia, tylko nie chce się do tego przyznać.

- Niektórym tak jest łatwiej.

- Mówi, że zrobisz to, co musisz, bez względu na szanse powodzenia.

- Obliczył to na kalkulatorze? Ambler pokręcił głową. - Ale nie, on się nie myli.

- Nie chcę cię stracić, Hal. - Laurel zamknęła oczy i szybko je otworzyła.

- Nie mogę cię stracić. - Powiedziała to głośniej, niż zamierzała.

Boże, ja też nie chcę cię stracić. Ale w jakiś dziwny sposób... - Pokręcił

głową, gdyż istniały słowa, których nie mógł wypowiedzieć i oczekiwać, że ktoś je zrozumie. Jego dotychczasowe życie było nędzne i nijakie - nędzne i nijakie dla niego samego. Nigdy w ten sposób o tym nie myślał, dotarło to do niego dopiero teraz. Bo już przestało być nędzne. Bo nagle pojawiło się w nim coś bezcennego: Laurel.

I to właśnie dla niej tu przyjechał. To właśnie dla niej musiał zrobić to, co musiał. Nie mógł przycząić się, zniknąć w jakimś południowoamerykańskim mieście i wiodąc anonimowe życie, beczynnje patrzeć, jak wielkie mocar-stwa szykują się do wojny. Bo nagle świat, w którym żyła Laurel, stał się dla niego bardzo ważny. Ale nie, nie mógł jej tego powiedzieć. Po prostu na nią patrzył, zbierając odwagę, żeby stawić czoło temu, co ich czekało.

326

„Nigdy nie wąp, że grupka myślących, oddanych ludzi może zmienić świat.

Albowiem tylko tacy ludzie świat ten wielokrotnie zmieniali”.

Słowa te paliły w gardle jak żółc. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić wstrząsu, jakiego doznałby świat, gdyby palmerytom się udało.

Podszedł do okna i spojrział na kompleks przysadzistych gmachów po drugiej stronie ulicy. Centrum Kongresowe. Tu i ówdzie stały grupki ubranych na niebiesko żandarmów. Byli w niebieskich spodniach, niebieskich nylono-wych kurtkach z niebieskim kołnierzem, który przecinał turkusowy pas, w niebieskich wełnianych czapkach i czarnych wysoko sznurowanych butach. Gdy stali blisko siebie, wyglądało, jakby wraz z nimi przyszła tu noc. Wysokie przegrody ze stalowych rur, częściowo zagrzebanych w śniegu, kierowały gości do odpowiednich wejść. Hał widział więzienia o zaostrzonym rygorze, które były bardziej przyjazne niż to.

- Może Caston znajdzie jakiś sposób powiedziała Laurel. - Mnie wprowadził. Nie, żebym się czegoś dowiedziała.

- Wprowadził cię? powtórzył zdumiony Ambler.

Kiwnęła głową.

- Stwierdził, że z technicznego punktu widzenia mogą mnie zakwalifiko-wać. Mam uprawnienia, dostęp do tajnych kartotek, prawda? Biuro forum sprawdziło to i uzyskało potwierdzenie. Dostęp do kartotek ośrodka na wyspie Parrish ma praktycznie cały pracujący tam personel, ale skąd mogli o tym wiedzieć? Zresztą nie to było ważne. Liczyły się tylko literki i cyferki po nazwisku, a Caston zna ten system na wylot.

- Gdzie on właściwie jest?

- Powinien zaraz być. Przyszłam trochę za wcześnie. -Nie musiała wyjaś-niać dlaczego. Może na coś wpadł. Może znalazł jakąś anomalię.

- Dobry z niego człowiek, ale to analityk, spec od liczb. A tutaj mamy do czynienia z ludźmi, a nie z ich elektronicznym śladem.

Ktoś trzy razy zapukał do drzwi. Laure) rozpoznała umówiony znak i przekręciła klamkę. Caston. Na ramionach miał płatki topiącego się śniegu i przód jego palta spływał wodą. Był jeszcze bledszy niż zwykle i robił wrażenie wyczerpanego. W ręku trzymał dużą czarną torbę z logo Światowego Forum Ekonomicznego. Spojrzał na Amblera bez najmniejszego zdziwienia.

- Dowiedziałeś się czegoś? spytał Hal.

- Niewiele - odparł posepnie rewident. - Przez półtorej godziny siedzia-

łem na konferencji. Mówiłem ci, już tu kiedyś byłem, na dyskusji panelowej na temat prania brudnych pieniędzy i zagranicznych instytucji finansowych.

ŚFE to nie tylko blichtr. Zawsze organizują tu sporo seminariów technicznych. Powiniennem być przypiąć sobie tabliczkę z napisem: „Spytajcie mnie 327

o przepływ kapitału transakcyjnego". Laurel też się kręciła, ale wygląda na to, że żadne z nas nie trafiło na żyłę złota.

- To miejsce przyprawia mnie o ciarki - wyznała Laurel. - Tyle tu twarzy, które zna się z gazet i telewizji. Można dostać zawrotu głowy. To odruch, wiem, ale początkowo kłaniasz się ludziom, bo wyglądają znajomo, więc myślisz, że gdzieś się już spotkaliście. Dopiero po chwili dociera do ciebie, że wyglądają znajomo, bo są po prostu znani.

- Klub Bilderberg to w porównaniu z Davos podrzędny kantor wymiany walut.

- Ciągle mam wrażenie, że rzucam się w oczy, że tu nie pasuję i wszyscy to widzą. A na myśl, że jeden z nich może być tym maniakiem..

- On nie jest maniakiem - przerwał jej delikatnie Ambler. - Jest zawodowcem. To coś znacznie gorszego. -- Zrobił krótką pauzę. Ale są i dobre wieści, choćby to, że udało się wam tam wejść. Caston, ciągle nie wiem, jak to załatwiłeś.

- Zapominasz, że jestem starszym urzędnikiem Centralnej Agencji Wywiadowczej - odparł rewident.

- Mój asystent zadzwonił gdzie trzeba i dołą-

czono mnie do orszaku wiceszefa. Oficjalny telefon z Langley, mnóstwo telefonów sprawdzająco-potwierdzających i sprawa załatwiona. Nie mieli nic przeciwko temu.

-- Nie mieli nic przeciwko temu, żeby zasiąść do stołu ze szpiegiem?

- Ależ skąd, wprost przeciwnie. Ty ciągle nic nie rozumiesz. Davos to miejsce, gdzie przyjeżdżają najpotężniejsi tego świata. Z rozkoszą ugościliby samego dyrektora CIA był tu kilka lat temu - ale są całkiem zadowoleni i ze mnie.

- Laurel wciągnęłaś w ten sam sposób?

- Nie ja, mój asystent. Przedstawiliśmy ją jako psychiatrę z Połączonych Służb Wywiadowczych, bo taki ma u nas kod. Podobnie jak wszyscy pracownicy ośrodka na wyspie Parrish, ma również zezwolenie na dostęp do tajnych informacji, poziom 12A-56J. Owszem, to, że prosimy o wpisanie jej na listę w ostatniej chwili, było trochę dziwne, ale nie aż tak, zważywszy na ich dotychczasowe kontakty z amerykańskimi służbami wywiadowczymi.

Reszta to *elision*, że tak powiem.

- I ci z ochrony forum uwierzyli ci na słowo?

Oczywiście, że nie. Zadzwonili do Langley, połączono ich z moim biu-rerp w takich przypadkach to standardowa procedura - i odbyli rozmowę z moim asystentem. Domyślam się, że wytłumaczył im, iż oddadzą cenną przysługę dyrektorowi naczelnemu i sekretarzowi stanu, a potem, dla celów weryfikacji, podał im kod niedający prawa dostępu do żadnych informacji.

Bo widzisz, to jest tak. Na potrzeby współpracy międzynarodowej opraco-328

waliśmy system komputerowej weryfikacji miejscowej i system ten podał im skróconą listę członków delegacji wraz z oficjalnym potwierdzeniem ich toż-

samości i uprawnień. Potem mój asystent przesłał im zdjęcie - wziął je z akt

- i było po sprawie.

- Wiesz, to dziwne, ale prawie wszystko zrozumiałem. - Ambler przekrzywił głowę. Chwileczkę. Przecież sam mówiłeś, że tutejszy system bezpieczeństwa jest całkowicie odporny na głupców.

- Owszem, jak najbardziej, ale czyja wyglądam na głupca?

- A więc możesz wciągnąć na listę i mnie? W taki sam sposób?

- Hm, niech pomyślę. Czy jesteś pracownikiem CIA? - Caston szybko zamrugał i przewrócił oczami. Czy Połączone Służby Wywiadowcze mają twoje akta? Jeśli ktoś z biura forum zadzwoni do Langley, żeby potwierdzić twoje dane osobowe, co od nich usłyszy?

- Ale...

- Harrison Ambler nie istnieje - warknął Caston. - Już zapomniałeś? Przykro mi to mówić, ale oni cię po prostu skasowali, wymazali, prawda? Światowe Forum Ekonomiczne to dane, bity i bajty. To świat podpisów cyfrowych, archiwów cyfrowych, cyfrowych potwierdzeń. Byłoby mi łatwiej załatwić identyfikator dla Wielkiej Stopy, Yeti czy dla potwora z Loch Ness.

One też nie istnieją, ale można je przynajmniej znaleźć w Internecie.

- Skończyłeś?

- Boję się, że wszyscy jesteśmy skończeni - odparł Caston z płonąącym wzrokiem. - Przez cały czas miałem nadzieję, że chowasz w zanadrzu jakiś wspaniały plan. Ale nic, ty jesteś jeszcze bardziej nierozważny, niż myśla-

łem. To jest obszar potencjalnej klęski dziejowej, a ty wpadasz tu na łeb na szyję jak ostatni buc! Nic potrafiś niczego przewidzieć. Mało tego, ty w ogóle nie myślisz! Od samego początku nasze szanse oscylowały między małymi i zerowymi. A teraz te małe zabrały zabawki i poszły na swoje podwórko.

Kropka.

Ambler poczuł się tak, jakby siła grawitacji nagle się podwoiła. Ręce i no-gi miał jak z ołowiu.

Wytłumacz mi tylko jedno: jak działa tu system wydawania identyfikatorów?

- Jeśli chcesz się pod kogoś podszyć, lepiej od razu sobie daruj - mruknął

księgowy. - Nie wejdiesz tam, nawet stosując tę swoją sztuczkę z zagładaniem do czyjegoś mózgu. System jest bardzo prosty, dlatego prawie niemoż-

liwy do złamania. Rozpiął swoją szarą marynarkę - Ambler poczuł lekki zapach środka na mole i pokazał mu identyfikator na białej nylonowej tasiemce. Na pierwszy rzut oka wyglądał bardzo zwyczajnie: biały plastikowy 329

prostokąt ze zdjęciem po lewej stronie nazwiska. Pod spodem był srebrzysty hologram, nad hologramem niebieski pasek. Caston odwrócił identyfikator na drugą stronę. Tam był tylko pasek magnetyczny.

Mój jest taki sam - powiedziała Laurel. - Wygląda niepozornie. Nie dałoby się komuś go ukraść i sfalszować?

Caston pokręcił głową.

- Przy wejściu wprowadzasz go do czytnika. Na pasku magnetycznym jest zakodowany cyfrowy podpis, który ściąga z komputera wszystkie dane na temat jego właściciela. Komputer przy wejściu ma najpotężniejsze i naj-skuteczniejsze zabezpieczenia, jakie kiedykolwiek wymyślono: po prostu nie podłączono go do Internetu, więc nie można się do niego włamać. Przy monitorze stoi strażnik i kiedy identyfikator jest w czytniku, na ekranie pokazuje się nazwisko i zdjęcie jego właściciela. Krótko mówiąc, jest tak: jeśli nie ma cię w komputerze, dostajesz kopa w dupę.

- Czy to określenie techniczne?

- Poza tym jest tam również detektor metalu, taki sam jak na lotnisku ciągnął Caston. Marynarki, klucze i tak dalej kładzie się na pas i przepuszcza przez bramkę.

- To wystarczy, żeby powstrzymać ewentualnego zamachowca? - spytała Laurel.

- Mówimy tu o kimś, kto planował to od miesiący, może nawet dłużej odparł Clay. Zerknął na Amblera. - A ty masz najwyżej dwie godziny.

Hal podszedł do Laurel i ponownie spojrzął w okno. Padał śnieg, leniwie, lecz nieustannie.

Co mógł teraz zrobić? Zaczęła go ogarniać panika. Wiedział jedno: musiał

wziąć się w garść. Panika mogła spętać mu ręce i nogi, mogła pozbawić go tchu i instynktu.

Głos Laurel:

- A jeśli ktoś zgubi identyfikator?

- Wtedy przepraszają go i prowadzą do wyjścia - odrzekł Caston. — Widziałem to, kiedy byłem tu poprzednim razem. I mają gdzieś, że jesteś kró-

lem Maroka. Wszyscy ci, którzy tam są, noszą na szyi identyfikator. Kropka.

- Nawet głowy państwa? - dążyła Laurel.

- Przed chwilą widziałem wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Był

w szaroniebieskim garniturze i żółtym krawacie. Jakies dziesięć centymetrów pod węzłem krawata miał identyfikator. Proste i piekielnie skuteczne. Ci ludzie się nie bawią. Nie bez powodu od trzydziestu lat nie było tu żadnej wpadki.

Ambler odwrócił się od okna. Laurel patrzyła na niego wyczekująco i z nadzieją.

- Musi być jakiś sposób - powiedziała. - Czynniki ludzkie. Zawsze tak mó-

wileś.

Ambler słyszał ją, jakby mówiła z bardzo dużej odległości. Przez myśl przebiegło mu kilka scenariuszy działania. Rozważył je, przeanalizował i odrzucił, wszystko w ciągu kilku sekund. Urzędnicza dyskrecja często zawodzi

- szara codzienność wymaga pewnej elastyczności - dlatego system bezpieczeństwa niemal każdej organizacji jest po prostu dziurawy. Jednak Światowe Forum Ekonomiczne nie było wydarzeniem codziennym. Było wydarzeniem wyjątkowym i trwało zaledwie tydzień. Dlatego obowiązywały tu zupełnie inne, dużo surowsze zasady. A pracujący tu strażnicy i ochroniarze nigdy nie brali niczego za sprawę oczywistą.

Ambler spojrzął na czarną torbę Castona; była pełna materiałów, które otrzy-mywali wszyscy

uczestnicy i goście forum. Wysypał jej zawartość na łóżko.

W stosie papierów wypatrzył między innymi *Globalną agendę* wydawaną przez organizatorów forum oraz biały skoroszyt z harmonogramem sesji, seminariów i konferencji. Przejrzał go strona po stronie. Roiło się w nim od tak ogłupiających tytułów jak: *Dokąd zmierza system zarządzania gospodarką wodną?*, *Globalny system ochrony zdrowia*, *Przyszłość amerykańskiej polityki zagranicznej*, *Bezpieczeństwo jednostki a bezpieczeństwo narodu*, *W stronę New Bretton Woods*. Była tam również lista wystąpień najświetniejszych gości, sekretarza generalnego ONZ, wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych, prezydenta Pakistanu i wielu innych. Punktem kulminacyjnym forum miało być niewątpliwie przemówienie Liu Anga. Hal zamknął folder i wziął z łóż-

ka *Agendę*, grubą jak kłoc księgę, w której zamieszczono nazwiska wszystkich „uczestników” Światowego Forum Ekonomicznego: prawie tysiąc pięćset stron zdjęć i spisanych drobną czcionką biografii.

- Spójrzcie tylko na te twarze - powiedział, lekko odginając boczne krawędzie kartek i puszczając je szybko jedna po drugiej. - Jak w ruchomym komiksie.

- Albo na policyjnej konfrontacji mruknęła Laurel. Frustracja wisiała w powietrzu jak przykry zapach.

Caston wyprostował się gwałtownie.

- Jak na policyjnej konfrontacji - powtórzył.

Ambler spojrzał na niego i zobaczył coś, co go niemal przeraziło: oczy fewidenta dosłownie obracały się w oczodołach.

- O czym ty mówisz? - spytał cicho.

Powinni tego zakazać odparł Caston. Tych konfrontacji. To główne źródło fałszywych oskarżeń. Koszmarnie wysoki współczynnik błędu...

- Jest zmęczony przerwała mu szybko Laurel i z niepokojem popatrzyła na Amblera. W pociągu prawie nie spał.

331

- Niech mówi - odrzekł Hal.

- Świadkowie są omylni i zawodni - kontynuował rewident. - Widzisz, jak ktoś robi coś złego, a potem myślisz, że to jeden ze stojących w rządzie ludzi. Patrzysz, patrzysz i wiesz, co się dzieje? Do akcji wkracza heurystyka i wybierasz tego, kto jest najbardziej podobny do osoby, którą zapamiętałeś.

- Widzisz w tym jakiś problem? - spytała Laurel.

- Tak, bo osoba najbardziej podobna wcale nie musi być tą, która popełni-

ła przestępstwo. Numer cztery, mówią. Numer dwa. Często bywa tak, że numer cztery i dwa to podstawieni policjanci, ale co tam, nie szkodzi, przecież nic się nie stało. Śledczy dziękują świadkowi i odsyłają go do domu. Ale bywa i tak, że świadek przypadkiem trafia. Nie, nie, nie wskazuje prawdziwego sprawcy, wskazuje jedynie podejrzanego. Podejrzany jest podobny do sprawcy trochę bardziej niż pozostali, ale nie jest tym, kto popełnił przestępstwo. Więc gdy śledczy pyta: „Czy może pan wskazać człowieka, którego widział pan wczoraj wieczorem?” - świadek mówi: „Tak, to ten”. Sąd wszczyna całą tę skomplikowaną procedurę, zwołuje ławę przysięgłych, a przysięgli dochodzą do wniosku, że sprawa jest prosta i oczywista. Owszem, istnieje sposób na wydobycie ze świadka informacji niezniekształconej: robi się to metodą „jedno po drugim”. Trzeba pokazać im zdjęcia ludzi, ale nie wszystkie naraz, tylko po kolei. Trzeba je pokazywać i pytać: „To ten? Tak czy nie?” Po przejściu na tę metodę wskaźnik błędnych rozpoznań spadnie z siedmiu procent do niecałego procenta. To bulwersujące, że nasze władze nie znają podstaw statystyki. - Caston podniósł wzrok. Oczy miał jasne i bystre.

- Chodzi mi o to, że w życiu często jest tak samo. - Szybko zamrugał. -

Dane są wyraźne i jednoznaczne. Wniosek? Trzeba znaleźć kogoś podobnego do ciebie. Masz tu tysiąc pięćset twarzy. To twoja próbka.

Ambler nie odpowiedział.

Poślinił palec i zaczął przeglądać księgę szybko i metodycznie, niemal ma-chinalnie.

- Ty też popatrz, Laurel - rzucił. - Jeśli zobaczysz kogoś podobnego, od razu to wyczujesz. Nie myśl. Po prostu patrz. Skup się na wewnętrznych doznaniach. Doznania wszystko ci podpowiedzą.

Zaszeleściły kartki. Mniej więcej dwie twarze na sekundę.

- Zaczekaj - zatrzymała go Laurel. - Ten.

Caston zaznaczył zdjęcie samoprzylepną karteczkę i mruknął:

- Dalej.

Nowa seria zdjęć, sto stron. I przerwa. Ten. Caston pospieszył z karteczką i znowu zaszeleściły kartki. Na widok zdjęcia Ashtona Palmera Ambler znieruchomiał. Milczeli. Żadne z nich się nie odezwało. Żadne nie musiało. Podobnie, gdy pochylili się nad zdjęciem Ellen Whitfield. Wyglądała eleganc-ko, lecz bez wyrazu, jej mentor zaś bardzo dystyngowanie. Na oficjalnym zdjęciu wielkości znaczka pocztowego nie widać było ich wyrafinowanej inteligencji

i

ambicji.

Fotografie

te

tylko

ich

rozpraszały.

Zanim Ambler skończył, Caston oznaczył cztery strony. Hal podał mu księgę.

- Zerknij. Masz świeże oko.

Księgowy obejrzał zdjęcia.

- Trzecie - powiedział i podał księgę Laurel.

Laurel poszła w jego ślady i z wahaniem szepnęła:

- Chyba trzecie.

Hal otworzył księgę, wyrwał z niej zaznaczoną kartkę i spojrzał na czarno-

-białe zdjęcie.

- Może i podobny, ale nie za bardzo - mruknął. - Z drugiej strony, zapomniałem już, jak wyglądam. -
Ponownie spojrzał na zdjęcie. W oczach męż-

czynny dostrzegł surowość i graniczące z wyniosłością poczucie własnej wartości, choć mogła to być jedynie poza.

Nazywał się Jozef Vrabel i był prezesem V&S, słowackiej spółki komputerowej z siedzibą w Bratysławie. Spółka specjalizowała się w „rozwiązaniach bezprzewodowych, w usługach i produkcji urządzeń zabezpieczają-

cych sieci komputerowe”.

- Nie chciałabym psuć nastroju, ale jak zdobędziemy jego identyfikator?

- spytała Laurel.

Caston wzruszył ramionami.

- Spytaj naszego specja od czynnika ludzkiego.

Można go jakoś znaleźć? - Ambler zerknął na Castona i ponownie spojrzał w okno. Wiedział, że na dachu, dwa piętra nad nimi, czuwają dwaj snajperzy. Ale jaki jest pożytek z broni, skoro nie ma

celu? To ironiczne, że najpierw musiał przechytryć tych, którzy, podobnie jak on, byli tu po to, żeby zapewnić innym bezpieczeństwo. Wrogowie moich wrogów są moimi wrogami.

Przeniósł wzrok na długą ciemną ścianę - solidną, lecz ruchomą zaporę -

przed gmachem Centrum Kongresowego. Była oklejona wielkimi, białymi, prostokątnymi plakatami z niebieskim napisem ŚWIATOWE FORUM

EKONOMICZNE. Słowa umieszczono jedno nad drugim, a wszystkie litery O

ozdobiono cienkim, sierpowatym zawijaszem. Po lewej stronie widniał

identyczny napis oraz strzałki wskazujące wejście dla personelu technicznego i przedstawicieli mediów.

Ogarnęły go strach, bezradność i wściekłość, ale ta mieszanina stworzyła stop trwalszy i mocniejszy niż każdy z jego składników z osobna: niezachwianą determinację.

333

Caston coś mówił, ale on usłyszał go dopiero teraz.

- Cuda techniki. W centrum konferencyjnym i prawie we wszystkich hotelach są komputery podłączone do sieci wewnętrznej. Wszystko po to, żeby łatwiej było kogoś znaleźć.

- Grzebałeś w tej sieci? - spytał Hal.

- Ja w sieciach nie grzebię - odparł poirytowany rewident. - Ja je analizuję. Mogę pójść do holu głównego, wystukać na klawiaturze jego nazwisko, a komputer powie mi, na jakie seminaria czy dyskusje się zapisał. Bo tu trzeba się zapisywać i...

- Znajdziesz go, powiesz, że wynikło coś pilnego, i wyprowadzisz na dwór.

Caston odkaszlnął.

- Ja?

- Dobrze kłamiesz?

Rewident podrapał się w głowę.

- Niezbyt. Tak... średnio.

- To wystarczy. - Ambler pochylił się i dla dodatnia otuchy ścisnął go za ramię. Caston wzdrygnął się pod jego dotykiem. - Jeśli naprawdę warto coś zrobić, warto nawet zrobić to źle.

- Chciałabym wam pomóc... - zaczęła Laurel.

- Będiesz mi potrzebna na froncie logistycznym - przerwał jej Hal. -

Potrzebuję lornetki, lunetki, czegoś w tym stylu. Tam jest ponad tysiąc osób.

Według harmonogramu, w sali kongresowej ma przemawiać premier.

- To największa sala - powiedział Caston. - Ma co najmniej tysiąc miejsc.

Może nawet więcej.

- Tysiąc miejsc to tysiąc twarzy: wszystkich z bliska nie obejrzę.

- Z lornetką na szyi będziesz rzucał się w oczy - ostrzegła Laurel. - Zwró-
cisz na siebie uwagę.

- Tych z ochrony?

- Tam się roi od kamer. Telewizyjnych i innych.

- Jak to?

- Rozmawiałam z pewnym kamerzystą. Pomyślałam, że może się czegoś dowiem. Okazuje się, że organizatorzy forum nagrywają wiele imprez dla własnych celów. Co więcej, te najważniejsze, a więc sesje plenarne i otwarte fora dyskusyj-ne, są rejestrowane przez kilka dużych stacji telewizyjnych, BBC, CNN, Sky TV, SBC, i tak dalej. Te kamery mają niesamowity obiektyw, sama sprawdzałam.

Ambler przekrzywił głowę.

- Mógłbyś z takiej skorzystać - ciągnęła Laurel. - Świetnie powiększają obraz. Są duże i trochę nieporęczne, ale mają potężny zoom. Są lepsze niż lornetka. No i nikt by na ciebie nawet nie spojrział.

Hal zadrżał z podniecenia.

- Boże, Laurel...

- Jesteś wstrząśnięty? - zażartowała. - Niezły pomysł, co? Zastanawiam się tylko, po co prezes słowackiej spółki handlowej miałby paradować tam z kamerą.

- Jak już się tam jest, kamera nie ma żadnego znaczenia odparł Caston. '

- Najważniejsze to zdobyć identyfikator i wejść. Potem nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Na identyfikatorze jest tylko nazwisko i zdjęcie, nic więcej.

Jak już tam wejdiesz, będziesz musiał pogrywać zupełnie inaczej.

- Tylko skąd wziąć kamerę? - spytał Ambler.

- Żaden problem - odparła Laurel. - Mogę zdobyć nawet dwie. W magazynie jest ich pełno, ten kamerzysta mi pokazał.

Laurel, nie przeszkolono cię do takich operacji, więc...

- Jesteś w szalupie ratunkowej i pytasz, czy któryś z rozbitków ma uprawnienia sternika? prychnął Caston. - Myślałem, że to jajesz tu formalistą.

- Jedno jest pewne powiedziała Laurel. - Do magazynu łatwiej będzie wejść mnie niż rzekomemu Jozefowi Vrabelowi. Odbyłam już pogawędkę z kilkoma kamerzystami, którzy często tam zaglądają. - I uwodzicielskim głosem dodała: - Może niewiele umiem, mam za to inne... walory.

Ambler zmarszczył czoło.

- Po prostu nie widzę sposobu, żeby...

- Ale ja widzę przerwała mu z lekkim uśmiechem.

To zabawne, pomyślał Adrian Choi, siedząc przy bosko czystym i uporządkowanym biurku Castona, że wyjechawszy, szef zdołał zawalić go robotą dokładnie tak samo jak wtedy, gdy nigdzie nie wyjeżdżał. Jego ostatnie telefony były nagłe, krótkie i zagadkowe. Mnóstwo pytań i poleceń, żadnych wyjaśnień. Wszystko to razem było bardzo tajemnicze i...

Cudowne.

Tego ranka cieszył go nawet kac. Kac! Coś zupełnie nowego, zupełnie innego. Coś, czego doświadczał sam... Derek St. John. W powieściach Clive'a McCarthy'ego Derek zawsze sobie dogadzał. „Od nadmiaru głowa nie boli” - tak mawiał. Albo: „Natychmiastowa gratyfikacja wystawia na próbę moją cierpliwość”. Wykonując swoje obowiązki, musiał spędzać długie wieczory, uwodząc piękne kobiety i pijąc drogiego szampana, a rano zawsze miał kaca. „Sin-jin, tak się to wymawia - tłumaczył z uprzedzającą grzecznością tym, które przekręcały jego nazwisko. Z akcentem na „Sin”. Miał

nawet lekarstwo na kaca - dokładny przepis zamieszczono na kartach powieści rzecz w tym, że jednym ze składników mikstury były surowe jajka, a na myśl o ich zjedzeniu Adrianowi robiło się niedobrze.

Nie, żeby spędził wieczór z długonogą supermodelką, współpracowniczką sparaliżowanego łajdaka, który - podobnie jak jeden z bohaterów najnow-szej powieści McCarthy'ego - mieszkał na pokładzie krążącego wokół Ziemi satelity. Nie, bynajmniej nie spędził tego wieczoru w stanie nieważkości.

Gdy o tym pomyślał, znowu ogarnęły go wyrzuty sumienia, w czym zupełnie nie przypominał Dereka St. Johna.

Nazywała się Caitlin Easton i była asystentką w wydziale służb pomocniczych. Rozmawiali przez telefon i gdy się w końcu rozgrzała, była całkiem miła; często chichotała, i w ogóle. Ale gdy się spotkali, musiał ukryć rozczarowanie. Okazało się, że Caitlin jest bardziej przy kości, niż to sobie wyobra-

żał, i że u nasady nosa robi jej się pryszcz. Nie, żeby zaprosił ją do supereleganckiej restauracji. Umówili się U Grenville'a, w knajpce z grillem na Tysons Corner, gdzie kelnerzy trzaskali w stolik wielkimi zafoliowanymi jadłospisami, gdzie chipsy podawano w koszykach wyłożonych denerwującymi serwetkami i gdzie wykałaczkami przetykano firmowe kanapki; knajpka była po prostu po drodze i jej, i jemu. Ale ku jego zaskoczeniu szybko okazało się, że dziewczyna ma kapitalne poczucie humoru i całkiem nieźle się bawił.

Gdy jej powiedział, jak się nazywa - Adrian Choi, z akcentem na „oj” -

wybuchła śmiechem, chociaż nie mogła wiedzieć, skąd to wziął. Śmiała się bardzo często, nawet wtedy, gdy dowcipy nie bardzo mu wychodziły, co bardzo go podkręciło. Była po prostu czadowa.

Skąd więc te wyrzuty sumienia? Cóż, ostatecznie ją wykorzystał. Prawda?

Powiedział: „Hej, jeśli nie masz nic lepszego do roboty, może poszlibyśmy gdzieś na drinka?” Gdyby powiedział: „Macie tam coś, czego potrzebuje mój szef, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Tak więc działał pod przykrywką; no, może nie do końca, ale jednak. A przecież Caitlin Easton nie była wrogą agentką. Była... Hm, zwykłą registratorką.

Zamruczał dzwonek telefonu. Ona?

Ona.

Wziął głęboki oddech.

- Witaj - zaczął i z zaskoczeniem stwierdził, że jest bardziej rozluźniony

i swobodny, niż myślał.

- Witaj - odrzekła.

— Świetnie się wczoraj bawiłem.

- Ja też. - Zniżyła głos. - Posłuchaj, mam coś dla ciebie.

— Naprawdę?

- Po prostu nie chcę, żeby szef znalazł ci za skórę, to wszystko:

— Mówisz o... To znaczy, że...

- Uhm.

336

- Caitlin, nie wiem, jak ci dziękować.

Zachichotała.

- Na pewno coś wymyślisz.

Adrian spiekł raka.

Pierwsze wrażenia były rozczarowujące i zniechęcające. Okazało się, że Jozef Vrabel, jego potencjalny sobowtór, jest mężczyzną całkiem przeciętnym i mało imponującym, ma małą głowę, wąskie ramiona, okrągły, wystający brzuch, szerokie biodra i wygląda jak chodzący korpus. Ale jeśli Caston się nie mylił, znaczenie miała sama twarz, a twarz była w sumie podobna, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Nie rozumiem - powtarzał nieustannie Słowak. - Nic z tego nie rozumiem...

Wyszli przed gmach Centrum Kongresowego. Na niebie wisiały ciężkie chmury i ulica wyglądała jak zdublowana płaskorzeźba we wszystkich odcieniach szarości.

- To obłąd, wiem - mówił Caston. - Sęk w tym, że to nasza ostatnia szansa, bo agencja rozpoczęła już negocjacje ze słowackim Telecomem. Kończy się termin, umowa wchodzi w życie dziś wieczorem.

- Ale dlaczego nikt się z nami nie skontaktował? - Słowak mówił po angielsku z silnym akcentem, lecz płynnie. - Dopiero teraz, w ostatniej chwili.

To jakiś obłąd.

- Dziwi się pan, że nasz rząd źle to rozegrał? Pyta pan, jak to możliwe, żeby rząd Stanów Zjednoczonych wybrał złego oferenta?

~ No, jeśli ująć to w ten sposób... - prychnął Vrabel.

Ambler czekał po drugiej stronie ulicy. Podszedł do nich szybko i rzucił:

- Pan Vrabel? Andy Halverson z usług publicznych. Clay twierdzi, że jeszcze trochę i nasz rząd

popelni bardzo kosztowny bład. Muszę wiedzieć, czy naprawdę tak jest.

Caston odchrząknął.

- Aktualna propozycja zawiera klauzulę o dwudziestoprocentowej pre-mii. Nawet jeśli uwzględnić wszystkie zabezpieczenia finansowe, uważam, że to stanowczo za duży wydatek.

- Dwadzieścia procent? - wykrzyknął Vrabel. - To jakiś absurd! Powinniście byli zwrócić się do nas.

Caston popatrzył na Amblera i wymownie wzruszył ramionami, A nie mó-

wiłem?

Hal zachowywał się jak biurokrata, który choć boi się konsekwencji, jest zdecydowany naprawić bład nawet w ostatniej chwili.

337

-- Mamy stu ludzi, którzy powinni byli to zfobić - odparł spokojnie. -

Pewnie nawet do głowy im nie przyszło, żeby zadzwonić do Bratysławy.

Widzi pan, poinformowano nas, że Telecom jest u was monopolistą.

- Może i był, ale dwa lata temu - mruknął Caston. - Podpisujecie kontrakt na dwieście milionów dolarów, którego podstawą są analizy rynkowe sprzed dwóch lat? Cieszę się, że to nie ja będę tłumaczył się z tego przed Kongresem.

Ambler zauważył, że Słowak, ten chodzący korpus, zaczyna się powoli prostować i robi się coraz wyższy. Jeszcze przed chwilą był zły, że wyciąg-nięto go z seminarium - „Dwie gospodarki, jeden sojusz” - ale teraz z wy-raźną przyjemnością obserwował dwóch wpływowych urzędników sprze-czających się o lukratywny kontrakt.

- Panowie - wtrącił z szerokim uśmiechem. - Jest późno, ale nie za póź-

no. Myślę, że możemy zrobić dobry interes, i wy, i my.

Zaprowadzili go do małej sali konferencyjnej na pierwszym piętrze Bel-wederu, upewniwszy się przedtem, że zajmująca ją „grupa robocza” Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej zjawi się tam dopiero za godzinę. Ambler wiedział, że nikt im nie przeszkodzi, pod warunkiem że będą zachowywali się tak, jakby byli u siebie. W hotelu roiło się od VIP-ów, dlatego zaskoczony ich widokiem personel pomyśli, że bład leży po ich stronie i nie chcą ich urazić, nie zażąda wyjaśnień-

W sali czekała Laurel w skromnej, szarej spódnicy i białej bluzce. Podeszła do Vrabela z czarnym przyrządem w rękę; zrobili go z dwóch pilotów telewizyjnych.

Wybaczy pan, to tylko formalność - powiedziała. - Zawsze kiedy prowadzimy poufne rozmowy poza gmachem Centrum, sprawdzamy, czy nikt nas nie podsłuchuje.

Przesunęła „detektorem” po jego rękach, potem po piersi, wreszcie natrafiła na identyfikator.

- Pozwoli pan, że na chwilę go zdejmę. W środku jest chip i są jakieś zakłócenia.

Słowak układnie kiwnął głową. Laurel obeszła go, udając, że sprawdza plecy.

- W porządku - oznajmiła, zawieszając mu na szyi nylonową tasiemkę i wtykając identyfikator do butonierki. Kto by oglądał własny identyfikator, zwłaszcza w butonierce? Równie dobrze mogła tam tkwić - i tkwiła - plastikowa legitymacja członkowska Amerykańskiego Stowarzyszenia Automobilistów.

- Proszę spocząć. - Ambler wskazał mu krzesło. Kawy?

338

- Herbaty - odparł Słowak.

- Oczywiście. - Hal spojrział na Castona. - Masz tę ofertę?

- Tutaj? Moglibyśmy ją ściągnąć, ale pliki są zaszyfrowane i musielibyśmy użyć naszego komputera. - Rewident mówił trochę sztywno, ale można to było przypisać zażenowaniu i zdenerwowaniu. - Łączy są bezpieczne, więc...

- Naszego komputera? - powtórzył Ambler. - Jezus Maria, przecież nasze komputery są w Schatzalp. Nie myślisz chyba, że pan Vrabel wsiądzie do kolejki i pojedzie w góry? To za daleko, pan Vrabel nie ma na to czasu, jest bardzo zajęty. Wszyscy jesteśmy zajęci. Nie, dajmy sobie spokój. Dajmy sobie spokój i...

- Ale ten kontrakt jest fatalny - przerwał mu Caston. - Nie można...

- Można. Stawię czoło konsekwencjom. - Hal spojrział na Słowaka. - Bardzo pana przepraszam. Stracił pan tylko czas.

- Panowie - odparł wspaniałomyślnie Vrabel. - Panowie, wasz kraj zasługuje na najwyższe względy, dlatego nie mogę dopuścić, żebyście podpisali umowę z bandą pospolitych oszustów. Interesy naszych udziałowców są zbieżne z waszymi. Pojadę do Schatzalp. Szczerze mówiąc, bardzo chciałem przejechać się kolejką. Wrażenia są podobno niezapomniane.

- Na pewno? To może trochę potrwać.

- Absolutnie - zapewnił ich Vrabel z uśmiechem za dwieście milionów dolarów. Absolutnie.

Kolejka do głównego wejścia Centrum Kongresowego wiła się między dwiema stalowymi barierami, za którymi stał kordon budzących respekt żandarmów. Było zimno i mieli zaróżowione od mrozu policzki, a z ich ust buchała para. Po lewej stronie tuż za drzwiami była szatnia, a nieco dalej strefa bezpieczeństwa, gdzie czuwało sześciu strażników. Ambler się nie spieszył.

Powoli zdjął palto, poklepując się po kieszeniach, jakby sprawdzał, czy na pewno wszystko ma. Grał na czas, czekając, aż za nim i przed nim zrobi się tłoczno. Był w marynarce bez krawata. Identyfikator zwisał mu na wysoko-

ści trzeciego guzika koszuli.

Gdy w stronę strefy bezpieczeństwa ruszyła duża grupa ludzi, szybko do nich dołączył.

- Zimno! - rzucił do siedzącego przed monitorem strażnika ze znośnym, słowiańskim akcentem. - Ale dla was to chyba normalne. - Włożył identyfikator do czytnika i poklepał się po policzkach, jakby piekły go od mrozu.

Strażnik zerknął na ekran monitora. Zapaliła się zielona lampka i Hal pchnął obrotową barierkę.

Przeszedł. Był w środku.

339

Coś zatrzepotało mu w żołądku. Nadzieja?

Nadzieja. Uczucie być może najbardziej niebezpieczne, a zarazem najbardziej niezbędne do życia.

Rozdział 32

progu olbrzymiej sali poczuł się tak, jakby z ciemnego kina wyszedł

Wna piękny, słoneczny dzień. Każdy zakamarek był tu jaskrawo oświetlony, a ze ścian i posadzek, lśniących wszystkimi odcieniami brązu, beżu i ochry, biło przytulne ciepło. Ścianę po lewej stronie od wejścia ozdobiono brązowymi mapami Ziemi - kontynentami i częściami kontynentów - porzecinanymi łukowatymi południkami i równoleżnikami. Ambler zanurzył

się w rozedrgany tłum, niemal nadnaturalnie czujny, spięty i gotowy do dzia-

łania. Sufit - główny Uo1 miał s,7.e.ić metrów wysakaici. - był zroMotty 7. wą-

skich desek i poczuł się tam jak pod pokładem gigantycznej arki. Przystanął

na chwilę na skraju wydzielonego pomieszczenia, gdzie przy okrągłych, szklanych stolikach serwowano kawę. W ciężkich brązowych gazonach między stolikami rosły orchidee. Wysoko na brunatnoczerwonej ścianie widniał napis głoszący, że jest to KAWIARNIA ŚWIATOWA. Miejsce pod napisem ozdobiono biegnącymi poziomo nazwami krajów i przecinającymi je prostopadle nazwami ich stolic; nazwy krajów były ciemnobrązowe, z wyjątkiem litery wspólnej dla obu nazw. I tak, A w „Poland” było jednocześnie A w „War-saw”, O w „Mozambiaue” było częścią „Maputo”, a I w „India” częścią

„New Delhi”. Ambler zastanawiał się przez chwilę, czy nie oprotowały tego kraje takie jak Peru czy Włochy.

Pieczołowitość, z jaką dopieszczono każdy, przypadkowy nawet szczegół, zrobiła na nim duże wrażenie. Forum trwało zaledwie sześć dni, po czym wszystkie ściany przemaalowywano, a wszystkie rzeźby i elementy dekora-cyjne przewożono do magazynów, mimo to wystrój wnętrza był staranniejszy i piękniejszy niż w pomieszczeniach urządzonych na stałe. W kawiarni, na przezroczystych krzeselkach z pleksiglasu, siedziało najwyżej dwadzie-

ścia osób. Była tam między innymi ładna, choć może trochę zbyt męsko wyglądająca kobieta w granatowym kostiumie. Na palcu miała ciężki pier-

ścień, a na szyi coś, co początkowo wziął za apaszkę. Podeszedłszy bliżej, zobaczył, że to nie apaszka, tylko słuchawki, a jej identyfikator nie jest biały jak pozostałe, tylko niebieski. Nieco dalej siedział mężczyzna o miłej, przy-340

jaznej twarzy; rósł mu już drugi podbródek. Gruba oprawka okularów, za-barwione na bursztynowo szkła, zapięta na wszystkie guziki obcisła marynarka, wystający brzuch - Niemiec lub Austriak. Mężczyzna w granatowym garniturze, z którym rozmawiał, siedział tyłem do Amblera i miał siwe puszyste włosy. Pewnie bankierzy, trochę za bardzo ucieszeni, że tu są, wedle obowiązującej na forum hierarchii, „goście”, a nie „uczestnicy”. Sąsiedni stolik zajmował zamożnie wyglądający mężczyzna o rzadkich, starannie za-czesanych, przyprószonych siwizną włosach i beznamiętnych oczach. Był

w okularach w stalowej oprawie - przeglądał jakieś dokumenty - i biła z niego pewność siebie człowieka, który zna zasady i nigdy ich nie łamie. Mówił coś do niego siwiejący mężczyzna w jasnobrązowym garniturze, mówił, a raczej przemawiał z ożywieniem znacznie większym od tego, jakie okazywał ten przeglądający dokumenty. Nachylał się ku nim trzeci mężczyzna, uważnie słuchając i próbując coś powiedzieć różowo-niebieska koszula, krawat w kropki: pewnie Brytyjczyk albo ktoś, kto chciał za Brytyjczyka uchodzić.

Miał dobroduszną twarz, lecz widać było, że czuje się niezręcznie, jak ktoś, kto niby bierze udział w rozmowie, a tak naprawdę nie.

Żaden z tych dwóch nie był dla niego partnerem, i tyle.

Na końcu długiego korytarza piętro niżej stał Caston z telefonem komór-kowym przy uchu i wyęzając

słuch, próbował zrozumieć to, co mówił Adrian. Od czasu do czasu przerywał mu ponuro jakimś pytaniem.

Rozpoczynając pracę w wewnętrznej komisji rewizyjnej CIA, Adrian Choi nie wiedział, że będzie robił to, co właśnie robił, lecz wyglądało na to, że nie ma nic przeciwko temu. Co więcej, Clayton odniósł wrażenie, że jego młody asystent bardzo dobrze czuje się w roli tymczasowego Shifu.

Szerokimi granitowymi schodami Ambler zszedł do swego rodzaju antresoli między piętrami, czegoś, co przypominało pierwszy balkon w operze. Na ścianie znikającego za schodami korytarza widniał niebieski napis: STUDIO

TELEWIZYJNE; najwyraźniej były tam pomieszczenia dla dziennikarzy, którzy chcieli przeprowadzić wywiad z obecnymi na forum luminarzami. Napis na ścianie sąsiedniej niszy głosił, że znajdują się tam „sale do rozmów dwu-stronnych”. Większość ludzi zmierzała w lewo, w stronę miejsca zbiórki, gdzie stały wiklinowe fotele i gdzie był barek, na którego ladzie ustawiono całą gamę butelek i puszek wody sodowej, soków i przeróżnych napojów.

Ekranów dwóch zamontowanych wysoko monitorów wyświetlały informacje z przebiegu odbywających się aktualnie konferencji i seminariów. Podszedłszy bliżej, Hal stwierdził, że napoje pochodzą z całego świata, była tam fruksoda, cytrynowo-limonowy napój ze Szwecji, appletize, gazowany sok jabłkowy z Afryki Południowej, maza, napój z owoców mango z Indii, a nawet titan, agrestowy napój z Meksyku. Gazowana ONZ, pomyślał cierpko.

Jeszcze tłoczniej było w sali, gdzie stały grupki ustawionych w podkowę krzeseł i połączone wewnętrzną siecią komputery, dekoracyjnie rozdzielone prostopadłościennymi zbiornikami z przezroczystą cieczą, w której leniwie bulgotały bańki powietrza. Dziesiątki tańczących na klawiaturze palców, nuda, satysfakcja, niepewność i agresja - nic, co przykułoby jego uwagę. Spojrzał

w dół i zobaczył pomieszczenie jeszcze większe, prawdziwe terrarium władzy. Wielką, ceglana ścianę naprzeciwko zdobiły olbrzymie afrykańskie i po-linezyjskie rzeźby, dziwnie harmonizujące z widokiem rzędu flag państw uczestniczących w forum, które zwisały z szerokiego na półtora metra parapetu.

Zszedł na dół, zerknął na zegarek i wmieszał się w gwarny tłum. Trwała jeszcze południowa przerwa między sesjami, więc ze srebrnych tac znikwały setki maleńkich kanapek i kryształowych kieliszków z napojami zatwierdzonymi przez organizatorów forum. Pachniało kosztowną wodą kolońską, płynem po goleniu i pomadą do włosów, nie wspominając już o zapachach bijających z tac pełnych *Bundnerfleisch* na trójkątnych kawałkach pumpernika.

Ambler rozejrzał się powoli, chłonąc widok.

Po lewej stronie, wraz ze swoją nieco zaniedbaną i źle ubraną świtą, stał

krępy, dość młody mężczyzna w niemodnym, lecz dobrze skrojonym garniturze, który sprytnie

maskował jego tuszę. Mężczyzna toczył wokoło wzrokiem, dostrzegając wszystkich oprócz tych stojących najbliżej i od czasu do czasu mruczał coś do pozbawionej talii czarnowłosej kobiety u jego boku.

Był pewnie nowo wybranym prezydentem którejś z republik bałtyckich i przyjechał tu w poszukiwaniu zagranicznych inwestorów. W pewnej chwili zatrzymał na kimś wzrok. Ambler spojrział w tamtą stronę i po drugiej stronie sali zobaczył młodą, kształtną blondynkę, zdobyczną żonę stojącego obok niskiego, przywiedłego już plutokraty. Hal skinął głową prezydentowi, a ten odpowiedział mu tym samym, ciepło, lecz ostrożnie i niepewnie, jakby chciał

spytać: Jesteś kimś czy nikim? Miał minę człowieka, który nie ufa swojemu osądowi. Ambler wyczuł, że towarzyszący mu orszak jest dla niego źródłem pocieszenia i upokorzenia zarazem. Nawykł do tego, że tam, u siebie, zawsze jest najważniejszą osobą na sali. Tu, w Davos, zdegradowano go i za-kwalifikowano do trzeciej ligi, w dodatku na oczach jego najbliższych współ-pracowników. Kilka metrów dalej, starszego, smukłego, amerykańskiego miliardera, właściciela ogólnoświatowego imperium komputerowego, ota-342 '

czał wianuszek tych, którzy niczym świergoczące i popiskujące modemy chcieli nawiązać z nim kontakt. On zaś był jak potężna planeta przyciągająca wszystkie satelity - w przeciwieństwie do prezydenta republiki bałtyckiej, którego prawie nikt nie zauważał. Tu, w Davos, szefowie pomniejszych państw byli daleko za szefami wielkich międzynarodowych korporacji. Wbrew temu, co głosili jej najzagorzalsi zwolennicy, globalizacja wcale nie „zniósła hierarchii”: ustanowiła tylko inną.

Idąc dalej, Ambler stwierdził, że wzorzec ten regularnie się powtarza. Jedni nadymali się jak paw, bo zwracano na nich uwagę, inni się kurczyli, bo nikt ich nie dostrzegał. Jednak wielu cieszyło się nawet z tego, że dane im jest oddychać tym samym powietrzem, którym oddychali obecni tu giganci.

Jedna po drugiej, w przepastnych brzuchach znikwały setki kanapek, chociaż Hal bardzo wątpił, czy którykolwiek z tych żarłoków wiedział, co je. Uwagę przykuwało co innego. „Przedsiębiorcy społeczni” jak zwali się teraz co sprytniejsi szefowie przeróżnych organizacji charytatywnych, doszedłszy do wniosku, że w tej nowej erze znaczenie ma jedynie słownictwo biznesowe -

rozmawiali z ożywieniem z innymi „społecznikami”, jeszcze większym zainteresowaniem darząc prawdziwych przedsiębiorców, którzy mogli wesprzeć ich programy stosownym czekiem.

Młody, przystojny Hindus dyskutował z zachodnim biznesmenem, męż-

czynną o białych krzaczastych brwiach i uszach, z których sterczały kępki włosów.

Wszyscy próbujemy ustalić, co nie działa i zmusić to do działania -

mówił. - Stwierdzić, co się zacięło, i ponownie to uruchomić. Na pewno robicie to samo u siebie, w Royal Goldfields.

- W pewnym sensie - zadudnił biznesmen.

- Zna pan to powiedzenie: daj komuś rybę i do końca dnia nie będzie chodził głodny. Daj mu wędkę...

- I będziesz miał konkurencję dokończył, siorbiąc nosem biznesmen, szef jakiegoś konsorcjum wydobywczego.

Krótki błysk białych zębów na tle ciemnobrązowej twarzy Hindusa: Ambler wątpił, czy jego rozmówca zrozumiał, że uśmiech ten jest wyrazem tak oczywistej dla niego irytacji.

- Ale prawdziwym wyzwaniem jest przetransformowanie całego przemysłu rybołówczego. Postawienie go na nogi, żeby zaczął przynosić realny do-chód. Mówiąc w przenośni, oczywiście. Wszystkim nam zależy na trwałych rozwiązaniach, a nie na doraźnych interwencjach.

Gdy przebijał się przez tłum, dochodziły go strzępy rozmów:

- Byłeś na śniadaniu u prokuratora generalnego?

343

- Tak, oczywiście, można powiedzieć, że jesteśmy ostrożni, ale weszlibyśmy w to szybciej, gdybyśmy znali stopień ryzyka.

- Już rozumiem, dlaczego łatwiej jest zrozumieć mówiącego po francusku afrykańskiego ministra niż prowadzącego z nim rozmowy Francuza: Afrykań-

czyk mówi powoli i wyraźnie, tak jak uczono go w szkole, podczas gdy...

Morze twarzy, dziesiątki półtwarzy za przesłaniającymi drugą połową ciętami i głowami.

W grupce osób przy barku dostrzegł oczy, z których biła jawna wrogość, i postanowił podejść bliżej. Mężczyznę - tego o wrogich oczach - atakował

inny, gorzej ubrany i w źle zawiązanym krawacie, zapewne naukowiec z jakiejś ważnej instytucji, ktoś niewątpliwie znany i uznany.

- Z całym szacunkiem - mówił - ale ty kompletnie nie rozumiesz, co się dzieje. - „Z całym szacunkiem” to jedno z wyrażień, które oznaczało tu zu-pełnie coś innego, niż miało oznaczać; w jego ustach zabrzmiało tak, jakby powiedział, że mleko przeterminowane jest jak najbardziej zdatne do spożycia. - I z całym szacunkiem, ale może to właśnie dlatego od czasów Cartera nie zasiadałeś w żadnym rządzie!

Ten drugi zmruczył oczy i uśmiechnął się, żeby ukryć irytację.

- Nikt nie przeczy, że Chiny rozwijają się w imponującym tempie - odparł. - Pytanie tylko, czy jest to rozwój stały, jakie będzie miał konsekwencje globalne i czy nie jest to przypadkiem mydlana bańka, która może w każdej chwili pęknąć.

- Jezu, obudź się wreszcie! - odparował naukowiec. - Mydlana bańka?

To jest przypływ, to jest wielka fala, która zmyje te wasze nędzne zamki z piasku! Mówił przez nos, bardzo napastliwie i Ambler podejrzewał, że robi tak zawsze. Pewnie szczycił się swoją otwartością i szczerością i - bezpieczny na posadzie - nie wiedział, jak bardzo denerwuje to innych.

Hal odwrócił się i nie zwracając na siebie uwagi, ruszył przed siebie krokiem człowieka, który wie, dokąd zmierza. Nagle zaszedł mu drogę jakiś mężczyzna. Zaskoczony i skonsternowany popatrzył na niego i powiedział

szybko coś, czego Ambler nie zrozumiał. Na pewno był Słowianinem, chociaż mówił językiem innym niż ten w otoczeniu świty.

- Słucham? - Hal przytknął palec do ucha, udając, że nie dosłyszał.

Mężczyzna o zaczerwienionej twarzy i prawie łysy przeszedł na angielski.

- Nie wiem, kim pan jest - wydukał - ale na pewno nie jest pan tym, za kogo się pan podaje. - Wskazał jego identyfikator. - Znam Jozefa Vrabela.

Stojący na drugim końcu sali Caston zadrżał i żeby ukryć strach, rozciągnął usta w lodowatym uśmiechu.

- Pani sekretarz? - zaczął.

Podsekretarz stanu Ellen Whitfield odwróciła się i spojrzała na niego z góry, dosłownie i w przenośni.

- Czy my się znamy?

- Nazywam się Clayton Caston i pracuję w wewnętrznej komisji rewizyjnej CIA. - Na Whitfield nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. - Mam waż-

ną wiadomość od naczelnego.

Whitfield zwróciła się do afrykańskiego dygnitarza, z którym właśnie rozmawiała.

- Wybacz pan - rzuciła przepaszająco i przeniosła wzrok z powrotem na Castona. - Od Owena? Co

u niego słycać?

- Wszystko dobrze, chociaż bywało lepiej - odparł Caston. - Zechce pani mi towarzyszyć? To bardzo ważne.

Whitfield przekrzywiła głowę.

- Oczywiście.

Wyszli z sali tylnym korytarzem. Caston przystanął przed drzwiami z napisem SALA 2 ROZMOWY DWUSTRONNE.

Gdy weszli do środka i gdy w jednym z białych skórzanych foteli Whitfield zobaczyła Ashtona Palmera, spojrzała na Castona i obojętnym głosem spytała:

- O co tu właściwie chodzi?

Rewident zamknął drzwi i wskazał jej najbliższy fotel.

- Zaraz wszystko wyjaśnię.

Wziął głęboki oddech i też usiadł.

- Pani sekretarz, panie profesorze. To długa historia, ale postaram się mó-

wić krótko. Zresztą sam już nie wiem, bo historia ta nie jest chyba aż tak długa... Otóż czasem bywa tak, że zwykły rewident, taki na przykład jak ja, odkrywa coś, czego wolałby nie odkryć...

- Przepraszam przerwał mu siwowłosy profesor o szlachetnym wysokim czole. - Czyżbyśmy mieli do czynienia z przypadkiem śledztwa we-wnętrznego na własną rękę?

Caston zaczerwienił się lekko i odparł:

- Jak pan wie, amerykańskie służby wywiadowcze są dość rozczłonkowane i przypominają kołdrę uszytą z kawałków materiału. Jeden wydział nie wie, co robi drugi. Dopóki wydziały te pracują zgodnie z prawem, ich działalność nie leży w sferze moich zainteresowań. Sęk w tym, że tajne służby działają...

- W sposób tajny - dokończyła za niego Whitfield.

- Otóż to. Tajny nawet dla innych tajnych służb. Ale proszę sobie wyobrazić, że analizując dane zupełnie jawne, wpadają państwo na trop operacji 345

o wybuchowych, powiedziałbym nawet katastrofalnych skutkach. Skutki te byłyby oczywiście jeszcze groźniejsze, gdybyście państwo wszystko ujawnili.

- W takim przypadku - odparła z zaciśniętymi ustami Whitfield - odpowiedzialność za konsekwencje tej operacji ponosiłby również ten, kto ją jawił. To chyba logiczne, prawda?

Caston przyjrzał się jej uważniej. Była bardzo elegancka, lecz dostrzegł

w niej coś... śmiertelnie niebezpiecznego. Miała ostre rysy twarzy i kasztanowe włosy, które nieco ją łagodziły, lecz jej ciemnoniebieskie oczy wygła-

dały jak dwie mroczne, niezgłębione sadzawki.

- Czy rozmawiał pan o tej... domniemanej operacji z dyrektorem naczelnym? - spytał Palmer.

- Najpierw chciałem porozmawiać z państwem - odparł rewident.

- Mądrze. - Palmer przyglądał mu się uważnie, lecz bez najmniejszego lęku. - Bardzo mądrze.

- Nie, nie, nie rozumiecie mnie - ciągnął Caston. - Chodzi o to, że skoro ja na to wpadłem, wpadną i inni. Wystarczy przeanalizować ślady.

- Ślady? - Palmer zamrugał.

- Tak, ślady. Choćby bilety lotnicze, koszty podróży służbowych, błędy i niespójności w rozliczeniach delegacji, i tak dalej, i tak dalej. Jest ich bardzo dużo i wolałbym nie mówić o nich nawet hipotetycznie.

Palmer i Whitfield wymienili spojrzenia.

- Bardzo doceniamy pańską troskę i zapobiegliwość - powiedział profesor. - Ale boję się, że wplątał się pan w coś, co pana przerasta.

- W proces decyzyjny najwyższego szczebla - dodała Whitfield.

- Ciągle państwo nie rozumieją że bardzo mnie to martwi i niepokoi.

'''- Pana? Whitfield spojrzała na niego z pogardliwym uśmiechem.

Tak, mnie oparł Caston. - Jestem przekonany, że zaniepokoi i naczelnego.

Whitfield przestała się uśmiechać.

Byliście po prostu bardzo nieuważni - kontynuował rewident. - Zostawiliście wyraźny ślad. Jeśli ja go dostrzegłem, dostrzegą go i inni, choćby ci z wewnętrznych lub międzynarodowych komisji śledczych. Zastanawiam się, czy uwzględniliście to, planując tę absurdalną operację.

- Nie wiem, o czym pan mówi - najeżyła się Whitfield. - Przypuszczam, że pan też nie. Te zakamuflowane aluzje zaczynają mnie męczyć.

Mówię o zamachu na życie prezydenta Liu Anga. Czy teraz wyrażam się

jasno?

Palmer zbladł.

- To niedorzeczne...

- Niech pan przestanie - przerwał mu Caston. - Odkryłem coś, co bez trudu odkryje każdy kompetentny i w miarę rozgarnięty śledczy. Uknuliście spisek, a winę za *to* poniesie nasz rząd. Proste jak strzała.

- Kwintylian, słynny rzymski retoryk, mawiał, że niezamierzony kalam-bur jest solecyzmem, usterką, tym, czym barmaryzm w obrębie leksyki.

- Cholera jasna! - warknął Caston. - Wszyscy awanturnicy są tacy sami. Nigdy nie wybiegają myślą naprzód. Są tak pochłonięci sobą, swoimi oszustwami, spiskami i knowaniami, że kiedy ktoś ich zdemaskuje, strasznie się dziwią, że do tego doszło. Przestrzegałem obowiązujących mnie zasad i trzymałem język za zębami, żebyście mogli rozstrzygnąć wątpliwości na swoją korzyść. Ale teraz widzę, że popełniłem błąd. Natychmiast piszę raport i idę do naczelnego.

- Bardzo mi pan imponuje powagą, z jaką podchodzi pan do swojej pracy.

- Whitfield stała się nagie serdeczna i wylewna. Jeśli pana uraziłam, bardzo przepraszam. Operacja, o której mówimy, ma najwyższy stopień tajno-

ści. Pańska reputacja pana wyprzedza, dlatego ufamy panu i wierzymy w pań-

ską dyskrecję. Ale pan musi zaufać nam.

- Zaufać? Zupełnie mi w tym nie pomagacie. Mówicie jak ktoś, kogo przy-

łapano z papierosem w pomieszczeniu, gdzie obowiązuje zakaz palenia. Najwyższy stopień tajności? Ta operacja jest równie tajna jak ślub Liz Taylor.

Moje pytanie brzmi: co, do diabła, zamierzacie z tym zrobić? Bo nie pomogę wam, jeśli wy nie pomożecie mi zrozumieć sensu całego absurdu.

- Ta operacja wymagała wielu miesięcy kalkulacji i planowania odrzekła Whitfield. - Nie docenia pan tego. Nie docenia pan również płynących z niej korzyści.

- Na przykład jakich?

Whitfield spojrzała na Palmera.

- Mówimy tu o historii, panie Caston wyjaśnił profesor. - O historii i jej tworzeniu.

- Jest pan historykiem - warknął rewident. - Historia zajmuje się przeszłością. Co pan wie o przyszłości?

- Bardzo dobre pytanie - odrzekł Palmer ze szczerym uśmiechem, który szybko zgasł. Wiem jedno: każda próba zmiany biegu historii jest niebezpieczna. Bardziej niebezpieczne jest tylko zaniechanie tych prób.

- To się nie sumuje.

- Historia, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, przypomina jazdę samochodem wyścigowym. To bardzo niebezpieczne.

- Naprawdę?

Palmer pozwolił sobie na uśmiech.

- Ale gdybyśmy do tego samochodu nie wsiedli, groziłoby nam jeszcze większe niebezpieczeństwo, bo samochód pojechałby sam, bez kierowcy.

A do tego nie możemy dopuścić. Prawda?

- Dość tych abstrakcji. Mówimy o głowie państwa. O człowieku, którego podziwia cały świat.

- Człowieka ocenia się po konsekwencjach jego czynów, nie po intencjach - odparł Palmer. - Służą do tego techniki analizy historycznej.

Caston głośno przełknął ślinę.

- Chce pan powiedzieć, że woli pan chińskiego despotę niż chińskiego demokratę?

- Z punktu widzenia świata jako takiego nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Dzięki despotyzmowi, tradycyjnej autokracji, monarchii czy totalitaryzmowi, puszcza Pandory pozostawała zamknięta. Czy kiedy był pan dzieckiem, nie mówiono panu, że gdyby wszyscy Chińczycy podskoczyli jednocześnie do góry, Ziemia zadrżałaby w posadach i spadła z osi, na której się obraca? Otóż od skakania powstrzymywał ich właśnie despotyzm, jak pan to ujął. Despotyzm krępował im ręce i nogi.

Castonowi szybciej zabiło serce.

- Co wy chcecie zrobić?

- Proszę zauważyć - wtrąciła pogodnie Whitfield - że nie robimy nic.

O nie. Widzi pan nas w sali kongresowej? Nie, bo jesteśmy tutaj. Nie ma nas na miejscu... incydentu, do którego ma zaraz dojść. Powtarzam: jesteśmy tutaj, z panem, panie Caston, co będzie mogło potwierdzić bardzo wiele osób.

- Naradzamy się tu i konferujemy - dodał Palmer z lekkim, stalowym uśmiechem na ustach. - Z wysokim urzędnikiem CIA.

- Co też nie uszłoby uwagi wielu obecnych tu osób. - Whitfield posłała Castonowi krótki uśmiech. - Tak więc, gdybyśmy naprawdę spiskowali, oczywiście byłoby to, że spiskuje pan z nami.

- Nie, żebyśmy oczekiwali takich wniosków - powiedział Palmer. - Wnioski będą zupełnie inne.

- Właśnie to próbuję wam wytłumaczyć - odparł Caston. - Podejrzenia padną na rząd Stanów Zjednoczonych.

- Bardzo na to liczymy - odrzekła Whitfield. - Przykro mi, ale geopolityczne kalkulacje nie są domeną rewidentów. Prosimy tylko o dyskrecję. Nic płacą panu za wyrażanie opinii na temat wydarzeń o tak złożonych konsekwencjach. Uwzględniliśmy wszystkie ewentualności. Pracowały nad tym najtęższe umysły, a raczej... umysł. - Obdarzyła Palmera pełnym podziwu spojrzeniem.

- Chwileczkę. Jeśli podejrzania padną na nasz rząd...

348

- Tak, padną, ale będą to tylko podejrzania - wyjaśnił Palmer. - Departament Stanu nazwał swoją politykę względem Chin polityką „konstruktywnej niejasności”, a my bardzo na tę „niejasność” liczymy. Zarzuty przy braku twardych faktów. Podejrzenia bez konkretnych dowodów. Potężny mur domysłów spojonych zaprawą nieufności.

- Mur? Jak ten w Chinach?

Palmer i Whitfield ponownie wymienili spojrzenia.

- Ładnie pan to ujął, panie Caston - odrzekł profesor. - Kolejny chiński mur. Tak, właśnie o tym mówimy. To najlepszy sposób na okiełznanie tygrysa. A, jak dowodzi historia, istnieje na to tylko jeden sposób.

- Zmusić Chińczyków, żeby wzniesli ten mur sami - powiedział powoli Caston.

- Proszę, proszę. - Palmer uśmiechnął się szeroko. - Wygląda na to, że jest pan z nami, nawet o tym nie wiedząc. Obaj dobrze rozumiemy, że najważniejsza jest logika, prawda? Że wszystkie instytucje,

łącznie z instytucjami moralnymi, muszą skapitulować przed siłą czystego rozsądku. Bardzo dobry początek, panie Caston.

- Nie, nie, nie przekonaliście mnie. Świata nie da się okiełznać. Jest bardziej skomplikowany i mniej uległy, niż myślicie. Uważacie się za panów historii, ale dla mnie jesteście tylko dziećmi, które bawią się zapalkami. A nasz świat jest piekielnie łatwo palny.

- Proszę nam wierzyć: Ashton i ja dokładnie przeanalizowaliśmy tę sytuację pod kątem ryzyka.

- Tu nie chodzi o ryzyko - odrzekł spokojnie Caston. - Ludzie tacy jak wy nigdy tego nie rozumieją. Tu chodzi o niepewność. Myślicie, że uda wam się przypisać wyliczalne prawdopodobieństwo przyszłym wydarzeniom.

Z technicznego punktu widzenia robimy to cały czas. Ale to bzdura, to tylko konwencja i matematyczne zarozumiałstwo. Ryzyko to prawdopodobieństwo, które można zmierzyć. Niepewność to prawdopodobieństwo przyszłych wydarzeń, którego zmierzyć nie sposób. Niepewność jest wtedy, kiedy nie wie się nawet, że się nie wie. Niepewność to upokorzenie w obliczu ignorancji.

Chce pan porozmawiać o rozsądku? Proszę bardzo, zacznijmy od tego: po-pełniliście podstawowy błąd koncepcyjny. Pomyliliście teorię z rzeczywisto-

ścią, wzorzec z czymś, co chcecie stworzyć. Wasze teorie nie uwzględniają podstawowego, najbardziej elementarnego i najpowszechniejszego w historii czynnika: niepewności. I niepewność ta pokaże swoje pazury. Pokaże pazury i odgryzie światu tyłek.

- Twierdzi pan, że to pewnik? - zripostował Palmer. Po raz pierwszy puści-

ły mu nerwy, lecz szybko się opanował. - Czy tylko ryzyko? Zapomina pan 349

o zasadzie Heraklita: Jedyną rzeczą stałą jest zmiana. Bierność jest aktywno-

ścią. Mówi pan o niebezpieczeństwie działania, jakby istniał jakiś wybór. Ale wyboru nie ma. Co by było, gdybyśmy darowali Angowi życie, gdybyśmy nic nie zrobili? Bo widzi pan, to też byłoby działanie. Jaka spadłaby na nas odpo-wiedzialność? Czy przeanalizował pan również ryzyko płynące z tej sytuacji?

Bo my tak. Wszystko się zmienia, nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Heraklit zrozumiał to już pięćset lat przed naszą erą. Zasada ta obowiązuje i dzisiaj, w porządku cywilizacyjnym, jakiego on nie byłby w stanie nawet sobie wyobrazić. Myślę, że logika, którą się kierujemy, jest wystarczająco jasna.

- Wasza logika ma więcej dziur niż sitko prysznic - prychnął Caston. -

Prawda jest taka, że chcecie rozpętać wojnę.

- Organizacja Narodów Zjednoczonych zawsze funkcjonowała najlepiej w sytuacjach kryzysowych - odparł Palmer głosem obojętnego naukowca. -

Panika i depresja zawsze szerzyły się w czasie pokoju. A zimna wojna, która była w rzeczywistości okresem niekończących się starć i potyczek, zapewni-

ła nam dominację na całym świecie.

- Amerykanie nie lubią dominować - wtrąciła Whitfield. - Jediną rzeczą, której nie lubią jeszcze bardziej, jest myśl, że dominować może ktoś inny.

Caston chrapliwie wciągnął powietrze.

Ale perspektywa wojny światowej...

- Mówi pan tak, jakby możliwości konfliktu zbrojnego należało bezwzględnie unikać, tymczasem jako historyk muszę stwierdzić, że nie dostrzega pan pewnego paradoksu. Otóż kraj unikający wojny jeszcze bardziej jej sprzyja.

Sprzyja wrogim aktom, które koniec końców są źródłem jego klęski. Dostrzegł to i Heraklit. Powiedział: „Wojna jest matką i królową wszechrzeczy.

Z jednych robi bogów, z innych mężczyzn, z jeszcze innych niewolników.

A jeszcze innym daje wolność”.

Caston przeszył go spojrzeniem.

- Chce pan być bogiem, profesorze?

-- Bynajmniej. Ale jako Amerykanin, nie chcę być niewolnikiem. Niewolnictwo w XXI wieku to nie żelazne kajdany, tylko więzy polityczne i gospodarcze, których nikt nie potrafi przeciąć. Wiek XX był wiekiem amerykań-

skiej wolności. Zachowując bierność, zapoczątkujemy wiek amerykańskiego poddaństwa. Może pan wygłaszać tu kazania o niepewności. Ja tę niepewność uznaję, ale nie usprawiedliwia to bezczynności w obliczu jawnej agresji. Dlaczego wydarzenia mają kształtować nas, skoro może być odwrotnie?

- Profesorski baryton Palmera koił i wyciszał. - Widzi pan, historia jest zbyt ważna, żeby oddać ją we władanie przypadku.

Ambler przyjrzał się uważnie Słowakowi: zaskoczenie szybko ustępowało miejsca podejrzliwości, zastygając na jego twarzy niczym żywica epoksydowa w kontakcie z powietrzem. Zerknął na identyfikator: Jan Skodova. Kto to? Urzędnik państwowy? Kolega biznesmen? Rywal?

Uśmiechnął się szeroko.

- Słusznie. Byliśmy w tej samej grupie. Zamieniliśmy się identyfikatorami, tak dla żartu. - Krótka pauza. - Pan też tam chyba był. Wyciągnął do niego rękę. - Bill Becker z EDS. Joe to mój stary kumpel. Skąd pan go zna?

- Ja też jestem biznesmenem ze Słowacji. Usługi komunalne. Ale gdzie jest Jozef? - Oczy Słowaka błyszczały jak dwa kawałki węgla.

Szlag by to, nie było na to czasu!

- Ma pan wizytówkę? spytał Ambler, udając, że szuka swojej.

Słowak sięgnął do kieszeni, wyjął z niej wizytówkę i podał mu ją nieufnie.

Hal zerknął na nią i szybko schował.

- Chwileczkę: to pan jest tym specem od kabli z Koszyc? Joe mi o panu opowiadał.

Przez twarz Słowaka przemknął wyraz niepewności i Ambler natychmiast to wykorzystał.

- Jeśli nie jest pan zajęty, zapraszam do naszej sali. Chciałem przepłukać gardło, ale nie lubię tłumów. Wygląda na to, że możemy zrobić razem dobry interes. Słyszał pan o Electronic Data System?

- Gdzie on jest? - Pytanie grzeczne, lecz konkretne.

- Już pana do niego prowadzę, ale najpierw chodźmy do barku. Coś mu obiecałem.

Hal poprosił o śliwownicę, zabrał butelkę łagodnie protestującemu barmanowi i weszli do długiego korytarza prowadzącego do kilkunastu małych sal.

Ambler zajrzał do pierwszej z otwartymi na oścież drzwiami; mówiły, że sala jest wolna.

Skodova wszedł do środka, rozejrzał się i gniewnie rzucił:

- No i co?

- Przed chwilą tu był. - Hal zamknął drzwi. - Pewnie poszedł się odlać.

Niecałą minutę później wyszedł z sali sam, wiedząc, że Słowak odzyska przytomność najwcześniej za dwie godziny. Posadził go na krześle z głową na stole, polał mu koszulkę śliwownicą, butelkę z resztkami trunku położył na podłodze. Zagrywka nie była zbyt wyrafinowana, lecz skuteczna. Musiała

być skuteczna.

Szybko wmieszał się w tłum, najpierw idąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w przeciwnym kierunku. Wypatrywał wszystkiego, co rzucało się w oczy, oznak niepokoju, urazy, zazdrości, próżności i urażonej dumy.

351

Zerknął na zegarek. Za kwadrans piąta - za piętnaście minut Liu Ang miał

wygłosić przemówienie i ludzie zaczęli już wchodzić do sali kongresowej po drugiej stronie schodów. Przy drzwiach tłoczyli się również obarczeni sprzętem kamerzyści, ubrani mniej oficjalnie niż goście, i uczestnicy forum.

Nagle serce zabiło mu szybciej: w tłumie mignęła mu młoda kobieta o potarganych kasztanowych włosach. Coś zatrzepotało mu w piersi jak ptak. Nadzieja.

Tym razem dostała skrzydeł.

Laurel. Zrobiła dokładnie to, co miała zrobić: zdobyła sprzęt. „Będiesz mnie potrzebował” - powiedziała. Chryste, co za niedomówienie. Potrzebował jej pod tyłoma względami.

Chwilę później wśliznęli się na wciąż opustoszały balkon nad salą główną.

- Za parę minut przyjdą tu kamerzyści. Zdejmij marynarkę, to nikt nie zwróci na ciebie uwagi. - Kamerzyści i marynarka. Nieważne. Jej przepojone miłością i oddaniem oczy mówiły o rzeczach, których nie oddałyby żadne słowa.

Szybko zdjął marynarkę i wepchnął ją do stojącej w pobliżu skrzynki na sprzęt. Laurel potargała mu włosy. Eleganckie uczesanie uczestnika forum nie pasowało do kamerzysty.

- Nieźle - oceniła. - Trafiłeś na jakiś ślad?

- Jeszcze nie - odparł, czując, że znowu ogarnia go panika. Szybko wypę-

dził ją z serca i zapanował nad głosem. - Gdzie Caston?

- Pewnie rozmawia ze swoim asystentem. Cały czas wisi na telefonie.

Ambler bez słowa kiwnął głową. Wysiłku wymagało teraz samo mówienie. Za chwilę miał wygrać lub przegrać: sprawa była prosta.

- Mamy dwie kamery - powiedziała Laurel. - Weźmiesz tę. To 48X z silnym zoomem. - Podała mu pękata kamerę ze składanym statywem.

- Dzięki - szepnął, chcąc powiedzieć: Kocham cię bardziej niż życie.

- Myślisz, że usiądzie z przodu?

- Możliwe - wychrypiał i odchrząknął. - Z tyłu też może. Miejsc jest od cholery.

- Ale ty tu jesteś. Wystarczy, jak zrobisz swoje. - Była przerażona tak samo jak on, jednak dzielnie się trzymała, mówiąc swobodnym, niemal jowialnym głosem.

Skutki stresu są paradoksalne i nieprzewidywalne, podobnie jak skutki wstrzyknięcia benzyny do komory sprężania w silniku. Silnik może zaskoczyć, odpalić i gwałtownie nabrać mocy, ale jeśli benzyna zaleje świece, może i „zdechnąć”. Tyle zależało od tych ostatnich minut. „Wystarczy, jak zrobisz swoje”. A jeśli nie zrobi? Jeśli nie zdoła?

352

Liu Ang był uwielbianym przywódcą najliczniejszego narodu na świecie.

Był nie tylko nadzieją Chińczyków - był nadzieją wszystkich. I nadzieja ta mogła zgasnąć za jednym pociągnięciem spustu. Chiny wypadną ze starannie ułożonych torów pokojowej ewolucji, wejdą na kurs kolizyjny i rozpęta się kataklizm. Rozwścieczony naród zacznie szukać zemsty. Ślepa furia, spotęgowana samą jego liczbą, stanowiła niebezpieczeństwo większe od wszystkich dotychczasowych.

Na sztucznym „dziećcu” wielcy i zacni tego świata - podłych też było tam niemało - obżerali się kanapkami, zerkali na swoje kosztowne zegarki i pachnąc władzą, niespiesznie szli w stronę drzwi do sali kongresowej. Byli podekscytowani, chociaż ci najwspanialszy starannie to ukrywali. Nie ulegało wątpliwości, że Liu Ang jest w tej chwili najważniejszym mężem stanu na świecie, możliwe, że i najskuteczniejszym w działaniu. Wizjonerów było peł-

no, ale tylko on potrafił przełożyć swoją wizję na rzeczywistość. Myśli kłę-

biły się w głowie Amblera. Jeśli chciał widzieć wyraźnie, musiał je odpę-

dzić, musiał przestać myśleć.

Stawka w tej grze była bardzo wysoka. Wyższa już być nie mogła.

Sala była większa, niż się początkowo wydawało. Samo ustawienie chromowanych krzeseł - każde stało osobno, nie stykając się z sąsiednim - musiało trwać wiele godzin. Na każdym wisały słuchawki, dzięki którym widzowie mogli wysłuchać symultanicznego tłumaczenia na jeden z dziesięciu języków. Tłum gęstniał z sekundy na sekundę.

Hal postanowił przejść przez salę bez kamery, zlustrować ją gołym okiem, bez zoomu. Rozejrzał się i skupił wzrok na pierwszych rzędach. Po obu stronach sceny wisały dwie olbrzymie niebieskie

tablice ze znajomym logo forum. Tło sceny wyglądało jak plansza do warcabów z nakładającymi się na siebie błękitnymi prostokątami i przypominało portret Chucka Close'a. Mniej więcej w jej połowie wisiał gigantyczny ekran - miał wyświetlać obraz przemawiającego dla tych, którzy siedząc na końcu sali, z trudem dostrzegali stojącą na podium postać.

Ambler ponownie spojrzął na zegarek. Prawie wszystkie krzesła były już zajęte - to zdumiewające, jak szybko to się stało - i za chwilę miał się tu pojawić chiński przywódca.

Pierwszy rząd. Przeszedł wzdłuż pierwszego rzędu, udając, że szuka wolnego miejsca. Prześlizgiwał się wzrokiem od twarzy do twarzy, lecz widział

w nich jedynie banalne odczucia zarozumiałych i ważnych. Pulchny czło-wieczek z notatnikiem: biły od niego niecierpliwość i niepokój dziennikarza, którego goni termin. Szczupły mężczyzna w krzykłej koszuli w szkocką 353

kratę: przedstawiciel jakiegoś funduszu inwestycyjnego, ożywiony i ucie-szony, że za chwilą na własne oczy zobaczy słynnego Chińczyka. Kobieta, którą znał ze zdjęć w gazetach, szefowa firmy technologicznej, blondynka o nienaganej fryzurze: rozbiła wrażenie rozkojarzonej, jakby powtarzała w myślach to, co chciała powiedzieć podczas kolejnego wywiadu. Siwowło-sy mężczyzna w okularach w stalowej oprawie. Czoło pokryte starczymi plamami, brwi, które można by czesać grzebieniem: przeglądał dołączoną do słuchawek instrukcją z miną giełdowego gracza, który dowiedział się właś-

nie, że cena akcji gwałtownie spadła. Hal skrzył w przejście pod ścianą, taksując spojrzeniem fotoreportera z aparatem wyposażonym w gigantyczny obiektyw. Robił wrażenie sympatycznego i całkiem zwyczajnego. Zadowolony, że udało mu się zająć tak dobrą pozycję, był gotów bronić jej przed każdym rywalem. U jego stóp stał twardy futerał z niezliczonymi nalepkami podróżnymi, które najpierw naklejono, a potem niedokładnie zdarto.

Hal powiódł wzrokiem po dalszych rządach. Tylu ludzi, tylu ludzi. Chryste, było ich za dużo. Co go napadło? Jakim cudem ich wszystkich... Wziął

się w garść. Nie mógł tak myśleć. Takie myślenie *to* wróg. Oczyszczył umysł

i pogrzywszy się w krystalicznym, niczym nieskażonym odbiorze ruszył przez salę jak przezroczysty obłok. Jak cień, niewidzialny i wszystko widzący.

Kalejdoskop ludzkiń uczuć i odczuć. Mężczyzna z przyklejonym do twarzy uśmiechem, który - Hal dawał za to głowę - rozpaczliwie chciał wyjść do toalety, wiedząc, że jeśli wyjdzie, natychmiast straci miejsce. Kobieta próbują-

ca nawiązać rozmowę z siedzącym obok nieznanym mężczyzną, który ob-rzuciwszy ją krótkim, pogardliwym spojrzeniem, leniwie odwrócił głowę, tak że nie wiedziała, czy ją obraził, czy to tylko zwykłe nieporozumienie języko-we. Pijaczyna o podwójnym podbródku, zaczerwienionych

policzkach i za-czesanych do góry włosach, niezadowolony, że przed wejściem do sali nie zdążył wypić jeszcze jednej whisky. Mądrała, który zapuściwszy się w obce dla siebie rejony, z ożywieniem rozprawiał o aktualnej polityce Chin z kolega-mi - podwładnymi? - zbyt układnymi, żeby jawnie okazać zdegustowanie.

Były tu ich setki, setki ludzi zafascynowanych, znudzonych, onieśmielonych i wyczekujących - setki kolorów z palety zwykłych ludzkich emocji.

Żaden z nich nie był tym, kogo szukał. Bo Ambler znał ten typ. Nie potrafił-

by go dokładnie scharakteryzować, po prostu go rozpoznawał, a raczej wyczuwał, tak jak w ciepły, letni dzień czuje się podmuch zimna z otwartej lodówki. Wyczuwał lodowatą premedytację zawodowego zabójcy, człowieka zbyt skupionego na otoczeniu, który spokojnie czeka nie na to, czego zaraz będzie świadkiem, tylko na skutki swoich działań. Tak, potrafił wyczuć takich jak on. Zawsze.

Ale teraz, w chwili, gdy miało to największe znaczenie... Nic. Nie wyczuwał absolutnie niczego. Znowu ogarnęła go panika i znowu ją w sobie zdławił.

Koniec podłużnej sali, wyłożone lastrykiem wąskie schody, wreszcie balkon, a na balkonie trzy kamery na statywie i sześciu kamerzystów z całego świata. Balkon był idealnym miejscem dla snajpera: celny strzał z tej wysokości i odległości nie wymagał zbyt dużej wprawy. Popatrzył na Laurel -

spragniony wędrowiec, pustynna oaza i łyk zimnej wody - potem spojrzał na pozostałych. I nic. Znowu nic. Nie drgnęła różdżka, nie zaterkotał licznik Geigera. Nic.

Wybawieniem mógł być obiektyw kamery. Bez słowa podszedł do Laurel i wziął od niej tę z dużym zoomem; żeby nie rzucać się w oczy, ona stała za starą kamerą z podwójnym obiektywem, jeszcze bardziej podrapaną i poobijaną niż jego 48X. Z trudem zachowując spokój, pokręcił gałką na statywie i skierował ją w dół, na ludzi. Linia celowania wszystko wskazywało na to, że zamachowiec zajmie pozycję w tej części sali, ale w przedniej części sali siedziało co najmniej pięćset osób. Co on sobie wyobrażał? Że go tam znajdzie?

Jakim cudem? Oddychał ciężko i z wysiłkiem, jakby pierś ścisnął mu gruby sznur. Pomyśl o szansach. Nie, myślenie o szansach i prawdopodobieństwach lepiej zostawić takim jak Caston. On nie mógł myśleć. Wcale. On musiał zapomnieć o świadomości, zapomnieć o wszystkim, co racjonalne.

Nie mógł zawieść.

Ale zawiódł - przynajmniej kamera działała tak, jak powinna. Automatyczny fokus, jasny, ostry obraz: nie myśl. Patrz. Niektóre twarze widział

z boku, inne pod dziwnym kątem, jeszcze inne były częściowo przesłonięte, lecz wyrafinowana elektronika dostrajała kamerę do szybko zmieniającego się światła i rozdzielczość obrazu była

zdumiewająca. Twarz za twarzą, czekał na znajome uklucie, które kazałoby mu przystanąć, zawrócić i przyjrzeć się jeszcze raz.

- To przyjdzie samo - wymruczała stojąca tuż za nim Laurel, chcąc dodać mu otuchy. - Przyjdzie, zobaczysz.

Poczuł jej ciepły oddech na szyi i tylko dzięki temu nie uległ rozpacz.

W świecie fałszu i ułudy tylko ona była prawdziwa. Była jego gwiazdą po-larną, jego kompasem.

Zaczynał tracić wiarę w siebie. Omiatając wzrokiem rzędy krzesel, coraz częściej dochodził do wniosku, że stracił instynkt. A może ktoś wpadnie do sali w ostatniej chwili? Może tam, na dole, jest twarz, której po prostu nie widział?

Tłum zaszemrał i zamknęły się drzwi. Strażnicy mieli je otworzyć dopiero po przemówieniu Liu Anga.

355

Energicznym krokiem na podium wszedł założyciel i dyrektor Światowego Forum Ekonomicznego, wysoki, prawie łysy mężczyzna w okularach w stalowej oprawce. Nosił kolory organizacyjne: był w granatowym garniturze i białoniebieskim krawacie.

Ambler zerknął przez ramię i znowu zobaczył Laurel, tak piękną i czujną.

Rozwichrzone włosy, oko przytknięte do okularu pękatej kamery - na próżno próbował zasypać otchłań, która rozdarła mu duszę.

Wiedział, że jej nie oszuka. Spojrzała na niego i powiedziała: „Kocham cię”. Bezgłośnie, ale to wystarczyło, bo w długim, ciemnym tunelu nagle dostrzegł światełko.

Nie, nie mógł się poddać. Nie wolno mu zrezygnować.

Zamachowiec był tu, na tej sali, jednym pociągnięciem spustu gotów zmienić bieg historii.

Dlatego musiał go znaleźć. On, Ambler, który stał się teraz...

Tarkwiniuszem.

Ponownie przytknął oko do okularu kamery i wszystkie odgłosy ucichły.

Słyszał jedynie głucho bicie swego serca.

I tykanie odmierzającego sekundy zegara.

Adrian Choi przeglądał dokumenty od Caitlin. Akta personalne pracowników ośrodka psychiatrycznego na wyspie Parrish, które tak bardzo chciał

zdobyć jego szef. Ale do licha, przecież to prawie same życiorysy! Ze ściąganiem życiorysów nie powinni byli mieć żadnych kłopotów.

Ale mieli. Dlatego postanowił przejrzeć je jeszcze raz, przeczytać słowo po słowie, choćby przez lupę, cholera.

Chryste, co za nuda. Szkoły techniczne, college i służba wojskowa, przynajmniej w przypadku sanitariuszy. Psychiatrizy z dyplomami z Case Western Reserve i z Akademii Medycznej w Miami, pielęgniarki po szkołach wojskowych, strażnicy z szóstą lub dwieście drugą grupą MP, cokolwiek to znaczyło, inicjały CID w nawiasach. I tak dalej, i tak dalej. Nuda. Koszmar-na nuda.

Ale dostrzegł też pewną jakby to powiedział Caston? - anomalię.

Tak, anomalię. Zdecydowanie.

Ktoś głośno zapukał do drzwi. Adrian aż podskoczył w fotelu. Chryste, kto tak wali? Do drzwi gabinetu Clayтона Castona? W te drzwi pukało się cicho i delikatnie.

Pod wpływem niejasnego impulsu postanowił nie otwierać i chwilę póź-

niej usłyszał oddalające się kroki. I bardzo dobrze. Zostaliśmy tylko my, kur-czaczki. Jakiś dupek pomylił pewnie drzwi, myśląc, że to magazyn z tonera-mi do drukarki. Albo ktoś inny. Wszystko jedno. Nie miał ochoty z nikim gadać.

Wybrał numer Castona. Szef miał superkomórkę, jedną z tych, które dzia-

łały w każdym punkcie świata, i miała to być ich czwarta rozmowa w ciągu ostatniej godziny.

Caston odebrał natychmiast i Adrian opowiedział mu o swoim odkryciu.

Szef kazał mu powtórzyć szczegóły. Ale nie, nie był zirytowany. Tylko chyba bardzo mu się spieszyło.

- Porównałem numery ubezpieczenia społecznego - dodał Adrian. - Nie pasują.

Wysłuchał odpowiedzi. Caston nigdy dotąd nie był tak zasapany

- Tak myślałem - wtrącił Adrian. - Klasyczna anomalia, co?

Dyrektor forum - studium stateczności i powagi - zakończył swoje nieco górnolotne przemówienie i przy akompaniamencie ciepłych oklasków usiadł

na krześle po prawej stronie sceny. Aplauz przybrał na sile, gdy długim, wdzięcznym krokiem na podium wszedł Liu Ang, by zająć miejsce na mównicy.

Był... Cóż, niższy, mniejszy i drobniejszy, niż Ambler oczekiwał. Mimo to było z niego coś wielkiego i wspaniałego, nadnaturalny spokój, cierpliwość, mądrość i silniejsza od brutalności łagodność. Podziękował dyrektorowi śpiewną, melodyjną angielszczyzną i przeszedł na chiński. Przemawiał do wszystkich, do całego świata, lecz znaczną część ludności świata stanowili Chińczycy i chciał, by wiedzieli, że jest dumny, mogąc przemawiać w ich języku. Pragnął, żeby ujrzeli w nim nie powracającego żółwia morskiego -

nie *hai gui* - tylko obywatela Chin równie prawdziwego jak oni. Z przemó-

wienia Hal nie rozumiał ani słowa, rozumiał za to wiele ze sposobu, w jaki Angje wygłaszał. Treść przekazu często odciąga uwagę od subtelności głosu i intonacji. Proste, zwyczajne uczucia giną pod warstwą lakieru skomplikowanych myśli.

Chińczyk drwił i żartował - wyposażona w słuchawki publiczność śmiała się dokładnie w tych momentach, w których śmiałyby się i on - lecz drwina i żart szybko ustąpiły miejsca powadze i żarliwości. Liu Ang rozumiał pewną prawdę i pragnął, żeby zrozumieli ją inni. Nie próbował jej sprzedać, on japo prostu tłumaczył. I nie, nie przemawiał głosem zwykłego polityka. Przemawiał głosem prawdziwego męża stanu, głosem człowieka z wizją pokoju i dobrobytu, który chce, żeby wizja ta ogarnęła cały świat. Człowieka, który wie, że współpraca może być czymś równie potężnym, i produktywnym, jak rywalizacja. Który chce, żeby wiedza i tolerancja zagościły nie tylko w Pań-

stwie Środka, ale i na całej ziemi.

Człowieka, który miał zaraz umrzeć.

Siedzący w sali zamachowiec czekał na odpowiednią chwilą, tymczasem Hal stracił cały instynkt, stracił swój wyjątkowy dar. Rzędy ludzi, rzędy twarzy - przyglądał się im tak intensywnie, tak intensywnie skupiał wzrok, że obraz zaczął się rozmazywać i zacierać, aż zdrętwiał mu kark. Szybko - i odruchowo - przekrzywił szyję i spojrzał na stojących obok kamerzystów. A potem na Laurel.

Zafascynowana tak samo jak on, patrzyła przez obiektyw kamery na przemawiającego Liu Anga i dopiero po chwili wyczuła, że ją obserwuje. Coś drgnęło w jej twarzy, coś zafalowało, lecz trwało to tylko ułamek sekundy, bo zaraz potem spojrzała na niego z wyrazem chwiejnego zdecydowania, miłości, wierności i oddania. Ambler szybko zamrugał. Nagle poczuł się tak, jakby coś wpadło mu do oka. Jakiś paproch? Nie, to nie paproch. W takim razie co? Co przed chwilą widział?

Na balkonie gwałtownie się schłodziło, jakby powiał tam arktyczny wiatr.

Nie, nie, to niemożliwe, to czysty obłąd - przecież nie mógł tego widzieć.

Cofnął taśmę odtworzył obraz. Laurel, jego ukochana Laurel, spokojnie. -

z kamiennym spokojem? - obserwowała Anga przez obiektyw kamery, a potem... Ten wyraz twarzy, ta mina na ułamek sekundy, na mikrosekundę przed tym, gdy posłała mu uroczy uśmiech. Odtworzył to

jeszcze raz i dopiero wtedy dostrzegł coś równie ulotnego, jak ogień świetlika i równie nieomylnego.

Wyraz krystalicznie czystej pogardy.

Rozdział 33

kradkiem zerknął na nią jeszcze raz, zobaczył, że trzyma palec na sta-Ulo wej klamrze pod kamerą i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to...

spust. Olśnienie poraziło go z siłą gromu.

Jak mógł być tak ślepy?

Przez cały czas, od samego początku, brakowało mu ostatniego ogniwa.

Prawda? Głos Castona: „I zawsze jest kozioł ofiarny. Zawsze”. To stały element operacji takich jak ta. Zachwiał się jak po silnym ciosie. Nie miał zapobiec zamachowi.

Miał być kozłem ofiarnym.

Kamery - -jej pomysł. Jej „inspiracja”. Były stare, w metalowej obudowie, i przez bramki z aparatami rentgenowskimi przechodziły ich co dzień dzie-358

siatki. Sęk w tym, że promienie rentgena nie przebijały metalu. Jej kamera nie zawierała ukrytej broni. Jej kamera była bronią.

Nie, to niemożliwe - a jednak możliwe. W głowie zawirowało mu od myśli.

Podwójny obiektyw to tylko zmyłka, bo ten górny był lufą. Konstrukcja?

Bardzo prosta: długa obudowa kamery i wystający obiektyw skrywały lufę, a zoom był celownikiem optycznym. Spust zamontowano... Zamontowano go oczywiście tam, gdzie spoczywał teraz jej palec.

Muskała go z wprawą i pewnością siebie doświadczonego snajpera. To na pewno ona zabiła Benoit Deschesnes'a w Ogrodach Luksemburskich: chiń-

ski snajper musiał to widzieć, musiał ją rozgryźć, musiał zrozumieć, jak bardzo zagraża jego ludowi.

Jaki był powolny, jaki ociężały! Przecież wszystko rozgrywało się na jego oczach! Ale teraz błyskawicznie i z oszałamiającą jasnością ujrzał to, co miało zaraz nastąpić. Strzały padną z tego miejsca, z miejsca, gdzie stał.

Natychmiast obezwładnią go strażnicy i ochroniarze; jego przeciwnicy bez trudu to załatwią. Poszlaki wskażą, że jest Amerykaninem, lecz nikt nikomu tego nie udowodni, nikt nie odkryje jego tożsamości...

Ponieważ tożsamość tę skutecznie wymazano.

Podejrzenia bez dowodów to mieszanka wybuchowa. Kiedy amerykańskie samoloty przypadkowo zbombardowały Ambasadę Chińską w Belgradzie, w Pekinie wybuchły zamieszki. Strata ukochanego Liu Anga - zamordowanego przez domniemanego agenta amerykańskich służb specjalnych - wywołałaby prawdziwą pożogę. A Stany Zjednoczone nie mogłyby nawet przeprosić, nie mogłyby przyznać się do tego, o co podejrzewałyby je cały świat.

Ponieważ Harrison Ambler nie istniał.

„Gdy wchodziłem na schody, spotkałem człowieka, którego nie było...”

Zamieszki na niespotykaną dotąd skalę ogarnęłyby całe Chiny. Do akcji wkroczyłoby wojsko. Ale nie, śpiący gigant nie usnąłby ponownie, nie od razu. Najpierw spustoszyłby śpiący świat.

Chociaż myśli wypełniały mu głowę niczym coraz mroczniej szy cień, przez cały czas patrzył jej w oczy.

Wiem, że wiesz, że ja wiem, że ty wiesz...

Czas zmienił się w gęsty syrop.

Strażników już ostrzeżono. Jego wrogowie bez wątpienia o to zadbali.

Co do wielu rzeczy bardzo się mylił, jednak co do innych na pewno miał

rację. Liu Ang zginie. Chiny staną w ogniu. Wkroczy wojsko, zdławi zamieszki i narzuci reżim w starym maoistycznym stylu. Ale na tym się nie skończy: zaślepieni fanatyzmem spiskowcy nie przewidzieli tego, co będzie dalej. Gdy wrzawa i furia sięgną zenitu, świat pograży się w wojnie.
Rozwoju 359

tego rodzaju wydarzeń nie da się powstrzymać. Spiskowcy tego nie rozumieli. Igrali z ogniem, nie zdając sobie sprawy, że ostatecznie sami w tym ogniu spłoną.

Ból, gniew, wściekłość i żal splatały się w nim niczym włókna stalowej liny.

Poczynając od jego „ucieczki”, wszystko, absolutnie wszystko było czę-

ścią starannie opracowanego planu. Ich planu. Jak dziecko z mapą, na której zaznaczono drogę do skarbu, podążał wyznaczoną przez nich trasą. Trasą, która wiodła do Davos, prosto w objęcia śmierci.

Wstrząs odebrał mu zdolność odczuwania i przez chwilę miał wrażenie, że jest zrobiony z drewna i szmatek. Niby dlaczego nie?

Ostatecznie był tylko zwykłą marionetką.

Na małym ekranie monitora telewizji wewnętrznej przemawiał Liu Ang, a pod spodem wyświetlało się angielskie tłumaczenie. Palmer i Whitfield prawie nie patrzyli w tamtą stronę, jakby po opracowaniu i dokładnym przeanalizowaniu wszystkiego, stracili zainteresowanie dalszym biegiem wypadków.

Caston trzasnął klapką komórki.

- Przepraszam, muszę na chwilę wyjść. - Chwiejnie wstał i ruszył do drzwi.

Ale drzwi były zamknięte. Zamknięte od wewnątrz. To niemożliwe!

Ellen Whitfield też zamknęła komórkę.

- Przykro mi - odparła - ale ze względu na delikatny charakter naszej rozmowy uznałam, że nikt nie powinien nam przeszkadzać. Niepokoił się pan o środki bezpieczeństwa. Jak już mówiłam, są bardziej wyrafinowane, niż pan przypuszcza.

- Rozumiem. Castonowi zabrakło powietrza.

Jej wargi ułożyły się w kształt malutkiej myszki.

- Za bardzo się pan przejmuje. Strzał będzie pewny i czysty. Liu Ang zginie. Podejrzenia, co nieuchronne, padną na nasz rząd. Ale będą to podejrzania, które oczywiście odrzucimy, zachowując twarz i wiarygodność.

- Bo przecież nasz zamachowiec oficjalnie nie istnieje - dodał z lekkim rozbawieniem Palmer.

- Mówicie o... Tarkwiniuszu. - Caston uważnie ich obserwował. - O Harrisonie Amblerze.

- O kim? - spytała lekko Whitfield.

Caston wbił wzrok w ścianę.

- Zaprogramowaliście go.

- Ktoś musiał. Ale trzeba oddać mu sprawiedliwość. Świetnie się spisał.

Wyzaczyliśmy mu bardzo trudną trasę, którą niewielu by pokonało. Choć z drugiej strony, uznaliśmy za rozsądne ostrzec go przed agentami Wydziału 360

Operacji Konsularnych. Poprosiłam szefa, żeby kazał Tarkwiniuszowi usunąć niejakiego Harrisona

Amblera. Aż żałuję, że nie słyszałam tej rozmowy.

Ale to tylko szczegóły.

- W takim razie jak wrobiliście w to Amblera? spytał obojętnie Caston.

- To jest w tym wszystkim najpiękniejsze - odrzekł Palmer z miną mędrca. - *Und es neigen die Weisen Oft am Ende zu Schönem sich, i> jak napisał*

kiedyś Hölderlin. Koniec końców mądrzy zawsze ulegają pięknym.

Caston przekrzywił głowę.

- Widziałem listę płac - zabiefował - ale wciąż nie wiem, skąd ją wytrzasnęliście. Laurel Holland.

Ellen Whitfield promieniała.

- Tak, pod tym nazwiskiem ją zna. Odegrała swoją rolę perfekcyjnie. Lor-na Sanderson. Jest genialna. Jeden wybitny talent kontra drugi. Jak pan zapewne wie, tylko jedna osoba na dziesięć tysięcy potrafiłaby oszukać kogoś takiego jak Harrison Ambler.

Caston zmrużył oczy.

- Tymczasem ktoś taki jak ona trafia się raz na milion.

- Właśnie. Niezwykle utalentowana aktorka. W college'u zdobywała najwyższe nagrody. Była gwiazdą ucznia Stanisławskiego, który przyznał, że nigdy w życiu nie miał tak zdolnej uczennicy.

- Stanisławskiego?

- Legendarnego twórcy tak zwanej „metody”. Uczeni nią aktorzy przeży -

wają wszystkie odgrywane przez siebie uczucia i w pewnym sensie nie grają.

Niezwykła umiejętność, jeśli dobrze ją opanować. A ona to zrobiła. Była świetnie wyszkoloną i bardzo obiecującą aktorką. Ukończywszy Julliard, zagrała główną rolę w off-brodwayowskiej inscenizacji *Heddy Gableri* zebra-

ła znakomite recenzje. Gdyby się nie wykoleiła, mogłaby zostać drugą Meryl Streep.

- Co się stało? - spytał Caston. I co działo się za drzwiami? Były dość grube, ale on siedział bardzo blisko i dochodziły go jakieś dziwne wibracje, odgłos... szuranie butami?

- Niestety, miała problemy. Była narkomanką. Speed, heroina i tak dalej.

Żeby zapewnić sobie stały dostęp do narkotyków, została dilerką. Kiedy ją aresztowano, cóż, jej

życie praktycznie dobiegło kresu. W Nowym Jorku obowiązuje bardzo surowe prawo antynarkotykowe. Sprzedasz sześćdziesiąt gramów heroiny i podpadasz pod przestępstwo kategorii A, za które grozi piętna-

ście lat więzienia: minimum piętnaście. Wtedy pojawiliśmy się my, ponieważ kogoś tak utalentowanego jak ona nie znajduje się codziennie. Dzięki naszej interwencji prokurator stanowy dogadał się z okręgowym i od tej pory mieliśmy 361

ją w garści. Stworzyliśmy dla niej specjalny program szkoleniowy i okazała się niesamowicie zdolną uczennicą. Tak, miała poczucie wizji...

- A więc wszystko poszło według planu - podsumował ciężko Caston, patrząc to na Whitfield, to na Palmera. Dwie zadowolone z siebie gęby, jedna wizja. Obłąd. Najbardziej jednak przerażało go to, że ani ona, ani on nie okazywali najmniejszego lęku.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i w progu stanął wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna.

Tuż

za

nim

łoczyli

się

inni

Caston zmarszczył czoło.

- Czy ty nigdy nie pukasz? - spytał.

Dobry wieczór, Clay - odparł Norris, biorąc się pod boki i patrząc na niego bez najmniejszego zdziwienia. - Nie ciekawi cię, jak wpadłem na to, co tu knujesz?

- Bardziej ciekawi mnie, po czyjej jesteś stronie, Cal.

Norris ponuro kiwnął głową.

- Zaraz się przekonasz.

Czas i przestrzeń, tu i teraz - wszystko nagle się zmieniło i przetransformowało. W sali było zimno

jak w kosmosie, a odmierzany dudniącymi se-kundami czas płynął w rytmie jego serca.

Harrison Ambler. Jak ciężko pracował, żeby odzyskać swoje nazwisko, nazwisko, które już za chwilę miało stać się synonimem hańby. Z obrzydzenia do samego siebie zbierało mu się na wymioty, ale nie chciał się wycofać.

Musiała dostrzec to w jego twarzy - wciąż patrzyli sobie w oczy - bo wyczuł lekkie drżenie, delikatny skurcz mięśni palca na spuście, a może po prostu wiedział, że za chwilę go naciśnie, gdyż przez ułamek sekundy on był

nią, a ona nim, przez tę jedną, jedyną mikrosekundę łączyła ich wspólna tożsamość, uczucie, które nie było już miłością, tylko nienawiścią, więc...

Rzucił się na nią i zanim uświadomił sobie, co robi, runął w chwili, gdy pociągnęła za spust.

Huk wystrzału wgniótł go w ziemię. Huk i zaraz potem brzęk gdzieś wysoko w górze. Odgłos sypiącego się szkła, słaby, lecz dostrzegalny spadek napięcia światła: kula roztrzaskała klosz jednej z lamp pod sufitem. Ale nie zdążył nawet o tym pomyśleć, bo w tej samej chwili poczuł przeszywający ból w brzuchu, poczuł go, zanim jeszcze zarejestrował błyskawiczny ruch jej ręki i błysk lśniącej stali w jej dłoni. Część mózgu zaprotestowała - przecież to nie miało sensu! - i dopiero sekundę później zdał sobie sprawę, że Laurel dźga go po raz drugi, że już raz to zrobiła i nawet tego nie poczuł, że właśnie wbija mu nóż w ciało, zatapia go raz po raz w napadzie spazmatycznego szału.

, Trysnęła krew, niczym wino z przepelnionego kielicha, ale nie miało to żadnego znaczenia, gdyż wiedział, że musi ją powstrzymać, bo jeśli tego nie zrobi, straci wszystko, nazwisko, duszę i życie. Resztkami sił runął na nią ponownie w chwili, gdy długie ostrze noża po raz kolejny przebiło mu wnętrzności. Chwycił ją za ręce, szarpnął do góry, przycisnął je do boków i przy-gwoździł do podłogi. Ktoś krzyczał, ktoś inny przeraźliwie wrzeszczał, lecz krzyk ten i wrzask dochodziły jak zza grubej ściany. Był świadomy tylko jednego, że kobieta, którą tak bardzo kochał - morderczyni, której nie znał -

rzuca się pod nim i szarpie jak w groteskowej parodii podsycanego nienawi-

ścią aktu miłosnego. Na jej twarzy, zaledwie centymetry od jego, nie było nic oprócz furii i rozjuszonej determinacji leśnego drapieznika. Stracił dużo krwi, coraz mętniej myślał, więc żeby zrekompensować sobie ubytek sił i nie pozwolić jej uciec, przygniótł ją do podłogi ciężarem całego ciała.

Przez szum tła przypominający szum radiowych fal zniekształconych oddziaływaniem plam słonecznych, przebił się jakiś głos, głos tak odległy, jakby dochodził z innego kontynentu. „Wiecie, co mi to przypomina? Przypowieść o pewnym chytrusie, który dawno, dawno temu otworzył w wiosce sklepik, wystawiając na sprzedaż włócznię, która, jak twierdził, przebije wszystko, i tarczę, której nie przebije nic”.

Włócznia. I tarcza.

Mężczyzna, który potrafił wszystkich przejrzeć. I kobieta, której nie potrafił przejrzeć nikt.

Włócznia. I tarcza.

Przez głowę przemknęły mu fragmenty przeszłości rozmazane jak obrazy z zepsutego projektora filmowego. Ośrodek psychiatryczny na wyspie Parrish, cichy szmer słów zachęty: to ona podsunęła mu pomysł ucieczki, nawet do-kładną datę - dotarło to do niego dopiero teraz. Ona, Laurel, która we wszystkich krytycznych chwilach podtrzymywała go na duchu i kierowała na właści-wy tor. Tarkwiniusz, *Menschenkenner*, nareszcie trafił na równego sobie.

Myśl ta przeszła go na wylot i sparaliżowała, otwierając rany boleśniejsze od tych, które zadał mu nóż.

Opadły mu powieki. Ich rozwarcie wydawało się najtrudniejszym i naj-
żmudniejszym zadaniem, jakie kiedykolwiek miał do wykonania.

Spojrzał jej w oczy, szukając tam kobiety, którą, jak naiwnie sądził, kiedyś znał. Lecz zanim stracił przytomność, ujrzał w nich tylko ciemność, świadomość porażki i zapiekłą wrogość, a zaraz potem w ciemności tej zobaczył

słaby, migotliwy obraz samego siebie.

Epilog

Zamknął oczy czując jak muskają go łagodne promienie marcowego słońca.

Leżał na pokładzie i wsłuchiwał się w dobiegające zewsząd odgłosy.

Były ciche i kojące. Delikatny chłopot fal uderzających w burty łodzi. Terkot kołowrotka. Słyszał też wiele innych dźwięków

Wiedział już, jak to jest mieć rodzinę, i coraz bardziej wzbierało w nim uczucie zadowolenia. Stojący na rufie córka i syn sprzeczały się żartobliwie, nadziejąc przynętę na haczyk. Ich matka też łowiła ryby - przy okazji czytając gazetę - i strofowała dzieci krzywym, lecz pełnym uwielbienia spojrzeniem, gdy za bardzo hałasowały.

Ziewnął, skrzywił się z bólu i poprawił luźny podkoszulek. Brzuch miał

wciąż obandażowany, ale po dwóch operacjach szybko dochodził do siebie.

Czuł, że tak jest. Czuł, że wracają mu siły. W wodach jeziora skrzyło się słońce i chociaż nie zawitała tu jeszcze wiosna, było ciepło, ponad dwana-

ście stopni Celsjusza. Postanowił nie wracać do Sourlands, ale wciąż lubił

wodę, łodzie i łowienie ryb, dlatego cieszył się, że jest z kimś, z kim może podzielić się wiedzą i doświadczeniem. Ale *nie*, scena nie wyglądała tak sielsko, jak mogłoby się wydawać. Nie w towarzystwie demonów, które wciąż nie dawały mu spokoju. I nie w towarzystwie dwojga hałaśliwych nastolatków oraz ich matki, ładnej kobiety o niewyparzonym języku. Ale nie wiedzieć czemu, tak było lepiej. Tak było realniej-

- Siemka - rzucił chłopak. Miał siedemnaście lat, szerokie ramiona i dobrze umięśnioną pierś. - Imbirek z lodówki, jeszcze zimny. - Podał mu puszkę.

Ambler otworzył oczy.

364

- Dzięki - odrzekł z uśmiechem.

- Na pewno nie chcesz piwa? - spytała jego matka, kobieta niemłoda już, lecz elegancka i bardzo zabawna. - Mamy gdzieś guinnessa. Śniadanie mistrzów.

- Nie, nie, dziękuję. Trzeba zaczynać powoli.

Tak, dobrze jest mieć rodzinę. Szybko by do tego przywykł

Ale to nie była jego rodzina, w każdym razie niezupełnie.

Nadeszła leciutka, ledwo wyczuwalna fala i łódź drgnęła. W tej samej chwili z kabiny pod pokładem wygramolił się Clayton Caston, spocony i niezdrowo blady. Łypnął spode łba na Amblera i połknął bez popicia kolejną tabletkę lekarstwa na chorobę lokomocyjną.

Linda umiała łowić ryby, z dziećmiakami poszło łatwo. Ale żeby wyciągnąć na wycieczkę Claya, musieli stoczyć z nim zażartą walkę. Całkiem słusznie zachowywał duży sceptycyzm wobec obietnic, że będzie cicho i spokojnie, lecz tylko zatwardziały hipochondryk taki jak on potrafiłby wmówić sobie, że na prawie idealnie gładkiej tafli jeziora można cierpieć na chorobę morską.

- Jak to możliwe, że dałem się namówić i wszedłem na pokład tej łodzi?

Znowu zbiera mi się na wymioty.

- Wiesz, zazdroszczę ci - powiedział Ambler. Tak zwyczajnie i po prostu.

- Zdajesz sobie sprawę, że statystycznie rzecz biorąc, prawdopodobień-

stwo utonięcia w zbiorniku słodkowodnym jest dużo większe niż prawdopodobieństwo utonięcia w morzu?

- Jezu, Clay, daj se wreszcie siana. Łowienie ryb to jeden z naszych najlepszych sposobów spędzania wolnego czasu. Już ci mówiłem: ta zabawa nie wymaga ani arkusza kalkulacyjnego, ani statystyki, lepszej nie znajdziesz.

Spróbuj, sam się przekonasz. Może się nawet okazać, że jesteś w tym dobry.

- Wiem, w czym jestem dobry - mruknął Caston.

- Jesteś pełen niespodzianek, pewnie zaskoczyłeś sam siebie. Kto by po myślał, że tak świetnie sobie poradzisz ze sprzętem wideo.

- Mówiłem ci, mój asystent wytłumaczył mi wszystko krok po kroku. Ka-ble koncentryczne? Znam tylko cenę metra bieżącego i zalecany współczynnik amortyzacji. - Ale po jego zadowolonej minie Ambler poznał, że on też często wspomina to, co się stało, gdy Ellen Whitfield i Ashton Palmer odkryli, że ich rozmowa była dyskretnie filmowana i za pośrednictwem systemu telewizji wewnętrznej na żywo przekazywana do kongresowego centrum mediowego. Ich fanatyzm był niemal hipnotyzujący - tę opinią podzielały setki uczestników i gości Światowego Forum Ekonomicznego, stłoczonych przed ekranami monitorów w Centrum Kongresowym.

Palmer i jego protegowana szybko zrozumieli, jakie konsekwencje będzie to miało nie tylko dla nich samych, ale i dla ich planu. Tak jak każde przedsięwzięcie tego rodzaju, mroczny, chiński spisek przetrwałby wszystko z wyjątkiem wystawienia na światło dzienne.

Od Castona, który często odwiedzał go w szpitalu, Ambler dowiedział się, że to Caleb Norris zaprowadził szwajcarskich policjantów do sali, gdzie toczyła się rozmowa, i osobiście dopilnował, żeby ich aresztowano. Okazało się, że zaalarmowała go niezwykle pilna i tajna wiadomość od szefa chiń-

skiego wywiadu Chao Tanga. Ze strony Tanga był to krok co najmniej niezwykły, ale szefowie wywiadu często zbierali informacje na temat swoich odpowiedników w innych krajach, żeby wyrobić sobie o nich zdanie. I chociaż Norris i Chao Tang nigdy się nie spotkali, stojąc w obliczu kryzysu na niewyobrażalnie wielką skalę, Tang postanowił prosić Norrisa o pomoc.

Ostatecznym uwierzytelnieniem jego dobrych intencji było to, że wkrótce potem zginął.

Podczas pierwszych tygodni w szpitalu odurzony środkami przeciwbólowymi Ambler to tracił, to odzyskiwał przytomność i długo nie był pewien, czy opowieści Castona nie są tylko narkotycznym snem. Nieco później, kiedy choć wciąż obolały, mógł już trzeźwo myśleć, pojawili się inni goście, jedni zaproszeni przez Castona, inni nie. Dwa razy odwiedził go Ethan Zackheim z Departamentu Stanu i zasypał gradem pytań. Dwa razy był u niego asystent Castona, który uważał, że Hal jest super, i ciągle porównywał go do jakiegoś Dereka. Odwiedził go nawet Dylan Sutcliffe - ten prawdziwy Dylan Sutcliffe. Co prawda od studiów w Goddard College przybyło mu trzydzieści parę kilogramów i w pierwszej chwili Ambler go nie poznał, ale potem długo wspominali stare czasy, przeglądając album ich rocznika i Dylan opowiedział mu mnóstwo zabawnych historyjek, których większość Hal pa-miętał nieco inaczej. Caston natomiast poświęcił sporo czasu na dokładne przeanalizowanie sposobu, w jaki przekierowywano telefony i na wynikają-

ce

z

tego

anomalie

w

billingach.

Hal poprawił się na leżaku.

- Twój występ w telewizji trwał krótko, ale był niesamowicie skuteczny.

Słońce to najlepszy środek dezynfekcyjny, co?

Caston szybko zamrugał i spojrzał na żonę.

- Czy dzieci posmarowały się kremem?

- Jest marzec, Clay - odparła z rozbawieniem Linda. - Marzec. Nikt się jeszcze nie opala.

Nagle pełen zachwytu okrzyk od strony rufy.

- To ja ją złapałam, ja, jest moja! - Andrea. Mówiła dobitnie i z dumą.

- Twoja? - Nastoletni, nie do końca przekonujący baryton Maksa. - Twoja? Przepraszam, a kto zarzucił wędkę? Kto nadział robala na haczyk? Poprosiłem cię tylko, żebyś przytrzymała tę cholerną wędkę, bo chciałem...

- Język, dzieci, język przerwała im ostrzegawczo Linda, podchodząc bliżej.

- Jaki język? - udał głupiego Max. - Przecież mówimy po angielsku.

- Zresztą ta ryba jest za mała - dodała Linda. - Wrzucicie ją do wody.

- Słyszałeś? - dogryzła bratu Andrea. - Wrzuc swoją szprotkę do wody.

- Aha, więc teraz to ja ją złowiłem? - Max był tak oburzony, że załamał mu się głos.

Ambler spojrzał na Castona.

- Oni zawsze tak?

- Niestety - odparł uszczęśliwiony rewident.

Zerknął ukradkiem na żonę i dzieci, i Hal dostrzegł na jego twarzy wyraz dumy i całkowitego oddania. Ale nie trwało to długo. Chwilę później, gdy łodzią zakołysała leciutko kolejna fala, Caston opadł ciężko na sąsiedni le-

żak, sposobiąc się do następnego ataku.

- Słuchaj - zaczął niemal błagalnie - może byśmy tak zawrócili do brzegu, co?

- Ale po co? Jest piękny dzień, płyniemy po pięknym jeziorze piękną łodzią: czy może być coś przyjemniejszego?

- Tak, tak, ale mieliście łowić ryby, prawda? Moim zdaniem najwięcej ryb znajdziecie przy molo. Jestem tego pewien.

- Caston, przecież to nielogiczne. Ambler uniósł brew. - Prawdopodobieństwo, że o tej porze roku ryby będą...

- Zaufaj mi, Hal - przerwał mu rewident. - Przy molo. Tylko przy molo.

Mam przecucie.

